



TANYA VALKO

ARABSKA ŻONA

Prószyński i S-ka

Tanya Valko

Arabska żona

Wydawnictwo Prószyński i S-ka



Igorowi

za całokształt

Prolog

Stoję na pokładzie kontenerowca, trzymając się metalowej barierki. Cała dygoczę. Serce chce mi wyskoczyć z piersi, czuję je w skroniach, uszach, a nawet w mięśniach na całym ciele. Jeszcze chwila, a zacznę szczękać zębami, choć jest piękna orientalna zima i temperatura na pewno nie niższa niż dwanaście stopni. Malutka Daria obejmuje mnie mocno za nogi, wtulając twarz w fałdy obszernego starego płaszcza. W końcu udało się uciec z piekła.

– Mami – chudzina szepcze żałośnie, ściskając mnie jeszcze mocniej.

Podnosi główkę i spogląda na mnie zapuchniętymi od płaczu oczkami. Maleńkie usta drżą i wyginają się w podkówkę. Chwytam jej zimne paluszki w swoje dłonie i usiłuję ogrzać oraz przelać spokój, którego samej mi brakuje, w jej roztrzęsione i trzepoczące jak ptak małe serduszko.

– Już dobrze, córuniu, teraz wszystko będzie dobrze – mówię, nie do końca będąc o tym przekonana.

Wyteżam wzrok, usiłując wypatrzeć coś na oddalającym się lądzie. Wieczorna mgiełka opada na wybrzeże i spowija minarety i kopuły meczetów różowym szalem. Płaskie dachy domów odbijają czerwone promienie słońca. Doskonale wiem, że za minutę, może dwie, ogromna bordowa kula zanurzy się w morzu i wszystko pokryje czarny jak sadza mrok. To już koniec, jestem bezpieczna.

Nieoczekiwanie ogarnia mnie straszliwa boleść, a rozpacz wyciska łzy cichutko spływające po zapadniętych policzkach. Wiem, że powinnam się cieszyć, bo w końcu jestem wolna. O to walczyłam, o to drapałam pazurami, narażając własne życie, lecz nie wyszło zupełnie tak, jak chciałam. Teraz, gdy jest już po wszystkim, boję się tylko jednego – że nigdy więcej jej nie zobaczę. Najgorsze jest to, że jeszcze będę musiała tutaj wrócić. Nagle zrywa się wiatr od lądu, niosąc ze sobą odurzającą woń jaśminu, zapach rozgrzanych murów i pyłu unoszącego się w powietrzu. Zamykam oczy i poddaję się uspokajającemu kołysaniu statku, który unosi mnie w nieznaną, ale na pewno lepszą przyszłość.

Emir z Arabii

Urodziny

W końcu mam te upragnione osiemnaście lat i nikt, ale to nikt, nawet moja despotyczna mamuska nie zmusi mnie do powrotu do domu o dziesiątej wieczorem. Nie może mi już zabronić wyjścia na dyskotekę czy do pubu. Och, pamiętam ostatniego sylwestra! Jak zawsze tragedia. Możliwość zabawy z kuzynkami w domu ciotki pod okiem dorosłych. „Dobrze się bawicie, dziewczynki? Tylko nie rozrabiajcie za bardzo! A co tutaj robi to wino? Kto je przyniósł?”. Boże! Coroczny koszmar.

Mama nazywa mnie księżniczką, kwiatuszkiem, koteczkiem i swoim ukochanym skarbem. Twierdzi, że nie pozwoli mnie skrzywdzić żadnemu facetowi. Ale czy mnie musi spotkać to samo co ją? Mój ojciec złamał jej serce i zrujnował życie, co wcale nie oznacza, że wszyscy mężczyźni są podli. Miała pecha. A poza tym głupio postępowała, dawała się oszukiwać, pozwalała na wszystko. Ja sobie to zupełnie inaczej urządzę. Będę księżniczką i wybrany przeze mnie królewicz będzie mnie musiał przez cały czas zdobywać i adorować, bez wytchnienia, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Będzie przynosił kwiaty, obsypywał mnie prezentami, będzie szarmancki, elegancki, cudowny i będzie mnie kooooochał na zabój.

Prawdę powiedziawszy, jeszcze nie trafiłam na moją drugą połowę. To nie takie proste, wiem o tym. I nigdzie mi się nie spieszy. Przecież mam dopiero osiemnaście lat.

Urodziny świętuję w najlepszym pubie w mieście – może coś się wydarzy?! Jedno jest pewne – będę tańczyć do rana, pić najlepsze wino i palić papierosy, choć nie robię tego często i w zasadzie nie lubię, ale w końcu jestem dorosła!

Ktoś by powiedział: pub jak pub. Ale jak mi się tutaj podoba! Dotąd nie chodziłam po takich miejscach. Pulsujące światła i lasery śmigające po ścianach oślepiają i powodują kolorowy zawrót głowy. Muzyka gra tak głośno, że nie tylko nie da się rozmawiać, ale nawet nie słyszę własnych myśli ani bicia serca. W środku dudni mi jedynie techno: łup, łup, łup. To jest to! Ja i moje dwie najlepsze psiapsioły z klasy z chłopakami patrzymy na siebie porozumiewawczo – ale czad! Drogę do baru torujemy sobie łokciami. Stoimy na palcach i chwytamy, co dają. W końcu mamy wszystko, czego nam trzeba, i rzucamy się na ostatni wolny stolik. Krzyczymy, aby się usłyszeć, lecz nic z tego nie wychodzi i w końcu po paru łykach pokazujemy sobie na migi, że chyba dobrze by było wyjść na parkiet. Szaleństwo, po paru minutach spływam potem. W sumie nie lubię takich tłumów – wszyscy się o siebie obijają, a taniec polega na gibaniu się w miejscu. Po chwili zaczynam przepychać się w stronę naszego stolika. Oczywiście obsiadła go już inna grupa, po piwie nie ma śladu, a butelka wina wyparowała. Bezradnie rozglądam się dookoła. Moje towarzystwo świetnie się bawi we własnym gronie, a ja czuję się jak piąte koło u wozu. Zresztą jak zawsze.

Do jasnej cholery, to są w końcu moje urodziny i głupio byłoby zmyć się na samym początku imprezy. Muszę wytrzymać przynajmniej do dwunastej. Ciężko wzdycham i zaczynam podierać ściany. Nachodzą mnie czarne myśli. Ze mną zawsze tak jest – dążę do czegoś, często po trupach, a kiedy już mam to w garści, okazuje się, że jest do bani. Bramkarze wpuszczają grupy wrzeszczącej młodzieży, która chce tylko zabawy, tańca, alkoholu, seksu, prochów i Bóg raczy wiedzieć czego jeszcze. Aż się boję, bo dotąd nie spotykałam się z takimi ludźmi. W zasadzie z nikim się nie zadawałam, większość czasu spędzając z mamą, a jak koleżanki, to u nas w domu albo w cukierni w pobliżu szkoły. W co ja się wpakowałam?!

– Mała, chcesz działeczkę? Coś widzę spięta jesteś. – Wyżelowany brunet chwyta mnie

za ramię.

– Spadaj! – obruszam się. – Czy ja wyglądam na ćpunkę?!

– Tu nikt nie jest ćpunem, a wszyscy biorą. To może jakiś proszeczek na rozluźnienie, co, lodowa królowno?

Obracam się na pięcie i wpadam między tańczących. Z dwojga złego tutaj jest bezpieczniej. Nie mam pojęcia, gdzie podziła się grupa zaproszonych przeze mnie kumpli. Rozglądam się, stojąc na palcach, ale nikogo nie widzę. Po prostu mnie olali – jak miło. W tym cholernym pubie jest duszno, parno i śmierdzi papierosami. Tak marzyłam o tym wyjściu, a teraz chcę stąd po prostu uciec.

W końcu zbliża się dwunasta. Jeszcze tylko wypiję przy barze szklankę zimnej wody i zmykam. Klejącą się ręką wycieram pot z czoła. Mogliby otworzyć jakieś okno. Chcę wziąć prysznic, zmyć z siebie cały ten gnój. Też mi urodziny! Dobrze przynajmniej, że napaleni samcy przestali ślinić się na mój widok. Zamroczeni od gorzały i prochów nie zwracają już na nic uwagi albo wybrali sobie łatwiejszy towar. A jest w czym przebierać. Dosłownie do wyboru do koloru, włącznie z upodobaniami. Dziewczyny mają rajstopy, tak zwane burdelówki, koniecznie w czarnym kolorze, a faceci obcisłe siatkowe T-shirty. Na ramionach, plecach, tyłkach lub nogach mają mniejsze lub większe dziary. Wyglądają jak papugi ze zwariowanej ptaszarni. Spadam stąd. Nagle czuję na sobie czyjś wzrok. Nie... Dość wrażeń jak na jeden wieczór!

W końcu go zauważam. Siedzi w kącie przy barze, częściowo zasłonięty przez sterty wiszących kieliszków i kufla na piwo. Nieśmiało uśmiecha się do mnie. Czy to możliwe, żeby ktoś w tej tancbudzie nie był nachalny i chamski?! Jest jakiś inny. Nie wiem, na czym to polega, ale coś mnie zatrzymuje i każe zostać jeszcze chwilkę. Taki beznadziejny wieczór, może przynajmniej końcówka będzie sympatyczna.

– Jedno czerwone, proszę – szybko zamawiam wino u barmana, bo przecież nie mogę tak stać i się na niego gapić. Zapalam papierosa, jakby nie dość było tutaj dymu, ale nie wiem, co zrobić z rękami.

Mężczyzna przy barze ma dziwne oczy. Nawet nie można powiedzieć, że czarne – są roziskrzane, jak płonące węgle w piecu. To jakiś Włoch albo Latynos?

Wstaje. Czyżby chciał wyjść?! Jednak nie. Idzie w moim kierunku. Nie mogę oddychać.

– Cieść! – przystojny mężczyzna, mówiący z dziwnym akcentem, usiłuje przekrzyczeć muzykę. Miałam rację, to cudzoziemiec!

– *Hi!* – odpowiadam zakłopotana, czerwieniąc się po same uszy i spuszczaając wzrok. Angielskiego, wprawdzie niezbyt pilnie, ale uczę się w końcu od dziecka.

– Nie nuziś sie? – pyta.

– No... tak trochę. W sumie to już się zmywam.

– A sama jest?

Oj sama, sama, mówię w duszy i wzdycham żałośnie.

– Zgubiłam towarzystwo – odpowiadam półgębkiem. – Kumple... tam, gdzieś... Uśmiecha się. Nie od ucha do ucha, tylko tak jakoś elegancko. Wszystko w nim jest jak spod igły, jakby z innej bajki, a dochodzi przecież północ, jesteśmy w zadymionym, obskurnym pubie, wokół rozwrzeszczane grupy oszołomów skaczących po parkiecie.

– Mogę odprowadzić? – pyta cicho po chwili. – Oj, zapomniałem. Mam na imię Ahmed. Ahmed Salimi.

– A ja myślałam, że jesteś Włochem – wzdycham trochę zawiedziona.

– Niestety, nie – mówi z przekąsem. – Tylko Arabem i tylko Libijczykiem.

– Nie chciałam cię obrazić – odpowiadam szybko. – Ja po prostu inaczej sobie wyobrażałam Araba. Wiesz, tak jak w książkach, telewizji. Nigdy tam nie byłam...

– Z *Baśni tysiąca i jednej nocy* i szkolnych podręczników o średniowiecznych podbojach? Obrazek szalonego jeźdźcy na koniu z turbanem na głowie i kindżalem w dłoni? Trochę się zmieniło od tego czasu – słyszę urazę w jego głosie. – A może jakiś bardziej współczesny wizerunek?

– Ja nie interesuję się polityką – próbuję go uspokoić. – To wszystko takie gadanie dla sensacji. Mnie to w ogóle nie obchodzi. – Zapanowuje nieprzyjemne milczenie. – A czy Beduini w białych sukienkach nadal jeżdżą po pustyni na wielbłądach? Czy już wymarli? – próbuję powiedzieć coś zabawnego dla rozładowania atmosfery.

– Moje dziecko – mówi z bardzo poważną miną, nachylając się i szepcząc mi prosto do ucha. – U nas beduini mają mercedesy i namioty wielkości willi, a do ich masztów montują anteny satelitarne.

Patrzę na niego zaskoczona.

– Ściemniasz – wybucham nerwowym, niepohamowanym śmiechem.

On, nadal poważny, taksuje mnie wzrokiem. W kącikach jego oczu widzę jakieś błyski, lecz nie potrafię ich rozszyfrować. Trochę się boję. Chyba odrobinę przesadziłam. A jeśli on jest...

Ahmed śmieje się na całe gardło.

– Ale tak naprawdę jest – mówi. – Co kraj, to obyczaj.

– Ja jestem Dorota, ale mówią na mnie Dot – przedstawiam się, oddychając z ulgą.

Podajemy sobie dłonie. Jaką on ma delikatną skórę. Paniczyk z namiotu, jeżdżący białym mercedesem, albo lepiej srebrnym, srebrny metalik.

– Teraz, jak już się znamy, możesz mnie odprowadzić – łaskawie pozwalam. – Prawdę powiedziawszy, nie podoba mi się ten lokal. – Zaciskając wargi i marszcząc nos, robię głupią minę i ze śmiechem wybiegam na świeże powietrze.

Droga do domu jest wyjątkowo długa. Mój blok znajduje się dwie przecznice od pubu, ale my idziemy na „wydłużone skróty”. Jest cudownie. Odprowadzanie trwa do białego rana. Mamy sobie tyle do powiedzenia, że jedno drugiego nie chce dopuścić do głosu. Przekrzykujemy się, szturchamy łokciami i zachowujemy jak para wariatów. A co najdziwniejsze, wydaje mi się, jakbym go znała od zawsze. On coś zaczyna mówić, ja kończę, i na odwrót. Dwa różne kraje, dwie różne kultury, a jednak jesteśmy tacy podobni. Najważniejsze, że nie ma żadnego obłapienia i buziaków. Ahmed nawet nie próbuje i sędzę, że jest to oznaka szacunku. Tak trzymać! Nad ranem padam ze zmęczenia. Już tak przyzwyczałam się do jego śmiesznej polskiej wymowy, że sama mówię mu na pożegnanie: „Cieść Ahmed”.

Love, love, love

Jesteśmy umówieni na telefon. Nie mogę się doczekać i boję się, że nie zadzwoni. Cały czas waruję w przedpokoju, gdzie stoi przestarzały aparat i udaję, że mam tutaj coś pilnego do zrobienia. W końcu, aby nie wzbudzać podejrzeń, zabieram się za porządki w pawlaczu.

– Dociu, dzisiaj niedziela – napomina mnie mama. – Nie wolno sprzątać.

– Ale w tygodniu nigdy nie ma czasu – kłamię jak z nut. – Chcę coś znaleźć, przy okazji poukładałam resztę rupieci.

– Rób, co chcesz, ale mówię ci, że to grzech – upiera się przy swoim.

– Od kiedy jesteś taka religijna? – pytam kąśliwie.

Dzwoni telefon i dopadam go pierwsza.

– To ja, Ahmed – słyszę jego głos i nogi mi miękną.

Mamuśka oczywiście stoi tuż obok i patrzy ze zdziwieniem. Wygląda, jakby z ciekawości chciała mi wyrwać słuchawkę. Ona nie lubi tracić kontroli, szczególnie nade mną, musi wszystko wiedzieć.

– To do mnie, mamo – mówię ostro i odwracam się do niej plecami. Nadal czuję jej obecność, jakby wmurowało ją w podłogę. – Dasz mi porozmawiać, czy będziesz podsłuchiwać?! – staję się nieprzyjemna.

– Ładnie, ładnie! – rozzłoszczona podnosi głos. – Raz poszła do jaskini rozpusty i już ma tajemnice. Seks i prochy, co wybrałaś? Może jakiś dealer proponuje ci działkę?! – podniesionym tonem zagłusza słowa Ahmeda.

– Przepraszam, ktoś nie daje mi rozmawiać. Nic nie słyszę – tłumaczę mu. – Zaczekaj chwileczkę. – Biorę głębszy oddech. – Dasz mi w końcu, do cholery, zamienić dwa słowa, czy nie?! – wrzeszczę, zasłaniając słuchawkę ręką. Matka obrażona obraca się na pięcie i wychodzi. – Przepraszam, drobne kłopoty – zupełnie innym tonem zwracam się do mojego miłego rozmówcy.

– Słyszę – śmieje się rozbawiony. – Nie przejmuj się, u nas w rodzinie też tak czasami na siebie krzyczymy, co wcale nie oznacza, że się nie kochamy.

Uff! Jak on dobrze wszystko rozumie. Siadam na podłodze w kącie przedpokoju, zamykam drzwi i zaczynamy rozmowę.

– Może po południu pójdziemy na kawę? – proponuje. – Będziemy mogli spokojnie pogadać. Dzisiaj wieczorem muszę już jechać.

– Gdzie? Dlaczego? – Ledwo go poznałam, a już chce zniknąć z mojego życia. Nie zgadzam się!

– Studiuję w Poznaniu. W zasadzie robię doktorat – smutno odpowiada. – Przyjechałem tylko na weekend odwiedzić kolegę z liceum, rodaka. Mieszka niedaleko ciebie, bardzo sympatyczny gość. Ma żonę Polkę, dwójkę ślicznych, lecz rozwrzeszczanych dzieci i psa.

– Poważnie?! To co w takim razie robiłeś wczoraj wieczorem w pubie?

– Mieli zlot rodzinny, o którym dowiedzieli się dopiero w piątek. U teściowej, więc odmowa nie wchodziła w grę – mówi i nie mam powodu mu nie wierzyć. – Chcieli mnie ze sobą zabrać, ale bez przesady. Nie znam tam nikogo, na pewno wódka lała się strumieniami, do jedzenia góry świniny, więc nie za bardzo odpowiadałaby mi taka sytuacja. Poszedłem do kina, a kiedy wróciłem, ich jeszcze nie było. Uciekł mi ostatni pociąg, a jedyny otwarty o tej porze lokal w naszym miasteczku to pub, w którym się poznaliśmy. Oto cała historia.

– Zznajesz jak na spowiedzi – śmieję się skrzępowana faktem, że mi się tłumaczy.

– Nie wiem, jak to się robi, ale szczerze opowiadam, jak było.

– Przyjdź pod mój blok o czwartej, to pójdziemy na kawę i pyszne ciacho – decyduję.

Nie pozostaje nam nic innego, jak widywać się w weekendy. Jeszcze niecały rok został mi do obrony pracy doktorskiej – prawie tyle co mnie do matury. Uzgodniliśmy, że będziemy się wzajemnie mobilizować i ciężko pracować, żeby osiągnąć jak najlepsze wyniki. Może w końcu zacznę się uczyć, bo do tej pory bywało różnie.

Ahmed jest informatykiem, mieszka w Polsce od czterech lat i dlatego tak dobrze zna nasz język. Trochę dziwnie mówi, ale to tylko akcent i zmiękczenia tam, gdzie ich nie ma, słów zna chyba więcej ode mnie. Mówi, że uczył się słownika na pamięć, ale dla niego to betka, bo od dziecka wkuwał Koran, więc ma wprawę. Nawet przy polskim bezrobociu nie narzeka na brak pracy. Razem z dwoma kolegami z roku założyli firmę i robią jakieś oprogramowania dla małych lub trochę większych firm. Chyba nieźle im idzie, bo okazało się, że w Poznaniu wynajmuje kawalerkę, ma samochód i sam przyznaje, że żyje mu się wygodnie.

Przez cały tydzień nasz jedyny kontakt ogranicza się do rozmów telefonicznych. Mama podsłuchuje po drugiej stronie drzwi. Nie mam komórki, bo nas na to nie stać, więc muszę godzinami wisieć na starym aparacie, przez który ledwo co słyshać.

– Nie mogę się doczekać piątku – słyszę jego głos w słuchawce.

– Ja też – odpowiadam półgębkiem. – Będziesz jak zwykle?

– Tym razem jest szansa, że urwę się trochę wcześniej, bo mój promotor się rozchorował.

Niech tam, dopuszczę się dezercji.

– To znaczy? – Stres kiepsko wpływa na moje szare komórki.

– Pójdę na uczelnię, pokręcę się trochę, pokażę jak największej liczbie osób i... – zawieszę głos – pobiegnę na pociąg. Wagary.

– To świetnie.

– Jakby cię ktoś posłuchał, doszedłby do wniosku, że jesteś milczkiem lub prawie niemową – podsumowuje niezbyt zadowolony.

– Mówiłam ci, jaką mam sytuację – jeszcze bardziej ściszam głos. – Dość krępującą – szepczę.

– Postaram się ją rozwiązać – obiecuje.

Czekam na dworcu i zniecierpliwiona drepczę w miejscu. W końcu w oknie wagonu widzę jego uśmiechniętą twarz. Coraz ciężiej jest mi wytrzymać cały długi, beznadziejnie nudny tydzień. Chciałabym go widywać codziennie, ale wiem, że to niemożliwe. Przynajmniej do czasu matury.

– Cieść, jak się masz? – Na przywitanie delikatnie całuje mnie w czoło.

– Świetnie, choć dość samotnie.

– Teraz samotnie?

– Nie, przez cały tydzień – tłumaczę mu jak rozkapryszona dziewczynka.

– Ucz się, to nie będziesz miała czasu na rozmyślanie. Czas szybciej zleci.

Biorę go pod ramię i idziemy do centrum. Parę osób ogląda się za nami, ale zauważyłam, że tak to już jest. W małych miasteczkach robią wielkie oczy na każdego obcego, tym bardziej śniadego. Dla nich to sensacja. Boję się, żeby nie wzięli mnie na języki, bo oczywiście jeszcze nic nie powiedziałam mamie. – Zabieram cię na kolację do mojego kolegi, tego u którego zazwyczaj się zatrzymuję. – Ahmed ustala plan działań. – On i jego żona chcieliby cię w końcu poznać. Może się z nią zaprzyjaźnisz... choć nie byłbym tego pewien. Wydaje mi się, że jesteście troszkę różne – mówi tajemniczo.

– Zobaczmy. – Cieszę się na wieczór poza domem, choć wiem, że będą kłopoty z mamą.

Kierujemy się w stronę eleganckiego nowego osiedla czteropiętrowych bloków z ochroną i kamerami.

– Dobrze im się powodzi – stwierdzam, nie mogąc oderwać oczu od świeżych tynków,

balkonów pełnych kwiatów i przystrzyżonych trawniczków. „Czemu na moim osiedlu nie może tak być?” – zastanawiam się w duchu.

– Ali jest dobrym lekarzem. Studiował w Niemczech, a do Polski przyjechał na specjalizację. – Widząc moją zazdrość, Ahmed usiłuje usprawiedliwić kolegę.

– Że też wybrał akurat Polskę – dziwię się.

– Poznał Wiolettę, która przyjechała latem do sezonowej pracy. Dalej poszło szybko: *love*, ślub, dziecko albo w odwrotnej kolejności. *Doesn't matter!*

– śmieje się zadowolony ze swojego dowcipu. – Na koniec doszli do wniosku, że z niedużymi pieniędzmi, które mają, łatwiej im będzie urządzić się tutaj, a nie gdzieś na zgniłym Zachodzie. A wszystko przez to, że ona nie chciała pojechać do niego, głupia... – Z pogardą wygina wargi.

Wchodzimy do budynku. Czysta, szeroka klatka schodowa. U mnie w bloku każda ściana wymazana jest graffiti i czuć woń moczu pomieszanego ze smrodem wymiocin.

– Ładnie tutaj – mówię szeptem, jak w kościele. – Mogłabym tu mieszkać.

– Blok zawsze pozostanie tylko blokiem. Nie ma to jak dom.

– Marzenie ściętej głowy – śmieję się.

Drzwi otwiera nam uśmiechnięty łysiejący Arab, ubrany na sportowo, lecz bez butów czy pantofli.

– *Salam alejkum* – mówi na przywitanie i wpuszcza nas do środka.

Ze zdziwieniem patrzę na Ahmeda.

– To znaczy dzień dobry, a ściślej: pokój z tobą – tłumaczy.

– Muszę się nauczyć, ładnie brzmi.

Po chwili przedpokój zapełniają krzyczące dzieci, skaczący pies, a na koniec, jak gwiazda, wkracza Wioletta. Ma chyba około trzydziestki, lecz mocny makijaż dodaje jej lat. Ubrana jest w kuse mini, krótki moherowy sweterek odsłaniający dolną część brzucha oraz czarne burdelówki. Na stopy wsunęła szpilki na metalowym wysokim obcasie. Włosy ma w totalnym nieładzie, nieumiejętnie sklezione pianką lub żelem. Ja, młodsza o co najmniej dziesięć lat, prezentuję się jak jej matka. Popielata prosta wiskozowa sukienka do pół łydki z małym dekoltem pod szyją i długimi rękawami może pasuje do moich blond włosów, skromnie spiętych w mały kok, lecz teraz widzę, że jest zbyt staroświecka i za elegancka na tę okazję.

– Cześć, cześć piękna. – Kobieta zwraca się do mnie protekcyjnie i udając, że mnie całuje, cmoka powietrze. – Już nie mogliśmy się doczekać, żeby cię poznać. – Lustruje mnie od stóp do głów. – Ależ ty młoda jesteś, skończyłaś już osiemnaście czy Ahmed zabiera się za nieletnie?

– Daj spokój – przerywa jej mąż. – Wchodźcie dalej, zapraszamy.

Przechodzimy do nowocześnie umeblowanego salonu, w którym detale świadczą o pochodzeniu właścicieli. Na jednej ścianie wisi kilimek z jeleniami na rykowisku, zaraz obok w pozłacanej plastikowej ramce reprodukcja Matki Boskiej Częstochowskiej, na segmencie zaś stoi arabska fajka wodna i tabliczki z napisami w dziwnym, pełnym zawijasów piśmie, a obok mnóstwo skórzanych wielbłądów, wypchanych osiołków i glinianych figurek przedstawiających Arabów w ludowych strojach.

– Proszę. – Ali wskazuje miejsce na kanapie, na które błyskawicznie wskakuje pies. – A poszedł mi stąd! – krzyczy na niego i dorzuca jeszcze jakieś słowa, których nie rozumiem.

– Nie szkodzi, ja lubię zwierzęta – śmieję się i klepię przymilnego kudłacza.

– U nas wieprzowiny się nie jada – ni z tego, ni z owego informuje mnie Wioletta. – Mam nadzieję, że obejdiesz się w jeden wieczór bez wiejskiej kiełbasy? – wyczuwam złośliwość w jej głosie.

– Ja również bardzo rzadko jem takie rzeczy. Są ciężkostrawne i mi nie służą – staram się mówić jak najbardziej elegancko i odpowiednio dobrać słowa.

– Ty w ogóle chyba mało co jadasz – kontynuuje Wioletta. – Wychudzona jesteś. Cóż, jak ja byłam nastolatką, to też mogłam żyć tylko miłością. – Obraca się na pięcie i wymownie wzdycha.

Staje w drzwiach do kuchni i pali papierosa, wydmuchując przy tym kłęby dymu. Chyba się jednak nie polubimy.

– Wioletta, przyhamuj, co cię znowu ugryzło? – Ali zwraca się do niej podniesionym, ale zarazem błagalnym tonem. Na pierwszy rzut oka widać, kto rządzi w tym domu. – Popatrz, jaki zbieg okoliczności – mówi do mnie ciepło gospodarz. – Ahmed przyjechał w odwiedziny do mnie, a poznał taką piękną dziewczynę. Nasz paniczek znalazł sobie królową. Zawsze był wybredny.

– To gdzie się poznaliście? – Wioletta włącza się do rozmowy.

– Mówiłem wam, w pubie. – Ahmed po raz pierwszy się odzywa. Po jego minie widzę, że nie jest zadowolony.

– To jedyny godny uwagi lokal w tej dziurze. Kiedyś mogłam tam przesiadywać godzinami. – Kobieta rozmarza się i wzdycha z tęsknotą. – Ty oczywiście masz czas i możliwości, żeby się bawić – zwraca się do mnie – ale ja jestem już ugotowana – dom, dzieci, i na domiar złego ten cholerny pies.

– Byłam tam po raz pierwszy w życiu – tłumaczę się jak mała dziewczynka. – Ja nie chodzę po takich miejscach.

– No tak, ty jeszcze jesteś na etapie, że cieszysz się, idąc do cukierni czy McDonalda. – Uśmiecha się kpiąco i z politowaniem kiwa głową.

– To się raczej nie zmieni – odpowiadam.

Mężczyźni wymieniają ponure spojrzenia. Ali zapala papierosa, a Ahmed pije zimną wodę szklanką za szklanką. Nagle, jak na komendę, wstają i wychodzą z salonu. Słychać ich przytłumione głosy, jakieś dziwne cmokanie językiem, a po chwili stłumiony śmiech. Co im tak wesoło?! Po krótkiej chwili wracają i już odprężeni zajmują swoje miejsca.

– Nakrywamy do stołu, czas coś zjeść – radośnie odzywa się pan domu, klepiąc się rękami po udach.

– To rusz dupę, co ci stoi na przeszkodzie? – Wioletta ordynarnie zwraca się do męża. – Może przyrosła ci do kanapy, bo ciągle na niej przesiadujesz? Dalej!

Tego dla mnie już za wiele. Wściekła, porozumiewawczo spoglądam na Ahmeda. Albo natychmiast wyjdziemy, albo będzie karczemna awantura, na dokładkę chce mi się płakać. Jak zawsze rozumiemy się bez słowa, więc obydwójce wstajemy, przechodzimy przez korytarz i opuszczamy ten „gościnnie” dom.

– Ahmed, Dorota! – słyszymy nawoływania Alego. Rozbrzmiewają echem na całej klatce schodowej. – Wracajcie, przepraszam!

– *Illa liqa!*

– Ahmed zatrzymuje się na moment i krzyczy, podnosząc głowę do góry.

Patrzę na niego zdziwiona, lecz nawet nie chcę wiedzieć, co to znaczy.

– Moja koleżanka z klasy urządza sylwestra. – Znowu rozmawiamy przez telefon, z tą jednak różnicą, że leżę na łóżku u siebie w pokoju, bo mam już komórkę, którą Ahmed kupił mi na Mikołaja.

– I co sugerujesz? – mówi niezadowolony.

– Nie miałbyś ochoty się ze mną wybrać? – pytam, zdziwiona jego postawą.

– Żeby było jak u Alego? Tym razem twoi koledzy mogą mnie otluc, że zabieram im taką

laskę.

Nie wiem, czy to komplement, ale nie cieszy mnie jego ton. Nasze stosunki oziębły nieco po wizycie u Alego i Wioletty. Widujemy się rzadziej, bo teraz Ahmed nie ma gdzie się zatrzymać i za każdym razem musi wynajmować pokój w hotelu. Prywatne kwatery odpadają, bo warunki są tragiczne, poza tym mieszkańcy naszej miejscowości nie chcą wynajmować pokoju nawet najspokojniejszemu Arabowi. Znaleźliśmy się w patowej sytuacji.

– Może przyjedziesz do mnie do Poznania – odzywa się po dłuższej chwili. – Duże miasto i ludzie trochę bardziej otwarci. Uczelnia organizuje bal sylwestrowy, będzie elegancko, bez bijatyk i docinek.

– Chciałabym, ale jak to powiedzieć mamie? Boję się, że nie pójdzie z nią łatwo.

– Dlaczego?

– Trzyma mnie krótko. Nie mogę sobie jeździć, gdzie chcę i z kim chcę. Nieważne, że jestem już pełnoletnia.

– Może byś mnie przedstawiła? – pyta nieśmiało. – Jeśli się nie wstydzisz.

– Dlaczego mam się wstydzić? – Serce bije mi z podniecenia i radości. – Nie jesteś garbaty ani kulawy...

– Jestem Arabem, a to dla was oznacza kogoś jeszcze gorszego – mówi chłodno.

– Nie dajmy się zwariować.

– Jeśli, jak mówisz, twoja mama jest tradycjonalistką, możesz mieć ostrą przeprawę nawet z zaproszeniem mnie do domu.

Oczywiście nie mylił się.

– W końcu łaskawie zechciałaś mnie poinformować, że kogoś masz! – zaczyna matka podniesionym głosem. – Całe miasto już mówi, że szlajasz się z jakimś kolorowym!

– Nie przesadzasz, mamu? Czy ludzie nie mają nic lepszego do roboty, tylko plotkować na mój temat? – Postanawiam rozegrać to rozsądnie, bo zdaję sobie sprawę, że pójdzie na noże z moją matką nic nie da. Muszę zachować spokój i nie dać się sprowokować.

– Kogo ty chcesz mi do domu przyprowadzić, Cygana? – wbija pierwszą szpilę.

– Ahmed jest Arabem...

– Co?! – Nie zdążyłam skończyć zdania, a matka wrzasnęła jak oparzona. – Araba, brudasa, terrorystę! – kontynuuje, chwytając się teatralnie za głowę.

– Nie sądziłam, że jesteś rasistką, od tego już tylko krok do faszyzmu.

– Ty smarkulo, będziesz mnie od hitlerowców wyzywać?! – Zaczerwieniona ze złości uderza mnie w policzek. Nie byłam na to przygotowana.

– Nie chcesz go poznać, to nie! – krzyczę ze łzami w oczach. – Ale ja nadal będę się z nim spotykać. – Odwracam się do niej plecami i usiłuję się opanować.

– Zabraniam ci albo precz z mojego domu!

– Wyrzucasz mnie?!

– Albo, albo, masz wybór!

– Chciałabym tylko ci uzmysłwić, że jest to teraz zarówno twoje, jak i moje mieszkanie. Kupił je ojciec i zostawił nie tylko dla ciebie. Jak ci coś nie pasuje, to możesz się wyprowadzić. Ja już, Bogu dzięki, jestem pełnoletnia. Podaj mnie do sądu albo wezwij komornika.

Obracam się i prawie biegnę do siebie. Nie chcę dać jej tej satysfakcji, żeby widziała, że płaczę. Jestem w szoku. Nie spodziewałam się po mojej matce takiego zachowania. Ahmed miał rację.

– Przyjeżdżam na sylwestra do ciebie. W zasadzie mogę parę dni wcześniej, bo przecież mam wolne – informuję go trzęsącym się głosem przez telefon.

– Źle poszło – słysząc mnie, nie potrzebuje wyjaśnień.

– Jak przewidywałeś.
– To może ja przyjadę w ten weekend i zrobimy twojej mamie niespodziankę – mówi z lekkim rozbawieniem. – Spróbuję podbić ją moim urokiem osobistym. – Śmiejemy się, choć czujemy, że nie będzie łatwo.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – zaczynam się wahać.

– Nic się nie martw. Wiem, jak postępować z twardymi, upartymi starszymi paniami. W końcu też mam matkę.

Ahmed siedzi na wytartej kanapie w maleńkim salonie, w rękach mocno ściska wielki bukiet czerwonych róż, a pudło z czekoladkami położył sobie na kolanach. Widzę, jak bardzo jest spięty, choć udaje wyluzowanego.

– Myślisz, że za chwilę przyjdzie? – pyta po raz kolejny.

– Już za minutkę, już za momencik... Msza kończy się o pierwszej, droga trwa maksymalnie piętnaście minut...

Zanim kończę mówić, słyszymy zgrzyt klucza w zamku. Głęboki oddech. Sama nie wiem, czego mogę się spodziewać. Ostatnio matka mnie zaskakuje. Dopóki byłam dzieckiem, wszystko układało się jak w bajce, bardzo się kochałyśmy. Lecz im stawałam się starsza, tym matka była bardziej oziębła, nerwowa i kąśliwa. Zupełnie tego nie rozumiem. Jeśli się boi, że ją opuszczę, wyfrunę z naszego idealnego gniazda, to czemu robi wszystko, abym chciała to uczynić jak najprędzej?

– Witam panią. – Ahmed wstaje i całuje moją zdziwioną matkę w rękę. – To wielki zaszczyt dla mnie poznać mamę Doroty – mówi, wręczając jej kwiaty i czekoladki.

– Toście mnie zaskoczyli – przyznaje, z trudem zamykając otwarte usta.

Siadamy. Patrzymy na siebie wyczekująco. Niedobrze.

– To ja podam ciasto, mam nadzieje, że się udało. – Zrywam się na równe nogi, nie mogąc znieść milczenia. – Kawa czy herbata, a może cola?

– Poproszę kawę. – Ahmed uśmiecha się niepewnie.

– Dla mnie może być to samo – burczy mama, patrząc chłodno na mojego śniadego chłopaka i próbując wynaleźć najmniejsze niedociągnięcie w jego wyglądzie. Nie ma szans, bo on jest naprawdę przystojny. Wysoki i szczupły, kędzierzawe włosy ma dobrze przystrzyżone, twarz ogoloną na gładko, włoski garnitur jak spod igły, koszula perfekcyjnie wyprasowana, a krawat idealnie dobrany do całości.

– To co pan robi u nas w Polsce? Poluje na młode dziewczyny, bałamuci je i zostawia? – Mama zaczyna miłą konwersację.

Trzęsącymi się rękami nakładam biszkopt z galaretką, rozlewam kawę i biegnę pomóc mojemu chłopakowi.

– Pani bardzo dobrze wychowała córkę. – Ahmed nie odpowiada na pytanie bezpośrednio. – Może być pani dumna, Dorota nikomu nie da się zbałamucić.

– To co pan tutaj robi? Na co pan liczy? – nie poddaje się.

– Myślę poważnie o pani córce i szanuję zarówno ją, jak i panią – mówi spokojnym głosem. Już się nie denerwuje.

– A ileż czasu się spotykacie, że może panu coś „na poważnie” przyjść do głowy?!

– Już ponad trzy miesiące, prawda, Dociu? – zwraca się do mnie, a ja kiwam głową.

Matka patrzy na mnie z wyrzutem i mogę wyczytać z jej oczu: „I nic mi nie powiedziałas?”.

– Dopiero trzy miesiące, co to jest! – śmieje się ironicznie.

– Dobry początek, szanowna pani. – Ahmed mówi już stanowczym i chłodnym głosem.

– Ona nie ma nawet matury, co pan sobie wyobraża?! – podnosi głos.

– Mamo, on spotyka się ze mną i chce tylko pójść w moim towarzystwie na sylwestra, a nie, do jasnej cholery, od razu się żenić! – nie wytrzymuję, bo robi mi się strasznie głupio. – Rzeczywiście chodzimy ze sobą dopiero trzy miesiące i nie czas ani miejsce snuć jakiegoś dalekosiężnego planu na przyszłość. Ahmed chciał powiedzieć, że nie ma zamiaru mnie wykorzystać ani nic takiego.

– Pożyjemy, zobaczymy. – Matka z ironią wygina wargi w dół i patrzy na nas niechętnie. – Może zechcielibyście opuścić mój pokój, bo chciałabym trochę odpocząć.

– Koniec audyencji – szepczę i biorę Ahmeda pod rękę.

Wprowadzam go do mojego maleńkiego pokoiku. Praktycznie można siedzieć na łóżku i jednocześnie pisać przy biurku, tyle właśnie jest miejsca między tymi dwoma meblami, ledwo mieści się taboret. Wystroju dopełnia mała szafa na ubrania, ale też mam tylko parę rzeczy na krzyż: dzinsy, kilka podkoszulków, dwa sprane swetry, niemodną wyjściową sukienkę oraz galowy komplecik na szkolne akademie i egzamin maturalny. Siadamy na mocno wysłużonej kanapie, która pamięta jeszcze czasy mojego dzieciństwa.

– Jak ty tutaj, dziewczyno, możesz się pomieścić? – Ahmed obejmuje mnie ramieniem, rozglądając się jednocześnie dookoła. – Nie ma czym oddychać.

Wstaje, ściąga marynarkę, krawat i rozpina koszulę pod szyją.

– Wystarczy tego striptizu – śmieję się, bo okrutnie mi się podoba, szczególnie z tymi rumieńcami na twarzy.

– Uf, gorąco tutaj. – Jego oczy płoną dziwnym blaskiem. – Otworzę okno, dobrze?

Za chwilę siada na brzegu łóżka i czule chowa moje dłonie w swoich.

– Wiesz, że bardzo cię szanuję? – zaczyna. – U nas, jak facet myśli poważnie o dziewczynie, to nawet nie powinien jej pocałować. Ale to trochę staroświeckie zasady, niezbyt przestrzegane w mojej rodzinie. Jesteśmy dość nowoczesni na miarę kraju, w którym żyjemy. Choć tutaj i tak wydawalibyśmy się zaściankowi i jak z poprzedniej epoki.

– Do czego zmierzasz? – Ta rozmowa z mamą źle na niego wpłynęła.

– Chciałbym, żebyś wiedziała, że coś do ciebie czuję, bardzo głębokiego, nie chwilowego.

– Ja też – szepczę, siadając blisko i przytulając twarz do jego szyi. Czuję jego przyspieszony puls.

– Nigdy wcześniej do nikogo...

– Ja też – przerywam mu.

Patrzmy sobie głęboko w oczy, z trudem łapiąc oddech. Po raz pierwszy od momentu poznania całujemy się, najpierw nieśmiało i delikatnie, później namiętnie, z dziką pasją. Nagle tracimy równowagę i wpadamy na środek łóżka. Oboje mocno uderzamy głowami w ścianę.

– Ojjj... – krzyczymy, masując obolałe miejsca, i wybuchamy śmiechem.

– Tyle by było na dziś w temacie seksu. – Prawie płaczę z bólu i rozbawienia.

– Musimy kupić ci wieczorową suknię na bal sylwestrowy.

– Wiesz, nie za bardzo mam fundusze – wyznaję skrzępowana.

– Ty tylko wybierz i przymierz, a ja zajmę się resztą.

– Ja tak nie mogę, zrozum mnie – tłumaczę. – To tak, jakbyś był moim sponsorem, jakbym ci się sprzedawała.

– Ale przecież tak nie jest – oburza się. – Co sprzedajesz? Towarzystwo, uśmiechy?

– Mama potraktuje to jednoznacznie – jęczę zrozpaczona, bo tak bardzo chciałabym mieć nową sukienkę. – Nie powinnam...

– Co my z tym fantem zrobimy? – zastanawia się, drapiąc po dużym nosie. – Ha, już wiem! Kupimy sukienkę, ale ty jej nie dostaniesz. Przebierzesz się u mnie przed wyjściem na bal,

a po imprezie zostanie w moim mieszkaniu. Albo ją kiedyś odkupisz, jak się dorobisz, albo weźmiesz, gdy jakoś sformalizujemy nasz związek.

– Ty spryciarzu – wykrzykuję szczęśliwa i czochram go po czarnych włosach.

– No to na sklepy – zadowolony niczym mały chłopiec rusza biegiem, ciągnąc mnie za rękę.

Jak ja lubię świąteczną atmosferę. Nie tylko tę w domu, przy choince i pachnącym drożdżowym cieście, ale też cały zaczarowany świat, który otacza nas w tych dniach. Śnieg uporczywie prószy, trzyma lekki mróz, a na śliskich chodnikach można złamać nogę, lecz kto by się tym przejmował. Dookoła kolorowe lampki mrugają z choinek za oknami, w witrynach sklepów i na podwórkach. Zewsząd dobiegają dźwięki kołęd. Od dziecka chciałam, aby święta trwały wiecznie. Kierujemy się na przepięknie ozdobiony rynecek.

– Widziałem ładne kreacje w jednym z butików. – Ahmed przerywa moje rozmyślenia. – Sądzę, że coś tam dla siebie znajdziesz.

Znam te sklepy – najdroższe w całym mieście. Nigdy nie kupiłam tam ani jednej rzeczy, nawet chusteczki do nosa.

– Jesteś pewien? Tam jest dość drogo – próbuję pohamować jego zapędy. – Możemy obejrzeć coś w markecie.

– Zaufaj mi, ubrania należy kupować w sklepach, w których nie sprzedaje się kielbasy.

W butiku wszystko jest piękne. Błądzą jak dziecko we mgle i boję się czegokolwiek dotknąć, żeby nie zniszczyć czy nie pobrudzić.

– Ahmed, czyś ty oszalał?! – Odsłaniam metkę przy jednej ze zwykłych czarnych sukienek. – To już przesada! – szepczę oburzona. – Moja mama dostanie niższą emeryturę po ponad trzydziestu latach pracy! Kogo w naszej małej biednej mieścinie na to stać?!

– Ciebie – uśmiecha się.

– Chodźmy, póki jeszcze nikt się nami nie zainteresował, proszę. – Ciągnę go do wyjścia.

– Można panią prosić? – Ahmed podnosi rękę i wzywa sprzedawczynię. Przepadło. – Czy mogłaby pani coś doradzić tej młodej damie, bo jakoś na nic nie może się zdecydować.

– Oczywiście, ale na jaką to ma być okazję?

– Na najbliższą, na sylwestra – śmieje się Ahmed, patrząc na nią powłóczytym wzrokiem i taksując od stóp do głów. Po co on ją tak czaruje?! Dziewczyna biegiem zaczyna znosić błyszczące kreacje. Materiały albo są posypane brokatem, albo wyszywane cekinami, wszystkie w odblaskowych kolorach: różowym, pomarańczowym, nawet seledynowym.

– Ona chyba z mety określiła mój status. – Robię się wściekła. – Kpi sobie ze mnie? – mówię teatralnym szeptem i ekspedientka zamiera w pół kroku.

– To są najmodniejsze wzory i kolory, tak się chodzi, droga pani – tłumaczy. – Może nie u nas i nie na co dzień, ale...

– Potrzebuję kreacji na bal sylwestrowy na uniwersytecie – cedzę wyrazy przez zęby, żeby dokładnie zrozumiała. – Czy pani sądzi, że żona profesora mogłaby coś takiego założyć?! – podnoszę głos.

Ahmed rozkłada ręce, uśmiecha się pod nosem i obserwuje całą sytuację z boku.

– Od razu tak trzeba było – płaczliwym głosem usprawiedliwia się sprzedawczyni.

– Czy coś się stało? – Podchodzi do nas starsza elegancka kobieta. – Czy jesteście państwo niezadowolony z obsługi? Może ja będę mogła w czymś pomóc? – Wymownie patrzy na swoją pracownicę, a ta dosłownie maleje w oczach.

– Ja zaproponowałam pani najmodniejsze kreacje...

– Mylna ocena osoby albo profesji – mówię ostro, chcąc ją całkiem upokorzyć. – Idę z mężem na bal uniwersytecki, a ta pani proponuje mi ciuchy jak do burdelu – nie wytrzymuję.

– Bardzo przepraszam, to po prostu jej własny spaczony gust – usprawiedliwia się właścicielka, lustrując mnie przy tym ostrym wzrokiem. – Przy pani czystej i nienaganej urodzie oraz perfekcyjnej sylwetce wskazana jest tylko wysublimowana elegancja.

Bierze mnie protekcjonalnie pod rękę i prowadzi do przymierzalni.

– Teraz zajmie się panią profesjonalistka – obiecuje z błyskiem w oku. – Czy do kreacji dopasujemy dodatki: buty, torebkę, biżuterię? – Pytanie retoryczne. Nie mogę do nowej sukni ubrać moich starych, rozczłapanych czółenek, a najmniejsza torebka z mojej kolekcji jest wielkości chlebaka.

Po chwili zostaję zasypana tiulami, krepami, jedwabiem i satyną. Szefowa nie daje mi jednak nic przymierzyć. To rzuca okiem na sukienkę, to na mnie. W końcu wybiera jedną.

– Ta i żadna inna – mówi pewnym głosem i oczywiście ma rację.

Nie jest to wulgarnie kuse mini, lecz elegancka suknia do pół łydki, jednak z bocznym rozcięciem aż do uda. Plecy i dekolt są zasłonięte, ale tylko cieniutkim przezroczystym tiulem. Z tego samego materiału uszyto długie wąskie rękawy. Całość jest delikatnie stebnowana srebrną nicią.

– Teraz wyglądasz jak żona profesora. – Ahmed kpi z moich kłamstw. – Muszę chyba nim zostać, tylko że wtedy nigdy nie będzie mnie stać na taką kreację. – Wybucho śmiechem.

– Cicho, przestań – usiłuję go pohamować.

– Ale z ciebie niegrzeczna awanturnica, lecz podobało mi się. Z klasą. – Całuje mnie szarmancko w rękę. – Chciałbym, żebyś się ubierała w takich sklepach. Jesteś tego warta. – Poważnieje.

– Za dużo oglądasz reklam – śmieję się i ze zdziwieniem oglądam swoje odbicie w lustrze. Spogląda na mnie zupełnie inna osoba.

Wychodząc, z dumą i satysfakcją oglądam się za siebie i widzę pogardliwy wzrok i zgryźliwy uśmiezek jeszcze przed chwilą uroczej właścicielki butiku.

– Ahmed – szepczę, kuląc się w sobie ze wstydu. – Ta baba i tak uważa mnie za kurwę. Ona się tylko tak zgrywała, żeby wyciągnąć kasę.

– Ależ ty jesteś dziecko. Oczywiście, że cię nie szanuje. W jej oczach więcej byś była warta, gdybyś przyszła tutaj z zapijaczonym artystą lub członkiem mafii wołomińskiej w dresie.

– Ale była taka miła... – nie mogę uwierzyć.

– Kochanie, pieniądze czynią cuda – zawiesza głos. – Ale nie mogą spowodować, żeby cię ktoś pokochał lub szanował. Dorośnij. Takie życie.

Pierwszy raz jestem na takim balu. Czuję się jak przeniesiona w kadr amerykańskiego serialu o Carringtonach bądź jakichś innych bogaczach czy ludziach z wyższych sfer. Panie hrabio, powóz zajechał... Biedne brzydkie kaczątko lub usmolony Kopciuszek wchodzi na salony i urzeka wszystkich swoją prostotą i naiwnością. Książę się w niej zakochuje, a potem żyją długo i szczęśliwie.

Marmurowa posadzka, długie stoły nakryte białymi obrusami i zastawione porcelaną, papierowe lampiony dające delikatne światło, na parkiecie zaś migające lampy disco – wszystko to zapiera mi dech w piersiach. Po północy niestety całość zaczyna szarzeć i wracać do rzeczywistości.

– Już robi się późno. – Ahmed nachyla się do mojego ucha i przekrzykuje muzykę i wzmagający się gwar. – Zaraz wszyscy powpadają pod stoły i nie będzie już tak przyjemnie.

– Ale się popili – szczerze się dziwię. – Takie wykształcone i eleganckie towarzystwo.

– To chyba u was taka tradycja narodowa – uśmiecha się półgębkiem.

– To wcale nie jest śmieszne – mówię rozzłoszczona. – Raczej żenujące.

– Dla mnie również, więc może chodźmy już, żeby sympatycznie zakończyć wieczór –

namawia mnie. – Mam jeszcze szampana w lodówce.

– A ja chciałam, żeby ten bal trwał wiecznie. – Rozżalona, nie słyszę jego ostatnich słów.
– Że co? – Z opóźnieniem, jednak do mnie docierają. – To jakaś zuchwała propozycja czy prowokacja? – Kokieteryjnie spoglądam mu w oczy.

– To oferta na kontynuację zaszarowanego wieczoru w nieco odmiennej atmosferze – mówi ze ściśniętym gardłem.

Czuję ogarniające mnie podniecenie i widzę ogień w jego oczach.

– Na co jeszcze czekamy? – Chwytam go za rękę i prawie biegiem przepychamy się do wyjścia.

Mieszkanie jest piękne – duży salon, wygodna sypialnia z garderobą, nowoczesna kuchnia i jasna przestronna łazienka z trójkątną wanną. W salonie na małym stolyczku stoi choinka z czerwono-złotymi dekoracjami. Lampki delikatnie mrugają, dając ciepłe, przyćmione światło.

– Czyżbyś zaczął obchodzić nasze chrześcijańskie święta? – żartuję.

– Chcę je spędzać z tobą – mówi cicho, zabierając ode mnie płaszcz. – Są takie uroczyste i piękne.

– Wasze na pewno też.

– Nie tak kolorowe i pełne muzyki. Choć na urodziny proroka także świątecznie przybieramy drzewka i świecimy lampki. To taka nasza islamska wigilia.

– Poważnie? Nie wiedziałam – dziwię się.

– W ten sposób obchodzimy to święto od niedawna. Chyba nie chcieliśmy być gorsi od was – śmieje się i sadza mnie na skórzanej wygodnej sofie.

– Dobrze, że stamtąd wyszliśmy. Mimo nieciekawej końcówki cały bal był cudowny. Dziękuję ci.

– Teraz tylko takie chwile będą w twoim życiu.

Idzie do kuchni i przynosi oszronioną butelkę szampana. Z kredensu wyciąga kryształowe błyszczące kieliszki.

– Za ten nowy wspaniały rok. Oby spełniły się twoje najskrytsze marzenia. – Pochyla się w moją stronę z napełnionym szkłem.

– Właśnie się spełniają – szepczę i daję mu do pocałowania rozchylone usta.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że tego chcę i że ten mężczyzna jest właśnie tym jednym jedynym, wymarzonym księciem z bajki.

Ahmed bierze mnie na ręce i zanosí do sypialni. Przytłumione światło rzuca blask na wielkie łóże. Powoli ściąga ze mnie piękną wieczorową suknię, tak jakby nie chciał jej uszkodzić lub pragnął przedłużyć tę chwilę w nieskończoność. Znowu brakuje mi tchu i kręci mi się w głowie. Płonę z namiętności i najchętniej rzuciłabym się na niego w dzikim szale. On zaś delikatnie całuje moją szyję i podąża w pieszczotach w dół. Zostawia na mnie stanik i majtki i jak na zwolnionych obrotach zdejmuje marynarkę i zaczyna rozpinać koszulę. Za chwilę zwariuję albo eksploduję! Gwałtownie siadam i targam ją na boki. Guziki pryskają na wszystkie strony.

– Tygrysyco! – chrapliwie dyszy. – Aż się ciebie boję.

Ciężko pada na mnie i mocno, aż do bólu, ściska moje delikatne dziewczęce piersi. Jęczę z rozkoszy i przejeżdżam paznokciami po jego plecach. Jak przez mgłę słyszę jego zdławiony krzyk. W dzikim szale zrywamy z siebie pozostałe ubranie. Nasze nagie ciała ocierają się i splatają, chłoniemy siebie nawzajem. Czuję jego drżące, lecz mocne palce w moim gorącym, wilgotnym dołku. Nagle coś wielkiego i twardego rozrywa mi krocze. Instynktownie spinam się w sobie i wydaję nieartykułowany, przenikliwy dźwięk, ni to pisk, ni skowyt.

– Docia! – Ahmed zamiera. – Ty jesteś dziewczą?! – mówi zszokowany i zakłopotany.

– A jak myślałeś? Sądziłeś, że masz do czynienia z jedną z pubowych panienek? – gardłowo szepczę, gryząc z namiętności palce.

– Ale... To trzeba celebrować – tłumaczy zaniepokojony, podnosząc się na łokciu i próbując odsunąć ode mnie.

– Ahmed, właśnie to robimy. Jestem gotowa i bardzo tego pragnę. – Zarzucam mu ramiona na szyję, przyciągam do siebie i mocno chwytam zębami jego ucho.

– Kocham cię, moja blond królewno – czule szepcze.

Zaciskam oczy i wtulam się w jego szyję. Próbuje mnie uciszyć, kładąc spoconą dłoń na ustach. Jak to boli! Moje koleżanki opowiadały, że to nic takiego, nic nie czuły, żadnej krwi i cierpienia. Ja to zawsze mam pecha. Łzy spływają mi ciurkiem z kącików oczu. Ahmed wychodzi ze mnie, zostawiając ból i ogień w moim wnętrzu. Cała się trzęsę. Przytula mnie jak porcelanową lalkę i delikatnie obcałowuje całą twarz, włosy i palce dłoni, jeden po drugim.

– Przepraszam, czuję się jak rzeźnik – usprawiedliwia się i widzę przerażenie i skrucę w jego oczach.

– Nie sądziłam, że to takie mało przyjemne – pochlipuję. – To ja przepraszam, ze mną tak już jest. Same kłopoty.

– Dociu, właśnie tego pragnę, na zawsze.

Ostrożnie mnie podnosi i kieruje się do łazienki. Napuszcza do wanny ciepłą wodę, wlewa relaksujący olejek i kładzie mnie wśród aromatycznej piany. Kąpię się w trójkątnej wannie. Powoli napięcie i ból mijają, zaczynam głębiej oddychać, czuję odprężenie ogarniające całe ciało. Ahmed zapala kolorowe wonne świece i ustawia dookoła. W sypialni włącza płytę z łagodną muzyką i wraca, niosąc kieliszki napelnione szampanem.

– Wypijmy za nas – wznosi toast.

Siada na podłodze i opiera łokieć o brzeg wanny. Patrzy na mnie zakochanym wzrokiem i jest bardzo poważny.

– Chodź tutaj do mnie. – Przesuwam się, robiąc mu miejsce.

Obejmujemy się i pijemy pysznego szampana. Ociekający wodą wracamy do sypialni. Tym razem kochamy się długo i powoli, aż stajemy się jednym ciałem i jedną duszą. Dopiero teraz czuję, jak potężne uczucie przepelnia moje serce. Nie jest to już zwierzęca, dzika namiętność, lecz głęboka miłość, taka na całe życie.

– Moja i tylko moja, na wieki, najukochańsza Docia – o świcie cichutko wyznaje mój mężczyzna i zapada w głęboki sen.

– Tak, moja pannico, postępować nie będziemy – tymi słowy matka wita mnie w nowym roku. – Jak ty wyglądasz?! – krzyczy.

– Mamo, bawiliśmy się do białego rana, jestem niewyspana. Teraz chciałabym trochę odpocząć. – Kieruję się do mojej norki.

– Ja wiem, z kim spędziłaś całą noc, ale spójrz na swoją twarz! Jak ty jutro pójdziesz do szkoły?!

Do tej pory nie miałam czasu nawet zerknąć w lusterko, bo spóźniłabym się na ostatni pociąg. Nie wiem, jak wyglądam, ale mam to gdzieś. Moja dusza i ciało nadal są gdzie indziej. Wlokę się do łazienki, omijając rozjuszoną matkę. Staję przed lustrem. Rzeczywiście kiepski widok. Wargi mam napuchnięte jak Angelina Jolie, wory pod oczami mogłyby świadczyć o nadmiernym spożyciu napojów wysokoprocentowych, a na domiar złego na mojej szyi maluje się cała sieć czerwonych „malinek”. Ciężko to będzie zatuszować, ale teraz nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Idę spać.

– Czy można przyprowadzić na studniówkę kogoś spoza szkoły? – pytam nauczycielkę na lekcji wychowawczej.

– Tak, oczywiście, w końcu to wasze święto, wasz bal.

Wszystkie dziewczyny w klasie piszczą z radości, podskakują w ławkach i klaszczą w dłonie.

– Wiecie, co jest surowo zabronione? – Belferka zadaje retoryczne pytanie, kiwając ostrzegawczo palcem. – Pamiętajcie, żadnego przynoszenia alkoholu. Jeśli ktoś złamie zakaz, butelka zostanie zarekwirowana, a może nawet dojść do tego, że zaproszona przez was osoba nie zostanie wpuszczona do szkoły. To są środki ostrożności, które podejmujemy z myślą o was, żebyście się dobrze bawili.

– Ale głupia cipa – słyszę wypowiedź Joli, która siedzi za mną. – Już dawno mamy ustalone, że gorzałę wnosimy w pudłach z żarciem. A potem szukaj wiatru w polu – śmieje się.

– To niebezpiecznie, po co ryzykować? – szepczę przerażona ich pomysłem.

– Ty, księżniczko, nie odzywaj się, bo co ty możesz wiedzieć o życiu i dobrej zabawie – kpią ze mnie. – Idź do swojej mamuni i zamknij się w domu do końca życia.

Już nic nie mówię. Zaprosiłam Ahmeda na bal, ale ani ja, ani on nie jesteśmy do końca przekonani, czy to dobry pomysł. Wolałabym pojechać do Poznania i spędzić weekend u niego. Ale jakby sprawa wyszła na jaw, mama na pewno wyrzuciłaby mnie z domu.

Ahmed przywozi moją piękną wieczorową suknię. Mama jeszcze o niczym nie wie, ale nawet mnie nie zapytała, w czym i z kim idę. Zapewne myśli, że ubiorę stary szkolny strój, spraną białą bluzkę i granatową przykusą spódniczkę, i że jak zawsze będę podpierać ściany.

Przed szkołą spotykamy się z Goską i Ulą, moimi jedynymi koleżankami, oraz ich chłopakami. Dziewczyny są w szoku. Ahmed prezentuje się imponująco – w czarnym długim kaszmirowym płaszczu wygląda jak amant filmowy.

– Gdzieś ty go dopadła? Skąd taki gość u nas w miasteczku? – szepczą.

Chłopcy nie okazują zbytniego zadowolenia i podziwu, ale witają się uprzejmie.

Przy wejściu zebrał się mały tłumek. Wszyscy są pobieżnie sprawdzani przez dwie surowe nauczycielki. Gdy podchodzimy, zaprzyjaźnione pary przechodzą bezproblemowo, my zaś zostajemy zatrzymani.

– Co to jest, Dorota? – pyta nauczycielka matematyki.

– Nie rozumiem. Wychowawczyni powiedziała, że można przyprowadzić kogoś z zewnątrz – nerwowo tłumaczę.

– Ale to nie kolega z innej szkoły – zauważa rozzłoszczona belferka.

– Ponoć nie ma granicy wiekowej gości. Jeszcze nie jest na emeryturze – odburkuję.

– Ty mi tutaj nie pyskuj, gówniario!

Tłumek za nami zaczyna się denerwować. Wszyscy marzną i chcieliby już znaleźć się w środku.

– Co się tutaj dzieje? – Nagle jak spod ziemi wyrasta dyrektor szkoły.

– Ta mała z czwartej A przyprowadziła sobie tego gościa. – Z pogardą wskazuje Ahmeda.

– Cóż, pan jest cudzoziemcem. – Dyrektor mówi grzecznie, ale spogląda spod oka. – Nie wiem, czy będzie możliwe...

– Mieszkam w waszym kraju, mam kartę stałego pobytu. – Ahmed w końcu włącza się do rozmowy. – Jestem na studiach doktoranckich w Poznaniu. Czy to stanowi jakiś problem?

– Proszę dać tę kartę. – Dyrektor zrezygnowany patrzy na koleżanki. – Otrzyma ją pan przy wyjściu.

– Wchodźcie już! – krzyczą oczekujący za nami uczniowie. – Ile można!

– Z drogi, z drogi, żarcie idzie! – Pojawiają się ogolone łby, moi koledzy ze szkoły. W kartonach wnoszą oczywiście hektolitry wódki i nikt nie ma zamiaru ich sprawdzać.

– Co masz w torbie? – W ostatniej chwili nauczycielka chwyta moją reklamówkę i prawie

mi ją wyrywa.

– Buty na zmianę – tłumaczę, zaciskając zęby.

W końcu przechodzimy. Nieciekawie się zaczyna.

– Nie powinienem był przychodzić – szepcze Ahmed, blady z wściekłości.

– Miałabym tutaj być sama? Chyba żartujesz? Też bym wolała siedzieć w domu, twoim, w Poznaniu – uśmiecham się kokieteryjnie i biorę go mocno pod rękę. Czuję na sobie wzrok obserwujących nas ludzi. Wszyscy się gapią, a po chwili zaczynają szeptać. Moja matka jest oburzona. Taksuje wzrokiem przede wszystkim moją sukienkę. Bierze mnie za ramię i odciąga od Ahmeda.

– Takiego wstydu to nasza rodzina nigdy jeszcze nie przeżyła. Że też mnie to musiało spotkać. – Wbijają mi paznokcie w ciało i prawie miażdżą rękę.

– Fakt, że ojciec zostawił cię z małym dzieckiem, odchodząc z dwadzieścia lat młodszą siksą, nie był wystarczającym wstydem? – Wyrywam się z jej uścisku i przyłączam do mojego chłopaka i grupy znajomych.

– Długo już tutaj jesteś? – pyta Ahmeda ciekawska Gośka.

– Cztery lata. Najpierw uczyłem się języka, a potem studia. W czerwcu mam obronę – zeznaje jak na przesłuchaniu.

– To niedługo wyjeżdżasz? – stwierdza jakby z ulgą.

– To nie jest powiedziane, jeszcze nie wiem. – Ahmed wymownie na mnie patrzy.

Rumienię się.

– A gdzie się poznaliście? – teraz Ula zaczyna inwigilację.

– Pamiętacie moje urodziny? Jak olaliście mnie i zniknęliście w tłumie? – pytam z przekąsem.

– To tam, w pubie? – dziwią się. – W takim razie jeszcze powinnaś nam podziękować, a nie wściekać się. Dzięki nam wyrwałaś sobie gościa. W końcu.

– Dobra, dobra. Zmieńmy może temat. Głodna jestem, kiedy będzie można coś przekąsić?

– Kto to wie – wzdychają. – Jeszcze czekają nas przemówienia, polonez, a później, jak już ludzie zaczną mdleć z głodu, łaskawie pozwolą nam coś zjeść.

– Nuuudy – jęczymy zgodnie.

Przebrnęliśmy przez część oficjalną i w końcu można zacząć się bawić. Rodzice i pedagodzy zaszywiają się w pokoju nauczycielskim, dając nam trochę swobody. Młodzież nie tyle rzuca się na jedzenie, ile na alkohol. Jest go oczywiście pełno.

– Mówiłaś, że nie wolno? – zaskoczony Ahmed wskazuje głową młodych ludzi pijących wódkę z plastikowych kubków.

– Czy nie widzisz, że są mocno spragnieni, muszą się napić – kpiąco się uśmiecham.

– Ale przecież zaraz będą pijani w sztok. I łamię zakaz, to się może dla nich źle skończyć.

– Tak to już u nas jest. Bez wody nie ma zabawy.

– Wy Polacy! – Ahmed z niedowierzaniem kręci głową. – Woda i łamanie przepisów!

Czy wiesz, że jesteście z tego znani na całym świecie? To taka wasza wizytówka.

– Czy chcesz kogoś tutaj obrazić? – pytam wściekła. – Mnie się to również nie podoba. A czy wiesz, z czego znani są Arabowie? Na całym szerokim świecie? – docinam mu.

– Lepiej zmieńmy temat – mówi chłodno, unikając mojego wzroku. – Kiedy będzie można już wyjść? Źle się tutaj czuję.

– Chodź, znajdziemy płaszcz i zmywamy się. – Robię niezadowoloną, obrażoną minę.

Ani nie potańczyliśmy, ani nie pogadaliśmy z ludźmi, ani nic nie zjedliśmy. Co to za bal?!

– Nie chcę robić ci przykrości. – Ahmed zawraca mnie w pół drogi. – Idziemy potańczyć.

Na środku sali gimnastycznej, na dzisiejszy wieczór przerobionej na taneczną, podskakują jakieś łyse oszołomy. Oni chyba zaczęli pić już dużo wcześniej, bo ledwo trzymają się na nogach.

– Ojej! – mówimy jednocześnie, patrzymy na siebie i wybuchamy śmiechem.

– Co wam tak wesoło? – Podchodzi do nas grupa potężnie zbudowanych chłopaków. Znam ich jedynie z widzenia, są z sąsiedniej klasy. Wszyscy w szkole się ich boją, włącznie z nauczycielami.

– Jesteśmy w końcu na imprezie – odpowiada Ahmed, spinając się w sobie.

– To musimy za to wypić – mówi jeden z nich, wyciągając flaszkę najpodlejszej wódki. Chłopak wygląda strasznie, jak Bruce Banner po transformacji w Hulka; mięśnie wyhodowane zapewne na sterydach rozsadzają mu marynarkę, twarz ma pokancerowaną, nad jedną brwią długi, nierówny szew, oczy zapuchnięte i nieprzytomne. Strach dosłownie mnie paraliżuje.

– Dziękuję, ja wódki nie piję – próbuje się wykręcić słabym głosem Ahmed.

– Może nie chcesz z nami? Co?! – groźnie podnosi głos mięśniak. – Nie jesteśmy wystarczająco dobrzy dla jaśnie pana brudasa.

– Słuchajcie, dajcie mu spokój – interweniuje. – On jest muzułmaninem, a tacy alkoholu nie piją – tłumaczę.

Trzymając się za ręce, zaczynamy się wycofywać. W końcu za plecami mamy już tylko ścianę.

– Ty, puszczańska, nie bądź taka mądra! – Jeden z nich, ten najgorszy, bierze mnie pod brodę i podnosi ją do góry. – Nieraz widziałem Arabusa uchlanego jak meserszmit. Takie fałszywe gnoje, udają wstrzemięźliwość, a po cichu golą wódkę, ile wlezie. Może potem bomby łatwiej się podkłada? – Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Co tam się dzieje? – słyszę głos nauczycielki i oddycham z ulgą.

– Pani profesor! – krzyczę w jej stronę. – Proszę tutaj przyjść!

– O co chodzi? – pyta niezadowolona, stając pomiędzy nami i taksując wzrokiem Ahmeda. – Chcielibyśmy pójść na górę coś zjeść – kłamię, bo boję się odwetu. – Czy można już zaczynać? – pytam jak idiotka, bo przecież stoły stoją na środku korytarza i idąc tutaj, musiałam je minąć. Były obłożone przez wygłodniałych balowiczów.

– Chyba całkiem już jesteś pijana. – Nauczycielka obraca się na pięcie i prawie wybiega z sali, a my za nią. Uff, uratowani! Grupa osiłków śmieje się głośno.

– Ty, blondyna, jeszcze się spotkamy! – krzyczy w naszym kierunku ich lider, na pożegnanie machając ręką.

Wpadamy na pierwsze piętro i wtapiamy się w tłum przy stołach.

– Zjedzmy coś zatem. – Pobladły Ahmed mocno trzyma mnie za spoconą z nerwów rękę. – A potem zaraz się zmywamy. Nie chcę tutaj zostawać ani chwili dłużej, tym razem naprawdę już mam dość.

– To może od razu chodźmy na kolację do restauracji? – proponuję.

– Bez przesady! Będziemy wyrzucać pieniądze, jak tutaj jest takie pyszne domowe jedzenie? Nonsens.

Bierzemy talerze i nakładamy sobie z górką. Jestem przewodnikiem Ahmeda i mówię mu, gdzie jest wieprzowina, a co może bezpiecznie zjeść.

– Hej, jak się bawicie? – Podchodzi do nas grupka dziewcząt i chłopców z mojej klasy.

– Dzięki, w porzo – odpowiadam z pełnymi ustami.

– A macie co pić?

– Tak, pepsi i soków jest w bród.

– Nie żartuj sobie, dalej chcesz być dzieckiem, nawet na studniówce? – kpią ze mnie.

– Ale mnie to odpowiada – zaczynam się jeżyć.

– Może twojemu orientalnemu panu marzy się coś innego? – Jeden z kolegów wyciąga flaszkę z wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Bardzo dziękuję, ja nie piję – ponownie tłumaczy się Ahmed.

– Abstynent czy zaszyty? – Znow zaczynają się kpinki.

– Chłopaki, naprawdę dzięki, chcielibyśmy w spokoju zjeść – staram się ich splawić, bo zaczynają mi działać na nerwy.

Robi się jakieś zamieszanie, lecz cały widok zasłania nam otaczająca nas grupka.

– Potrzyмай na chwilę. – Koleżanka z klasy, ławka pod oknem, wciska Ahmedowi do ręki plastikowy kubek wypełniony cuchnącą alkoholową miksturą.

W tym momencie wszyscy obracają się do nas plecami i rozstępują na boki, my zaś stoimy oko w oko z dyrektorem szkoły i nauczycielką od matematyki. Są tam także moja matka i wychowawczynie.

– Co pan tutaj sobie sączy? – pyta dyrektor z niezdrowymi wypiekami na twarzy.

– To nie moje, jakaś dziewczyna dała mi do potrzymania – tłumaczy mocno zaniepokojony Ahmed.

– W takim razie niech pan mi to odda. – Dyrektor wrywa mu kubek z ręki i wacha zawartość. – Wie pan, że pańskie tłumaczenie jest żalosne? Nie moje! Ha! – wykrzykuje, a dookoła nas zaczyna się gromadzić tłum ciekawskich nastolatków.

– Ale tak jest, nie muszę zmyślać! – Ahmed oponuje zdecydowanym głosem.

– Łamie pan przepisy i teraz jeszcze na dokładkę głupio kłamie. – Dyrektor toczy wzrokiem po zebranych. – Cóż, taka zakłamana nacja – stwierdza na koniec.

– Co pan ma na myśli? – Ahmed odkłada na stół swój talerz z jedzeniem.

– To, co wszyscy wiemy. Przyszedł pan tutaj, żeby deprawować naszą polską młodzież.

– Chyba pan żartuje, tutaj wszyscy są pijani! – Ahmed nie wytrzymuje i podnosi głos. – To sodoma i gomora! Nie można zepsuć czegoś, co jest zepsute.

– Dość tego! – Dyrektor wymachuje rękami, jakby chciał go uderzyć. – Nie jest pan tutaj mile widziany. Zrozumiano?!

– Nie będzie mnie pan obrażał! Nie pozwolę na to. – Ahmed robi się dosłownie popielaty i zanosí się na coś bardzo niedobrego.

– I co pan robi?! Może wezwiemy policję? Od razu cię deportują na rodzime piaski, nie będą się patyczkować.

– Niech pan wzywa, tylko proszę powiedzieć, żeby przywieźli ze sobą alkomat. Najpierw ja dmuchnę, a potem pan.

– Coooo?

– Wtedy się okaże, kto deprawuje młodzież. No już, na co pan czeka? – Ahmed uśmiecha się z przekąsem.

– Wynocha mi stąd! – Dyrektor charczy ze złości i wygląda, jakby miał zaraz eksplodować. Wręcza Ahmedowi jego kartę pobytu i popycha go w kierunku drzwi. – A ty, dziewczyno, albo sobie zmień chłopaka, albo szkołę – zwraca się do mnie na pożegnanie.

Wybiegamy, nie oglądając się za siebie. Na zewnątrz pospiesznie zakładamy płaszcze, trzęsąc się nie tyle z mrozu, ile z oburzenia. Nie odzywamy się ani słowem, chce mi się płakać. Ahmed, nie patrząc na mnie, kieruje się prosto do mojego bloku. Panuje przenikliwe zimno, chodnik pokrywa cienka warstwa lodu, a powietrze jest nasycone wilgocią. Na ścieżce jest ciemno – jak zwykle większość ulicznych lamp została rozbita przez osiedlowych chuliganów. Po plecach przebiega mi dreszcz. Z zaułka napływają przytłumione rozbawione głosy. Jakaś grupa zbliża się w naszym kierunku, już mogę rozpoznać pojedyncze sylwetki i z przerażeniem

odkrywam, że jest ich czterech lub pięciu i że to te same typki, które zaczepiały nas na sali gimnastycznej. Że też jeszcze są w stanie utrzymać się na nogach!

– Hej, lala! – zainteresowali się nami, lecz staramy się ich zignorować. Trudno ich będzie ominąć, bo ustawiają się w poprzek wąskiej osiedlowej dróżki. – Mówi się do ciebie, zdziro!

– Jednak znów się spotykamy. – Największy z nich staje przede mną. – Patrzcie państwo, jaki zbieg okoliczności. – Pochyla się do przodu i chwyta za brzuch, niby ubawiony sytuacją, a jego koledzy wtórują mu obrzydliwym wulgarnym śmiechem.

Omijam go wzrokiem i usiłuję wykonać krok w stronę oszronionego trawnika, lecz w tej chwili czuję ucisk w dole brzucha. Napastnik potężną łapą chwyta mnie za kroczę.

– Może inni też by chcieli skorzystać?! – wybucha zdławionym wulgarnym rechotem, a cała reszta wyje z uciechy. – Co, tylko obrzezanemu dajesz?

– Kolego, proszę nas zostawić, nic ci nie zrobiliśmy. – Ahmed blady jak trup grzecznie zwraca się do bandziora, usiłując jednocześnie go ode mnie odciągnąć.

– A co niby wy moglibyście mi zrobić? – Oprawca puszcza mnie i dla odmiany chwyta Ahmeda za poły płaszcz. – Wy możecie nas jedynie w dupę pocałować. – Ostrzegawczy chichot dobywa się z gardeł napastującej nas grupy. Zacieśniają krąg i widzę, że nie ma dla nas ucieczki. Czuję smród przetrawionego alkoholu i tanich papierosów.

– Przecież jesteśmy z tej samej szkoły, koledzy, co wyprawiacie – prawie jęczę. – Puśćcie nas, chcemy wrócić do domu. – Jestem bliska płaczu.

– Do domu... Ha! Żeby się gzić z tym Arabem?! Może my ci pokazemy, jak to się naprawdę robi? A on sobie popatrzy i czegoś się nauczy.

– Dość tego, bo wezwę policję. – Ahmed nie wytrzymuje i sięga do kieszeni po komórkę.

– Ja ci dam policję! – Zbir niespodziewanie wyprowadza prawy sierpowy i Ahmed leży jak długi na poszczerbionych chodnikowych płytach.

– Nie zadzieraj ze mną, ty gówniarzu! – Błyskawicznie zrywa się na nogi, zrzuca płaszcz i wykonuje kop w brzuch przeciwnika. Ten zaskoczony przyjmuje cios jak worek kartofli, jednak już po chwili prostuje się, przez chwilę niepewnie chwieje się na nogach i toczy dookoła takim wzrokiem, że wszyscy, włącznie z jego kolesiami, wstrzymują oddech.

– Nie wiesz, z kim zadzieras – syczy. – Nie masz pojęcia, brudasie.

Ahmed, uginając kolana, staje w lekkim rozkroku. Słyszę dudnienie mojego serca i sapanie podekscytowanych mężczyzn, otaczających nas coraz ciasniej. Kątem oka zauważam błysk w dłoni wielkiego rozjuszonego bydlaka, potem jak na zwolnionych obrotach widzę zamach ręką zataczającą szeroki łuk w stronę Ahmeda, który odskakuje, jednak nie dość daleko. Pada z charkotem na ziemię. Teraz już dokładnie widzę nóż w rękach oprawcy. Nikt nie wydaje najmniejszego dźwięku, wszyscy zamarli, jakby zatrzymani w kadrze.

– Aaaa!!! – Rzucam się na kolana i macham rękami, bo nie mam pojęcia, co robić. Krew strumieniami wypływa z szyi mojego ukochanego, oczy wychodzą mu z orbit, a brodę usiłuje jak najmocniej docisnąć do klatki piersiowej i oburącz zatamować krwawienie. Ściągam szal i kładę na jego rękę, tak jakbym nie chciała widzieć krwi przeciekającej mu między palcami.

– Ty łachudro! – Rzucam się na wielkiego chłopca, który jakby zaskoczony swoim czynem, stoi z rozdziawioną gębą i ociekającym krwią nożem. – Ty morderco! – drę się wniebogłose i okładam go pięściami po opuchniętej od alkoholu twarzy. – Pójdiesz siedzieć i nie wyjdiesz! Pomocy! – krzyczę, obracając się w kierunku czarnych okien. Gdzieniedzie widzę odchylającą się firankę, co daje mi nadzieję na ratunek.

– Sama się prosiłaś, suko! – Uderza mnie swoją wielką dłonią i łąduję niedaleko Ahmeda, który dogorywa, zwinięty w kłębek. Chwytam się za piekący policzek, a ból rozsadza mi głowę, którą uderzyłam o chodnik. Po chwili widzę nad sobą wielki cień, który zasłania słabe światło

sączące się z odległej latarni.

– No i co, księżniczko? – dyszy mi prosto w twarz. – Za chwilę będziesz pierdoloną księżniczką. – Ze strachu nie jestem w stanie złapać tchu. – Róbcie zapisy, który będzie następny – zwraca się do pozostałych.

– Dawaj, dawaj, bo nam wszystkim tu z tego mrozu poodpadają.

Chwyta mnie wielkimi łapskami i ciągnie w swoim kierunku. Wiję się jak piskorz, lecz jestem całkowicie bezbronna. Rozerwany płaszcz zwisa po obu stronach mojego szczupłego, trzęsącego się ciała. Przed napastnikiem chroni mnie jedynie cieniutka sukienka. Odpycham go rękami, biję i drapię po twarzy, wydając przy tym szaleńcze dźwięki.

– Taka z ciebie kocica. – Jeszcze bardziej podniecony chwyta za sukienkę i rozdziera ją wzdłuż rozcięcia aż do samej góry.

– Ty skurwysynu! – wpadam w szal, bo zniszczył najpiękniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek miałam.

Zwijam się w kłębek i kopię go gdzie popadnie ostrymi obcasami. Oczywiście nic to nie daje i napastnik, chwytając mnie za nogi, obraca na brzuch. Trzaskają rozrywane rajstopy i majtki i wiem, że za chwilę będzie po mnie. Twarz mam przygniecioną do lodowatej ziemi i skierowaną w kierunku Ahmeda. Patrzy na mnie półprzymkniętymi oczami, wygląda, jakby już nie żył. Teraz jest mi wszystko jedno, nie próbuję się nawet bronić. Nagle widzę, jak mój chłopak zagryza dolną wargę i ostatkiem sił stara się przesunąć w moją stronę.

– Ratunku! – drę się na całe gardło. Teraz nie ma mowy, żeby mnie nie usłyszano. – Pomocy, ludzie, mordują! Ratunku! – Może jeszcze nie wszystko stracone, może jeszcze uda się przeżyć.

Wielkie łapy oprawcy chwytają moją głowę i walą nią o betonowe płyty. Czuję smak krwi w ustach i nie rozumiem, czemu nie dociera do mnie ból.

– Stary, nie przeginaj, daj spokój. – Kumple łapią napalonego zbira za ramiona i ciągną za sobą. – Przemo, spadamy, nie pójdziemy siedzieć za jakąś byle kurwę i brudasa. – W panice przyspieszają kroku, bo całkiem niedaleko słychać policyjne syreny i karetkę.

– Ja tę szmatę jeszcze zaliczę! – głośno odgraża się bandzior.

– Dot – jak przez mgłę słyszę słaby szept Ahmeda. – Nie mów policji, że go znasz, że to twój kolega ze... – przerywa, szpatmatycznie łapiąc oddech.

– Daj spokój. – Podczołguję się i delikatnie opieram twarz o jego zakrwawione ramię. – Teraz nie myśl o tym. – Strzępami płaszcza zasłaniam gołe nogi i pośladki. – Złapią zbója i nie wyjdzie z pierdła...

– Mówię nie! – charczy, ostatkiem sił próbując podnieść się na łokciu. – Dostanie dwa lata w zawieszeniu, posiedzi może pół roku i wyjdzie. Ani się obejrzy, jak znów będzie wolny. Rozumiesz!?

– Nie, nie rozumiem – przyznaję przerażona, układając go z powrotem na zamrożonej ziemi. Tuż za naszymi plecami słychać podniesione głosy funkcjonariuszy.

– Nie szkodzi. Ja to chcę załatwić po swojemu – resztką sił kontynuuje Ahmed. – Nie mów...

Dwóch pielęgniarzy kładzie go na noszach, następnie, nie oglądając się za siebie, biegiem zmierzają do karetki. Błyskawicznie zapala się kogut i pogotowie z wyciem odjeżdża. Zostaję sama.

– Co to było, kto to był?! – podniesionym głosem pyta gliniarz, nie dając nawet czasu, aby mnie opatrzone. – Czy poznała pani kogoś? – naciska.

– Nie... To jacyś obcy, nie od nas – kłamię jak z nut i padam zemdlna na ziemię.

Nie wiem, czy mija dzień, czy tydzień. Czuję tylko przeszywający ból głowy i nieznanne

mi wcześniej osłabienie, jakby uszło ze mnie całe powietrze. Wciąż wracają do mnie obrazy tamtej nocy. Gdy otwieram oczy, widzę zatroskaną twarz mamy, fragmenty szpitalnych sprzętów, białe kitle i znów wszystko zasnuwa mgła.

– Co z nim? – brzmia pierwsze słowa, które jestem w stanie wyartykułować.

– Dobrze, dobrze – uspokaja mnie mama. – Odpoczywaj, nabieraj sił. Nie zawracaj sobie teraz głowy głupotami.

Co ona mówi?! To najważniejsza sprawa w moim życiu, najukochańszy człowiek, a ona wszystko tak bagatelizuje. A może on nie żyje, a matka nieudolnie próbuje to przede mną ukryć? Wykorzystując moment, że na chwilę wychodzi, obolała zwlekam się ze szpitalnego łóżka i krok za krokiem, trzymając się ściany, przechodzę na oddział intensywnej terapii. Nikt mnie nie zatrzymuje, bo przecież widać, że jestem pacjentką. Trudno by było mnie teraz rozpoznać – głowa zabandażowana, opuchnięta twarz z czarnymi wybroczynami pod oczami i podrapanym, posiniaczonym nosem.

– Przepraszam panią – zwracam się do pielęgniarki w recepcji oddziału. – Nie wiem kiedy, ale przywieziono tutaj mojego chłopaka, Ahmeda Salimi, Araba... – Z trudem łapię powietrze, spodziewając się najgorszego.

– A... to ten z poderżniętym gardłem? – wesolutko pyta. – Gdzieżeście się włóczyli, że was takie zbiry dopadły?! – pyta zaciekawiona, bo to przecież sensacja na miarę naszej mieściny, w końcu coś się dzieje.

– Wracaliśmy do domu – tłumaczę, ledwo trzymając się na nogach. – Innej drogi nie było. – Białymi palcami chwytam się brzegu kontuaru. – To co z nim? – Czuję, że już dłużej nie wytrzymam tej niepewności. – Chcę go tylko zobaczyć.

– Ciężko będzie – beztrosko odpowiada, patrząc na mnie rozbawiona. – Zaraz na drugi dzień przyjechał po niego kolega, ponoć doktor, i tyle go widzieli. Ordynator nie chciał wypisać, bo był w kiepskim stanie, ale co zrobić. Zaaresztować się nie dało, bo ponoć niewinny, na własną odpowiedzialność wyszedł i papiery podpisał, tak że my mamy czyste ręce. Jak chce zdychać pod płótem, to już jego sprawa... Choć ten jego kumpel to ponoć w prywatnej klinice robi...

O czym ona mówi? Jedno jest pewne – to Ali wyciągnął swojego ziomka z opresji, może dzięki temu przeżyje. A myślałam, że po naszej wspólnej wizycie i gwałtownym jej zakończeniu już nigdy nie będą chcieli się spotkać. Męska solidarność.

– Taka fajna dziewczucha, żeby się z bambusem zadawała – słyszę za plecami słowa pielęgniarki. – Cóż to, mało super chłopaków chodzi po ulicach?! Ma, na co zasługuje.

W miarę możliwości przyspieszam kroku. Muszę się stąd wyrwać i zacząć działać. Dość już tego leżakowania.

Kontakt z Alim jest niemożliwy, nie znam numeru jego telefonu, a Wioletta tak mnie nie znosi, że nie ma zamiaru otworzyć drzwi ani udzielić mi żadnej informacji.

Cały długi tydzień telefon Ahmeda milczy. Nie daje znaku życia, a ja nie chcę się narzucać, bo może źle się czuje lub nie jest w stanie mówić. Po samotnym weekendzie nie wytrzymuję i dzwonię. Raz, drugi, trzeci. Nie podnosi słuchawki, nie chce ze mną rozmawiać. Zaczynam się mocno niepokoić. Mijają trzy tygodnie i nadal cisza. Czy on jeszcze żyje? A może wrócił do siebie, do kochającej rodziny? Co ze mną będzie? Na domiar złego od jakiegoś czasu dziwnie się czuję, a od dwóch miesięcy nie mam okresu. W styczniu myślałam, że go przeoczyłam, bo nigdy zbyt dokładnie tego nie kontrolowałam. Przez cały luty czekałam z biciem serca. Teraz, na początku marca, zdaję sobie sprawę, że coś jest nie tak i doskonale wiem co. Podczas tego pierwszego razu, w sylwestra, ani ja, ani Ahmed nie zabezpieczyliśmy się. Nie muszę nawet robić testów ciąży – widzę zmiany zachodzące w moim organizmie. Wciąż nie mogę się skontaktować z moim ukochanym. W końcu, choć bardzo tego nie lubię, decyduję się

nagrać na pocztę głosową.

– Ahmed, kochanie, czemu nie chcesz ze mną rozmawiać? Przecież wiesz, że to nie moja wina. Tęsknię za tobą, zadzwoń. – Pierwszy raz.

– Ahmed, skarbie, co jest grane? Niepokoję się, czy jeszcze żyjesz? Nic nie wiem, co się z tobą dzieje. – Drugi raz.

– Ahmed, już mnie nie kochasz? Dlaczego sprawiasz mi taką przykrość i zadajesz ból? – Trzeci raz.

– Dzióbku, kochany mój! Daj głos! – Kolejny raz.

– Ahmed, proszę cię, zadzwoń – żałośnie jęczę.

– Musimy się spotkać i na poważnie porozmawiać – mówię ostro, zdesperowana. – Proszę, nie unikaj mnie!

– Ahmed, musimy się zobaczyć – płaczę. – Mówiłeś, że jesteśmy sobie przeznaczeni i będziemy ze sobą na zawsze – przechodzę w szloch i kończy się czas na sekretarce.

– Co ci szkodzi spotkać się ze mną? Powiedz mi – nagrywam się po chwili. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia – mocno akcentuję ostatnie słowa.

– Dorota, ty jesteś jednak skończoną kretynką. – Mama niespodziewanie wparowuje do łazienki, kiedy z komórką w ręce siedzę w wannie.

Lustruje mnie od stóp do głów, szczególną uwagę zwracając na mój brzuch i piersi. Niestety, woda ledwie zakrywa dno i jestem goła jak święty turecki. Splatam ręce wzdłuż talii, lecz nic nie ukryje się przed wzrokiem zaniepokojonej matki.

– O co tym razem chodzi? – udaję głupią.

– Mogłabyś chociaż na chwilę przestać się zgrywać – mówi podenerwowana. – Jestem twoją matką i znam cię. Nie tylko charakter, ciało również.

– Więc?

– To, że nie rzygasz i nie mdlejesz, jeszcze o niczym nie świadczy! Jesteś w ciąży, do cholery, i może byś się w końcu do tego przyznała.

– Pfu – jedyna odpowiedź, na jaką mnie stać.

– To jest dość poważna sprawa! – Patrzy mi głęboko w oczy. – Wprawdzie krytykowałeś mój nieudany związek z twoim ojcem i późniejszy rozwód, ale ja przynajmniej miałam męża. Wierz mi, dużo lepiej być rozwódką niż panną z dzieckiem, zwłaszcza w takim miasteczku jak nasze.

– Tak? – pytam bezczelnie.

– Wprawdzie ślub z Arabem to wstyd, ale trudno – niezmordowanie kontynuuje. – Zawsze będzie ktoś, kto zapłaci alimenty, a oni ponoć mają hopla na punkcie dzieci.

– No i? – Oczekuję na dalsze dyrektywy.

– No i niech się teraz z tobą ten obrzezany chuj ożeni! – wykrzykuje, zupełnie już się nie kontrolując. – A w ogóle to on jeszcze żyje? Co się z nim dzieje? A może już cię zostawił? – zasypuje mnie pytaniami.

Zaczynam się szaleńczo śmiać, lecz po chwili śmiech przechodzi w szloch. Płaczę tak, że słyszą to zapewne sąsiedzi w bloku obok. Z ust ścieka mi ślina, kapie z nosa. Walę głową o brzeg żeliwnej wanny i nie czuję bólu. Ten w moim sercu jest o wiele silniejszy.

– Córeczko kochana. – Serce matki kraje się na ten widok. Podkłada rękę pod moje potłuczone czoło i obejmuje mnie delikatnie za ramiona. – Dziecko moje – szepcze i łzy napływają jej do oczu.

– Mamusiuuuu! – ryczę jak zarzynane zwierzę, nie mogąc niczego innego z siebie wykrztusić. To zresztą wcale niepotrzebne, wszystko już jest jasne.

– A niech go szlag trafi, parszywca jednego! – wykrzykuje po chwili. – Taki piękny

kwiatuszek mi zerwał, wyhodowany, wychuchany, wypieszczony... – Kładzie brodę na mojej głowie i zamyśla się. – Nie przejmuj się kochanie, wszystko będzie dobrze – mówi po chwili bardzo poważnie. – Nie takie rzeczy się przerabiało, bywały gorsze. – Nie wiem, co ma na myśli, lecz dla mnie nie ma nic straszniejszego od obecnej sytuacji.

– Co zrobimy, mamó? – Patrzę jej w oczy z ufnością.

– Skrobanka odpada? – zadaje głupie pytanie.

Kręcę przecząco głową. Jestem temu przeciwna nie tyle ze względów religijnych, ile etyczno-egoistycznych. Czyż można kogokolwiek zabić, nie mówiąc już o części siebie i człowieka, którego się kochało? Jeśli jego już nie ma, to niech przynajmniej zostanie przy mnie jego maleńka cząsteczka.

– Damy radę, kotku, damy radę. – Wzdycha smutno i delikatnie całuje mnie w policzek.

W tej chwili dzwoni komórka. Sięgam po nią trzęsącymi się rękami i ze zdenerwowania nie mogę przycisnąć odpowiedniego klawisza. Na kolorowym wyświetlaczu widzę zdjęcie Ahmeda.

– To on – szepczę w panice do matki.

– To odbieraj, dziewucho, odbieraj, na litość boską!

– Tak, słucham – mówię cicho.

– To ja, chyba wiesz kto – słyszę jego poważny, słaby głos.

– Mhm – odpowiadam obrażona. Mama pokazuje zabawne gesty, które mają oznaczać, abym go udusiła albo chwyciła na męża, i dyskretnie wychodzi z łazienki.

– Dzwonię, jak prosiłaś – mówi oziębło zachrypniętym głosem. Nie podoba mi się jego ton, ale nie jestem w dobrej sytuacji, aby pokazywać pazurki.

– Wcześniej nie musiałam prosić – stwierdzam smutno. – Co się zmieniło? To w twoim stylu tak odchodzić bez słowa? Czy myślisz, że ja się nie niepokoiłam, nie modliłam, nie bałam o ciebie? Nawet nie wiedziałam, czy jeszcze żyjesz! – wyrzucam z siebie cały żal.

– Tak będzie lepiej – oznajmia chłodno. – Dla ciebie oczywiście.

– Nie rozumiem, dlaczego? Mógłbyś mi wyjaśnić?

– Nie chcę cię więcej narażać. Gdyby nie ja, nigdy by do tego nie doszło.

– Daj spokój! – oburzam się. – To banda prymitywów, oszołomów i rasistów. Takich pełno na całym świecie. Znaleźliśmy się tylko w złym miejscu i o złej porze, każdemu może się zdarzyć.

– Przeżyłaś już coś takiego?

– Oczywiście że nie! Ale zdarzyło mi się mnóstwo nieprzyjemnych i głupich historii, choć muszę przyznać, że nie tak śmiertelnie niebezpiecznych. Ci ludzie nie są warci, żeby o nich rozmawiać, a co dopiero, żeby się nimi przejmować. Już powinni siedzieć, lecz nie rozumiem, czemu ty...

– Nie chcę, żebyś przeze mnie miała kłopoty – przerywa mi w pół słowa. – Nie chcę, żebyś zmieniała szkołę i żeby przyłgnęła do ciebie opinia arabskiej kurwy.

– Mnie to zwisa! – podnoszę głos, bo zaczyna mnie denerwować. – Mam to gdzieś, co o mnie mówią, a do zmiany szkoły nie mogą mnie zmusić. Maturę zrobię, bez obaw.

– Plotki w małym miasteczku mogą poważnie uprzykrzyć życie. Będą cię wytykać palcami, szydzić. Nie chcę, żebyś stała się człowiekiem drugiej kategorii, do jakiej ja się, niestety, według niektórych, zaliczam. Możesz być najuczciwsza pod słońcem, ale ze względu na kolor skóry, miejsce urodzenia czy koligacje od razu zostajesz skreślona.

– Mam to gdzieś – mówię zdecydowanym tonem. – Przedtem nazywali mnie księżniczką i wyśmiewali, a teraz dali mi nową ksywkę. I co z tego? Nic.

– Jaką?

– Narzeczona brudasa. W sumie nie tak tragiczne – śmieję się niepewnie.
– Rzeczywiście mogło być gorzej. Ale mnie, Dociu, ostatni wypadek przeraził nie na żarty. Wiem, że zawsze można wdepnąć w gówno, ale człowiek myślący unika takich sytuacji. Przede wszystkim boję się o ciebie.

– To świetnie, bo takiego cię kocham – mówię, oddychając z ulgą, ponieważ dawny Ahmed powrócił i Bogu niech będą dzięki. – Spotkamy się w końcu czy nie? – kuję żelazo, póki gorące. – Przy tobie nic nie jest straszne i niczego się nie boję. Wchodzę w to – znów żartuję, aby nie sprowadzić rozmowy na zbyt poważne tory.

– A co takiego ciekawego masz mi do powiedzenia? – pyta.

– Nawet nie licz, że załatwisz sprawę przez telefon – obrażam się. – Nie masz ochoty mnie zobaczyć?

– Oczywiście że tak, ale jak na razie mam dość twojej miłośnicy.

– Trudno ci się dziwić. Ja też nigdzie nie wychodzę po zmroku, a przez moje osiedle nawet o dwunastej w południe przebiegam z duszą na ramieniu.

– Sama widzisz – słyszę gniew w jego głosie. – Przyjedź do mnie w ten weekend.

– W porządku, Poznań to piękne miasto – szybko się zgadzam, aby nie zmieniał zdania. – Będę w piątek po południu. Jeszcze się zdzwonimy, tylko z łaski swojej odbieraj telefony – dogryzam mu na koniec.

Wychodzę z łazienki owinięta tylko w ręcznik i z piskiem radości rzucam się mamie na szyję.

– Mówiłam ci, że wszystko będzie dobrze. – Mocno mnie tuli.

– Myślisz?

– Ja to wiem, głuptasku. – Czule gładzi mnie po policzku. – Kto by zostawił taką piękną księżniczkę? Jeszcze mu będziesz grała na nosie!

– Już nic nie chcę, niech tylko ze mną będzie – wzdycham, kładąc jej głowę na ramieniu.

– Wiesz, co w lokalnych wiadomościach mówili? – nieoczekiwanie mama zmienia temat.

– W naszym małym jeziorcu pod miastem znaleźli zmasakrowane zwłoki jakiegoś młodocianego zbira. – Wstrzymuję oddech. – Miał poderżnięte gardło od ucha do ucha. Co też się na tym świecie wyprawia?

Wyczekująco patrzę na matkę.

– A może to jeden z tych, co was zaatakowali? Czekał, podawali jak się nazywał... Przemysław jakiś tam.

– Ja już chcę o tym zapomnieć, to na pewno porachunki band – mówię, lecz w pamięci odżywa mi imię Przemo.

– Tak, tak, masz rację, po co to rozgrzebywać. Zostawmy to boskiej sprawiedliwości.

Czuję dreszcz przebiegający mi po plecach. Może to i sprawiedliwość, ale daleka od boskiej.

Wesele po polsku

W piątek zrywam się z dwóch ostatnich lekcji, bo nie mogę się doczekać spotkania. Boję się reakcji Ahmeda na wiadomość o ciąży i jak najszybciej chcę to mieć za sobą.

– Jesteś w domu? – dzwonię z dworca.

– A ty już jedziesz? – pyta zaskoczony.

– Nie, już jestem na miejscu.

– Ale ja kończę o piątej. Czemu nie zadzwoniłaś, że będziesz tak wcześniej? – tłumaczy się zakłopotany.

– To nic. Pojadę na uczelnię, znajdę jakąś miłą kafejkę i zaczekam tam na ciebie. Zadzwonię i powiem, gdzie jestem, okej?

– Świetnie, może uda mi się wcześniej wyrwać. Stęskniłem się – szepcze na koniec namiętnym głosem.

– Ja też.

Jakie fajne jest studenckie życie. Kiedy siedzę przy kawie wśród młodych rozgadanych ludzi, robi mi się przykro, bo zdaję sobie sprawę, że zaprzepaściłam swoją szansę na dalszą edukację i osiągnięcie czegoś w życiu. Teraz powinnam się modlić, aby zdać maturę. Ale wszystko sobie skomplikowałam! Obejmuję głowę rękami i poddaję się niewesołym rozmyślaniom.

– Co taka zadumana? – Ahmed pojawia się znienacka, obejmuje mnie i całuje we włosy.

– A, takie życie... – wzdycham smutno.

Uważnie patrzę na jego zmizerowaną twarz i usiłuję coś z niej wyczytać. Niby to samo spojrzenie, ta sama mimika, lecz wyczuwam jakąś obcość, niewidoczny mur. I ten szal na szyi, nieudolnie zasłaniający rozległą świeżą bliznę.

– Ej, co z tobą? – niepokoi się. – Chwilę cię nie widziałem, a już się zmieniłaś. – Pochyliła się nade mną i patrzy głęboko w oczy z uwagą i napięciem.

– Ładna mi chwila – mówię rozzalona. – Miesiąc to kawał czasu.

– Dobrze, że znów jesteśmy razem. – Bierze mnie za rękę. – Chodźmy do domu. Wspólnie przygotujemy uroczystą kolację. Co ty na to?

– Nawet lepiej, że najpierw spotkaliśmy się tutaj – stwierdzam chłodno, odsuwając się od niego. – Musimy poważnie porozmawiać.

– Jak chcesz. O co chodzi? – pyta urażonym tonem.

– W zasadzie nie wiem, jaki jest twój stosunek do mnie i czy masz jakieś plany na przyszłość związane z moją osobą – zaczynam.

– No to mamy gadkę na serio – usiłuje żartować.

– Nie kpij sobie ze mnie! – Nie wytrzymuję napięcia i łzy zbierają mi się w kącikach oczu.

– Docia, co się dzieje? Nie owijaj w bawełnę, tylko powiedz, co ci leży na sercu. Wiesz, co do ciebie czuję, bo nie raz ci to powtarzałem i nic się nie zmieniło.

– Tak?! Nic się nie stało, tylko że ty kopnąłeś mnie w tyłek i musiałam cię błagać o przynajmniej jedno spotkanie – pochlipuję cicho. Głupio mi się robi, bo młodzi ludzie zaczynają zwracać na nas uwagę.

– Wiesz, jaka była tego przyczyna – szepcze rozzłoszczony. – Chciałem cię chronić, myślałem o tobie, a nie o moim złamanym sercu.

– Ale mnie zraniłeś. Co za kretyńska postawa! – wybucham. – Dla twojego dobra obcinam ci głowę, robię dziurę w brzuchu, wyrywam serce. Ale to wszystko z myślą o tobie –

parodiuje jego słowa.

– Nie drzyj się, bo wszyscy na nas patrzą. Musisz robić scenę?! – denerwuje się. – Jeśli to ma być taka rozmowa, to ja nie chcę brać w niej udziału.

– Tak, teraz najlepiej wycofać się rakiem. Wykorzystać niewinną dziewczynę, a potem porzucić. – Serce łomocze mi ze strachu, że on za chwilę wstanie, wyjdzie i tyle go będę widziała.

– Słucham? – Ahmed mówi oficjalnym tonem, powoli zbierając się do odejścia.

– Jestem w ciąży – wypalam. – I nie usunę jej. – Chowam twarz w dłoniach. – A teraz możesz już iść.

Przy sąsiednich stolikach zapada cisza. Więc jednak podsłuchiwali. Ahmed ciężko opada na krzesło i patrzy na mnie z pobłażliwym uśmiechem.

– Przecież się tego spodziewałem – dobrotliwie stwierdza. – Jestem na to przygotowany, lecz nie byłem pewien, czy ty również.

– I dlatego mnie zostawiłeś? – Nic z tego nie rozumiem.

– Dałem ci możliwość wyboru. Po ostatnim, dramatycznym zajściu to ty mogłaś chcieć się wycofać krabem.

– Rakiem – poprawiam go i słyszę śmieszki za swoimi plecami.

– Obojętnie. Nie dałaś mi szansy na uroczyste oświadczenia, więc teraz – podnosi głos na całą kawiarnię – biorę studencką brać na świadków, że chciałem się z tobą ożenić od pierwszego wejrzenia.

Cały lokal, włącznie ze mną, wybucha śmiechem.

– Na szczęście! – drą się młodzi ludzie, wznosząc w górę kieliszki z tanim winem. – Stary, tak trzymać! Pij, chłopie, piwko, które nawarzyłeś – słyszę jakiś męski głos.

– Z miłą chęcią, nie mam ochoty się od tego wymigać. – Ahmed z wypiekami na twarzy odwraca się w ich kierunku.

Trzymając się za ręce, wybiegamy na deszcz.

– Widzisz – mówię – nie wszyscy są negatywnie nastawieni do Arabów.

– Spróbowałbym się wykręcać albo powiedzieć ci coś nieprzyjemnego! Już widzę ich reakcję!

– To dlatego...

– Tak! Dlatego że cię kocham i żyć bez ciebie nie mogę. – Bierze mnie w ramiona i na środku ulicy całuje aż do utraty tchu.

Jeszcze tego samego wieczoru jedziemy do mojego domu. Ahmeda nie widać zza bukietu szkarłatnych róż, lecz mama i tak wie, kto tam się znajduje.

– Docia, mogłaś uprzedzić! – wykrzykuje z piskiem, wbiegając w samej halce do łazienki. – Przygotowałam się – mówi z za drzwi.

– Nie trzeba było, wszystko jest w porządku – zapewnia Ahmed.

– Właśnie porządku nie ma, bo dopiero jutro mamy sprzątanie – tłumaczy się już ubrana mama, odbierając kwiaty przeznaczone dla niej. Widzę zadowolenie i rozbawienie w jej oczach.

– Pan tutaj siada i włączy sobie telewizję, a my z Docią przygotowujemy coś do jedzenia.

Wychodzimy do kuchni, trzymając się pod ręce. Jak nieszczęście potrafi zbliżyć ludzi! Myślałam, że już tak bardzo oddaliłyśmy się od siebie, że nie ma możliwości na naprawę naszych stosunków. Wiem, że mama chciałaby mieć mnie na wyłączność, ale teraz w końcu zaczęła myśleć o mojej przyszłości i szczęściu. Jestem jej za to niezmiernie wdzięczna i uszczęśliwiona całując ją w policzek.

– Zadowolona? – pyta, ledwo przekraczamy próg kuchni. – No i co, i co?

– Jak widzisz – odpowiadam ze śmiechem. – Ponoć od dawna już myślał, żeby się

oświadczyć, tylko ten incydent trochę ostudził jego zamiary. Wiesz,omalże nie wykrwawił się na śmierć, cud, że przeżył.

– Niepotrzebnie się tak z nim afiszowałaś, niepotrzebnie zabrałaś go do szkoły. – Matka kiwa głową na boki. – Wiesz, tutaj ludzie nie są tacy nowocześni.

– Teraz już wiem.

Nie będę przypominała jej własnej reakcji, bo nic mi to nie da. Teraz musimy trzymać się razem, a nie zreć między sobą.

– Czym chata bogata. – Matka zaprasza do stołu. – Tak jak już wspomniałam, zupełnie jestem nieprzygotowana na przyjęcie gości.

– Ale ja już nie jestem gość. – Ahmed uśmiecha się od ucha do ucha. – Jestem swój.

Wyciąga piękne etui, wstaje i wykonuje lekki ukłon w moim kierunku.

– Dorota, jak już ci mówiłem, planowałem oświadczyć się wcześniej, ale pewne... hmm... głupie zajścia namieszały mi w głowie i... pomieszały szyki – z wypiekami na twarzy płacze się i wymachuje rękami. – Jeśli pomimo wszystko chcesz być moją żoną, to będę zaszczycony i bardzo szczęśliwy.

Otwiera pudełko i wyjmuje piękny błyszczący pierścionek.

– Mam nadzieję, że pani pozwoli – zwraca się do matki.

– A jakże – odpowiada, ledwo chwytając powietrze.

Ma łzy w oczach. Oddaje swoją księżniczkę obcemu mężczyźnie, cudzoziemcowi i zapewne tysiące tragicznych scenariuszy krąży jej po głowie. Mnie w tym momencie nic nie może zepsuć humoru, jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem. Wieczór przebiega w rodzinnej i pogodnej atmosferze, nie wdajemy się w skomplikowane szczegóły, odkładając dokładne planowanie na później. Przecież sam ślub także nie może się odbyć natychmiast. Choć powinien. Musimy przesunąć go na termin zaraz po maturze, abym w ogóle została do niej dopuszczona. Dwa miesiące wytrzymamy, a i Ahmed będzie miał dość czasu na ściągnięcie wszystkich niezbędnych papierów. Nie mamy pojęcia, co będzie potrzebne, ale obawiamy się, że czeka nas sporo papierkowej roboty.

Po raz pierwszy Ahmed oficjalnie zostaje u nas na noc. Ma spać na podłodze w moim maleńkim pokoiku, ale kto da temu wiarę. Jest cudnie.

– Ty się teraz tym w ogóle nie interesuj. – Mama i Ahmed zgodnie mnie przekonują. – Masz przed sobą najważniejszy egzamin w życiu i postaraj się go jakoś zdać. Na poprawkę nie będzie czasu.

Jak mam się uczyć, kiedy już niedługo ma się spełnić mój sen? Ślub! Wesele! Jak mam się nie angażować w ich organizację? Przecież to moje święto, mój najszczęśliwszy dzień w życiu.

– Nad czym tak debatujecie? – Wieczorem już nie wytrzymuję i po całym dniu kucia wchodzę do saloniku.

– Nauczona? – sprawdza Ahmed.

– Może chcesz mnie odpytać? – Uśmiecham się złośliwie.

– W porządku, w niedzielę od rana powtarzamy materiał. Już niewiele czasu ci zostało.

– Tak, a brzuch coraz większy. Zaczynają dziwnie na mnie patrzeć, nie pomogą szerokie ciuchy. Mam wrażenie, że wszyscy już wiedzą – wyrażam swoje obawy.

– Jeśli nawet, to nie ma takiego paragrafu w kodeksie ucznia, że dziewczyna w ciąży nie może podchodzić do matury. Wszystko sprawdziłam – uspokaja mnie mama.

– Będzie dobrze – przyłącza się Ahmed, sadzając mnie sobie na kolanach. – Gorzej jest z dokumentami, które muszę ściągnąć. Te wasze urzędy powariowały. Od wszystkich innych cudzoziemców żądają jedynie aktu urodzenia i oświadczenia, że nie jest się już w związku

małżeńskim, a ludzi z moich regionów sprawdza się włącznie z rozmiarem butów, kapelusza i penisa – wszyscy wybuchamy śmiechem.

– Myślisz, że nie zdążysz tego wszystkiego załatwić? – znów się denerwuję i czuję w gardle dławiącą gulę. Jak łatwo teraz można wyprowadzić mnie z równowagi. – Może twoja ambasada coś by pomogła?

– Nie żartuj! Oni są tutaj od pasienia brzuchów na polskim tłustym żarciu, zarabiania nieziemskiej kasy i chłania wody na dyplomatycznych przyjęciach – stwierdza z niesmakiem. – Czy wiesz, że mówi się, iż nasz ambasador jest alkoholikiem?! – Ahmed jest oburzony. – Jesteśmy muzułmanami i nie powinniśmy pić alkoholu... przynajmniej nie mocnego i nie codziennie. U nas w kraju panuje prohibicja!

– Dlatego tak używają sobie na obczyźnie – wtrąca się mama.

– Racja, najbardziej smakuje zakazany owoc. – Ahmed wzdycha.

– To co będzie, co będzie?! – wpadam w panikę.

– Tylko spokój może nas uratować. – Ahmed mocno mnie przytrzymuje. – Mamy jeszcze calutki miesiąc i...

– To co, musisz tam pojechać i sam łązić po urzędach i wyciągać dokumenty? – Boję się, że jak wyjedzie, to może już nie wrócić. – Nigdzie cię teraz nie puszczę! – krzyczę płaczliwie.

– A od czego ma się rodzinę, hę? – Głaszcze mnie po głowie i chytrze się uśmiecha.

– Mało mi o nich opowiadasz – mówię, z zaskoczeniem odkrywając ten fakt. – W zasadzie nic nie wiem o twojej mamie, tacie, rodzeństwie...

– Są wspaniali, lecz zupełnie różni od ludzi w waszym kraju. – Ahmed zamyśla się. – Są bardziej żywiołowi, otwarci i życzliwi. Tam nie musisz prosić o pomoc, dla nas, Arabów, to zaszczyt móc przysłużyć się drugiej osobie. Robimy to w imię Allaha.

– A u nas tylko podkładanie nogi i zawiść – smutno stwierdza mama.

– Może nie zawsze, ale przeważnie – podsumowuje Ahmed. – To smutne, ale na pocieszenie powiem wam, że tak jest we wszystkich skomercjalizowanych krajach na świecie. W gonitwie za karierą, forszą i pozycją ludzie zapomnieli o starych dobrych zwyczajach.

– Ciekawa jestem tej twojej ojczyzny, mlekiem i miodem płynącej – mówię.

– Przecież tam pojedziemy, bez obaw.

– Nie tak szybko, najpierw musimy przebrnąć przez formalności ślubne, a jak widzisz, nie jest to takie proste, jak by się mogło wydawać – hamuję jego zapędy, bo oprócz ciekawości odczuwam strach przed arabskimi krajami. Tyle się słyszy...

– Moja siostra Malika pracuje w ministerstwie, i to nie jako sprzątaczką. – Ahmed jest w świetnym humorze.

– Ooo – wyrażamy z mamą miłe zaskoczenie.

– Już z nią rozmawiałem. W ciągu tygodnia będę miał wszystkie niezbędne dokumenty. Możemy rezerwować termin ślubu i kupować suknię.

Krzyczymy jak dzieci i klaszczemy w ręce.

– To czemu nas tak straszysz?! – Rzucam się na niego i przygniatam zaokrąglonym brzuszkiem.

– To ja idę do kuchni pomyśleć o kolacji. – Mama dyplomatycznie się wycofuje, lecz słyszę rozbawienie i zadowolenie w jej głosie.

Dotykam ust Ahmeda językiem i namiętnie przygryzam jego pełne wargi. Nie wiem czemu, ale teraz zamiast myśleć o macierzyństwie, stałam się niewyobrażalnie perwersyjna i ciągle myślę tylko o seksie. Biedny Ahmed na początku wciąż tylko powtarzał, że zaszkodzimy dzidziusiowi, aż w końcu zabrałam go ze sobą do ginekologa.

– Miłość, w tym również cielesna, jest najlepszym lekarstwem na stres i jeśli tylko nie ma

przeciwwskazań, a tutaj takich nie widzę, kochajcie się tak często, jak tylko możecie. – Lekarz wydał diagnozę, do której stosujemy się od tego czasu z obopólnym zapalem.

– Nie możemy kupować ani szyć sukni ślubnej w naszym miasteczku – wydaje werdykt mama. – Będziesz musiała się rozebrać i wtedy niczego już nie ukryjesz. Zaraz wezmą cię na języki, informacja dotrze do szkoły i nie wiadomo, co tam wymyślą, żeby uprzykrzyć ci życie.

– To co zrobimy? – Odrywam się od podręczników.

– Trzeba pojechać do Poznania i tam coś wybrać. Moglibyśmy też kupić gotowe zaproszenia.

– Świetny pomysł – przyznaję. – Kiedy?

– W najbliższy weekend.

– Zadzwoń do Ahmeda i uzgodnij to z nim. – Obracam się z powrotem w stronę biurka.

– Niech jeszcze przygotuje listę swoich gości, to ja za jednym zamachem wypiszę wszystko.

– Dzięki, mamo, jesteś cudowna, ale o weselu ja na razie w ogóle nie chcę myśleć. Zresztą kogo tu zaprosić?

– Znajdzie się co najmniej ze dwadzieścia osób. – Widzę, że jest szczęśliwa i podekscytowana. – Twojego ojca należałoby zawiadomić.

– Jak uważasz, on dla mnie nie istnieje.

– Jednak formalności musi stać się zadość. Byleby nie przyjechał z tą swoją młodocianą lafiryndą – wzdycha smutno. – Ale chyba nie będzie tak bezczelny, choć w zasadzie wszystkiego można się po nim spodziewać..

Sobota to idealny dzień na zakupy. Widocznie wszyscy tak uważają, bo na miasto wyległy tłumy. Potrzebuję trochę odpoczynku i przerwy w nauce. Nie jestem już w stanie przyswoić nawet najprostszej regułki, nie mówiąc o rozwiązaniu najbanalniejszego matematycznego zadania. Dobrze, że Ahmed to umysł ścisły i mi pomaga.

– Słuchajcie – mówi na wstępie – przeprowadziłem wywiad u moich koleżanek na uczelni, pogrzebałem w lokalnych gazetach i znalazłem parę ciekawych punktów z modą ślubną. Powinno nam pójść jak z płatka, a potem, drogie panie, zapraszam do restauracji na obiad – przedstawia atrakcyjny plan na dzisiejszy dzień.

Salon, przed którym stajemy, jest wielki i ekskluzywny. Patrząc na mamę, na jej rozczłapane buty, sfilcowany sweterek i wytartą spódnicę. Wszystko, co ja mam na sobie, jest przykuse i za ciasne, jak z młodszej siostry. Zerkam niepewnie na Ahmeda. On wygląda świetnie i widać, że ubiera się w eleganckich sklepach. Lekki wiosenny garnitur w delikatne prążki, wyprasowana koszula, dopasowany krawat i błyszczące skórzane buty. Razi trochę jedynie nieodłączny od pewnego czasu jedwabny szal na szyi.

– My chyba tam nie pasujemy. – W panice chwytam go pod ramię.

– Co ty mówisz! – oburza się i widzę, że tak łatwo nie da się stąd odciągnąć.

– Będzie drogo, strasznie drogo – kontynuuję na bezdechu.

– W końcu raz w życiu bierze się ślub. Czyż nie tak, mamo? – próbuje znaleźć wsparcie u mojej matki, lecz ona stoi zapatrzona w wystawione na witrynie kreacje.

– Że jak? Co?

– Moje miłe panie, wchodzimy. – Otwiera przed nami na oścież wielkie szklane drzwi.

W tym momencie klamka zapada. Wiem, że nie wyjdziemy stąd z pustymi rękami. Na początku sprzedawczynie traktują nas chłodno i lustrują nienawistnym wzrokiem. Zawracamy im tylko głowę, bo przecież biedota naszego pokroju nie może u nich nic kupić. Jedynie poogląda, podotyka i pomarzy. Taki stosunek do klienta zawsze wyprowadza mnie z równowagi. Zaczynam wybierać rzeczy, nie patrząc na cenę.

– Polecamy taki delikatny gorsecik. – Jedyna w tym sklepie miła młoda dziewczyna przynosi gumowe majtki z podniesionym pasem. – Będiesz się czuła bardziej komfortowo ze spłaszczonym brzuchem. Przez pół godziny można wytrzymać.

– Hej, patrzcie! – impulsywnie krzyczę w stronę Ahmeda i mamy. – Jak znalazł na maturę!

Dopiero teraz gryzę się w język, ale jak zawsze za późno. Sprzedawczynie śmieją się w kułak, a mama zalewa bordowym rumieńcem.

– Oj Dociu, Dociu – jęczy zawstydzona.

Wszystko kupujemy w jednym miejscu. Począwszy od sukni i garnituru, a skończywszy na zaproszeniach i dekoracjach na stół. Po dwóch godzinach wytaczamy się, objuczeni paczkami. Wrzucamy je do samochodu Ahmeda i w świetnych humorach ruszamy w miasto. Mój narzeczony jest naprawdę cudowny. Wie, że mamy nie stać na żadną elegancką kreację, więc zaciąga nas do butiku i funduje jej szykowny kostium. Do tego oczywiście buty i torebkę.

– Nie trzeba było, Ahmed, naprawdę nie trzeba. – Mama czuje się niezręcznie, ale widzę, że jest zadowolona.

Jestem taka szczęśliwa...

– Hmeda, Hmeda! – słyszymy wołanie tuż za plecami.

Ahmed wzdraga się, lecz idzie dalej, nie zwalniając kroku.

– Hmeda, do cholery, kumpli nie poznajesz?! – Śniady elegancik zabiega nam w końcu drogę. – No co ty? Kupę czasu, gdzie się podziewałeś? – Klepie Ahmeda po plecach i rzuca mu się w ramiona.

– *Ahlan, ahlan wa sahlan.*

– W końcu wymieniają grzeczności i zarzucają się pytaniami.

– A co to za piękna blondyna jest z tobą? – Nieznany mi osobnik zwraca się w końcu w moją stronę.

– To moja narzeczona – tłumaczy Ahmed, dziwnie wbijając wzrok w chodnik.

– *Tanija*, Hmeda, ty to masz fart! – Mężczyzna zaśmiewa się i klepie z uciechy po udach.

– Nie Tania, tylko Dorota – tłumaczę, mocno już zaniepokojona.

W tym momencie wybuchają niepohamowanym śmiechem, choć ja nie widzę w tej sytuacji nic zabawnego.

– To takie słówko po arabsku, nie imię dziewczyny – tłumaczy mi Ahmed. – Poznaj Mahdiego, po przyjeździe do Polski trzymaliśmy się razem, dawne czasy...

– Nie takie dawne – prostuje tamten, jednocześnie całując mnie w dłoń.

– Ale co to znaczy? – pytam wcale nie uspokojona.

– A... co mianowicie? – Ahmed nie ma ochoty bawić się w tłumacza. – To zależy od połączenia z innym wyrazem... Wiesz, arabski jest dość skomplikowany.

– Musimy się spotkać i powspominać. – Mahdi klepie go po plecach. – A może teraz gdzieś wpadniemy?

– Sorry, mamy inne plany – wymiguje się Ahmed. – *Marra tanija* – mówi na koniec.

Milcząc, udajemy się do eleganckiej restauracji w centrum, ale dobry nastrój przysł i jakieś złe myśli zaczynają krążyć mi po głowie.

– Co znaczy po arabsku *marra* – pytam przy wyśmienitym drugim daniu, które jednakowoż staje mi w gardle.

– Ma wiele znaczeń, ale przeważnie tłumaczy się jako raz.

– To *marra tanija*? – indaguję, próbując uspić jego czujność.

– Aaa... Ty spryculo, chcesz się uczyć – mówi zadowolony. – Następnym razem, *marra tanija* znaczy następnym razem.

– Więc *tanija* to następny lub następna? – Patrzę na niego z pogardą, a on dopiero teraz się orientuje, o co tak naprawdę mi chodzi. Pięknie go podeszłam.

– Dociu... – Pokornie pochyla się w moją stronę.

Mama sznuruje usta i boleśnie kopie mnie pod stołem, co zapewne ma oznaczać: „Daj spokój, idiotko”!

– Cóż. – Macham ręką, zadowolona ze swojego dochodzenia. – Przecież nie będziemy żyć przeszłością, było – minęło, nieprawdaż?

– Proszę mamę. – Ahmed jest bardzo poważny i stanowczy. – Do tego nie dam się namówić, nie ma mowy.

– Ależ... – nie rezygnuje mama.

– To nie podlega dyskusji. W tej kwestii proszę nie liczyć na żadne ustępstwa.

– Parę flaszeczek to nie grzech!

– Mamo – interweniuję, bo widzę, że nie dojdą do porozumienia. – To nasze wesele i bardzo cię proszę, zrezygnuj z tego pomysłu. Ahmed sobie tego nie życzy, ja go w pełni popieram i tak będzie.

– Toż to polskie wesele! – wykrzykuje matka. – Wstyd przed ludźmi! To taka tradycja, a ty przecież mówiłaś, że u was tradycja to świętość – łapie się ostatniej deski ratunku, uderzając w jego czuły punkt.

– Droga pani mamo. – Ahmed unosi brwi, nie mogąc się nadziwić jej sprytowi. – Jeśli u was panuje zwyczaj zalewania się na weselach w trupa, to ja, z łaski swojej, pozwolisz, nie będę tego akceptował.

– Ale...

– Kupię dobre białe i czerwone wino, będzie szampan, ale żadnej wódki. Upieram się przy tym i nie odpuszczę.

Matka wychodzi do kuchni i tłucze garnkami. Chce zmanifestować swoje niezadowolenie, ale przede wszystkim chyba rozładować wściekłość. Coś nie zostało zrobione po jej myśli, z czymś się nie zgadzamy, a to już dla niej jest nie do pomyślenia. Wiem, że nie należy dać się zwieść jej pobłażliwości, łagodności i wspaniałomyślności okazywanym w ostatnim czasie. Znam dobrze jej charakter. Zawsze musi postawić na swoim, nie wolno z nią dyskutować, należy wykonywać. Należało mnie wydać za mąż, już obojętnie za kogo, i dlatego matka schowała pazurki i perfekcyjnie do tego doprowadziła. Teraz jeszcze tylko musi przełknąć nasze fanaberie, naszą samowolę, ale jak klamka zapadnie, to... aż się boję.

Przed ceremonią ślubną denerwuję się bardziej niż przed egzaminem maturalnym. Ten przeszedł gładko i bezstresowo, bo nie zależało mi na ocenach. Nie wybieram się na wyższą uczelnię czy do policealnego studium i należało jedynie go zdać, co mi się zresztą udało. Chciałam mieć to z głowy, a ślub i wesele pragnę na długo zachować w pamięci. Muszą być perfekcyjne.

Mamy piękną słoneczną pogodę – lato w tym roku przyszło w maju. Rano temperatura wynosi ponad dwadzieścia pięć stopni i rośnie. Niebo jest czyste i błękitne i nie ma szans na najmniejszy nawet podmuch wiatru. Od rana w dniu uroczystości mama chodzi nadęta i niezadowolona. Sądzi, że Ahmed w końcu zmięknie, ale on całkowicie lekceważy jej zachowanie. Zajmuje się mną i naszymi przyjaciółmi, którzy wcześniej przychodzą do mieszkania mamy, aby pomóc nam w ostatnich przygotowaniach. Nie wiem jakim cudem, ale zbierało się ponad dwadzieścia zaproszonych osób, więc będzie to największe przyjęcie, jakie do tej pory z mamą wydawałyśmy. Nagle słyszymy dzwonek do drzwi. Patrzymy po sobie, bo nikogo więcej się nie spodziewamy. Małe lokum już pęka w szwach i ledwo można się minąć, przechodząc z salonu do mojego pokoju czy kuchni lub łazienki.

– Nie przeszkadzam? – słysząc głos zza uchylonych przez Ahmeda drzwi. Wysoki mężczyzna w średnim wieku, w ciemnym garniturze z białym goździkiem w klapie przestępuje niepewnie z nogi na nogę.

– Pan do kogo? – pyta zdziwiony Ahmed, rozglądając się dookoła, lecz nikt nie ma zamiaru go oświecić, bo wszyscy są zajęci.

– Do Doroty – nieśmiało mówi przybysz.

– Narzeczony? – żartuje, bo dziwnie niepokoi go ta sytuacja.

– Myślę, że to ty jesteś jej wybrankiem, ja zaś tylko ojcem – smutno się uśmiecha.

– Przepraszam, proszę wejść. – Ahmed gestem zaprasza do środka. – Tak właśnie mi się wydawało, że skądś pana znam, tylko nie mogłem się zorientować skąd. Jest do pana podobna.

– Nie wiem. Dawno się nie widzieliśmy.

– Co ty tutaj robisz? – Wściekle patrzę na człowieka, który zostawił moją mamę, a mnie porzucił jak biedne małe szczenię.

– Dociu! – Ahmed szepcze z naganą w głosie.

– Akurat dzisiaj cię tutaj przyniosło, żeby zepsuć najważniejszy dzień w moim życiu?! Nie dość ci było?! – Stoję w białej tiulowej sukni i drę się jak kwiaciarka na straganie.

– Ja go zaprosiłam. – Matka przepycha się i staje między nami. – Mówiłaś, że się zgadzasz.

– Wspominałaś o poinformowaniu, a to różnica. Dobrze już... – Macham na to ręką, bo patrzy na mnie z wyrzutem. – Nie pamiętam, może się uczyłam albo myślałam o czymś innym – pokornieję.

– Lepiej zwracaj uwagę na to, co mówisz – docina mi. – Wejdz – ciepłym tonem zwraca się do mojego ojca. – Uznałam za stosowne, abyś przyjechał na jej ślub.

– Dziękuję, bardzo ci dziękuję, ale może ja poczekam pod urzędem, bo zdaje się, że macie komplet. – Wycofuje się spłoszony i prawie ucieka.

– No i dobrze – mówię, obracając się na pięcie.

– Ładne maniery ma ta twoja panna młoda – matka z pretensją zwraca się do Bogu ducha winnego Ahmeda, chwytając torebkę i wybiega za byłym mężem. Ależ ona jest skończoną idiotką! Gdyby tylko kiwnął palcem, rzuciłaby mu się w ramiona. Co za brak godności! Jestem oburzona i zła.

Pod ratusz podjeżdżamy białym mercedesem przyozdobionym balonikami i kokardami. W urzędzie stanu cywilnego ruch jak na Marszałkowskiej. Stoi kolejka podenerwowanych młodych par. Goście gubią się i mieszają wzajemnie. Słysząc krzyki i nawoływania, tupot szpilek na marmurowej posadzce i płacz dzieci.

– Mamy małe opóźnionko. – Z sali wychyla się głowa odźwiernego. – Wszyscy dzisiaj chcą się żenić! – chichocze, lecz nikomu z oczekujących nie robi się weselej.

Patrzemy sobie z Ahmedem głęboko w oczy i nic nie mówimy. Mocno trzymamy się za ręce. Widzę żyłą pulsującą na jego spoconym czole, a szrama na szyi zabarwia się na głęboko fioletowy kolor i odcina od bieli kołnierzyka. Dzisiaj już nie pasował jedwabny szal, żeby ją ukryć, a zresztą przed kim i czegoż tu się wstydzić. Ja ledwo oddycham w ściskającym gumowym pasie, który miałam założyć na jedyne pół godzinki. Spoglądam na pozostałe panny młode. Wszystkie są mokre od potu, mocny makijaż zaczyna im spływać po twarzy. Uśmiechamy się do siebie na pocieszenie. Jedna biedaczka ma brzuch tak potężny, jakby prosto z urzędu miała jechać na porodówkę. Tej to już nawet supergorset nie pomoże!

– Jak się czujesz? – Ahmed zamiast się wściekać, martwi się o moje zdrowie.

– Przeżyję – mówię smutno, bo oczekiwałam zupełnie czego innego. Często tak się dzieje, że gdy śnimy i marzymy o czymś, idealizujemy zupełnie banalne wydarzenie. Tutaj i teraz

widzę przyzierność całej ceremonii. Chcę, żeby już było po wszystkim, pragnę założyć obrączkę, nazywać się Salimi i zamknąć się w naszym cudnym wynajętym mieszkanku.

– Uha! – słyszymy wesołe okrzyki, kiedy umordowani i spoceni z ponaddwugodzinnym opóźnieniem wchodzimy do wynajętej sali weselnej. Nasi goście musieli jakiś czas temu w najlepsze rozpocząć zabawę, bowiem są już mocno rozochoceni. Chyba nie jesteśmy im do niczego potrzebni.

– Proszę cię, nie denerwuj się. – Mocno ściskam dłoń Ahmeda, widząc pogardę i niezadowolenie malujące się na jego twarzy.

– Nie mogli na nas poczekać? – dziwi się. – Takie tutaj panują zwyczaje?

– Wiesz, że nie, ale zamiast pół godziny spędziliśmy w urzędzie dwie i pół – usiłuję tłumaczyć ludzi, w większości zaproszonych przeze mnie, a w zasadzie przez moją mamę.

– Wszyscy już są uchlani! – Z oburzeniem się krzywi.

– Słuchaj, teraz podadzą obiad, potem będą toasty i tort. – Trzymam go za obie ręce, jakbym się bała, że zaraz odwróci się i ucieknie. – Zaraz po tym możemy wyjść i wierz mi, mało kto zauważy nasze zniknięcie. Ja też nie mam już ochoty na zabawę i tańce – oświadczam ze łzami w oczach.

– Kotku mój, my tu zostaniemy, bo to nasze wesele i uwierz mi, że nie dopuszczę do tego, abyś się źle bawiła. To najważniejszy dzień w naszym życiu i nikomu nie pozwolę go spieprzyć.

– Ciągnie mnie do stołu i siadamy na honorowym miejscu.

– Nawet nie przywitała nas chlebem i solą – z żalem zauważam kolejne niedociągnięcie ze strony matki, która w najlepsze pije wódkę z moim ojcem.

– W domu mamy i bułki, i sól, więc ja cię ugoszczę tymi rarytasami. – Ahmed uśmiecha się, usiłując zażartować, lecz po raz pierwszy widzę w jego oczach lodowaty chłód, zwłaszcza kiedy spogląda w kierunku moich najbliższych. Wiem, że nigdy matce tego nie zapomni i sama w pełni popieram jego uczucia.

Z naszych miejsc zniknęła połowa zastawy, ale nikogo to nie interesuje. Po długim oczekiwaniu kelnerki przynoszą przystawkę: galaretkę z wieprzowych nóżek. Przecież mówiłam matce, że nie życzymy sobie żadnej świniny! Jej złośliwość nie zna granic. Odgryzła się za wódkę, która i tak leje się strumieniami. Patrząc sobie w oczy i uśmiechając się z przekąsem, solidarnie odstawiamy tłusty przysmak. Wyglodzeni chlapiemy polski rosół i obawiam się, że jest to jedyne „bezpieczne” danie. Po kolejnej godzinie oczekiwania i burczenia w brzuchu dostajemy schabowego z purée ziemniaczanym suto polanym tłuszczem i zasmażaną kapustą z boczkiem.

– Chyba będę cię musiał jeszcze dzisiaj zaprosić gdzieś do restauracji, bo tutaj się nie najemy. – Ahmed żartuje, z niedowierzaniem kręcąc głową i mocno zaciskając szczęki.

– Przepraszam cię. – Zawstydzona pochylałam się w jego stronę i kładę mu policzek na ramieniu.

– Daj spokój, przecież wiem, że to nie twoja wina. – Macha lekceważąco ręką i sięga po komórkę.

– Gdzie dzwonicz? – pytam zdziwiona.

– Myślisz, że pozwolę twojej matce szykanować mnie głupim jedzeniem?

Szeroko otwieram oczy, a słysząc przebieg jego rozmowy telefonicznej, wybucham gromkim śmiechem. Po piętnastu minutach pojawia się elegancko ubrana obsługa z KFC i Pizy Hut. Na dostawionym stole naprzeciwko nas lądują parujące i pachnące przysmaki.

– Dla tych, którzy nie mają ochoty obżerać się tłustą wieprzowiną, coś równie tuczającego, ale zdrowszego i smacniejszego. – Ahmed wstaje z miejsca i dobitnie zwraca się do całej sali. Nawet nie musi podnosić głosu, gdyż wszyscy goście zamarli i wstrzymali oddech. Część z nich prawdopodobnie dopiero teraz zauważyła naszą obecność.

– Czyś ty oszalał? – drze się wniebogłosy matka, równocześnie usiłując zablokować obsługę donoszącą kolejne pizze i smażonego kurczaka.

– Bardzo panią przepraszam, ale jak widać, nie zrozumieliśmy się w kwestii menu, bowiem ani nam – tutaj pokazuje ręką na mnie – ani moim gościom pani wybór nie odpowiada.

– Co za bezczelność, co za niewdzięczność, co za chamstwo – rozkręca się na dobre matka.

– Bardzo przepraszam wszystkich gości. – Wychodzę zza stołu i usiłuję zakończyć ten cyrk. – Proszę kontynuować zabawę i zapraszam, tak jak mój mąż, do nowego stołu. Muzyka, grać! – krzyczę w stronę pakamery z DJ-em.

Ponad połowa gości rusza biegiem ze swoimi talerzami i wręcz rozdrapuje świeżo przyniesione fast foody. Ahmed płaci za jedzenie i porywa mnie do tańca.

– To był najzabawniejszy i najprzyjemniejszy moment dzisiejszego wieczoru – śmieję się, kręcąc się w jego objęciach.

– Dla mnie też – stwierdza zadowolony. – Nie damy się.

Problemy i problemiki

Już na dwa tygodnie przed ślubem wynajęliśmy małe przytulne mieszkanie, nie w Poznaniu, lecz w mojej rodzinnej miejscowości.

– Wiesz, mam tutaj znajomych, przyjaciół, mamę... – przekonywałam.

– Ja rozumiem, każda córka chce być blisko matki, kiedy urodzi się jej dziecko – stwierdził Ahmed. – Moja siostra Miriam mieszka po drugiej stronie ulicy i codziennie podrzuca dzieci mamie. Ale wydaje mi się, że to co innego. Poza tym nadal nie czuję się tutaj bezpiecznie – zawieszła głos. – A te spojrzenia...

Po pewnym czasie znaleźliśmy jednak odpowiednie miejsce i zdecydowaliśmy, że na razie tutaj zostaniemy, przynajmniej na rok.

Nasze osiedle jest zupełnie inne niż blokowisko, w którym do tej pory mieszkałam. Ogrodzone, wejść można tylko przez strzeżoną bramę, a zbudowane z cegły budynki mają tylko po cztery piętra. Każde mieszkanie ma garaż, co było najistotniejsze dla Ahmeda, gdyż bardzo nie lubi martwić się o samochód. Już zdarzało mu się mieć porysowany gwoździem lakier czy pocięte opony. Nigdy jedną, zawsze co najmniej dwie, żeby nie można było założyć rezerwy i odjechać. Mamy dwa przestronne pokoje, wysokie jak w przedwojennej kamienicy, oraz jeden mały dla dziecka. W końcu jest czym oddychać. Meble są nowe, a cały wystój nowoczesny. Luksus, o jakim nawet nie śmiałam marzyć.

– Może miałaś rację z tym Poznaniem? – Obracam się na łóżku i patrzę na mojego zaspanego, świeżo upieczzonego męża.

– Pod jakim względem? – Jeszcze nie do końca się obudził.

– Chyba tam trzeba było wynająć mieszkanie. Aktualnie przez długi czas nie mam ochoty oglądać mojej mamusi. – Uśmiecham się smutno.

– To już, kochanie, musztarda po obiedzie – odpowiada, czochrając się po kędzierzawych włosach. – Umowa podpisana, a mieszkanie jest całkiem sympatyczne.

– Tak, świetne – przyznaję. – Nawet nie sądziłam, że u nas można takie wynająć.

– Nie będziemy przejmowali się błahostkami, cieszymy się życiem. – Ahmed wyskakuje z łóżka i odsuwa zasłony.

Jest przepiękna pogoda. Słońce świeci, lecz grzeje jeszcze bardzo delikatnie, ptaszki śpiewają, a na podwórzu słychać śmiechy i nawoływania dzieci.

– Ale cudnie. – Podchodzę do okna, opieram brodę na rękach i wdycham świeże powietrze. – Idę do szkoły po świadectwo, czas najwyższy zamknąć ten rozdział w moim życiu. Pójdiesz ze mną?

– No wiesz... – Ahmed śmieje się zakłopotany. – Nie mam najlepszych wspomnień związanych z tym miejscem. Po co narażać się na następne nieprzyjemności.

– Nie przesadzaj. Sytuacja diametralnie się zmieniła, jesteśmy teraz małżeństwem i cała kadra nauczycielska, z dyrektorem na czele, może nam nagwizdać – mówię zadowolona.

– Jak chcesz – nadal słyszę wahanie w jego głosie.

– Tak, chcę się tam z tobą pokazać. A jeszcze bardziej chcę im pokazać mój brzuch. Już dłużej nie muszę i nie mam ochoty go ukrywać. – Paraduję po pokoju w samych majtkach i głaszczę się dumna po mojej wypukłości.

– Wiesz, że wyglądasz teraz niesamowicie sexy?

Mój młody mąż jest już przy mnie, gładzi mnie po ciele, aż dostaję gęsiej skórki. Czuję jego podniecenie, które udziela się również mnie. Zamiast udać się do szkoły, oddajemy się namiętności. Najpierw gwałtownie, jak koty w marcu, następnie rozkoszujemy się każdą chwilą,

każdym dotykiem. Nasz dzidzius przywykł do wybryków rodziców i w ogóle się nie denerwuje, śpiąc sobie w najlepsze.

Tuż po południu zbieramy się w końcu do wyjścia.

– Tak idziesz? – Ahmed spogląda na mnie trochę zdziwiony.

– A czemu nie?

Przez tyle czasu ukrywałam ciążę, że teraz najchętniej wyszłabym w samych majtkach i biustonoszu i krzyczała do wszystkich: „Będę miała dziecko, będę miała dziecko! Pocałujcie mnie w nos!”. Założyłam dżinsy z dodatkiem lycry, które kupiliśmy już na moją nową figurę, oraz przykrótki podkoszulek odsłaniający dół brzuszka. Koniecznie chcę go wszystkim pokazać, szczególnie w szkole. Czuję jednak chłód przebiegający po gołym krzyżu i narzucam na siebie cieniutką wiskozową koszulę w kratkę, której jednak nie zapinam na guziki.

– Teraz trochę lepiej – śmieje się Ahmed, biorąc mnie za rękę.

Budynek wygląda na wymarły, choć koniec roku szkolnego był zaledwie dwa tygodnie temu.

– Ktoś musi być w środku – uspokajam siebie i męża. – Nauczyciele nie od razu wyjeżdżają na wakacje.

W momencie kiedy chcemy otworzyć drzwi wejściowe, staje w nich dyrektor.

– A wy tu co? – pyta niezbyt miło, blokując nam wstęp. – Już raz tego tam stąd wyrzuciłem, mam zrobić to ponownie?

– Przychodzę po świadectwo maturalne. – Czuję rosnące napięcie i wściekłość. – Czyżbym nie miała do tego prawa?! – podnoszę głos.

– On też pisał u nas maturę? – Ironicznie wskazuje głową na Ahmeda.

– Mój mąż może chyba wejść ze mną? – mówię z dumą w głosie.

– Nic mnie nie obchodzi, mąż czy kochanek, takich tutaj nie wpuszczamy. Już pokazał, jak przestrzega przepisów i jaki z niego...

– Wie pan doskonale, że on nie pił! – Ze złości chwytam go mocno za nadgarstek, jakbym usiłowała go zmiążyć. – W odróżnieniu od pozostałych!

– Co ty mi tutaj, bić się ze mną będziesz?! – wrzeszczy na całą ulicę, aż nieliczni przechodnie odwracają głowy. – Straż, straż! – Macha ręką w stronę człowieka w czarnym uniformie i odblaskowej żółtej kamizelce, który spokojnie idzie drugą stroną ulicy i w ogóle nie zwraca na nas uwagi. – Arabowie chcą wtargnąć do szkoły! Pomocy! – używa ostatecznego argumentu i funkcjonariusz błyskawicznie do nas podbiega.

Ahmed zaczyna się śmiać i z niedowierzaniem masuje dłonią czoło.

– Nie do pomyślenia, to jakiś absurd – szepcze jakby sam do siebie.

– Co się dzieje, panie dyrektorze? – Młody strażnik uprzejmie zwraca się do pryncypała, zupełnie nas lekceważąc.

– Już mieliśmy kłopoty z tym ananasem. – Dyrektor wskazuje głową na Ahmeda. – A teraz bezczelnie znowu chce wejść do naszej szkoły.

– Proszę pana... – zwracam się w kierunku mundurowego.

– Do pani nikt nie mówi! – przelotnie patrzy na mnie i podnosi głos. – Proszę stąd odejść!

– Czy pan zwariował?! – w końcu przestaję nad sobą panować. – Chcę odebrać świadectwo maturalne, a dyrektor mi to uniemożliwia. Uważa pan, że to nie jest moja sprawa?

Strażnik baranieje.

– O co tutaj chodzi? – zwraca się do nas.

– Żona przyszła, tak jak mówi, po świadectwo, a ja jestem z nią – spokojnie wyjaśnia Ahmed. – Ten człowiek już podczas naszego poprzedniego spotkania szkalował mnie i fałszywie osądził, a teraz chce kontynuować swoją rasistowską krucjatę.

– Proszę o dokumenty. – Służbista nie daje się tak łatwo przekonać.
Ahmed wręcza mu kartę stałego pobytu, zaświadczenie z uczelni o odbywanych studiach doktoranckich i paszport.

– Więcej przy sobie nie mam, ale akt ślubu mogę donieść w ciągu pięciu minut – mówi uprzejmie, choć widzę wściekłość na jego twarzy. Po co ja go tutaj ciągnęłam?!

– Pan pozwoli ze mną na stronę. – Młody człowiek odciąga Ahmeda na bok. – Ten stary cap zawsze się wszystkich czepiał, proszę nie myśleć, że tylko pana – szepcze. – Ja z nim też swoje przeszedłem.

– Poważnie? – Ahmed ze zdziwieniem kiwa głową.

– Tutaj nie ma drugiego liceum, więc ten pijak czuje się jak udzielny władca – smutno wzdycha. – Ja też studiowałem w Poznaniu – napomyka mimochodem.

– Naprawdę?

– To samo, informatykę – mówi z błyskiem w oku.

– To co pan, do cholery, robi w tym mundurku? – dziwi się Ahmed. – Na komputerach można trochę lepiej zarobić.

– Pewnie, że tak, ale trzeba mieć pieniądze na start, a ja ich nigdy nie miałem – wyznaje.

– Tu w tej branży też nigdzie człowiek się nie zatrudni, bo żadnych firm tego typu nie ma.

– Niedługo będzie.

– Poważnie, gdzie, skąd wiesz? – pyta podekscytowany.

– Ja otwieram. Mam już taką w Poznaniu, tam będzie centrala, a tutaj zakładam filię. Wiesz, żona jest stąd i nie chciała wyjechać – wzdycha.

– Głupia czy co? Och, przepraszam – gryzie się w język.

– Teraz chyba też żałuje, ale wiesz... mama, przyjaciółki.

– Ach te baby. – Zgodnie kiwają głowami. – Ale mam fart, że cię człowieku poznałem. Mietek jestem. – Wyciąga dłoń i mocno potrząsa ręką Ahmeda.

– Ja też się cieszę. Właśnie znalazłem pierwszego pracownika, nieprawdaż? – Ahmed zadowolony śmieje się do chłopaka. – Teraz musimy poszukać lokalu.

– Chłopie, ja ci dziesięć nagram. I ochrona gratis. Już chłopaki ode mnie z firmy będą tam sto razy dziennie przechodzić, nikt się nie włamie, nawet mysz się nie prześlizgnie. – Śmieją się jak starzy kumple i poklepują po plecach.

Ja z dyrektorem z dystansu obserwujemy całą scenę. Słyszę piąte przez dziesiąte, ale, jako że mam bystre ucho, wiem, co jest grane. Stary nauczyciel nie ma pojęcia, co się kroi. Ironicznie uśmiecham się pod nosem.

– Mieciu, może byśmy tak bez rozlewu krwi odebrali to cholerne świadectwo mojej żony. Zanim zdąży urodzić. – Ahmed po przyjacielsku bierze strażnika pod ramię.

– Jasne, jasne. Zupełnie wyleciało mi to z głowy. Panie dyrektorze drogi – podchodzą do nas – chyba nie chce pan sobie zostawić na pamiątkę cenzurki tej miłej absolwentki naszego wspaniałego liceum? – mówi z przekąsem. – Może byśmy ją tak w końcu wydali?! – nie tyle pyta, ile nakazuje głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ale, ale... – próbuje oponować dyrektor.

– Nie będę na pańskie dziwactwa tracił całego dnia! – Stróż porządku bierze go pod pachę i wprowadza do szkoły. – W ciągu pięciu minut wszystko ma być gotowe! Chodźcie, chodźcie, drogie dzieci – przyjacielskim tonem zwraca się do nas.

– Mietek, jak ty mówisz do swojego... – wykrzykuje dyrektor, jednocześnie wijąc się w mocnym uścisku niczym piskorz.

– Ja nie jestem dla pana żaden Mietek. Ma pan zwracać się do mnie panie władzo albo panie funkcjonariuszu straży miejskiej. Nie jestem tutaj prywatnie, lecz służbowo i na domiar

złego tracę czas i nerwy. Szykanuje pan uczciwych obywateli i obawiam się, że będę musiał napisać raport.

– Co?! – Wytrzeszcza oczy dyrektor.

– Ile zostało panu do emerytury, chyba już niewiele? Dobrze by było doczekać na tym ciepłym stołeczku, nieprawdaż? – daje ostatnie ostrzeżenie Mietek.

Dyrektor podkula ogon i wbiega do swojego gabinetu. Po niespełna minucie jego zastępczyni i wieloletnia kochanka, nauczycielka od matematyki, z wypiekami na twarzy wręcza mi upragnione świadectwo maturalne.

Od czasu wesela mama nie pojawiła się u nas ani razu. Całe długie upalne wakacje nie podkusiło ją, aby zobaczyć, nawet z ciekawości, jak jej córka mieszka i jak sobie radzi. Może i dobrze, bo my w tym czasie ochłonęliśmy, złość zelżała i wspomnienia feralnej uczyt nie budzą już w nas żadnych emocji. Nawet śmiejemy się z tego, zwłaszcza z numeru z Pizzą Hut i KFC. Mamy teraz inne, ważniejsze sprawy na głowie.

Jeszcze rok temu nie przyszłoby mi do głowy, że będę mieszkać w pięknym, luksusowym mieszkanku, spodziewać się dziecka i organizować wraz z mężem nasz mały biznes. Ahmed ma już tytuł doktora i aktualnie angażuje cały swój czas i wszystkie siły w rozkręcenie firmy. Przypadkowo poznany Mieciu jest jego prawą ręką i stał się niezastąpiony we wszystkich sprawach, nie tylko służbowych. Przykręcić karnisz, zawiesić firankę, zrobić zakupy, zawieźć dywan do pralni – przed niczym się nie wzdraga, nic mu nie uchybia. Zaczął w końcu zarabiać godziwe pieniądze, choć firma jeszcze nie dostała żadnego poważnego zlecenia. Mieciu zdaje sobie sprawę, że Ahmed płaci mu z własnej kieszeni i umie to docenić. Na razie jest marketing i reklama, lecz wierzymy, że wkrótce żmudne starania zaczną owocować.

– Słuchaj, pomoc twoich kumpli ze straży jest nieoceniona, ale musimy jeszcze podpisać umowę z profesjonalną firmą ochroniarską i wykupić ubezpieczenie – decyduje Ahmed i informuje o tym swojego współpracownika.

– Ale po co, to wyrzucone pieniądze. – Miecio broni się, jakby wykladał je z własnej kieszeni.

– Dlatego, że w razie kradzieży dostanie się przynajmniej częściowy zwrot pieniędzy. W przeciwnym zaś wypadku zero. Nie bądź dzieckiem, oszczędzisz na małym, a możesz stracić wszystko. Nonsens.

Jak znam mojego męża, na pewno dawno to wszystko zrobił, a mówi o tym jedynie pro forma.

– Nie jesteś zmęczona? – Cały czas troszczy się o mnie.

– Skąd, świetnie się czuję.

– Nie powinnaś się położyć, odpocząć w ciągu dnia? – nie jest do końca usatysfakcjonowany moją odpowiedzią.

– Żartujesz chyba! – oburzam się. – Mam siedzieć w domu, kiedy tutaj takie ważne rzeczy się dzieją?

– Ale proszę cię, nie zmuszaj się do wysiłku. I odłóż tę miotłę! – wykrzykuje już mocno zdenerwowany.

– Twoje krzyki bardziej mogą mi zaszkodzić niż trochę ruchu. – Patrzę na niego z naganą.

– Ja nie wiem, jak wy traktujecie u siebie ciężarne kobiety, ale domyślam się, że jak święte krowy.

– Jakbyś zgadła – przytakuje. – One same tak się ze sobą pieszczą.

– Tragedia! – Jeszcze intensywniej zaczynam przecierać biurko mokrą szmatką. W tej samej chwili w lewej pachwinie łapie mnie skurcz, a po sekundzie przesywający ból przenosi się na całe podbrzusze. Brakuje mi tchu.

– Tak się dzieje tylko w miastach – kontynuuje Ahmed, nie patrząc na mnie. – Na wsiach, na pustyni, kobiety pracują do ostatniej chwili i rodzą w biegu – śmieje się, spokojnie segregując papiery i niczego nie zauważając. – Ty chyba właśnie tego pragniesz. Nie chcesz mieć czasu na rozmyślania, jak to będzie, co to będzie, bo panicznie boisz się porodu. Myślisz, że go przegonisz, przeskoczysz, ale przed tym nie da się uciec. To fizjologia, natura...

– Nie pieprz już, Ahmed – niegrzecznie mu przerywam i charczę przez ściśnięte bólem gardło. – Właśnie dobiegam na metę – informuję go trochę delikatniej, rękami opierając się o krzesło i powoli zginając w pół.

– Że co? – Nic nie rozumie.

– Chłopie, ona rodzi! Do szpitala! – Jak zawsze niezawodny Miecio wybiega po samochód.

– Panie, tu się nie wchodzi. – Ciec o zapijaczonej mordzie zatrzymuje Ahmeda w pół kroku.

– Moja żona właśnie urodziła i chcę się z nią zobaczyć. To chyba normalne.

– Może i normalne, może i nie – enigmatycznie odpowiada obwieś w brudnym kitlu. – Ale tu się nie wchodzi jak do stajni! Przepustkę pan masz? – Wyciąga rękę w stronę zdumionego Ahmeda.

– Mietek, o co tu biega? – woła Ahmed do zbliżającego się kolegi.

– Daj mu w garść, to wejdiesz – informuje Miecio, zdziwiony jego niewiedzą.

– Aha, taki *bakszysz*. Zupełnie jak u nas.

Wcisną sto złotych w lepką, brudną łapę dozorca, po czym bez słowa dostają fartuchy i wchodzi.

– Tyś chyba zwariował! Tyle szmalu! Dycha by wystarczyła. – Mietek z dezaprobatą kręci głową.

– Trzeba było mówić, skąd niby mam to wiedzieć.

Na palcach, po cichutku idą przez przyciemnione korytarze. Nikogo nie widać, szpital wygląda na wymarły. Niezatrzymywani przechodzą przez wielkie drzwi z napisem „Oddział położniczy drugi” i stają jak wryci. Na brudnym, śmierdzącym korytarzu, gdzie przy ścianach ustawiono łóżka, leży pełno kobiet i słychać nieustający płacz niemowląt.

– Kochanie, na Allaha, co ty robisz tutaj na korytarzu, i to naprzeciwko sracza?! – Przerażony Ahmed pochyla się nade mną.

– Jak mnie odnalazłeś w tych czeluściach piekieł? – pytam słabym głosem, bo czuję się śmiertelnie wyczerpana. – Tak chce mi się pić, królestwo za łyk wody.

– Nic nie dostałaś? – Widzę błyski złości w jego oczach.

– Chyba żartujesz – śmieję się przez łzy. – Musiałam walczyć o łóżko do rodzenia, bo byłam już bliska wydania na świat naszej pierworodnej córki w ubikacji.

– Cooo! – podnosi głos i toczy rozwścieczonym wzrokiem dookoła.

– Cicho, cicho – uspokaja go Mieciu. – Czy wyście nic nie zapłacili?

– Przecież to szpital państwowy, a nie prywatna klinika – tłumaczy Ahmed. – Komu dać, jak?

– Dzieci, zupełne dzieci! – Nasz przyjaciel chwyta się za głowę. – Za darmo to można tylko umrzeć! To i tak cud, że twoja biedna żona urodziła. Bogu dzięki, że nie było komplikacji – oddycha z ulgą. – A jak mała?

– Powiedzieli, że silna i zdrowa – informuję z dumą. – Ma dziesięć abgarów na dziesięć, cokolwiek by to miało znaczyć. Wrzeszczała tak głośno, że nie można było wytrzymać, więc chyba wszystko okej.

Mocno trzymam Ahmeda za rękę, bo boję się, że odejdzie i znów zostanę sama. Czuję się

bezbronna i zupełnie zagubiona. Wszystko mnie boli, lepię się od brudu, a z obrzydzenia nawet nie postawiłam nogi w ubikacji i obawiam się, że zaraz się posikam. Co za wstyd!

Ahmed z paniką w oczach rozgląda się dookoła.

– Mietek, musimy je stąd zabrać, i to natychmiast – mówi w końcu twardym, władcym głosem.

– Nie panikuj! Przynajmniej przez trzy dni powinny zostać na obserwacji, takie są zasady. Co zrobisz w domu, jak wda się jakieś zakażenie albo infekcja? Możesz nawet o tym nie wiedzieć, a kiedy się zorientujesz, może być za późno – snuje czarny scenariusz, aby odwieść Ahmeda od jego pomysłu.

– Nie zostawię ich tutaj! Ani minuty dłużej!

– Spokojnie, na wszystko znajdzie się rada. – Chwyta się pod brodę i intensywnie duma, ale po jego minie widzę, że rozwiązanie już kołacze mu się po głowie. On wie, jak się żyje w tym kraju.

– Szefie, masz jakieś dolary w domu?

– Pewnie, ale niewiele. – Ahmed z nadzieją patrzy na wszystkowiedzącego kolegę.

– Za trzy dni powinny wystarczyć trzy stówki.

– To grosze! Co mam robić?

– Leć migiem do chałupy, tylko nie oddawaj fartucha cieciami; powiedz mu, że za chwilę wracasz. Ja w tym czasie przedzwonię do jednego znajomka. Jego matka była tutaj kiedyś ordynatorem, musi mieć jeszcze jakieś układy.

– I tak bezinteresownie nam pomoże? – dziwię się, bo jakoś nie mogę w to uwierzyć.

– Dług wdzięczności – odpowiada Miecio z szelmowskim uśmiechem. – Kiedyś pod wpływem alkoholu synuś powszechnie szanowanej pani doktor spowodował karambol. Na dokładkę był z paroma panienkami, a żona w domu. Jako że nikomu nic się nie stało, tylko laleczki miały trochę zadrapane buźki, dałem mu uciec, a potem upozorowaliśmy kradzież samochodu – wspomina z rozmarzeniem, jakby to był najwspanialszy dzień w jego życiu. – Cóż, nadszedł czas zapłaty.

Ahmed, wysłuchawszy historii, wybiega ze szpitala. Mieciu, rozmawiając przez komórkę, znika w mroku korytarza i słyszę tylko przytłumione dźwięki prowadzonej konwersacji. Po niespełna kwadransie dwóch salowych chwytam moje metalowe łóżko za poręczę i toczy wzdłuż korytarza.

– Dokąd jedziemy?! – krzyczę przerażona, gdyż najbardziej w tej chwili potrzebuję spokoju i snu. Może będą mnie jeszcze badać, może szyc? Tylko niech mnie nie dotykają, bo ból, nie wiadomo czemu, nasila się i opanowuje całe moje ciało. Boję się. – Mieciu! – wrzeszczę na cały oddział.

– Spokojnie, wszystko jest pod kontrolą, a za chwilę będzie już całkiem dobrze. Niczego się nie obawiaj. – Podbiega i mocno ściska moje ramię, dodając mi w ten sposób otuchy.

Wjeżdżamy do małego, ale przytulnego pokoju. Pachnie w nim zupełnie inaczej niż na korytarzu. Znajdują się tutaj dwa łóżka, z czego jedno jest zajęte przez młodą kobietę czytającą jakiś magazyn. Na jej metalowej nocnej szafce stoją sok, woda, owoce w koszyku, a naczelnie miejsce zajmuje wazonik z piękną szkarłatną różą. Inny świat. Sanitariusze niezbyt delikatnie przerzucają moje cuchnące ciało na wolne łóżko i znikają. Czuję się niezbyt komfortowo i jest mi straszliwie zimno, bo leżę na pościeli, a nie pod nią. Nie mam siły wstać czy nawet obrócić się i coś z tym zrobić. Zamykam oczy i zapadam w letarg.

– Witamy, witamy. – Nagle ktoś delikatnie dotyka mojej dłoni.

– Dzień dobry – odpowiadam grzecznie i lekko uchylam oczy. Miła uśmiechnięta twarz pielęgniarki pochyla się nade mną.

– Coś tak czuję, że jeszcze nie byłaś pod prysznicem – mówi, marszcząc brwi. – Dalej, młoda damo. – Podstawia wózek i pomaga mi wstać.

– Ale mnie tak wszystko booli – jęczę i kapryszę jak dziecko.

– Dlatego też musisz się rozruszać. Już dawno powinnaś wstać i przejść przynajmniej parę kroków. Nie możesz się tak rozczulać nad sobą. A kto zajmie się dzidziusiem, kiedy wrócisz do domu, hę? Służba?

Stękając, usiłuję spuścić nogi z łóżka, lecz kręci mi się w głowie i omal z niego nie spadam.

– Ostrożnie, księżniczko! – Pielęgniarka chwytą mnie w ostatniej chwili. – Tylko nie siadaj na całej pupie! Przez jakiś miesiąc musisz zgrywać pensjonarkę i przysiąść tylko na jednym pośladku – śmieje się.

– Dlaczego?

– Bo ci szwy popękają, głuptasie – tłumaczy.

Jedziemy do łazienki, która na pewno nie jest do ogólnego użytku. Czysta wanna aż zaprasza, aby się w niej położyć, a białe ręczniki równiutko złożone czekają na kozetce.

– Super – szepczę, mocno zaciskając nogi i siedząc krzywo na jednym półdupku.

– Tak będzie, kiedy spłuczemy z ciebie cały brud. – Życzliwie uśmiecha się moja wybawicielka, delikatnie podtrzymując za jedno ramię.

Po pół godzinie z powrotem ląduję w mojej sali, czując się już zdecydowanie lepiej. Po zmyciu pokładów potu i zaschniętej krwi zniknęły złe wspomnienia, zelżał ból i nawet zrobiłam się głodna. Po chwili do pokoju wchodzi uśmiechnięty Ahmed ze starszym eleganckim panem w śnieżnobiałym fartuchu.

– Jak się ma nasza piękna młoda mama? – zwraca się do mnie doktor, wyciągając delikatną dłoń na przywitanie.

– Dziękuję, już dużo lepiej – szepczę, zawstydzona takim podejściem.

– Ale głosik jeszcze słaby – śmieje się. – Panie Ahmed, trzeba żonę wzmocnić, zamówić jakiś smaczny obiadek.

– Oczywiście, panie ordynatorze, zaraz się tym zajmę.

– Córeczkę przyniosą tylko do karmienia, bo resztę czasu lepiej poświęcić na odpoczynek. Będzie pani potrzebowała dużo sił, aby w domu samodzielnie zająć się maluszkiem. Zwłaszcza początki są ciężkie, ale do przeżycia – mówi do mnie życzliwie i ciepło jak ojciec.

Obraca się w stronę wyjścia i przyjacielsko bierze Ahmeda pod ramię. Szepczą coś między sobą, a do mnie dobiegają tylko pojedyncze słowa, typu „komputery”, „nowoczesność”, „programy” i „Ameryka”. Czyżbyśmy przy okazji narodzin dziecka zdobyli pierwszego poważnego klienta?

– Mamo, chciałam ci powiedzieć, że urodziłam Marysię – dzwonię w końcu, bo przecież nie wypada, żeby moja własna matka nie wiedziała, że została babcią.

– To dobrze, gratuluję – odpowiada oziębło.

– Jest duża, zdrowa i śliczna. Jesteśmy już w domu, tak że jeśli chcesz, mogłabyś ją zobaczyć – zagajam, bo sytuacja wydaje mi się chora.

– Niestety, na razie nie mam czasu. – Nie daje się przekonać. – Ale dziękuję za informację i zaproszenie.

– Oduściłabyś już sobie – mówię zawiedziona. – Jak długo masz zamiar się jeszcze obrażać? Czy wiesz, że zawziętość to grzech?

– Zrobiłaś się równie bezczelna jak twój mąż. Ale co się dziwić, w końcu to Arab.

– Ilu znasz Arabów, że masz taką wyrobioną opinię na ich temat? – oburzam się.

– Jeden mi wystarczy, aż nadto – podsumowuje i odkłada słuchawkę.

Jak ona mnie denerwuje! Oby taki charakterek nie był dziedziczny. Patrzę na moją śliczną córeczkę. Co za anioleczek! Ma jasną karnację, kręcone blond włoski, brewki jak niteczki i gęste czarne rzęsy. Oj, chłopcy będą ustawiać się do niej w kolejce. Moje matczyne serce raduje się na jej widok. A jaka jest spokojna. Je i śpi, śpi i je. Niczego się nie domaga i w ogóle nie płacze. Rano budzimy się o dziesiątej, ja pierwsza, bo piersi pękają mi od nagromadzonego przez noc pokarmu i za każdym razem trzęsę się ze strachu, czy mój dziadziuś jeszcze żyje, bo to nie może być normalne, żeby być takim śpiochem w jej wieku. Ale tak jest, w końcu los się do mnie uśmiechnął.

– To kiedy mogę zobaczyć tę moją wnuczkę? – Matka dzwoni po pięciu dniach. Sporo czasu potrzebowała, żeby się przemóc.

– Kiedy chcesz – mówię, ciesząc się mimo woli.

– Dzisiaj po południu?

– Oczywiście. Znasz adres, wiesz jak trafić?

– W końcu to nie metropolia, jakoś znajdę – nie może sobie darować złośliwości.

– Czekamy o piątej.

Spieszę się jak wariatka, aby zdążyć posprzątać i upiec jakieś ciasto. Zdaję sobie sprawę, że i tak mnie skrytykuje i na pewno wszystko będzie źle, ale nie chcę mieć sobie nic do zarzucenia.

– Twoja ulubiona teściowa w końcu przychodzi zobaczyć swoją wnuczkę – informuję Ahmeda.

– Bardzo dobrze, najwyższy czas – mówi zupełnie naturalnie, bez gniewu czy niechęci.

– To co, już nie jesteś na nią wściekły? – dziwię się.

– Moje prywatne uczucia do tej kobiety nie mają tutaj nic do rzeczy – tłumaczy, obejmując mnie za ramiona i patrząc mi głęboko w oczy. – To jest twoja matka i babcia naszej kruszynki. Szanuję to i absolutnie nie mam zamiaru zabraniać ci się z nią spotykać.

– Bardzo ładnie z twojej strony – mówię z przekąsem.

– Obawiam się jednak właśnie twojej zapalczowości. Proszę cię, nie wracajmy w rozmowie do ślubu i wesela. Nie poprawi to naszych stosunków, a wręcz przeciwnie, może spowodować małą wojnę domową. Lepiej załagodźmy sprawę na tyle, na ile jest to możliwe. Okej?

– Dobra, dobra – mruczę.

Kiedy słyszę dzwonek do drzwi, serce mi zamiera. Zaraz się zacznę.

– Docia, *relax, please*.

– Ahmed zatrzymuje mnie na chwilę i uśmiecha się. – Witamy w naszych skromnych progach. – Otwiera drzwi na oścież.

– Dzień dobry – bez entuzjazmu odpowiada matka.

– Wchodź, proszę. – Prowadzę ją do salonu.

Marysia śpi smacznie w kojcu. Temu dziecku nic nie przeszkadza; ani światło, ani głośna rozmowa, ani nawet telewizja. Wręcz przeciwnie – budzi się, kiedy jest za cicho. Dlatego też cały czas mamy włączone radio lub magnetofon.

– Malutka jest. – Matka staje nad naszą córeczką i mówi szeptem.

– Możesz mówić normalnie, nie obudzi się. – Staję obok niej.

Matka nie rusza się ani na krok. Mocno trzyma poręcz łóżeczka, jakby się bała, że ktoś ją stąd odsunie. Nie może oderwać wzroku od swojej wnuczki.

– Ładniutka jest, nie powiem – stwierdza na koniec. – Ale straszne maleństwo.

– Urodziła się bardzo duża, bo ważyła prawie cztery i pół kilograma – mówię z niekłamaną dumą. – A w ciągu miesiąca dołożyła już następny, tak że lekarka jest z niej bardzo

zadowolona.

– I taka spokojniutka. – Matka jakby w ogóle mnie nie słuchała.

Idę do kuchni i pomagam Ahmedowi w przygotowaniu poczęstunku. Patrzy na mnie porozumiewawczo i uśmiecha się pod nosem.

– Już jest kupiona, nic się nie przejmuj. – Delikatnie całuje mnie w czoło. – Teraz będziemy mieli wariant babci ułagodzonej.

– Myślisz? – niedowierzam.

– Ja to wiem.

– Obudziła się! – Przeżona matka wpada do kuchni.

– Zbliża się czas karmienia – oznajmiam ze spokojem. – Przecież nie płacze, wszystko jest w porządku.

– Właśnie, czemu ona nie płacze? – Matka jednak szuka dziury w całym. – Każde niemowlę musi płakać. To coś nienormalnego.

Patrzę wymownie na Ahmeda z wymalowanym na twarzy: „A nie mówiłam?”. Matka asystuje mi na każdym kroku. Patrzy, jak karmię, jak zmieniam pieluszkę i jak po wszystkim kładę Marysię z powrotem do łóżeczka.

– Może mama chce potrzymać wnuczkę na rękach? – Ahmed nie daje za wygraną.

– A mogę? Ona taka drobinka. – Przeżona wyciąga rękę i już do wieczora nikomu nie oddaje dziecka.

Jest miła rodzinna atmosfera. Ahmed zostawia nas z dzieckiem, a sam pichci makaron po arabsku, to znaczy z cebulą i sosem pomidorowym. Mamie wszystko smakuje i jest już łagodna jak baranek. Żadnych docinków, żadnych złych wspomnień.

– Może mogłabym ci jakoś pomóc? – mówi do mnie na odchodnym.

– Byłoby fajnie.

– Przecież co to za problem wyjść z nią na spacer czy posiedzieć wieczorem, a wy moglibyście gdzieś się ruszyć, pójść do kina czy znajomych.

– Wspaniale. – Ahmed śmieje się zadowolony. – Zdzwonicie się jakoś.

– Co tam odkładać na święte nigdy. Powiedz, o której ją wyprowadzasz, to przyjdę jutro – proponuje trzęsącym się głosem.

– Tak koło południa. – Jestem mile zaskoczona.

– Świetnie! – Ahmed klaszcze w rękę. – Siadłabyś w tym czasie w biurze i odbierała telefony. Może w końcu dasz się nauczyć jakiegoś komputerowego ABC.

– Bóg da, to jeszcze taka stara baba jak ja na coś się przyda. – Mama stwierdza ze smutkiem, lecz też z iską nadziei w oku.

Rozstajemy się zadowoleni z miłego popołudnia i z zawieszenia broni.

Matka od czasu pierwszej wizyty jest jak do rany przyłoż. W zasadzie nie tyle mi pomaga, ile prawie w stu procentach odciąża mnie i wyręcza w wychowywaniu córki. Może ktoś inny by się obruszył, ale dla mnie to idealny układ. Teraz widzę, że jeszcze nie całkiem dorosłam do roli matki i żony i, delikatnie mówiąc, zaczynało mi to ciążyć. Od momentu pojednania znowu oddycham pełną piersią. Marysia uwielbia swoją babunię, śmieje się i fika nóżkami na jej widok, a mama totalnie zwariowała na jej punkcie.

Prawie cały czas spędzam w firmie Ahmeda. Kiedy wszyscy muszą wyjść, odbieram telefony i umawiam klientów. Komputeryzacja szpitala na razie nie wchodzi w grę, bo państwowa służba zdrowia nie ma na to pieniędzy, ale może w przyszłości... Łapiemy jakieś mniejsze oferty i klienci są bardzo zadowoleni z naszych usług. Mietek i Ahmed idealnie się dobrali – jeden dowcipny i sprytny, drugi pracowity i skrupulatny. Jeden wynajduje i zjednuje klientów, drugi układa jakieś programy, czy to księgowo, czy bazy danych. Ja na razie znam to

tylko z nazwy.

– Docia, nie zajęłabyś się trochę dzieckiem? Przecież ono zapomni, jak wyglądasz. – Ahmed jest już trochę zmęczony moim kręceniem się po biurze.

– Przecież wam pomagam – mówię rozżalona, rozglądając się dookoła i szukając wsparcia.

– Taak – chóralnie odpowiadają z Mietkiem, nie chcąc mnie urazić ani rozjuszyć.

– To co, przyznajcie się, może wolelibyście mnie zastąpić automatyczną sekretarką, wyeliminować, wyrzucić – ugodzona do żywego zaczynam atakować. – A co wy tu niby chcecie robić, że ja wam przeszkadzam? Co? – Ze łzami w oczach porywam torebkę i kieruję się do drzwi.

– Docia, ty w ogóle nie znasz się na naszej robocie i nie masz ochoty niczego się nauczyć. Przecież klienci żądają fachowych informacji, których ty, niestety, nie jesteś w stanie im udzielić – mówi poważnie Ahmed. – Jesteś niereformowalna, nie znasz się na żadnym sprzęcie.

– Co?! – oburzona podnoszę głos. Mietek znika na zapleczu, nie chcąc być świadkiem rodzinnej awantury. – Niby jestem taka głupia, że nie potrafię włączyć na przykład magnetofonu?

– Właśnie, zatrzymałaś się na obsłudze grundiga i nie próbujesz nawet tego zmienić. Jeśli ja nie mogę cię niczego nauczyć, to może byś się zapisała na jakiś kurs. Trzeba tylko chcieć... – Patrzy na mnie z dezaprobatą. – Jak nie zajmujesz się dzieckiem i nie masz ochoty siedzieć w domu, to zrób coś sensownego.

– Fajnie! – wykrzykuję. – W końcu dowiedziałam się, co o mnie sądzisz. Nie dość że głupia, to jeszcze wyrodna matka. – Obracam się na pięcie, bo już nic więcej nie chcę usłyszeć, i wybiegam na gwarną ulicę.

Szybko zmienił o mnie zdanie. Najpierw byłam księżniczką, istotą idealną, jedną z jego hurys na ziemi, a teraz pstryk... Ja mu jeszcze pokażę! A kurą domową nie będę, nie dam się zamknąć w czterech ścianach między garami a śmierdzącymi pieluchami. Do tego mógł sobie wziąć arabską babę. Zmiana taktyki i głowa do góry. Wykonuję parę głębszych oddechów i zaraz widzę świetlaną przyszłość malującą się przede mną. Po co ja im się tam wpycham? Rzeczywiście jestem idiotką! Czas najwyższy pomyśleć o sobie.

Najpierw kosmetyczka, fryzjer i manicure, później może jakiś masaż. Teraz mogę przystąpić do działania.

Nie mam zbyt wielu popleczników, muszę więc wziąć sprawę we własne ręce. Na ulicznej latarni znajduję ogłoszenie o zajęciach aerobiku – niedaleko, niedrogo i gwarantujące idealną sylwetkę już po miesiącu. W poznańskiej gazecie wypatruję ogłoszenie o dodatkowym naborze do studium sekretarskiego z rozbudowanymi zajęciami z informatyki, tylko trzy razy w tygodniu, późnymi popołudniami, bo to kurs wieczorowy. Coś w sam raz dla mnie.

Życie nabiera barw i zaczyna się toczyć szybciej. Jestem tak zajęta, że nie zauważam, jak mijają dzień za dniem. Marysię widuję do południa, potem mama przejmuje moje obowiązki. Swoją drogą strasznie się cieszy, że rozpoczęłam dalszą naukę i widzę, że jest ze mnie dumna. Z Ahmedem widujemy się późnym wieczorem, a czasami nawet przez parę dni nie zamienimy słowa. Nieraz wraca, gdy ja już śpię, ostatnio jakbym czuła od niego alkohol, i to nie jedno piwko czy wino, tylko ten, któremu ponoć jest tak przeciwny. Może to zły wpływ Miecia i polskich realiów, więc udaję, że nic nie widzę, bo nie będę kruszyć kopii o głupoty. Jest naprawdę dobrze, każde z nas realizuje własne plany, stanowimy rodzinę i nierozzerwalnie łączy nas Marysia.

– Córeczko moja kochana – słyszę przez sen niewyraźny bełkot. – Kochasz tatuusia? – Ze zdziwieniem otwieram oczy, rozpoznając głos Ahmeda. – Bo twoja mamusia to już zupełnie ma mnie w duuupie – głupio chichocze, trzymając nasze maleństwo na rękach, kiedy sam ledwo może utrzymać się na nogach.

– Ahmed, do cholery, co ty wyprawiasz?! – Skaczę do niego i podtrzymuję w pionie.
– A co, z dzieckiem nie można się już pobawić? – pyta głupkowato, patrząc na mnie pijackim wzrokiem.

– Jest czas na zabawę i czas na spanie – mówię ostro. – Dla ciebie teraz jest pora na trzeźwienie i zastanowienie się nad jutrzejszym kacem.

– Oho ho, nasza księżniczka się wścieka. – Patrzy na mnie nieprzyjemnie. – Trzeba się trochę zainteresować rodziną, a nie włóczyć dupę po kochasiach.

– Co? – nie mogę wyjść ze zdziwienia. – Przecież sam wyrzuciłeś mnie z firmy, przeszkadzałam ci, niedouczonej idiotki. Sam powiedziałeś, żebym poszła na jakiś kurs, to o co teraz masz do mnie pretensje?

Ahmed traci równowagę i pada jak długi na łóżko. Rozbawiona Marysia śmieje się w najlepsze. Dla niej to świetna zabawa, a mnie z przerażenia włosy stają dęba. Gdyby tak upuścił ją na ziemię?!

– Zostaw dziecko, ty pijaku! – krzyczę, mocno już zdenerwowana. – Zrobisz jej krzywdę.

– A ty co jej robisz, zostawiając samopas codziennie? – Zaczyna się ze mną siłować i nie chce oddać mi dziecka. – Ups – śmieje się pijackim głosem i osuwa na ziemię.

Porywam córeczkę na ręce i szybko kładę ją do łóżeczka.

– Jutro porozmawiamy. – Staję nad nim, biorąc się pod boki. – O ile cokolwiek będziesz pamiętał z tego, co powiedziałeś.

– Ta, ta. – Macha lekceważąco ręką, zwijając się w kłębek na dywanie. – Spać – mruczy niewyraźnie.

Nie mam ochoty przenosić go do łóżka, niech jutro oprócz głowy bołą go jeszcze kości. Gdy budzę się następnego dnia, jego już nie ma. Czuję tylko zatęchły odór alkoholu unoszący się w naszej sypialni. Otwieram na oścież okno, biorę Marysię na ręce i idziemy do kuchni. Co za burdel! Staję w drzwiach jak zamurowana. Na stole leżą resztki jedzenia, lodówka jest otwarta na oścież, a podłoga lepi się od wylanych płynów. Sadzam dziecko w foteliku i zaczynam sprzątanie. Zdziwiona patrzę na otwartą paczkę szynki, ponadgryzane świńskie parówki, posmarowane musztardą tak grubo, że ich prawie nie widać. A na środku do połowy wypita butelka jeszcze zimnego piwa. Gdzie podziały się wszystkie przykazania głęboko wierzącego muzułmanina? Musiał być jeszcze pijany i nie wiedział, co robi. Żeby tylko nic mu się nie stało! Serce zaczyna mi szybciej bić. Żeby tylko nie wsiadał do samochodu!

– Mamo złota, mogłabyś dzisiaj trochę wcześniej przyjść – mówię, cała drżąc i próbując jednocześnie doprowadzić kuchnię do porządku.

– A co się stało? Masz jakiś dziwny głos? – Ona zawsze wyczuje, że coś jest nie tak.

– Nic takiego. Ahmed prosił, żebym im pomogła, bo mają mnóstwo roboty – próbuję kłamać, choć wiem, że nie jestem w tym dobra.

– Jeśli tak... – matka z niedowierzaniem zawiesza głos. – A kiedy?

– Zaraz, jak najszybciej, jak tylko dasz radę. – Z nerwów jednak nie panuję nad sobą.

– Mhm... Za chwilę jestem.

Biegam jak obłąkana po mieszkaniu. Cholera jasna, niedobrze się dzieje.

– Gotowa? – Po dziesięciu minutach słyszę głos matki w przedpokoju.

– Tak, już prawie. – W biegu spinam włosy w kok. – Ale jesteś szybka.

– Jak do pożaru. – Patrzy na mnie badawczo, a ja doskonale znam ten wzrok.

– Wszystko w porządku, mamo. Nic się nie martw. – Całuję ją w przelocie w policzek i uciekam jak najszybciej, aby nie dać jej szansy zarzucenia mnie pytaniami.

– Dociu, ale... – słyszę.

– Wszystko będzie dobrze! Dzięki, że przysłaś.

Nasze miasteczko rzeczywiście jest niewielkie, ale dzisiaj pobiłam rekord, docierając do biura w piętnaście minut.

– Jest tu kto? – krzyczę od wejścia, bo nie widać żywej duszy.

Dookoła panuje cisza, słychać tylko szum komputerów. Ktoś mógłby wejść i wynieść im połowę sprzętu, a nikt by tego nie zauważył. Dziwne. W kącie stoi telewizor, którego wcześniej nie było, z jakimś zatrzymanym filmem. To oni tutaj seriale oglądają? Zauważam, że jest podłączony do wideo i na chybił trafił przyciskam klawisz pilota. Nagle na całe biuro rozlega się jęk, skowyt i dyszenie pary, która kopuluje w kadrze pornograficznego filmu. Wybałuszam ze zdziwienia oczy. Co za obrzydlistwo!

– Dobrze się bawisz – za plecami słyszę twardy głos mojego męża.

– Co?

– Chcesz się podszkolić przed następnymi randkami z twoimi kochasiami? – Patrzy na mnie tępym wzrokiem.

– To ja chyba powinnam zapytać, co taki film robi u ciebie w biurze. Nieprawdaż?

– Ja ci się, kobieto, nie muszę z niczego tłumaczyć. Mnie wystarczy to, co ty wyprawiasz.

– Zaciska zęby, a blizna przez całą szyję wygląda, jakby miała zaraz pęknąć.

– O czym ty, do cholery, mówisz?! – krzyczę, bo ta sytuacja naprawdę zaczyna mnie denerwować. – Co ci się po tym głupim, arabskim łbie kołacze?!

– Kiedyś ci nie przeszkadzało, że arabski. – Chwyta mnie za kok i przyciąga do swojej twarzy, która cuchnie alkoholem.

– Nadal mi nie przeszkadza, lecz ty zacząłeś się zachowywać i prowadzić jak najgorszy polski małorolny chłopiec – syczę przez zęby z bólu i z wściekłości. – Puszczaj, ty chamie!

Szarpię mocniej, zostawiając mu w dłoni pokaźny pęk blond włosów. Podczas szamotaniny potrącam kasety wideo leżące w równej kupce na stoliku. Jest ich niemało. Na okładce widnieje uprawiająca seks rozebrana parka.

– To już wiem, jakie interesy robi mój mąż – mówię z niekłamaną satysfakcją. – Szara strefa, handel filmami porno.

– Nie przesadzaj – odpowiada zbity z pantafelów i dużo pokorniejszy.

– Że co?! – krzyczę przestraszona nie na żarty. – To jest niezgodne z prawem, to tak jakbyś prochami handlował! Ty głupcze! Chcesz iść siedzieć, chcesz iść do polskiego pierdła?!

– Docia, nie dramatyzuj. – Zawstydzony próbuje mnie objąć.

– Nie dotykaj mnie, ty zboku! A może współpracujesz z mafią, bo to ich działka?

– Mała rodzinna awanturka? – Podchmielony Mietek z głupim uśmiechem na ustach wparowuje niepewnym krokiem do pomieszczenia.

– Wiesz co, Mietek – teraz rzucam się na niego. – Sądziłam, że jesteś mądrzejszy, a przynajmniej sprytniejszy...

– O co chodzi? – Nadal zadowolony dopija drinka z oblepionej szklanki.

– Chodzi o to, że wcześniej czy później wpadniecie, bo wasza działalność jest nielegalna.

– E tam, przesadzasz. – Lekceważąco macha ręką i na swoje szczęście wychodzi. Zapewne po to, aby nalać sobie kolejną szklaneczkę.

– Dociu, masz rację. – Ahmed z pokorą patrzy mi w oczy. – Ale to tylko chwilowo, na początek. Nie ma zamówień, nie ma zysków, a przecież musimy z czegoś żyć.

– Ale...

– Jesteśmy ostrożni, nikt nas nie namierzy, bo wszystkie zamówienia rozchodzą się jak świeże bułeczki. Ryzykuje wypożyczalnia kaset, a nie my. Ta tutaj to już ostatnia partia. – Pochyla się nade mną i dotyka swoim spoconym czołem mojego.

– Mam nadzieję. – Powoli się uspokajam. – I przestań pić!

– Tak, przecież wiesz, że ja...
– To ci nie służy i jest wbrew twojej religii. Sam mówiłeś. A poza tym po wódce stajesz się zupełnie innym człowiekiem – mówię już rozżalona. – Nie tym, którego znam i którego kocham.

– Księżniczko moja, to się więcej nie powtórzy, przyrzekam. – Pochyliła się nade mną i czule całuje, a ja myślę tylko, że odór z jego ust jest nie do zniesienia.

– Idę do swoich spraw i mam nadzieję, że już wszystko będzie jak dawniej. Przemysł to sobie, dobrze?

– Pa, pa, Docciu. – Zabawnie przytyka dwa palce do czoła, udając, że saltuje.

Cóż, doświadczeni ludzie mówią, że nadzieja jest matką głupich. Ja widać do takich się zaliczam. Kolejne wieczory i noce spędzam sama albo z pijanym, wrogo nastawionym mężem. Siedzi, milczy i obserwuje mnie spod oka, jakby miał mi coś do zarzucenia. Zaczynam myśleć, że kiedy go nie widzę, jest lepiej. Jego obecność mi ciąży. To dla mnie niepojęte, bo jeszcze nie tak dawno nie mogliśmy się bez siebie obyć, rozmawialiśmy godzinami i wspaniale czuliśmy się w swoim towarzystwie.

– Dorota, powinnaś to ukrócić. – Matka nie wytrzymuje i postanawia się wtrącić.

– Ale co? – Jak zawsze udaję głupią.

– Jezu, jak ty mnie denerwujesz tymi swoimi odzywkami. Wydorosłej w końcu, jesteś żoną i matką, przestań chować głowę w piasek.

– Taka jesteś mądra? – Zrzucam maskę, bo to i tak nie ma sensu. – To powiedz mi, co mam zrobić.

– Zareaguj ostro. Idź tam i rozpędź to całe pijackie towarzystwo. Już całe miasto o nich mówi...

– Aaa, to dlatego się tym zainteresowałaś! – wściekła podnoszę głos. – Inaczej miałabyś to w dupie.

– Przestań się ze mną kłócić. Po prostu ten problem sam się nie rozwiąże, musisz stawić mu czoło.

– Już dawno chciałam tam wpaść i ich wszystkich wystrzelać po mordach. Dość tego, oni widać inaczej nie rozumieją. Ja im pokażę!!! – Podminowana zbieram się do wyjścia. – Zostań z małą i połóż ją spać. – Trzaskam drzwiami.

– Nie musisz od razu przechodzić do rękoczynów, wystarczy być stanowczym – słyszę przerażone wołanie matki na klatce schodowej.

Idę wściekła i jeszcze sama zagrzewam się w myślach. Do firmy wpadam jak torpeda. Światła wygaszone, ekrany komputerów emanują nieziemską poświatę. Słyszę śmiechy dochodzące z zaplecza, w tym kobiece. O nie, tego już za wiele!

– Witam zabawowych państwa. – Staję w drzwiach i pogardliwie nadymam usta.

Towarzystwo zamarło. Baczenie lustruję ich niechętnym wzrokiem. Jest oczywiście Mieciu, przyjaciel Ali ze swoją żoną Wiolettą, przypadkowo poznany przeze mnie Mahdi z młodocianą blond pięknoscią i mój mąż, pełniący obowiązki gospodarza.

– Co ty tutaj robisz? – Ahmed pierwszy budzi się z odrętwienia. – Oczywiście zostawiłaś dziecko, żeby włóczyć tyłek po nocy – przechodzi do ataku.

– A ty w ogóle wiesz, że masz dziecko? Kiedy je ostatni raz widziałeś?

– Nie pyskuj mi tutaj, kobieto, tylko marsz do domu – podnosi głos. – I to w podskokach!

Słyszę cichy kobiecy chichot. Wulgarnie wymalowana piękność wychodzi z małej kuchenki i obejmuje mojego męża w pasie. Nie wierzę własnym oczom, w głowie czuję pulsowanie, a za gardło chwytają mnie niewypowiedziany żal. Zamienił mnie na taką wywłokę.

– Może też byś pomieszkał w naszym domu czy już adresu nie pamiętasz? – nie poddaję

się, choć jest mi strasznie głupio w obliczu wszystkich tych obcych ludzi.

Ahmed mocno chwyta mnie za ramię i wyciąga z zaplecza. Czuję straszliwą moc jego uścisku i zbiera mi się na płacz.

– To może już mnie lać zaczniesz, co? – nie panuję nad głosem, który zaczyna mi się trząść.

– Jeśli nie będzie innej rady. – Staje naprzeciwko mnie i nienawistnie spogląda mi w oczy. – Nie będziesz kompromitować mnie przed przyjaciółmi, ty szmato. – Mocno popycha mnie w stronę drzwi.

– Sam się kompromitujesz, nawet nie wiesz jak bardzo – syczę przez zaciśnięte zęby, z trudem panując nad łzami.

– Jakbyś dupy nie włączyła ze swoimi kolesiami, to ja też bym siedział w domu.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– Wiesz co, nie mam ochoty w ogóle z tobą rozmawiać, wynocha mi stąd. Wracaj do swoich poznańskich kochasi. – Wypycha mnie za drzwi i zamyka je na klucz.

To jest jakaś sytuacja bez wyjścia, matnia, pat. Niekontrolowane łzy ciurkiem ściekają mi po policzkach. Mam gdzieś rozmazany makijaż i spojrzenia mijających mnie ludzi. Jestem taka nieszczęśliwa. Stoję na środku ulicy i płaczę niczym małe dziecko. Po paru minutach podnoszę wzrok i jak przez mgłę zauważam otwarty sklep. Pieprzę to wszystko, jak jemu wolno, to mnie też. Wchodzę i kupuję wino, piwo i dwie paczki papierosów. Może te używki mnie pocieszą, bo już nie widzę przed nami przyszłości. Wpadam do domu, prawie wypycham mamę za drzwi i rozkładam się w salonie. Muzyka gra na maksa, a ja w ekspresowym tempie opróżniam wszystkie butelki i wypalam całą paczkę szlugów. Gdy gaszę ostatniego papierosa w przepelnionej popielniczce, nagle czuję, że zawartość żołądka podchodzi mi do gardła. W ostatniej chwili dobiegam do ubikacji, trzaskam deską klozetową i z rykiem oddaję wszystko to, co w siebie wlałam. Później jeszcze długo siedzę w łazience na lodowatej podłodze, zalewając się łzami. Nie mogę się do niego upodobnić, bo co wtedy stanie się z naszym dzieckiem i naszym życiem. Topienie smutku w alkoholu to głupi pomysł, teraz przekonałam się o tym na własnej skórze. W końcu kładę się do pustego, zimnego łóżka i zapadam w kamienny sen. Nagle coś mnie budzi, Jezu, duszę się! Czuję kleszcze zaciskające się wokół mojej szyi. Z przerażeniem otwieram oczy i widzę zarys twarzy Ahmeda i jego błyszczące, zimne jak stal oczy. Zaczynam charczeć, jednocześnie wierzgając, bijąc go na oślep rękami i wijąc się jak piskorz. Jednak uścisk jest zbyt silny, zabójczo silny. W ostatnim przeblysku świadomości wsadzam nogę pomiędzy nas i z całej siły go odpycham. Pomogło, trochę rozluźnił palce. To dla mnie jedyna szansa, teraz już obiema nogami kopię go z całej siły, bo zdaję sobie sprawę, że walczę o życie. Ahmed odpada ode mnie i uderza plecami o stojącą nieopodal komodę. Jęczy z bólu. Z trudem łapię oddech, słyszę świst wydobywający się z mojego gardła, ale powoli organizm wraca do normy. Staję na nogi, dopadam do łóżeczka Marysi, porywam dziecko na ręce i nie oglądając się za siebie, tak jak stoję, wybiegam z mieszkania.

– Docia, ja go nie bronię, ale to w końcu twój mąż, takiego sobie wybrałaś – delikatnie przekonuje mnie mama.

– Czy sądzisz, że chciałabym z nim być, gdybym wiedziała wtedy to, co wiem teraz? – mówię z głębokim smutkiem.

– Cóż, nie zawsze jest lekko, łatwo i przyjemnie, takie jest dorosłe życie. Czasami trzeba iść na kompromis.

– To znaczy dać się zabić? – nie wytrzymuję i ostro na nią spoglądam. – Do czego ty mnie popychasz, chcesz się mnie pozbyć?

– Przecież wiesz, że możesz u mnie mieszkać, ale twoje miejsce jest przy mężu, daj mu

szansę.

– Na co? No powiedz mi, na co? – Zaczynam chodzić w tę i z powrotem, a Marysia z niepokojem śledzi moje ruchy. Od ostatniego zajścia zrobiła się nerwowa i płaczliwa.

– Rozmawiał ze mną, mówi, że nie wie, co się z nim stało...

– Gównu mnie to obchodzi – przerywam. – To, że on był w pomroczości jasnej, ja mogłam przypłacić życiem. Nic go nie usprawiedliwia.

– Na pewno, ale od tamtego czasu nie wypił ani kropli alkoholu i twierdzi, że teraz dokładnie wie, czemu jego religia zabrania spożywania tej trucizny.

– To ty odbywasz z nim długie konferencje. Oczywiście za moimi plecami. Dziękuję ci bardzo – mówię z wyrzutem.

– On codziennie rano, jak wychodzę do sklepu, stoi pod naszą klatką i błaga o pomoc i rozmowę. Ja chcę tylko twojego dobra. I Marysi oczywiście. Przecież widzę, jaka jesteś bez niego nieszczęśliwa.

– Bez niego?! A to dobre! Przecież ja się boję wyjść z domu ze strachu, że ten skurwieli zaciuka mnie w ciemnej uliczce.

– No... Nie dajmy się zwariować. – Widzę niepewność na jej twarzy.

– Siedzę tutaj jak mysz pod miotłą – kontynuuję. – Nawet z nauki zrezygnowałam, może właśnie o to mu chodziło, żebym była ciemną jak tabaka w rogu gospodyni domowej. Wymyślił sobie, że mam jakichś kochanków, a u nas w grupie było dwóch chłopaków, i to chyba pedały.

– Właśnie, to wszystko przez zazdrość – przytakuje matka. – On jest chorobliwie zazdrosny, jak długo żyję, jeszcze się z czymś takim nie spotkałam.

– Jeśli on sobie wymyśla moich adoratorów, to nigdy nie będę bezpieczna, a nasz związek nigdy nie będzie pewny. Jak z kimś takim żyć?

– Ciężko, ale spróbować warto. Daj mi jeszcze jedną szansę, jeśli to spieprzy, nigdy, przenigdy nie będę cię już namawiać do bycia z nim. Wręcz przeciwnie, pomogę ci z rozwodem, w końcu mam w tym wprawę – uśmiecha się gorzko.

– Sama nie wiem – zaczynam się wahać, bo jak idiotka nadal go kocham.

– To ja go zaproszę w niedzielę na obiad. – Mama aż klaszcze w ręce z radości. – I tym razem nie będzie schabowego z kapustą i boczkiem. – Teraz już obie śmiejemy się do łez.

Mija miesiąc za miesiącem, pory roku zmieniają się jak w kalejdoskopie. O tym, że robię się coraz starsza, przekonuję się, patrząc na moją córeczkę. Najpierw są brawa z okazji kupki do nocniczka, później pierwszych samodzielnych kroczków, następnie pierwszego własnoręcznie wyczyszczonego talerza z zupką, a teraz kupujemy coraz to nowe korkowe tablice i zawieszamy na nich jej abstrakcyjne prace malarskie. Ahmed strasznie ją rozpieszcza, nawet mama, której mała może wejść na głowę, oburza się szaleństwami mojego męża i twierdzi, że jego zachowanie jest niepedagogiczne. Tak więc Marysia ma elektroniczne pianinko Yamaha, pudła klocków Lego, całą wystawę lalek Barbie i Kena, rowerek, hulajnogę, różowe rolki, miniaturowy skateboard, a na trzecie urodziny dostaje gry Nintendo z jej ulubionym Mario Bross.

– Dziecko musi się rozwijać, moja droga – tłumaczy mi, zadowolony z siebie. – Przez to, że ty późno nawiązałaś kontakt z nowoczesną techniką, do tej pory czujesz przed nią paniczny strach. Bez znajomości obsługi całego mnóstwa elektronicznych sprzętów nie sposób teraz żyć.

– Ja jakoś jeszcze egzystuję – staję w mojej obronie mama.

– Powtarzam, że to niezbędne. Oto przykład: Marysia bezproblemowo włącza sobie bajki na wideo, a moja żona nie potrafi uruchomić kasety z ćwiczeniami areobiku. Ha!

– Tutaj muszę przyznać Ahmedowi rację – włącza się Gośka, która przyjechała w odwiedziny. – Bez obsługi komputera i najnowszych programów oraz wszystkich urządzeń biurowych nie ma co marzyć o pracy. Mieliśmy zajęcia z informatyki, ale zrobiłam jeszcze

dotatkowy kurs i teraz zbieram tego owoce; jako jedyna dostałam pracę tydzień po zakończeniu nauki. I to dobrze płatną!

– Języki też są ważne – chyba żeby mnie dobić, odzywa się Ula. – Zanim skończę studia, chcę zrobić FC oxfordzki lub cambridge’owski. Może uda się advanced?

Zupełnie nie wiem, o czym ona mówi. Jestem ciemną matką Polką, zapyziałą prowincjuszka. Jeden semestr w studium pomaturalnym omal nie zrujnował mi małżeństwa i życia. Moje przyjaciółki zaś przyjechały z wielkiego miasta i zgrywają panie z wyższych sfer. Jedna będzie superasystentką general managera, a druga specjalistką od public relations. Ja natomiast wychowuję dziecko, a jedyne wyjścia i kontakt z ludźmi to aerobik dwa razy w tygodniu w klubie osiedlowym na zajęciach porannych, bo nie ma tam wtedy ani jednego faceta. Same spasiono kury domowe.

– A w ogóle to jak wam idzie? – pyta Gośka, wystrojona w markowe łauszki.

– Cóż, powolutku – odpowiadam, bo niby czym mam się chwalić.

– Świetnie, znakomicie – entuzjastycznie włącza się Ahmed. – Bałam się otwierać internetowy biznes w takiej małej miejscowości, ale przecież teraz świat staje się coraz mniejszy. Już nie muszę jeździć ze wszystkim do klienta i mogę obsługiwać firmę odległą o tysiące kilometrów, siedząc sobie wygodnie w fotelu w ciepłym biurze.

– To dobrze, że wam się udało – szczerze się cieszy Ula, widać nie poprzewracało jej się w głowie tak jak Gośce. – A ile bierzesz za taki zwykły programik, nie dla firmy, lecz prywatnie?

– Dla znajomych mamy rabaty. – Ahmed śmieje się i otwiera kolejną butelkę czerwonego wina.

– Jak coś odłożę, to zwrócę się do ciebie. – Ulka z rozmachem zakłada nogę na nogę i wygląda na to, że go kokietuje.

– Nie żartuj! – Ahmed patrzy na jej długie nogi. – Przyjdź jutro, pogadamy, co tam chcesz, i się zrobi. A o wynagrodzeniu pomyślimy później.

– A gdzie podziali się wasi dawni chłopcy? – Muszę się jakoś bronić, przypominając im, gdzie ich miejsce.

– No wiesz... – Gośka robi dzióbek z ust. – Michał nie pasuje do mojego obecnego świata.

– To znaczy, że świat się zmienił, czy raczej twój światopogląd? O ile pamiętam, to mówiłaś, że jest to *love* na całe życie, albo jeszcze dłużej.

– Mechanik do biura pasuje jak kwiatek do kożucha.

– Przecież nikt nie każe mu tam przesiadywać, ma swoją pracę. – Nie mogę zrozumieć jej tłumaczenia. Za to teraz dokładnie widzę, jaka jest wyrachowana.

– Ależ my mamy wyjścia, spotkania! – mówi z dumą w głosie. – I co, miałby niby trzymać kieliszek z szampanem w tych swoich niedomytych łapach? Z towotem pod paznokciami?

Ahmedowi ze zdziwienia wydłuża się twarz i przestaje miło spoglądać na moją elegancką koleżankę. Jego wzrok stwardniał i niech taki już zostanie. O to chodziło.

– Jakoś ci to wcześniej nie przeszkadzało? – zauważam zgryźliwie.

– Tak jak mówię, ludzie się zmieniają, dorosleją. Niektórzy idą do przodu, pną się po drabinie, awansują, a inni stoją w miejscu, czyli zostają w tyle.

– Ładna filozofia! – Mama odwraca głowę, bo mimo zabawy z Marysią cały czas śledzi rozmowę. – Bardzo wygodna. Dzisiaj jestem z tobą, ale jak mi się powiedzie, to kopnę cię w tyłek. Oby ci się zawsze udawało...

– Przesadzacie – śmieje się Gośka, szybko chwytając kieliszek i opróżnia go do dna.

– Nie pytaj o Tomka, bo to on mnie zostawił i jeszcze do dzisiaj nie mogę się pozbierać. –

Ula „niestety” jest bez winy i w dalszym ciągu bezczelnie leci na mojego męża. Patrzy na niego maślanymi oczami i ciągle się kręci, chcąc zaprezentować z każdej strony swoje nogi w mini. – Musiałam nawet zrobić skrobankę – mówi na koniec i tym wyznaniem szokuje nas wszystkich.

– Jak to musiałaś? – pytam zdumiona.

– Przecież nie po to przez długie lata wkuwałam, tyle nocy zarwałam, dostałam się w końcu na studia, i to na uniwersytet, a nie do jakiejś niby-wyższej prywatnej szkoły, nie po to te wszystkie wyrzeczenia, żeby je ot tak zaprzepaścić i oddać się macierzyństwu. Nie żartuj! – szczerze się oburza.

– To powiedz mi tylko jedno – złośliwie ją podpuszczam. – Najpierw Tomek z tobą zerwał czy najpierw była skrobanka?

– A jakie to ma znaczenie? – Teraz ona wypija duszkiem cały kieliszek.

Atmosfera zagęszcza się do tego stopnia, że nikt nie ma ochoty zabierać głosu. Dziewczyny wychodzą pospiesznie i nawet nie całują się z nami na pożegnanie.

Odwiedziny u arabskiej rodzinki

Wyjazd tylko na wakacje

Dlaczego nie chcesz pojechać?! Zobaczyć, jak tam jest. – Ahmed ponownie namawia mnie do wyjazdu do swojego kraju. – Zróbmy sobie przedłużone wakacje. Nikt cię tam na siłę nie będzie trzymał. Wyjedziemy na początku lata, to do września do szkoły Marysi będziemy mieć mnóstwo czasu.

Nie wiem czemu, ale się boję. Przede wszystkim chyba jego rodziny. Coś nie chce mi się wierzyć w ich otwartość i przychylność do innego świata, według nich przecież zgniłego. Panikuję, zwłaszcza po obejrzeniu w telewizji programu o szaleńcach z karabinami czy bombami i z tym płomieniem fanatyzmu w oczach. Jak mam wyjaśnić obawy i lęki mojemu libijskiemu mężowi, aby go nie zranić? Znowu mogłoby być między nami źle, a już tak się poprawiło, że mroczna przeszłość wydaje się tylko złym snem.

– No powiedz coś! – naciska.

Zza ściany słysząc szczęśliwe piski Marysi, która beztrudnie bawi się z moją dziecinnością przy niej mamą. I miałabym ten spokój, bezpieczeństwo i zaciszny mały dom zostawić i tułać się na koniec świata? Cały czas obawiałam się i spodziewałam tej propozycji. Wiedziałam, że wcześniej czy później Ahmed będzie chciał pojechać do swojego domu i pokazać żonę i córeczkę rodzinie.

– Dociu? Jesteś tutaj jeszcze, czy gdzieś odpłynęłaś?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – zaczynam powoli.

– Prosto z mostu. Przecież wiem, że nie umiesz kłamać. – Obejmuje mnie ramieniem i czule całuje w szyję. – Co się dzieje?

– Ja się po prostu boję – szepczę.

– Ale koteczku mój, czego?! – Ze zdziwieniem patrzy mi głęboko w oczy.

– Wszystkiego! Kraju, ludzi, a przede wszystkim twojej rodziny! Jak mnie przyjmą? Może wcale mnie nie polubią i zaczną cię namawiać... – jak karabin maszynowy wyrzucam z siebie prawie wszystkie swoje obawy.

– Ale powiedz mi jedno. – Ahmed odsuwa się ode mnie i poważnie spogląda mi w oczy.

– Powiedz mi tylko jedno. Ufasz mi?

Po raz pierwszy widzę takie napięcie i powagę na twarzy mojego męża. Mięsień w policzku drga mu nerwowo, a szrama na szyi, jak zawsze w takich sytuacjach, robi się ciemnobordowa.

– Głupie pytanie – mówię podniesionym głosem. – Przecież doskonale wiesz, że tak.

– Co tak? – nadal ostro naciska. – Powiedz, co tak?

– Wiesz doskonale, że cię kocham i ufam ci... – Delikatnie przytulam się do niego i słyszę łomot jego serca.

Jeszcze nie do końca odzyskał moje zaufanie, ciągle pamiętam zły okres, który przeszliśmy na początku, stale boję się, że może powrócić. Tam nie ma alkoholu, pubów, koleśki i blond panienek, a przecież to cały czas spędza mi sen z powiek. Dobrze by było całkiem o tym zapomnieć.

– Więc może zastanowimy się kiedy? – mówię na koniec.

– Tak?! – Podskakuje uradowany. Jak szybko zmienił mu się humor. – To ja zarezerwuję bilety, wszystko załatwię. Musimy tylko małej wyrobić paszport, a to może potrwać nawet miesiąc. To nic! – wykrzykuje, klepiąc się po udach. – O wizy się nie martw, o nic się nie martw.

– Ale zaraz, zaraz, do lata jeszcze kawał czasu! – mówię przerażona takim obrotem spraw.

– Księżniczko moja kochana, tam już jest lato – śmieje się i porywa mnie w ramiona.

Czuję się, jakby uszło ze mnie powietrze. Zgodziłam się. Klamka zapadła. Teraz już nie ma odwrotu.

– Wiesz co, moja piękna? – mówi swoim miłym i seksownym głosem. – Musimy ci zmienić garderobę. W końcu... – zawiesza głos i patrzy na mnie wymownie – wybierasz się w daleeką podróż. Wszystko nowe, co zechcesz. Począwszy od majtek, a skończywszy na kapeluszach.

– Żartujesz?

– Oczywiście że nie.

– Cóż, niezła propozycja.

Mimo perspektywy wielkich zmian i jeszcze większych zakupów, niepokój w sercu tli się małą iskierką. Boję się, że to uczucie szybko mnie nie opuści. Obawiam się, że mocniej chwyci mnie za gardło w momencie lądowania. I przywitania. I pierwszej nocy. I drugiej nocy. I... ja już chcę wracać, choć jeszcze nie wyjechałam.

Pierwsze wrażenie

Samolot jest wielki, komfortowy, nie huśta ani nie buczy. Wystartował bez problemów i mam nadzieję, że tak samo wylądje. Stewardesy uwijają się dookoła pasażerów jak pszczołki. To w końcu biznes class. Muszę przyznać, że Ahmed wie, co robi.

– Już ostatni raz zadam ci to głupie pytanie – mówię z idiotycznym nerwowym uśmiechem. – Myślisz, że wszystko idzie zgodnie z planem?

– Moja księżniczko, maksymalnie za pół godzinki będziemy na ziemi. Samoloty raczej się nie spóźniają. Czujesz, zaczynamy schodzić do lądowania. – Pochyliła się w stronę małego okrągłego okienka, gładząc mnie uspokajająco po ręce. – A potem wsiądziemy do auta i pomkniemy do domu – mówi z rozmarzeniem.

– Ale dlaczego nie lecimy bezpośrednio do Trypolisu? – pytam naiwnie. – Przecież tak byłoby wygodniej?

– Nałożyli na nas embargo, nic nie słyszałaś, nic nie wiesz? – odpowiada z lekką pogardą.

– Myślałam, że sankcje dotyczą tylko handlu i polityki, a nie latania.

– Na wszystko położyli łapę. Szykanują cały naród przez pomówienia, szkalowanie i oskarżenia bez dowodów – mówi wściekły, ze złym błyskiem w oku.

– Jak to... Lockerbie to zmyślona historia? I dyskoteka w Berlinie też? Takie polityczne rozgrywki? – Nie chce mi się wierzyć, bo czytałam o tym w poważnych źródłach.

– Mądrała się znalazła! – Ahmed nie tai już złości. – Libijski naród i tak da sobie radę – podsumowuje, a ja pierwszy raz widzę, jaki z niego patriota.

Odwracam się do okna i zapamiętuję, że tego tematu nie należy poruszać.

Wielkie metalowe cielsko boeinga przebija pokłady chmur i w końcu ukazuje się tak długo przeze mnie wypatrywany skrawek lądu, małeńka wysepka. Kołujemy nad morzem, na którym już widać pływające miniaturowe jachty i statki, potem turkusowy pas wód przybrzeżnych, jasne piaszczyste plaże i pomarańczowe połacie gruntu.

– A będziemy jeździć na plażę? – pytam, gwałtownie odwracając twarz od okna i nie czekając na odpowiedź, znowu powracam do obserwacji.

– Pewnie, pewnie – słyszę znów miły głos za plecami. – Przecież to w końcu nasze wakacje.

– A jest gdzieś blisko waszego domu?

– Naszego domu.

– Aha. Jest?

– Nie tak blisko, bo na ładne wybrzeże trzeba jechać ze sto kilometrów.

– O... – przerywam mu, zawiedziona.

– U nas są całkiem niezłe autostrady, a na plażę jeździ się na cały dzień – uspokaja mnie.

– Będziemy piknikować i grillować nad morzem. Polubisz to. – Śmieje się, a iskierki szczęścia błyszczą w jego czarnych jak sadza oczach.

Znów podekscytowana klaszczę w ręce niczym mała dziewczynka i cmokam go w policzek.

Morze definitywnie chowa się już pod ogonem samolotu, a my schodzimy nisko, dolatując do lotniska, którego jeszcze nie widać. Równe rzędy niewysokich, rozłożystych drzew stoją szpalerem jak na musztrze. A między nimi ziemia w kolorze pomarańczy.

– Co to za sady?

– Gaje oliwne i cytrusy, hektary cytrusów – odpowiada z dumą, jakby wszystkie należały do niego.

Samolot gwałtownie ląduje.

– Szkoda, że musimy jeszcze tyle jechać – narzekam, bo już jestem zmęczona, a przed nami jakieś czterysta kilometrów. – Dzisiaj już nic nie zobaczymy, w Trypolisie będziemy dopiero w nocy.

– Jak będziesz chciała, to pojedziemy przez centrum, tam życie nigdy nie zamiera, a oświetlone jest tak, że ponoć z kosmosu widać. Wielki Mur Chiński i libijski Plac Zielony – mówi z dumą. – Dziesiątki restauracji, kafejek i tłumy kupujących. Tam nigdy nie jest spokojnie, noc miesza się z dniem.

– No to trzymam cię za słowo. – Już nawet trochę się cieszę.

Chyba przesadzam z tymi obawami. To wszystko przez gadanie ludzi i media. Jak zawsze wszystko koloryzują, przeinaczają i fałszują. A takie głupki jak ja wierzą we wszystko, w każde ich słowo. Dość już tego stresu, czas zacząć cieszyć się z wakacji.

Lotnisko na Dżerbie jest małe. Brud oblepia wszystko, a po kątach walają się pety i plastikowe kubki. Toaleta, do której muszę pójść z Marysią, jest po prostu straszna – dziura w obsikanych i ufajdanych kafłach. O spuszczeniu wody nikt nie słyszał, nawet sam konstruktor. Wybiegamy stamtąd, bojąc się, że za chwilę zemdlejemy od otaczającego nas smrodu. Z restauracji dobiega ogłuszająca orientalna muzyka, a seksowny głos z megafonu miauczy bardzo ważne informacje w nieznanym mi języku.

– Ahmed! *Salama!* – krzyczy wysoki, szpakowaty mężczyzna, stojący za barierkami dla oczekujących.

– To mój ojciec. Chodź. – Ahmed z Marysią na ręku ciągnie mnie za sobą.

– AAAAAAAAAA, *zoudża, zoudża!!! Dżamila džiddan!!! Mija – mija* – mówi coś, czego oczywiście nie jestem w stanie pojąć. Ale chyba w pozytywnym znaczeniu, bo Ahmed śmieje się od ucha do ucha.

– *Sah!* – wykrzykuje na koniec. Jak *sah*, to *sah*. Tyle rozumiem.

– W którą stronę teraz? – pytam zaniepokojona, nie wiedząc, gdzie się skierować.

– Na parking, kochanie. – Ahmed obejmuje mnie mocno, a oczy wszystkich zwracają się w naszą stronę. – Nic się nie bój. Jestem przy tobie.

Wsiadamy oczywiście do mercedesa. Nie jest wprawdzie srebrny, tylko czarny jak smoła i bardzo duży.

– To teraz do namiotu na pustyni? – żartuję, czując się bardzo niepewnie.

– Wedle życzenia, madam – odpowiada enigmatycznie Ahmed.

A jeśli tak będzie? Znowu jestem pełna obaw. Ależ ze mnie tchórz.

Panowie zajęli przednie siedzenia i żywo rozmawiają. Gestykują przy tym i krzyczą, jakby się kłócili. Ale chyba nie, bo twarze mają uśmiechnięte i co chwilę poklepują się, po czym się tylko da – rękach, ramionach, udach, głowie.

Samochód mknie z zawrotną szybkością, a my z Marysią obserwujemy zupełnie nieznaną nam świat. Droga prowadzi przez pustkowia z rzadka urozmaicone pojedynczymi krzakami i małymi osadami umiejscowionymi wzdłuż trasy. Ludzie, którzy w nich żyją, są ubogo ubrani, kobiety mają długie kolorowe suknie, włosy zasłaniają wyblakłymi chustami i wyglądają jak na rycinach z zeszłego wieku. Mężczyźni noszą długie mysioszare lub beżowe sukienki, a na głowach coś na kształt turbanów. Jako środka transportu przeważnie używają wózka zaprzęgniętego w osiołka albo biednego zagłodzonego konika. Widząc to wszystko, nie mam nawet siły ani ochoty o nic pytać. Czasami na skuterze przemknie ktoś bardziej nowoczesny, często wioząc ze sobą całą rodzinę, włącznie z małymi dziećmi.

– U nas jest trochę inaczej – słyszę głos Ahmeda i widzę jego zatroskane spojrzenie. Chyba obserwuje mnie od jakiegoś czasu.

– Mmm... – Nie mam ochoty na rozmowę, lecz nie dam rady ukryć wyrazu przerażenia na twarzy.

Podjeżdżamy do wielkich bram, przed którymi wije się sznur samochodów. Mężczyźni biegają jak w amoku, krzyczą i wymachują rękami, kobiety ze znużonymi minami siedzą w autach, niczym się nie przejmując, a dzieci bez żadnej opieki jak szalone latają między samochodami. Osiołki i skutery zostały w tyle, teraz otaczają nas tylko eleganckie limuzyny i obtłuczone, prawie rozlatujące się sześciuosobowe taksówki.

– Co się dzieje? – pytam zaniepokojona.

– Już granica, kochanie – uspokajająco informuje mnie Ahmed. – Ani się obejrzysz, a będziemy w domu.

– Przecież w tej kolejce będziemy czekać do jutra – mówię załamana.

– Nic się nie bój, nie każdy musi w niej stać.

Mercedes wykonując szereg nieprzepisowych manewrów i łamiąc wszelkie możliwe przepisy ruchu drogowego, włącznie z jazdą pod prąd, dostaje się na całkiem pusty pas. Ahmed wysiada, usuwa z drogi blokujący ją pachołek i powoli toczymy się do budki celnika. Nad przejazdem widnieje duży czarny napis VIP. Panowie wysiadają, czule witają się z ludźmi w mundurach i po krótkiej chwili jesteśmy po odprawie.

– No i co? Nie było tak źle? – Zadowolony Ahmed dumnie wypina pierś.

Teraz rozpędzamy się na dobre. Trzypasmowa autostrada jest prawie pusta. Wszędzie aż po horyzont rozpościera się odludny płaskowyż. Małe wyschnięte krzaczki przykucnęły gdzieniegdzie i to wszystko. Monotonny krajobraz i przeżycia całego dnia usypiają mnie.

– Śpiochy, pobudka – słyszę jak przez mgłę. – Już jesteśmy w domu. – Ahmed z uśmiechem od ucha do ucha głaszcze po twarzy ledwo obudzoną Marysię.

Powoli zbliżamy się do centrum miasta, gdyż coraz więcej świateł, reklam i sklepów rozprasza zapadający mrok. Po chwili jest jasno jak w dzień, a tłumy gęstnieją. Zauważam, że osiemdziesiąt procent to mężczyźni. Ubrani są w eleganckie włoskie garnitury, młodzi chłopcy w dzinsy i kolorowe T-shirty lub koszule. Rzadko jakiś przechodzień ma na sobie męską arabską tradycyjną „sukienkę”. Kobiet jest mało. Jeśli idą, to tylko w grupie, prawie wszystkie ubrane w długie płaszcze w mysich kolorach i chusty na głowach, ale na szczęście zdarzają się też takie w normalnych europejskich ciuchach, choć są to przeważnie nastolatki albo bardzo młode dziewczyny. Stoliki wystawione w restauracyjnych lub kawiarnianych ogródkach również okupują mężczyźni.

– Ahmed. – Delikatnie klepię go w ramię, chcąc zapytać o tę anomalię.

– Później, później – odpowiada, oganiając się ode mnie jak od natrętnej muchy. Sam prawie przykleja nos do szyby i chłonie cały swój, tak dawno niewidziany, świat.

Nieźle się zaczyna. Zagryzam wargi i głaszcę podekscytowaną Marysię po głowie. Ona zadaje mnóstwo pytań, a ja na ani jedno nie umiem jej odpowiedzieć.

Skręcamy w jakąś wąską uliczkę, później w jeszcze jedną i jeszcze. Samochód zatrzymuje się przed wysokim na ponad dwa metry murem z czerwonej cegły. Na jego szczycie, co parę metrów, świecą okrągłe lampiony, między nimi rozciągnięto drut kolczasty.

– Ahmed, co to za twierdza? Wygląda jak koszary. – Pukam go znowu w ramię, mocno już zaniepokojona.

– *Welcome home*, Dociu – mówi z szerokim uśmiechem na ustach.

– Hmm – zatyka mnie ze zdziwienia i przerażenia. Serce dudni mi w gardle. – Nie rozumiem – wyduszam z siebie w końcu.

– Przecież ci mówiłem, że my budujemy trochę solidniejsze domy i ogrodzenia. – Figlarnie podnosi jedną brew i bierze mnie za rękę. – Żeby nasze kobiety czuły się bezpiecznie i

swobodnie. A nam wtedy polepsza się samopoczucie.

Nic z tego nie rozumiem. Potężna żelazna brama otwiera się powoli. Z czymś mi się to kojarzy i nawet nie chcę dokładniej się nad tym zastanawiać, ale w głowie huczy mi jedno słowo: więzienie.

Na podwórku aż roi się od kobiet, młodych dziewczyn i dzieciarni. Mężczyźni stoją z boku, jakby izolując się od tego kolorowego i rozwrzeszczanego do granic możliwości towarzystwa.

Kiedy otwieram drzwi i wysiadam, Marysia zostaje wyrwana z moich rąk, a mnie gęsto otacza tłum ciekawskich. Kobiety aż dyszą z żądy poznania. Przede wszystkim objawia się to dotykiem, co mnie doprowadza do szewskiej pasji. Wyraźnie fascynują je moje proste długie blond włosy.

– Ahmed, Ahmed, ratunku – krzyczę przerażona i zła nie na żarty. – Do cholery, niech one się ode mnie odpieprzą – ryczę już na całe gardło.

– Spokojnie, one jeszcze nigdy w życiu nie widziały takiej pięknej blond czupryny – śmieje się rozbawiony. – Po prostu ci jej zazdroszczą.

– Wiesz, że tego nie lubię! Nienawidzę tego! – syczę jak żmija.

– Będziesz musiała trochę utemperować swój charakterek – mówi chłodno. – Daj się lubić i nie miej pretensji o to, że ktoś cię adoruje.

– Przecież...

– Postaraj się zaakceptować trochę inne zwyczaje i znajdź w nich pozytywy – upomina mnie jak dziecko. – Inaczej wszyscy powariujemy. Chcesz im zrobić przykrość, od razu na samym początku? – pyta, patrząc mi twardo w oczy.

Oczywiście że nie. Ale mam prawo czuć się nieswojo w tłumie obcych ludzi, którzy patrzą tak, jakby mieli ochotę mnie zeżreć. I wszyscy mają czarne, rozżarzone oczy jak jakieś zombi. Spuszczam głowę. Jest mi przykro, jest mi źle, boję się i z tego wszystkiego łzy napływają mi do oczu.

– *Jalla, jalla* – krzyczy jakiś nieznany mi brunet i rozpędza dziewczyny, które z piskiem i śmiechem rozbiegają się na boki.

On zauważył moje przerażenie, a mój ukochany mąż ma to gdzieś. Zniknął z pola widzenia, a jego rozbawiony głos słychać już we wnętrzu domu. Nieznajomy delikatnie popycha mnie w stronę drzwi. Nie wiem, co to za pomieszczenie, ale chyba salon. Jest większy od całego naszego mieszkania w Polsce. Osiemdziesiąt metrów, może więcej. Grube wełniane dywany zakrywają szczelnie każdy metr kwadratowy podłogi. Ciężkie tapicerowane meble zajmują centralną jego część. Małe stoliki porzrzucone są po całym pokoju i dostawione do każdego, najmniejszego nawet siedziska. Z jednej strony, oddzielona od reszty marmurowym murkiem z ladą, znajduje się jadalnia. Stół jest długi na około trzy metry. Przepiękny koronkowy obrus artystycznie udrapowano w jego centralnej części, a platerowe dekoracje przyciągają oko.

Stoję na środku, jak dziecko w wesołym miasteczku, kręcę się dookoła i wlepiam oczy w każdy szczegół. Jakie ogromne mają tutaj okna! Wysokie na ponad trzy metry, zakryte grubymi zasłonami. Jak na zdjęciach pałaców arystokracji w dawnej Polsce. A te haftowane firany spadające do ziemi, aż chciałoby się ich dotknąć.

Na ścianach nie ma obrazów. Są za to oprawione w bogate ramy tabliczki, przeważnie czarne, ze złotymi napisami w tutejszym dziwnym języku. Oprócz tego ściany pokrywają piękne gobeliny. Dookoła pokoju ustawiono kredensy z grubego litego drewna, a w nich niewyobrażalną ilość bibelotów: wazy, filiżanki, dzbanki, dzbanuszki i cukiernice. Wszystko wykonane z porcelany lub ze srebra. Oprócz tego inne drobiazgi. Dominują kryształ – a ja myślałam, że to polska tradycja. Wyroby z kolorowego szkła czarują feerią barw i różnorodnością kształtów.

Podobają mi się maleńkie fioletowe pieski, niebieskie małpki, a przede wszystkim ławeczka, taka jak w parku, pod szklanym drzewkiem z liśćmi z bursztynu. Kto wykonuje takie filigranowe arcydzieła?

– Gdzie to można kupić? – wypalam zupełnie bez zastanowienia, nie kierując swojego pytania do żadnej konkretnej osoby, na domiar złego pokazując palcem.

Chwilę później stoję na miękkich nogach, zlane zimnym potem, przed całym towarzystwem, które nagle umilkło. Ależ ze mnie idiotka! W tym momencie elegancka kobieta schodząca po schodach mówi coś i uśmiecha się półgębkiem, taksując mnie przy okazji wzrokiem.

– Mama domyśla się twojego pytania – tłumaczy Ahmed. – Nie musisz kupować. Są twoje.

– Ależ ja nie chciałam... Ja nie w tym celu... Ja... Ja nie mogę... – Czuję, jak twarz zalewa mi szkarłatny rumieniec.

– Podziękuj lepiej. Tyle chyba umiesz!? – Ahmed mówi przez zaciśnięte z wściekłości zęby.

– *Szukran džazilan*. Bardzo dziękuję – jęczę cicho, obracając się w kierunku kobiety, lecz ta nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi.

Nikomu nie zostałam przedstawiona, nikt nie uściskał mi ręki i nie dał symbolicznego buziaka. Cóż, oni wiedzą, kim ja jestem, a ja najwyraźniej nie muszę ich poznawać.

Tej nocy po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nie mówimy sobie z Ahmedem nawet „dobranoc”. W wielkim królewskim łóżu leżymy oddaleni od siebie chyba o dwa metry – jedno na jednym brzegu, drugie na drugim. Ja nie śpię i wiem, że on także. Cisza dzwoni w uszach. Nie wiem, o czym myśli Ahmed, ale ja snuję najczarniejsze scenariusze i wspominam moje najgorsze małżeńskie doświadczenia. Czyżby szykowała się powtórka z rozrywki? W końcu, kiedy slysze za oknem świergot ptaków i śpiew muezina wzywającego wiernych na poranną modlitwę, zalana łzami usypiam.

Koło gospodyń arabskich

Kochanie, pobudka – słyszę miły głos szepczący mi czule słówka do ucha.

Nie chcę się obudzić, niech sen trwa wiecznie, lecz cóż to za cudowny aromat? Kawa, czekolada, palony cukier, przyprawy i przede wszystkim ciasto. Domowe ciasto mojej mamy. Słyszę, że ktoś odsłania zasłony i czuję promyki słońca na twarzy.

– No już, otwieraj te swoje śliczne oczęta. – Ahmed całuje mnie delikatnie w usta. – Śpiąca królewna teraz powinna się obudzić – śmieje się.

– Nie chcę – szepczę leniwym głosem, przeciągając się jak kot.

– Nowy dzień, nowe przyjemności – mówi, tak jakby wczoraj nic się nie stało.

– No wiesz... – nie kończę.

Chciałam oczywiście zapytać, jakaż to radość wczoraj mnie spotkała, ale daję spokój. Już wiem, że nie należy igrać z ogniem i w mojej obecnej sytuacji muszę trzymać buzię na kłódkę. Jestem na przegranej pozycji i nie mam co do tego wątpliwości. Jednak słońce za oknem i kawa nastroją mnie optymistycznie – będzie dobrze, musi być. Przecież przyjechaliśmy tutaj tylko na trochę, na wakacje, a czas szybko leci.

– Czy w końcu komuś mnie dzisiaj przedstawiś? – pytam, siadając na łóżku. – A raczej czy przedstawiś mi kogoś, bo oni wszyscy przecież wiedzą, kim ja jestem – sprostowuję, zgodnie z moimi całonocnymi przemyśleniami.

– Najpierw może zjedz śniadanie, a później moja najmłodsza siostra już się wszystkim zajmie – wypowiadając ostatnie słowa, oddycha z ulgą. – Ja jadę na miasto odwiedzić stare kąty, zobaczyć co się zmieniło – przedstawia mi swoje plany. – Samira przyjdzie po ciebie za jakieś piętnaście minut, więc *fisa, fisa* – mówi, kierując się do drzwi.

– Że jak? – pytam zaskoczona.

– No to do zobaczenia wieczorem, kotku – krzyczy już zza drzwi. – Baw się dobrze.

Nawet nie zdążyłam powiedzieć, że jestem tutaj z nim i to on, mój mąż, powinien się mną zająć. O to mu chyba chodziło – uwolnić się ode mnie, wykorzystując moje zaskoczenie.

Siedzę na łóżku i siorbię kawę zakrapianą słonymi łzami. Słyszę śmiechy dziecka na dworze. To Marysia, a ja nawet nie słyszałam, jak wstała. Mój Boże, co ze mnie za matka! Dobrze, że ona wszędzie czuje się jak u siebie w domu. Pukanie do drzwi.

– Kto tam? – pytam cicho trzęsącym się głosem.

Bez odpowiedzi do pokoju wchodzi śliczna młoda dziewczyna z burzą kręconych czarnych włosów nad czołem.

– *Ahlan, ana Samira. My name is Samira* – mówi z miłym i szczerym uśmiechem, Bogu dzięki przechodząc na angielski.

Pochyliłam głowę, chcąc ukradkiem otrzeć łzy.

– Ej, Blondi, co się stało? – pyta, siadając na brzegu łóżka. – Nie wolno płakać w pierwszy dzień na nowym miejscu. To przynosi pecha. – Patrzy zmartwiona i bierze mnie delikatnie za rękę.

Widzę iskierki radości i małego diablika w jej oczach. Od razu poprawia mi się humor i czuję, że polubię tę dziewczynę.

– To nic takiego. Po prostu boli mnie głowa – kłamię jak z nut, a ona doskonale wie, że to bujda.

– Wiesz, co jest najlepsze na smutki? – pyta, uśmiechając się promiennie. – Zwłaszcza dla kobiet.

– Cóż takiego? – wzdycham i spoglądam na nią figlarnie. – Dobry seks?

Samira jak oparzona puszcza moją rękę i skacze na równe nogi.

– Sza, sza!!! – wykrzykuje. – Ja jestem panną i nie wolno mi mówić o takich rzeczach.

– Jak to? – dziwię się, zaskoczona jej reakcją. – Przecież zwłaszcza panny o tym rozmawiają. Mężatki mówią o dzieciach, płaceniu rachunków, malowaniu mieszkania i wymianie mebli. Zapominają o przyjemnościach.

– Ja ci powiem, że u nas na smutki kobiety jedzą ciastka i czekoladki – mówi nieco uspokojona i znów przysiadła na jednym półdupku.

– Aaa, to dlatego prawie wszystkie są takie grube? – niewinnie stwierdzam oczywisty fakt.

– Blondi, a co to jest ten dobry seks? – szepcze z szelmowskim uśmiechem na ustach, jednocześnie pochylając się w moją stronę.

– Po pierwsze, co za Blondi? Jestem Dorota, albo w skrócie Dot – unikam odpowiedzi, bojąc się kolejnych kłopotów.

Sięgam po rogalik z czekoladą, polany lukrem, posypywany kokosem i kandyzowanymi owocami.

– Mmmm – jęczę z rozkoszy. – Teraz rozumiem. W życiu czegoś tak pysznego nie jadłam – bełkoczę z pełnymi ustami. Zamykam oczy i czuję boski smak czekolady na podniebieniu. Tak, to zdecydowanie może polepszyć humor. Sięgam po następne ciastko i jak w ekstazie wbijam w nie zęby. Tym razem miód i orzechy. Słyszę chóry anielskie.

– Sama widzisz, zanim się spostrzeżesz, będziesz tak samo tłusta jak nasze kobiety. – Samira śmieje się i również dołącza do uczyty. – No to co znaczy ten dobry seks? – naciska, patrząc mi prosto w oczy.

– *Hey, you*, przecież mówiłaś, że to dla ciebie temat tabu. – Wybucham śmiechem. – Nie wolno, nu, nu – droczę się z nią, wymownie kiwając palcem.

– A kto się o tym dowie? To będzie taka nasza mała tajemnica – prosi przymilnie. – *Secret, secret* – aż piszczy podniecona.

– Okej. Później. Teraz pokaż mi dom i przedstaw w końcu kogoś – mówię, wyskakując z łóżka. – Czuję się jak na księżycu.

– *Moonwalker, moonwalker*. – Samira znów klaszcze w ręce, nie do końca rozumiejąc, co miałam na myśli.

A może ja coś pokręciłam, trudno. Najważniejsze, żeby się w ogóle dogadać.

– Już od rana wszystkie jesteśmy w kuchni – mówi wesoło. – Szykujemy świąteczny obiad. Najlepiej poznaje się człowieka przy garach, prawda? – stwierdza.

Trochę mnie to podbudowało – świąteczny obiad z okazji naszego przyjazdu. Może nie będzie aż tak źle, myślę, zbiegając po schodach i próbując dotrzymać kroku szczupłutkiej siostrze Ahmeda.

Kuchnia jest wielka, jakieś dwadzieścia metrów. Najbardziej podoba mi się wyjście na mały ganeczek z tyłu domu, gdzie można usiąść, wypić kawę lub herbatę albo nawet coś zjeść. Wyposażenie też niezłe – widziałam takie w katalogu z włoskimi meblami. Chrom w połączeniu z pięknym ciemnym drewnem. A ile sprzętów! Oczywiście połowy z tego nie umiałabym nawet włączyć. Niezły ten arabski namiot – śmieję się w duchu.

Gdy wchodzimy, harmider cichnie i wszystkie panie zwracają głowy w naszym kierunku.

– Ooo, wstałaś już – mówi z przekąsem matka Ahmeda. – Spiąca z ciebie królowna – stwierdza, mieszając arabskie i angielskie słówka.

Widzę, że konwersacja będzie trudna, ale jakoś musi się udać. Przecież mamy do pomocy jeszcze ręce, a gestykułuje się tutaj do woli.

– Ja... – od razu usiłuję się usprawiedliwić, choć wcale nie mam na to ochoty.

– My wszystkie znamy Blondi – przerywa mi Samira – a teraz wypadaloby, zeby ona poznala nas.

Uff, wybawiona z opresji.

– To Malika, nasza najstarsza siostra. Ona wpada tylko czasami, bo ma powazna prace w ministerstwie i wlasny biznes. Prywatna klinika. – Sciskam mocna dlon najbardziej sniadej i najbardziej eleganckiej kobiety w kuchni. Rzeczywiscie, ona tutaj nie pasuje.

– *Hi*, nie daj sie tym babom – mowi chropawym glosem. – Bede cie stad czasami wrywac, zebyś calkiem nie zglopiala i nie zdziczala – kontynuuje mentorskim tonem i kiwa przy tym wskazujacym palcem ubrudzonym w przecierze pomidorowym. – Nie daj sie przerobic na zolze arabijje – scisza glon i porozumiewawczo mruga do mnie okiem. – *Arabic wife* – prycha juz sama do siebie pod nosem.

Nie ma w jej glonie zadnej figlarnej nutki. Mowi calkiem powaznie, a ja nie rozumiem, o co jej chodzi. Czy jest cos zlego w byciu arabska zona? Czy ja o czyms nie wiem?!

– Malika, nie strasz dziewczyny! – slysze cieply glon. – Jestem Miriam, srednia siostra. – Okragluka, lecz calkiem zgrabna dziewczyna wchodzi z ganku. Caluje mnie w policzek, a ja czuje zapach papierosow. Teraz juz wiem, ktora siostrę Ahmed kocha najbardziej i dlaczego nasza corka nosi imie Marysia, w arabskiej wersji Miriam.

– Nic sie nie boje – uspokajam ja. – Na razie jestem po prostu troche zagubiona. I oszolomiona.

– Chadidza – burkniecie dobylo sie zza plecow matki. – Tez srednia.

Ahmed mowil, ze ktorejś nie powiodlo sie w zyciu i jest rozwiedziona – to musi byc ta. Zaszczona gidia spoglada na mnie wilkiem i nie ma ochoty ucisnac mi dloni, nie mowiac juz o pocaunkach.

– No to do roboty, dziewczyny – niezreczna sytuacje przerywa matka, obracajac sie na piecie i pokazujac mi plecy.

Teraz dopiero zauwazam walajace sie po podlodze reklamowki, kartonowe pudla i torby pelne produktow. Ogromny arbuz, chyba kilkunastokilogramowy (kto go uniosl?), lezy w kacie w towarzystwie melonow, brzoskwiń, mirabelek i skrzynki jabłek. Kto to wszystko przeje?! Przecie to sa ilosci na male wiejskie wesele.

– Blondi – slysze glon Miriam i juz reaguje na moje nowe imie. – Pomoz no mi tutaj z tym bydlakiem.

Pod stolem, zawiniete w szary papier i plachty gazet, leza jakies zwierze zwloki.

– Co to? – pytam przerazona i zdziwiona zarazem, chwytajac za jedna noge i probujac podniec i polozyc martwe zwierze na centralny blat w kuchni.

– A jak myslisz? Wyrosniete jagnie – odpowiada, smiejac sie, Miriam. – Tylko troche niezylwe. *Morta*.

– Kto to wszystko zje? – pytam szeptem, nachylajac sie do jej ucha.

– Zobaczysz – mowi tajemniczo. – U nas ludzie maja apetycik, a i do stolu nie siada mniej niz dwadziescia osob.

Jak tak, to tak. Trzeba podkaszac rekawy, pozegnac sie z wypielęgowanymi dlugimi paznokciami i szybko zabierac sie do pracy.

– Ale jezli to ma byc na obiad, to jak my zdazymy na trzecia czy czwartą? – pytam troche spanikowana.

– Kotku, u nas obiad jada sie wieczorem albo w nocy – uspokajaja mnie. – Mamy dosc czasu. Mężczyzni caly dzien spedzaja poza domem, a dopiero wieczorem relaksuja sie z rodzina.

Niezly układ. Faceci troche popracuja, a potem szwendaja sie po miescie, siedza sobie w restauracjach czy kawiarniach. Natomiast baby caly dzien spedzaja w kuchni, by oni w nocy

mogli napchać sobie brzuchy i się relaksować. Ha, ha! Wcale nie jest mi do śmiechu. Powoli zaczynam rozumieć, co miała na myśli Malika, mówiąc o arabskiej żonie. O nie, dzisiaj to będzie wyjątek, wyjątek, który potwierdza regułę. Ja nie jestem niczyją służącą i nigdy nią nie będę. Jutro, jak Ahmed zniknie z kolegami na cały dzień, biorę Marysię i my też idziemy do miasta. Przecież muszą tutaj jeździć autobusy czy taksówki. Damy sobie radę. Dobrze, że zgodziłam się przyjechać tylko na wakacje. Ładne mi wakacje!!!

– Macie jakieś gumowe rękawiczki do pracy? – pytam, podpierając moją angielszczyznę gestem, lecz nie otrzymuję odpowiedzi. Tylko pełne zdziwienia i dezaprobaty spojrzenie: ależ ty głupia jesteś!

Z zaciśniętymi zębami, w milczeniu, obieram jarzyny, czyszczę z tłuszczu mięso, robię marynatę pod okiem matki, pomagam kleić pierożki, zawijać roladki i wyrabiać ciasto na ciasteczka. Może takie zajęcia kogoś satysfakcjonują, ale nie mnie. Jestem spocona, nogi bolą mnie od stania, a ręce pieką od czyszczenia i siekania papryczek chili. Już chciałabym, aby dzisiejszy dzień dobiegł końca.

Zauważam, że Miriam wychodzi na ganek. Chyłkiem podążam za nią. Przycupnęła za rogiem i zapala papierosa.

– Poczęstujesz? – pytam.

– Pewnie, ale pamiętaj, nigdy nie pal oficjalnie, a już absolutnie nie przy chłopach – mówi szeptem.

– A to dlaczego? – dziwię się. – Przecież nieraz paliłam przy Ahmedzie.

– Ale to było w Polsce. Tutaj nie próbuj. Moja rada.

Zaciągam się dymem. Jeszcze nigdy papieros tak mi nie smakował. To jest mój relaks i moja niezależność.

– Mieszkasz z rodzicami? – pytam po chwili.

– Coś ty! – śmieje się. – Chyba bym całkiem zwariowała. Mam dom po drugiej stronie ulicy. Czasami, niestety zbyt często, biorę dzieciaki i przychodzę tutaj. Zawsze raźniej w gromadzie, niż siedzieć samemu.

– To jesteś rozwiedziona, nie masz męża?

– Mam, i to całkiem dobrego – mówi, potakując sobie sama głową. – Ale on ma pracę, obowiązki i inne rzeczy. Gdy jest w mieście, to praktycznie cały dzień spędza poza domem. Przeważnie jednak siedzi na polach naftowych na pustyni. Pracuje w firmie olejowej, bardzo dobrze zarabia, ale... – wzdycha. – No wiesz. To są koszty, które trzeba ponieść. – Jej twarz niczego nie wyraża, tylko brwi podnoszą się do góry. – Takie życie – beznamiętnie podsumowuje, rozkładając ręce.

– Ale co to za życie! – prawie wykrzykuję. – Przecież tak się nie da!

– Cicho, nie drzyj się – syczy zdenerwowana. – Mam rodzinę i idealną sytuację finansową. Dobrego męża. Nie narzekam. I tak miałam dużo szczęścia, bo sama go sobie wybrałam i miałam okazję go dobrze poznać w czasie studiów. Poza tym to nie jakiś stary dziad, ale całkiem przystojny facet w moim wieku.

– To ty studiowałaś? – dziwię się, widząc ją w kwiecistej podomce i śmiesznie zawiązanej chustce na głowie. Wygląda jak przedwojenna służąca.

– Miła jesteś – stwierdza z przekąsem. – Ale ci się nie dziwię. Nie wyglądam na osobę na poziomie, nie to co Malika – smutno wzdycha. – Ale ona się nie bała i nie boi sprzeciwiać, a jak już zdobyła pozycję i zaczęła dobrze zarabiać, to teraz wszyscy mogą jej nagwizdać. Ja zawsze byłam pokorna, zbyt pokorna. I skończyłam tak. – Wskazujący palec wbija w swoją obfita klatkę piersiową.

Żal mi jej. Siedzi ze smutnie zwieszoną głową i jedynym jej aktem niezależności,

samowoli i buntu jest potajemne ómienie papierosów.

– Dlaczego mówisz, że miałaś szczęście, że sama wybrałaś sobie męża? – pytam z zaciekawieniem. – Nie rozumiem.

– Czy ty nic nie czytałaś o kulturze arabskiej, zwyczajach, historii, tradycji?! – pyta z naganą w głosie. – Nauczyłaś się paru słów i uważasz, że to wystarczy, aby brać sobie za męża Araba? *Salam alejkum, szukran džazilan i ahlan wa sahlán*. Dzień dobry, dziękuję, cześć. – Teraz jest już mocno zdenerwowana. – I będziecie żyli długo i szczęśliwie. Ha! – prycha obraźliwie i zbiera się do odejścia.

– Czemu tak się wściekasz? – próbuję załagodzić sytuację. – Ludzie się poznają, zakochują i chcą być ze sobą. Tak ja to widzę. Niepotrzebne mi do tego żadne poradniki ani opracowania historyczne – przedstawiam jej mój punkt widzenia, choć już trochę mało aktualny.

– I sądzisz, że to wystarczy? – Znów przykucnęła przy mnie. – A gdzie rodzina, wspólne zwyczaje, religia. Chociażby obchodzenie świąt. Moja mała Blondi, sama miłość to nie wszystko!

– Już co nieco przeszłam – przyznaję zgaszona, przypominając sobie kłótnie i brak zrozumienia w tak wielu istotnych sprawach. – Trochę czytałam, ale wydawało mi się, że to historia, zamierzchłe czasy, teraz w końcu mamy dwudziesty wiek, prawda? Ahmed zalicza się raczej do nowoczesnych ludzi...

– W Polsce, milutka, w Polsce, to zupełnie co innego, a tutaj rządzi tradycja, *old good tradition*. – Patrzy na mnie z troską. – Lećmy do kuchni, bo będzie chryja. Zaraz wszystkie się przyczepią, że nic nie robimy.

Wpadamy biegiem, lecz chyba żadna z kobiet nie zauważyła naszej nieobecności. Baranina się piecze, sałatki przygotowane – każda w wielkiej misie jak do mycia nóg, zupa bulgocze, a ciastka zostały zamknięte w spiżarni, żeby dzieciarnia się do nich nie dobrała. Jeszcze tylko zostały do zrobienia pasty i można powiedzieć, że skromny obiad rodzinny jest gotowy.

Na dworze zmierzcha. Marysia bawi się na podwórku z dziećmi, dobrze się tutaj czuje, niczego się nie boi, śmieje się i rozrabia jak u siebie w domu. Jednak dobrze, że Ahmed mówił do niej po arabsku, bo nie ma teraz bariery językowej. Odblokowały jej się wszystkie usłyszane słówka i zwroty i zabawnie charczy w dziwnym języku do otaczających ją dzieci. Jakby się tutaj urodziła.

Jestem u kresu sił. Cały długi dzień spędzony w kuchni daje mi się we znaki. I ten nieznośny upał. Włosy przyklejają się do spoconych policzków, zaczerwienione od ostrej papryki ręce wyglądają okropnie, o paznokciach wolę nie myśleć, a nogi spuchły do tego stopnia, że nie widać kostek. Nie jestem przyzwyczajona do takiej pracy, na domiar złego w niewyobraźalnie wysokiej temperaturze.

– A gdzie podziała się Samira? – zauważam jej nieobecność pomimo łzawiących oczu.

– Szczęściara. Ma zajęcia na uczelni, to zawsze wymiga się od roboty – odpowiada spokojnie Miriam.

– Ale już niedługo, już niedługo! – z czystą satysfakcją i złościwością prawie wykrzykuje Chadidza.

– Dlaczego? Kończy studia? – niewinnie pytam.

– Kończy się jej wolność – syczy chudzielec. – Przyszła kryska na Matyska. Już dość tego włóczenia się z koleżankami, tego modnego ubierania się i pełnej swobody. Ha!

– Daj spokój, Chadidza – mówi spokojnie, lecz dobitnie Malika. – Jeszcze nic nie jest postanowione. Dziewczynie tak długo udaje się migać, że może się jej upiecze. Życzę jej tego z całego serca, bo szkoda jej, szkoda dla takiego starego dziada.

Nic nie rozumiem z tej całej rozmowy, bo oczywiście nikt mnie w nic nie wtajemniczył, a poza tym panie w podnieceniu mówią bardziej po arabsku niż po angielsku. Bogu dzięki, że cały czas gestykują, więc mam jakąś szansę trochę chwycić sensu wypowiedzi.

– O co chodzi? – Daję kuksańca Miriam. – Co się szykuje dla Samiry?

Reszta oczywiście usłyszała moje pytanie i chórem odpowiadają:

– ŚLUB.

– To arabskie małżeństwo jest takie złe, że porównujecie je z więzieniem? – Nic nie rozumiem. Częściowo poznałam już niewesołą historię Miriam, ale nie spodziewałam się, że brak szczęścia jest tutaj regułą.

– Może być źle albo trochę lepiej – mówi Malika. – Ale tej biedaczce wybrano – tutaj patrzy oskarżycielsko na matkę – starego, obrzydliwego dziada.

– Czemu na mnie patrzysz! – Matka denerwuje się i wrzeszczy, wymachując rękami. Boję się, że za chwilę skoczą sobie do oczu. – Co ja tutaj, do cholery, mam do powiedzenia?! Nic, jedno wielkie nic. – W ręce trzyma duży nóż, którym rozdziela upieczone mięso i boję się, że lada chwila użyje go w innym celu.

– To w końcu chyba też twoja córka. Najłatwiej jest chować głowę w piasek! – wykrzykuje Malika. – Gdybym ja nie wyprowadziła się do dziadka i nie oddała pod jego opiekę, też pewnie bym tak skończyła.

Czuję, że wsadziłam kij w mrowisko, po co było pytać, co mnie podkusiło? Znowu narozrabiałam.

– Ale może wszystko jeszcze się ułoży? – próbuję załagodzić sytuację.

– Co się ułoży? I może jeszcze będzie *fine and happy*?! – Malika ryczy już na całe gardło.

– Dziewczyna jest mądra i powinna przynajmniej przez chwilę popracować w zawodzie, który zdobywała przez wiele lat. Czy i my musimy kultywować zwyczaj, że od razu po obronie pracy magisterskiej zaciąga się absolwentkę przed szejka i zakłada jej małżeńskie jarzmo?! – Tu wykonuje jakiś symboliczny gest. – A może powinniśmy się cieszyć, że w ogóle pozwala nam się studiować?

– Jakbyś zgadła. – Matka smutno zamyśla się i wbija wzrok w kuchenny stół.

– Ona chce czegoś więcej – cicho mówi Miriam.

– A czegoż to! – piskliwie krzyczy Chadidża. – W głowie jej się przewracało od tych książek. Obowiązkiem kobiety jest wyjść za męża i dać mężowi jak najwięcej dzieci.

– Zamknij się! – zgodnie ryczą dwie siostrzyczki.

– Po to mu dogadzać i służyć, żeby się z tobą rozwiódł, gdy jesteś już stara i brzydka? – niewinnie pyta szczerą do bólu Malika. – A może niekoniecznie rozwiódł, bo jest na tyle miły i litościwy, że tylko wziął sobie drugą żonę, młodszą i zdrowszą, którą musi się tolerować? Hm? – Nie mam pojęcia, w kogo ten cios był wymierzony, ale matka nagle pobladła i patrzy na swoją pierworodną, jakby chciała ją zabić.

– Po to mu rodzić dzieci, żeby ci je zabrał? – cicho szepcze delikatniejsza Miriam, patrząc wymownie na Chadidżę, która po tych słowach ze łzami w oczach wybiega z kuchni.

– To czegoż ta moja Samira chce? – wraca do tematu matka. – Może któraś mnie w końcu oświeci? – pyta już trochę spokojniejszym tonem.

Siostry patrzą po sobie, jakby chcąc zrzucić jedna na drugą obwieszczenie jakiejś strasznej wiadomości. Nikt już nie zwraca na mnie uwagi. I dobrze.

– Ma możliwość dostania stypendium w Kanadzie i robienia tam habilitacji – bardzo poważnie, jakby ogłaszała wyrok, informuje Malika.

– Co?! – Matka nie wierzy własnym uszom. – I ona myśli, że będzie mogła wyjechać sama do Kanady?! Kobieta?! Bez opiekuna?! – Bogu dzięki, odłożyła już nóż i teraz opiera się

obiema rękami o blat stołu, z niedowierzaniem kręcąc głową. – Głupie... głupie!!! Wszystkie moje córki są tragicznie głupie!!! – krzyczy i uderza pięścią w stół.

To ja już państwu podziękuję. Uciekam stąd, a one niech się pozabijają. Fajna rodzinka! Matka opuszcza nas dumnym krokiem królowej.

– Uff! – Malika śmieje się cicho, zasłaniając usta ścierką. – Myślałam, że będzie gorzej.

Dwie konspirantki stoją na środku kuchni i przybijają sobie piątkę.

– Po to w końcu się tutaj dzisiaj zebrałyśmy. Musiałam wziąć wolny dzień w pracy, ale nie żałuję. Mamy to za sobą. – Dumna Malika kładzie głowę na ramieniu Miriam.

– Blondi, to ty już sobie idź i odpocznij, a my skończymy. – Miriam jednak o mnie pamięta. – Wystarczy ci wrażeń jak na jeden dzień.

Sunę powoli, noga za nogą, czując się tak zmęczona, jakbym właśnie skończyła szychtę w kopalni. W głowie mi huczy, pięką mnie ręce, stopy i policzki, a twarz mam czerwoną jak wiejska dziewczucha. Marzę o kąpeli i śnie. Mam w nosie tę kolację, niech sobie sami jedzą. Nigdzie nie pójde, wołami mnie tam nie zaciągną.

Uroczysta kolacja

Hej, hej, Docia – słyszę jakby przez mgłę. – Pobudka, jeszcze nie czas na spanie. Wszyscy już są. – Ahmed puka mnie w ramię i nie ma zamiaru przestać.

– Zostaw mnie, jestem zmęczona – jęczę. – Nigdzie nie pójde. Tam zapewne jest tyle ludzi, że nikt nie zauważy mojej nieobecności – mówię już bardziej przytomna.

– Oszalałaś?! – podnosi głos. – Chyba ci odbiło?! – krzyczy. – Przygotowali uroczystą kolację na naszą cześć, a ty się nie pojawisz!

– To ja ją przygotowywałam! – odpowiadam podniesionym głosem, opierając się na łokciu i czując straszliwe palenie w rękach i na policzkach.

Dotykam twarzy. Gorąca jak piec. W uszach mi szumi i padam ponownie na poduszki.

– Co ci jest? – pyta już łagodniej i pochyla się nade mną. – Coś ty ze sobą zrobiła? – Jednak trochę się o mnie niepokoi. – Opałałaś się na tym zabójczym słońcu?

– Chyba żartujesz?! – wybucham. – Cały dzień spędziłam w kuchni. Miły dzień – mówię z przekąsem, lecz on nie słyszy ironii w moim głosie.

– To dobrze, że miły, a teraz będzie jeszcze przyjemniej. – Wierzchem dłoni dotyka moich policzków. – Może to od gorąca. Weź chłodny prysznic i schodź. – Nic do niego nie dociera. – Wszyscy na ciebie czekają. Nie przeginaj, kotku. – Po tych słowach pociechy wychodzi.

Jeszcze na chwilę zamykam oczy. Nie wiem, co się ze mną dzieje, czuję się naprawdę dziwnie, ale zdaję sobie sprawę, że i tak muszę tam iść. Zwlekam się powolutku i po chwili jestem już na dole.

O mój Boże! Teraz wiem, czemu oni mają taki wielki salon. I taki ogromny stół. Tłumy ludzi, jak mrówki, cisną się do jedzenia, a dzieciaki biegają tam i z powrotem, trzymając w rękach jakieś opływające tłuszczem kaski. Nie dość, że same są ubrudzone, to kruszą na dywany i wycierają się w te przepiękne tapicerowane meble. Marysia z uśmiechniętą, szczęśliwą i umorusaną buźką przemyka w biegu.

– Mamuniu, rozrabiamy – krzyczy. – Tutaj wolno.

– O!!! Blondi, nasza śpiąca królewna. – Nawet nie wiem, kto puścił taką kąśliwą uwagę. Jakoś już się nie przejmuję, wszystko mi jedno. Błądzą wzrokiem po biesiadnikach i w końcu namierzam Ahmeda, ale nie ma wolnego miejsca obok niego, nie ma żadnego wolnego krzesła. Przepraszam, to po co mnie tutaj ściągał? Czy żona nie powinna siedzieć obok męża, szczególnie w dniu, kiedy jest wyprawiane uroczyste przyjęcie na ich cześć? Stoję bezradnie i nadal rozglądam się dookoła, szukając choć jednej znajomej twarzy.

– Kszsz... – Spoglądam w stronę głosu. To Malika wyrzuca jakiegoś oślinionego dzieciaka, który siedzi obok niej i daje mi znak ręką. Ulżyło mi.

– Spałaś? – pyta zdziwiona. – Nie jesteś przyzwyczajona do takiej harówki, księżniczko. Niektórym się wydaje, szczególnie mężczyznom, że jak kobiety siedzą w domu, to nic nie robią, tylko plotkują i tyją. A bycie gospodynią domową to jest najcięższa i najbardziej niewdzięczna praca, nieprawdaz?

– Muszę ci przyznać rację, stuprocentową – odpowiadam, wciskając się na zwolnione miejsce.

Kiedy patrzę na wszystkich jedzących i tych, którzy wrywają sobie półmiski, aby z nich zgarnąć jak najwięcej na swój opływający tłuszczem talerz, odechciewa mi się jeść.

– Zaraz skombinujemy ci zastawę i sztucce. – Malika opiekuje się mną jak siostra. Jestem jej za to ogromnie wdzięczna, bo na pierwszy rzut oka nigdy bym się tego po niej nie

spodziewała. Taka rzeczowa, oschła i oziębła. Pozory jednak mylą. Już w kuchni się o tym przekonałam.

– Słuchaj, nie jestem głodna – jęczę, rzucając w jej kierunku wymowne spojrzenie. – Nie rób sobie kłopotu.

– Jaki kłopot, nie żartuj! – oburza się.

– Czy oni przez cały dzień nic nie jedli, że tacy są głodni?

– Chyba kpisz – odpowiada, szelmowsko się uśmiechając. – Oni po prostu są nienażarci. Popatrz na ich brzuchy. – Wzrokiem pokazuje mi opasłego jegomościa, który z ustami pełnymi jedzenia opowiada coś sąsiadowi. – Myślisz, że oni wiedzą, co to jest dieta i zdrowe odżywianie? Kpią sobie z tego, bo z dziada pradziada tak się jadło i było dobrze. A potem ląduje taki jeden z drugim u mnie w klinice i bardzo często nic już dla nich nie mogę zrobić.

– Ale ty jakoś się nie dajesz? – mówię, pokazując na jej zapadnięty brzuch.

– Ciężka fizyczna praca i reżim. – Z dumą prostuje plecy i wypina pierś.

Nikt by nawet nie przypuszczał, że cały dzień spędziła przy garach w kuchni. Elegancki kaszmirowy kostium z dużym dekoltem, zalotnie ukazującym koronkowy stanik, misterna biżuteria i odurzający zapach perfum oraz fryzura jak z salonu piękności i delikatny makijaż czynią z niej szycowną kobietę.

– To czemu namawiasz mnie do jedzenia? – pytam z wyrzutem. – Ja też nie chcę utyć.

– Ja nie namawiam cię do jedzenia, lecz organizuję ci talerz, żebyś mogła coś na nim położyć, rozbabrać i udawać, że już zjadłaś – tłumaczy mi jak dziecku. – Tak to się u nas robi...

Talerz został zdobyty i zapełniony tłustym jedzeniem. Ładnie to nawet pachnie, ale nie mogę przed snem jeść takich ciężkich dań, bo chyba bym umarła. Teraz nikt już się mnie nie czepia – zginęłam w tłumie. Malika zaczyna opisywać gości i nieznanymi mi domownikami. Ona chyba lubi ploteczki i jest niewyczerpanym źródłem informacji.

– Widzisz tego przystojniaka, który siedzi obok Samiry? – pyta teatralnym szeptem. – To Mahdi, jej kolega ze studiów. On jej się marzy, ale jest za biedny jak na naszą wymagającą rodzinę. Zanim by uzbierał na odpowiedni dom i posag, ona miałaby już siwe włosy. A szkoda, bo dziewczyna aż się do niego pali, a on to już lepiej nie wspominać – wzdycha smutno. – Co zrobić? On też ma szansę na stypendium. Gdyby ojciec pozwolił im na ślub, mogliby razem wyjechać i realizować swoje marzenia – mówiąc to, patrzy niewidzącym wzrokiem przed siebie. Chyba to nie wszystko, co mogłaby mi na ten temat powiedzieć. Nie oczekuję jednak cudów, znamy się zaledwie jeden dzień.

– A ten spocony, pokurczony dziadunio przy twoim ojcu? – pytam ciekawa, lustrując dalej towarzystwo.

– To właśnie może być przyszły mąż biednej Samiry – wydusza przez zaciśnięte zęby. – Jest obrzydliwie bogaty i ponoć może jej dzięki temu zagwarantować szczęście i świetlaną przyszłość – recytuje popularną formułkę. – *Szisz* – cedzi z wściekłością. – Chyba mnie szlag trafi, jak do tego dojdzie.

– Ale czemu ona się na to zgadza? Czemu nie powie, że ma to w nosie i nie chce być bogata za taką cenę? – dziwię się i powoli też zaczyna ogarniać mnie złość. – To głupota!

– To tradycja – mówi już spokojniej. – Rodzina, czyli ojciec, wybiera ci kandydata na męża i jeśli sama nie znajdziesz sobie bardziej atrakcyjnego, oczywiście pod względem finansowym lub pochodzenia, musisz poddać się swojemu losowi. Nikt nie patrzy na to, że facet przez ostatnie dwadzieścia lat szlajał się po świecie, nie wiadomo ile tam dzieci i żon zostawił, bo teraz wrócił do domu z workiem pieniędzy i chce się ustakować. Rodziny biją się o taką partię – wprowadza mnie w tajniki panujących tutaj zwyczajów.

– Ale dlaczego, jeśli tam z kimś był, to zostawia kochającą go kobietę, dzieci i chce wziąć

sobie zupełnie obcą i niechętną mu dziewczynę? – nie mogę się nadziwić.

– Zrozum, Blondi, nawet jeśli po ślubie znów wyjedzie za granicę, teraz już z młodą żoną, to będzie miał kawałek ojczyzny w domu. U nas mówi się, że miłość sama przyjdzie. Później. Najważniejsze są domowe zwyczaje, kultywowanie tradycji, wspólna religia, domowe arabskie żarcie. – Uśmiecha się, wskazując głową suto zastawiony stół. – Kuskus, dużo kuskusu. – Wybuchają śmiechem.

– Ty wiesz, że coś w tym jest. Nasi emigranci, szczególnie w Stanach, też trzymają się razem i najchętniej biorą sobie za żony Polki. Czasami nawet przyjeżdżają do ojczyzny i wyławiają najładniejsze młode dziewczyny, które dają się nabrać na ich rzekome bogactwo. Potem lądują gdzieś na farmie w Teksasie albo w robotniczej dzielnicy w Chicago i kończy się bajka o Kopciuszku.

– No widzisz – cieszy się. – Mamy jednak ze sobą coś wspólnego.

– Myślę, że więcej, niż nam się wydaje – podsumowuję.

– Ach ta Miriam! – cmoka zde gustowana Malika.

– Co z nią? – próbuję namierzyć ją wzrokiem.

– Idiotka, no totalna idiotka – prawie wykrzykuje Malika, chwytając się teatralnym gestem za głowę.

Miriam siedzi w środkowej części stołu, w największym tłoku. Słyszę kaskady śmiechu i widzę płomień w jej oczach. Jakaż ona jest teraz ładna. Oddzielony od niej jednym miejscem, zajmowanym przez małego chłopczyka łapczywie pochłaniającego makaron, siedzi jakiś śniady mężczyzna, ubrany dość podle w porównaniu z resztą towarzystwa. Sprany T-shirt opina mu tors i widać rysujące się na jego ramionach i klatce piersiowej napięte mięśnie. Nieźle zbudowany, chyba jakiś kulturysta. Cały czas rozmawiają, prawdopodobnie opowiadając sobie dowcipy, bo pękają ze śmiechu. Reszta ludzi jakby dla nich nie istniała. Przechylają się nad głową chłopczyka i wygląda, że lada moment wyrzucą go z zajmowanego miejsca. Ich dłonie co chwila się spotykają, choćby na ułamek sekundy.

– Gdzie te łapy, szaleńcy, gdzie te łapy?! – Malika ciska wzrokiem pioruny i całkowicie traci panowanie nad sobą. – Czy ty widzisz, jaką ja mam głupią siostrę? – zadaje mi retoryczne pytanie.

– Mmm. – Wolę nie odpowiadać. – To nie jej mąż? – jednak nie wytrzymuję.

– Raczej by się z nim tak dobrze nie bawiła. Już nie. Ten to idiota trener, ode mnie z fitness klubu – szepcze z pogardą w głosie. – I po co ja ich poznałam?!

– To jest tutaj fitness, aerobik? – Prawie klaszczę w ręce ze szczęścia.

– Pewnie, że jest. Myślisz, że gdzie tak się katuję, żeby jakoś wyglądać. Nie żyjemy w buszu – mówi z naganą w głosie.

– Nie no, nieee. – Nie chcę urazić Maliki, bo panicznie boję się jej reakcji. Jest bardzo gwałtowna.

– Czy wiesz, do czego jest trener? – pyta z wściekłością. – Do skakania jak mała na sznurku i do pompowania własnych mięśni. I do niczego więcej. Absolutnie! A na pewno nie do romansowania z zamężną kobietą na oczach całej jej rodziny i sąsiadów.

Powoli podnosi się z krzesła.

– Gdzie idziesz? – pytam z lękiem.

– Skopać mu tyłek – odpowiada spokojnie, a ja drzę, wyobrażając sobie ciąg dalszy.

Zanim zdążę cokolwiek zrobić, już jej nie ma. Ciężko opadam na krzesło. Czy tutaj cały czas coś się musi dziać? Znów szumi mi w uszach, ale to chyba z nerwów. Policzki palą mnie aż po linię włosów. Chciałabym już stąd zniknąć, zamknąć się u siebie w pokoju lub posiedzieć na balkonie. Nic nie mówić, niczego więcej się nie dowiadywać – mam dość.

Widzę, jak Malika pochyla się nad rozmówcą Miriam, szepcze coś do niego, ściskając równocześnie za ramię. Nie robi tego chyba zbyt delikatnie, bo mężczyzna wyprężył się jak struna, zrobił się jeszcze bardziej śniady na twarzy (to musi być rumieniec) i patrzy na nią usłużnie jak pies. Zęby jednak ma zaciśnięte, a szeroki uśmiech zniknął mu z twarzy. Miriam próbuje oponować, lecz Malika jest zdecydowana. Mężczyzna pokornie opuszcza miejsce i siostry siadają obok siebie. Nie mają sobie nic do powiedzenia, wszystko wiedzą bez słów. Wydawałoby się, że nic się nie stało, lecz całe towarzystwo nagle przycichło i strzela oczami na boki.

– Kiedyż w końcu przyjedzie ten twój mąż? – podniesionym głosem pyta ojciec i wszyscy wiedzą, do kogo kieruje słowa.

– Niedługo, za parę dni – szeptem odpowiada Miriam, wbijając wzrok w stół.

– *Szaa Allah!*

– Ojciec z ulgą dziękuje Bogu. – *Szaa Allah!* Powoli zebrani wstają od stołu; część zajmuje miejsca w wygodnych fotelach lub na sofie, inni wychodzą na taras, a kobiety biegiem udają się do kuchni, aby przygotować zieloną herbatę z miętą na trawienie oraz zaserwować ciastka.

Oddalam się od stołu i próbuję niepostrzeżenie opuścić towarzystwo. Sądzę, że nikogo to nie zmartwi, bo nikt nie zauważy mojego zniknięcia. Przechodząc przez salon, zauważam w kącie fotel na biegunach, zajęty przez jakiegoś nieznanego mi młodego Araba i... moją córkę. Bujają się wysoko, co grozi w najlepszym wypadku wywrotką i siniakami. Marysia piszczy z rozbawienia i ze strachu, mężczyzna zaś wydaje z siebie gardłowe, obłeśne dźwięki. Kiedy podchodzę, przyczyna jego ekstazy staje się dla mnie jasna. Marysia siedzi okrakiem na jego udach, przodem do niego, na tak zwanego konika, a on trzyma ją za rączki. W momencie, kiedy fotel niebezpiecznie staje dęba, moja dziewczynka wygina się do tyłu i prawie dotyka głową ziemi, natomiast bujając się w drugą stronę, pada z rozpędu na krocze młodzieńca. Niewinne dziecko traktuje to jak szaloną zabawę, natomiast w wyrazie twarzy mężczyzny nie dostrzegam nic przyzwoitego. Na jego ustach gości lubieżny uśmieszek, oczy płoną dziwnym, obłąkanym ogniem, a czoło pokrył perlisty pot. Kędzierzawe włosy jeszcze bardziej się skręciły, a okrągłe, puszyste ciało faluje w rytm huśtania.

– Co tu się dzieje, do jasnej cholery? – Podbiegam, mocno zaniepokojona i usiłuję chwycić za poręcz fotela, aby go unieruchomić. – Marysiu, już wystarczy! – krzyczę histerycznym głosem.

– Madam, o co chodzi? – Młody człowiek najwyraźniej mnie lekceważy, śmiejąc się od ucha do ucha. – Dziecko dobrze się bawi.

– Ty widzę również! – nie ściszam głosu.

– Tak, oczywiście.

– Już dość, dość tego!

Marysia z błędnym spojrzeniem nadal siedzi na kolanach obcego faceta i obejmuje go za szyję.

– Mamusiu, jeszcze trochę... – Jak zawsze odwleka moment wykonania polecenia.

– Natychmiast! Mówię coś do ciebie, córeczko! – Chwytam ją za rękę i usiłuję postawić na podłodze.

– Co się dzieje? – Tuż za plecami słyszę zniecierpliwiony głos mojego męża. – Co ty znowu wyprawiasz? – To pytanie kieruje do mnie, a nie do rozbrykanej, nieposłusznej córki.

– Co ja wyprawiam?! – nie mogę się nadziwić. – A nie twoje nieusłuchane i rozpieszczone dziecko?! Uważasz, że to dla niej dobra zabawa?

– A cóż w tym złego? – mówi, ze złością cedząc wyrazy przez zęby.

– Czy ta pozycja wydaje ci się normalna? – Wymachuję ze zdenerwowania rękami. – Głupiutka mała dziewczynka siedzi dorosłemu facetowi na fiucie! – Nie panuję już nad językiem i Bogu dzięki, że nikt nas nie rozumie.

– Ty jesteś zboczona. – Ahmed kręci głową. – Całkiem ci odbiło.

– Ja?

– Tak! Ktoś w końcu się nią zainteresował i dziecko się cieszy. Jej matka, niestety, jest tak przemęczona albo zestresowana, albo myśli tylko o sobie, że nie ma do tego głowy. Albo i serca.

– Nie rozmawiamy o mnie, ale miło poznać twoją opinię. Mówimy, że obcy facet niezdrowo zabawia się z naszym dzieckiem.

– Szurnięta, *madźnuna*, *madźnuna*.

– Pokazuje kółko przy skroni, żeby wszyscy zainteresowani wiedzieli, co ma zamiar mi oznajmić. – A poza tym nie jest to ktoś z ulicy, tylko mój kuzyn, kretynko. W tym momencie chwiejąca się na nóżkach Marysia oddaje całą zawartość trzewi na mnie i na przepiękny wełniany dywan, a następnie ze strachu zaczyna płakać.

– Nadal uważasz, że była to świetna zabawa, dupku? – mówię z niekłamaną satysfakcją, porywam dziecko na ręce i ociekająca wymiocinami biegnę do sypialni.

W nocy budzi mnie własne charczenie. Przecież nigdy mi się to nie zdarza! No, chyba że ktoś mnie dusi! Z przerażeniem usiłuję otworzyć oczy. Są jakby zasypane piaskiem, prawie całkiem zapuchnięte i zlepione dziwną wydzieliną. Nie wiem, co się dzieje, ale nie mogę przełknąć śliny, a język stoi mi w gardle kołkiem, prawie wypełnia usta i czuję, że za chwilę się uduszę. Dotykam warg i z przerażeniem stwierdzam, że są potwornie spuchnięte. Szum w głowie się nasila, pali mnie całe ciało, a nie tylko ręce i twarz, jak poprzedniego wieczoru. Usiłuję podnieść się na łokciu i wezwać pomocy, lecz zawroty głowy są zbyt silne i bezwładnie opadam na poduszki. Czuję jakies palące gule pod pachami i w pachwinach. Dotykam ich – są wielkości pięści, gorące, twarde i bardzo wrażliwe. Boże, czyżby to był mój koniec?! Jestem przerażona. Serce bije mi mocno, dudni w całej klatce piersiowej, tętno chce rozerwać żyły. Łup, łup, łup – pulsuje całe moje ciało.

– Ahmmm... – bełkoczę niezrozumiale i bardzo cicho. – Ahmmm... – Czy on się w końcu obudzi?

Ile sił, a mam ich teraz naprawdę niewiele, ciągnę go za rękaw piżamy. W końcu coś do niego dotarło, zaspany obraca się w moją stronę i ze zniecierpliwieniem usiłuje się ode mnie uwolnić. Po chwili jednak rozbudza się, zapala nocną lampkę i patrzy na mnie wybałuszonymi oczami.

– Dociu – szepcze, pochylając się nade mną. – Coś ty narobiła!

Wyskakuje z łóżka i zaczyna biegać po pokoju jak obłąkany. Mężczyźni w stresie nie potrafią logicznie myśleć, zresztą nie tylko wtedy.

– Do szpitala, do szpitala – bełkoczę mało zrozumiale, lecz, Bogu dzięki, pojął, o co mi chodzi.

– Jedziemy, jedziemy! – krzyczy, biorąc mnie na ręce i wybiegając na ciemny korytarz. – Pomocy, pomocy, niech ktoś mi pomoże! – teraz już drze się na całe gardło.

Widzę zapalające się światła, słyszę trzaskanie drzwi i krzyki otaczających nas ludzi. Wszystko zasnuwa mgła, jestem coraz bardziej nieobecna. Przestałam się denerwować, nie czuję bicia serca, słabnę, chyba umieram.

Światła latarni coraz szybciej migają mi przed półprzymkniętymi oczami. Zdaje się, że leżę na tylnym siedzeniu samochodu, który przeraźliwie piszczy na zakrętach. Jedyne ten dźwięk jeszcze do mnie dociera i boleśnie rani moje uszy.

Znów ktoś mnie rusza, wszystko boli, lecz tak jakoś dziwnie, nie dotkliwie. Słyszę swój jęk.

– *Fisa, fisa!* – jakaś kobieta krzyczy mi nad głową.

Jadę na zimnym metalowym łóżku, a jego chłód przenika całe moje napuchnięte ciało. Czuję dreszcze. Światła jarzeniówek rażą mnie, powodując wylewanie się potoku łez.

– *Barra!*

– Ktoś został wyrzucony, a nade mną pochyła się nieznana twarz. – W ostatniej chwili, dosłownie w ostatniej – mówi. – Na co czekaliście, do cholery!? Ślepi jesteście?!

Chyba nie jest ze mną najlepiej, ale jestem już spokojna, bo trafiłam w dobre ręce.

– Nie bój się – miły głos zwraca się do mnie po angielsku. – Dostaniesz trzy dożyłne zastrzyki. Ukłucia nie poczujesz, ale po jednym z nich zrobi ci się bardzo, wręcz niewyobrażalnie gorąco – spokojnie informuje, jednocześnie wkłuwając mi się do żyły. Myślę, że nie może już być nic gorszego niż mój obecny stan. Powoli czuję, jak powraca mi świadomość. Słuch wyostrza się, lecz załzawione oczy jeszcze nie reagują prawidłowo. Cały pokój jest zamazany, a przebywający w nim ludzie przesuwają się jak widma.

– Teraz – słyszę męski głos.

Co teraz? Nagle ogarnia mnie ogień. To nie jest uderzenie gorąca, jakie miewają kobiety w okresie menopauzy, nie przeżyłyby tego. Nie mogę oddychać, serce wbija mi się w gardło i ogłuszająco dudni. Usiłuję zerwać się z kozetki, chcąc uciec przed wrzątkiem sączącym się do moich płuc. Wydaję z siebie niekontrolowany pisk.

– Spokojnie! – doktor krzyczy, trzymając mnie jak w kleszczach. – Oddychaj, głęboko oddychaj!

Ktoś leży na moich drgających nogach, a lekarz trzyma mnie w pasie i swoim ciałem przyciska do zielonego prześcieradła. W ręce nadal trzyma pustą strzykawkę. Strasznie się trzęsę i nie potrafię nad tym zapanować. Nie mam pojęcia, czy oddycham, czy nie, czy bije mi serce. Gorąco rozlewa się po całym moim ciele i wyparowuje zimnym potem przez skórę. Powolutku stygnę. Odzyskuję ostrość widzenia. Widzę bladego Ahmeda stojącego w piżamie na środku gabinetu i z przerażeniem przytykającego ręce do ust. Chadidża w podomce, z przekrzywioną chustą i wymykającymi się spod niej krętymi włosami, gryząc wargi, przycupnęła na taborecie w kącie. Samirze chyba zrobiło się słabo, bo pielęgniarka zbiera ją z podłogi.

– Już dobrze – szepczę przez wyschnięte gardło i oddycham z ulgą. – Przepraszam.

Staram się uśmiechnąć, lecz chyba nie najlepiej mi to jeszcze wychodzi. Bezwiednie opuszczam głowę na twardą pryczę.

– Aleś nam napędziła strachu, Blondi – ze łzami w oczach mówi Chadidża.

Podchodzi do mnie i delikatnie gładzi po zlepionych potem włosach. Błada Samira cicho pochlipuje.

– Panie doktorze, co to było? – pyta ze złością Ahmed. – Co to, do cholery, było?!

Uderza się rękami po udach i wygląda, jakby chciał komuś w najlepszym wypadku zrobić awanturę. Jest wściekły.

– Pana małżonka musi być na coś uczulona i najwyraźniej dzisiaj się z tym zetknęła – spokojnie wyjaśnia lekarz. – Czy zdarzało się to już wcześniej? – zwraca się do mnie.

– Ależ skąd! – gorliwie zaprzeczam. – Nigdy.

– Proszę się zastanowić, może coś pani dzisiaj ukąsiło, nawet mała muszka może spowodować taki wstrząs. Co pani jadła, czego pani dotykała?

– No odpowiedz panu doktorowi na pytanie – zniecierpliwiony Ahmed mnie popędza. Czemu on tak się złości? Gdzie jego opiekuńczość, troska i miłość? Co ja takiego zrobiłam? Jest mi smutno, bardzo smutno. Łzy ciurkiem zaczynają mi płynąć z oczu.

Lekarz siada na brzegu łóżka i troskliwie bierze mnie za lodowatą, wilgotną rękę.

– Siostrzo, proszę przynieść pled – zwraca się do pielęgniarki. – Teraz będzie pani zimno, mogą wystąpić dreszcze, bowiem cały jad, cała trucizna wyjdzie z ciała na skórę. Pojawią się zaczerwienienia lub nawet bordowe plamy, proszę ich nie drapać i niczego już się nie bać. – Uśmiecha się życzliwie. – Wróciła pani do żywych, i to jest najważniejsze.

Widzę, jak Ahmed odwraca się plecami do mnie i lekceważąco wzrusza ramionami. Samira podbiega i obejmuje mnie za szyję. Nic nie mówi.

– Powolutku sobie pani wszystko przypomni, mamy czas. I tak wcześniej pani nie wypuszczę jak za godzinę, może dwie – lekarz kieruje te słowa bardziej do obrażonego na cały świat Ahmeda niż do mnie. – Teraz, niestety, muszę zająć się resztą chorych. W razie czego proszę mnie wezwać. Pielęgniarka jest w dyżurce na korytarzu.

– Może chili? – nagle przypominam sobie okropne pieczenie rąk i oczu, które zaczęło się przy przygotowywaniu kolacji.

– Proszę?

– No chili, wy chyba nazywacie tę paprykę *harissa* – tłumaczę, widząc niezrozumienie.

– Zjadła pani za dużo? Dała pani radę? – Lekarz robi zabawną minę wyrażającą obrzydzenie i dezaprobatę.

– Nie, nie! Chyba spłonęłabym żywcem. Obierałam, czyściłam, myłam. Była tego chyba cała reklamówka – sprostowuję. – Tak, to musi być to, nic innego.

– Nie używałaś rękawiczek?! – dziwi się Ahmed. – Dlaczego nie założyłaś gumowych rękawiczek?! – krzyczy mój mąż, uważając mnie za skończoną idiotkę.

Doktor podnosi brwi i pytająco pochyla głowę.

– Bo nie było – wyjaśniam. – Pytałam, ale nie dostałam. Dla-te-go! – na koniec wrzeszczę na cały gabinet, akcentując każdą sylabę.

– Unikać, na drugi raz unikać – spokojnie mówi lekarz, poklepując mnie po plecach. – Szkoda by było takiej pięknej kobiety.

Ahmed patrzy na mnie z pogardą, a mego wybawcę, jakby mógł, zabiłby wzrokiem. Oszalał! Odbiło mu?! Nie mogę uwierzyć. To jakiś obłąd – on jest zazdrosny nawet o lekarza, który uratował mi życie.

– Tylko same kłopoty z tą babą – szepcze pod nosem, wychodząc z gabinetu.

Do domu pojechał taksówką. W piżamie. A my po dwóch godzinach wracamy samochodem Samiry.

Farma

Rano, przez sen, słyszę większy niż normalnie zgiełk i zamieszanie. Co się dzieje? Przecież tutaj nikt nie wstaje skoro świt.

– Ahmed! Blondi! – słyszę wołanie przez okno. Jeszcze chwilę się ociągam, ale w końcu biegnę niepewnym krokiem w stronę balkonu.

– Co się dzieje, czyście powariowali? Jest dopiero ósma!

– Zbierajcie się, przecież dzisiaj piątek! Wolne! – krzyczy Miriam, zadzierając głowę i osłaniając oczy dłonią, żeby na mnie spojrzeć mimo palących promieni słońca.

Jakie wolne? Znowu trzeba będzie gotować, zmywać, sprzątać i Bóg wie co jeszcze. One chyba tak się cieszą, bo mężczyźni nie mają pretekstu, aby się wyrwać i przynajmniej raz w tygodniu spędzą z nimi cały dzień.

– Jedziemy na farmę! Będzie super! – Miriam nie daje za wygraną. – Chodźcie coś pomóc, lenie!

Całkiem już rozbudzona obracam się na pięcie i kieruję w stronę łóżka i śpiącego Ahmeda. Przestał się do mnie odzywać po incydencie z papryką. Tak jakby to była moja wina, jakbym zrobiła to celowo. To już trwa jakiś czas, długo, za długo. Znika na całe dni, a jak się pojawia w domu, omija mnie łukiem. Późno w nocy przychodzi do sypialni, aby się tylko przespać. Może dzisiaj, jak spędzimy cały dzień razem, wszystko wróci do normy? Chciałabym, aby tak się stało, bo boję się jego wrogości.

– Ahmed, wstawaj, zbieramy się na farmę – szepczę mu do ucha, prawie dotykając go wargami.

– Mamy czas – mruczy i obraca się na drugi bok. Nie chce moich czułości. – Oni jeszcze przez parę godzin będą się kotłować w kuchni i na podwórku. Będą bezsensownie biegać, przynosząc po jednej rzeczy i zapominając o najważniejszych. To nie ma sensu.

– A mogę się jeszcze położyć z tobą? – niezrażona mruczę jak kotka. – Mmmm. – Jak chcesz.

Co to, do cholery, znaczy, jak chcesz. To on zawsze chciał, a ja nie mogłam się od niego opędzić! Jestem obrażona i jednocześnie zła.

– Hej, panie mężu! – mówię do jego pleców. – Czy czasami nie zapomina pan o jakichś obowiązkach wobec żony? Co z tobą, Ahmed? – pytam już rozżalonym głosem. – Co ja takiego ci zrobiłam?

– Nic. – Odwraca się, wzdychając. – Po prostu coś się zmieniło – mówi twardym głosem. Nie słyszę w nim smutku, lecz jakieś wyobcowanie i niechęć.

– Co takiego? Może uda się to naprawić.

– Ty tutaj nie pasujesz, Blondi – oświadcza. Nigdy tak mnie nie nazywał.

– Jak to nie pasuję? – oburzam się nie na żarty. – Przecież mam świetny kontakt z twoimi siostrami, nawet Chadidza mnie zaakceptowała.

– Może się myłę – stwierdza nieprzekonująco.

Jak to dobrze, że przyjechaliśmy tylko w odwiedziny. Gdybyśmy tutaj dłużej posiedzieli, to byłby definitywny koniec naszego małżeństwa. Ahmed po raz pierwszy od przyjazdu jednak przypomina sobie, że jest mężczyzną i nieoczekiwanie po tak oziębłej rozmowie przyciąga mnie do siebie. Czuję jego podniecenie i gotowość i ogarnia mnie błogie ciepło pożądania.

– Oj, Blondi, Blondi – szepcze mi do ucha. Zawsze czuły i delikatny w takich sytuacjach, teraz bierze mnie za kark, jak kota lub szczenię, i przewraca na brzuch. Nie podoba mi się ta pozycja. Próbuję się z niej wyswobodzić, lecz przygnięciona do łóżka nie mam najmniejszej

możliwości ruchu. Wchodzi we mnie ostro i bez żadnych wstępów. Trwa to tak krótko, że nie zdążyłam nawet zaprotestować. Nie wiem, co się dzieje. Mój kochany mąż po prostu mnie zaliczył. Po krótkiej chwili odpycha mnie, wstaje i jak gdyby nigdy nic idzie do łazienki.

Leżę samotnie zwinięta w kłębek, zszokowana, a w głowie mam pustkę. Nie jestem w stanie się ruszyć.

– Ty rozpustnico! – wrzeszczy po wyjściu z łazienki. – Będziesz tak cały dzień leżeć z gołym zadem na wierzchu?! – Zarzuca na mnie pled, który zakrywa mnie z głową. Trzaskają drzwi.

Nie mam już ochoty na żadne wyjazdy, farmę czy towarzystwo jego rodziny. Chciałabym stąd uciec. Bezpieczny półmrok otula moje ciało wstrząsane cichym łkaniem. Usypiam w tej samej pozycji.

– Mamusiu, mamuniu! – Marysia ciągnie mnie z całej siły za rękę. – Wstawaj, wstawaj prędko, już jedziemy! – wykrzykuje podniecona. – Co ty jeszcze robisz w łóżku?! Wszyscy cię szukają!

– Ja... już, już. – Nie chcę dziecku robić przykrości, lecz nie jest łatwo pozbierać obolałe ciało, a tym bardziej zranioną duszę. – Leć na dół, zejść za chwileczkę.

Marysia wypada z pokoju jak wiatr, a ja noga za nogą ciągnę się do łazienki. Kręci mi się w głowie i ledwo mogę utrzymać pion. Moje odbicie w lustrze przeraża. Skołtunione, tłuste włosy, zapuchnięte oczy i blade jak kreda policzki. Nie doprowadzę się do porządku w ciągu pięciu minut, więc rezygnuję z rzeczy niemożliwych. Biorę szybki, letni prysznic, narzucam sukienkę, zakładam przeciwsłoneczne okulary i biegnę na podwórze, skąd dochodzą podniecone głosy.

Pick-upy i wielkie luksusowe samochody stoją z zapalonymi silnikami, chłodząc swoje wnętrza i czekając na rozlokowanie się pasażerów. Również to nie jest tutaj łatwe. Gwar jest taki, że nie można się połapać, co i kto mówi, nie wspominając już o sensie wypowiedzi.

Dzieciarnia wspina się na pakę jednego z półciężarowych samochodów. Leżą tam materace, kanistry z wodą oraz jedzenie, znowu w ilości mogącej zadowolić pluton wojska. Widzę Marysię, wciąganą za ręce i sukienkę przez pozostałych pięcio- czy sześciolatków.

– Zaraz, zaraz – krzyczę, podbiegając do nich. – A ty dokąd, moja panienko?

Próbuję ją odciągnąć od auta, lecz reszta nie ma zamiaru jej puścić. Przecież takie małe dziecko nie będzie jechało na pace otwartej ciężarówki. Tym można przewozić towary, zwierzęta, i to przywiązane, ale nie ludzi.

– Ahmed! – krzyczę, rozglądając się dookoła. Jak zawsze szukam u niego wsparcia i pomocy.

– Co ty wyprawiasz? – słyszę za sobą bardziej jego syk niż szept.

– Dzieciom nie wolno jeździć na pace otwartego samochodu ciężarowego – tłumaczę, wymachując rękami. Przecież on to wszystko wie i jeszcze parę tygodni temu skrupulatnie przestrzegał zasad bezpieczeństwa. Nawet był przewrażliwiony na tym punkcie.

– Tutaj obowiązują inne reguły – mówi rozwścieczony. – Przy tej ilości dzieci trzeba by wynajmować autokar, żeby pojechać z rodziną na zieloną trawkę albo do zoo czy nad morze. Daj już spokój! – kończy, wrzucając Marysię jak piłkę na materace.

– Coś ci się tu stało, słońce przygrzało zanadto?! – Teraz walczę jak samica o swoje małe. – Gównu mnie obchodzi, że rozmnażacie się jak króliki i w każdym domu jest małe przedszkole. To jest moja córka i nie wiem, czy pamiętasz, ale również twoja. Jest tylko jedna jedyna i nie mam ochoty jej stracić – drę się na całe gardło.

Ten idiota mój mąż znowu kręci kółka na czole, oznajmiając wszystkim, że jestem szalona.

– Nie mam ochoty jej zeszkrobywać żyłką z asfaltu, czy dociera to do ciebie!? – krzyczę, równocześnie wdrapując się na platformę i usiłując wydostać stamtąd małą.

– To możecie iść obie piechotą – oświadcza ze złym błyskiem w oku, sarkastycznie się śmiejąc.

Miriam wprawdzie nie zrozumiała z prowadzonej po polsku rozmowy ani słowa, lecz wyczuwa intuicyjnie, o co chodzi.

– Chodźcie już, chodźcie do naszego wozu. – Popycha mnie z wrzeszczącą i zapierającą się Marysią w stronę ogromnej czarnej limuzyny. – Zmieścimy się, spokojnie, tylko bez nerwów. *Jalla, jalla!* – wykrzykuje do wszystkich i karawana powoli wytacza się z zatłoczonego podjazdu.

Jedziemy już tak długo, że zdążyłam się uspokoić. Marysia, zawiedziona przenosinami do zwykłego samochodu, pochlipuje z cicha i drzemie na siedząco, nie dając się nawet dotknąć. Monotonny monolog Miriam i kołysanie samochodu usypiają. Tłumaczy mi, że jazda tyle trwa, lecz warto się pomęczyć, bo najpiękniejsze tereny zaczynają się prawie sto kilometrów za stolicą. Opowiada mi o kraju i jego bogactwach. Gdy czegoś nie rozumiem, wyjaśnia mi na migi, a po wyrazie jej twarzy odgaduję, czy coś jest dobre czy złe.

Ziemi mają pod dostatkiem i nie jest ona dla nikogo rarytasem – no chyba że znajdują się na niej złoża ropy. Taka jest już coś warta. Pozostałą można kupić za grosze. Rolników jest niewielu. Mało kto chce wyrywać ziemię pustyni i zmagać się z przeciwnościami losu pod palącymi promieniami słońca. Są to chyba najbiedniejsi ludzie w tym kraju. Mijamy farmy, lecz są to raczej lepianki bądź domki sklecone z blachy, ogrodzone połamanymi kijkami, drutem kolczastym lub krzewami opuncji. Taki arabski żywopłot z kaktusów. Żałosny widok.

Nurtuje mnie, jaką to farmę za chwilę zobaczę. Sama nazwa kojarzy mi się z amerykańskimi westernami. Na farmie powinno się hodować konie, krowy, uprawiać rolę. Stawia się tam też dom, mam nadzieję, że nie z blachy falistej.

Miriam niezmiernie snuje swoją opowieść. Mówi, że czasami wyróżniający się obywatele dostają działkę jako premię od państwa. Rodzinną farmę dostała Malika, ale jako że kobieta nic nie może posiadać na własność, w papierach zapisana jest na Ahmeda. Taka farma to jakby arabska wersja naszej weekendowej działki czy daczki. O ile ta miałaby parę hektarów. Powoli dochodzi do mnie treść wypowiedzi.

– Co ty mówisz?! – Podskakuję, całkowicie już rozbudzona. Uderzam głową o sufit samochodu, aż mąż Miriam zaniepokojony obraca się w naszą stronę.

– *Afuan, afuan!* – krzyczę przepraszająco. On uśmiecha się tylko pod nosem i wraca do prowadzenia. Miły z niego gość.

– Nie ekscytuj się tak – ostrzega Miriam. – Pogadamy, jak przyjedziemy, i zobaczysz, co to za ruina.

– To mówisz, że jest tak źle – wzdycham zawiedziona. – Mój Boże, taki kawał ziemi, ile by tutaj można zrobić?! – Wyrzucam ręce do góry i łapię się na tym, że zaczynam gestykulować jak prawdziwy człowiek Wschodu.

– Przed wyjazdem do Polski Ahmed czerpał z niej niezłe zyski, choć nie poczuwa się do bycia rolnikiem – spokojnie relacjonuje dalej Miriam. – Mieszkał w mieście, a ludzie za niego robili, on zaś tylko nadzorował, ale najważniejsze, że miał pomysł. I to całkiem niezły, lecz po jego wyjeździe wszystko szlag trafił.

– A co robił, uprawiał haszysz? – żartuję.

– Ty chyba naprawdę jesteś stuknięta – obrusza się i spluwa przez lewe ramię. – Nawet nie mów takich rzeczy! – unosi się gniewem spokojna dotychczas Miriam.

– Przecież to był żart, głupi żart. – Z uśmiechem na ustach próbuję załagodzić sytuację.

Jeśli Miriam się na mnie obrazi, to zostanę tutaj samiutka jak palec.

– Nie żartuj sobie w ten sposób – ostrzega mnie, surowo spoglądając. – Jeszcze ktoś usłyszy i nieszczęście gotowe.

– Nic nie rozumiem...

– Bo ty, Blondi, jeszcze w ogóle nic nie rozumiesz i musisz naprawdę bardziej uważać.

– Ale to był niewinny dowcip – jęczę cicho już całkiem załamana.

– Może kogoś kosztować głowę. Za uprawianie haszu, posiadanie czy handel narkotykami grozi kara śmierci. Bez procesu. A chętnych do pomówienia znalazłoby się sporo.

Otwieram usta jak dziecko.

– Jasne?! – pyta, podnosząc brwi. – Czy teraz się rozumiemy?

Na koniec i ja siarczyście pluję na prawo i lewo. Rozglądam się dookoła. Nie miał kto podsłuchać naszej rozmowy. Bogu dzięki.

– To co on tam uprawiał? – szeptem ponawiam pytanie.

– Truskawki, głupolko, tylko truskawki – rozbrojona Miriam wybucha śmiechem.

Powoli kurz z drogi opada i moim oczom ukazuje się okazały szary bungalow. Parterowy budynek czasy świetności ma dawno za sobą, ale nadal wygląda imponująco. Szerokiego wejścia bronią ciężkie drewniane żaluzje w ciemnobrązowym kolorze. Takie same zakrywają wielkie okna. Wchodzi się przez taras, pokryty kiedyś łososiowym lastryko do złudzenia przypominającym marmur. Mężczyźni rzucają się do kłódek i korb, aby otworzyć podwoje. Chłopcy prędko rozpalają grilla. Czyżby tak bardzo zgłodnieli, że zamiast najpierw się rozpakować, już myślą o jedzeniu? Dzieciaki wyskakują z ciężarówki, a moja córka z obłędem w oczach wali małymi rączkami w szybę samochodu, chcąc się wydostać. Kiedy otwieram drzwi, wypada na zewnątrz, nurkując kolanami i nosem w piaszczystej drodze.

– Teraz lepiej zatrzymaj ją przy sobie przez chwilę – krzyczy Ahmed. – Najpierw musimy wykurzyć skorpiony i węże, bo oczywiście nikomu nie chciało się wcześniej tego zrobić.

Widzę, że jest wściekły, lecz tym razem Bogu dzięki nie na mnie. Marysia ryczy na pełny regulator i nie ma sposobu, by ją przekonać, aby zechciała chwilę zaczekać.

– Ciekawa jestem, co mam jej powiedzieć?! Ahmed! – wołam bezradnie. – Dlaczego reszta dzieciaków goni dookoła i nikt im tego nie zabrania?

– A dlaczego one jechały na pace, a Marysia nie? – odpowiada nieco złośliwie, ale głos ma już normalny, jakby nic się nie stało. – Jeśli ty nie możesz sobie poradzić z jedną małą dziewczynką, to jak zakazać czegoś takiej bandzie szczeniaków? – Uśmiecha się pod nosem, ocierając pot z czoła. Jest niesamowicie gorąco. Musi być ponad trzydzieści stopni w cieniu.

– Marysiu, Marysiu, koteczku – zaczynam podstępem. Natężenie dźwięków wydobywających się z jej gardła nie słabnie. – Mam dla ciebie coś specjalnego. – Robi się trochę ciszej. – Oni tego nie dostaną. – Zapłakane oczka zwracają się w moją stronę.

– A co?

– Mama weźmie cię na ręce i obejdziemy cały dom dookoła, dobrze? – Widzę lekkie wahanie, więc kuję żelazo, póki gorące. – Może znajdziemy jakiś skarb? – Już jest moja. – Trzymaj lizaka i w drogę.

Dom jest ogromny. Dobrze, że wrzuciłam do torby skórzane adidas, bo teraz zadowolona zmieniam obuwie i ruszamy na zwiady. Wiem jedno, mogłabym tutaj mieszkać. Oczywiście po uprzednim wypędzeniu skorpionów i innego robactwa. Dookoła domu prowadzi szeroka na prawie półtora metra ścieżka wyłożona tym samym lastryko co taras. Przez lata zarosła krzewami i trawą, które teraz w lecie całkowicie wyschły i łamią się z trzaskiem. Na tyłach budynku urządzono małe patio, do którego wchodzi się przez bramę w otaczającym je murze. Na środku stoi wyschnięta mała fontanna, w kącie kamienny stół z dwiema długimi

ławami, a po drugiej stronie postawiono grilla z czerwonej cegły. Wszystko jest osłonięte rusztowaniem z listewek, pełniącym rolę baldachimu, po którym niemrawo pnie się zdziczała winna latorośl. Przynajmniej na niej zostało parę zielonych zakurzonych listków. Z domu do patio można wejść przez szerokie drzwi, identyczne jak te znajdujące się od frontu. Za nimi zapewne musi być kuchnia, ale na razie są jeszcze zamknięte, choć słyszę już głosy dochodzące ze środka. Czuję też dym. Ruszamy na dalszy obchód, nie chcąc natknąć się na jakiegoś gada uciekającego w popłochu przez szparę pod drzwiami.

– Docia, gdzie jesteś? – słyszę głos Ahmeda za murem ogrodzenia. – Nic cię nie użarło? Obracam się i biegnę w jego kierunku, z przerażeniem patrząc pod nogi.

– Tutaj, wszystko w porządku.

Podbiegam do niego i podekscytowana zarzucam mu rękę na szyję. Marysia wisi na mnie jak bombka na choince.

– Piękny ten dom – szepczę, wspinając się na palce i chcąc go pocałować.

Jego wargi smakują tak jak w Polsce i od razu zapominam o wszystkich nieprzyjemnościach, które mnie tutaj spotkały. Ahmed tuli mnie do siebie, a ja czuję jego podniecenie. Zawsze zadziwiała mnie szybkość jego reakcji oraz możliwości. Wystarczyło jedno muśnięcie i był gotów. Tak bardzo go pragnę, czulego, zakochanego, oddanego. Wspólnie obejmując Marysię, Igniemy do siebie. Kręci mi się w głowie.

– Już jest bezpiecznie – mówi zduszonym głosem. – Marysia, zmykaj do dzieci. Już, już. – Stawia ją na ziemi i klepie delikatnie w pupę.

Nie mogę oddychać, przed oczami mam mroczki. Nie wiem, czy to z pożądania, czy z upału, a może z jednego i drugiego. Gdzie my tutaj przy takiej hałastrze ludzi możemy być sami?

– Chodź, pokażę ci coś. Spodoba ci się – szepcze i ciągnie mnie za rękę, sprowadzając ze ścieżki na piaszczyste pole.

Biegniemy niczym obłąkani. Potykam się o jakieś niewidoczne kamienie i zaplątuję w wyschnięte trawy. Moim oczom ukazuje się betonowy budynek bez okien i drzwi, wyglądający jak klocek. Ahmed zmierza w jego kierunku. W pewnym momencie bierze mnie na rękę i pędzi na złamanie karku. Pot zalewa mu oczy, a ja scałowuję go z jego zakurzonej twarzy. Okazuje się, że budowla ma schody biegnące wzdłuż bocznej ściany. U jej podnóża Ahmed stawia mnie na nogi i trzymając się za rękę, pokonujemy piętro po dwa stopnie. Zdyszani wpadamy na dach. Nie widzę, jaki widok rozpościera się dookoła, bo cały świat przesłania mi Ahmed. Przyklękamy na płaskiej płycie dachu, ocierając się o siebie i zdzierając z siebie ubranie. Mój mąż znów jest sobą. Czuję jego rękę na całym moim ciele, długie palce zagłębiają się w moje najsłabsze zakamarki, łaskoczą i drażnią, doprowadzając do szaleństwa. Raz są delikatne i łagodne, innym razem brutalnie zaciskają się na moich piersiach. Krzyczę, pragnę, aby już we mnie wszedł, lecz on się nie spieszy, choć jest gwałtowny i podniecony do granic możliwości. Kiedy dotykam jego członka, jęczy, a drżenie ogarnia całe jego ciało. Uwielbiam delikatnie go pieścić, jest gładki jak aksamit i twardy jak stal. Pochylam się i biorę go w usta, smakując i łaskocząc językiem. Czuję, że już dłużej nie wytrzymamy. Ahmed kładzie się na chropawym betonie i sadza mnie na sobie. Jestem tak gorąca i mokra, że wślizguje się we mnie niepostrzeżenie. Czuję pulsowanie i sama poddaję się rytmowi. Drobne kamyczki wbijają się w kolana, lecz nie zwracam na to najmniejszej uwagi. Sklejone włosy oplatają mi szyję, a pot kapie z piersi prosto do jego ust, ssących je delikatnie. W tej samej chwili krzyczymy spazmatycznie wśród bezludnych połączeń piachu. Znika otaczający nas świat, chaszcze i palące słońce. I wszystkie nieporozumienia. Zmęczona i szczęśliwa kładę się obok mojego męża. Z kolan drobną strużką spływa mi krew, którą Ahmed delikatnie scałowuje.

– Przepraszam, Dociu, ostatnio zachowywałem się jak idiota – szepcze mi do ucha. – To

dlatego, że tak długo mnie tutaj nie było. Zachłysnąłem się przeszłością.

– Ja też przepraszam. – Odwracam się w jego kierunku i patrzę mu prosto w oczy. – Wiele rzeczy jest dla mnie całkiem nowych, wielu nie rozumiem – tłumaczę. – Chyba rzeczywiście nie do końca przygotowałam się na ten wyjazd. Za mało czytałam o zwyczajach i kulturze... Ale w życiu zawsze jest inaczej niż w naukowych opracowaniach. Przede wszystkim ciekawiej.

– Daj spokój – uśmiecha się. – Nic nie zawiniłaś, to ja jestem osłem.

– Zrozum, kochanie ty moje, po prostu zawsze zachowywałaś się tak jak wszyscy, których znam, i myślałam, że tak samo myślisz i czujesz – usiłuję mu przedstawić przyczynę mojego szoku.

– Docia, ja stąd wyjechałem, bo nigdy mi nie pasowały te durne średniowieczne zwyczaje i cała ta tradycja.

– To dlaczego?

– Nie wiem. Zgłupiałem – przyznaje, robiąc śmieszny, niby-smutny minę. – Wiesz, dawni koledzy, jestem dość podatny...

– Przestań już, przecież nie jesteś dzieckiem, masz swój rozum – oburzam się, przypominając sobie Miecia i wszystkich koleśki z Polski. – Ja tylko pragnę, żebyś ty chciał być ze mną – płaczę się, próbując naświetlić moje największe obawy. – Zauważyłam, że wasi mężczyźni unikają kobiet, a szczególnie własnych żon. Może z wyjątkiem momentu robienia im dzieci, co stanowi chyba jedyny bliski kontakt.

– Dlatego też nie chciałem mieć żony Arabki, żony nie z własnej woli, żony bez miłości, bez uczucia, które ponoć ma przyjść później. Ale później przeważnie jest tylko gorzej. – Zamyśla się nad czymś i smutno wzdycha.

Leżymy nadzy na rozgrzanym dachu i patrzymy w błękit nieba. Słońce wysuszyło pot na naszych ciałach i gdy się nie poruszamy, to nawet przyjemnie grzeje.

– Słuchaj, dostaniemy udaru i tym razem oboje wylądujemy w szpitalu – mówi Ahmed, podpierając się na łokciu. – Tobie odpadnie nosek, a mnie „mały Ahmedzik”. – Wskazuje swój wielki penis, który znów niechcący doprowadziłam do wzwodu.

– No wypraszam sobie – śmieję się, kokieteryjnie odrzucając włosy z twarzy. – Tylko nie mały.

Ponownie zbliżamy się do siebie, lecz tym razem spokojnie zanurzamy się w rozkoszy, szepcząc czule słówka i wielokrotnie wyznając sobie dozgonną miłość.

Gdy słońce zaczyna chylić się ku zachodowi, objęci i szczęśliwi wracamy do reszty towarzystwa. Nie jest tak jak dawniej w Polsce, jest jak nigdy dotąd. W końcu przełamaliśmy barierę i zaczęliśmy sobie tłumaczyć nasze odczucia i oczekiwania. Tak blisko ze sobą jeszcze nie byliśmy. Tutaj nie chodzi przecież tylko o seks – najważniejsza jest jedność dusz. Teraz się o tym przekonałam.

Dzieci śpią na materacach rozłożonych w salonie, a z nimi nasza Marysia. Mężczyźni grają w warcaby lub kulki, niektórzy śpią, a kobiety rozłożyły się na wiklinowych matach w cieniu na wpół uschniętej akacji. Plotkują. Oj, mają dzisiaj o czym i o kim!

– Chodź, pokażę ci dom – mówi Ahmed, biorąc mnie za rękę.

– Super. – Bezwstydnie ocieram się o niego biodrem, lecz tym razem nie odsuwa mnie ani się nie oburza.

Główne wejście prowadzi prosto do ponadtrzydziestometrowego salonu. Na podłodze zakurzone lastryko, wybielone ściany dawno straciły już świeżość. Pod sufitem wiszą wielkie pajęczyny, które nikomu nie przeszkadzają. Nic cennego tutaj nie ma, może z wyjątkiem 42-calowego telewizora i wieży Sony. Po kątach zalegają jakieś stare meble i połamane krzesła.

Przeskakujemy między leżącymi i wchodzimy do kolejnych pokoi, które mają wejścia z głównego salonu. Każdy ma co najmniej dwadzieścia metrów i wielkie okno. W ścianach zięją pustką dziury po klimatyzatorach.

– Ukradli. – Ahmed pokazuje palcem, podążając za moim wzrokiem. – Trzeba zatrudnić porządniejszego gafira.

– To cały czas jest tutaj stróż? – dziwię się, widząc stan domu. – Czego można jeszcze pilnować? Wystarczy sprzęt audio przewieźć do domu i zostają puste ściany.

– A ty myślisz, że darmowy materiał budowlany nie znajdzie zainteresowania na rynku wtórnym? – śmieje się. – Najgorszy problem z tymi nielegalnymi emigrantami. Taki rozbierze ci ścianę domu i zbuduje sobie lepiankę, okradnie czy nawet zamorduje, ale szukaj wiatru w polu, bo faktycznie go nie ma, nie przekroczył granicy, nie ma paszportu, nigdzie nie jest zarejestrowany. Tutaj potrzeba z pięciu gafirów.

W kuchni jest wszystko, co niezbędne w gospodarstwie – bojler, kuchenka z piekarnikiem i lodówka – ale sprzęty po prostu się rozsypują. Łazienka wygląda znacznie lepiej, może po prostu nikt z niej nie korzystał; glazura w brązowe łatki nigdzie nie jest pęknięta, a płytki na podłodze nie mają nawet rysy. Pysznic lśni bielą, a ubikacja tylko trochę przecieka.

– Wszyscy korzystają z drugiej, która jest na zewnątrz. Po prostu bliżej – wyjaśnia, widząc zdziwienie w moich szeroko otwartych oczach. – Nie radzę ci do niej wchodzić. Omijaj z daleka! – śmieje się.

– A widziałeś patio z tyłu? – pytam, jakbym to ja oprowadzała Ahmeda po moim domu. – Jest piękne, wspaniałe. Chciałabym siedzieć i zrywać dojrzałe winogrona rosnące nad głową. – Ciągnę go za rękę do tylnego wyjścia z kuchni.

– To również moje ulubione miejsce – mówi.

Trzymając się za ręce, siadamy przy zakurzonym kamiennym stole. Patrzymy sobie głęboko w oczy. Nie rozumiemy, jak to się stało, że tak się od siebie oddaliliśmy, lecz Bogu dzięki, to już przeszłość.

– Nigdy więcej – szepczemy jednocześnie, pochylając się do siebie i czule całując.

– Za tydzień, moja księżniczko, zapraszam cię tutaj na kolację – szepcze Ahmed.

– To wiesz co, daj mi jakąś miotłę, wiadro, szmaty, ja już dzisiaj trochę odkurzę. – Zrywam się gotowa do pracy.

– Kociu, daj spokój. Tutaj potrzeba całej armii ludzi. Ja to wszystko zorganizuję.

– Mmmm – jęczę zawiedziona. – Ale ja chcę już dzisiaj, zaraz, teraz, natychmiast.

– Jak ci się tutaj tak podoba, to jutro pożyczę auto od Maliki i przyjedziemy sami. Będiesz dowodzić ludźmi w domu, a ja zobaczę, co da się uratować w polu. Może jeszcze możemy coś zdziałać? – Sadza mnie sobie na kolanach, mocno obejmując ramionami w pasie.

Całe popołudnie spędzamy na naszym patio, tuląc się do siebie i całując.

Zmierzch zastaje nas leżących na kamiennej ławie. Spleceni w uścisku śpimy jak dzieci, odpoczywając po burzliwym dniu.

– Kolacja, czy jest ktoś głodny w tym towarzystwie?! – słyszę nawoływania Miriam.

– Ahmed, Ahmed. – Delikatnie budzę męża. – Już wołają do stołu, a ja nic im nie pomogłam. Będą się na mnie wściekać.

– No to leć do nich, a ja zaraz przyjdę.

Pędem wpadam do łazienki, biorę szybki, letni prysznic, bo kleję się od potu i kurzu. Wycieram się papierowymi ręcznikami i z niepokojem obserwuję zaczerwienione od słońca ramiona i twarz.

– Blondi, gdzie wyście się zapodziali?! – woła z kuchni rozszłoszczona Malika. – Może oni wrócili do miasta? Czy ktoś ich w ogóle widział?

– Gdzieś tu muszą być – tłumaczy spokojnie Miriam. – Może dziewczyna ogląda swoje nowe włosy, w Polsce chyba takich nie miała.

– Jestem już, jestem! – krzyczę od wejścia. – Rzeczywiście jest co podziwiać. Strasznie mi się tutaj podoba. Okrutnie! – usiłuję opisać im moje odczucia.

– A cóż takiego wspaniałego widzisz w tej zapyziałej dziurze, Blondi? – zdeglustowana Malika krzywi usta. – Chyba że lubisz piach i wyschnięte krzaki, a może węże i skorpiony tak ci się podobają?

– Wszystko, moja kochana, wszystko jest cudowne. Tylko troszkę zaniedbane. – Biorę wielką michę jakiegoś zielska polanego oliwą i cytryną i wynoszę na taras. – Chciałam już dziś zabrać się za sprzątanie, ale Ahmed mi nie pozwolił.

– No pewnie, sama, z motyką na słońce. – Malika kiwa z politowaniem głową. – Tu potrzeba całej armii ludzi...

– Ahmed dosłownie to samo powiedział – przerywam jej w pół zdania.

– No więc widzisz. – Zadowolona, że ma rację, wymownie macha ręką. – Matyldaaaa!!! – nagle ryczy na całe gardło. – Matylda, gdzie ty się płaczesz, ofiario losu?!

– Co za Matylda? – pytam cicho.

– Moja służąca, nie wiesz?

– Aha, zapomniałam, że tak ma na imię. Widziałam ją przy stole na zewnątrz. Rozkłada sztuce i talerze – próbuję usprawiedliwić biedną dziewczynę.

Matylda to nie służąca czy gosposia, raczej niewolnica. Malika przywiozła ją sobie z ostatniej placówki dyplomatycznej, gdzie była ambasadorem. Rezydowała w jednym z krajów Afryki Środkowej, w którym głodne dzieci mają wielkie, rozdęte brzuszki, a szczęściarze, którzy dostali jakąś pracę, robią wszystko za miskę pożywienia. Matylda jest jej dogonnie wdzięczna i wierna jak pies. Tak też jest traktowana.

Czarnoskóra dziewczyna z rozwianym włosom wpada do kuchni i zgięta wpół mamrocze przeprosiny w kierunku Maliki. Ta prawie rzuca jej półmisek z pomidorami, a on, na nieszczęście, wyślizguje się z mokrych rąk Matyldy i rozbija na kamiennej posadzce. W tej samej chwili Malika odwiją się i uderza służącą na odlew w twarz.

– Ty niezdar! – krzyczy. – Teraz to sprzątaj, nikt w tym chlewie nie będzie z tobą siedział. – Wychodzi z kuchni, kopiąc na wszystkie strony resztki szkła i pożywienia. Matylda cichutko pochlupuje.

– Co ją ugryzło? – pytam Miriam, która całą scenę przeczekala w kącie i udaje, że nic się nie wydarzyło.

– To jest cała Malika – wzdycha. – Uważaj na nią, mała. Raz do rany przyłóż, a za moment gotowa do poderżnięcia gardła – obrazowo opisuje charakter siostry. – Oczywiście nie dosłownie.

– Ale jaki jest powód? Musi jakiś być – dopytuję, chcąc zrozumieć psychikę kobiety, która tak mi zaimponowała w pierwszej chwili, teraz zaś jestem totalnie zszokowana jej zachowaniem.

– Biedna Matylda najmniej z tym miała wspólnego, w niczym nie zawiniła, jak zawsze zresztą.

– No to kto lub co?

– Malika, Malika. – Miriam teatralnie wzdycha. – Taka niezależna i samodzielna, ale równocześnie samotna i tym samym niemogąca znieść cudzego szczęścia. Wszystko jest okej, gdy ktoś jest załamany, słaby, potyka się, ona wtedy zawsze pomoże. Tego nie można jej odmówić. – Dla podkreślenia prawdziwości swoich słów kiwa na boki głową i całuje opuszki palców. – Kiedy natomiast wszystko układa się jak najlepiej, Malika czuje się zbędna, odrzucona,

nikomu niepotrzebna i wtedy wybucha. W takim momencie lepiej nie być na linii strzału – śmieje się pod nosem.

– A kto tym razem zaznał za dużo szczęścia? – Patrzę na nią, figlarnie podnosząc brwi.

– Oj, Blondi, to emanuje z całej twojej postaci. Ja bardzo się cieszę. Miłość to wspinała rzecz.

Zawstydzona jak nastolatka, czuję oblewający mnie rumieniec i wbijam oczy w podłogę.

– Co będzie na kolację? Umieram z głodu – zmieniam temat.

– Chyba jeszcze czegoś takiego nie jadłaś. Nazywa się bordin i jest to danie tureckie albo arabskie. My o to nie będziemy się kłócić.

– Nigdy nie słyszałam takiej nazwy – przyznaję zaciekawiona. – Coś z mięsa?

– Najpierw kopiesz w ziemi dołek – objaśnia rozbawiona. Zaśmiałam się, wyobrażając sobie, że potem z tego dołka wyjmuję robaki, kładę je na zielsku z oliwą i weinam na surowo. Samo zdrowie. – No co cię tak śmieszy? Przygotowujesz palenisko w głębokiej dziurze. Kiedy węgiel drzewny się wypali, możesz dorzucić parę wonnych gałązek ziół lub specjalnych drzew iglastych i nad żarem wieszasz ponabijane na długie szpikulce kawałki mięsa. Najlepiej baraninę, ale bordin robią też z wielbłądziny. Nawet lepsze. My mamy jagnięcinę. – Mlaska językiem o podniebienie, podkreślając, że to danie palce lizać. – Komin nakrywa się kawałkiem grubej blachy lub specjalną przykrywą, przysypuje ziemią i pozostaje już tylko czekanie. Trzeba być cierpliwym, bo aby mięso zmiękło, nieraz musi się wędzić dwie lub trzy godziny. Nasze już się robi co najmniej od czterech, więc albo wyszło na wiór, albo rozplynie nam się w ustach.

Zabieramy ostatnie pasty, nowy półmisek z pomidorami i zmierzamy na taras. Wszyscy siedzą już przy plastikowych stołach, trzymając w rękach talerze i widelce. Niektórzy pogryzają nerwowo chleb. Dzieci oczywiście napychają się ciastkami i czekoladą. Nie znają umiaru i nikt na to nie zwraca uwagi. Ahmed walczy z Marysią, usiłując zabrać jej jakiś kawałek słodkości i zaciągnąć do łazienki. Twarz, ręce i nogi ma w całości pokryte kurzem i piachem. Nawet jej jasne blond włosy poszarzały. Idę mu pomóc, bo mała strasznie wierzga.

– Dajcież dziecku spokój! – rozlegają się dookoła głosy.

– Przecież przynajmniej ręce musi umyć przed jedzeniem – tłumaczę.

– A cóż takiego ma na tych rękach? Przecież nie była w szpitalu ani nie stykała się z zakaźnie chorym. – Nie mogę uwierzyć własnym uszom. Jednak średniowiecze.

– W kurzu i ziemi też są bakterie i ona nie jest do nich przyzwyczajona. Nie żyje z nimi w symbiozie, jak tutejsi mieszkańcy, zjadający je od dziecka – odgryza się Ahmed.

– Oho ho, co za paniczyk się z niego zrobił – ktoś mówi sarkastycznie. – Jaki edukowany i nowoczesny. To chyba po tym pobycie w Polsce... tak mu odbiło. – Wszyscy zebrani wybuchają gromkim śmiechem.

Ahmed tylko kiwa z politowaniem głową, bierze pod pachę wyjąca Marysię i zanosz do łazienki. Tam we dwójkę wsadzamy ją pod letni prysznic. Rodzice sadyści, ale czasami nie ma wyjścia. Lepsze to niż klaps lub kara albo jakaś orientalna zaraza w brzuchu.

Kiedy wracamy na taras, bordin jest już gotowy i dymi na wielkim metalowym półmisku na środku stołu. Wszyscy asystują przy ściąganiu mięsa ze szpikulców i przerzucają co lepsze kęski na swój talerz. Obawiam się, że dzisiaj nie załapię się na tę niezwykłą potrawę. Zresztą nie wygląda zbyt smakowicie. Mięso jest czarne od popiołu lub dymu, może spadło im w żar? Wielkie nieapetyczne ochłapy aż kapią od tłuszczu. Ahmed rozbawiony obserwuje moją minę, a ja usiłuję nie patrzeć z obrzydzeniem w stronę wspaniałego dania.

– Blondi, dawaj talerz. – Malika jak gdyby nigdy nic woła do mnie i macha w moją stronę wyjątkowo dużym fragmentem zwierzęcych zwłok.

– Ale żeby starczyło dla wszystkich – próbuję się wymigać. – Wiesz, bo ja nie muszę.

Mnie wystarczą jarzynki i chleb. – Ahmed ryczy ze śmiechu.

– Ty nie bądź taka cwana – nie poddaje się Malika. – Chodź no tu, bo nie będę dłużej czekać i mięso wylądzuje ci na kolanach.

Po niedawnych przejściach w kuchni i ostrzeżeniach Miriam nie chcę z nią zadzierać i posłusznie nadstawiam talerz. Próbuję nabić ochłap na widelec, lecz nie mam szans. Mięso jest twarde jak beton.

Przerażona podnoszę wzrok.

Ahmed podaje mi serwetkę i pokazuje banalne rozwiązanie. Prędko zawijam mięso i odkładając talerz na stół, pozostawiam tam schowane pod przykryciem główne danie. Uff.

– Kto piekł te pyszności, no, kto był szefem kuchni!? – pyta Malika. Jej ton każe wszystkim zamilknąć i czekać w niepewności, na kogo padnie. – Ja kupiłam mięso. Super, luksus, młode jagnię. Ja je tutaj przywlokłam, ja je patroszyłam, a co za kretyń nieznający się na zegarku wysuszył je na wiór?! Cooo?!

– Malika, myślę, że już wystarczy. – Ojciec spokojnie kładzie kres nadchodzącej burzy. – To najprawdopodobniej ja. Twój ojciec jest kretyńcem nieznającym się na zegarku. W porządku?

Malika jeszcze tylko prycha, bo ostatnie słowo, nawet jeśli jest to tylko nieartykułowany dźwięk, musi należeć do niej. Po chwili przynosi wielki czarny wór na śmieci i wrzuca do niego pozostałe na ogromnej tacy mięso, sałatki, pasty i nieszczęsne pomidory. Wszyscy siedzą jak zamurowani, bo nikt ich nawet jeszcze nie spróbował.

– No to mamy po kolacji – stwierdza Ahmed, a Malika, gdyby mogła, zabiłaby go wzrokiem.

Towarzystwo niemrawo podnosi się z siedzeń.

– Jedziemy do miasta na szawormy. Zabierzemy się z Miriam. Przyprowadź Marysię. – Ahmed wydaje krótkie dyspozycje, jeszcze tylko ściska rękę paru nieznanym mi mężczyznom i odjeżdżamy.

Światła farmy zostawiamy za sobą, lecz nie czuję żalu z powodu nieudanej biesiady. Nic nie jest w stanie zepsuć mi dzisiejszego dnia. Przepelnia mnie szczęście i nadzieja, że znów będzie dobrze. A nawet jeszcze lepiej.

Kiedy rozbawieni i napchani szawormami, frytkami, zasłodzeni baklawą i colą lądujemy w domu rodziców, znów czuję pętlę zaciskającą mi się wokół szyi. Ten pałac mnie przytłacza. Ahmeda chyba również. Cichniemy i usiłujemy niepostrzeżenie przemknąć na piętro do siebie. Nasze pokoje są zimne i nieprzytulne, lecz oddychamy swobodniej, zamykając za sobą drzwi. Jedynie Marysia nadal jest rozbawiona i daleko jej do spania.

– A wiecie co? – pyta.

– Co takiego? – odpowiadamy na odczepnego, chcąc jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

– Był tam mój nowy starszy kolega Ali, ten którego mama nie lubi.

– Taaak? – Jak na komendę odwracamy się w jej kierunku.

– On to jest zabawny...

– A cóż tym razem wymyślił? – mówię z przekąsem i obawą. – Ty go w ogóle widziałeś? Bo ja nie – zwracam się do Ahmeda.

– Mignął mi w przelocie. To co robiliście takiego ciekawego? – zaniepokojony delikatnie naciska na Marysię, która i tak chce nam wszystko opowiedzieć.

– Powiedział, że złapał jednego wielkiego węża, tego, który był w domku. I ma go w kieszeni tych szerokich spodni, pantalonów, nie?

– No i... – nie wytrzymuję i pospieszam niewinne i nieświadome niczego dziecko.

– On wszystko wie i zna się na wężach. Ten nie był jadowity, ale za to zaczarowany. Jak się go pogłaskało, robił się strasznie twardy, rósł i podnosił się – z zaangażowaniem opowiada

sześćioletnia dziewczynka.

– Zaczarowany – szeptem powtarza Ahmed, a z jego twarzy zdążyła już odpłynąć cała krew.

– Tak, tak. – Marysia podskakuje na łóżku i klaszcze w ręce. – Ali chciał, żebym go pocałowała, ale ktoś nadszedł, chyba dziadek, i nic z tego nie wyszło. Nie wiem, czemu nie wolno wszystkim pokazać tego węzulca, skoro on taki śmieszny, ale Ali zabronił i uciekł. Czemu nie wolno? – pyta niewinnie.

– Bo... – Stoję z otwartymi ustami i nie wiem, jak mam jej to wyjaśnić. Patrzę przerażona na Ahmeda.

– To był strasznie świński gad – mówi przez zaciśnięte zęby. – Pamiętaj, węże, które faceci trzymają w spodniach, są wredne i fałszywe.

– Nieprawda... – Marysia od euforii przechodzi do płaczu. – Ten był milusi, miał taką aksamitną skórę...

– Dość! – histerycznie krzyczę i chwytam się za głowę.

– Ali cię okłamał i ja z nim o tym porozmawiam! – Ahmed także nie wytrzymuje i podnosi głos. – Zapomnij o tym głupim wężu i nie mów o tym nikomu, nikomu. – Bierze rozżaloną córeczkę na ręce i mocno przytula. – Tatuś kupi ci piękne zwierzątko i będziesz mogła się z nim bawić do woli. I bezpiecznie.

– Tak? A jakie? – Zmiana nastroju jest błyskawiczna.

– Jakie będziesz chciała, a teraz już do łóżka, dość wrażeń jak na jeden dzień. – Oddaje ją w moje ręce i bez słowa wychodzi.

Doskonale wiem, dokąd jedzie. Nawet nie jestem ciekawa, czy Ali skończy tak jak Przem w Polsce, jednego mogę być pewna, już nigdy nie zbliży się do naszej córki. To jest teraz dla mnie najważniejsze.

Życiowa decyzja

Jak ten czas szybko leci, prawda, kochanie? – pyta Ahmed, przynosząc poranną kawę i wyborne francuskie ciastka na balkon przy naszej sypialni.

– Niesamowicie – przytakuję. – I popatrz, mieliśmy jechać na farmę, coś tam zrobić, a przez ostatni miesiąc nie było nawet okazji o tym pogadać.

– Może już czas tak na spokojnie się zastanowić, co dalej – mówi cicho, unikając mojego wzroku.

– To znaczy? – Spodziewałam się tej rozmowy.

– To znaczy, że dzisiaj wieczorem zapraszam cię do najwytworniejszej restauracji w mieście, Tripoli by night, a ty przez ten dzień pomyśl nad tym, co ci zasignalizowałam. W końcu może podejmiemy jakąś decyzję i będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

– Weźmiemy ze sobą Marysię? Może nie. Poważna rozmowa przy dziecku chyba nam nie wyjdzie.

– Samira mówiła, że ma wolny wieczór i z chęcią popilnuje małej. – Oczywiście już wszystko zaplanował.

Jestem ciekawa, jaką przyszłość widzi przed nami. A przede wszystkim gdzie, choć mogę się tego domyślać.

Ahmed wychodzi, a ja zostaję na balkonie ze swoimi myślami. Muszę się przygotować do tej rozmowy, chcę nie tylko słuchać ustaleń, ale też wiedzieć, jakie będzie moje miejsce w tym wszystkim. Czy mam być arabską żoną siedzącą w domu i rodzącą dzieci, czy partnerką na miarę nowoczesnego świata?

W zasadzie tylko na początku, tuż po przyjeździe, było tragicznie, lecz po wyprawie na farmę wszystko wróciło do normy. Zaczęliśmy mniej czasu spędzać w domu czy z rodziną, a więcej ze sobą. Znowu jest cudownie i chcąc nie chcąc, muszę przyznać, że podoba mi się tutaj, chyba połknęłam orientalnego bakcyła. Ponoć jak pokocha się ten kraj, to już nie ma się ochoty z niego wyjechać. Nigdy. A i życie w luksusie mi służy.

Odwiedziliśmy różne miejsca, widzieliśmy stare antyczne faktorie, arabskie zabytki, byliśmy w tradycyjnych rzemieślniczych zakładach i w nowoczesnych luksusowych centrach handlowych, nad morzem i w górach. Poznałam wielu ludzi, młodych i starych, a wszyscy byli życzliwi, przyjacielscy, szczerzy. Nie jest to zwyczajne, szare życie – na razie tylko same przyjemności, zero obowiązków. Nie mam pojęcia, z czego byśmy tutaj żyli, skąd brali pieniądze na utrzymanie. Nie pytałam Ahmeda, skąd ma środki na to wszystko, bo było mi głupio. A gdyby musiał powiedzieć, że od ojca czy matki, chyba czułby się nieswojo.

Zamyślona wchodzę do domu i usiłuję uporządkować nasze mieszkanie. Zainstalowaliśmy sobie małą kuchenkę i teraz mogę przygotowywać jedzenie, nie narażając się na spotkania z matką czy Chadidzą, a Miriam czy Samira i tak przesiadują u mnie godzinami.

Słyszę delikatne pukanie do drzwi. To na pewno któraś z nich.

– *Hi!* – Samira wtyka głowę i rozgląda się po zaciemnionym pokoju.

– Wchodź, wchodź – krzyczę z łazienki, usiłując prędko zmienić koszulę nocną na sukienkę.

– Wypuszczacie się wieczorem?

– No, tak jakby. A ty o niczym nie wiesz? – uśmiecham się figlarnie.

– Coś tam słyszałam. Dostałam etat baby-sitter.

– Idziemy do supereleganckiej restauracji, żeby poważnie porozmawiać. Aż się boję – przyznaję.

– Nie żartuj, Ahmed jest w tobie zakochany po uszy – mówi, wskakując na nasze małżeńskie łóżko. – Musisz tylko mądrze wszystko rozegrać.

– To znaczy jak?

– Nie daj się zamknąć w domu. Pamiętaj, cały czas mów, że musisz mieć pracę. Musisz wychodzić między ludzi, spotykać się z koleżankami. – Młoda dziewczyna, a daje mi takie dojrzałe rady.

– Ale z jakimi koleżankami? – śmieję się. – Z tobą? Myślę, że nie będzie problemu.

– Spokojnie, spokojnie! Przecież żyje tutaj mnóstwo Polek, w tym też takich, które wydały się za Arabów – uświadamia mi coś, o czym nawet nie pomyślałam. – Powinnaś je poznać, one ukażą ci nasz świat z waszego punktu widzenia i doradzą, jak się w nim poruszać, zasymilować i unikać konfliktów. – Samira zadowolona z siebie klaszcze w dłonie i podskakuje, zaplądając się w kołdrę.

– Ale ja jestem głupia, w ogóle o tym nie pomyślałam – przyznaję. – Ale jak je poznać? Nie znajdę ich w dziale ogłoszeń towarzyskich w prasie.

– Jest tutaj przecież polska ambasada, w naszej dzielnicy na Ben Ashur, macie polską szkołę, wprowadzie nie wiem gdzie, ale musi być. Sprawdzę – obiecuje. – No i przede wszystkim jest kościół, w samym centrum, na Dahrze, niedaleko od nas. Ha! Tam na pewno wszyscy się spotykają. Wy, Polacy, jesteście prawie tak religijni jak my.

Przychodzi mi do głowy pewna myśl.

– Słuchaj, Samirka – zdrabniam po polsku jej imię. – To może mogłabym znaleźć gdzieś tam pracę, przynajmniej na pół etatu. Miałabym pretekst, żeby wyjść z domu, jakoś się ubrać, a nie chodzić przez cały dzień w podomce.

– No i o to chodzi! Superpomysł! Ty mu dzisiaj to wszystko delikatnie przedstaw, a ja przeprowadzę śledztwo, gdzie, co i jak. Hej, hej! – wykrzykuje i biegnie do drzwi.

– Pędzę na uczelnię, bo się spóźnię. Jestem o szóstej. *See you later, aligator...*

– Pa – mówię do jej pleców i czuję, że świat zaczyna nabierać kolorów.

Na pewno wieczorem postawię jeden podstawowy warunek – ja tutaj mieszkać nie będę, w tym lodowym pałacu z matką Ahmeda i jego rozwiedzioną siostrą. Ojciec, czego zupełnie nie rozumiem, rzadko tu bywa. Czasami pojawia się w weekend, lecz wtedy zwałają się tutaj wszyscy.

Restauracja rzeczywiście jest *high class*, na Gargareszu, to taka tutejsza Marszałkowska. Czuję się dość nieswojo. Stąpam na palcach po puszystych wełnianych dywanach, jakbym szła po lodzie. Mój mąż natomiast czuje się tutaj wyśmienicie, wita się z szefem sali, a później z kelnerami. Oczywiście wcześniej zarezerwował stolik, bo wolnych miejsc brak.

Gdy siadamy za drewnianym rzeźbionym parawanem przy niewielkim dwuosobowym stoliku, kelner zapala świece w srebrnym kandelabrze. Z głośników płynie cicha muzyka, a mała fontanna na środku sali szmerze uspokajająco. Wszystko jest *perfect*.

Menu wydrukowano po arabsku i angielsku.

– No to co zamawiamy? – Ahmed rozbawiony spogląda na moją niepewną minę. – Może najpierw coś do picia? Pamiętam, że lubisz czerwone wino. Masz ochotę na kieliszek? – Jestem w szoku.

– A co z prohibicją? – pytam przestraszona.

– Libijskie czerwone wytrawne to słodki sok winogronowy – śmieje się, że tak łatwo dałam się nabrać. – Blisko wina, ale tak nie do końca.

– Niech będzie – mówię, nadal mocno speszona.

Po złożeniu zamówienia na napoje znów zagłębiam się w lekturze menu. Nie mam pojęcia, co wybrać, chyba będę zmuszona zjeść frytki i grillowanego kurczaka.

– Może coś ci doradzić? – pyta w końcu.
– Byłoby super – wzdycham z ulgą.
– Dobrze. Więc na przystawkę starczą nam startery, które serwują za darmo...
– To tutaj dają coś za darmo?
– Nie ciesz się. Cała reszta tyle kosztuje, że mogliby więcej. Do tego może zamówimy sobie miks sałatkowy z owocami morza?
– Okej. Brzmi nieźle. Już robię się głodna.
– Zupa z krabów, czy już będzie za dużo tego *frutti di mare*?
– Nie, nie, wiesz, jak bardzo je lubię.
– No tak – potwierdza, uśmiechając się. – A jako danie główne proponuję tutejsze znakomite szaszłyki z baraniny. Co ty na to? W końcu spróbujesz coś wyśmienitego z kuchni orientu, bo jak na razie domowe jedzenie nie było najlepsze.
Przypomina mi się *bordin* na farmie i marszczę nos.

– Co, baraninka z dziury w ziemi? – pyta rozbawiony. Jak dobrze się rozumiemy. Kiwam potakująco głową.

Lodowaty sok z winogron relaksuje prawie jak wytrawne wino. Powoli zaczynam czuć się swobodniej i mogę wreszcie głębiej odetchnąć. Jedzenie rzeczywiście jest palce lizać. Cały dzień pościłam, spodziewając się wielkiego obżarstwa. Wcinam wszystko ze smakiem, a Ahmed patrzy na mnie zadowolony.

– Jednak coś ci może w tym kraju smakować?
– Mhm – potwierdzam z ustami wypełnionymi wielką krewetką tygrysią.
– Kupię ci parę książek kucharskich z orientalnymi przepisami po angielsku, to będziemy mogli razem spróbować coś upichcić. Co ty na to?
– Świetnie. Ale do tego potrzebna nam własna normalna kuchnia, a nie dwa palniczki w kącie. Chyba nie sądzisz, że twoja mama pozwoli ci coś ugotować u siebie?

Tutejsze głupie zwyczaje. Facet czeka na jedzenie w salonie czy jadalni, umiera z głodu, ale w kuchni nie może pomóc. Zdarza się, że w desperacji wpada na chwilę między gary i porywa coś ze stołu jak złodziej.

– No i przeszliśmy do meritum. Co robimy dalej? – Ahmed jakby tylko czekał na odpowiednią chwilę.

– Właśnie. Co proponujesz?
– Po ponad miesiącu sama zorientowałaś się, jak tutaj jest. Czy da się żyć, czy nie? Chcę wiedzieć, czy widzisz siebie w tym środowisku. Nie mam zamiaru cię unieszczęśliwić, bo pamiętaj, że bardzo cię kocham. Strasznie! Na zabój! – Pod stołem dotyka mojego kolana, a mnie przechodzą ciarki.

– Codzienne życie to nie tylko przyjemności, to praca, utrzymanie domu i problemy. – Cały czas pamiętam o radach Samiry. – To już nie będą wakacje.

– No właśnie. Musimy mieć własny dom, bo przecież z moją rodziną przyjdzie nam zwariować.

– Wiadomo – potwierdzam, przeżuając zieloną sałatę.
– Może na początek ulokowalibyśmy się na farmie. Daleko od cywilizacji, ale za to świeże powietrze, przestrzeń. Póki Marysia nie chodzi do szkoły, nie ma problemu. Oczywiście kupię samochód i będziemy przyjeżdżać do miasta tak często, jak nam się spodoba.

W zasadzie ma rację. Tam nie musielibyśmy inwestować grubych pieniędzy, których zresztą nie mamy. Wystarczy pomalować i odświeżyć. To dobry pomysł, choć tylko na początek – mam nadzieję. I rozwiązuje się problem koleżanek, kościoła, ambasady czy polskiej szkoły. Zero kontaktów z rodakami. Hmm... Zero kontaktów z kimkolwiek.

– Ale to na początek? – pytam.

– Pewnie, że tak. Myślisz, że ja się chcę zaszyć na głuchej prowincji? „Jestem z miasta. To widać, słyszać i czuć” – cytuję naszą ulubioną piosenkę. Uśmiecham się niepewnie.

– Ale będziemy tam całkiem sami. Kto nas odwiedzi, komu będzie się chciało jechać sto kilometrów?!

– Jakie sto? Ja znam skrót, maksymalnie osiemdziesiąt.

– To też niemało – zauważam.

– Przecież Samira, Miriam lub Malika czy jakaś inna twoja koleżanka mogłaby przyjechać i siedzieć u nas przez weekend albo dłużej. Zobaczysz, ilu ludzi będzie chciało się wyrwać z dusznego i zadymionego miasta, zwłaszcza latem. Jeszcze gdybyśmy zrobili tam basen! Ho ho!

– To jakaś koleżanka też wchodzi w grę? – pytam, pomna rad Samiry.

– A dlaczego nie?

– Ale skąd ja ją wezmę? Dam ogłoszenie do prasy?

– Przecież jeszcze się nie przeprowadzamy. Przygotowania potrważą. Już moje siostry się tobą zaopiekują i znajdziesz sobie setkę przyjaciółek. Przecież wiem, że kobieta potrzebuje drugiej baby, chociażby żeby się wygadać i naplotkować, tak jak facet kumpli.

O nie, tylko nie kolesie! Sam przyznał, że jest podatny na wpływy, a ja o tym wiem najlepiej. Ciągłe się boję, że ten straszny okres z Polski wróci i dlatego dałam się namówić na przyjazd tutaj. Jedno muszę przyznać – jego propozycja zamieszkania na farmie brzmi całkiem nieźle. Tam wszystko mi się podoba i czuję się jak dziedziczka.

– A jakby co, będę cię podrzucał do miasta na dłużej. Nie chcę, żebyś zamieniła się w pustelnicę – przerywa potok moich myśli.

Przynieśli szaszłyki, lecz zaferowana nadchodzącymi zmianami straciłam apetyt. Mięso stygnie, a ja rozmyślam.

– Nie przejmuj się tak, wszystko się ułoży – pociesza mnie Ahmed. – Wcinaj, bo będzie niedobre.

Zamawia jeszcze jeden sok i patrzy na mnie z troską.

– To w ogóle nie rozpatrujemy możliwości powrotu do Polski? – pytam.

– A chcesz tego? Do czego chcesz wracać? Do malutkiego wynajętego mieszkania i braku widoków na przyszłość? Znasz już nastawienie Polaków do ludzi mojego pochodzenia. Rzadko kiedy jest pozytywne. Firma dzisiaj jest i prosperuje, a jutro dobra passa może się skończyć i wtedy nikt nas nie wesprze. Kto zatrudni śmierzącego Araba, kiedy wasze rodzime bezrobocie rośnie z dnia na dzień?

– Tylko nie śmierzącego – oburzam się.

– Daj spokój! Stosunek do nas z roku na rok jest coraz gorszy – wzdycha. – Praca u kogoś w ogóle odpada. Ile bym zarobił? Trzysta, czterysta dolców? Myślisz, że da się za to żyć?

– Ja bym w końcu też mogła iść do pracy – próbuję bez przekonania.

– Po maturze, bez kwalifikacji! Jako kto? Sprzątaczką czy sprzedawczynią? A może karierą w McDonalddie?

– Masz rację – przyznaję. – Ale skąd my tutaj weźmiemy pieniądze? – Bezradnie kiwam na boki głową i rozkładam ręce. – Będziemy kraść?

– Jak się chyba zdążyłaś zorientować, nie należę do najbiedniejszych. – Zaciska tajemniczo usta. – Ale zeznania fiskalne po szaszłykach – nagle zmienia temat i energicznie stuka dwoma palcami w blat stołu, aż porcelana się trzęsie, a ja podskakuję. – Poważnie, wcinaj i uszy do góry! Tak to się mówi? – pyta, marszcząc brwi. – Czy ruszaj uszami? – Jakby nie miał poważniejszych spraw na głowie. – Ha! Uszy się trzęsą! Dobry jestem! – Zadowolony klepie się

po udach.

Wybucham śmiechem. Piję pyszne niby-wino, jem wyśmienite, trochę zimne szaszłyki, spędzam czas z ukochanym mężczyzną. W tej chwili jestem pełna dobrych myśli. Nie chcę rozważać, co może pójść nie tak, nie w tej cudownej chwili. Przecież jak będzie źle, to zawsze możemy wrócić do Polski.

Już nie robimy żadnych poważnych ustaleń. Podsumowania przychodów i rozchodów przesuwamy na inny termin, kiedy będziemy mieli pod ręką kalkulator, kartkę papieru i długopis. Mówimy tylko o odnowieniu farmy, ustalamy, w którym miejscu będzie basen i kogo zaprosimy na parapetówkę. Będzie to moje pierwsze własne miejsce na ziemi, moje i mojej rodziny. Bez mamy, teściowej i wścibskich krewnych. Będę mogła robić, co chcę, nikt nie będzie mnie obserwował i krytykował. Tylko kiedy nastąpi ten cudowny moment? Ile czasu zajmie zrobienie z tej ruiny miejsca zdatnego do życia?

– *Szwejsza, szwejsza* – mówi Ahmed. – Powolutku, nie bądź w gorącej wodzie kąpana. – Czy on, ucząc się języka polskiego, zaczął od księgi przysłów? – Spiesz się powoli. – Chyba jednak tak.

Arabska codzienność

Środki utrzymania

Po paru dniach, podczas których prawie w ogóle nie widuję Ahmeda, prosi mnie, abyśmy siedli i podsumowali finanse.

– Już wszystko sprawdziłem. Wziąłem dwie firmy budowlane, które zrobiły kosztorysy doprowadzenia farmy do porządku. Ceny mają prawie takie same i niestety dość wysokie. – Rozkłada papiery na stole i wspólnie pochylamy się nad nimi. – Oto wyciągi bankowe. Cóż, rodzina przez ten czas, kiedy mnie nie było, niezbyt sumiennie odkładała moje pieniądze.

– Jakie pieniądze?

– Mam dom w ekskluzywnej willowej dzielnicy, który wynajmuję już od lat. Najpierw firmom naftowym, a później, po podniesieniu standardu, ambasadom. Regularnie płacą wysoki czynsz. – Wykwita mu bordowy rumieniec. – Po tylu latach pobytu w Polsce powinno się być uzbierać na drugi taki lub lepszy, lecz pieniędzy zostało na lepiankę na środku pustyni! – Z oburzeniem wskazuje jakieś cyfry na wydrukach z banku.

– Skąd miałeś ten dom? Mieszkałeś w nim? – chcę się w końcu czegoś dowiedzieć.

– Malika, oczywiście jako pracownik rządowy, dostała przydział na ziemię. Forma premii.

– Znów? Dobrze tym z rządu. Samochody, działki, farmy...

– Bogaty kraj, to nagrody za lojalność dla tych na samej górze są imponujące. Ale i tym z uboższych klas nieźle się powodzi. Nawet nieroby dostają wysokie zasiłki, kartki na artykuły spożywcze, chemię gospodarczą, wyprawkę dla dziecka, sprzęt do domu. Tutaj nikt nie ma źle. – Odbieram te słowa jak usprawiedliwianie się tych, którzy są przy źłobie.

– Hmm – nie chcę komentować.

– To jest polityka rządu, kochanie. Nie rozdają pól naftowych, tylko ugory. Nazywa się to zasiedlaniem. Wszyscy najchętniej mieszkaliby w dużych miastach, a tysiące kilometrów kwadratowych piachu leżą odłogiem. Myślisz, że łatwo je zagospodarować? Wiesz, ile wody wypiłaby ta ziemia, zanim pojawiłby się jeden żywy pęd? Tam nawet nie było kaktusów! Państwo nie chce się z tym bawić, więc rozdaje grunty swoim przedsiębiorczym obywatelom; a nuż któryś coś z tym zrobi. – Wsluchuję się w jego opowieść, popijając mocną jak szatan kawę, która zdążyła już wystygnąć.

– Kiedy pierwszy raz pojechaliśmy do Dżanzuru, tak nazywa się ta miejscowość, to wszyscy śmiałyśmy się z Maliki. „Ale posiadłość dostałaś” – kpiliśmy. Było to szczerze pole, po którym hulał wiatr, niosąc tumany piachu. A sama wiocha, jak to tradycyjna arabska osada: dwa sklepy na krzyż, jedna marna brudna knajpa, chałupki wieśniaków usytuowane wzdłuż głównej drogi, przycupnięte przy niej, wykonane z najtańszego surowca. Żyjący tam ludzie byli tak zaściankowi i zacofani, że omal nie obrzucili kamieniami Maliki, Libijki, ich rodaczki, bo przyjechała w jednym ze swoich służbowych garniturów i bez chusty na głowie. Na mnie też patrzyli niechętnie, bo nie nosiłem galabii.

– Kiedy to było, chyba ze sto lat temu? – nie mogę się nadziwić jego słowom i jednocześnie trochę mnie to wszystko przeraża.

– Jakieś piętnaście, nie tak dawno. Ja jednak stwierdziłem, że może to być dobra długoterminowa inwestycja. Pokryłem wszelkie rachunki, uregulowałem sprawy prawne, bo Malika była wściekła i miała wszystko w nosie. Wolałaby dostać tysiąc dolców i kupić sobie nowy komplet biżuterii.

– Takie są kobiety – zaśmiałam się. – Ja na jej miejscu czułabym chyba to samo.
– Potem pojechała na tę swoją placówkę, jako pani ambasador, i zapomniała o sprawie.
– A gdzie ona była?
– U Murzynów. Supermisja. Zero wysiłku, duże pieniądze. Ta dziewczyna ma szczęście.
– No tak, przecież przywiozła stamtąd Matyldę – przypominam sobie.
– Powolutku budowałem piękny duży dom. Projekt ściągnąłem z Zachodu, rewelacja!
Niestety, na wykończenie nie zostało mi już ani grosza. Bogu dzięki, znaleźli się szaleni cudzoziemcy, którym willa tak się spodobała, że zapłacili czynsz za pół roku z góry, pod warunkiem że wyposażę ją we wszystkie niezbędne rzeczy. Oto historia mojego domu.
– Pokazałbyś mi go? – pytam z ciekawością. – Mogę zobaczyć to cacko na odludziu?
– Już umówiłem się z lokatorami, bo wiedziałem, że będziesz chciała tam pojechać.
– Dom na pustkowiu – zamyślam się.
– O, jesteś w błędzie – śmieje się zadowolony. – Mówiłem, że to długoterminowa inwestycja. Teraz, moja kochana, Dżanzur jest już w zasadzie dzielnicą Trypolisu, połączoną z centrum autostradą, mieszkają tam ludzie z rządu, cudzoziemcy z zagranicznych firm oraz dyplomaci. Taka ekskluzywna „sypialnia” naszej zatłoczonej stolicy. Nie masz pojęcia, jakie rezydencje można tam zobaczyć! Są tam też liczne supermarkety, butiki, restauracje i kawiarnie. W Dżanzurze można zjeść lepiej i dużo taniej niż u nas.
– Z karaluchem w kanapce? – krzywię się.
– Już nie. Nowi klienci nie gustują w takich przekąskach.
– To kiedy jedziemy? – Nie mogę się doczekać.
– Niedługo. – Znowu arabska odpowiedź, żadnych konkretów, zawsze wymijająco.
– Nie moglibyśmy tam zamieszkać? Chyba byłoby to trochę lepsze od farmy?
– A z czego byśmy wtedy żyli? Teraz przynajmniej już wszystkie pieniądze wpływają na moje konto i się stamtąd nie ulatniają! – znowu się wścieka i uderza ręką w stół. – Obiecali mi zwrócić... w ratach. – Patrzy tępo w przestrzeń.
– Kto konkretnie? – pytam nieśmiało.
– Daj spokój, szkoda mówić. Szlag mnie zaraz trafi!
– Już lepiej nie kontynuujmy tego tematu, bo szkoda twoich nerwów – mówię cicho i chcę go pogłaskać po ręce, ale Ahmed skacze na równe nogi i zaczyna spacerować po pokoju.
– A ja myślałem, że jeszcze mi starczy na ponowne otwarcie firmy, odnowienie farmy, a na wiosnę na sadzonki. A mogło być tak pięknie! – krzyczy i wyrzuca ręce do góry, co rusz targając włosy na głowie.
Nie wiem, jak go uspokoić, bo boję się cokolwiek powiedzieć, aby nie pogorszyć sytuacji. Ciekawa jestem, kto zdefraudował jego pieniądze?
– Jak na razie Mieciu chce spłacić nasz mały biznesik, za co tutaj może uda się ponownie uruchomić firmę, oczywiście w tej samej branży. – Ahmed o niczym nie zapomni, a ja już myślałam, że polska działalność uleciała mu z pamięci. – Zaproponowali mi też parę godzin na uczelni, grosze, ale pozycja i satysfakcja gwarantowane. W końcu po coś robiłem ten doktorat w Polsce! Farmę będziemy odnawiać powolutku i mam nadzieję, że niedługo się tam przeniesiemy.
– Siada przy mnie i obejmuje ramieniem. – Mam już ich wszystkich dość – szepcze mi do ucha, a ja go świetnie rozumiem. – Wcześniej czy później staniemy na nogi i wyniesiemy się stąd.
Wierzę w to, ale w zasadzie ja dalej pozostaję w zawieszaniu. My jako my, należy czytać my – Ahmed, mój mąż. On ma plany na swoją przyszłość – kariera, firma, uczelnia, ale nie było ani słowa o moim życiu. Ja zaś boję się zwracać mu głowę, bo jest teraz zły i załamany. Mam nadzieję, że niedługo będę miała okazję zasygnalizować mu swoje potrzeby, a może on sam o nich pomyśli? Przecież ja też muszę tutaj coś zrobić, nawet wychowanie córki mi odpadło, bo

Marysia na stałe przeniosła się do domowego przedszkola, które z pasją i upodobaniem prowadzi moja teściowa z pomocą Chadidży.

Wesele

Hej, piękna, dosyć tego leniuchowania – słyszę głos Maliki.

Budzę się z letargu, w który zapadłam już jakiś czas temu. Nie mam nic do roboty. Zupełnie. Na początku nawet mi to odpowiadało, ale z czasem popadłam w całkowite otępienie i ogłupienie. Marysia świetnie czuje się w tym wielkim domu, bawi się z dziećmi i jest przez wszystkich rozpieszczana. Je aż za dużo, zwłaszcza słodczy, i zaczyna się z niej robić mała klucha. Ahmed od rana do wieczora załatwia na mieście jakieś „nasze” sprawy i moje towarzystwo jest mu całkowicie zbędne, wręcz mu zawadza. Przeczytałam wszystkie gazety i książki, które przywozłam z Polski, nawet z nudów zabrałam się za naukę arabskiego z podręczników szkolnych pożyczonych od dzieci Miriam. Idzie mi jak po grudzie, ale już potrafię coś przeczytać, a to nie lada wyczyn. Lekcji udziela mi dziesięciolatka i jest bardzo dumna z roli prywatnej nauczycielki. Dziewczyny podrzucają mi też jakieś babskie pisma po angielsku, ale ile można czytać o modzie, podkładach pod makijaż i dietach, zwłaszcza jeśli stosowanie się do tego wszystkiego jest nierealne i zbędne. Już nic mi się nie chce. Znowu przemykam oczy i sennie przeciągam się w łóżku.

Strzelają drzwi i słyszę stukanie szpilek o lastryko.

– Ty chyba już całkiem zgłupiałas! – Malika szarpie mnie za rękę. – Masz zamiar przespać resztę życia?!

– Nie – odpowiadam apatycznie, otwierając jedno oko. – Ale co tu robić? Pluć i łapać?

– No to w końcu mam dla ciebie zajęcie. Rusz się, bo normalnie tyjesz w oczach.

Rzeczywiście. Jak szybko można się zapuścić, zwłaszcza kiedy człowiek się nie rusza.

– Co wymyśliłaś? Jestem otwarta na każdą propozycję. – Powoli, jak staruszka, dźwigam się na łokciu. Bolał mnie wszystkie mięśnie i kości, ale zupełnie nie wiem od czego.

– Ty inwalidko! Zaśniedziałas! Zgnusiałas!

Malika wygląda świetnie – jak zawsze elegancka w jednym ze swoich służbowych damskich garniturów, tym razem w kolorze beżu, na wysokich obcasach i lśniąca od delikatnej biżuterii. Włosy ułożone, paznokcie pomalowane... Mój Boże! Czuję się jak uboga krewna ze wsi.

– Słuchaj! Najpierw wskakuj do wanny, a później zabieram cię do salonu piękności, bo wstyd się z tobą pokazać. Po południu idziemy do ciotki Míny – planuje mój dzień, a ja czuję, że serce zaczyna mi bić zwawiej.

– A kto to taki?

– Matki siostra, ale tylko parę lat ode mnie starsza. Wiesz, jak tutaj jest. Kobiety rodzą aż do śmierci, a ilość dzieci to ich chluba. Rodzenie na starość ma udowodnić, że jeszcze są młode i sprawne, a że wyglądają jak maszkarony, a dzieci po prostu same z nich wylatują, to już nikogo nie obchodzi. Co kraj, to obyczaj.

– Wiesz, u nas...

– Dobra, dobra, nie ma czasu – przerywa mi zniecierpliwiona. – Jej córka wychodzi za mąż, idiotka, i ja jako jej najbliższa ciotka zobowiązałam się do pomocy.

– Ty to chyba masz we krwi.

– Tu nie chodzi o krew ani o to, że jakoś szczególnie mnie lubią. Po prostu mam pieniądze i koneksje i w odróżnieniu od nich jestem w stanie cokolwiek zorganizować.

– A czemu ta dziewczyna to idiotka? Daje się wydać za stuletniego starucha? – Już trochę znam tutejsze układy. Nic mnie nie zdziwi. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Jeszcze gorzej. Uważa się za nowoczesną i wyedukowaną. – Malika zaczyna opowieść,

wpychając mnie jednocześnie do łazienki i puszczając wodę do wanny. – Właśnie skończyła studia i jest pełną gębą inżynierem. Dwa miesiące po obronie, zamiast szukać pracy, a w jej fachu jest mnóstwo ofert, wychodzi sobie za męża. Kretynka! – krzyczy, siedząc na sedesie i wymachując rękami. – Po co takie kształcić?! Państwo wyrzuca w ten sposób miliony w błoto.

– To co jest nie tak, pan młody do kitu? – nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Pana młodego to ona zna z pięć lat i takie jej szczęście, że się kochają. To fajny, młody chłopak, kolega z roku.

– No to gdzie widzisz problem? Pobiorą się, a później będą już razem pracować na swoje. Chcą po prostu ze sobą być.

– Są ze sobą od dawna, ciotka Mina i jej mąż to nie moi rodzice, oni są aż za bardzo nowocześni. Młodzi chodzili ze sobą, leżeli ze sobą i wszyscy o tym wiedzieli. Już nawet ja uważam, że to trochę wstyd dla rodziny. Jedynie razem nie mieszkali.

– No wiesz...

– Wiem! A co by było, gdyby się z nią nie ożenił?! Zostałaby bez wianka z opinią kurwy. Wprawdzie nie ma problemu zacerować się w Tunezji za jedyne tysiąc dolców i znów być cnotliwą panienką, ale przecież ludzie wszystko wiedzą, wszystko widzą. Kto by ją później chciał? Chyba tylko jakiś imbecyl albo dziadunio nad grobem. Tak tutaj jest, cnotę trzeba stracić z własnym mężem. Taka tradycja.

– Ale wszystko dobrze się kończy. Biorą ślub, a ty narzekasz – dalej nic z tego nie rozumiem. Malika chyba po prostu lubi wszystkich i wszystko krytykować.

– Po ślubie to ona już nie będzie myślała o pracy i karierze, tylko zaraz pójdzie kupować kołyskę. Przypomnisz sobie moje słowa, za dziewięć miesięcy dzidzius.

– Ale przecież to musi być ich wspólna decyzja. Chyba wiedzą, co robić, jeśli przez tyle lat im się udawało.

Nie to co ja, myślę. Zaszłam w ciążę od pierwszego razu, ale nie muszę się do tego przyznawać, zwłaszcza tej wyemancypowanej elegantce.

– Po ślubie nawet najbardziej nowoczesny arabski facet jak najszybciej chce mieć dziecko. Musi! *Just now!* – Malika śmieje się i dotyka dwoma palcami serca na znak, że zeznaje całą prawdę. – Inaczej powiedzą, że coś z nim jest nie tak, że mu aparacik nie pracuje. A chyba żaden facet na świecie nie chciałby, żeby tak o nim mówiono.

– No to rzeczywiście...

– Zobaczysz, co to jest za gehenna ze zorganizowaniem i przygotowaniem tutaj wesela. Przyjdą setki darmozjadów i wszyscy będą chcieli znaleźć dziurę w całym, żeby nas później obgadać i skrytykować. Ale my się nie damy, utrzymamy wszystkim nosa, aż się zaleją żółcią z zazdrości.

To lubię. Z Maliką zawsze coś się dzieje i krew żywiej krąży w żyłach. Pędzę na łeb na szyję po schodach, odświeżona i znów pełna werwy. Życie jednak jest cudowne.

Wpadamy do domu ciotki Miny, który znajduje się na tej samej ulicy co rodzinna rezydencja Ahmeda. Czy oni wykupili całą dzielnicę?! Ja już wyglądam jak człowiek; włosy podcięte i uczesane, paznokcie lśnią od nowego lakieru, cera czysta, a po drodze kupiłyśmy dla mnie nową bluzkę, bo Malika stwierdziła, że mój podkoszulek jest sprany i poplamiony.

Ciotka to miła grubaska, ubrana tradycyjnie, to znaczy w spódnicę do kostek i bluzkę z długimi rękawami. Materiał, z jakiego je wykonano, jest najwyższej jakości, nakrycie głowy idealnie pasuje do reszty, a w błyszczących modnych czółenkach można się przejrzeć. Bizuterię nosi elegancką, choć nie tak subtelną jak Malika. Dłonie ma całe wymalowane henną.

– W końcu się poznajemy – mówi mocnym głosem, wyciągając silną dłoń w moim kierunku. – Tylko nie mów mi ciotciu, bo to postarza. Jestem Mina.

– Ja Dot, ale tutaj wszyscy nazywają mnie Blondi – uśmiecham się, bo od razu czuję do niej sympatię.

– To niezbyt ładnie tak cię przezywać. Dla mnie jesteś Dot. – Już mnie kupiła. – A włosy farbujesz, czy takie masz naturalne?

– Jak byłam dzieckiem, miałam jeszcze jaśniejsze – krzywię się z niezadowoleniem.

– Każda z nas chciałaby takie mieć. No to jaki mamy plan? – zwraca się do Maliki. Prowadzi nas do gabinetu i sadza na skórzanej sofie.

– Spisujemy, co zostało jeszcze do zrobienia i działamy.

– Wszystko zostało, ptaszyno, wszystko. – Nerwowo splata palce. – Leila, dostaniemy tę kawę, czy uschniemy tutaj z pragnienia?! – krzyczy w kierunku uchylonych drzwi. – Ona jest całkiem nieprzytomna, chodzi jak śpiąca królowna. Ja nie wiem, co to będzie! – Dramatycznym gestem ściągą z głowy chustkę i rzuca ją na najbliższy taboret.

– Tylko nie panikujmy – uspokaja Malika. – Blondi, o przepraszam, Dot, siadaj do komputera i zapisuj punkt po punkcie. – Macha ręką w kierunku wielkiego biurka najeżonego elektronicznym sprzętem.

– Co, ja? – Wytrzeszczam oczy. – Ale ja nie wiem... ja nie umiem.

– A mówi się, że to Arabowie są zacofani – z satysfakcją stwierdza Malika. – Mąż komputerowiec nie mógł cię czegoś nauczyć, nie chciał, czy to raczej ty się nie dałaś? – Ależ ona jest złośliwa.

Leila, blada wysoka dziewczyna o solidnej budowie matki, cichutko wchodzi do pokoju z tacą pełną smakołyków.

– Cześć, słyszałam, że nam pomożesz. Dzięki – mówi miłym, zachrypniętym głosem.

Malika bierze łyk czarnej jak smoła i słodkiej jak ulepek kawy i przepija ją lodowatą wodą – na sam widok zęby cierpną – a następnie siada przed komputerem, jeszcze raz obrzucając mnie ironicznym spojrzeniem.

– No dobra, dawajcie – zwraca się do ciotki i jej przestraszonej córki. – Co tam mamy?

– Nie możemy się zdecydować na salę – zaczyna Mina. – Ja uważam, że trzeba to zorganizować w hotelu, elegancko, może El-Kebir czy Mahari, na pewno pięć gwiazdek...

– Chyba cię Allah opuścił. – Malika kiwa z politowaniem głową.

– Toż to samo mówię! – Leila nie wytrzymuje. – Wyrzucone pieniądze! Masz za dużo, to daj nam na podróż poślubną.

– Przecież i tak wam dam! I cały czas daję, do diaska!

Zanosi się na małą rodzinną awanturkę na froncie matka – córka. Czy oni nic nie potrafią załatwić spokojnie? Z byle powodu krzyczą na siebie, obrażają się, wymachują rękami i zapewne nieraz dochodzi do rękoczynów. Co za nacja! Furiaci! Powoli zaczynam mieć tego dość.

– Sza, sza. – Malika usiłuje je uspokoić. – W ten sposób to my do niczego nie dojdziemy. Czy nie lepiej za połowę kasy urządzić przyjęcie w domu ślubnym? Nawet najlepszy w stolicy będzie cię kosztował grosze w porównaniu z hotelem. Ja znam taki jeden, urządzają w nim śluby tylko rządowi.

– No... – Mina się łamie.

– Nie obiecuję, że będą jeszcze mieli jakiś wolny termin, ale może spróbuję załatwić? – proponuje Malika. – Zamówiłaś już suknię ślubną? – zwraca się teraz do nieobecnej duchem Leili.

– Co ty?! Kupię coś gotowego.

– Upadłaś na głowę z drugiej strony, oszczędna się znalazła! To może w ogóle wypożyczysz?! – podnosi głos pełen nagany.

– Ciotka, nie przesadzaj! Przestańcie się wszyscy znęcać nade mną! – wybucha. – Ja

naprawdę mam dość nerwów! – Wygląda, jakby za chwilę miała zacząć płakać.

– Powinnaś być szczęśliwa! Wychodzisz za wybranka swego serca, sama tego chcesz, nikt cię nie zmusza. Ja naprawdę nic z tego nie rozumiem – dziwi się Malika. – Blondi, jak ty wychodziłaś za męża, to stresowałaś się, przechodziłaś załamanie nerwowe, czy raczej skakałaś ze szczęścia?

Nie chcę angażować się w ich rozgrywki i nie wiem, do czego ona zmierza.

– U mnie była zupełnie inna sytuacja – próbuję ukazać im polskie realia. – Przyjęcie było w małym osiedlowym klubie na dwadzieścia osób...

– Co?! – wykrzykują wszystkie zgodnie.

– Dla najbliższej rodziny i paru przyjaciół.

– To ty jesteś sierotą czy co? – dziwi się Mina.

– Nie, ale u nas nie ma takich wielkich rodzin, a dziesiątej wody po kisielu albo ludzi, którzy nie utrzymują z tobą bliskich kontaktów, się nie zaprasza.

– Widzicie! – Leila czuje się trochę usprawiedliwiona. – A u nas będzie co najmniej ze stu pięćdziesięciu gości!

– Rodzina? – nie mogę się nadziwić.

– Co ty! Rodzina to około pięćdziesięciu osób, ale zazwyczaj każdy z nich przyprowadza, kogo tylko zechce. Może nawet zgarnie kogoś z ulicy! Powie: „Słuchajcie, jest impreza u Leili, właśnie wychodzi za męża, chodźcie, darmowa wyzerka!” – Dziewczyna chwytą się za głowę i widać, że ma już dość. Ja się jej nie dziwię.

– Nie przesadzaj – uspokaja ją Mina.

– Dobra, co z tą suknią? – Malika nerwowo patrzy na zegarek. – Za chwilę muszę wracać do biura, więc może byśmy tak kontynuowały.

– Dobrze, chodźmy razem do salonu, jak nic nie będzie pasowało z gotowych, to dopiero wtedy zamówimy – poddaje się panna młoda.

– Okej – wszystkie się zgadzają.

– Jedzenie. Uff! Najgorsze zadanie. – Ciotka jako gospodyni i pani domu jest odpowiedzialna za tę działkę.

– To już ty, kochanieńka, musisz jakoś zorganizować. – Malika umywa ręce od brudnej roboty. – Oczywiście nie ma mowy o żadnym cateringu?

– Nie żartuj sobie! Ja miałabym na wesele mojej córki nie przygotować dobrego domowego arabskiego jedzenia, tylko będę zamawiać jakieś hurtowe gówna? Może jeszcze francuskie? Albo najlepiej pizzę! – Klepie się po obfitych biodrach i kiwa z niedowierzaniem głową. Chce mi się śmiać, jak przypominam sobie zamówienie Ahmeda podczas naszego wesela.

– Może część zamówimy, a część przygotowujemy? – Młode pokolenie się nie poddaje. – Przecież chyba nie będziesz piekła piętrowego tortu?

– Nie róbcie ze mnie głupiej, dobrze! – Mina nie daje się podejść. – Wiadomo, że trzeba będzie zamówić część słodczy, przynajmniej te, którymi będą się opychały dzieciaki. Nie będę sobie wypruwać żył dla takiej hałastry, która i tak tego nie doceni. Zrobię listę głównych dań, a ty Malika też coś zaproponuj, ściągnij pomysły z tych swoich eleganckich przyjęć i skonfrontujemy wszystko następnym razem. Tylko żadne żabie udka czy ślimaki! – wykrzykuje ze śmiechem na koniec.

– W porządku. – Wszystkie oddychamy z ulgą, bo coś w końcu zostaje ustalone.

– Jutro oglądamy suknie, bo na zamówienie z Paryża czy Londynu trzeba czekać co najmniej z miesiąc. Inaczej pójdiesz do ślubu w koszuli nocnej – ostatnie słowo należy do Maliki.

– Weźmy jeszcze Samirę, dobrze? – Leila woli nie oddawać się całkowicie w ręce

despotycznej ciotki.

– Do jutra. – Malika wstaje, dając mi znak do odwrotu.

Kiedy ruszamy samochodem spod willi ciotki, rodzinna elegantka uderza parokrotnie głową w kierownicę i klnie jak szewc. Znów mam do czynienia z prawdziwą Maliką.

– Po co mi to było! – wykrzykuje na koniec i dodaje gazu. – Musimy się odstresować. Zabieram cię na lunch pod miasto.

Sala została wynajęta, a suknia ślubna zamówiona w Londynie za jedyne cztery tysiące funtów. Ostatnie, najgorsze zadanie tylko częściowo przerzucono na barki kucharek i pomocników, podjętych z luksusowej restauracji w centrum, którzy oczywiście wszystko muszą przygotowywać w domu ciotki Miny pod jej czujnym okiem. Wszystkie kobiety z rodziny mają czynnie brać udział w pichceni i pieczeniu. Dobrze, że w willi jest ponad dwudziestometrowa kuchnia, w pełni wyposażona, ale i tak musieli dokupić jeszcze jedną potężną lodówkę. Obłęd! Po co to wszystko? Na jeden wieczór?

– Docia, tylko mi żadnej harissy nie obieraj! – Ahmed wybiega za nami na podwórko i krzyczy na całe gardło. – Słyszycie wszystkie, nie wolno jej dotknąć papryki!

– Dobra, dobra, ty troskliwy mężusiu – śmiejemy się, wsiadając do samochodów.

– I nie zaharujcie się na śmierć, bo kto się będzie bawił. Oszczędzajcie siły na tańce. – Macha do nas na pożegnanie.

Po drodze należy jeszcze dokupić parę drobiazgów, o których wie oczywiście tylko Malika. Musi wybrać je osobiście, bo bez tego by się nie obeszło i przez to już na wstępie tracimy dwie godziny.

Nie chcę myśleć, co nas czeka. Przygotować żarcie na sto pięćdziesiąt osób to wyzwanie dla wielkiej restauracji, a nie grupki domorosłych kucharek. Nigdy w życiu nie spędzałam w kuchni tyle czasu co tutaj. Tyję, nie mieszczę się już w prawie żadne ciuchy z Polski, może tylko w rozciągnięte T-shirty, legginsy i sportowe koszule. Na wesele Ahmed kupił mi suknię w rozmiarze 40! Gdzie moje 36?! Zwariuję! Jak skończy się ta cała weselna zawierucha, idę na ścisłą dietę. Na podwórzu przed willą ciotki Miny panuje całkowity rozgardiasz. Tłumy ludzi snują się bez celu, samochody dostawcze zatruwają wszystkich spalinami, a w samym słońcu, w pudłach i siatach, leżą na ziemi góry produktów.

– Chyba się nie spodziewają, że my to będziemy nosić – prycha ze złości Malika. – A jeśli się tego zaraz nie da do lodówek, to za chwilę będzie można wszystko wyrzucić. Przecież nie możemy otruć gości!

Miriam, Chadidza, Samira i matka porozumiewawczo na siebie spoglądają. Zdaje się, że one przerabiały to już nie raz.

– Ej, ty tam! – Malika ciągnie jakiegoś młodego chłopaka za koszulę – Chwytaj za siaty i do kuchni z tym!

– Ja tu, paniusiu, nie jestem od tego. – Wrywa się oburzony. – Przywiozłem towar i już mnie nie ma.

Zanim zdążył się odwrócić, dostał takiego kuksańca pod łopatkę, że aż się zachwiał.

– Torby, ośle! – Chłopak zgłupiał. Stoi jak idiota z otwartą gębą.

Biedna Matylda, która jest tutaj od samego rana, usłyszała głos swojej pani, wybiega z domu i z obłędem w oczach chwyta potężne ciężary.

– No juuuż! – potężny ryk Maliki roznosi się na całą dzielnicę.

Chłopak bez słowa, czerwony na twarzy jak burak, zaciskając szczęki, podnosi wielkie pudło i tacha je po schodach.

Jest coś takiego w postawie Maliki, że ludzie się jej słuchają, chyba również się jej boją, a może też szanują. Wszystkie bierzemy po torbie i wtapiamy się w tłum wypełniający dom.

Roboty jest masa. W południe w dniu ślubu pan młody, którego jeszcze nie miałam okazji poznać, wydaje lunch tylko dla mężczyzn, przyjaciół i współpracowników, ludzi, wobec których ma pewne zobowiązania. Jakieś pięćdziesiąt osób. Będzie serwowana zupa na baraninie, zwana szorbą, oraz kuskus z mięsem. My oczywiście przygotowujemy wielbłądzinę, bo jest droższa, rzadsza i bardziej wykwintna. Sałatki standardowe. Na deser, oprócz góry owoców, domowe ciasteczka. Przyjęcie trwa krótko, bo każdy wie, że w tym dniu jeszcze wiele się wydarzy, ale dla nas, kobiet, nie ma to wielkiego znaczenia, bo przygotowania nie mają końca.

Według ustaleń Maliki i Miny główne danie na babski bal będzie się składało z orientalnego ryżu z bakaliaми (kuskus jest dla pospólstwa), szaszłyku baraniego lub z kurczaka do wyboru, domowej szawormy, moich drobiowych kotletów à la schabowy oraz warzywnych sałatek i past, w tym przede wszystkim hummusu z ciecierzycy i *baba ghnush* z bakłażanów. Uczciwie mnie uprzedzają, że prawdopodobnie spędzimy w kuchni całą noc poprzedzającą wesele.

W dniu zaślubin prace w kuchni kończymy o piątej nad ranem. Jestem zupełnie nieprzytomna. Wieczorem mam wyglądać pięknie i hasać po parkiecie. Już to widzę! Nogi mam tak spuchnięte, że żadnych butów nie włożę.

Panny młodej nie obchodzą żadne przygotowania, przynajmniej w tym najważniejszym w jej życiu dniu. Z samego rana udaje się do salonu piękności, gdzie specjalistki robią wszystko, aby podkreślić jej urodę. Biedna Leila wygląda jak cień i ciężko będzie coś z niej wykrzesać.

Dzisiaj o dwunastej mam kosmetyczkę i odnowę biologiczną. Jedziemy oczywiście wszystkie razem, bo każda z nas jest wyniszczona. Nie wiem, jak one to znoszą.

Do dwunastej śpię, u kosmetyczki śpię i chrapię, aż dziewczyny budzą mnie, śmiejąc się głośno. Wracając do domu, w samochodzie Maliki też śpię. Pozwalają mi do wieczora zostać w domu i spać. O tym marzę. Padam na łóżko i chyba nic nie będzie w stanie mnie obudzić.

Dobrze, że gości na ucztę weselną zaprasza się przeważnie na godzinę dziewiątą wieczorem, a wszyscy wiedzą, że i tak zaczniesz się dużo później. Leżę w łóżku jak zwłoki i próbuję dojść do siebie. Ahmed obudził mnie już godzinę temu, ale ja nie mogę się ruszyć.

– Hej, ty jeszcze nie gotowa? – słyszę jak przez mgłę. – Wstawaj, wszystkie są już u Leili. No co ty? – znów wyczuwam zawód w jego głosie.

Chyba ciągle nie spełniam jego oczekiwań, ale tak bardzo nie chce mi się wstawać. Znów oddaję się rozmyśleniom o tutejszym życiu i zwyczajach. Panna młoda, gwiazda tego wieczoru, prawie cały dzień spędziła w salonie piękności. Nie mogę się nadziwić, co ona tam tyle czasu robiła? Dopiero dziewczyny uświadomiły mi, że przed ślubem należy wydepilować bardzo dokładnie całe ciało, włącznie z myszką, potem smaruje się je jakimiś bliżej mi nieznanymi maziąmi i biedna delikwentka musi leżeć przez co najmniej godzinę. Później lekka sauna, kąpiel i masaż. Po tej rutynowej odnowie ciała fryzjerka precyzyjnie upięła Leili jej długie kruczoczarne włosy, a wizażystka zrobiła profesjonalny makijaż. Teraz zapewne Leila jest już w domu, gdzie najbliższe krewne pomagają jej się ubrać... A mnie tam nie ma! Cholera!

Biegiem biorę prysznic i usiłuję doprowadzić do porządku poranną misterną fryzurę oraz makijaż wykonany w salonie. Z włosami się uporałam, lecz twarz postanawiam umyć i delikatnie tylko podkreślić oczy i usta. Nie chcę wyglądać jak porcelanowa lalka. Wciskam się w suknię, potem biżuteria, buty w garść i już lecę po schodach, wołając Ahmeda.

– Teraz to już jedziemy prosto na salę – mówi wściekły. – I tak nie wiem, czy zdążymy, bo oni już wyjechali.

– Kto, Leila?

– A na czyje wesele idziesz?

– Czemu się wściekasz? Mówili mi, że faceci dzisiaj wieczorem nie mają nic

nadzwyczajnego. Impreza jest tylko dla pań, babski bal.

– Tak, ale ja powinienem być teraz z panem młodym i całą świtą męskich krewnych i przyjaciół. Wszyscy z rykiem klaksonów podjeżdżają kawalkadą pod dom panny młodej. Po to cały dzień pieściłem się z ich autem, żeby nawet go teraz nie zobaczyć? – Teraz rozumiem, ale czemu mi tego nie powiedział wcześniej? – Przy mojej rodzinie, a szczególnie przy Malice, nie wystarczą same kwiaty czy maskotka na przedniej szybie. Auto przez całe popołudnie przygotowywali najpierw w myjni, a później w kwiaciarni. Ozdobili je wstążkami jak bombonierkę i oczywiście nie mogło zabraknąć kolorowych baloników. Takie super, wiesz, nawet niektóre w kształcie serca.

Mój mąż, ojciec naszego dziecka, zachowuje się jak mały chłopiec. Ma smutną minę, bo nie trąbił klaksonem, nie wydzierał się przez okno i nie widział baloników. Co za dziecinada, ale oczywiście nie mogę mu tego powiedzieć.

Malika dzwoni na komórkę Ahmeda i okazuje się, że nie ma pośpiechu, bo młodzi utknęli u fotografa. Mają tam przed sobą całą długą sesję. Wykonanie artystycznych zdjęć zabiera wiele czasu.

Zajeżdżamy pod wynajętą salę. Ile ludzi! Nie ma nawet gdzie zaparkować samochodu. Dziewczeta i kobiety z obu rodzin, przyjaciółki oraz znajome, tłoczą się przy głównym wejściu. Wszystkie są szczelnie zawinięte w czarne długie płaszcze, a chusty okrywają im pięknie udrapowane włosy. Wchodzę do środka i czuję się zupełnie zagubiona. Wszyscy mnie potrącają i pchają się niemiłosiernie. Rozglądam się, szukając kogoś z naszej rodziny.

– Dot, Dot – słyszę za plecami i czuję mocny uścisk na ramieniu. Kochana Mina, może w końcu ktoś się mną zaopiekuje.

– Oj, jak dobrze, że jesteś – oddycham z ulgą, bo zaczęłam już wpadać w panikę.

– Przepchnij się do przodu, bliżej sceny, mamy stolik numer pięć. Nawet jak nie będzie nikogo, to siadaj i nic się nie przejmuj.

Obraca się na pięcie i tyle ją widziałam. Biedaczka usiłuje rozsadzić gości i zapanować nad bałaganem, co jest nierealne.

Miejsca są przeważnie przy przepięknie udekorowanych ośmio- i dziesięcioosobowych stołach. Widać tutaj rękę Maliki. Przykryto je dwukolorowymi, misternie drapowanymi obrusami, na środku stoją zawinięte w serwety butelki z wodą mineralną, a przed krzesłami nakrycia z pięknej porcelany i eleganckie sztuczki. Na każdego z gości czeka mały prezencik – czekoladka w kształcie serca w pięknym pudełeczku przewiązanym czerwoną wstążką.

Wszystkie panie w pomieszczeniu ściągają płaszcze i prezentują zakupione specjalnie na dzisiejszy wieczór kreacje. Po usadowieniu się plotkują, witają z dawno niewidzianymi, piją wodę i napoje gazowane oraz objadają się czekoladkami. Z głośników płynie arabska muzyka pop lub tradycyjna, a tylko od czasu do czasu aktualne amerykańskie przeboje.

Przephycham się na wskazane miejsce. Odświętnie ubrane małe dziewczynki przebiegają mi pod nogami, piszczą lub podekscytowane podskakują w miejscu. Marysia jest z nimi. Na szczęście ktoś ją przygotował i przywiózł. Czasami myślę, że jestem beznadziejną matką. Przecież w Polsce przynajmniej czasami się nią zajmowałam, a tutaj przejęłam lokalny zwyczaj, który okazał się bardzo wygodny – zbiorowy chów dzieci, najlepiej na podwórku za ponaddwumetrowym murem. Muszę to zmienić, ale nie sądzę, żeby Marysia była z tego powodu zadowolona. Przyglądam się jej z rozczeniem. Mimo jasnej karnacji i kręconych blond włosków w tradycyjnym stroju arabskim nie odróżnia się od pozostałych dzieci. Przecież oprócz brunetek są tutaj również szatynki i rudowłose. A ona ma jednak ostre semickie rysy Ahmeda z rzucającym się w oczy dość sporym noskiem.

– Cześć, mama! – krzyczy w biegu i macha do mnie rączką zabarwioną henną.

Chcę zamienić z nią słówko, ale ucieka z piskiem.

W kącie sali parę stolików okupują nastolatki. Gdy tylko usłyszą modny hit, zaczynają tańczyć. Panuje straszliwy ruch i harmider, aż głowa boli. Nad tym wszystkim próbuje zapanować roztrzęsiona ciotka Mina oraz oczywiście doktor Malika. To ona ochrzania niecierpliwą młodzież i łapie dzieci w biegu. Widzę na jej twarzy bordowy rumieniec i warstewkę potu. Nawet dla niej jest to poważne wyzwanie.

W końcu docieram do stolika i studzę się lodowatą wodą mineralną. Nagle podskakuję zaniepokojona i rozglądam się dookoła. Powietrze przeszywają głośne dźwięki, coś jak jodłowanie, które wydają z siebie zaproszone kobiety, zasłaniając usta dłonią. Leila z dumą i dostojeństwem wkracza na salę. W białej sukni z długim trenem, przepięknej biżuterii od męża, wyrafinowanej fryzurze i mocnym makijażu, pomimo zmęczenia wygląda wspaniale. Jak gwiazda filmowa. Nasza panna młoda zajmuje miejsce na wielkim białym tronie, gdzie ponoć spędzi najbliższe parę godzin. Nie będzie jadła, nie będzie piła ani tańczyła, musi tam siedzieć jak marionetka. Znowu stary zwyczaj, tradycja. Ma być dostojna, bo jest już mężatką. Malika oczywiście kręci się koło niej i co chwilę poprawia to tren, to fałdy sukni. Zaproszone kobiety zaczynają podchodzić, gratulować i fotografować się z najważniejszą osobą tego wieczoru. Biedna Leila w jednej pozycji, zmieniając tylko dyskretnie półdupek, czeka na przyjście młodego małżonka. On zaś zabija czas, bawiąc się w swoim domu z męskimi przedstawicielami obu rodzin oraz przyjaciółmi. Ale co to za zabawa – same chlupy.

Aby kuchnia zyskała czas na przygotowanie dań, kelnerki roznoszą najpierw domowe ciasteczka produkcji ciotki Myny i matki pana młodego, na początek moje ulubione migdałowe makaroniki, ze słodkim napojem o tym samym smaku. Nudzę się niemiłosiernie. Siedzę z Samirą, Chadidzą, Miriam i matką, ale o czym tutaj rozmawiać? Widzimy się przecież prawie każdego dnia. One plotkują na temat gości, lecz ja nie znam tych osób, a poza tym jakoś mnie to nie bawi. Malika oczywiście dyryguje w kuchni i na sali. Nie wiem, czy ona dzisiaj usiadzie. Muszę przyznać, że jest we wszystko bardzo zaangażowana i bez niej prawdopodobnie nic by tutaj nie grało. Około jedenastej w nocy zaczynają wносить danie główne. Wszystko jest wspaniałe i widzę, że panie z aprobatą kiwają głowami, lecz jak wspomnę, ile było przy tym pracy, to aż odechciewa mi się jeść.

Po poczęstunku goście ponownie relaksują się podczas rozmów, słuchając muzyki, a młode dziewczyny rozpoczynają tańce. Mimo braku partnerów świetnie dają sobie radę. Nie mogę tego zrozumieć, ale wyglądają na szczęśliwe. Patrzę na nie ze zdziwieniem, co oczywiście nie uchodzi uwagi moich towarzyszek. Że też ja wszystko muszę mieć wypisane na twarzy...

– Dla tradycyjnych kobiet w krajach arabskich uczyły weselne i przyjęcia w damskim gronie są jedyną okazją, aby olśnić urodą i kreacją – mówi Miriam. – Wiesz już, że przeważnie na co dzień noszą bluzki z długimi rękawami, spódnice sięgające kostek i czasami chusty przykrywające włosy, a nawet płaszcze. Na takich zamkniętych uroczystościach odsłaniają dekolt, ramiona i plecy, nakładają bardzo mocny makijaż i sama widzisz, że bawią się wspaniale. Przeważnie strój i kosmetyki zmieniają je nie do poznania, nieprawdaż?

No tak, tej wydawałoby się brzydkiej, suchej jak patyk Chadidży w życiu bym nie poznała. Teraz wygląda jak modelka z francuskiego wybiegu, bo akurat spełnia kryteria ich anorektycznej wagi. Muszę przyznać, że jest ładna, nawet bardzo. A jakie piękne ma włosy! Dlaczego na co dzień one tak się oszpecają? Potem trudno się dziwić, że mężowie nie mają ochoty z nimi przebywać.

Grubo po północy rozlegają się dźwięki piszczałek i bębnów. Oczy zamykają mi się ze zmęczenia, nie mogę opanować ziewania, a tu znowu coś. Dym zasnuł całe pomieszczenie tak, że niewiele widać. Męski zespół muzyczny wkracza do sali i wszystkie lokalne piękności zasłaniają

swoje odkryte wdzięki, aby nie skalało ich męskie oko. Bardziej odważne dziewczyny i młode kobiety wybiegają przed grajków, tańcząc i klaszcząc w rytm muzyki. Oczywiście rej wiedzie Malika. Na salę, dumny jak paw, wkracza pan młody. Leila wychodzi mu na powitanie, uprzednio zasłaniając twarz welonem. Chłopak wręcza jej kwiaty, odsłania woal i całuje ją w rękę. Pod palącym wzrokiem ponad setki wścibskich bab są niesamowicie speszeni. Małżonkowie wymieniają obrączki, zakładając je sobie na lewe dłonie – okres narzeczeństwa kończy się definitywnie. Teraz już razem zajmują miejsce na tronie i znów zaczynają się gratulacje i zdjęcia.

Do sali zostaje wniesiony piętrowy tort, który nowożeńcy kroją wspólnie za pomocą wielkiej srebrnej szabli, a później karmią się nim nawzajem. To chyba jest pierwszy posiłek Leili tego dnia. Muzyka zostaje zmieniona i teraz z głośników płyną nuty romantycznej piosenki o miłości, do której młoda para wykonuje swój pierwszy oficjalny taniec. Pozostają jeszcze chwilę wśród gości, następnie pan młody zabiera swą małżonkę na najważniejszy punkt wieczoru. Na tym kończy się oficjalna część wesela – młodzież nadal bawi się w najlepsze, a poważni goście powoli opuszczają salę. Można iść do domu. Hura!

– Niektórzy na noc poślubną wynajmują apartament w hotelu – informuje mnie Miriam – lecz młodzi wolą spędzić tę noc w nowym domu przygotowanym przez Salema i jego rodzinę.

– Ciekawa jestem, jak rozwiążą sprawę prześcieradła. – Spocona Samira przybiega do nas z parkietu. Ależ ona szaleje.

– Nie bądź naiwna. – Malika uśmiecha się chytrze. – Jeśli ciotka – uderza się wskazującym palcem w pierś – im to organizowała, to wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. Bez wpadek.

– Jakie prześcieradło? – pytam.

– Blondi znowu nie odrobiła lekcji. – Wybuchają śmiechem. – Dawny zwyczaj nakazywał po skonsumowaniu małżeństwa wystawić zakrwawione prześcieradło na widok rodziny, która potrafiła czekać na to nawet do białego rana.

– Poważnie? – dziwię się. – Przecież to żenujące, poniżające!

– Jest to przestrzegane po dziś dzień, ale może w nieco bardziej subtelnej formie. Dziewczyna powinna stracić cnotę pierwszej nocy i musi to jakoś udowodnić.

– Jak to? Przecież dzisiaj to nie będzie ich pierwszy raz? Mówiłyście...

Malika i Miriam kiwają na boki głowami i uśmiechają się tajemniczo.

– Stare zwyczaje starymi zwyczajami, a życie idzie z postępem – oświadcza Malika, przytykając wskazujący palec do ust. – Sza!

– Ale co będzie z zakrwawionym prześcieradłem? – pytam zaniepokojona.

– Jak starzy chcą tradycji, to im się ją zagwarantuje. Myślisz, że mam mało krwi w klinice. Jaką chcesz grupę?

Dziewczyny zaśmiewają się na całe gardło.

– Inni organizują sobie krew zwierzęcą, też pięknie. Najważniejsze, żeby dziewczyna straciła cnotę ze swoim przyszłym mężem i żeby on był zadowolony. Bo jeśli zrobi to przed ślubem z kimś innym, ma problem.

– Bogu dzięki, że już kończy się ten cały cyrk – wzdycham z ulgą. – Tyle wysiłku i na co to komu?

– Nie da rady inaczej, trzeba to po prostu polubić. Ale, ale, to jeszcze nie koniec wszystkich uroczystości.

– Co? Ja chyba tego nie przeżyję – jęczę, słaniając się na nogach i padam z powrotem na krzesło, a całe towarzystwo wybucha śmiechem.

– Nie przejmuj się, nas to już nie obchodzi. My będziemy tylko gośćmi. Uff! – Malika z

zadowoleniem klepie się po udach. – Jutro, tradycyjnie w piątek, rodzina Salema wyda przyjęcie w wąskim gronie na przywitanie naszej Leili w jej nowej rodzinie. A potem *barra*, w podróż poślubną robić dzieci. Zobaczycie, za dziewięć miesięcy rodzina się powiększy. Ach te baby, idiotki! – wykrzykuje na koniec, teatralnie wyrzucając ręce w górę. Po tych słowach wszystkie zbieramy się do wyjścia, zostawiając jedynie rozhasane dziewczyny na parkiecie. Wśród nich prym wiedzie Samira, która okazuje się wyśmienitą i niezmordowaną tancerką.

Wyrok na Samirę

Lato nadal w pełni i rodzina zamierza nadchodzący weekend spędzić na plaży. Piknik, kąpiel w morzu, gry i zabawy, może nawet będziemy spać w namiotach na wybrzeżu. Dziewczyny wszystko planują już od środy, włącznie z codziennym sprawdzaniem długoterminowej prognozy pogody. Tak jakby w najbliższych trzech czy czterech miesiącach coś się mogło zmienić. Upał panuje non stop – od wczesnego ranka aż do zmierzchu, jedynie wieczory są znośne. Spędzam je przeważnie samotnie, przesiadując w ogrodzie lub na naszym balkonie. Tyle mego, tyle wolności. Pseudoogród, otoczony dwuipółmetrowym murem, jak studnia między ścianami sąsiednich wysokich na trzy piętra lodowych pałaców, i ten balkon, zasłonięty przed oczyma ciekawskich winną latoroślą i ścianą z luksferów. Nie daj Bóg, żeby mnie ktoś zobaczył! Może to i lepiej, bo wyglądam jak kocmołuch. Zaniedbana i upasiona. Już nie jestem Kopciuszkiem, którego wystarczy przebrać w drogie fatałaszki, aby stał się smukłą i piękną królową. Zmiany w moim wyglądzie zaczęły się utrwalać. Codziennie obiecuję sobie, że coś zmienię, a nie robię nic. Miała być dieta, ćwiczenia, rzucenie palenia, bo nigdy w życiu tak dużo jak tutaj nie kopałam. I nie jadłam. I nie leżałam w ciągu dnia.

W dalszym ciągu nie mam planów na moje życie tutaj i egzystuję w zawieszaniu, budzona od czasu do czasu z okazji jakiejś akcji. Dlatego też jak głupia cieszę się na ten piątkowy wyjazd. Znowu chwila radości, beztroski i działania. Wyjście z domu, bezkarne i dozwolone. Powoli przestaję się dziwić arabskim kobietom, że w większości są zaniedbane, sfrustrowane i nerwowe. Upodabiam się do nich, choć tak bardzo tego nie chcę. Brakuje mi tylko piątki rozwrzeszczanych bachorów. Na razie mam środki antykoncepcyjne z Polski, więc przynajmniej przed tym skutecznie się bronię. Ahmed jednak coraz częściej zaczyna wspominać, że jeśli i tak siedzę w domu, to moglibyśmy pomyśleć o malutkim syneczku. Chadidza kiedyś mile mnie oświeciła, że jeśli nie ma syna, nie ma arabskiego małżeństwa. Liczy się tylko syn. W tym momencie Malika uprzejmie zauważyła, że Chadidza dała swojemu mężowi aż trzech synów, a małżeństwo i tak się rozsypało. Teraz jej chłopcy mieszkają z ojcem, bo matka, jako kobieta, nie może się nimi zajmować. Oni również z nami jadą. Mogą widywać się z matką tylko w weekendy i święta, oczywiście o ile tatuś wyrazi zgodę. Z tego powodu nawet Chadidza chce wyskoczyć ze skóry, aby wszystko dopiąć na ostatni guzik.

– Blondi, umówimy się po weekendzie. – Malika wyrasta jak spod ziemi, krytycznie lustrując mnie od stóp do głów. – Coś ty ze sobą zrobiła?!

– Nic! – warczę przez zaciśnięte zęby. Nie musi być szczerą aż do bólu.

– No właśnie, nic. Nie mogę na ciebie patrzeć.

– To nie patrz, do cholery. – Nieźle się zaczyna ten wyczekiwany piątek. Niech to szlag trafi. Wiedziałałam, że będzie mnie oceniała, ale mimo to nic ze sobą nie zrobiłam. Wszystko odkładałam z dnia na dzień. *Bukra, bukra, baad bukra*. Jestem wściekła na siebie.

Widzę chłód w spojrzeniu Maliki i nie dziwię się jej.

– Przepraszam. – Pochylam się w jej stronę. – Wiem, że wyglądam jak świnia i nie jest mi przyjemnie się do tego przyznać. Ratusz, siostrzyczko!

– No, tak już lepiej – mówi udobruchana. – Nie odtrącaj mojej pomocnej dłoni. Pamiętaj! Ja nigdy nie wyciągam jej dwa razy.

Samira przebiega przez podwórko w stronę samochodu ojca. Jakoś dziwnie wygląda, jakby schudła, twarz ma pobladła i rozwiane, nieuczesane włosy.

– Ej, Samira, co z tobą? – wołam za nią, ale nawet się nie odwraca.

– Kiepsko z nią. – Malika burczy mi do ucha. – Termin obrony to termin wyroku. A nikt

nie chce albo nie może jej pomóc. Ja bardzo bym pragnęła, ale jestem tylko jej siostrą, kobietą. Niewiele mogę... – Patrzy w przestrzeń z kamienną twarzą. – Zobaczymy – mówi enigmatycznie.

– Znów problemy z tym staruchem? – dziwię się. – Myślałam, że to ucichło, umarło śmiercią naturalną.

– Tutaj nigdy o niczym się nie zapomina. Arabowie to najbardziej pamiętliwa nacja. – Zaciska usta. – I z bólem muszę przyznać, że chcąc nie chcąc, ja też taka jestem. Jeśli podejmę decyzję, to po trupach ją realizuję, jeśli kogoś nienawidzę, to życzę mu jak najgorzej, a jeśli ktoś mi się narazi, to nigdy mu nie wybaczę. Jeśli któryś z przyjaciół zaczyna robić mi jakieś problemy bądź mam przez niego kłopoty, to go wykreślam – śmieje się, uważając, że to zabawne. – W najlepszym wypadku – dodaje na koniec.

Słuchając jej, zaczynam się bać. Zasada oko za oko, ząb za ząb u nas już dawno wyszła z mody, jednak z poczynań Ahmeda wnioskuje, że dla nich jest to nadal podstawowy sposób wymierzania sprawiedliwości. A teraz jeszcze Malika, taka emancypantka. Tutaj obowiązują zupełnie inne reguły, arabska mentalność i światopogląd są całkowicie odmienne od naszych, europejskich. Czuję, jak w głowie zapala mi się czerwona lampka. Muszę się lepiej pilnować i uważać, żeby nikogo nie urazić, bo mogłabym to przypłacić głową. Nerwowo przełykam ślinę.

Samira, jeszcze bledsza niż przed chwilą, wbiega do domu. Wydaje mi się, że płacze. Nie rozmawiałam z nią sam na sam od czasu opieki nad Marysią w ów pamiętny wieczór wielkich decyzji. Wydaje mi się, jakby to było wieki temu. Idę do domu i pukam do drzwi jej pokoju. Słyszę szloch.

– Samirka, otwórz – proszę, ale nie doczekuję się żadnej odpowiedzi.

– Dot, jedziemy. – Ahmed, przechodząc, chwyta mnie za rękę i wyprowadza na podwórko. – Marysia, do wozu. – Sadza naszą córeczkę w samochodowym foteliku dla dzieci, zamontowanym na tylnym siedzeniu naszego nowego nissana. Siadam na miejscu koło kierowcy.

– Co się stało Samirze? – pytam, gdy ruszamy.

– Przecież na pewno ci już o wszystkim powiedziały – mówi, wyjeżdżając z podjazdu.

– Ale czy tak musi być? Czy ona musi wyjść za tego starego dziada, którego nie kocha?

– Tym zajmuje się ojciec...

– No nie żartuj! – oburzam się. – Nikt nie może jej pomóc?

– Nie sądzę, taka tradycja.

– Nawet ty?! – wkurza mnie, że umywa ręce. – Przecież ją kochasz, jest twoją najmłodszą siostrą!

– Daj spokój, nikt nie będzie działał wbrew ojcu, nikt nie chce mu się narazić.

– Dlaczego, przecież każdy z was ma własne życie? Cóż wam może zrobić? Ty też jesteś mężczyzną, jedynym synem, z tobą chyba musi się liczyć.

– Ja z nim nie rozmawiam.

– Odkąd? Co się znowu stało?

– Od czasu sprawdzenia moich kont bankowych.

– Nie chcesz tego wyjaśnić? Jak on się tłumaczy?

– On nie musi się tłumaczyć. – Ahmed zaciska zęby i blednie na twarzy.

– Co, pan i władca?! Nie żartuj sobie! Nic nie powiedział!

– Właśnie, oznajmił, powiedział, ale nie tłumaczył się.

– No i co?! – pytam zaciekawiona do granic możliwości. – Sam mówiłeś, że były to niemałe pieniądze.

– Potrzebował.

– Na co? – dopytuję.

– Potrzebował, i tyle. – Ahmed zaciska usta i nastaje chwila nieznośnej ciszy. – Na nową żonę i ślub – szepcze. – Z dziewuchą w wieku Miriam, w wieku swojej córki! – Słyszę zgrzytanie zębów.

– Szsz... – nic więcej nie jestem w stanie z siebie wydobyć.

– Sfinansowałem ojcu jego zachciankę.

Milkniemy.

– Jak ojciec się na coś uprze, to nikt nie jest w stanie go od tego odwieść – mówi ze złością. – Wybranek dla Samiry to jego znajomy, chyba od kielicha i od dziwek, więc bliski. Tatuńcio ma nas wszystkich w dupie! Swoją mądrą, wykształconą córkę wydaje za takiego zgreba! Może zastawił ją w karty albo w innym zakładzie, który przerznął, bo nie chce mi się samemu wierzyć, że robi to celowo. Samira była jego oczkiem w głowie! Najmłodsza i najukochańsza – szepcze z żalem. – Bardziej ją faworyzował niż mnie, syna...

– No to jak to możliwe?

– Cóż, wszystko się zmienia. Teraz z nową żoną ma już nowe, młodsze i bardziej kochane dzieci. Nienawidzę ich! – Patrzy przelotnie na mnie, a ja boję się wyrazu jego oczu, tego, co w nich dostrzegam.

– Ostatnio matka próbowała go odwieść od pomysłu wydania Samiry za staruszkę – mówi z zaciśniętymi zębami. – Nie chciałybyś widzieć jej pleców po tej rozmowie. Poza tym znów jej groził.

– Czym?

– Kobiety nie mogą mieszkać same, tak jak ona i Chadidża. Tego zabrania prawo, tradycja i policja obyczajowa. Jeśli miałyby pozostać w naszym domu, rodzina musiałaby ustanowić dla nich męskiego opiekuna. Nasz milusi tatuś może nim zostać i sprowadzić się do przyznanego matce domu wraz ze swoją nową rodziną. Niezły układ, prawda?

Nic z tego nie rozumiem. Co za syf! Nie dość, że taki skurwiel zostawia żonę, to jeszcze może ją szantażować i dalej robić z nią, co zechce. Jak to możliwe, że nie może sama mieszkać we własnym domu?!

Pocieszający jest fakt, że jednak ktoś stanął w obronie biednej Samiry. Ale co to dało? Nic. Co ona zrobi?! Nie chciałabym być w jej skórze.

Plaża jest przepiękna – czysta turkusowa woda aż po horyzont, gruboziarnisty piasek pokrywają drobne kolorowe muszelki, a gdzieniegdzie w zagłębieniach pełnych wodorostów można znaleźć duże muszle, w których ciągle szumi morze.

Podjeżdżamy do samej wody i jedziemy brzegiem. Żal mi czystego piasku, ale nigdzie nie ma parkingów i ponoć wszyscy tak robią. Wybieramy idealne miejsce, robimy krąg z samochodów i tym samym znowu otaczamy się murem. Do ogólnego użytku wzdłuż wybrzeża postawiono letniskowe domki. Mają podmurówkę, a ściany i dach zrobiono z palmowych gałęzi. Nie mają klimatyzacji, lecz są przewiewne i dają schronienie przed palącymi promieniami słońca.

Rozścielamy wiklinowe maty, ustawiamy plastikowe stoliki i krzesła. Kobiety zaczynają serwować orzeźwiająca schłodzoną herbatę z hibiskusa oraz puszyste kokosanki i makaroniki. Już czujemy się jak w domu. Każdy sadowi się wygodnie i zaczyna się relaks. Dzieci jak zawsze biegają w kółko, lecz, Bogu dzięki, boją się morza i nie zapuszczają na głęboką wodę. Jedyne Marysia ma bezpieczne motylki na ramionach oraz kolorowe dmuchane kółko. Ahmed wchodzi z nią do wody, a ja kokoszę się na naszej macie oddalonej od reszty rozwrzeszczanego towarzystwa.

Dzisiaj i tak są dziwnie spokojni i małomówni. W powietrzu wisi burza. Tylko Chadidża promienieje radością, bo ma swoich synów przy sobie na cały długi weekend. Ładne chłopaki.

Dwunasto-, czternasto- i siedemnastolatek starają się opędzić przed czułościami matki. Jeszcze w samochodzie Ahmed powiedział mi, że najstarszemu Chadidza kupiła za nasze pieniądze samochód, nowiutkiego volkswagena golfa, jako prezent za dobrze zdany egzamin maturalny. Lecz, o dziwo, o to mój wspaniałomyślny mąż się nie gniewa, tłumaczy ją i twierdzi, że potrafi to zrozumieć. Nie chcę wychodzić na sknerę i potakuję głową, choć z wielką chęcią zrobiłabym jej awanturę.

Po nasmarowaniu się olejkiem i spięciu włosów zaczynam leniwie obserwować piękne miejsce i sąsiednie grupy plażowiczów. Nigdzie nie widać cudzoziemców, sami Arabowie. Mężczyźni paradują w szortach i w nich też się kąpią. Jeden jedyny Ahmed ma na sobie kąpielówki. Przechodzę do obserwacji kobiet. I znowu szok! Tylko ja, pomimo wylewającego się tłuszczu i cellulitu, nałożyłam kostium kąpielowy, i to dwuczęściowy! Z paniką rozglądam się na boki. Wszystkie arabskie kobiety zakrywają ciało, a tylko dziewczynki, i to maksymalnie do dziesiątego roku życia, mają kolorowe kostiumy. Powyżej tego wieku ten strój jest chyba zabroniony. Nastolatki kąpią się w kolarkach lub korsarkach z lycry, a piersi lub ich brak osłaniają T-shirtami. Same miss mokrego podkoszulka! Kobiety zamężne kąpią się w ubraniach. Tak jak przyjechały, w długich do ziemi sukniach i chustach na głowie, wchodzą do słonego morza. Brodzą w wodzie po kolana, bo oczywiście nie umieją pływać i boją się fal, ale na tej głębokości odważnie siadają i przerażone piszczą, kiedy przypływ podnosi do góry namoknięty materiał. Rozglądam się po naszej grupie, usiłując znaleźć jakąś towarzyszkę w rozpuście. Czuję się, jakbym była naga.

– Coś się tak spłoszyła?! – Malika jak dziecko podbiega i obsypuje mnie piaskiem. – Już do morza! Ty chyba umiesz pływać? – krzyczy, biegnąc w kierunku nadpływających fal.

Ma na sobie kostium kąpielowy. Uff, co za ulga. Wprawdzie jednoczęściowy, ale za to z mocno wykrojonymi majtkami i na cieniutkich ramiączkach. Głęboki dekolt odsłania jej duże piersi – wygląda sexy i wcale się tym nie przejmując ani tego nie kryje.

– Widziałaś te oszołomki? – Wskazuje na swoje rodaczki kąpiące się w ubraniu.

– Co masz na myśli?

– Dwa w jednym: nie dość, że popływają w klasycznym stylu arabskim, to jeszcze zrobią pranie. Patrz, jaka oszczędność czasu i pieniędzy.

To niesamowite, że potrafi śmiać się z rodzimych tradycji i zwyczajów, a z drugiej strony jest tak bardzo „orientalna”, pamiętliwą i impulsywną kobietą.

– Malika, nie widzę Samiry – mówię, zbliżając się do niej. – Martwię się o nią. Nie pojechała z nami?

– Po uroczej rozmowie z ojcem zamknęła się w pokoju i powiedziała, że nie wyjdzie. Na oczach tylu ludzi nie chciał się kompromitować i wyważać drzwi. Ale nie jest dobrze. – Malika poważnie.

– Dlaczego nikt z was nie interweniuje! – oburzam się. – Nie chcecie jej pomóc, nie chcecie jej szczęścia?

– Drogie dziecko, to nie takie proste. Matka już próbowała...

– Słyszałam – mówię, aby oszczędzić jej tej hańbiącej relacji.

– Mnie pobić by się nie ośmielił, ale ma innego asa w rękawie.

– Ma coś na ciebie? Przecież to ty wiele możesz, masz wysoką pozycję. Cała rodzina jedzie na twoich koneksjach.

– Układy układami, ale tu rządzą stare prawa, których nawet ja nie powinnam lekceważyć. Mogę je naginać, ale po cichu i przy milczącej zgodzie rodziny. Gdyby nasza kochająca się rodzina nagle rozpuściła języki, wylądowałabym razem z mamusią i Chadidzą w naszym cudownym rodzinnym gniazdku. I to może jeszcze pod kuratelą tatunia! Nie wygrałabym

w żadnym sądzie i zdaję sobie z tego sprawę.

– Ty?

– Tak, moja droga. – Kiwa głową ze smutkiem. – Ja, taka szczwana lisica.

Siadamy w płytkiej wodzie przy brzegu na czystym piasku i przesypujemy mokre ziarenka między palcami. Nie chcę jej zmuszać do dalszych zwierzeń, nie chcę pośpieszać. Krępuje mnie wysłuchiwanie ich rodzinnych tajemnic i wywlekanie brudów, a okazuje się, że jest tego niemało.

– Jestem pod opieką dziadka przyznaną mu oficjalnie przez sąd – kontynuuje. – Ale jest to tylko na niby, tak zwana lipa.

– A co z dziadkiem, nie żyje? – Tutaj wszystko jest możliwe.

– Aż tak źle to nie jest – śmieje się rozbawiona moją przerażoną miną. – Siedzi za granicą, u swojego brata w Stanach. I jest tam już na tyle długo, że nawet ludzie przestali o niego pytać.

– Ile lat?

– Osiem.

– Cooo?! Ale numer! I ty jesteś cały ten czas pod jego opieką?

– Nooo. – Malika chichocze i puszcza do mnie figlarnie oko.

– To ojciec mógłby na ciebie donieść, na własną córkę?

– Może mógłby, może nie, ale trzyma mnie w szachu. Na domiar złego mieszkam z moim dwudziestoletnim synem, a to w oczach naszego cudownego prawa całkowita rozpusta i zepsucie.

– Stop, stop, stop! O czymś znowu nie wiem – przerywam jej gwałtownie, podnosząc się z piasku. – To ty masz syna? Zaraz, zaraz... O ile mnie pamięć nie myli, nigdy nie byłaś mężatką. – Patrzą na nią zaintrygowana. Ileż oni mają tajemnic!

– To syn ciotki Miny, zaadoptowany przeze mnie, gdy byłam na placówce. Mnie się lepiej powodzi, mogę mu więcej dać.

– Dobra, dobra, to jest wersja oficjalna, dla prasy, ale jaka jest prawda? – tym razem nie panuję nad ciekawością i bezczelnie ją naciskam.

– To już zupełnie inna historia, może innym razem coś ci powiem, może kiedyś... jak zdobędziesz moje zaufanie.

– To ty mi nie ufasz?! – baranieję. – Myślałam, że jesteśmy przyjaciółkami! – Czuję się zawiedziona.

– Przyjaźń przychodzi i odchodzi, a my jesteśmy rodziną, czyli złączone na wieki, jednak nad zaufaniem trzeba popracować. Nie gniewaj się, Dot, bardzo cię lubię, ale życie nauczyło mnie być ostrożną. Dostałam już nieraz za swoje i w naszych warunkach muszę bardzo uważać na to, co i komu mówię. Jak na jeden dzień wyznałam ci chyba dość sekretów, nie uważasz?

Wstaje i obejmuje mnie w pasie. Idziemy wzdłuż morza jak para zakochanych, brodząc nogami w wodzie.

– Wracając do Samiry, to może Ahmed coś mógłby wskórać, choć też nie jestem pewna.

– Malika nie chce wracać do naszej grupy i ciągnie mnie na spacer. Chyba ma ochotę jeszcze ze mną pogadać, a mnie jest miło, bo całymi dniami nie mam do kogo ust otworzyć.

– On nie rozmawia z ojcem. – Nawiązuję do naszych pieniędzy, które rodzinka zgodnie roztrwonila i ciekawa jestem, jaki był w tym udział mojej nieufnej przyjaciółki.

– Tak, słyszałam. To chyba największe przegięcie, jeśli idzie o zdefraudowanie oszczędności Ahmeda. – Milknie i idziemy przez jakiś czas w ciszy, a szum morza uspokaja myśli. – Jeśli chodzi o mnie, to pożyczylam tylko dwa tysiące na wakacje w zeszłym roku, bo myślałam, że już dłużej nie wytrzymam z tą całą cudowną rodziną. Zrozum, dziewczyno, bałam

się, że jak nie wyjadę, to im wszystkim popodrzynam gardła tępym nożem. – Jej wyznanie mrozi mi krew w żyłach.

– A co się stało?

– Wtedy właśnie ojciec finalizował swoje nowe gody – wzdycha. – Więcej nie chcesz wiedzieć, wierz mi.

– Tak, daj spokój, to nie moja sprawa.

– Tak więc wzięłam dwa kawałki, ale już mówiłam Ahmedowi, że mu oddam pod koniec roku, z trzynastki. Absolutnie i bez dyskusji, choć on twierdzi, że kto jak kto, ale ja mu tej pożyczki nie muszę oddawać. W końcu to ja dostałam tę ziemię, nie?

– Tak, tak. Ma rację, daj spokój! Tutaj chyba chodzi o jakąś większą sumę, a nie dwa tysiące?

– No raczej – przytakuje Malika. – Chadidza kupiła swojemu rozwydrzonemu najstarszemu bąkowi autko. – Krzywi się z dezaprobatą. – Biedna myśli, że będzie ją za to bardziej kochał, a jak była chora, to nawet nie chciał jej podwieźć do lekarza. Gnojek!

– Ahmed twierdzi, że i tak dałby jej te pieniądze.

– No cóż, odzyskać ich nie jest w stanie, to pewne. Ja bym nie dała pieniędzy dla tak zepsutego gnoja! On o swojej matce, oczywiście za jej plecami, mówi per kurwa i zdzira. Czego jak czego, ale szlajania się nie można jej zarzucić. Jej mąż, chcąc usprawiedliwić siebie, starał się ją obciążyć zdradą małżeńską, ale i tak nikt mu nie uwierzył, mógł sobie postawić przed sądem nawet i stu świadków!

– Cóż, oznacza to, że dziewięćdziesiąt procent oszczędności Ahmeda wziął tatuś i raczej ich nie odda – podsumowuję, rozkładając bezradnie ręce. – Chyba są już po jakiejś niezbyt miłej rozmowie.

– Tak, słyszałam tę awanturę.

– To chyba nie będzie rozmowy w sprawie Samiry? – smucę się.

– Lepiej, żeby teraz Ahmed nie podejmował się roli mediatora, bo ojciec dla zasady wszystkiego mu odmówi. Tatuś czuje się obrażony i dotknięty! Nie uważasz, że to bezczelność? – pyta, nie oczekując bynajmniej odpowiedzi. – Praktycznie okradł własnego syna i jeszcze się gniewa, gdy ten delikatnie wspomina o oddaniu pieniędzy.

– Widzisz dla niej jakiejś wyjście? – wracam do meritum sprawy.

Malika nagle bez słowa zawraca na pięcie i kieruje się w stronę naszej grupy.

– Głodna jestem, aż burczy mi w brzuchu. Jeszcze dzisiaj nic nie jadłam. – Zupełnie lekceważy moje pytanie.

– Ja też – podejmuję jej grę. – Coś ładnie pachnie. – Puszczamy się biegiem, bo widzimy, że wszyscy już krążą z wypełnionymi jedzeniem talerzami.

Po posiłku, tłustym i obfitym, wszyscy rozprostowują kości na matach i mają zamiar się zdrzemnąć. Nawet dzieci ucichły. Zamiast skakania, biegania i krzyków zajęły się kopaniem dołków w piasku, budowaniem fortec i zamków albo pułapek na przejeżdżające nad samym brzegiem morza samochody.

Oczy mi się zamykają, ale leżąc na brzuchu obok posapującego Ahmeda i naszej ślicznej, śpiącej jak aniołek Marysi, obserwuję całą rodzinę. Ojciec. Dlaczego w weekendy zdręcza ich swoją obecnością? Czyżby cały czas chciał trzymać rękę na pulsie? Kontrolować i rządzić? Teraz gra w kości ze swoimi „nowymi” dziećmi, całkiem małymi, bo w wieku przedszkolnym. On, wiekowy dziadek, chciałby zapewne chwilę pochrapać, lecz manifestacyjnie rześki i sprawny śmieje się głośno i przeszkadza innym. Jego dorosłe dzieci nie rozmawiają z nim, wszystkie go ignorują.

Matka stara się być niewidoczna. Nie odzywa się, nie śmieje, trzyma dystans. Ciągłe

gdzieś na uboczu, głównie zajmuje się dziećmi Miriam, rówieśnikami nowych dzieci ojca. Teraz pluszczą się przy brzegu i wylławiają z wody jakieś skarby. Matka nadal jest przystojną kobietą, typową Arabką o klasycznych rysach – orli, spory nos, wielkie czarne oczy osłonięte firaną długich rzęs, wysokie czoło i gęste, nadal czarne włosy, niezbyt dokładnie ukryte pod elegancką jedwabną chustą. Postawa, gesty czy rysy twarzy wskazują na wrodzoną dumę. Dzieciaki Miriam dokazują, wrzeszczą i zaśmiewają się na całe gardło. Marysia, słysząc ich krzyki, błyskawicznie się ocknęła i biegnie, aby przyłączyć się do zabawy.

Miriam dzisiaj jest z mężem – coś częściej zaczął przyjeżdżać z tej pustyni. Nie wiem, czy to uratuje ich małżeństwo, bo z daleka widać wrogość, jaka panuje między nimi. Siedzą obok siebie na odległość ręki, lecz odwrócenii półbokiem. Nie patrzą w swoją stronę i nie odzywają się. Są spięci i obawiam się, że brakuje jednej iskry, by bomba wybuchła.

Chadidza z wypiekami na twarzy gania między swoimi mocno już znudzonymi synami. Jak oni wytrzymają tutaj do jutra?

Malika, rodzinna emancypantka, jako jedyna rozłożyła się nie na ziemi, lecz na własnym plażowym łóżku i osłonięta parasolem słonecznym czyta zagraniczną prasę. Młody, przystojny, chorobliwie szczupły mężczyzna leżący przy niej na leżaku to zapewne jej tajemniczy syn. Wiele razy go widziałam, ale oczywiście nie miałam pojęcia, kim jest. Bardzo podobny do Maliki, nie ma szans, żeby się go wyparła.

Czuję napięcie panujące między wszystkimi członkami rodziny. Nikt z nich dobrowolnie by tutaj nie przyjechał, a na pewno nie w takim składzie. Co i kto zmusza ich do całodziennej udręki i niepotrzebnych nerwów? Tradycja i zwyczaj rodzinnego spędzania świątecznego piątku są widać silniejsze od wszystkiego innego.

Matylda roznosi półmiski z kawałkami zimnego arbuza i melona.

Z drzemki wrywa mnie dźwięk silnika samochodu, który, mam wrażenie, jakby przejeżdżał mi po głowie. Gwałtownie się zrywam. Niewiele się myliłam, bo w odległości nie większej niż metr od siebie widzę koła jakiegoś pojazdu.

– Co za debile! – krzyczę i skaczę na równe nogi.

Ahmed zaspany siada na kocu i przeciera oczy jak małe dziecko. W całej grupie nastąpiło poruszenie. Niech ktoś opieprzy tego kretyna, który chciał mnie rozjechać!

– To Mohamed, były mąż Chadidży – tłumaczą mi spokojnie.

Synowie Chadidży aż skaczą ze szczęścia. Nic nie mówiąc, w pośpiechu zbierają swoje rzeczy, a ich matka powoli podchodzi do drzwi auta od strony kierowcy.

– Przecież mieli zostać do jutra – słyszę jej ciche, błagalne słowa.

– Zgłupiałaś! – ordynarnie odpowiada zniecierpliwiony głos. – Tłukłem się tutaj ponad sto kilometrów, nie żartuj sobie ze mnie!

– Ale umawialiśmy się.

– Nie przesadzaj. Miałaś ich przez cały piątek, tak jak się należy. Co oni tutaj mają do roboty?! Popatrz, jak uciekają – śmieje się ironicznie.

– Ale...

– Żadne ale. Mają szkołę, muszą odrobić lekcje...

– Nie kłam! – Chadidza zaczyna się denerwować.

– Ty, kurwo, nie pyskuj w ten sposób! – Mężczyzna ryczy na całe gardło. Ja naprawdę nie chcę tego wszystkiego słuchać. Po co uczyłam się arabskiego?! Wolałabym nie rozumieć.

– Tato, jesteśmy gotowi! – Chłopcy podbiegają do samochodu, wrzucają bagaże i pakują się na siedzenia. Żaden z nich nie zwraca uwagi na matkę.

– Później ustalimy termin następnego spotkania – informuje Mohamed. – Może w ramadanie.

Samochód gwałtownie rusza, wzbijając tumany piasku. Ramadan? Zaczyna się chyba dopiero za parę miesięcy? Patrzę na Chadidżę. Jej twarz jest martwa, a oczy śledzą oddalający się pojazd. Przytyka dłoń do ust i biegnie na tyły słomianej chatki. Wszyscy spuszczaają głowy.

Atmosfera robi się jeszcze bardziej napięta.

– Ruszmy się. – Ahmed bierze mnie za rękę i z zaciśniętą szczęką kieruje się w stronę morza.

Mija nas parę aut wypełnionych rozwrzeszczanymi młokosami.

– Hej, Barbie! *Bikini baby*, uuuu – słyszę śmiechy i widzę, jak wychylają się z okien pędzących samochodów.

– *Barra nek!* – wrzeszczy rozwścieczony Ahmed i biegiem rzuca się za nimi. Podnosi grudę piasku i ciska w ich kierunku, sam obsypując się od stóp do głów. Zachowuje się jak idiota.

Lepiej nie komentować tego incydentu. Spuszczam wzrok, bo nie chcę, aby zobaczył rozbawienie w moich oczach. Dla mnie takie postępowanie dorosłego mężczyzny jest śmieszne. Pluszczemy się na płyciźnie przy samym brzegu. Woda cudownie chłodzi rozgrzane słońcem ciało.

– Chyba nie chcesz zostać tutaj na całą noc? – pytam, przerażona taką perspektywą.

– Nie za bardzo – przyznaje. – Popływamy i będziemy się zbierać. Przepraszam, że nie jest zbyt miło. Następnym razem spróbujemy się jakoś wymigać.

– Bogu dzięki. Przecież sami możemy gdzieś pojechać.

– Tak będziemy robić. Też mam dość.

Malika podbiega i chłapie nas wodą. Nie wiem po co, bo przecież już jesteśmy mokrzy.

– Wesole. – Nie wiem, czy pyta, czy stwierdza fakt. Wykrzywiamy tylko usta.

– Za chwilę jedziemy – oznajmia Ahmed.

– Bez przesady, jest dopiero piąta. Posiedźmy przynajmniej do siódmej.

– Też się zrywasz? – dziwi się.

– Czy ty sobie wyobrażasz, że spałabym tutaj z latającymi nad głową ćmami, komarami, cykadami i Bóg wie czym jeszcze? A gdzie wzięłabym prysznic? Spójrz, całą skórę mam białą od soli, już mnie wszystko pali i swędzi, do jutra nie wytrzymam. A ty przy twojej alergii nawet o tym nie myśl.

– To my jedziemy za chwilę, a ty o siódmej? – podsumowuję.

– Dajcie spokój! – Nie wiem, czemu nas tak naciska. – Przecież jak zaczniecie się zbierać, to wszyscy ruszą biegiem. Odruch stadny mamy bardzo silny.

– Wcześniej będziemy w domu, to w końcu się zrelaksujemy – mówi zniecierpliwiony Ahmed.

– Słuchajcie, jeszcze nie graliśmy w moją nową grę planszową – prawie prosi. – Superciekawa, sprowadziłam z Turcji.

Patrzę na mojego męża. W sumie te dwie godziny jeszcze można wytrzymać, najgorsze jest chyba za nami. Kiwam zachęcająco głową. Malika klaszcze w ręce jak dziecko.

– Przykro mi, Malika. – Ahmed jednak ma dość. – Zagrajmy w domu, zapraszamy do nas na górę. Weźmiemy prysznic, zaparzemy dobrej kawy i...

– Jaką różnicę, do cholery, zrobiłyby ci te dwie godziny?! – syczy Malika i wbija mu paznokcie w ramię.

– Jeszcze jedna wariatka w rodzinie! – Ahmed wyrywa się i rysuje kółka na czole. Dochodzę do wniosku, że to chyba jego ulubiony gest.

W pośpiechu składamy nasze rzeczy, nawet nie trzepiąc i nie czyszcząc ich z piasku. Marysia jest tak zmordowana, że pierwsza wsiada do samochodu. Ruszamy bez słowa. Przez

tylną szybę widzę, że całe towarzystwo zaczyna się pakować. Z piskiem kół zatrzymujemy się przed frontową bramą naszej rezydencji. Mam nadzieję, że to już wszystko na dzisiaj. Malika jest druga i parkuje tak, że prawie zdziera nam lakier ze zderzaka.

– Ahmed, nie otwieraj z pilota – mówi ostro.

– Co ci znowu odbiło?

– Ja wejść pierwsza – szepcze i widzę w jej oczach przerażenie.

– O co ci chodzi? – Ahmed odwraca się plecami do niej i idzie do samochodu. – Nie wiem, co ona kombinuje, ale mogłaby uprzedzić – tłumaczy mi przez uchyloną szybę. – Znowu będą jakieś jaja.

Nie wiem, czemu wszystkie samochody zatrzymują się przed naszym wjazdem. Czy oni nie mogliby już pomieszkać u siebie? Nie mają dość? Ojciec też tutaj jest – ten to ma tupet! Zanim Malice udaje się wejść do środka, wielka rozsuwana brama otwiera się powoli ze zgrzytem. Na podwórzu stoi Samira, dźwigając dwie pękate walizy. Obok niej młody przystojny chłopak trzyma rękę na klamce czerwonego peugeot 206. Zamarli w bezruchu, a ojciec wbiega do środka jak obłąkany.

– Aaaaa, ty suko! – krzyczy, chwytając Samirę za rozpuszczone włosy.

Kulę się na siedzeniu samochodu. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Malika robi krok w tył, jakby chciała się ukryć za na wpół otwartą furtką. Całe towarzystwo zamiera. To takie wyjście z sytuacji znalazła Samira. Oczywiście Malika o wszystkim wiedziała, ale dlaczego nikogo nie wtajemniczyła?

– Ty kurwo! Hańbo naszej rodziny, zakało jedna! – Ojciec ciągnie Samirę za włosy, rzucając ją na boki jak szmacianą lalkę. Dziewczyna pada na kolana i obejmuje głowę rękami. Próbuje chwycić ojca za nogawki spodni, lecz on odsuwa ją na długość swojego ramienia i zaczyna okładać pięściami po twarzy. Chłopak nie reaguje, wytrzeszcza tylko oczy i wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, lecz słowa ugrzęzły mu w gardle.

– Proszę ją zostawić, natychmiast! – w końcu cicho wydusza z siebie.

– Ty zboczeńcu, ty przestępco! – wrzeszczy obłąkany ojciec. – Ja zaraz dzwonię na policję i pójdziesz siedzieć, ty skurwysynu! – Wymachuje w jego kierunku wolną pięścią, nadal ciągnąc Samirę za włosy.

– Zostaw ją, i to już. – Matka podbiega, chcąc ratować córkę. – To ty jesteś zboczeńcem i złym człowiekiem!

Trzask. To nie był policzek, raczej sierpowy. Matce spada chusta, a ona sama leci i uderza głową o marmurowe schody przed domem. Nie rusza się. Ahmed i Malika rzucają się jej na pomoc. W końcu zbieram się na odwagę i wysiadam z samochodu, ale nie wiem, co mam ze sobą począć. Boję się, straszliwie się boję. Za swoimi plecami słyszę ciche pochlipywanie Miriam.

– Morderca, skurwysyn, morderca! – wyje Malika.

– Proszę puścić moją żonę! – mocniejszym głosem mówi chłopak. – Natychmiast! Bo zaraz ja wezwę policję.

– Co, ty łajdaku?! – Rozjuszony ojciec obraca się to w jedną, to w drugą stronę, nie wiedząc, komu teraz zadać cios.

– To, co pan słyszał. Samira jest moją żoną. Wyjeżdżamy.

– A kto wam udzielił ślubu? Jaki jej opiekun wyraził zgodę? He? – wydaje mu się, że triumfuje.

– Mamy oficjalny papier z urzędu. Kontrakt. Wszystko jest zgodne z prawem.

Ojcu oczy wychodzą z orbit. Wydaje się, jakby za chwilę miał go trafić szlag. Samira zalewa się łzami i cicho jęczy.

– Już ja wiem, kto wam to tak pięknie i na czysto załatwił. – W końcu puszcza włosy

Samiry, która pada na ziemię. Teraz odwraca się w kierunku Maliki. – Masz mi coś do powiedzenia, córko?!

Malika dumnie podnosi głowę i patrzy na niego z pogardą. Milczy. Znowu uderzenie na odlew. Co to za potwór! Bije kobiety! Malika jest mocniejsza od matki, lecz siła ciosu musiała być potężna, bo ledwo utrzymuje równowagę.

– Ty skurwielu! – mówi do ojca przez zaciśnięte zęby.

– Do kogo, ty zdziro, tak mówisz?! – Następnym cios, lecz tym razem z pięści i Malika łąduje na ścianie domu. Ociera krew z ust i nosa.

– Może i zdzira, ale korzystałeś z moich kurewskich układów bez umiaru. Wtedy ci to jakoś nie przeszkadzało!

– No!!! – Znow bierze zamach.

– Dość, mówię dość! – Ahmed chwyta go za nadgarstek.

– Co ty, maminy wyskrobku, będziesz mi tutaj rozkazywał?! – Próbuje uwolnić rękę. – Jestem u siebie i będę robił, co mi się podoba.

– Już nie jesteś u siebie – przypomina mu Ahmed, nadal trzymając go w miażdżącym uścisku. – Oficjalnie i na piśmie. I nawet nie jesteś tu mile widziany.

– Ty kanalio!!!

– Wynocha do swojej nory, której nawet za własne pieniądze nie mogłeś sobie urządzić. Za kradzione to zrobiłeś, a kradzione nie tuczy, przekonasz się jeszcze o tym! W imię Boga, zobaczysz! Allah jest sprawiedliwy!

– Ty mnie wyrzucasz z mojego domu?! Aaaaaa! – W ojca wstępują nowe siły i w końcu się uwalnia. Stoi na środku podwórza i ryczy. Garściami wrywa sobie włosy z głowy i bije się pięściami po piersiach i udach. Słyszę trzask otwieranych okiennic w sąsiednich willach. Ale mają przedstawienie.

– To nie jest twój dom, dociera to do ciebie, czy policja musi cię stąd usunąć?!

– Nadal jestem opiekunem twojej kurewskiej matki! Ha! Jak będę chciał, to się tutaj sprowadzę! – Jednak chodzi mu to po głowie.

– Gównu prawda! – Ahmed śmieje mu się prosto w nos.

– Teraz ja tutaj mieszkam i to ja jestem mahramem mojej matki i siostr. – Pogardliwie pokazuje na ojca palcem i wykrzywia usta. – Twoja młodociana wywłoka nigdy się tutaj nie wprowadzi! Ani jej bękarty.

– To potwarz, podam cię do sądu!

– Cóż, musisz sądownie udowodnić, że masz cnotliwą żonę?! Współczucia! Nikt w to nie uwierzy. Ha, ha! – Wszyscy ironicznie się uśmiechają i kiwają z politowaniem głowami.

Oprzytomniała matka z Maliką siedzą na schodach, obejmując się w pół. Obydwie mają twarze umazane krwią.

Ojciec pochyła się i kładzie dłonie na kolanach. Okręca się wokół własnej osi i powoli kieruje do wyjścia. Nareszcie!

– To ty szlajałeś się po Polsce, bo myślałeś, że Allah cię tam nie widzi! I przywiozłeś sobie blond lalę, co dupę i włosy wszystkim pokazuje. Nawet nie trzeba jej prosić, robi to za darmo – krzyczy jeszcze na pożegnanie. – Popamiętasz moje słowa! Twoja żona to kurwa i może rodzić tylko kurewski pomiot!

Ahmed rzuca się i tym razem chyba pobiłby ojca, lecz wszystkie kobiety stają mu na drodze i studzą jego zamiary.

– Nie warto, Ahmed, nie warto brudzić sobie rąk – szepcze matka, pochylając się w jego stronę.

Widzę, jak mąż Miriam z niesmakiem kiwa głową, pakuje dzieci do auta i odjeżdża. Ona

zostaje. Powoli wjeżdżamy na podjazd i stajemy przed wejściem do domu.

– Czegoście się tak pospieszyły?! – Ahmed zwraca się do swoich sióstr. – Czemu nic nie powiedziałaś? – zwraca się bezpośrednio do Maliki.

– Wszystko przecież od dawna było przygotowane. Akt kupiłam rok temu, na wszelki wypadek, ale dzisiaj rano Samira podsłuchiwała telefoniczną rozmowę ojca, który obiecywał zaręczyny już teraz. A może zaręczyny i od razu ślub?! Kto go tam wie? – Malika spluwa siarczyście przez ramię.

– Kogo podałaś za opiekuna? – chce wiedzieć Ahmed.

– Ciebie – śmieje się ze swojego fortelu. – O wszystkim pomyślałam: lewe zaświadczenie ze szpitala, że ojciec jest chory, chyba sobie robił lifting jąder, żeby mu lepiej pracowały przy młodej żonce, twoje oświadczenie o gotowości opieki...

– Przecież byłem wtedy w Polsce!

– No to co?! Chwilowo nieobecny, a że chwila trwała ponad dziesięć lat, to kogo to obchodzi. Czas szybko leci, a podpis masz idiotycznie prosty.

– Aż wy, cholery! – mówi żartobliwie Ahmed, próbując objąć ślaniającą się na nogach Samirę i wprowadzić ją do salonu.

Wchodzimy do środka. Jest cudownie chłodno i panuje przyjemny półmrok. Zapalamy jedynie małe kinkiety, parę świec i kadzidła. Wszyscy rozsiadamy się wygodnie i głęboko oddychamy. Samira jeszcze się trzęsie i trzyma kurczowo za rękę swojego męża. On gładzi jej obolałą głowę, którą złożyła mu na ramieniu. Malika przytula się do Muaida, swojego syna z nieprawego łoża, matka z Chadidżą i Miriam usiadły razem na jednej małej sofie i przytulają się do siebie. Po raz pierwszy widzę, żeby członkowie tej rodziny okazywali sobie czułość. Ahmed, teraz pan domu, obejmuje mnie ramieniem i obserwuje całą poszkodowaną gromadkę.

– Może mamy coś na specjalne okazje?! – pyta, figlarnie podnosząc brwi do góry.

– No pewnie. – Po raz pierwszy widzę szczery uśmiech na ustach matki.

Miriam stawia przed każdym piękny kryształowy kieliszek, sypie do srebrnych miseczek orzechy i chipsy i idzie do kuchni pogonić Matyldę w przygotowywaniu kolacji.

Matka przynosi litrową butlę z ciemnego brązowego szkła, bez etykiety, i oddaje ją w ręce Ahmeda, który rozlewa rubinowy nektar do kieliszków. Czuję zapach wytrawnego wina i ślinka napływa mi do ust. Tak głębokiej i wyrazistej barwy jeszcze nie widziałam. Nie ma toastów, choć wszyscy wznoszą puchary do góry, patrząc sobie głęboko w oczy. Oni wiedzą, czego sobie życzyć i nie muszą tego wypowiadać. Muaid zapala papierosa, który nie pachnie tytoniem, Ahmed bierze od niego parę sztuków, Miriam i ja też palimy.

Czuję przyjemny szum w głowie i po raz pierwszy w tym domu naprawdę się relaksuję. Nie myślę o jutrzejszym dniu i możliwych dalszych komplikacjach. Cieszę się, że Samira odroczyła swój wyrok, i jak Bóg da, może zagrożenie całkowicie zniknie. Teraz wszystko zależy od posunięć ojca. Czy będzie chciał wywlekać rodzinne brudy na widok publiczny, czy jest na tyle podłym człowiekiem? Przyszłość nadal jest niepewna, ale teraz przynajmniej wiem, że w trudnych chwilach tworzy się tutaj rodzinny front, na którym można polegać, i to dodaje otuchy.

Fitness

Co sływać? – Malika dzwoni z samego rana, wrywając mnie z głębokiego snu. – Jak się masz? Jak zdrowie? A co z Marysią? – zadaje typowe pytania na przywitanie.

– W porządku, dzięki – usiłuję mówić w miarę przytomnie, bo znów wyśmiej moje lenistwo i nieróbstwo.

– No to budź się już, dziewczyno. – Jej nie da się oszukać.

– Nie śpię, tylko ta pogoda, cały czas jestem nieprzytomna.

Rzeczywiście od naszego ostatniego spotkania nastąpiło załamanie aury. Mimo że lato w pełni, w dzień nie ma słońca, a gęste chmury zakrywają niebo, co nie znaczy, że zrobiło się choć trochę chłodniej, wręcz przeciwnie. Upał jeszcze się wzmógł – nie mogę zrozumieć tej anomalii.

– No tak – ze zrozumieniem mówi Malika. – To twoje pierwsze zetknięcie z *gibli*, wiatrem z pustyni. Ale nie martw się, za parę dni odpuści, czuję to w kościach – śmieje się serdecznie. – Teraz już przestań rozczulać się nad sobą, wypij kawę i poruszaj się trochę, to zaraz staniesz na nogi. Słuchaj, Ahmed prosił, żebym się tobą trochę zajęła, bo gnuśniejesz.

– Poważnie, on...

– No pewnie. Choć może rzadko się widujecie, to przecież wie, co się z tobą dzieje. Długo tak nie pociągniesz, przynajmniej nie przy zdrowych zmysłach.

– To jaki masz pomysł? – pytam ciekawa, co też dla mnie wymyślili.

– Mówiłam ci, że chodzę do fitness klubu. Dla ciebie to ostatni dzwonek, żeby nie utuczyć się do monstrualnych rozmiarów. Mój brat nie lubi tłustych bab.

– Miałabym tam z tobą chodzić? – dziwię się. – Po pierwsze, nie ćwiczę od niepamiętnych czasów i chyba umarłabym na aerobiku, a po drugie...

– Trening czyni mistrza. Kto każe ci od razu skakać przez półtorej godziny? Możesz zacząć od czterdziestu minut – złośliwie rechocze. – Dziewczyno, za chwilę nie będziesz w stanie bez zadyszki wejść na drugie piętro, a my nie mamy w planach budowy ruchomych schodów ani windy.

– Miła jesteś, nie ma co! Po drugie – kontynuuję przerwana myśl – nie mam samochodu, więc jak się tam niby mam dostać? Taksówką, która wywiezie mnie nie wiadomo gdzie, czy bussem wypełnionym po brzegi, i to czarnymi robotnikami?

– I ten pretekst odpada. Miriam jeździ do klubu aż nazbyt często, więc będzie cię zabierać ze sobą. Ha! – Malika wszystko już zaplanowała. – Dobrze też, że będzie miała towarzystwo i przestanie się włóczyć nie wiadomo gdzie i nie wiadomo z kim.

– Kolejne tajemnice? Co znowu jest nie tak z Miriam?

– Dzisiaj będzie u ciebie o osiemnastej – lekceważy moje pytanie. – Adidasy masz, weź wodę, a ciuchy na razie ona ci pożyczy. Zaczynacie mieć zbliżony rozmiar.

– Dzięki, Malika, miła jesteś.

– Wiem. – Odwiesza słuchawkę. Po frustrującej rozmowie powoli, noga za nogą, idę do łazienki. Myję się w ślimaczym tempie, bo w końcu podjęłam decyzję obiektywnego spojrzenia na siebie i odwlekam ten moment, ile się da. Później kieruję się do sypialni przed wielkie lustro, które ostatnimi czasy omijałam na odległość. Zrzucam ręcznik i cała naga prawda stoi przede mną w kryształowym odbiciu.

En face, profil, tył i znowu profil, ze wszystkiego chyba najgorszy. Mój nie tak dawno jeszcze płaski brzuch wydał się, jakbym była w ósmym miesiącu ciąży. Wałki i zwisające fałdy skóry przykrywają wzdórek łonowy. Tył jest równie tragiczny. Cellulit na udach, pupa zwisa smętnie. Usiłuję napiąć mięśnie, lecz jakie mięśnie mi zostały po dniach czy miesiącach

przeleżanych w łóżku bądź przed telewizorem. Jeszcze jedna próba – teraz lepiej. Pośladki leniwie podniosły się odrobinę do góry. Jeśli chodzi o biust, to w tym jedynym wypadku nie mogę narzekać. Zawsze miałam mały, tak zwany dziewczęcy, co wpędzało mnie w kompleksy, a teraz, „nagle” zrobiło się co najmniej B. Rzucam się do garderoby i spod sterty walizek wyciągam znieawidzoną wagę, którą Ahmed kupił niedługo po naszym przyjeździe. Może to był jakiś znak od niego, może krępował się powiedzieć mi: nie żryj tyle słodczy. Kurz osiadł na jej powierzchni równą warstwą, bo ani razu z niej nie skorzystałam. Z biciem serca stoję i spoglądam na migające cyferki. Byle nie przekroczyć czerwonej linii, nie czerwona linia, nie sześćdziesiąt kilo! Kiedyś, w okresie dojrzewania, gdy hormony wariowały w moim organizmie, właśnie tyle ważyłam. Później doszłam do siebie i podarłam wszystkie zdjęcia z tego czasu. Wybafuszam oczy. Nie tylko brzuch mam jak w błogosławionym stanie – waga wskazuje na rychłe rozwiązanie. Tyle co teraz ważyłam w ostatnim miesiącu ciąży z Marysią! To już nie jest czerwona linia, tylko dzwony bijące na trwogę!

Siadam na podłodze i zalewam się łzami. Przecież nie jadłam tyle, ile wszyscy dookoła. To niesprawiedliwe! Wycieram nos w rękę, a łzy rozsmazuję po całej twarzy. Robię podsumowanie i stwierdzam, że może nie było tego aż tak dużo, ale za to dziewięćdziesiąt procent to słodczy i fast foody, na które prawie codziennie Ahmed zabierał nas późnym wieczorem. Tak dłużej być nie może! O nie! Malika nie będzie się ze mnie naigrawać!

Podnoszę się z podłogi i jeszcze raz biorę prysznic. Tym razem zimny, na otrzeźwienie. Idę do kuchni po czarny worek i zaczynam chodzić od szafki do szafki, od szuflady do szuflady i zgarniam do niego wszystkie słodkości. Colę i inne gazowane napoje przenoszę do wspólnej lodówki na dole. Stawiam sobie półtoralitrową butelkę z wodą mineralną na stole i zabieram się za porządkowanie.

– Jak wygląda arabski fitness klub? – pytam Miriam, sadowiac się wygodnie w jej zgrabnym małym autku.

– Normalnie. Nigdy nie byłam w innym, więc nie mam porównania. Chodziłaś na aerobik w Polsce?

– Pierwszy raz w czasach liceum. Nauczycielka wuefu, żeby urozmaicić zajęcia, prowadziła czasami aerobik. Popołudniami dorabiała jako trenerka w profesjonalnym klubie i była naprawdę dobra – z rozrzewnieniem wspominam odległe czasy. – A po urodzeniu Marysi krótko, nie było możliwości – kłamię jak z nut, bo nie mam ochoty opowiadać o moich przejściach z jej zazdrosnym bratem.

– Tęsknisz za Polską, za tym innym wolnym życiem? Za przyjaciółmi?

– Ja wiem? Za mamą, choć ona strasznie się wtrącała, bo to nieziemsko uperdliwa, lecz kochająca mnie na zabój kobieta. Podoba mi się tutaj, jest inaczej, ale w porządku. Gdybyśmy mieli swój dom lub mieszkanie, na pewno byłoby nam lepiej. A jakbym jeszcze znalazła pracę, to w ogóle byłoby super.

– A gdzie ty byś mogła pracować? – szczerze dziwi się Miriam. – Musiałabyś podszkolić angielski i arabski, pójść na jakieś kursy, wtedy może Malika by ci coś wymyśliła.

– Też dobry pomysł – cieszy mnie kolejna opcja.

– Też?

– Myślałam o pracy w jakiejś polskiej firmie, chyba są tutaj jakieś? Polska szkoła, ambasada czy coś w tym stylu.

– No, no, same dobre pomysły – w jej głosie słyszę coś niedobrego. – Ahmed wie o twoich planach?

– Cóż, na razie tylko się zastanawiam. – Czuję, że czas zmienić temat. – A ty czemu nie pracujesz?

– Po ślubie ciężko – stwierdza chłodno. – Najpierw przychodzą dzieci, później musi się je odchować, żeby przynajmniej odrosły od ziemi, a w końcu wypada się z branży. – Zaciska usta i wzdycha. – Możliwe, że po ramadanie dostanę coś na pół etatu w firmie naftowej, tej samej, gdzie pracuje Mahmud. Mężowie nie chcą nas puszczać do pracy tam, gdzie jest dużo facetów, lecz niestety w mojej branży przeważnie pracują tylko mężczyźni. Z kreatywnej pani inżynier stanę się asystentką-recepcjonistką, zamkniętą w małej klitce dwa na dwa, ale lepsze to niż siedzenie w domu. To jego firma, jego znajomi, więc miałby wszystko pod kontrolą.

– *Full control* – próbuję rozluźnić atmosferę.

Przypomina mi się Polska i moja rezygnacja z kursu. Zachowanie Ahmeda wydawało mi się śmieszne i absurdalne, ale teraz widzę, że to jakaś choroba. Arabscy mężczyźni ukrywają swoje kobiety jak łup, zdobycz, swoją własność. To dlatego budują tak wysokie mury wokół domów.

– Wracając do tematu, o tej porze jest w miarę nowoczesny fitness. My chodzimy w godzinach przeznaczonych dla cudzoziemców i nielicznych wyzwolonych miejscowych. – Miriam wrywa mnie z przygnębiających rozmyślań. – Malika ma tam jakieś swoje układy.

– Aha. – Czekam na kolejne nowinki.

– Zajęcia dla lokalnych kobiet są od rana do południa – tłumaczy. – Później aż do północy wstęp mają tylko panowie. Nigdy razem. – No tak, teraz już rozumiem, czemu w Polsce Ahmed zezwolił mi na przedpołudniowy aerobik. Czysto libijskie zwyczaje, a ja, głupia, nie miałam zielonego pojęcia, że tak sumiennie nawet tam je kulturował.

– To znaczy, że teraz też będzie tylko płeć piękna, z tym urozmaiceniem, że i zagraniczna? – chcę się upewnić.

– No co ty, mówię, że teraz jest normalnie, nawet trenerzy to faceci. – Miriam brakuje już do mnie cierpliwości.

– Czy mój mąż o tym wie? – pytam, lekko tą sytuacją zaniepokojona.

– Co niby?

– Jaki to typ fitnessu, że mieszany.

– Ja tu tylko robię za kierowcę! – Zdenerwowana macha wymownie rękami. – Rozmawiał z Maliką, rodzinną dyrygentką, i oni już ustalili, co i jak.

Zalega niezręczna cisza, której żadna z nas nie ma ochoty przerwać i już bez słowa jedziemy aż do samego centrum.

Tutejszy klub znajduje się w wielkiej hali sportowej przy bocznej uliczce odchodzącej od jednej z głównych ulic Trypolisu, Omar Mukhtar Street, niedaleko Placu Zielonego. Wchodzi się prosto na recepcję, gdzie siedzi miła młoda Libijka w chuście. Nie mówi ani słowa w żadnym obcym języku i odnoszę wrażenie, że robi za dekorację. Na piętrze z jednej strony znajdują się szatnie, prysznic, toalety i sauna dla pań, z drugiej zaś, w bezpiecznej odległości, dla panów. Podłogi wyłożone są specjalnymi antypoślizgowymi panelami, ściany tak świeże, jakby były malowane wczoraj. Pachnie nie tyle środkami dezynfekującymi, ile lawendą i drzewem sandałowym.

Po przebraniu się schodzimy na parter, gdzie znajduje się serce klubu: wielka siłownia i ogromna sala do aerobiku. Nigdzie nie widzę Maliki, a Miriam zachowuje się dziwnie, zupełnie nie ta sama dziewczyna. W dość ciasnym stroju do ćwiczeń wygląda jak kulka albo mucha w ciąży, lecz pod cienką lycrą rysują się także mięśnie. Muszę przyznać, że widać jej ciężką pracę i jest na dobrej drodze do uzyskania idealnej sylwetki. Omijam wzrokiem lustra, choć jest to praktycznie niemożliwe, bo wszystkie ściany są nimi wyłożone. Z oponką na brzuchu i zwisającymi wałkami tłuszczu wyglądam gorzej od mojej przewodniczki, choć jestem młodsza o co najmniej dziesięć lat i tylko po jednej ciąży. Wstyd! Lecz mówię sobie w duchu, że większym

wstydem będzie, jeśli nie zabiorę się za siebie i nie zmienię tego, do czego się doprowadziłam. Za trzy miesiące wrócę do mojego rozmiaru.

– To nasz trener, Rahman. – Miriam przedstawia mi chyba najważniejszą osobę na sali.

– *Ahlan wa sahan.*

– Podaję mu rękę i czuję mocny uścisk szorstkiej spracowanej dłoni.

– Jakiś czas temu był mistrzem karate na całą Afrykę Północną. Zobaczysz, jak daje popalić.

– To ty będziesz prowadził aerobik? – dziwię się.

– Czemu nie?! – śmieje się serdecznie. – Bardzo lubię tańczyć i uwielbiam różne style walki. Połączyłem to wszystko i daję ludziom w kość. To też lubię.

Miły i skromny facet – wcale nie patrzy na mnie jak na łowną zwierzynę, wręcz przeciwnie, spuszcza wzrok. Nie wiem, czemu Miriam coraz bardziej dygocze, czyżby denerwowała się przed zajęciami. Nagle do sali wparowuje duża głośna grupa Niemców. Wszyscy witają się, obcałowując nawzajem. Niezbyt podobają mi się te czułości, przedstawiam się chłodno i trzymam dystans. Już czas, więc przechodzimy na salę do aerobiku. Każdy zajmuje swoje miejsce, a ja próbuję stać się niewidoczna. Nie przeżyję tego. Nigdy nie byłam dobra w żadnej dyscyplinie sportu, zamiast wysiłku fizycznego wolałam książki, szczególnie romanse, ploteczki z koleżankami w kawiarniach czy cukierniach i popołudniową kawę z mleczkiem i czekoladką z moją mamą. To był nasz słodki rytuał. Jak to możliwe, że wtedy tak nie tyłam?

Wszyscy zaczynają się niecierpliwić, Miriam stoi w drzwiach i prawie przebiera nogami.

– Czemu Rahman nie przychodzi? – pytam, bo przecież czas mija, a on sobie stoi i bez troski rozmawia z jakimiś kolegami.

– A ty co taka niecierpliwa?! – warczy szwagierka. – Masz się tutaj relaksować, prawda?

– Spogląda na mnie przelotnie, a ja widzę obłęd w jej oczach.

– Co się z tobą dzieje, Miriam?

– Dzisiaj nie kolej Rahmana, zajęcia ma ten drugi – mówi, nawet nie odwracając głowy w moim kierunku.

W tym momencie przypominam sobie scenę z naszego powitalnego przyjęcia i kompromitację Miriam na oczach całej rodziny. Amory z mięśniakiem w spranym podkoszulku. To dlatego mnie tutaj ściągnęli! Nie żebym się odchudziła, bo co to kogo obchodzi, moja smukła linia nikomu nie jest potrzebna do szczęścia. O nie! Ja mam tutaj robić za przyzwoitkę! I to dlatego zwykle miła i łagodna Miriam pokazuje dzisiaj pazurki i tak się na mnie wścieka. Ona traktuje mnie jak rodzinnego szpicla. Cóż, trudno. Skoro już tu przyszłam, to tak łatwo nie dam się stąd wykopać. Moje rozmyślenia przerywa zamieszanie przy drzwiach i na salę wpada z szaleńczym okrzykiem oczekiwany przez wszystkich z utęsknieniem trener. Chyba sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż się spodziewałam, bo wbiega razem z Maliką.

– *Hi, everybody* – krzyczy rzeński niczym skowronek instruktor. – No czemu jeszcze muzyka nie gra? Czemu się lenicie? Rooooozgrzewka!!!! – wrzeszczy jak obłąkany.

Wszyscy już są udobruchani i uśmiechają się zadowoleni. Zaczynają podrygiwać w rytm muzyki, a nasz gwiazdor musi się teraz z wszystkimi przywitać. Tu uścisk dłoni, tam przybita piątka, gdzie indziej buziaczek. Szlag mnie za chwilę trafi! Co to za zachowanie?!

Malika zajmuje czołowe miejsce, i to ona zaczyna rozgrzewkę, a ja chyba zaraz pęknię z zazdrości! Miriam totalnie odpływa – podczas przywitalnych uścisków z naszym trenerem mięknie jej kolana. Co jej odbiło?! Może i jest nieźle zbudowany, ale ma wyraz twarzy debila.

– *Hi!* To ty jesteś Blondi? Malika mi mówiła, że na mój aerobik przyjdzie piękna Polka. – Bierze moją dłoń w swoje ręce i głęboko spogląda mi w oczy. Chyba zgłupiał?! – Jak sie maś, kochanie – mówi, a potem rusza na środek sali, ciągnąc mnie za sobą.

Jestem speszona. Czuję, że moje policzki robią się czerwone. W końcu oswobadzam się.

– Stój za mną, bo pierwszy raz będzie ci łatwiej złapać krok i rytm. – Śmieje się od ucha do ucha, oślepiając białymi jak śnieg zębami.

Jeszcze nie zaczęłam podskoków, a już nie mogę złapać tchu. Teraz przynajmniej wiem, w czym tkwi sekret tego libijskiego Don Juana. On po prostu czaruje i uwodzi wszystkie kobiety, stare i młode, wolne i zamężne, garbate i kulawe. Muszę przyznać, że ma w sobie to coś. Miriam patrzy na mnie, jakby chciała mnie utopić w łyżce wody albo poderznąć gardło tępym nożem. Czy ona zgłupiała? Uważa, że każda musi na niego polecieć? Przecież ja jestem mężatką, i to żoną jej brata!!! Idiotka!

Rodzina ustala, że Miriam zawozi mnie do fitness klubu i stamtąd odwozi, a ona, chcąc nie chcąc, musi się do tego dostosować. Nasze stosunki ulegają znacznemu ochłodzeniu. Już nie ma wspólnych pogaduszek, popalania papierosów i zwierzeń. Ja też się trochę odseparowałam od reszty rodziny. Zrezygnowałam z serwowanych we wspólnej kuchni śniadanków z francuskimi rogalikami, arabskimi plackami polanymi miodem i kawą jak ulepek i czarną jak smoła, po której zaczęło mnie już kłuć serce. Teraz lunchy jemy lekkie, na które nawet czasami wpada Ahmed, kolacje owocowe lub warzywne, a jeśli wieczorem wezmę do ust mięso, to tylko rybę. Moja waga spada na łeb na szyję. Niedługo pewnie mogłabym zrezygnować z karkołomnych ćwiczeń, lecz po odzyskaniu formy i kondycji nie chcę tego ponownie zaprzepaścić. Tutaj naprawdę nie ma się gdzie ruszać.

Po miesiącu ostrego reżimu Malika patrzy na mnie z niedowierzaniem, a Miriam omija mnie wzrokiem, szczególnie podczas ćwiczeń, kiedy ja już świetnie daję sobie radę, a ona wciąż ma problemy z wykonaniem pewnych figur. Najgorsze są momenty, kiedy nasz trener obsypuje mnie komplementami. Wtedy widzę w jej oczach szczerą nienawiść, co przyprawia mnie o dreszcz strachu, ale daje też pewną satysfakcję. W końcu jestem typową kobietą i lubię rywalizację.

Nuży mnie przesiadywanie po zajęciach do późna w recepcji klubu i czekanie na Malikę lub Miriam. One zaś beztrudnie, niczym się nie przejmując, gadają z cudzoziemcami, Malika umawia się na jakieś imprezy czy wyjścia, a Miriam chodzi jak w transie za trenerem.

– Weź ją w końcu do domu! – Malika podchodzi do mnie i szepcze mi do ucha. – Ona totalnie zgłupiała! Kompromitacja!

– Przecież nie mogę jej poganiać. To ona mnie tutaj przywozi, a nie na odwrót.

– Miriam! – Malika woła na całą salę. – Blondi jest zmęczona i chce już jechać. Miejsze litość.

– To ty ją zawieź, już skończyłaś – odpowiada niewzruszona.

– Ja mam za chwilę oficjalne przyjęcie. Może ty za mnie tam pójdziesz? Ha?!

Czy one muszą robić przedstawienie na oczach wszystkich? Miriam podchodzi do mnie, bierze pod rękę i wychodzimy. Z szelmowskim uśmiechem odwraca się do siostry i macha jej na pożegnanie.

– Jedziemy z Hamidem na szawormy. Chcesz jechać z nami? – zadaje mi retoryczne pytanie.

– Co?! To może ja wezmę taksówkę. Ahmed i Marysia na mnie czekają.

– Chyba zgłupiałaś! – Miriam śmieje się ironicznie. – Marysia pewnie już dawno śpi, a Ahmed nie wraca wcześniej niż o dziewiątej lub dziesiątej. Nie bądź głupia, to po drodze – namawia mnie już przyjemniejszym tonem. Nie wiem, co mam robić. Miałam tu być przyzwoitką, a teraz daję się wciągnąć w jakieś niebezpieczne gierki.

Zdrada małżeńska

Co ty tu robisz? – dziwię się, widząc Ahmeda wczesnym popołudniem na progu naszej sypialni.

– Ale się ucieszyłaś na mój widok, ho, ho – mówi sarkastycznie. – Przeszkadzam w czymś? To może sobie gdzieś pojedę albo poszwendam się po mieście?

– Nie, nie o to chodzi – tłumaczę, obejmując go za szyję. – Zaraz przyjedzie po mnie Miriam. Dzisiaj mamy aerobik, nie pamiętasz?

– Miriam nie ma dzisiaj czasu, jakiś lekarz czy coś. Ja cię zawiozę.

– Taaa...

– Nie cieszysz się?

– Ale co ty tam będziesz robił przez półtorej godziny? A jeśli nie poczekaś, to jak ja wrócę?

– Zaraz obok mam coś do załatwienia, jakoś zejdzie.

– To świetnie! – teraz już naprawdę się cieszę. – Zobaczysz, jak tam jest fajnie. Może ty zacząłbyś chodzić? Sport jest dobry w każdym wieku – wygłaszam sentencję przeczytaną w jakimś magazynie fitness.

– Uważasz, że ja już jestem takim staruszkim? W każdym wieku, to znaczy nawet w podeszłym.

– No tak, ale do tego momentu mamy jeszcze sporo czasu...

– A może ja nadaję się tylko na rehabilitację? – próbuje się mnie czepiać.

– Ahmed, o co ci chodzi?

– Nic, nic. Szykuj się, bo się spóźnisz. – Odwraca się do mnie plecami, co ma oznaczać: rozmowa skończona.

Coś mnie niepokoi. Ahmed dziwnie się dzisiaj zachowuje, ale nie mam teraz głowy, aby to zgłębiać. Zaraz aerobik i już się cieszę na szaleńcze skoki i wygibasy w rytm muzyki. Rekompensuje mi to trochę brak potańcówek i dyskotek.

Wrzucam rzeczy do torby i nagle orientuję się, że ostatnio wychodząc z klubu, Miriam zabrała moje adidas do swojego plecaka. Było już bardzo późno i widocznie nie myślała, co robi, a ja stwierdziłam, że i tak zawsze jeździmy razem.

– Ahmed, pędzę do Miriam, bo spakowała do siebie moje buty, a ja nie mam drugiej pary. Oby ktoś był w domu, ale na wszelki wypadek wezmę zapasowe klucze, torbę zawsze trzyma w przedpokoju, tak że znajdę. Jestem za pięć minut. – Lecę jak po ogień, bo w zasadzie już jestem spóźniona. Szlag by to trafił! Od frontu zamknięte, idę więc od strony tarasu i drzwi kuchennych. Jakieś światełko migocze w środku. Otwieram drzwi i po cichu wchodzę. Dobrze, że świeci się mała lampka, bo nie znając rozkładu mieszkania, mogłabym coś potłuc i pouszkadzać sprzęty. Idę na palcach w stronę korytarza.

– Dlaczego tak musi być? – nagle dochodzi do moich uszu całkowicie zmieniony głos Miriam. – Hamid, powiedz! Dłużej tego nie wytrzymam!

– Takie mam szczęście – odpowiada mężczyzna. – Jak już się zakocham w kobiecie, to ona jest zajęta. – O nie! W co ja wdepnęłam? Jak stąd niepostrzeżenie uciec? Powiedzieć coś Ahmedowi czy Malice? Może lepiej nabrać wody w usta. Babska ciekawość pcha mnie jednak w stronę uchylonych drzwi. Wstrzymuję oddech.

– Ta sytuacja może się zmienić. Wszystko zależy od nas. – Widzę nagie ramię Miriam obejmujące umięśniony śniady tors trenera. Leżą na sofie w salonie, kpiąc sobie z możliwości przyłapania.

– Co ty, kobieto, możesz? Tutaj obowiązuje wielowiekowa tradycja – mówi z lekkim lekceważeniem i zniecierpliwieniem.

– Przecież istnieje coś takiego jak sądy, rozwody.

– Daj spokój! – Wyczuwam lekki niepokój w głosie naszego macho. – Chcesz kłopotów? Już i tak dość komplikujemy sobie życie i narażamy się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Jakby teraz wparował tutaj twój mąż i nas zabił, dostałby maksymalnie pięć, może siedem lat więzienia. Zbrodnia w afekcie, niewierna żona – mówi to z autentyczną złością, jakby to on był tym rogakzem. – Wiesz, po ilu by wyszedł na wolność? Góra po roku. A gdyby uznano to za fatwę, to jeszcze wszyscy by go wyściskali i szanowali do końca jego dni. Wiem coś o tym, bo mój kuzyn jest prawnikiem. Takie tradycyjne wyroki są całkiem częste.

– Ale na razie Mahmud jest na pustyni, a my jeszcze żyjemy i chcemy być razem. – Obawiam się, że nie jest to opinia obustronna, a biedna Miriam jest totalnie zaślepią. – Trzeba więc działać! Mam w nosie pogardę otoczenia, ból i cierpienie, bo nie będzie większego niż obecne, kiedy nie mogę się z tobą widywać, nie możemy razem nigdzie się pokazać. Ukrywamy się jak zbiegowie! – wykrzykuje z drżeniem w głosie.

– Nie. Jak przestępcy – po raz pierwszy słyszę, żeby ten mężczyzna mówił coś na poważnie. – Jesteśmy nimi w oczach naszego prawa i w oczach Boga.

– Nie mów tak! Trzeba to zmienić, musimy mieć na tyle odwagi.

– A co z twoimi dziećmi? – używa mocnych argumentów, tak jakby chciał ją zniechęcić do podejmowania jakichkolwiek kroków. Jemu, choć sytuacja nie jest bezpieczna, zapewne dobrze w obecnym układzie.

– Dziećmi bardzo dobrze zajmuje się moja mama...

– Gdzie ty, kobieto, żyjesz, do jasnej cholery! – Słyszę jego nerwowe kroki, więc wciskam się w cień za drzwiami. – Muszę już iść – mówi oschle i powoli się ubiera.

– Nie, nie, kochanie! – błaga Miriam. – Przygotowałam pyszną kolację, wszystko, co lubisz. – Klęka przed nim i kładzie mu głowę na kolanach. – Już nie będziemy się zajmować takimi głupotami. – Rozpina mu spodnie. – Cieszymy się tym, co mamy, dobrze?

Widzę, jak poddańczo patrzy w oczy temu płytkiemu człowieczkowi, który bezczelnie ją wykorzystuje. On jeszcze udaje, że się broni, że nie chce tego wszystkiego, kiedy Miriam pochyla głowę nad jego męskością i słyszę odgłosy ssania i jęk rozkoszy. Czuję ciepło w dole brzucha i straszliwe podniecenie. Nie mogę wykonać najmniejszego ruchu, ale też wiem, że nie powinnam się tutaj znajdować. Po chwili Hamid sadza Miriam na swoim napęczniałym, wielkim penisie i zaczynają ostrą jazdę. Jej duże piersi kołyszają się w górę i w dół, a on chwytą je w swoje dłonie i mocno ściska, aż stają się sine. Gryzie jej brodawki, a Miriam wydaje z siebie jęk, drapie jego plecy, zlizuje pot z szyi, ssie swoje palce. Jej pośladki głośno uderzają o jego uda. Ruchy stają się jeszcze gwałtowniejsze, a z jego gardła wydobywa się charkot. Bujne długie włosy Miriam przyklejają się do jej nagich spoconych pleców. Po chwili mężczyzna podnosi ją jak piórko, stawia przy sofie i atakuje od tyłu, wbijając się w nią z furią i całą swoją samczą siłą. Miriam ledwie trzyma się na nogach i nie tyle krzyczy z uniesienia, ile spazmatycznie wyje.

– *Jalla, baby, jalla.*

– Hamid klepie ją po nagiej miękkiej pupie.

Na koniec padają na dywan i jeszcze przez chwilę kotłują się jak zwierzęta, gryząc nawzajem, drapiąc i wydając nieartykułowane dźwięki. Wywracają przy tym sprzęty i są niesamowicie głośni. Jest to idealny moment na ucieczkę, bo teraz z pewnością niczego nie zauważą, nic nie byłoby w stanie im przeszkodzić. Biegając do wyjścia, słyszę brzęk rozbijanego szkła.

– Co tam robiłaś tyle czasu? – pyta Ahmed, siedząc w samochodzie na podjeździe.

– Nikogo nie zastałam – kłamię jak z nut. – Niestety, nie znalazłam adidasów, ale wejść w tych trampkach, co mam. Jeden raz może nikt nie zauważy.

Wsiadam do auta i czuję wypieki palące moją twarz, nie mogę uspokoić serca i zmysłów.

– Masz gorączkę? Dlaczego jesteś taka czerwona?

– Biegłam, spieszyłam się – mówię, wsadzając trzęsące się ręce między uda.

– No, nie wiem. – Kręci głową z niedowierzaniem.

Wszystko opóźnia się na tyle, że kiedy wchodzę, większość uczestników zajęć okupuje recepcję, pytając o trenerów. Oczywiście nikt nic nie wie, a najmniej panienka za ladą.

– Przyjdzie któryś w końcu, czy nie? My tu przecież tracimy czas!

W odpowiedzi dostają tylko miły bezrozumny uśmiezek. – *Insz Allah.*

– Najlepsza odpowiedź. Jeśli Bóg da, to któryś przyjdzie.

Śmieję się, gdy widzę rosnące zdenerwowanie cudzoziemców, którzy nie potrafią zrozumieć i zaakceptować takiego podejścia.

– Cześć, Docia. – W końcu mnie zauważyli. – Widziałaś coś podobnego?! Już pół godziny po czasie, a trenera nie ma! Żaden skurczybyk nawet nie zadzwonił! – Podchodzą do mnie i zaczynają się uściski i pocałunki, do których już trochę przywykłam.

Hamid raczej nie dotrze – chciałabym powiedzieć, ale robię tylko zabawną minę.

W tym momencie z hukiem otwierają się drzwi i wbiega Rahman.

– Sorrrrry – krzyczy. – Już na salę, co wy tutaj jeszcze robicie?!

Wszyscy zapominają o zdenerwowaniu i ruszają pędem do środka. Chciałam jeszcze zamienić słowo z Ahmedem, który stoi przy wejściu jak słup soli, lecz nagle Rahman chwytą mnie wpół i niosąc pod pachą, biegnie za pozostałymi. Piszczę i wierzgam nogami, czując się jak nastolatka z liceum. W ostatniej chwili zauważam stalowe spojrzenie mojego męża i jego zaciśnięte wargi.

– Jak tam się bawiłaś? – Ahmed stoi w tym samym miejscu, gdzie go zostawiłam.

– Świetnie, spociałam się jak nigdy.

– Można już jaśnie panią odwieźć do domu?

– Pewnie, dzięki, że czekałeś. – Czuję się tak zrelaksowana i szczęśliwa, że nie docierają do mnie żadne złośliwości.

– Nie ma sprawy – mówi przez zaciśnięte zęby.

– Co ci jest? – pytam z uśmiechem, biorąc go pod rękę, jednak on odpycha mnie i pędzi przodem.

– Miałaś już chyba dość czułości jak na jeden wieczór – warczy, otwierając samochód.

– No co ty?! O co ci chodzi?

– O nic. – Rusza z piskiem opon.

– Ahmed, co się stało? Co cię ugryzło? – Przysuwam się do niego, usiłując położyć mu głowę na ramieniu i chwycić za rękę.

– Daj mi spokój! – krzyczy. – Teraz wiem, czemu tak pędzisz na ten fitness. Ścierwo!

– Co ty, do cholery, wygadujesz!? O co ci chodzi? O to, że przywitałam się z ludźmi? Takie tu panują zwyczaje! – krzyczę w jego stronę, żeby dobrze usłyszał.

– Ładne mi zwyczaje! Ha! – śmieje się ironicznie.

– Malika i Miriam też tutaj chodzą, twoje siostry, i też całują się z wszystkimi na przywitanie!

– Malika jest tutaj służbowo...

– Jak to służbowo? – Nic nie rozumiem. – Przecież ona pracuje w ministerstwie, a nie jako prezes klubu sportowego.

– Tak to! – krzyczy, obracając rozzłoszczoną twarz w moją stronę.

– Chcę wiedzieć! W końcu powiedzcie coś normalnie, otwarcie! – nie daję za wygraną, bo mam już dość tutejszych intryg i manipulacji.

– Przychodzą tutaj cudzoziemcy, którzy nota bene bardzo ciebie rajcują! Malika pracuje w ministerstwie spraw zagranicznych, więc tacy ludzie interesują ją zawodowo, zwłaszcza ci dłużej przebywający w naszym kraju. W końcu dotarło?!

– Miriam też tutaj ćwicz. Jest Arabką, a jej mąż na to pozwala – podaję ostateczny argument, choć chyba nie najtrafniejszy.

– Nie żartuj sobie. – Ahmed wygina z pogardą usta. – Ona właśnie jest dowodem na to, że nasze kobiety nie powinny chodzić do takich miejsc. I nie udawaj znowu idiotki! – Uderza ręką w kierownicę, aż samochód niebezpiecznie skręca. – Przestań robić z siebie blond kretynekę, bo to mnie najbardziej wkurwia!

– Ahmed, czy ty nie widzisz, że jesteś śmieszny? – Patrę na niego z pogardą i całkowitym opanowaniem. – Jesteś żalony.

– Ja jestem śmieszny?! Ty zdiro! – Uderza mnie na odlew w policzek.

– Za co, do cholery, za co? – pytam zszokowana.

– Ja tam stałem jak kretynek, a jakaś banda Niemców się z tobą obcisciwała, a na koniec jakiś Arab nosił cię na rękach! Moją żonę, na moich oczach! Hańba! *Haram, haram!!!* – Oślaniam się przed drugim uderzeniem.

– Przecież widziałeś, że się wyrывałam. Nie chciałam tego, nie nadstawiałam się, nie prosiłam! – tłumaczę, bo w końcu do mnie dotarło, co się kroi i zrozumiałam, że jest źle. – Czemu jesteś zazdrosny bez powodu. Mnie by w życiu nawet do głowy nie przyszło... Ahmed...

– Zaczynam cichutko płakać. Tak dobrze się tam czuję, taka jestem zrelaksowana, a teraz oskarża się mnie o jakieś łajdactwa. – Przecież wiesz, że to nie w moim stylu. Znasz mnie. – Pochlipuję żałośnie.

– Teraz już nic nie wiem. Zraniłaś mnie i skompromitowałaś – mówi przez zaciśnięte zęby.

– Tak chcę chodzić na aerobik, to pozwala mi przetrwać. Wiesz, że nie mam żadnych koleżanek, nigdzie nie wychodzę, nie pracuję. Mam się pogrzebać żywcem?! – Kładę głowę na kolanach, nie mogę pohamować ogarniającej mnie rozpacz. Nie chce mi się żyć. To już koniec. – Sam to przecież wymyśliłeś... – używam ostatecznego argumentu.

– Widać nie wiedziałem, co robię.

Po ostatnim feralnym wyjściu do klubu nie zamieniliśmy z Ahmedem ani słowa. Następnym razem Miriam jak zwykle podjeżdża po mnie samochodem, a ja, nie pytając nikogo o zgodę, pakuję rzeczy i wychodzę. Przez całą drogę za wyjątkiem cześć i jak się masz, czyli rutynowego przywitania, nie mamy ochoty ze sobą rozmawiać. Ja straciłam do niej szacunek, ona chyba też nie darzy mnie już sympatią.

Mijają dni. Samira nadal mieszka z nami, a jej niby-mąż u siebie. Ambitna dziewczyna całymi dniami się uczy, ponieważ koniecznie chce dostać stypendium. Z taką opiekunką i sponsorką jak Malika jest to możliwe. Matki i Chadidży prawie nie widuję. Całymi dniami opiekują się dziećmi Miriam, Marysią i jeszcze jakimiś z sąsiedztwa, bo zawsze widuję na podwórku przynajmniej dziesięcioro dzieciaków. Malika również ostygła w swoich koleżeńskich porywach, ale nie wiem, czy ma to jakiś związek z fitnesssem, czy z jej zmiennym charakterem.

Dalej uczę się arabskiego. Już nawet jestem w stanie przeczytać gazetę z ogłoszeniami i co nieco w babskich pismach. Po długiej wewnętrznej walce zbliżyłam się też do komputera i pomimo fatalnego połączenia czatuję teraz w Internecie, jednak nie w celu nawiązania atrakcyjnych znajomości, lecz raczej znalezienia tutaj Polaków i jakiegokolwiek pracy. Samira całkowicie zapomniała o obiecanej mi pomocy, a ja sama boję się teraz wszystkiego. Poza tym

nie mam środka transportu, a Ahmeda o nic nie chcę prosić. Zupełnie wyleciała nam z głowy idea przeniesienia się na farmę. W obecnej sytuacji nie wyobrażam sobie tego, byłoby to już całkowite więzienie.

Pewnej nocy budzi mnie jakiś ruch i spostrzegam, że Ahmeda nie ma, choć jego miejsce jest jeszcze ciepłe. Gdzie on tak chodzi po ciemku? Poczekam chwilę, może pod osłoną nocy łatwiej nam będzie przełamać lody i znów zbliżyć się do siebie. Nadal tego chcę i na to liczę, bo przecież taki drobny incydent nie może rozbić małżeństwa, przeszliśmy o wiele gorsze rzeczy. Leżę dłuższą chwilę. W końcu zaczynam się niepokoić i postanawiam sprawdzić, co się dzieje. Może zwyczajnie przyrządza sobie jakieś smakołyki w matczynej kuchni albo ogląda ciekawy film na dole w salonie? Z chęcią mu potowarzyszę, bo ta samotność zaczyna mi doskwierać. Idę po ciemku, żeby nikogo nie obudzić. Wodzę ręką po ścianie wzdłuż schodów, lecz jakieś słabe światelko zaczyna powoli rozpraszać mrok. Dochodzi zza na wpół przymkniętych drzwi spiżarni. A nie mówiłam, że łasuchuje! Przyłapię go na gorącym uczynku – uśmiecham się pod nosem. Gdy jestem już blisko, słyszę dochodzące ze spiżarni przytłumione odgłosy. Nie jest sam...

– Hmeda, nie, proszę cię – słyszę błagalny szept Samiry. – To dawno minęło, to przeszłość, teraz jestem dorosłą kobietą, chcę wyjść za mąż... W zasadzie już jestem mężatką... Chcę mieć dzieci...

– Czy ktoś ci zabrania? – dziwnym głosem odpowiada mój mąż. – Niczego ci nie ubędzie, przecież robiliśmy to nie raz.

Wstrzymuję oddech i zamieram w bezruchu. O czym on mówi?

– Ale ja już nie chcę, nie mogę – w jej błaganiu słyszę rozpacz.

– Nie wydziwiał, obracaj się, i to już – natarczywie żąda. – Mówię do ciebie! – nakazuje przez zaciśnięte zęby.

– Ja będę chora, byłam chora z tego powodu. – Samira tłumaczy się, szlochając. – Zostaw mnie, do cholery, masz przecież żonę! Czego ty jeszcze ode mnie chcesz!

– Twojej dupci, siostrzyczko.

– Cała rodzina złożyła się na to twoje pieprzone stypendium do Polski, żebyś tylko w końcu wyjechał i zostawił mnie w spokoju!

– Pewnie, pewnie...

– Chcesz mnie zajechać na śmierć!? – krzyczy, lecz jej głos zostaje stłumiony.

Nie mogę uwierzyć własnym uszom i na palcach przybliżam się do szczeliny w drzwiach. Widzę mojego męża, który stojąc na ugiętych nogach wchodzi od tyłu w swoją siostrę, przygniecioną jego ciałem do starego drewnianego stołu. Odchyła się, macza rękę w stojącej obok beczce z oliwą, smaruje siebie i ponawia próbę. Wydaje przy tym zwierzęce, nieartykułowane dźwięki. Dziewczyna z rozrzuconymi długimi włosami próbuje się bronić, lecz jej ręce nie sięgają jego torsu, a szczupłe nogi, nie znajdując oparcia, konwulsyjnie drżą w powietrzu.

– Aaaa... – słyszę jej płacz, który przypomina żaloszny skowyt.

– O dobrze, tak dobrze, to rozumiem. – Ahmed dochodzi. – Grzeczna dziewczynka, o tak.

– Głaszczcie ją tłustą ręką po bujnych czarnych włosach.

Jeszcze gwałtowne ostatnie pchnięcie i całym ciężarem pada na delikatne ciało Samiry. Po chwili zadowolony wychodzi z niej i nadal pochylając się nad stołem, sięga do beczki z oliwą. Wyławia z niej jeden czarny owoc i ze smakiem zjada. Nie czekając, aż zostanie przyłapaną, jak szalona rzucam się biegiem na górę. Serce dudni mi w piersi i nie mogę zebrać myśli. Wbiegam do sypialni, wskakuję do łóżka, nakrywam się cała włącznie z głową i drętwieję z przerażenia i obrzydzenia. Ta sytuacja mnie przerasta. Wszystkiego bym się mogła po nim spodziewać, ale nie czegoś takiego... Choć w zasadzie dlaczego nie? Mój Boże! Czy ja go w ogóle znam? Teraz

czuwać co noc i prawie każdej słyszę ciche skradanie się mojego męża, który znika na godzinę lub dłużej. Oczywiście nie pytam go o nic i udaję, że śpię. Za dnia chodzę jak struta i omijam go wzrokiem, bo nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy. To zaczęło się przed jego wyjazdem do Polski. Ale teraz, tak jak mówi Samira, ma mnie, żonę, z którą też mógłby znaleźć rozkosz. Już mu się nie podobam, nie pożąda mnie, postarzałam się, utylam, spowszedniałam... Kiedy to do mnie dochodzi, jest mi jeszcze bardziej smutno. Po co ja się zgodziłam tutaj zostać, co ja teraz zrobię? Co za pazerna idiotka ze mnie! Napaliłam się na farmę, myślałam, że będę panią na włościach. A tu co? – gównu zawinięte w piękny kolorowy papierek, gównu, w które sama wdepnęłam, i to na własną prośbę.

Po kolejnej nieprzespanej nocy wczesnym rankiem wychodzę odetchnąć świeżym powietrzem do ogrodu. W cieniu w kącie, przy długim kamiennym stole, zauważam Samirę. Chwilę się waham, lecz w końcu kieruję się w jej stronę. Dziewczyna siedzi na miękkim plażowym fotelu. Na kolanach trzyma grubą książkę, lecz jej wzrok błądzi w próżni. Kiepsko wygląda – twarz popielata bez śladu zwykłego u niej rumieńca i zapuchnięte oczy. Włosy uczesała na gładko i upięła w skromny kok. Jak na nią, ubrana jest nietypowo – nie nowocześnie po europejsku, lecz w tradycyjną szarą długą arabską suknię. Wygląda jak zakonnica czy ascetka. Niemoc wyziera z całej jej postaci.

– Cześć, Samirka. – Jest mi jej niezmiernie żal i wstydę się za mojego męża.

– Blondi – mówi słabym głosem.

Przysiadam przy niej i biorę jej lodowatą dłoń w swoje ręce. Patrzymy sobie głęboko w oczy; ona jak zaszczuta, śmiertelnie zraniona zwierzyzna, ja ze smutkiem i litością. Rozumiemy się bez słów. Milczenie nam nie ciąży, wspieramy się uściskiem dłoni i swoją bliskością. Dwie nieszczęsne kobiety, obie w sytuacji bez wyjścia.

– *Salam* wszystkim. – Jak bomba do ogrodu wpada Malika.

Badawczo lustruje nas wzrokiem. Staje przed nami i zaciska usta, następnie delikatnie i z czułością, jak matka, gładzi Samirę po włosach. Na koniec podnosi za podbródek jej twarz do góry i ze smutkiem i boleścią wpatruje się w jej wymizerowaną buzię.

– Dobra – mówi po chwili, opierając obie ręce na stole. – Samira musi się przygotowywać do obrony, a jako że tutaj nie ma możliwości ani warunków, zabieram ją do siebie.

Biorę głęboki wdech i ze zdziwieniem kiwam głową.

– Coś nie tak, Blondi?

– Wszystko okej. Idealne rozwiązanie.

– Powiedzmy sobie szczerze: tymczasowe. – Obraca się na pięcie i pędzi w kierunku domu. – No, ruchy, dziewczyny! Pakujemy się. Czas nagli.

W jednej chwili rzucamy się za Maliką i bez zbędnych słów chwytamy się ostatniej deski ratunku. W ciągu pięciu minut wszystkie rzeczy są już w pudłach i walizach w bagażniku eleganckiego rządowego wozu.

– Teraz ty się trzymaj, mała Blondi – słyszę na pożegnanie z ust Samiry.

– Takie życie. – Malika z goryczą wykrzywia wargi. – Damy radę, co, Dot? – Nie czekając na odpowiedź, wsiada do auta i rusza, a ja zostaję sama w tumanie kurzu.

Po tej rodzinnej interwencji, jeszcze tego samego dnia, Ahmed pakuje się i wyjeżdża. Nie wiadomo dokąd ani na jak długo. W końcu on nikomu nie musi się tłumaczyć ani prosić o pozwolenie.

– Cześć, Blondi – słyszę w słuchawce poważny głos Maliki. Co się stało, że sobie o mnie przypomniała?

– No co tam? – pytam niezbyt zachęcająco.

– Jestem u Miriam, zajrzysz?

– A do czego jestem wam potrzebna?
– A masz coś innego do roboty? – pyta ostro. – Nie chcesz, to nie, siedź w domu. –
Odwiesza słuchawkę.

Co to za ton, do cholery. Jeśli ma zamiar traktować mnie jak Matyldę, to jej się to nie uda. Nerwowo kręcę się po mieszkaniu i nie mogę sobie znaleźć miejsca. Może coś się stało, może mnie potrzebują?

Przemykam truchcikiem pod ścianami budynków i wysokimi murami ogrodzeń i po chwili jestem już na miejscu. Otwieram drzwi i z impetem wpadam do domu Miriam.

– Cześć, dziewczyny! – krzyczę od progu. – Gdzie jesteście?

– Tutaj, tutaj. – Malika mówi przytłumionym głosem, wychodząc mi naprzeciw. Widzę krew na jej rękach i eleganckiej spódnicy.

– Chryste Panie, co się stało?! – pytam zszokowana.

– Mały wypadek przy pracy – odpowiada, wbijając oczy w podłogę. – Możesz przy niej chwilę posiedzieć? Jest w sypialni. Ja pojadę kupić resztę niezbędnych rzeczy.

Przechodzę przez zaciemniony wielki salon i wspinam się po schodach na górę. Dzieci oczywiście nie ma – są w szkole albo u matki. Dom ziej pustką, pachnie tu teraz lekami i środkami dezynfekującymi. Wchodzę do pokoju i widzę Miriam leżącą na łóżku z bladą, ściągniętą bólem twarzą. Podchodzę na palcach i siadam obok niej. Delikatnie biorę jej rękę, lodowatą i wilgotną od potu. Biedna dziewczyna.

– Chcę umrzeć – słyszę jej szept.

– Co ty mówisz, wszystko będzie dobrze – pocieszam ją, choć nie mam pojęcia, co tutaj zaszło.

– Malika mnie zniszczy...

– Tak, teraz zła Malika – słychać syk zza drzwi. – Tyłek ci ratuję, ale ty uważasz, że pragnę twojej zguby! Boże, *Wallahi*, naprawdę nic nie warto robić dla tej rodziny! – bez skrpułów wrzeszczy na biedną chorą.

– Sama też dałabym sobie radę, prosiłam cię tylko o podwiezienie. – Miriam ożywia się i podpierając na łokciu, usiłuje się podnieść.

– Ładnie byś sobie poradziła! Ha! Całe mieszkanie było we krwi. – Teraz zauważam kroplówkę wiszącą na stelażu po drugiej stronie łóżka.

– Poroniłam i zabieg zrobiono by mi w każdej klinice.

– Taaak!? – ryczy Malika, teatralnie wymachując rękami. One nawet na łożu śmierci potrafią urządzić karczemne awantury. Nie do zniesienia.

– Dziewczyny, dajcie spokój – proszę przyciszonym głosem.

– *Shut up!* – krzyczą zgodnie, obracając głowy w moim kierunku.

– Ta głupia dziwka, moja siostra – Malika kontynuuje, wtajemniczając mnie w szczegóły – uważa, że mogłaby pojechać na skrobankę do każdego szpitala ...

– To nie była skrobanka! Nigdy w życiu nie pozbyłabym się tego dziecka!

– Czyszczenie po poronieniu nie jest niczym innym jak skrobanką, dziecinko! A do śmierci tego ukochanego dzidziusia doprowadził twój kochaś, pieprząc cię bez umiaru.

– Ty...

– Ja wiem, co mówię! Dobrze, że spojrzałam w twoje krocze, zanim cię wsadziłam do auta! Było tam więcej spermy niż resztek nieszczonego dzieciaka.

– Bzdury! – Miriam nadal próbuje się bronić, lecz osłabiona pada na poduszki.

– Jedziesz do rejonowego szpitala w jednym z tradycyjnych krajów muzułmańskich i rozkraczasz się przed pierwszym lepszym ginekologiem. Nawet największy konował powie ci, że jeśli byłaś w ciąży, to nie należało się rznąć jak bura suka. Włącznie z seksem analnym. Zaraz też

będzie chciał wezwać na rozmowę edukacyjną twojego kochanego męża, bo przecież pani jest mężatką, i uświadomić go, żeby niegrzeczny chłopczyk już więcej tak nie robił.

– Daj spokój! – Miriam próbuje przerwać żenującą opowieść Maliki.

– Och! – kontynuuje bezlitosna siostra. – A gdzież to szanowny małżonek? Nie ma go? Od miesiąca nie było go w domu? To któż miłą panią, cnotliwą żonkę, tak wczoraj wybywał?

Nogi mi miękną i wydaje mi się, że zaraz zemdleję. Malika naprawdę ma jaja. Oby zawsze stała po mojej stronie.

– Ja od mojego męża i tak odchodzę – informuje nas Miriam zapłakany głosem.

– A mogłabyś mi powiedzieć, dokąd? – Malika siada w nogach łóżka, bo nawet dla niej jest już tego za dużo.

– Nie wiem dokąd, ale wiem z kim.

– Aaaa, twoje mrzonki znają wszyscy. To tajemnica poliszynela. Kompromitujesz nie tylko siebie, ale i całą rodzinę! – znów podnosi głos.

– To już przeszłość! Teraz wszystko się zmieni...

– Co? Zostawisz rodzinę, dzieci i pójdziesz za tym złamasem na koniec świata.

– Tak będzie lepiej dla wszystkich. – Jest całkowicie opętana. Należałoby odprawić egzorcyzmy i chyba właśnie Malika zamierza się za to zabrać.

– Ty idiotko! – ryczy, zrywając się na równe nogi. – A ja uważałam, że mam inteligentną i wykształconą siostrę. Kretynka, oślica, tumanica...

– Dość już! – Miriam prawie zrywa się z łóżka i wygląda na to, że za chwilę dojdzie do bijatyki.

– Jak mogłaś pozwolić sobie na romans z największym jebaką w stolicy?! On zalicza wszystko, co mu się nawinie pod rękę. Nie ma szacunku dla kobiet, skoro zabiera się nawet za mężatki, i to Arabki. Dlatego też nikt go nie szanuje, nawet koledzy mówią o nim z pogardą, a rodzina wiele by dała, żeby się go pozbyć. Sami postawili mu dom, urządzili, żeby się tylko od nich wynieść.

– To nieprawda! Jakies nieporozumienie...

– Chyba wiem, co mówię! – ostro stawia sprawę Malika. – A gdy wasz romansik wyjdzie na jaw, to nawet jeśli twój mąż go nie zabije, co byłoby dla dobra ogółu idealnym rozwiązaniem, w najlepszym wypadku twój kochaś wyląduje w rodzinnej wiosce na pustyni! I wtedy będzie mógł już dymać tylko i wyłącznie owce, no... czasami dla osłody wpadnie jakaś kózka.

– Chcesz na niego donieść? – pyta przerażona Miriam.

– Nie! Ty chcesz całe to bagno wywlec na światło dzienne! Ty chcesz doprowadzić do tego wielkiego nieszczęścia! Jestem przekonana, że on usiłuje się z tego wszystkiego wykręcić, choć z drugiej strony tak trudno odmówić zakochanej do szaleństwa kobiecie – mówi ironicznie.

– A jeszcze trudniej odmówić sobie darmowego jebanka.

– Łzesz! – Miriam, mimo osłabienia, zrywa się z łóżka i usiłuje dosięgnąć włosów Maliki, która bierze zamach i siarczysty policzek odrzuca chorą do tyłu. Pada na poduszki wstrząsana gwałtownym szlochem.

– Jeśli twierdzisz, że on jest taki cudowny i kochający, i chce z tobą być do grobowej deski, to zaproś go dzisiaj do siebie. Niech przyjdzie i zobaczy cię, kiedy jesteś chora i cierpiąca, a nie tylko cudowna i gotowa do szaleństw. Zobaczymy, czy wyciągnie do ciebie rękę, czy zaraz po przyjściu zacznie się dokądś spieszyć.

– Nie muszę go zapraszać, będzie tutaj za godzinę lub dwie.

– My z Blondi, niestety, nie opuścimy twojego domu rozpusty, tak jak byś sobie tego zapewne życzyła – oświadcza Malika, wciągając mnie wbrew woli w rodzinne szambo. – Siądziemy sobie w garderobie i posłuchamy, co ma ci do powiedzenia, żebyś potem nie mogła

koloryzować. Przypilnujemy też, żeby do czegoś złego nie doszło.

– Oszalałaś?! – Miriam wybałusza oczy i łapie powietrze otwartymi ustami.

– Nie, to ty jesteś szalona, a ja, niestety, jestem twoją siostrą i muszę cię ratować. – Malika rozkłada z bezsilności ręce. – Chcę tego czy nie! – Po tych słowach uderza się ze złością po udach. – Już trochę się rozruszałaś, więc ze spokojnym sumieniem zostawiamy cię i idziemy posprzątać ten bajzel, który narobiłaś, aby twój kochaś, kiedy tutaj przyjdzie na kolejną schadzkę, nie brodził we krwi i szczątkach swojego dzidziusia – mówi przez ramię na odchodne.

Spociłam się, choć klimatyzacja chodzi na pełnych obrotach. Czuję się okropnie, boję się, mam wyrzuty sumienia, jakbym to ja sama narozrabiała.

– Jak do tego doszło? Co do tego doprowadziło? – pytam.

– W dupie jej się poprzewracało, i tyle – burczy Malika. – O czym tylko zamarzyła, miała, góra szmalcu, zero kłopotów, zero obowiązków.

– Niby powinna być szczęśliwa, cieszyć się życiem... Może chciała wyjść do ludzi, podjąć jakąś pracę? – Rozumiem ten problem.

– Gównu prawda! Ty myślisz, że ona chciała pracować, wstawać o siódmej czy ósmej rano i pędzić do biura?! Mahmud sam załatwił jej posadę u siebie w firmie. Pracując na pół etatu, zarabiałaby więcej niż ja za cały etat w ministerstwie, włącznie z moimi premiami. W końcu to branża naftowa.

– To już nic nie rozumiem. Ona mówiła zupełnie co innego.

– Odkąd jej odbiło na punkcie tego jebaki, zupełnie zatraciła rozeznanie między prawdą a kłamstwem, jawą a snem.

– Jeśli masz takie złe zdanie na temat tego faceta, to dlaczego ich ze sobą poznałaś?

– Zgłupiałaś czy co, nigdy nie robiłam za niczyją swatkę! Po prostu wzięłam ją ze sobą na fitness, bo żal mi było, że sama siedzi w domu. Poza tym chciałam, żeby jakaś inna Libijka chodziła na te zajęcia. Sama zbyt rzucałam się w oczy.

– Ty tam jesteś służbowo – gram va banque.

– Sprzątajmy – słyszę jednoznaczny odpowiedź.

W garderobie jest duszno, kurz unosi się nad nami białym obłokiem i obawiam się, że za chwilę zacznę kichać.

– Punktualnością to on nie grzeszy – szepcze Malika.

– Tak to jest – chcę powiedzieć „z wami”, ale w ostatniej chwili gryzę się w język.

– Jakież to żałosne. On sobie tutaj przychodzi jak do siebie. Sąsiedzi wszystko obserwują i już na pewno wzięli nas na języki.

– Przecież chyba robi to dyskretnie.

– Dyskretnie to siedzą wszystkie okoliczne sąsiadki w oknach, na balkonach lub tarasach i czekają tylko, żeby coś się wydarzyło. One tym żyją, nie mają nic innego do roboty.

Milkniemy. Czuję, jak pot spływa mi po plecach i wsiąka w bawełnianą bluzkę, ale nie tyle z gorąca, ile z nerwów. Słyszę jakiś ruch i chwytam Malikę za rękę. Miażdżymy sobie palce i wstrzymujemy oddech.

– *Hi, baby.*

– Przyszedł. Delikatnie uchylamy drzwi garderoby i widzimy postać pochylającą się nad Miriam. – Co z tobą? Na Allaha, co się stało?

– Wiesz, nie mówiłam ci, ale byłam w ciąży – próbuje tłumaczyć słabym głosem.

– Co?! Z kim?

– Jak to...?

– No tak! Pięknie! – słyhać panikę w jego głosie. – Jesteś mężatką, doświadczoną kobietą, a takie wiedzą, jak się uchronić przed wpadką – mówi obrażonym tonem.

– Ale jak cię widzę, to zapominam o wszystkim, w tym o antykoncepcji.
– Nie opowiadaj bzdur! – Hamid wścieka się już nie na żarty. – Ty chcesz coś na mnie zrzucić, obciążyć mnie.

– Nie, kochanie. Przecież ja cię nie obwiniam. Ja byłam szczęśliwa, nosząc twoje dziecko.

Mężczyzna nie ściąga nawet kurtki. Przysiada na brzegu łóżka i patrzy spode łba. Ścisza palce, aż słychać trzask wyłamywanych stawów.

– Przecież mówiliśmy ostatnio, że musimy zmienić tę sytuację, że tak dłużej być nie może – kontynuuje Miriam.

– No właśnie.

– Więc myślałam, że poczekam z poinformowaniem cię do czasu, aż coś postanowimy.

– A cóż my niby możemy postanowić. Sprawa jest jasna.

– Tak? Nie dla mnie, Hamid. – Miriam siada i usiłuje położyć głowę na jego ramieniu.

– Dajżeż już spokój, ile można! – krzyczy kochanek, skacząc na równe nogi. Czuję, jak Malika drży i zaciska szczęki.

– Nie rozumiem – płaczącym głosem mówi blada niczym ściana Miriam.

– Czego nie rozumiesz? Było przyjemnie i trzeba się z tego cieszyć!

– Co?

– Tak, trzeba żyć tym, co Bóg daje, cieszyć się chwilą i nie komplikować sobie życia.

– Jak to?

– Jesteś mężatką i cały czas cię przekonywałem, że powinnaś wrócić do męża, dzieci, nie zostawiać rodziny. Trzeba było słuchać, co się do ciebie mówi!

– Ale ja kocham ciebie... Ty też...

– Jakaś ty głupia! – wykrzykuje i zaśmiewa się ironicznie. Z rozbawienia aż klepie się rękami po udach, jednocześnie chodząc dookoła łóżka i kręcąc głową na boki. – Daj mi w końcu spokój i przestań mnie dręczyć! Czy muszę ci to tak dosadnie powiedzieć, bo inaczej nie zrozumiesz?!

– Hamid, nie mów tak, proszę. – Miriam próbuje wstać z łóżka, lecz pada na poduszki, nie wiadomo z osłabienia czy rozpacz.

– Kobieto, ja nie mam zamiaru sobie życia przez ciebie zmarnować albo wręcz skrócić – już przestał się kontrolować i mówi to, co naprawdę myśli. – Ten romans to był największy błąd. Na co mi to było?! – Chwyta się za głowę. – Co mnie podkuśiło?!

– Hamid. – Miriam szlocha i nie jest w stanie wydusić z siebie nic rozsądnego. To oświadczenie ukochanego musi być dla niej strasznym ciosem.

– Tak mnie kuśiłaś, tak mnie czarowałaś, chodziłaś za mną jak cień, że najuczciwszy by nie wytrzymał. Eh! – Macha z lekceważeniem ręką i obraca się w kierunku wyjścia.

– Ja ciebie podrywałam?! – zraniona kobieta nie wytrzymuje już tych oszczerstw. – Ja ciebie, ty gnoju!? Malika miała rację, jesteś skurwielem, niewartym, żeby nawet na ciebie splunąć. Ty mendo! – Miriam krzyczy na całe gardło.

– To Malika o wszystkim wie? – z paniką w głosie pyta Hamid. – Jak mogłaś?

– A jak ty możesz mi to robić, hę?

– Ty kurwo! Współczuję twojemu mężowi, że sobie wziął taką wywłokę! Jakbym był na jego miejscu, tobym cię zabił! *Szarmuta, szarmuta!*

Miriam sięga po wielki kryształowy wazon stojący na szafce nocnej i ciska nim w byłego kochanka. Szkło rozpryskuje się po całym pokoju, lecz nie trafia w cel.

– Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj, łajdaku! Przeklinam cię, oby ci Allah wypłacił za twoje grzechy. On wszystko widzi i wie, kto jest czysty, a kto winny!

– Ty mnie Bogiem będziesz straszyć! – Teraz wydaje się bardziej przerażony, niż gdy usłyszał o wtajemniczeniu Maliki w sprawę. Jakiż bogobojny człowiek!

– Klucze, oddawaj klucze! Już! – Miriam sięga po kubek będący w zasięgu jej ręki. Kawa rozpryskuje się po ścianach.

– Nie dzwoń i nie błagaj! Pamiętaj! Dość! – krzyczy Hamid, rzucając pękiem kluczy w twarz Miriam. – Wściekła kurwa!

– Ty synu osła! Ty synu psa! Ty alfonsie! – najgorsze obelgi w arabskim stylu padają pod adresem wychodzącego, który ucieka, ani razu nie obejrząwszy się za siebie.

W końcu wychodzimy z szafy. I co tu mówić? *No comments*. Siadamy na łóżku i milczymy. Miriam nie płacze. Pustymi oczami patrzy przed siebie w przestrzeń. Obawiam się, że cała sprawa nie zakończy się tu i teraz. Byłoby to zbyt proste.

Spotkanie z Polonią

Nowe przyjaciółki

Czy to pani Dorota Salimi? – w telefonie słyszę nieznanego kobiecego głosu mówiącego po polsku.

– A z kim mam przyjemność?

– Baśka Nazim – przedstawia się moja rozmówczyni.

– Tak? – pytam, nie wiedząc, o co chodzi.

– Kiedyś, już jakiś czas temu, zauważyłam cię w markecie, byłaś tam z mężem i córeczką. Blondyny rzucają się tutaj w oczy – śmieje się. – Nie mogłam jednak zagadać, bo mój stary jak zawsze mnie poganiał, ale przynajmniej obiecał, że spróbuje zdobyć twój numer telefonu. Trochę to trwało, ale w końcu cię namierzyliśmy.

– Aha?!

– Dlatego dzwonię. Musimy się spotkać, koniecznie. Żadna Polka będąca w związku z Libijczykiem nie wymiga się od mojego towarzystwa – mówi rozbawiona. – Jestem samozwańczą przewodniczącą Polonii w tym kraju i skupiam, a raczej usiłuję, wszystkie dziewczyny, którym przyszło tutaj żyć. Razem jest różniej i dużo łatwiej. – Zaczynam czuć sympatię do tej kobiety.

– Czy wiesz, że już od dawna chciałam znaleźć przynajmniej jedną rodaczkę, ale zupełnie nie wiedziałam, jak się za to zabrać...? I trochę się wstydziłam – szczerze przyznaję. – Nie chciałam się nikomu narzucać...

– Ale gadasz głupoty – przerywa mi bez pardonowo. – Ty młoda chyba jesteś, nie? Od jak dawna tu siedzisz? Podoba ci się tutaj? Jak rodzinka męża, bo moja nieźle mi dała do wiwatu... przynajmniej na początku. – Basia zalewa mnie potokiem słów, nie dając szans na powiedzenie czegokolwiek. – Chyba stanowisz nowy, całkowicie jeszcze zagubiony narybek. Mam rację, Kochanieńka? – Wybuchu niepohamowanym śmiechem.

– Już będzie prawie cztery miesiące. – Nagle dochodzi do mnie, jaki szmat czasu upłynął od mojego przyjazdu, a ja ciągle stoję w miejscu i nic z początkowych planów i obietnic nie zostało zrealizowane.

– *Miskina* – żałuje mnie. – Biedaczko, i tak od razu dałaś się zamknąć w domu? Trzeba wyjść do ludzi.

– Wiesz, na początku bardzo mi się podobało, taka duża rodzina i elegancki dom, ale na dłuższą metę to nie wiem, czy tutaj wysiedzę. Chcieliśmy zamieszkać na farmie, żeby być u siebie...

– Daj spokój! Nie byłabym w stanie mieszkać na wsi! – przerywa mi. – Może dlatego, że z niej pochodzę – znów się śmieje z własnego dowcipu. – Okopywanie kartofli nigdy mnie nie bawiło, a mojego chłopca nie jestem sobie w stanie wyobrazić z motyką w jego inteligenckich łapkach.

– Ja za to mogłabym żyć pod miastem... – rozmarzam się – w willowej ekskluzywnej dzielnicy. – Już obie zaśmiewamy się do rozpuku. – Przy tobie zawsze jest tak wesoło?

– Tak, dla wszystkich jestem dowcipna, za wyjątkiem mojego męża. On nie zna się na żartach, jak to Arab.

– To ci nie przeszkadza? – pytam zdziwiona, bo nie słyszę żalu w jej głosie.

– Coś ty, kobieto! Za długo ze sobą jesteśmy, żebyśmy się takimi głupotami przejmowała – mówi pogodnie.

– Ile to już ? – pytam zaciekawiona. – Można z Arabem przejść przez całe życie? Wszyscy mówią, że oni są z nami tylko dla seksu i odmiany, a w głębi duszy uważają nas wszystkie za ostatnie kurwy – przedstawiam jej nękające mnie obawy.

– Stereotypy i głupie gadanie! – Basia podnosi głos. – Porównaj tylko nas z ich kobietami, to zobaczysz, jakie jesteśmy dla nich dobre. Chodzące ideały. Libijki rodzą tłumy bachorów, prawie nigdzie nie wychodzą, a jak już, to zakładają te głupie płaszcze i chusty, żeby wyglądało, że są takie skromne. Popatrz jednak, jak tresują swoich chłopów! Niby takie trusie, a w domu przy zamkniętych drzwiach cały czas tylko wrzeszczą i często nawet leją swoich mężów. Oni zaś od nich nie odchodzą i nie narzekają.

– Ale jak najrzadziej przebywają ze swoimi żonami, a rozwody też się zdarzają. W samej naszej rodzinie mamy parę.

– Cóż, jak wszędzie. Jedno jest pewne: trzeba ich trzymać krótko, pokazywać czasami pazurki, żeby znali swoje miejsce. Nie wolno się bać i ciągle przeproszać, że się żyje. W ten sposób nie utrzyma się chłopą przy sobie i to bez znaczenia, czy jest on Arabem, Chińczykiem, Amerykaninem, czy Polakiem.

– Tak, masz rację – mówię smutno.

– Nie załamuj się, wszystkiego można się nauczyć, a co dopiero postępowania z naszymi facetami. Pestka, łatwizna!

– Tak myślisz? Bo ja...

– Już słyszę, jaka jesteś – śmieje się z politowaniem. – Parę lekcji gratis u ciotki Baśki i staniesz się nowym człowiekiem. To kiedy do mnie wpadniesz?

– Ja wiem...?

– Pracujesz? – szybko pyta.

– Nie.

– To nad czym się zastanawiasz? Masz chyba dość czasu? – słyszę zdenerwowanie i zniecierpliwienie w jej głosie.

– Nie chcę ci przeszkadzać.

– Ale z ciebie ciepłe kluchy! Przecież proponuję ci odwiedziny i nikt mnie do tego nie zmusza. Co z tobą?

– Poza tym nie mam jak dojechać i nie znam miasta.

– Nie rozumiem, czemu nie masz auta, kiedy tutaj możesz kupić całkiem niezły samochód za gówniane pieniądze.

– Nie mam prawa jazdy – szepczę speszona.

– Nie pozwolił ci?!

– To nie tak jak myślisz... Nawet nie wpadło mi do głowy...

– Mogłabyś więc wziąć taksówkę. Nie pozwala ci jeździć taksówkami? – znów podnosi pełen oburzenia głos.

– Nie... – zaczynam.

– To ja po ciebie przyjadę – decyduje Basia, nie dając mi dojść do głosu. – Moje dziecko, trzeba ci pomóc, bo coś mi się zdaje, że jesteś sflamszona. Czyżby ten twój mąż nie pozwalał ci się ruszyć z domu? Oj, niedobrze!

– Jesteś w błędzie, to nie tak...

– Dobrze, dobrze, wiem, że głupio się przyznać, ale ja jestem właśnie od tego, żeby pomagać takim biedaczkom jak ty.

Wzdycham tylko, bo ciężko jest przebić się przez potok jej słów. Ciekawa jestem, czy gdyby знаła wszystkie moje problemy, znalazłaby na nie lekarstwo? Ahmeda jak nie było, tak nie ma. Nikt z całej rodziny nie porusza tego tematu, jakby w ogóle nie istniał. Po raz pierwszy

świta mi myśl, że może ja też się spakuję i wrócę do domu, do siebie, do Polski, do mamy i znanego mi świata.

– Będę jutro o dwunastej. Do zobaczyska. – Baśka przerywa moje rozmyślenia. Czekam na podwórku w pełnym słońcu na tyle długo, że jestem już cała spocona. Marysia pomimo szaleńczej zabawy w basenie zauważa mnie kątem oka, wyskakuje z wody i podbiega w podskokach, chlapiąc na wszystkie strony. Nagle stęskniona zarzuca mi mokre rączki na szyję i całuje swoją umorusaną mordką, zaraz potem obraca się i pędzi do dzieci. Już całkiem zapomniała o babci z Polski, nawet ani razu o nią nie zapyta. Tutaj ma wspaniałe, rozbrykane towarzystwo rówieśników i domowe przedszkole ze świetną opieką. Cieszę się, widząc ją szczęśliwą, lecz trochę mi przykro, że tak łatwo oddaje swoje serce innym. Czuję się bardzo, bardzo samotna – porzucona przez męża i przez sześćioletnią córkę. Cóż, będę musiała do tego przywyknąć, trzeba się pogodzić ze swoim przeznaczeniem.

Basia przyjeżdża z półgodzinnym opóźnieniem i trąbi głośno pod bramą wjazdową. Pędzę jej na spotkanie i witamy się jak stare przyjaciółki. Jest naprawdę przebojową kobietą. Wygląda jak typowa, razowa, polska blondyna. Nie jest gruba, lecz solidnie zbudowana, a uścisk jej ręki miażdży palce. Wysoka, postawna, starsza ode mnie o co najmniej dziesięć lat, ubrana jest nowocześnie i widać, że wszystkie rzeczy kupiła albo na bazarach, albo w naszych krajowych szmateksach. Ma swój styl – trochę frywolny i bardzo kolorowy. Niczym się nie przejmując, swoją potężną pupę wbiła w białe legginsy, co nieco jednak zakryła długą kwiecistą koszulą, a szyję opasała kolorowym szalem z frędzelkami. Sandały odsłaniają masywne palce u nóg z paznokciami pomalowanymi na jaskrawoczerwony kolor. Jestem wniebowzięta, że mam w końcu kogoś, do kogo mogę otworzyć usta. I to w rodzimym języku.

– Siadaj, siadaj wygodnie w tym bajzlu. – Usiłuje strzepnąć okruszki z siedzenia pasażera i szybko przerzuca do tyłu jakieś pluszowe i gumowe zabawki.

– Nie przejmuj się, jest super. – Szczęśliwa lokuję się w samochodzie. – Dzięki, że po mnie wpadłaś.

– No co ty! – oburza się. – Jak bym mogła inaczej? Ktoś musi ci pokazać, jak tutaj żyć, i uświadomić, że nawet w tym kraju można być szczęśliwym.

– Oj, nie wiem...

– Najważniejsze, żeby mąż kochał, a problemy są wszędzie i to niestety zawsze my same musimy je rozwiązywać. Albo ich unikać.

– Czasami są poza naszym zasięgiem – żalę się. – Na wiele rzeczy nie mamy wpływu.

– Oj, coś czarno to widzę – martwi się Basia. – Długo tutaj miejsca nie zagrzejesz, jeśli już na samym początku masz takie podejście.

Milkniemy, a ja obserwuję akrobacje, jakie Baśka wyczynia na drodze. To nie jazda, to jakiś koszmar.

– Gdzie jedziesz, ty ośle! – wykrzykuje po arabsku do kierowcy w zajeżdżającym jej drogę samochodzie. – Matole jeden, kto ci dał prawo jazdy? Chyba ślepy alfons twojej matki!

Naciska gaz i auto aż skacze do przodu, a ja spinam się w sobie, kurczowo trzymając uchwytu nad drzwiami. Spodziewam się, że za chwilę usłyszymy łoskot tłuczonych lamp, lecz Basia jest mistrzynią kierownicy i opanowała do perfekcji tutejszą wariacką jazdę bez trzymanki. Gwałtownie hamuje i zatrzymuje się prawie na zderzaku samochodu przed nami. Widzimy, że kierowca z przodu ma już pełne gatki. Basia wybucha szalonym śmiechem, a ja, pomimo zaciśniętego ze strachu gardła, usiłuję jej towarzyszyć.

Wjeżdżamy do tradycyjnej starej arabskiej dzielnicy – wąskie uliczki, niskie kwadratowe domki z piaskowca, na progach przesiadujący starcy i bawiące się małe dzieci. Wokół gwar i krzyki nawołujących się sprzedawców oraz odurzający zapach bułek i ciasteczek. Wszystko

spowija aromat świeżo palonej kawy. Jak ona może tutaj mieszkać, mój Boże, to jest powód do narzekań – myślę, obserwując wszystko okrągłymi ze zdziwienia oczami.

– Co, nigdy nie zapuszczałaś się do takich dzielnic? – z przekąsem i lekką pogardą mówi Baśka. – Zakazane arabskie rewiry, co? Toż to Gurdzi, stara część miasta, ale rewelacyjnie blisko centrum i ceny za grunt niewyśrubowane. Tutaj urodził się mój mąż i mieszka cała jego rodzina. Trzeba zawsze poznawać całe miasto, a nie tylko wybrane jego części. Ja uważam, że tutaj jest ciekawiej, czuje się ten prawdziwy Orient.

– Jak już gdzieś mnie zabierano, to raczej do centrum, luksusowych restauracji, miejsc, którymi można się pochwalić.

– A ja jestem dumna z tej dzielnicy i lubię jej mieszkańców. Są szczerzy, przyjacielscy i otwarci. Pamiętają o dobrych uczynkach, jakie dla nich zrobiłam i cenią mnie za to. Mam już wśród nich własne miejsce.

Ja wolałabym takowego nie mieć, przecież to istne slumsy, ale oczywiście tego jej nie powiem. Po dłuższej chwili, bowiem auto ledwo toczy się wśród przebiegających przed maską przechodniów, wjeżdżamy na spory kwadratowy plac. Rośnie na nim nawet parę drzewek i ktoś wydzielił miniaturowe boisko do piłki nożnej. Domy w tym miejscu są już bardziej okazałe i przypominają te z eleganckich dzielnic. Szokujący kontrast.

– Jesteśmy na miejscu – trochę niezadowolona z mojej głupiej, snobistycznej reakcji, Baśka zatrzymuje samochód, wyjmując jakieś siaty z bagażnika, staje przed solidnymi drewnianymi drzwiami największej, aż dwupiętrowej willi i krzyczy na całe gardło:

– Marysia, Maaaryyyysiaaa! Rusz ten swój kościsty leniwy tyłek!

Okno na pierwszym piętrze otwiera się z trzaskiem i pojawia się w nim pociągła twarz młodej Arabki.

– Mama, przecież już lecę! – ze zniecierpliwieniem odpowiada dziewczyna i znika z pola widzenia.

– Moja córka, najstarsza, urodziła się jeszcze w Polsce – tłumaczy mi Basia. – Znowu szok, myślałaś, że to lokalna piękność? – śmieje się z przekąsem. – Wykapany tatuś. Gdybyś nie wiedziała, to w życiu byś nawet nie pomyślała, że to może być córka takiej białolicy blondyny z Pomorza.

W tej chwili otwierają się drzwi i staje w nich smukła długonoga śniada pannica, ubrana w kuse różowe dzinsowe szorty i bluzeczkę na ramiączkach. Włosy ma kruczoczarne, z rzadka splecione bordowymi pasemkami.

– Pomóż mi, do cholery, wiesz, że nie mogę dźwigać – syczy do niej Basia. – Wchodź, Dorota, nie przejmuj się i od razu przepraszam za bałagan. Przy trójce dzieci trudno utrzymać sterylny porządek, a na służbę nas nie stać.

Przekraczam próg i nagle czuję się tak, jakbym znalazła się w ekskluzywnej rezydencji w Polsce. Cały parter zajmuje ogromny salon urządzony meblami wyprodukowanymi w naszych rodzimych fabrykach nad Wisłą, bez typowych dla Orientu zdobień, złocień i całego jarmarcznego przepychu.

– Ale pięknie, skąd wzięłaś tutaj te meble? – nie mogę wyjść z podziwu.

– Ma się dojścia – odpowiada Basia z dumą na twarzy. – Poza tym jestem tutaj od dwunastu lat, więc miałam czas na nawiązanie znajomości. Wszystko odkupiłam od polskich firm, których kiedyś, za komuny, było tutaj bez liku. Potem albo się likwidowały, albo, jeśli nie uległy konkurencji, modernizowały i wyprzedawały wszystko na pniu. Trzeba tylko było wiedzieć gdzie i kiedy, mieć pieniądze i ciężarówkę pod ręką. Na przestrzeni lat przewinęło się tutaj ponad sto tysięcy Polaków.

– O!

– Ale teraz jest tylko garstka. Rynek europejski jest bezpieczniejszy, a przede wszystkim bliżej.

– Tak, jest to kawałek od domu – wzdycham z tęsknotą.

– Chyba że ma się dom tutaj. – Basia pocieszająco poklepuje mnie po ręce. – Marysia, co z tą herbatą? Dawaj serniczek, specjalnie upiekłam.

– Świetnie, ja nie umiem.

– Jak tylko będziesz chciała, zamawiaj u mnie. To minuta osiem, żaden problem.

Siedzimy sobie, dwie Polki, tysiące kilometrów od ojczyzny, pijemy pyszną herbatę z cytryną i zajadamy się domowym ciastem. Całkiem jak w domu, ale...

– Mówię ci, Dorotka, musisz tylko przywyknąć i znaleźć dla siebie miejsce. Mnie też nie było lekko, na początku to nawet wyglądało tragicznie...

Rozpoczyna opowieść o swoim niezwykłym życiu, dzieje dziewczyny z biednej nadbałtyckiej wioski. Matka Basi od zawsze była schorowana i wiecznie utyskująca, a ojciec pijak zniknął, kiedy córka była całkiem mała. Zdawała sobie sprawę, że jej jedyną szansą na odbicie się od dna jest nauka. Już w podstawówce przesiadywała nad książkami i miała efekty: na koniec szkoły świadectwo z czerwonym paskiem, średnia pięć przecinek zero. Do liceum wyjechała do większego miasta i nadal wiedziała, że to dopiero początek drogi. Matka narzekała, bo straciła ręce do pracy, lecz zawsze wspierała ją ciotka, starsza od niej zaledwie o parę lat.

– O mój Boże! – wykrzykuje Basia, chwytając się za głowę. – Pamiętam ten internat, w którym mieszkałam. Jeszcze potem latami śnił mi się po nocach, jeden z najgorszych koszmarów w moim życiu. Jak tam śmierdziało, a te wszędobylskie karaluchy! – Wypręża się jak struna i otrzepuje z obrzydzeniem. – A w kuchni całe stada myszy. Jak były kotlety mielone, to żartowaliśmy, że takie smaczne, bo z chudziutkim mysim mięskiem. Błę!

Po pedagogiku podjęła oczywiście studia, bo nie satysfakcjonowało jej uczenie maluchów. Na uniwersytet poszła już do wielkiego miasta, Gdańska, i dostała się bez egzaminów wstępnych, ponieważ znowu miała świa dectwo z czerwonym paskiem, a oprócz tego była laureatką olimpiady na szczeblu centralnym.

– To ty strasznie mądra baba jesteś – mówię z zazdrością.

– A czemu niby miałabym być głupia? – dziwi się.

– Ja myślałam, że tylko kretyнки mojego pokroju wydają się za Arabów.

– Dalej nie rozumiem, a poza tym jeśli zdajesz sobie sprawę z własnej niewiedzy czy głupoty, nie jest z tobą tak źle. Masz szansę to nadrobić, zawsze jest czas.

Podczas studiów było trochę lepiej, bo stypendium wyższe i jako osoba pełnoletnia Basia mogła podjąć pracę.

– Załapałam się do baru, tuż przy molo. Sezon nie sezon, obłożenie pełne – wspomina z uśmiechem.

– Nieprzyjemna praca, taka... wiesz... – szukam słów, żeby jej nie urazić.

– Aha, rozumiem, o co ci chodzi. Że niby ciągle cię podrywają i czynią niewybredne propozycje. – Sznuruje usta. – Dziewczyno, jak się chce, to i w zakrystii można dupy dawać. Ja ukróciłam sprawę na początku, i to bardzo zdecydowanie. Paru dostało po mordzie i fama poszła.

– Zawsze byłaś taka przebojowa i odważna? – wzdycham, bo nie wyobrażam sobie siebie w podobnej sytuacji.

– Jestem i byłam pracowita i ludzie to doceniają, a stawiałam się częściej ze strachu niż z bohaterstwa – śmieje się.

Potem pojawił się Hassan i zaczęły się cudowne czasy. W upalny letni dzień wszedł do baru napić się coli. Nieśmiały i skryty przez cały miesiąc przesiadywał w tym samym miejscu i swoimi czarnymi oczami śledził każdy ruch Baški. Spodobał jej się od pierwszego wejrzenia, a i

przecież ona wpadła mu w oko. Postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

– Pewnego razu już nie wytrzymałam i wylałam mu całą szklanę lodowatej coli na bieluteńki oficerski mundur. Ale podskoczył! – Wybuchł śmiechem. – Później musieliśmy go suszyć i tak się zaczęło. Jednak ja nie zrezygnowałam z pracy, bo chciałam być niezależna. Jeśli miał ochotę zamienić ze mną przynajmniej parę słów, był zmuszony siedzieć w knajpie całymi popołudniami. Przynosił sobie książki, bo on też jest z tych ambitnych, i po pewnym czasie dostał swój własny mały stolik, zarezerwowany dla pana Hassana. Robił za mojego bodyguarda .

Dopiero po dwóch latach przedstawiła go matce, która na wstępie zwyzywała ją od ladacznic, a potem wyrzuciła za drzwi. I znów tylko ciotka ją poparła i poradziła, żeby nie zawracała sobie głowy głupim gadaniem. Pobrali się po studiach, a oddała mu się dopiero w noc poślubną, tak jak należy, żeby nie miał najmniejszych wątpliwości. Jak zaczęli uprawiać seks, to oczywiście po chwili już była w ciąży. Kariery naukowej nie zrobiła, ale była szczęśliwa i teraz mogła już sobie pozwolić na bycie utrzymanką męża. A on dostawał gigantyczne na te czasy pieniądze – starczało na opłacenie czynszu dużego mieszkania, samochód i dostatnie życie. Polska była znana ze świetnego przygotowania i wyszkolenia wojskowych, więc Libia bez umiaru pakowała petrodolary w setki młodych, ambitnych chłopaków, którzy w przyszłości mieli bronić rodzinnych granic. Jednak po ukończeniu studiów skończyły się też Hassana dochody. Gdzie w Polsce może dorobić oficer obcego kraju? Chyba tylko w wywiadzie, ale nie chcieli ryzykować.

– Mógł jeszcze zbierać makulaturę i puste butelki. Tys piknie. – Baśka uśmiecha się ironicznie. – Nie było wyjścia i zdecydowaliśmy się na przyjazd tutaj, powrót syna marnotrawnego na łono ojczyzny i rodziny. Marysia miała wtedy dwa latka.

– Nie było lekko? – zadaję pytanie retoryczne, bo odpowiedź widzę wypisaną na jej twarzy.

– Kobieto! – wykrzykuje Baśka. – Moja teściowa to taka zołza, że wytrzymałam w jej domu tylko pół roku. Ma ogromną kamienicę, tuż obok, Hassan to jej jedyny syn, ale nie dała nam żyć.

– Co wymyślała? – ciągnę ją za język.

– Wszystko, co najgorsze. Ale ja nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam. Szybko nauczyłam się ich lokalnego dialektu, bo bez tego ani rusz, poza tym chciałam wiedzieć, co o mnie mówi. – Basia relacjonuje z wypiekami na twarzy. – A pytlowała, co jej ślina na język przyniosła. Nie masz pojęcia, jak oni potrafią łącać i kłać, szczególnie kobiety. To nawet jeszcze bym odpuściła, bo stara była i głupia, ale nie do przeżycia był fakt, że traktowała mnie jak służącą, powiem więcej, jak niewolnicę. Kazała mi wykonywać najgorsze prace, najcięższe i najbardziej poniżające. Na koniec zwolniła całą służbę i jechała na mnie jak na łysej kobyle. Hassan zawsze stawał po mojej stronie, co kończyło się karczemnymi awanturami, nieraz myślałam, że się pozabijają, wiesz już, jacy to furiaści?

– Tak, tak, miałam próbkę – przypominam sobie sceny domowe z ojcem.

– Więc powiem ci, byłam już tak zdesperowana, iż myślałam, że poderżnę tej starej babie gardło. Najgorsze było to, że Hassan rzadko bywał w domu, bo najpierw szukał pracy, a jak już ją znalazł, to musiał dojeżdżać prawie sto kilometrów. Tragedia. Ta cholera miała mnie do swojej dyspozycji.

– I co zrobiliście? – pytam ciekawa.

– Zgodził się na wyjazd do bazy, gdzie diabeł mówi dobranoc. Nie, jeszcze gorzej, tam nawet czart by nie wytrzymał. Opiszę ci to: piasek, piasek, jeszcze raz piasek, później szyb naftowy, znów piasek, szyb, piasek, piasek i... baza wojskowa. – Głęboko wzdycha, wspominając minioną gehennę.

Wytrzymali dwa lata i ani dnia dłużej. Na tyle opiewał kontrakt, bez możliwości zerwania czy skrócenia chociażby o godzinę. Wiadomo – wojsko. Później wsiedli do auta i odjechali, nie oglądając się za siebie. Po przyjeździe do Trypolisu okazało się, że mamusia się rozchorowała i marzy o zobaczeniu swojego jedynaka, wnuczki i blond synowej. Nie dali się zwieść, ale odwiedzić matkę musieli. Akt notarialny na ziemię był już przygotowany. I nagle znalazły się też pieniądze po ojcu, który zmarł dziesięć lat wcześniej.

– Szok, przeżyliśmy szok! – krzyczy Baśka teatralnie chwytając się za głowę. – Nie mamy nic, biedni jak myszy kościelne i nagle w jednej chwili stajemy się właścicielami wielkiej nieruchomości w stolicy i na dokładkę z potężną kasą w kieszeni.

– Jak w bajce – szepczę rozmarzona i zafascynowana opowieścią.

– Ha! – Basia zaciera ręce i klepie się po udach.

– Co tutaj tak wesoło? – podskakuję, słysząc nad głową miły męski głos. – Witaj, kocie. – Przystojny, wysoki i bardzo śniady Arab pochyla się nad gospodynią i czule całuje ją we włosy.

– Jezuniu, jak ten czas zleciał. – Basia patrzy na zegarek i ze zdziwienia podnosi ramiona do góry. – A ja nie mam obiadu...

– Nic nie szkodzi. Coś upichcę, ludowe danie arabskie, *mandżarija libijja*.

Obie krzywimy się i wybuchamy śmiechem.

– Ale wybredne królowy, jeszcze was zaskoczę.

– To jest Dorotka, mówiłam ci, że dzisiaj mamy babskie pogaduszki. – Basia przedstawia mnie swojemu mężowi. – A to znany ci już z opowieści Hassan.

– O kurczę, mam się bać czy wstydzić? – Mężczyzna robi zabawną minę.

– Aaaa! – Baśka rozradowana pokazuje na niego palcem. – Do pikantnych szczegółów jeszcze nie doszliśmy, ale w końcu przecież możemy trochę poświntuszyć przy tobie, prawda?

– Jednak wolę się wycofać, znam babskie języki. – Ze śmiechem wybiega z pokoju.

– Ale fajny ten twój mąż – mówię i chwytam Basię za rękę. – Szczęściara z ciebie.

– Tu masz rację, los się do mnie uśmiechnął – przyznaje. – Ale życie z nimi to nie raj, wszystko trzeba sobie wypracować i dojść do kompromisów. Tak jest w każdym związku, a w mieszanym małżeństwie dochodzą jeszcze różnice kulturowe i religijne. Jeśli nie rozegra się tego z głową, można ponieść porażkę na całej linii.

– Najważniejsze, że cię kocha...

– Już nie gadaj, że twój nie – przerywa mi. – Jeśli cię tutaj przywiózł, wprowadził do rodziny, oznacza to, że na pewno traktuje cię poważnie i żywi do ciebie głębokie uczucie – pociesza.

– Nie jestem tego taka pewna.

– Musisz być, a przyszłość pokaże, czy warto było ryzykować i trochę się pomęczyć na początku. Powolutku. Kobiety cudzoziemki, nie-muzułmanki, których nie szanują i tylko zabawiają się nimi, bez skrupułów zostawiają, nawet jeśli mają z nimi dzieci. Nigdy nie przywiozą ich do siebie do domu, nigdy nie przedstawią matce.

– To też trochę wredne. – Jakoś po tych wszystkich przejściach nie potrafię nastawić się pozytywnie.

– Przecież nie tylko Libijczycy czy w ogóle Arabowie tak postępują, są wredne chłopy i dobre chłopy, a nasi są najlepsi. – Uśmiecha się zyczliwie. – Każdy może zbłądzić, każdemu może się noga powinąć, ale my musimy im dawać kolejną szansę i otaczać naszą miłością – podsumowuje mądrzejsza ode mnie i bardziej doświadczona kobieta.

– Czasami nie można wybaczyć, są takie sprawy...

– Ja tam się nie orientuję, co między wami jest nie tak i co złego zaszło, ale wiem jedno...

– zawiesza głos, teatralnie układa dłonie na sercu i kokietyrnie przechyla głowę. – „Miłość ci

wszystko wybaczy” – śpiewa, tragicznie fałszując.

– Ale ty wariatka jesteś. – Wybucham niepomowanym śmiechem.

Hassan tłucze garnkami w kuchni, Marysia mu pomaga, a my przechodzimy do ploteczek o innych Polkach mieszkających w Trypolisie i okolicy.

– Pod koniec miesiąca Zośka organizuje babski całonocny bal, tak zwane pożegnanie lata. Musisz przyjść, to dwa kroki od ciebie, przy samym Gargareszu.

– Byłam tam, kojarzę. To taka trypolitańska Marszałkowska. Ale nie wiem, czy mogę tak wyjść na całą noc...

– Więc wcześniej twój mąż musi poznać naszą brygadę. Co powiesz o nadchodzącym piątku? Hassan! – Baśka krzyczy w kierunku kuchni.

– No?

– Masz coś w piątek wieczorem?

– A co ja niby mogę robić? – Wystawia uśmiechniętą twarz zza drzwi. – Adoruję moją żonę i jestem na jej usługi.

– To super, bo planujemy spotkanie. Może jakiś grill, ja zrobię kuskus.

– U nas?

– Aha. – Dla potwierdzenia Basia kiwa głową.

– Nie ma sprawy, powiedz tylko, ile wina, piwa i wódki mam załatwić. Te jej koleżaneczki mają straszne pragnienie, jak smoczyce. A mężowie jeszcze większe – informuje mnie, uśmiechając się z pseudoubolewaniem.

– Jak to, przecież tutaj jest prohibicja. Gdzie Hassan kombinuje alkohol?

– Szara strefa, kochanie, tak zwany *black market*. Kosztuje drogo jak cholera, ale możesz dostać dosłownie wszystko.

– Wszystko by było super... tylko wiesz, na razie mojego męża nie ma, wyjechał – uchylam rąbka tajemnicy, chcąc choć trochę wyjaśnić swoją sytuację.

– W interesach? Na jak długo? – niewinnie pyta.

– Już dwa tygodnie mijają, a końca nie widać. Nic nie powiedział.

– Ooo, to niedobrze. – Basia martwi się i patrzy mi głęboko w oczy, usiłując dociec prawdy. – Jeśli do piątku nie wróci, to weź swoją Marysię, jakąś jego siostrę, brata czy kuzyna i przyjeżdżaj. Najważniejsze, żeby był z tobą ktoś z jego rodziny, bo potem może ci zarzucić, że się gdzieś szlajasz. Oni mają obsesję na tym punkcie, są zazdrośni do obłądu.

– Coś wiem na ten temat – wzdycham.

– Tym bardziej. Bogu dziękuję, że Hassan jest normalny, przynajmniej pod tym względem – kończy szeptem i mruga do mnie porozumiewawczo.

– Z tą asystą będzie kiepsko. Brata nie ma, kuzynów nie znam, a siostry... – zawieszam głos.

– Najchętniej wzięłyby cię na języki? Znam to, mówię ci, najgorsze z tego całego towarzystwa są baby – zamyśla się i na koniec uśmiecha półgębkiem. – Może my też jesteśmy takie wredne plotkary, w końcu co tutaj robimy od prawie czterech godzin?

– Słuchaj, coś wymyślę z tym piątkiem, jeszcze się dzwoniemy. – Zbieram się do wyjścia, bo ile można okupować cudzy dom.

– Siadaj, nigdzie jeszcze nie idziesz. – Baśka ze śmiechem popycha mnie na fotel. – Jak nie zjesz tej pysznej brei, którą z takim zapalem przygotowuje Hassan, będziesz miała u niego przechlapane.

Słyszę trzaśnięcie drzwi i tupot na schodach. Do pokoju wpada śliczna około dwunastoletnia dziewczynka ubrana w wojskowe spodnie i kurtkę oraz ciężkie czarne buciory.

– Cześć, mama. – Podbiega do Basi i obejmuje ją za szyję, jakby chciała jej urwać głowę.

– Najpierw przywitaj się z panią. – Koleżanka z trudem uwalnia się z uchwytu. – To Magda, moja młodsza córeczka. Straszny z niej wicher.

– Cała mamusia – śmieje się Hassan, wchodząc do pokoju i niosąc miski z jakąś parującą, ładnie pachnącą potrawą. – Tylko nie mówcie, że wam nie smakuje. Nie ma takiej możliwości.

– Dziękujemy. – Jestem zaskoczona ich gościnnością.

Za sąsiednimi drzwiami słychać słaby płacz dziecka.

– Magda zawsze go obudzi, chodzi jak krowa – wścieka się Basia, a ja jestem zdziwiona, bo przez ostatnie parę godzin rozmawiałyśmy dość podniesionymi głosami i nigdy bym nie przypuszczała, że ktoś mógłby przy tym spać.

– On po prostu tak mnie kocha, że jak tylko słyszy mój głos, to już chce być przy mnie. – Nie myjąc rąk, tak jak stoi, Magda wpada z łomotem do pokoju i porywa niemowlę na ręce. Kręci się z nim w kółko jak szalona, a bobas z radości kopie nóżkami i zaśmiewa się na całe gardło.

– A to nasz wyskrobek, Adaś. – Basia przejmuje dziecko. – Teraz znasz już cały zwariowany klan Nazimów.

Jak dobrze się u nich czuję, to taka szczęśliwa rodzina. Ze smutkiem stwierdzam, że mnie to chyba nie jest pisane. Brak nam z Ahmedem nie tyle miłości, ile szczerości, wzajemnego zrozumienia i zaufania.

Kiedy przyjeżdżam do wymarłego domu i przekraczam próg naszej pustej sypialni, jest mi jeszcze bardziej smutno. Padam na łóżko i płacząc do późna w nocy.

– Cześć, Samirka, jak się masz? – dzwonię z rana, chcąc złapać ją przed wyjściem na uczelnię. – Jak tam zdrowie?

– Właśnie nie najlepiej – mówi słabym głosem. – Możliwe, że znów będę musiała mieć zabieg...

– Ojej, a co się stało? – pytam odruchowo.

W telefonie zapada niezręczna cisza. Dopiero teraz docierają do mnie jej słowa i uświadamiam sobie, że to Ahmed jest sprawcą jej choroby i cierpienia.

– Takie tam komplikacje starej dolegliwości – w końcu enigmatycznie odpowiada.

– Może uda ci się jakoś wymigać spod skalpela, rozwiązać problem domowymi sposobami. Ziółka i tym podobne – z zażenowaniem usiłuję ją pocieszyć. – Teraz jest tyle nieinwazyjnych metod.

– Nie za bardzo – odpowiada chłodno. – Mam już termin na ten czwartek, jak najszybciej chcę to mieć za sobą.

– Czegoś potrzebujesz, mogłabym ci jakoś pomóc? – Nie wiem czemu, ale czuję się winna.

– Nie, ale dziękuję. Wiesz, Malika jest superopiekunką.

– Może pojechać z tobą do szpitala? Będzie ci różniej.

– Nie zwracaj sobie głowy, wszystko będzie dobrze. Zobaczymy się po, wpadniesz do nas na ciasteczka – śmieje się smutno.

– Dobrze, Samirka, jak chcesz. Trzymam kciuki.

Odkładam telefon i czuję się fatalnie. Jakim złym człowiekiem jest mój mąż. Cieszę się, że go nie ma i nie chcę go więcej widzieć. Brzydzę się nim! W takiej sytuacji, gdy Samira jest chora i czeka ją operacja, nie za bardzo wypada mi iść na imprezę, a tym bardziej prosić kogokolwiek z rodziny, aby mi asystował.

– Basia, przepraszam cię, ale w ten piątek niestety nie dam rady – od razu dzwonię do mojej nowej koleżanki.

– Co się stało? Jeszcze wczoraj cieszyłaś się na to spotkanie. Czyżby powrócił zazdrosny

mężulek?

– Nie. Jego najmłodsza siostra właśnie w czwartek idzie do szpitala, więc rozumiesz...

– Chyba że tak – uspokaja się. – Słuchaj, jeszcze wszystko przed nami, ale żeby nie stracić kontaktu, to może wybrałabyś się jutro na plażę. Póki nie ma szkoły, niech dzieciarnia ma trochę radochy. Jedziemy w paręnaście osób, same wyzwolone libijskie blond żony z rozwrzeszczanymi bąkami.

– Żartujesz sobie? Nie boicie się, taki kawał drogi? Tam jest dość odludnie, a jak coś się stanie? – nie mogę się nadziwić.

– A gdzieś ty była, moja piękna? – Basia podnosi głos. – Gdzie oni cię wywieźli?

– Nie wiem. Jakieś sto kilometrów...

– Oszalałaś!? – wykrzykuje. – Tuż pod miastem, góra dwadzieścia kilometrów od centrum, to znaczy od ciebie, jest piękna strzeżona plaża dla cudzoziemców i nowoczesnych libijskich rodzin. Nazywamy ją Czeszką, bo odkryli ją właśnie Czesi, lekarze i pielęgniarki, którzy pracowali w pobliskim szpitalu. Są tam ratownicy, jest kafejka, restauracja, prysznice, a nawet plac zabaw dla dzieci. Mieścina nazywa się Tadzura, żebyś wiedziała, gdzie się wybierasz. Musisz zacząć zapamiętywać nazwy, kochanieńka, bo na razie błędzisz jak dziecko we mgle.

– Nie słyszałam o tym miejscu. Tadzura, będę pamiętać.

– Jutro jesteśmy u ciebie o dziesiątej – oświadcza Ewka. – Nie za wcześnie?

– Skąd, świetnie, w końcu coś się dzieje.

Tak jak obiecała, zajeżdżają po mnie w cztery samochody, aż po dach zapakowane dzieciarnią i sprzętem. Wszystkie kobiety mają blond włosy i mniej więcej po trzydzieści, czterdzieści lat. Noszą krótkie spodenki, szerokie bluzki lub podkoszulki i sandały. Zupełnie nie przejmują się tym, że wzbudzają niezdrową sensację. Przechodnie aż się zatrzymują, żeby się na nie pogapić. Obawiam się reakcji rodziny, bo czuję ich spojrzenia zza na wpół zasłoniętych okien. Może uznają to za rozpustę i będzie to ostatni gwóźdź do trumny dla naszego małżeństwa, ale jeśli ma ono bazować tylko na strachu i moim niewolniczym oddaniu, to lepiej je zakończyć. Ze śmiechem pakuję się do auta, a wniebowzięta Marysia dokazuje z dziećmi na tylnym siedzeniu. W końcu ma z kim pogadać po polsku.

– Nic się nie bój, po południu, po meczecie dojadą do nas mężowie, nie będziemy takie całkiem samotne i porzucone – widząc moją niepewną minę, pociesza mnie nowo poznana Bożenka. – Może twój też do nas dołączy?

– Wyjechał, ale może następnym razem...

– Pewnie, pewnie – mówi z uśmiechem na ustach. – Tylko nie daj mu za często wyjeżdżać, bo przyjdzie moment, że już nie wróci. – Patrzą na nią z przerażeniem. – Zapytaj Zośki albo lepiej nie – rechocze. – Po paru głębszych sama ci wszystko opowie.

– To po co ona tutaj jeszcze siedzi? – nie mogę się nadziwić.

– Kobieto, młoda jesteś, to i życia nie znasz. Ona pochodzi z jakiejś podhalańskiej zabitej dechami wiochy. Wracalabyś w takie miejsce? – pyta z przekąsem. – A tutaj jest panią na włościach, w dalszym ciągu żoną, i to dyplomaty, jeździ sobie wypasionym autem i ma tyle szmalu, że żadna z nas nie byłaby w stanie tego wydać. No, może ja i Baśka, bo mamy fantazję – opowiada Bożena, prowadząc samochód jedną ręką, a w drugiej trzymając zapalonego papierosa.

– Jedzie z nami?

– A po co? Jaśnie pani już grzeje miejsce na plaży – wykrzywia pogardliwie usta. – Ty dopiero co przyjechałaś, nie? – zmienia temat. – I co, możesz sobie wyobrazić na dłuższą metę życie w tym kraju mlekiem i miodem płynącym? – pyta zaciekawiona.

– Ja wiem...

– Ciężko jest, ale w grupie łatwiej. Mam nadzieję, że masz normalnego chłopa, a nie

jakiegoś oszołoma tradycjonalistę.

– W Polsce było inaczej, też były problemy, ale... Tutaj się zmienił. Chyba nie znam mojego męża, nic o nim nie wiem. Coraz bardziej szokuje mnie jego zachowanie – wyznaję szczerze.

– To niedobrze, nawet bardzo źle – mówi zde gustowana. – Jak miałaś jakieś wątpliwości, to nie trzeba było tu przyjeżdżać. Kobieto, to nie przelewki! Na razie sprawdzaj go, obserwuj, a jak coś ci nie będzie grało, to od razu spierdalaj! Nie czekaj za długo, bo potem, to może już być musztarda po obiedzie – wykrzykuje, a ja wybałuszam na nią oczy.

– Co ty mówisz? Przecież zawsze mogę się spakować i wyjechać – denerwuję się.

– Ty chyba z księżycą spadłaś! – Bożena wścieka się nie na żarty i taksuje mnie wzrokiem. – Masz paszport dziecka i swój? Masz?

– Nie, a po co? Ahmed trzyma w bezpiecznym miejscu. – Czuję, że serce zaczyna mi łomotać.

– Tak, nawet bardzo bezpiecznym, nigdy nie znajdziesz. A czy wiesz, że aby dziecko wyjechało z kraju bez ojca, potrzebna jest jego zgoda? To jeszcze mało, bo taki papierek bardzo łatwo można sfałszować. Tatuś musi osobiście stawić się na lotnisku czy jakimkolwiek innym przejściu granicznym i powiedzieć celnikowi: tak, niech spierdalają.

– A co to za problem?

– Kłopot w tym, że oni bardzo kochają swoje dzieci. Więc jeśli kobieta chce odejść, to proszę bardzo, w każdej chwili, ale dzieciaki musi zostawić mężczyźnie. Takie jest muzułmańskie prawo.

– Ale...

– Koniec i kropka. Bez dyskusji. – Uderza się ręką w udo i zapala następnego papierosa. – To znaczy, że jak on zwęszy pismo nosem i domyśli się, że chcesz go porzucić, musisz zdawać sobie sprawę, że zostawiasz też dziecko.

– Ale ja się nie zgadzam, to nie są moje przepisy, mnie nie obowiązują, nie jestem muzułmanką i już! Każdy sąd przyzna dziecko matce! – wykrzykuje przerażona.

– Słuchaj, ciebie to w ogóle nie dotyczy – mówi już spokojnym głosem Bożena, dziwiąc się zapewne mojemu wybuchowi. – Masz młodego męża, którego musisz sobie jedynie odpowiednio ustawić i wychować – śmieje się, usiłując rozluźnić napiętą atmosferę. – Ja tylko chciałam cię uprzedzić o takiej ewentualności, żebyś wiedziała, gdzie żyjesz i co może się zdarzyć. Tak że postępuj rozważnie ze świadomością ewentualnych konsekwencji i nigdy nie stawiaj sprawy na ostrzu noża. Ledwo łapię oddech. Nie wiem, czemu tak się tym przejmuję, trzeba przestać dramatyzować i spokojnie czekać na powrót Ahmeda. Przecież potem jak zawsze wszystko wróci do normy. Nie wyobrażam sobie, że mogłoby być inaczej.

Teraz już codziennie jeździmy nad morze i dni zaczęły płynąć jeszcze szybciej.

– Słuchaj, Dorota – mówi Basia z ustami pełnymi soczystego arbuza. – Ty musisz się jakoś usamodzielnąć.

– A mianowicie? – pytam ciekawa, co też dla mnie wymyśliła.

– Zrób w końcu to cholerne prawo jazdy, a później znajdzie ci się jakiś mały niedrogi samochodzik. Twój stary będzie miał niespodziankę na przywitanie.

– Tak, tak, dobry pomysł – popierają wszystkie koleżanki. – Bez auta jesteś tutaj jak niewolnica Isaura.

– Ja chyba nie mam talentu – oponuję, bo nie jestem pewna reakcji Ahmeda. Obawiam się, że nie będzie zadowolony z mojej samodzielności.

– Co ty, to betka! – wykrzykuje impulsywna Bożena. – Każdy umie, tylko niektórzy o tym nie wiedzą.

– Łatwo ci mówić – popiera mnie Zosia. – W ilu rajdach brałaś udział? Ile lat pracowałaś jako taksówkarka?

– Aaa, to dlatego prowadzisz na takim luzie. – Kiwam głową ze zrozumieniem.

– Tak czy siak, trzeba spróbować – kończy dyskusję Basia.

– Ale ja się boję! I nie mam pieniędzy! – używam ostatecznego argumentu.

Kupka banknotów, którą trzymaliśmy w szufladzie w sypialni na tak zwane domowe wydatki, prawie całkowicie stopniała. Nie mam pojęcia, co zrobię, kiedy te oszczędności się wyczerpią. Mam iść do jego matki i prosić o kieszonkowe? Jak on mógł mnie tak zostawić – samą w obcym mieście, obcym środowisku i bez środków do życia. Dziewczyny posmutniały i patrzą na mnie z wyrozumiałością i współczuciem.

– Chodź, przejdziemy się. – Czuję mocną dłoń Basi na swoim ramieniu. – Kiedy on w końcu wróci? – po chwili pyta bez ogródek. – Zostawił cię w domu matki bez grosza przy duszy? To jakieś straszne świństwo!

– Miałam trochę pieniędzy, ale już się kończą. Mam iść do nich i pytać, kiedy mój mąż wróci i co się z nim dzieje?

– Nie. Musisz udawać, że mało cię to obchodzi. Wtedy najbardziej mu dopieczesz.

– On chyba chce mi pokazać, że bez niego jestem nikim i zginę marnie.

– Dlatego musisz udowodnić, że świetnie dajesz sobie radę. Jesteś z nim, bo chcesz, a nie dlatego, że musisz. – Baśka zatrzymuje się i intensywnie myśli. – Trzeba rozejrzeć się za pracą dla ciebie.

– Ha, łatwo powiedzieć! Ja mam ledwo maturę.

– Takich też potrzebują – rozprasza moje obawy. – Nic się nie bój, coś wymyślimy.

– Poważnie? Przecież ja nic nie umiem.

– Daj spokój! Traktujesz siebie zbyt surowo! – Patrzy mi prosto w oczy. – Sprzątać umiesz?

– No pewnie!

– Pobawić się z dziećmi umiesz?

– Gadanie! – wykrzykuję ze śmiechem, bo czuję, że ona już ma plan.

– Prawdopodobnie dostanę fuchę w ambasadzie i wiem, że potrzebują jeszcze jednej osoby. Nie proponowałam tego nikomu, bo w sumie to one wszystkie są strasznie leniwe i rozlazłe. – Wskazuje głową nasze polonijne koleżanki. – Skończyłoby się tak, że ja sama musiałabym odwalać całą brudną robotę i jeszcze dzielić się pieniędzmi. Ale ty jesteś w patowej sytuacji, na tyle zdesperowana, że się postarasz. Mam rację?

– Bardzo się postaram, strasznie się postaram, wypruję sobie żyły! – krzyczę jak szalona i podskakuję w miejscu. – Basiuniu kochana, życie mi ratujesz! – W euforii zarzucam jej ręce na szyję.

– Daj spokój! – obrusza się, ale widać, że jest zadowolona. – Jutro przyjedziesz do mnie, to napiszemy podanie, a jeszcze dzisiaj skrobnij jakieś krótkie CV.

– Tak, tak – nie mogę uwierzyć w swoje szczęście. – A co to za praca? – pytam z ciekawości, bo w zasadzie jest mi wszystko jedno.

– Sprzątanie. – Baśka podnosi jedną brew.

– Dobrze, może być!

– Jednak nie zawiodłam się na tobie, znam się na ludziach. – Basia powoli zawraca do naszej grupy. – Ale buzia na kłódkę – ostrzega. – One są obłędnie zazdrosne.

– Jasne, ani mru-mru. – Wyciągam dwa palce, jak do przysięgi.

– Nawet mój stary o tym nie wie – mówi szeptem, pochylając się nade mną. – Poinformuje się go w odpowiednim czasie... – zawiesz głosem i głęboko się zastanawia, zabawnie

marszcząc przy tym brwi. – Powiem, jak przyniosę pieniądze do domu.

Patrzę na nią z podziwem. Stała się moim guru, gwiazdą przewodnią, moim wybawieniem.

– A potem zorganizujemy ci coś na stałe. Z tego co słyszałam, jest jeszcze aktualny wakat na świetliczankę. Jak tylko dyrektor szkoły, mój serdeczny kumpel, wróci z wakacji, zaraz go napadnę. W porządku? – mówi zadowolona, siadając wśród naszej kompanii.

– Co wy macie za tajemnice? – atakują nas dziewczyny. – Nieładnie, nieładnie! – wykrzykują jedna przez drugą. – Albo stanowimy paczkę, albo...

– To kto pożyczy Dorocie pieniądze na prawko? – wykrzykuje Baśka, zmieniając temat.

– Ja, ja, ja! – Jak na komendę wszystkie otwierają torebki i zaczynają rzucać grube banknoty na środek zapiaszczonego koca.

– To już chyba za dużo! Dajcie spokój! – wzbraniam się. – Muszę spisać, ile która dała, kobitki, ja tego nie spamiętam!

– Głupiutka, to dla ciebie, przecież musisz coś jeść! – mówi Basia, dorzucając bez namysłu plik pieniędzy.

– Na co zbieramy? Kogo wspomagamy? – Ledwo przybyły Hassan stoi nad nami i otwiera portfel.

– Młodą, Docię!

– Dobry uczynek. – Wpycha mi do ręki gotówkę. – Mam nadzieję, że Allah to widzi. – Wszyscy wybuchają śmiechem, a ja zszokowana zbieram banknoty.

Rodzina Ahmeda i on sam zeszli na plan dalszy. Mieszkam tylko w ich domu i nikt nikomu się nie narzuca. Rzadko się widujemy, a jeśli już do tego dojdzie, wymieniamy tylko zwyczajowe grzeczności. Do tej pory nikt mnie nie poinformował, gdzie jest mój mąż i kiedy wróci. I czy w ogóle zamierza to zrobić. Ja o nic nie pytam i tak sobie egzystujemy, udając, że wszystko jest w porządku. Czasami czuję na sobie czyjś wzrok. Wiem, że obserwują każdy mój krok i nie mam pojęcia, czy podobają im się moje koleżanki i czy są zadowoleni, że całe dni spędzam poza domem. Obawiam się, że nie, ale mało mnie to obchodzi. Jeszcze jakiś czas temu byłam niewyobrażalnie samotna, a teraz nie mogę się opędzić od przyjaciółek. Nigdy w życiu nie znałam takich ludzi; przejęły z arabskiej kultury wszystko to, co najlepsze – przyjacielskość, serdeczność, obłądną, wręcz chorobliwą gościnność, szczodrość, wspaniałomyślność, lecz okazują to na typowo żywiłowy i wylewny słowiański sposób. Wspaniała mieszanka.

– Dorota, brakuje jeszcze kserokopii twojego paszportu – niepokoi się Hassan, który załatwia dla mnie formalności związane z kursem prawa jazdy. – Od jutra już możesz zacząć, bo to szkoła mojego kuzyna, ale jak najszybciej donieś te papiery.

– Tak, tak, oczywiście.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Gdzie Ahmed zakopał nasze dokumenty?! Przypominają mi się słowa Bożenki i czuję dreszcz przebiegający mi po plecach. Przekopałam już wszystkie szuflady, wielką wnękową szafę, każdą walizkę i torbę podróżną. Klęska, jestem osadzona w więzieniu bez krat. Jedyne Basia będzie w stanie coś wymyślić i chcąc nie chcąc, muszę ją wtajemniczyć w moje prywatne sprawy. Biorę taksówkę, bo już przestałam się bać własnego cienia, i ruszam po radę.

– O, nasza dziecina odważyła się wsiąść do taksówki! – ze śmiechem wita mnie na progu i już sam ten fakt dodaje mi otuchy.

– Dziewczyny, zaparzyłem zieloną herbatę, chodźcie prędko. – Hassan chyba minął się z powołaniem, bo cały swój wolny czas najchętniej spędzałby w kuchni. – No i jak, znalazłaś ten paszport? – pyta na wstępie.

– Kiepska sprawa – mówię i z westchnieniem opadam na fotel.

– Zgubiłaś? Zastanów się, kiedy ostatni raz go używałaś, gdzie widziałaś? – próbuje mi pomóc.

– Na lotnisku, jak przylecieliśmy.

– Hassan, to może być poważniejsza sprawa – wtrąca się Basia.

– O cholera! – wykrzykuje mężczyzna, krzywiąc usta z niesmakiem. – Coś tam między wami szwankuje? Wiem, że to krępujące opowiadać obcemu facetowi o kłopotach rodzinnych, zwłaszcza damsko-męskich. Zostawiam was, dziewczyny. Jak będziecie chciały rady starego, doświadczonego Araba, to wołajcie. Pamiętaj, że zawsze służę pomocą. – Ścisła mnie za ramię. – Trochę takich spraw już przerobiłem i pamiętaj, że nie popieram kretyńskich poczynań moich rodaków, zwłaszcza jeśli chodzi o ich stosunek do kobiet. – Zasmucony wychodzi z pokoju.

– Jeszcze raz ci powiem, że masz świetnego męża – zwracam się do Basi.

– Wiem. Jest dobrym człowiekiem. Ale teraz powiedz mi, co zamierzasz zrobić?

– Nie mam pojęcia. Może ty coś wymyślisz?

– Zawsze znajdzie się parę sposobów na rozwiązanie sytuacji, ale wszystko zależy od tego, czy chcesz tutaj zostać i spróbować ratować swoje małżeństwo, czy wiać.

– To znaczy?

– Wariant pierwszy, polubowny: zagadujesz najbardziej przychylnego ci członka jego rodziny i pytasz, gdzie jest twój mąż i kiedy wróci. Przy okazji chowasz dumę do kieszeni i mówisz, że bardzo za nim tęsknisz i niepokoisz się. Jeśli cokolwiek do ciebie czuje, to powinien przybiec w podskokach, bo może właśnie na to czeka, na twoje zainteresowanie.

– A jaka jest wersja mniej optymistyczna? – pytam z drżeniem.

– W naszym konsulacie zgłaszasz zaginięcie paszportów, załatwiasz tymczasowe papiery dla siebie i córki, na których ktoś musi cię przesznuć przez zieloną granicę, najlepiej do Tunezji. Później już jedziesz prosto.

– Jezu, nie! – wykrzykuję przerażona. – Jeszcze przecież nie jest tak źle! Może wziął dokumenty ze sobą, a może nie myślał o nich, kiedy w pośpiechu wyjeżdżał. Leżą sobie gdzieś i czekają na lepsze czasy. Przecież on na mnie nie był jakoś szczególnie zły czy obrażony. Dostał jednego szaleńczego ataku zazdrości, a potem się nie odzywał... I sam narozrabiał, straszliwie nagnoił... – uchylam rąbka tajemnicy.

– Tak, że aż musiał uciekać? – niepokoi się Basia. – Zabił kogoś czy wszedł w narkotyki? Jak nie chcesz, to nie mów, w końcu to nie moja sprawa, ale może Hassan mógłby coś pomóc, on ma kontakty w ministerstwie.

– Poważnie? Myślałam, że ma warsztat samochodowy i dziwiłam się nawet, że chodzi do pracy w garniturze.

– Niezły numer! – Basia wybucha śmiechem. – Żyjemy z prywatizacji, bo chyba wiesz, że z państwowej posadki nie za bardzo się da, ale pozycję, kontakty i układy daje rządowe stanowisko.

– To tak jak Malika, siostra mojego męża.

– Wiem, Hassan dobrze ją zna.

Czuję jakieś niedomówienie, ale nie mam ochoty dopytywać, w jakim departamencie się spotykają i czym konkretnie się zajmują. Czasami lepiej nie wiedzieć.

– Wracając do tematu, to Ahmed nie zrobił nic niezgodnego z prawem, chyba... – ogólnikowo tłumaczę przyczyny jego wyjazdu. – Dał plamę w domu, w stosunku do jednego członka rodziny, bardzo bliskiego...

– Więcej mi nie mów, nie chcę wiedzieć. Znam to ich domowe bagno... Dużo się nasłuchiwałam i naogładałam przez te wszystkie lata. – Wzdycha zdegustowana.

Siedzimy dłuższą chwilę i milczymy. Basia patrzy na mnie ze smutkiem i trzyma mnie za

rękę.

– Co tutaj tak cicho? – zaniepokojony Hassan wsuwa głowę przez uchylone drzwi. – Miałycie gadać, a oddałyście się medytacji?

– Powinnaś pogadać z Maliką. Nie, Hassan? Ona tam chyba jest głową rodziny? – Baśka kontynuuje myśl.

– Głową to mało powiedziane. – Mężczyzna śmieje się ironicznie. – Szyją też. Jeszcze zarządcą i dyrektorem naczelnym. Udzielna królowa chabrowa!

– Daj już spokój, nie strasz dziewczyny!

– Jedynie ostrzegam, bo powinna wiedzieć, kto w jej rodzinie rozdaje karty. – Hassan mówi nad wyraz poważnie. – Powinnaś się z nią zaprzyjaźnić, o ile w ogóle jest to możliwe, i uważać na nią, bardzo uważać.

– Jeśli chcesz tutaj przetrwać, musisz być sprytna – delikatnie poucza mnie koleżanka. – Wypróbuj wariant A, na B zawsze będziesz miała czas.

– Cześć, Malika, jak zdrowie? – zaczynam ze ściśniętym gardłem. – Jak tam Samira, lepiej już? A co słysząc u Muaida?

– Wszystko dobrze, w porządku – mówi oziębło. – A co tam u ciebie? Jak żyjesz?

– Dobrze, dziękuję... – Biorę głębszy oddech. – Nie wiesz może, kiedy Ahmed planuje powrót? – pytam.

Zapada niezręczne milczenie, lecz ja nie mam ochoty go przerywać. Czekam.

– A skąd niby miałabym wiedzieć? – opryskliwie odpowiada Malika. – To w końcu twój mąż, chyba ty powinnaś wiedzieć lepiej?

– Nie. Poza tym nie sądzę, żeby wyjechał przede mną... – denerwuję się.

– Jeśli między wami tak super się układało, to powinnaś znać miejsce jego pobytu i termin powrotu, nieprawdaż?

– W każdym razie, gdybyś miała z nim kontakt, to może przekazałabyś...

– Nie planuję – przerywa mi i odwiesza słuchawkę.

Siedzę na eleganckiej skórzanej kanapie u Zosi, spoglądam dookoła smętnym, niewidzącym wzrokiem i opróżniam jeden kieliszek wina za drugim. Dziewczyny postanowiły przyspieszyć imprezę na pożegnanie długiego lata, bo doszły do wniosku, że później będzie zbyt dużo spraw do załatwiania związanych ze szkołą, która tutaj zaczyna się dopiero w październiku. Na zewnątrz nadal panuje upał jak w piekarniku, a w ekskluzywnej willi jest tak zimno, że dreszcz przebiega mi po plecach. Nic mnie nie cieszy, wszystko obserwuję krytycznym okiem. Panie z Polonii reprezentują jeden typ urody i jedną grupę społeczną. Są to rześkie kobitki z polskich wsi i miasteczek, każda o niewybrednym sposobie bycia. Wyróżnia się Basieńka, która wszystkim dowodzi i usiłuje zapanować nad bałaganem i chaosem, oraz konkretna Bożena, paląca jednego papierosa za drugim i osuszająca straszne ilości wyborowej. Oprócz nas, białoliczych blondyn, w przyjęciu uczestniczy całe mnóstwo śniadych dziewczyn i aż się dziwię, że na taką zakrapianą imprezę gospodyni zaprosiła miejscowe.

– Cześć, jestem Daria. – Jedna z nich przysiadła się do mnie i jestem w szoku, słysząc jej poprawną pol szczyzną. – Co tak dziwnie patrzysz? – śmieje się. – Myślałaś, że jestem czystej krwi Libijką? – Kiwam głową na potwierdzenie jej słów. – To masz niespodziankę!

– Ale ojciec...

– No pewnie, że tutejszy, a moja mama to ta starszawa blondyna.

– Ja jestem Dorota. – Wyciągam rękę.

– Wiem, tutaj nowinki rozchodzą się błyskawicznie. Nie siedź tak i nie zapijaj się winkiem, bo to nic nie da. Powinnaś się rozerwać, chodź, potańczymy. – Ciągnie mnie za rękę.

– Z kim? – dziwię się.

– Ze mną, to babski bal i świetnie dajemy sobie radę bez samców – chichocze.

– Może za chwilę – usiłuję się wymigać.

– Jak chcesz, w końcu cała noc przed nami. – Biegnie do sąsiedniego pomieszczenia, z którego dochodzą piski, widać błyskające światła i kolorowy dym. Dyskoteka z prawdziwego zdarzenia. Tak brakowało mi zabawy i tańca, a teraz nie mam ochoty się ruszyć. Stawiam sobie przy nodze butelkę wina i zaczynam ją osuszać. Postanowiłam się dzisiaj upić – może pod wpływem alkoholu przyjdzie mi do głowy jakiś szalony, niezwykle, ale dobry pomysł. Zaczynam czuć szum w głowie i od razu robi mi się lżej na sercu.

– Hej, samotnico! – Bożena z wypiekami na twarzy z całego rozpędu pada na kanapę. W jednej ręce trzyma szklaneczkę i papierosa, w drugiej opróżnioną częściowo butelkę wódki. – Przystań pić to gównu, pokaż, dziewczyno, że masz jaja. – Stawia przede mną umazany kieliszek, napelnia go i wręcza mi. – Na pohybel głupim sukinsynom! – wznosi toast i uderza w moje szkło. – Dawaj, dawaj, do dna, kwiatuszku. – Śmieje się gardłowo.

– Masz fajkę? – Pochylam się w jej kierunku. – Trzeba to przepalić.

Podaje mi skręta, który kopie tak, że nie można złapać tchu. Nigdy czegoś tak mocnego nie paliłam i po chwili moje postrzeganie świata zmienia się diametralnie. Odpływam. Po paru toastach mamy z Bożenką na tyle dobre humory i wzmocnione siły, że chwiejnym krokiem, trzymając się pod pachę, wkraczamy na parkiet. Tam częstują mnie piwem, likierem i znowu wódką. Wszystko zaczyna wokół mnie wirować i rozmazywać się. Szczególnie dziwna staje się podłoga, jakbym chodziła po wacie umykającej spod nóg.

– Dorota – jak przez mgłę słyszę ostry głos Baśki. – Idziemy do kuchni napić się kawy. – Ciągnie mnie w swoim kierunku.

– Ale ja nieeee chcę. – Z całej siły zapieram się nogami. – Daj mi się zabawić!

– Zostaw ją i przestań w końcu wszystkich musztrować – staje w mojej obronie wstawiona Bożena.

Pod krytycznym wzrokiem Basi szampański humor i pijacka fantazja ulatują ze mnie i chcę trochę odpocząć. Wtaczam się na wolne miejsce na kanapie i nieopatrznie znajduję porzuconą butelkę z czerwonym winem. Nie wiem, jak daję radę, ale przechylam ją i opróżniam prawie jednym haustem. Po chwili robi mi się nieziemsko smutno, czuję się wyizolowana, niezrozumiana i tragicznie samotna. Łzy napływają mi do oczu i staczają się po policzkach i szyi, aż za dekolt.

– Chcę do domu, do mojego domu – dochodzi mnie czyjeś nienaturalne zawrośnięcie.

Czuję mocny uścisk pod pachą i chwiejnym krokiem zostaję zawleczona do łazienki.

– Czyś ty zwariowała, Dorota?! – ostry głos rozrywa mi bębunki w uszach. – Musiałaś już na pierwszym spotkaniu tak się skompromitować! I jeszcze ja ciebie tutaj przyprowadziłam! Dziękuję ci bardzo! – wykrzykuje.

Nagle podtrzymujące kleszcze wokół ramienia luzują się, a ja jak worek kartofli padam na posadzkę, zawadzając głową o umywalkę. Otrzeźwia mnie ostry ból w czaszce.

– Jezus Maria! – w powietrzu unosi się histeryczny, piskliwy krzyk.

Jeszcze próbuję oprzeć się na rękach, lecz szum w uszach oraz obolała głowa mi nie pozwalają. Ponownie padam jak długa i wyjętą wniebogłosy.

– Dawajcie ją pod zimną wodę! Pod prysznic z nią! – słyszę dyrektywy wydawane przez Baśkę.

– Aaaa! – wrzeszczę oszołomiona lodowatym strumieniem. Próbując się bronić, macham rękami i zalewam wszystkich dookoła. Daria wchodzi do wanny i usiłuje mnie w niej przytrzymać. Już trochę bardziej trzeźwym wzrokiem spoglądam po otaczających mnie, wydłużonych ze zdziwienia twarzach. Z uczuciem ulgi stwierdzam, że żadna nie jest całkowicie

trzeźwa i wszystkie wyglądają dość nieświeżo.

– Pokaż mi to. – Bożena pochyła się nad moim czołem i delikatnie go dotyka. – Do szycia – mówi, obracając się w kierunku zgromadzenia.

– Coś ty? – niewyraźnie bełkoczę.

– Dzwonię po starego – nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, Bożena informuje całkiem już teraz przytomne uczestniczki szalonego przyjęcia.

Pozostawiają mnie leżącą bezwładnie w wannie, bo chyba tu jestem najbezpieczniejsza, a cała reszta kobiet debatuje. Najmniej wyraźną minę ma Bożena, pewnie jej mężowi nie spodoba się, że uczestniczy ona w pijackich burdach. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal, a teraz zobaczy cały ten syf i rozgardiasz.

– Do roboty, baby!!! Mamy dziesięć minut! – Baśka ryczy kolejną komendę, widać, że to żona wojskowego.

Przez uchylone drzwi widzę tylko migające sukienki i podeszwy butów. Po chwili wpadają do łazienki i chyba we cztery tachają mnie z wanny na podłogę. Jestem jak z gumy i nawet na siedząco trudno jest mi utrzymać pion. Na wariata zmieniają mi ubranie, osuszają włosy, do krwawiącej rany na czole przykładają podpaskę Always i transportują do salonu, który, o dziwo, pachnie lawendą i jest w idealnym porządku. Na błyszczącej ławie stoją ciasta i kawałki pizzy oraz szklanki z colą. Patrzę na nie z nieklamany podziwem, a one wybuchają śmiechem.

– Przepraszam – szepczę już przytomniej.

– Żeby mi to było ostatni raz – poważnie mówi Basia.

– E tam! Każdemu może się zdarzyć – ze zrozumieniem stwierdza Bożena. – Byle rzeczywiście nie za często.

– Dzięki tobie mam ekspresowo posprzątane mieszkanie. – Zosia jest całkiem zadowolona. – Nic się nie przejmuj, młoda jesteś, to i głupia. – Teraz wszystkie wybuchają gromkim śmiechem i w tej samej chwili do salonu wchodzi przysadzisty, misiowaty Arab w zielonym chirurgicznym uniformie.

– Komu tym razem trzeba przyszyć głowę? – pyta dowcipnie, jednocześnie obejmując i całując Bożenkę.

Obserwuję naszą sypialnię przez na wpół przymknięte powieki. Wszystko mnie boli, dosłownie nie mogę ruszyć nawet małym palcem, nie mówiąc o głowie, którą prawie mi rozsadza. Nie wiem, czy to kac, nigdy dotąd go nie miałam, czy raczej rezultat wypadku w łazience. Odnotowuję jakiś ruch i powoli obracam głowę w stronę balkonu. Czyżby to była Marysia? Coś za cicho jak na nią. Otwieram szerzej oczy i widzę znajomy cień na tle jaskrawych promieni słońca.

– Nieźle się zabawiałaś pod moją nieobecność – ironicznie stwierdza Ahmed.

Akurat dzisiaj diabli go nadali! A może rodzinka poinformowała go o mojej całonocnej nieobecności?

– Poznałam parę cudownych Polek, które szczęśliwie żyją ze swoimi mężami Libijczykami. Wprowadzają mnie w tutejsze realia – usprawiedliwiam się jak mała dziewczynka.

– Widzę, no, no, dość aktywna działalność – nadal szydzi.

– Przepraszam cię bardzo! – Zła i całkowicie już rozbudzona siadam na łóżku. – Ty sobie poszedłeś, nie wiadomo gdzie, nie wiadomo na jak długo i nie wiadomo z kim, zostawiasz mnie samą i sądzisz, że to w porządku?! Jeszcze do mnie masz pretensje!?! – wykrzykuję. W tym samym momencie Ahmed przyskakuje do mnie, chwytając za nocną koszulę tuż pod gardłem i otwartą dłońmi zaczyna okładać na odlew.

– Ty suko, ty zdiro, cały czas starałaś się zamydląć mi oczy! – krzyczy na całe gardło. – Jesteś zwykłą ladacznicą, ścierwem prosto z ulicy... – Uderza jeszcze mocniej.

Nie czuję bólu, nie krzyczę, nie wyrywam się i nie płaczę. Moją wannę łez już wylałam, a psychiczne tortury osłabiają inne odczucia. Patrę na niego szeroko otwartymi oczami i nawet ich nie mrużę pod spadającymi jak grad razami.

– Co, przyjemnie ci!? Musiałas aż tutaj przyjechać, aby się szlajać, nie wystarczyło w Polsce. Już raz ci wybaczyłem...

– Co ty mi niby miałeś wybaczać?! Ty idioto! Ty chory psychicznie człowieku. – Tego już jest za wiele, biorę zamach i z całej siły walę go z pięści prosto w nos.

Leci na plecy i ciągnie mnie za sobą, bo ani trochę nie osłabia uchwytu. Padamy na podłogę, lecz ja, czując ogromne zagrożenie, oswobadzam się i staję błyskawicznie na nogi. Ahmed, leżąc, dotyka nosa i spogląda na krew spływającą mu po palcach. Boję się aż do utraty tchu, ale zamiast uciekać, stoję jak zamurowana. Teraz już chyba mnie zabije.

– Miałem rację, pięściami próbujesz udowodnić swoją niewinność – mówi cicho, z satysfakcją. Siadam na brzegu łóżka i smutno zwieszam głowę. To wszystko nie ma sensu, nigdy w życiu się nie dogadamy.

– Poznałam kobiety, zameżne, dzieciate i razem z nimi spędzałam czas. Tyle – informuję go spokojnie. – Nic więcej nie mam ci do powiedzenia, a jeśli chcesz układać sobie jakieś historyjki, to już twój problem – kieruję te słowa przed siebie, nawet nie zwracając twarzy w jego kierunku.

– Jesteś perfidną, zakłamaną babą. – Wstaje i zmierza do drzwi. – Nie mam ochoty cię oglądać. Brzydzę się tobą. W całym pokoju jeszcze czuć odór wódki, łeb masz rozwalony i ty twierdzisz, że niewinnie spędzałeś czas.

– Gdybyś tutaj był, wcześniej poznałbyś te dziewczyny i odwiózł mnie na babski bal, tak jak ich mężowie. Oni są zadowoleni, że ich żony mają towarzystwo i mają z kim pogadać. Jakoś im to nie przeszkadza, a wręcz przeciwnie – tłumaczę jeszcze, bo kiedy przestaniemy rozmawiać, czy nawet się kłócić, to rzeczywiście będą mogła zacząć pakować walizki.

Ahmed, z wielkim smutkiem w oczach, zatrzymuje się i opiera o framugę.

– W jednych sferach tak się zachowują i prowadzą, w drugich inaczej – mówi.

– To nie są byle chłystki! – żywo reaguję. – Jeden dyplomata, drugi lekarz, a mąż Ewy, Hassan Nazim, pracuje w ministerstwie i nawet zna Malikę.

– Hm... – Ahmed wykrzywia wargi i wygląda, jakby chciał do mnie podejść.

– Możliwe, że ty też ich już gdzieś poznałeś. – Pełna nadziei zrywam się na nogi.

– Hassan... to rzeczywiście przyzwoity chłop. – Podchodzi do mnie i delikatnie dotyka mojej ręki. – Ładnie wyglądamy, nie ma co – stwierdza na koniec. – Idealna rodzinka.

Siadamy na łóżku i patrzymy na nasze pokancerowane twarze. Ani słowa nie mówimy o Samirze i o tym, co Ahmed jej zrobił. Ja nie chcę, a nawet więcej – panicznie boję się tego tematu. Może to się nie zdarzyło, to był tylko zły sen. Boże, on nawet z rozwalonym nosem tak nieziemsko mi się podoba. Nasze oczy się spotykają i zatapiają w sobie, najpierw uśmiechamy się półgębkiem, później coraz szczerzej, a na koniec wybuchamy histerycznym śmiechem.

Opieka ambasady

Termin podjęcia pracy w ambasadzie upływa dzisiaj. Drzę ze strachu, że świeżo załagodzona sprawa z Ahmedem znów się zaogni, lecz Basia zdecydowanie odradza mi informowanie go o dorywczej robocie.

– Będzie cię to kosztowało godziny karczemnych awantur i nie wiadomo jeszcze czego. – Patrzy na mnie ze współczuciem, bo gruba warstwa fluidu kiepsko skrywa ślady razów. – Ani się obejrzysz, a będzie po wszystkim i w kieszeni wyląduje ci parę groszy na czarną godzinę. Gdybyś miała podjąć pracę na stałe, rozumiem, powinien wiedzieć i wyrazić na to zgodę, ale na cztery tygodnie, dziewczyno, szkoda zachodu.

– Ale jednak... – waham się. – Pomyśli, że coś ukrywam, że robię coś złego. On jest taki podejrzliwy...

– Coś ty narozrabiła, dziewczyno, że tak nie ma do ciebie zaufania?

– Jak na razie to tylko on dawał gościnne i lokalne występy, i to on ma się czego wstydzić.

– To ja już zupełnie nie rozumiem. Może mierzy cię swoją miarką, ale to niedobrze, nie chcę być złym prorokiem, ale...

– To nie bądź! – przerywam jej w pół słowa, nie chcąc znać dalszego ciągu. – Wymyśl coś pozytywnego, ty to potrafisz. Basiuniuuu... – Składam ręce jak do modlitwy.

– Zobaczymy, co da się zrobić, ale teraz pędźmy, bo niezbyt dobrze wypadniemy, spóźniając się pierwszego dnia.

Przyciskamy liczne dzwonki, lecz nikt nie ma zamiaru nas wpuścić. Różne głosy informują nas, żeby panie poszły do bramy numer dwa, a teraz do następnej, a może od drugiej strony i tak dalej. Spanikowane biegamy jak głupie dookoła muru ambasady.

– Czy ktoś tam w ogóle jest w stanie wejść? – pytam trochę już zezłoszczona.

– Daj spokój! Jest do dupy, wiem, traktują cię jak robaka. Dlatego Hassan nie chce, żebym tutaj pracowała. – W tej chwili wielka rozsuwana brama staje otworem i pojawia się w niej samochód. Biegniemy ile sił w nogach i delikatnie stukamy w maskę.

– Co ty, Baśka, do cholery, wyprawiasz?! – burczy ze środka zniecierpliwiony męski głos. – Ile ja mam na ciebie czekać? Zrób komuś dobrze, a spotka cię kara.

– Jest dziesięć minut po czasie, a my przez ostatni kwadrans goniłyśmy dookoła, bo nikt nie miał ochoty nas wpuścić – odpowiada Basia, nie dając się zastraszyć. – Dlaczego dyżurny nie wiedział, że ktoś ma się zgłosić? Przecież wszyscy mnie znają, nie jestem tutaj pierwszy raz.

– Bajzel, jak zawsze bajzel. – Gruby mężczyzna cofa samochód z powrotem do środka, a my potulnie wchodzimy za nim. – Z tego masz zadzwonić pod numer trzynaście – oziębło informuje, pokazując wielkim paluchem na aparat przytwierdzony do ściany budynku. – Facet, który się zgłosi, będzie ci otwierał pomieszczenia do sprzątnia. Ja muszę już lecieć.

– Przepraszam, przepraszam cię bardzo! – Basia w biegu chwyta go za rękaw pomiętego taniego garnituru. – Ale czy ten człowiek wie, co ja tutaj mam robić, czy jest uprzedzony?

– No pewnie – burczy spocony grubas.

– Czy ja nie potrzebuję jakiejś przepustki, jakiegoś papierka? Nie dostałam też umowy. Wiesz, Krzysiu, nie chciałabym, żeby mnie ktoś tutaj zastrzelił za wtargnięcie na teren placówki dyplomatycznej.

– Cały czas kłopoty. – Mężczyzna znowu burczy i patrzy na nas bokiem.

Zostaje jednak zmuszony do działania i wykonuje jeden telefon. Widać taki ma uroczy sposób bycia, bo teraz krzyczy na człowieka po drugiej stronie linii.

– Już schodzi – mówi, odwracając się do nas plecami. – A ty, Baśka, nauczyłaś się manier i przedstawiała na drugi raz nieznanne osoby.

Po tych słowach, nie czekając na naprawienie gafy, wsiada do wielkiej, czarnej, rozsypującej się limuzyny i odjeżdża. Obracamy się tyłem i zaśmiewamy do łez, prawdopodobnie w ten sposób rozładowując stres i zażenowanie, bo przecież w zaistniałej sytuacji nie ma nic zabawnego.

– Wszyscy mają wolne popołudnia, tylko ja, jak niewolnik, muszę siedzieć w tej pieprzonej ambasadzie i wszystkich obsługiwać – słuchamy monologu dyżurnego, który w końcu się ulitował i wprowadza nas w zakazane rewiry. – Najpierw otworzę dół, a jak skończycie, przejdziecie na górę. Nie dotykać puszek ani żadnych przycisków, bo włączy się alarm i będzie chryja.

Uwijamy się jak w ukropie, bo straciłyśmy już dość czasu. Po niedługiej chwili cały parter błyszczy i pachnie środkami dezynfekującymi, my zaś mamy bordowe policzki i ledwo łapiemy oddech.

– Dobra, dalej. – Basia ociera pot z czoła i zmierza do telefonu. – Skończyłyśmy już, czy możemy kontynuować na pozostałych piętrach? – pyta grzecznie dyżurnego.

Nie patrząc na nas, mężczyzna zamyka pomieszczenia i włącza dodatkowe alarmy, wbijając jakieś kody do czarnych skrzyneczek. W trakcie tej czynności zasłania je dosłownie własną pierśią. Wygląda przy tym głupio i zabawnie.

– Gabinet ambasadora i spadacie! – mówi znanym nam już tonem. – Ja nie będę się z wami bujał całe popołudnie i może jeszcze wieczór.

– A konsulat? – Basia zna się na rzeczy i chce dobrze wykonać powierzone jej zadanie.

– Co? – facet już wrzeszczy. – Jeszcze czego! Niech się sami tym zajmą!

Po tych słowach zatrząskuje za sobą drzwi do prywatnego mieszkania.

Z rozwianym włosom wpadam do gabinetu ambasadora.

– A co pani tutaj robi?! Kim pani jest?! Jak się pani tutaj dostała?! – zostaję zasypana gradem pytań.

– Przepraszam, ja tutaj tylko sprzątam – mówię grzecznie.

– Kto panią o to prosił?!

Stoję na środku bogato urządzonego gabinetu i patrzę na małą męską pokrakę rozwaloną w wielkim skórzanym fotelu i popijającą sobie spokojnie whisky z filiżanki na herbatę. Do połowy wypita butelka stoi obok.

– Dzień dobry, panie ambasadorze – interweniuje obyta w świecie Basia. – Mamy zgodę z centrali na zastępstwo za sprzątaczkę, które aktualnie są na urlopie. Podpisywał pan nasze podania.

– Ja... – zaczyna już mniej pewnie. – Nie przypominam sobie. Proszę mi tutaj wezwać administracyjnego.

– Ale on już dawno pojechał do domu.

– Co?! – wrzeszczy piskliwie ambasador. – To wy sobie tutaj tak chodźcie?! Może jeszcze zostawił wam klucze? Wezwać mi tutaj kogoś! – rozkazuje głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ale jak?

– Aaaa... Wszystko muszę robić sam. – Podnosi słuchawkę i wybiera kolejne numery wewnętrzne. Oczywiście o tej porze nie ma szans na znalezienie w biurach kogokolwiek. – Panie konsulu złoty, dobrze, że pan jest. – W końcu znajduje ofiarę. – Nie w ambasadzie? A daleko? To komórka, aha. Bo ja mam wielki problem, który musimy rozwiązać natychmiast. Poczekamy, poczekamy, tylko niech się pan pospieszy, bo biedny ambasador już w ogóle nie wyjdzie z pracy.

O kim on mówi, czyżby o sobie? Stoimy z Basią na środku gabinetu i nikt nam nawet nie zaproponuje, żebyśmy sobie gdzieś przycupnęły. Mały wielki człowiek lustruje nas wzrokiem, co chwilę sięgając po filiżaneczkę. W końcu do gabinetu wpada uśmiechnięty młody mężczyzna.

– Już jestem, przepraszam bardzo, że tyle to trwało, ale straszne korki na mieście – usprawiedliwia się, mimo że w ogóle nie powinno go tutaj być.

– Trudno, trudno. – Bezczelny szef patrzy na niego karcącym okiem. – Co te kobiety tutaj robią? Napadają na ambasadora?

– Od dzisiaj pracują za Krysę i Alę. Ktoś musi sprzątać przez miesiąc ich urlopu, bo zginiemy w śmieciach.

– To czemu ambasador nie został o tym poinformowany? – kontynuuje trzecioosobowy styl wypowiedzi.

– Mmm... – Konsul nie wie, co ma powiedzieć, bo prawdopodobnie mógłby tylko stwierdzić, że jego szef w momencie podpisywania dokumentów był akurat w alkoholowej demencji. – Gdzieś nam to umknęło – mówi dyplomatycznie.

– Żeby mi to było ostatni raz. – Ambasador udziela nagany Bogu ducha winnemu człowiekowi. – A teraz proszę je stąd zabrać – wykonuje lekceważący gest ręką w naszą stronę. – Ambasador jeszcze trochę musi popracować, już dość czasu stracił na jakieś pierdoły.

– Czy ty musisz tam się tak wpychać! – słyszę podniesiony głos Hassana. – Wyrzucają cię drzwiami, a ty walisz oknem! Co za kobieta!

– Przerabialiśmy to nie raz. – Basia mówi nad wyraz spokojnym głosem. – Jeśli się nie uda, nie należy rezygnować, ale próbować ponownie. Przecież mnie znasz, tak łatwo się nie poddam.

– Powiedz mi tylko jedno. Po co ci to?

– Wszystko się zmienia. Dzisiaj jest polska szkoła i zarabiam jako pani nauczycielka, a jutro mogą ją zlikwidować i będzie kiepsko. Wiesz, że w żadnej arabskiej firmie mnie nie zatrudnią, chyba jedynie jako sprzątaczkę, ale na to nawet w najgorszej sytuacji bym się nie zgodziła. Ambasada była, jest i będzie, raczej jej nie zamkną. Ja, kotku, myślę przyszłościowo. Żyjemy tutaj i dobrze by było, żebym zawsze miała pracę, nawet parę groszy się przyda. Zwłaszcza że dzieci rosną, pójdą na studia, może będą chciały wyjechać na stypendium za granicę. To wszystko kosztuje. Ja chcę ci tylko pomóc, wiem, że dasz radę sam, ale po co samotnie dźwigać kierat, kiedy można robić to we dwójkę. Łatwiej i przyjemniej. – Słychać cmok i głośny śmiech Basi. – No co ty, łobuzie, za chwilę przychodzą goście.

Stoimy z Ahmedem w połowie przyciemnionej klatki schodowej i patrzymy na siebie rozbawieni. Nie wiemy, czy iść teraz na górę i psuć naszym gospodarzom dobry, szybki seks, czy po cichutku wyjść i pójść na chwilę na kawę albo lody. Odwracamy się i na palcach biegniemy truchcikiem w stronę wyjścia. Nagle w otwartej na oścież bramie staje Marysia.

– Aaaa, państwo już jesteście! – krzyczy. – Wchodźcie, zapraszam.

Dziewczyna wbiega do domu i skacząc po dwa stopnie, pędzi na piętro.

– Mamaaaa, tataaaa! – słyszymy jej wołanie i siadamy w chłodzie salonu na dole.

– Co tam Baśka kombinuje z tą ambasadą? – zastanawia się Ahmed, a mnie skóra cierpnie na grzbiecie.

– Logicznie myśli. Praca tam jest dobrze płatna i pewna. Jeśli dadzą ci szansę, podpiszą umowę, to masz posadę zagwarantowaną na zawsze, no powiedzmy do emerytury – próbuję przedstawić plusy.

– Łudzisz się, że oni zatrudnią kobiety, żony Libijczyków i dopuszczą je do wszystkich swoich tajemnic? Naiwna jesteś.

– A kto powiedział, że od razu musimy pracować dla wywiadu? Przecież jest tam wiele

stanowisk.

– Głupie jesteście, i tyle. Będą wam ciągle patrzyli na ręce, a jak najmniejszy świstek papieru zginie, wy będziecie winne. A w ogóle o czym my rozmawiamy, to nierealne.

– A wcale że nie – mówię jak dziecko, bo swoim lekceważeniem wyprowadza mnie z równowagi. – Już tam pracujemy – wypalam i poniewczasie gryzę się w język. A miałam mu to powiedzieć dyplomatycznie.

– O! Jak ładnie z twojej strony, że mnie o tym informujesz – syczy. Nie mówi więcej ani słowa, lecz miażdży mi rękę w nadgarstku. – Tak sobie pogrywasz?! – Gwałtownie wstaje i kieruje się do wyjścia.

– Ahmed, daj spokój. – Biegnę za nim. – Nie było ciebie, żeby zapytać albo wspólnie zastanowić się nad propozycją. Co, miałam odmówić? Na moje miejsce znalazłoby się sto innych dziewczyn – powtarzam słowa Baśki. – To była szansa i okazja i należało ją chwycić bez zastanowienia.

– Właśnie to zrobiłaś. Nie pomyślałaś, jak ja będę się czuł, kiedy ty knujesz spisek za moimi plecami!

– Jaki znowu spisek? – jęczę, bo kolejny raz mówi o czymś, co sobie wymyślił. – To tylko krótka czterotygodniowa fucha. Człowieku...

– Daj mi w końcu spokój! – wykrzykuje, już nie panując nad sobą. – Może właśnie tam tak miło spędzasz czas, chlejąc wodę i zaliczając szybkie numerki.

– O mój Boże. – Odwracam się do niego plecami i siadam na kanapie, bo w jednej chwili tracę wszystkie siły i chęci do życia. – To jakiś absurd. – Opieram głowę na dłoniach i zamykam oczy.

– A co wy tutaj w takich ciemnościach robicie? – Wesolutka Basia zbiega po schodach i wpada do salonu. – Cześć, my się jeszcze nie znamy. – Z uśmiechem wyciąga rękę do Ahmeda. – Chodźcie na górę, to pomożecie nam w kuchni. – Ciągnie mojego męża za sobą, nie wypuszczając go z żelaznego uchwytu. – Za chwilę przychodzi ze dwadzieścia osób, a my jak zawsze jesteśmy w proszku. *Fisa, fisa* – pogania Ahmeda, puszczając go przodem i poklepując po plecach.

Patrzy na mnie porozumiewawczo, a ja zdeglustowana kiwam na boki głową. Baśka wykonuje lekceważący gest ręką, robi jakąś głupią minę i tym wprawia mnie w lepszy humor. Wzdycham, a moja przyjaciółka pocieszająco obejmuje mnie ramieniem.

– To co? Za spotkanie. – Hassan wznosi szklaneczkę wypełnioną whisky z lodem i zamiast zabrać się do gotowania, rozsiadamy się wygodnie przy kuchennym stole.

Oczywiście wszystko jest zrobione, a Basia tylko dla kokieterii udawała, że potrzebuje pomocy. Przychodzą goście, większość z ambasady, ale oczywiście nie może zabraknąć najbliższych przyjaciółek. Zawadiacka Bożenka nawet stara się mniej palić i nie pije tyle wódki, a góralka Zosia jest damą w każdym calu. Jest bardzo miło, lecz Ahmed przez cały wieczór omija mnie wzrokiem, a gdy tylko jakiś mężczyzna chce zamienić ze mną słowo, zaciska zęby tak mocno, aż na policzku pojawia mu się pulsująca żyła.

– Ahmed, idziemy tańczyć. – Rozbawiona Baśka wyciąga go zza stołu i porywa do sąsiedniego pokoju, w którym migają choinkowe lampki i gra głośna muzyka.

– Tańce, hulanki, swawole – krzyczy tłusty Krzysiu z ambasady i porywa swoją nie mniej okrągłą żonę.

Wszyscy zrywają się od stołu i z okrzykiem na ustach zaczynają płąsć.

– Dorota, nie możesz dać się zastraszyć. – Hassan niezgrabnie przestępuje z nogi na nogę, wyginając się całkowicie nie do rytmu. – Jak on zobaczy, że jesteś jego niewolnicą, to będzie po tobie. Oddał ci paszport?

– Jeszcze nie. Mówi, że to ja gdzieś go zgubiłam, a tak naprawdę od przyjazdu nie miałam go w rękach.

– Widzisz, to pierwszy zły sygnał – życzliwie ostrzega. – Musisz się pilnować i jakby co, uciekać od niego, gdzie pieprz rośnie. Przykro mi to mówić, ale niedobrze mu z oczu patrzy.

– Najgorsza jest ta zazdrość. On sobie wymyśla jakieś chore scenariusze.

– Jeśli byś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, to wal jak w dym – mówi poważnie Hassan, mocno ściskając moje palce.

– Dzięki.

– Ja nigdy nie rzucam słów na wiatr. Pamiętaj o tym, Dorota.

W dzień wielkiego polonijnego pikniku jest piękna, słoneczna pogoda. Przygotowania do tej imprezy zaczęły się jakieś dwa tygodnie wcześniej i teraz wszystko jest już zapięte na ostatni guzik.

– Zupełnie nie rozumiem, po co ty tam chcesz jechać. – Ahmed jak zwykle narzeka. – Nie wiem też, do czego ja ci jestem potrzebny. Jakoś ostatnimi czasy, gdy mnie nie było, świetnie sobie dawałaś radę.

– Chyba jesteśmy rodziną i, kiedy już wróciłeś, nie widzę powodu, dla którego miałabym sama gdzieś się włóczyć. Ale jeśli masz inne, bardziej atrakcyjne plany, to się nie krępuj. Nie będę płakać, ile w końcu można.

– Oczywiście, że wołałabyś pojechać beze mnie. Miałabyś wtedy niczym niezwiązane ręce – znów powraca do swojej obsesji.

– Biorę ze sobą Marysię, więc nie będę taka całkiem wolna i swobodna. Pomyśl przynajmniej o dziecku, bo będzie jej smutno, że tatusiowi nie chciało się spędzić z nami nawet tych paru godzin – uderzam w czuły punkt, bo Ahmed nadal hołubi naszą córkę. Przynajmniej w tym wypadku nic się nie zmieniło.

Piknik organizuje polska szkoła z pomocą ambasady i oczywiście rodzin polonijnych pod przewodnictwem Basi. Na podwórzu wokół wielkiego trzypiętrowego gmachu rozstawiono drewniane ławy, na murze powieszono setki kolorowych baloników, a bar ustawiono w środku dużej klimatyzowanej auli. Dookoła muru na szerokim pasie ziemi zasadzono mnóstwo drzewek, krzewów i kwiatów. Oszałamiająco pachnie jaśmin, a róże zachwycają swoimi żywymi barwami. Widać rękę gospodarza. Jeszcze nie miałam okazji go poznać, ale Basia ponoć już z nim rozmawiała w mojej sprawie. Ahmed oczywiście o niczym nie wie i prawdopodobnie wszystko się dzisiaj sygnie. Ja nie mam pojęcia, jak z nim postępować, jak mu przedstawiać moje plany. Każda dyskusja kończy się tak samo.

– Czy sprawiłoby ci wielki ból i kłopot, gdybym tutaj pracowała? – pytam szybko przed wyjściem z samochodu.

Ahmed uśmiecha się ironicznie i patrzy na mnie z pogardą.

– Rób, co chcesz – mówi zupełnie niewzruszony.

Gdy wchodzimy, całe zaprzyjaźnione towarzystwo jest już na miejscu.

– Wreszcie jesteście, co tak późno? – pytają, witając nas serdecznie.

Pierwszej osobie z brzegu wręczam upieczone własnoręcznie ciasto i naleśniki z nutellą dla dzieci. Każdy coś przynosi, tak jest tutaj przyjęte. Może dzięki temu nauczę się lepiej gotować.

– To jest właśnie nasz nowy narybek, Dorotka. – Basia przedstawia mnie przysadzistemu mężczyźnie w średnim wieku.

– Bardzo mi miło, że do naszego kółka różańcowego dołączyła jeszcze jedna blond piękność. – Dżentelmen ze śmiesznie opartymi na wysokim czole okularami optycznymi pochyła się i soczyście całuje mnie w rękę. – Gdybym wcześniej wiedział, to zrezygnowałbym z wyjazdu

na wakacje – adoruje mnie z miłym, lecz troszkę lubieżnym uśmiechem. – Szczęściarz z pana, panie...? – zwraca się do Ahmeda.

– Ahmed Salimi – ze stalową twarzą odpowiada mój mąż.

– Już się cieszę, że wezmę panią pod swoje skrzydełka – beztrósco kontynuuje podstarzały czaruś. – Podoba się pani nasz bastion polskiej kultury?

– Tak, bardzo. – Czuję, że muszę zmienić temat i z całej siły usiłuję wyswobodzić dłoń z lepkich rąk dyrektora szkoły. – Wspaniały budynek i taki zadbany.

– My razem z Basią, niepisaną wicedyrektor, robimy, co możemy. I chyba nam się udaje. – Zadowolony z siebie mężczyzna rozgląda się dookoła i zaciera ręce. – Ja już na pierwszy rzut oka widzę, że pani się nada – zmienia temat i wskazującym palcem puka mnie w ramię.

– Tak? – nie mogę uwierzyć we własne szczęście. – Byłabym bardzo wdzięczna, będę się starać...

– W to nie wątpię. Takie młode, delikatne serduszko akurat pasuje do naszych rozbrykanych, ale wdzięcznych maluszków. Jest pan zadowolony, panie Ahmedzie? – mówi podniesionym głosem, zwracając się do mojego męża.

– Taaa – odpowiada zagadnięty, ale nie wygląda na uszczęśliwionego. – To niby co ona miałaby tutaj robić? – pyta niegrzecznie. – Pan zdaje sobie sprawę, że ona nic nie umie. Bez wykształcenia, zero.

– Przepraszam bardzo? – Dyrektor ze zdziwienia podnosi brwi aż do połowy czoła. – Maturę masz, moje dziecko? – życzliwie zwraca się bezpośrednio do mnie.

– Tak – szepczę zawstydzona.

– Drogi panie Salimi. – Składa usta w ciup i widać, że jest wkurzony. – Nasza polska matura jest więcej warta niż niejeden uniwersytet, zwłaszcza niepewnego autoramentu.

Załatwił mojego nad wyraz wykształconego męża bez mydła, nie obrażając go czy wrzeszcząc, lecz elegancko, w białych rękawiczkach

– Droga pani Dorotko, zaczynamy piętnastego, więc proszę w tym dniu przyjechać troszkę wcześniej, żebyśmy mieli czas na podpisanie umowy. Praca w świetlicy jest od dziesiątej do trzeciej, chyba dobre godziny?

– Świetne, idealne...

– Córeczkę proszę zabierać ze sobą. W końcu zajęcia w świetlicy to takie trochę przedszkole – trochę zerówka. Nawet się jej przyda – mówi na koniec, poklepując mnie po plecach, następnie odwraca się i wchodzi między inną grupkę przybyłych. Basia zatroskana patrzy na mnie i odchodzi, zostawiając mnie sam na sam z Ahmedem.

– Jak ty się do niego odezwałeś?! – nie wytrzymuję. – Jak można być takim chamem? Kompromitujesz się – szepczę mu prosto w twarz.

– Ty już masz to za sobą. Każdy jeden stary cap może cię obśliniać po rękach, taką już sobie wypracowałaś opinię – mówi pełen jadu.

– Czy ty do reszty zgłupiałeś? Wiesz, że to polski zwyczaj. Chyba trochę mieszkałeś w moim kraju i powinienś być zauważyć. – Już chcę odejść i udać się do lepszego towarzystwa, gdy Ahmed mocno łapie mnie za ramię i przyciąga do siebie.

– Ty suko – szepcze mi do ucha. – Jeszcze się policzymy, jeszcze ci zapłacę pięknym za nadobne.

– Ty mnie? Żeby nie stało się na odwrót!

– Straszysz mnie?

– A ty?

– Więcej wydasz na taksówki, niż tutaj zarobisz – mówi z satysfakcją.

– Zrobię prawo jazdy i z pierwszej pensji kupię sobie samochód. Musisz mi tylko

łaskawie najpierw oddać paszport...

– Ha!

– Oddaj mi ten cholerny paszport! Nie powinnam się tutaj w ogóle poruszać, nie mając żadnego dokumentu. Mogą być z tego grubsze kłopoty.

– Nie włóż dupy nie wiadomo gdzie, to nic się nie stanie – jasno określa swoje stanowisko.

– Mam być twoją niewolnicą i nie wychodzić z domu?

– Masz być żoną i matką, to jest twoje zadanie, a nie jakąś podfruwajką, którą każdy może obcałowywać.

– Gdzie jest mój paszport, chcę go dostać z powrotem do ręki – ostro stawiam sprawę.

– Proszę bardzo, w każdej chwili, włącznie z biletem powrotnym do twego cudownego kraju. – Ahmed kładzie karty na stół.

– Chcesz się mnie pozbyć? – Robi mi się niewypowiedziane przykro. – To tak ci zależy na własnej córce? – próbuję zagrać na jego uczuciach.

– Nie rozmawiamy o niej, tylko o tobie – mówi, patrząc mi głęboko w oczy. – Ty możesz jechać, jak chcesz i kiedy chcesz.

– Wiadomo, że Marysia pojedzie ze mną, więc i na niej już ci nie zależy? – Prawie płacząc, bo ta do bólu szczerza rozmowa całkowicie wyprowadza mnie z równowagi.

– A kto ci tak powiedział? – Patrzy na mnie twardo i ani jeden mięsień nie drgnie mu w twarzy. – Dziecko zostaje ze mną, to chyba jasne jak słońce. – Obraca się i prawie biegiem wpada do środka budynku.

– A niby dlaczego ma być z tobą? – kontynuuję, łapiąc go przy barze z zimnymi napojami. – Każdy sąd przyzna opiekę matce, wszędzie tak jest, na całym świecie.

– I tutaj grubo się mylisz – mówi ze złym uśmiechem i patrzy na mnie z pogardą. – Nie masz pojęcia o prawie muzułmańskim, laleczko. Tutaj rządzi szarijat i basta.

– Po rozwodzie Chadidża straciła synów, ale to są chłopcy. Mężczyźni zajmują się męskimi potomkami, ale to nie dotyczy mojej dziewczynki.

– Błąd. Jeśli matka jest innej wiary, a ojciec muzułmaninem, to on zajmuje się dzieckiem obojętnie jakiej płci, aby wychowało się w swojej wierze.

– Marysia jest ochrzczona, więc jest chrześcijanką i do niej to prawo się nie odnosi.

– Znowu jesteś w błędzie. Zrobiłem jedynie grzeczność tobie i twojej upierdliwej matce, ale moja córka jest muzułmanką z krwi i kości. Po ojcu.

Ahmed nalewa sobie wielki kubek coli i ani mu ręka nie drgnie. Mówi o tym wszystkim z absolutnym spokojem, ja zaś drżę na całym ciele i prawie szczękam zębami.

– Tu jesteście. – Uśmiechnięty konsul staje między nami i obejmuje nas w pół. – Dla wtajemniczonych są inne napoje, takie dla dużych dzieci – mówi szeptem. – Jak macie ochotę, to zapraszamy.

Teraz dopiero patrzy na nasze twarze i widzi na nich złość i przerażenie.

– Przepraszam, wpadłem chyba jak śliwka w kompot. – Przygryza dolną wargę i próbuje się wycofać.

– Nie, nie, wszystko w porządku – mówię może trochę zbyt głośno, bo parę głów obraca się w naszą stronę. – Mnie się nawet przyda coś mocniejszego. – Uśmiecham się na siłę i biorę go pod ramię.

– Panie Ahmedzie, zapraszam – zwraca się do mojego męża.

Ahmed podąża za nami. W klasie, w której stoją małe szkolne ławki, zebrało się całe towarzystwo, które poznaliśmy na przyjęciu u Basi. Dołączył tylko dyrektor szkoły ze swoją przesympatyczną małżonką Anią.

– Gdzieżecie się podziewali? Za chwilę nie zostałyby dla was ani kropelki. Wszyscy mają potężne pragnienie – żartują.

Dostajemy drinki, przysiadamy na brzegach ławek i zaczyna się opowiadanie dowcipów i lokalnych ploteczek.

– Jesteście okrutni – ze śmiechem mówi dyrektor. – Cały czas trzymaliście w tajemnicy, że nam tu taki piękny młody kwiatusek wyrósł – zwraca się do mnie.

– Tak, tak, to nieładnie – śmieje się jego żona.

– Teraz to już pani, moje dziecko, nie odpuścimy. Będzie pani ozdobą każdego przyjęcia, gwarantuję. – Zbliża się do mnie, obejmuje w pół, a wszyscy dobrodusznie rechoczą, znając widać jego rubaszny styl bycia.

Później znajduje się inny temat, nastroje stają się coraz weselsze, a atmosfera jeszcze luźniejsza. Goście pikniku robią sobie kpinki i żarty z wszystkich i wszystkiego. Zaczynają się pikantne dowcipy. Postanawiam iść do toalety, a później coś przekąsić, bo same mocne drinki w takim upale nie wróżą nic dobrego.

– Masz ochotę przebywać w tym zboczonym towarzystwie, to twoja sprawa, ale beze mnie i bez mojej córki – Ahmed dopada mnie jeszcze w klasie. – Ale ci się ta rozpusta podoba! – syczy teatralnym szeptem i gwałtownie chwyta mnie za nadgarstek, przyciągając do siebie.

– Ach! – krzyczę, bo resztką napoju, włącznie z kostkami lodu, wlewa mi się za dekolt sukienki. – Dokumentnie zwariowałeś, puszczaj! – Szamoczę się z nim. Słyszę, że rozmowy za naszymi plecami cichną.

– Zachowuj się byle jak, ale się zachowuj! – Hassan przyskakuje do Ahmeda i wyciąga go z sali. – Nikt z tu obecnych nie ma w zwyczaju bić kobiet – mówi ostrym, dobitnym tonem. – W tym towarzystwie są sami cywilizowani, nowocześni ludzie i nie akceptujemy takiego zachowania. Zrozumiano?!

– Obserwowałem was i słyszałem rozmowy. Wszyscy jesteście zepsuci, na wskroś przegnici...

– A wydawałoby się, że lata pobytu za granicą powinny choć odrobinę poszerzyć ci horyzonty. – Hassan zawiesza głos i ściska wargi. – Widać niektórzy bywają niereformowalni i nigdy nie wyjdą ze średniowiecza. – Odpycha Ahmeda i bierze mnie pod rękę, asekurując w drodze do łazienki.

– No i jak tam? – pyta Baśka, siedząc ze mną w świetlicy podczas swojego „okienka”.

– Do kitu, totalna, całkowita porażka.

– Nie dał ci paszportu?

– Na tym spotkaniu polonijnym, które zakończyło się naszą kompromitacją, oznajmił mi, że nie ma problemu.

– No to dobrze. – Uspokojona Basia rozkłada ręce. – I co?

– Da mi razem z biletem powrotnym do Polski.

– Aha.

– Ale to będzie tylko mój *come back*, bo Marysia zostaje z nim.

– O jasna cholera! – Baśka wybucha. – To już jest groźna sytuacja.

– Ponoć takie jest muzułmańskie prawo. Kiedyś Bożenka mi o tym mówiła, ale ja oczywiście nie chciałam wierzyć. Powiedz, to prawda? Czy to jest możliwe?

– Hassan podejrzewał, że Ahmed jest ortodoksem albo naśladowcą.

– O czym ty mówisz?

– To Arabowie, którzy żyją według średniowiecznych kanonów wiary, ściśle według pradawnych zasad, a jedyne obowiązujące prawo to dla nich szariat. Wiesz, modlitwa pięć razy dziennie, ciągle przesiadywanie w meczecie, czytanie Koranu i przypowieści, a najlepszy temat

rozmowy to islam i prorok Muhammad. Odpowiednio też podchodzą do kobiet i obyczajów. Nas najchętniej pozamykaliby w domach i ponakrywali tymi abajami czy czadorami, a każde zabawne czy frywolne zachowanie traktują jako zepsucie i zgniliznę.

– To bzdura! – wykrzykuję, wysłuchawszy wykładu. – Totalny bezsens! On nie jest taki! Dziewczyno, on w Polsce chlał wodę jak smok wawelski, prowadził się więcej niż swobodnie, nigdy nie widziałam, żeby się modlił czy czytał Koran...

– Może tak było w Polsce. Oni często uważają, że jak są daleko od swojej ziemi, to Allah nie widzi i można robić wszystko.

– Nie! – oponuję. – Tutaj też, na początku, był całkiem normalny... – Zawieszam głos i zaczynam się zastanawiać. – Choć bywały momenty... Nawet palił trawkę! – nagle przypominam sobie i podaję jako ostateczny argument.

– A to menda! I nie bał się? Tak prowadzą się tutejsze elity, są bezkarni! W końcu wszyscy wiedzą, że syn Maliki jest narkomanem.

– Poważnie? Wiesz, tak przypuszczałam, on jest taki niezdrowo wychudzony i ciągle nieobecny duchem...

– Tak czy siak, czy twój Ahmed jest ortodoksem, czy nie, musisz się bardzo pilnować i wyłapywać wszystkie sygnały.

– Jakie znowu sygnały? – Łapię się za głowę. – Baśka, nie strasz mnie!

– Ja tylko cię ostrzegam, bo oglądałam już takie nieszczęścia, kiedy ojciec porwał matkę dziecko, a potem szukaj wiatru w polu.

– Nie żartuj! I co zrobi z Marysią? Zabije? Przecież on ją kocha!

– Wywiezie na jakiś czas, a ciebie wyekspediuje do domu. – Basia zaciska usta.

– To niemożliwe!

– Zdarzało się, więc musisz uważać. Może porozmawiałabyś z konsulem, on przerabiał sporo takich przypadków i zna Arabów jak nikt inny. Jest orientalistą.

– Boję się iść do ambasady, jakby Ahmed się dowiedział, jeszcze by nabrał jakiś podejrzeń.

– Umówię cię tutaj. Codziennie odbiera swoje dzieci ze szkoły, to będzie dobra i niewzbudzająca podejrzeń sytuacja.

– Jesteś genialna, Basiuniu, co ja bym bez ciebie zrobiła? – Zarzucam jej rękę na szyję i roztrzęsiona tulę się do niej.

– Zginęłabyś marnie, ale pamiętaj, że to ty na co dzień musisz uważać i jeśli zauważysz coś niedobrego, nietypowego, to bierz Marysię i w te pędy uciekaj.

– Dokąd? – pytam ze łzami w oczach.

– Do mnie, do szkoły, ale najlepiej do ambasady. Tam ci dziecka nie będzie mógł odebrać.

Siedzimy jeszcze dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu. Wszystkie informacje kotłują się w mojej głowie i zaczynam wspominać, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu nasze wspólne życie. Nie znajduję żadnego szczególnego sygnału, który by potwierdzał obawy Basi. To wszystko jest przesadzone. Nie może być! Mamy tylko zły okres, mały rodzinny kryzys, który jak zawsze minie.

– Mam z nim porozmawiać? – pyta konsul, wysłuchawszy mojej okrojonej opowieści.

– Nie, absolutnie, to tylko mogłoby pogorszyć sytuację. – Aż podskakuję z przerażenia.

– Jednak jeśli uznasz, że sytuacja jest już beznadziejna, radzę ci, żebyś mi to zgłosiła. Nie zwlekaj, bo potem może być za późno.

– To znaczy? – pytam przerażona.

– Basia nie mówiła ci o takich przypadkach? Mieliśmy tutaj kilka. Jeśli nawet tylko

wspomniał, że dziecko powinno być z nim, to świadczy, że o tym myśli. A to już jest pierwszy alarmujący znak.

– Taka mała pyskówka – próbuję bagatelizować problem, bo w głowie mi się nie mieści, żeby to było możliwe.

– Dorotko kochana – mówi, przyjacielsko poklepując mnie po ręce. – Ja również jestem za polubownym załatwianiem małżeńskich spraw i zawsze do tego namawiam. – Uważnie patrzy mi w oczy. – Jednak jeśli twoje słowa i czyny nie będą do niego docierały i będzie się robiło niebezpiecznie, to uwierz mi, spotkanie ze mną może ostudzić jego zapędy.

– Tak? A nie na odwrót?

– Reprezentuję tutaj państwo polskie, występuję w roli przedstawiciela i obrońcy moich rodaków i Libijczycy czują respekt i szacunek do mojego stanowiska. Trochę się chyba mnie boją.

– Jak można się ciebie przestraszyć? – śmieję się, patrząc na jego życzliwą twarz.

– Potrafię być ostry i stanowczy. – Tajemniczo się uśmiecha. – Mogę wnieść skargę czy nawet sprawę do tutejszego sądu i narobić im kłopotów albo chociaż wstydu. A oni tego bardzo nie lubią i dlatego po rozmowie ze mną często skłaniają się do ugody.

– Dobrze o tym wiedzieć, ale jeszcze trochę się wstrzymajmy. Dziękuję za radę i pomoc, ale na razie sama spróbuję ratować nasz związek. Ahmed po prostu ma impulsywny charakter i jest obłądnie zazdrosny, i to przede wszystkim muszę opanować.

– Oczywiście. – Konsul wstaje i zbiera się do wyjścia. – Unikaj sytuacji, które by to zaogniały. Najlepiej pojedźcie gdzieś we dwójkę, rozmawiajcie i uprawiajcie duuużo seksu. – Wybuchamy śmiechem, a ja czuję, że czerwienię się po same uszy.

Polska szkoła

A mogłoby być jak w raju. Spełniły się wszystkie moje marzenia, prawie wszystkie. Mam dobrą pracę, nie męczącą i nieźle płatną, cudownego, nadskakującego mi szefa, otaczają mnie życzliwi ludzie, mam przyjaciółkę od serca, Marysia rośnie jak na drożdżach, nie choruje, nie sprawia kłopotów i uwielbia przesiadywać ze mną w świetlicy, gdzie robi niesamowite postępy w nauce. Rodzina jest w miarę życzliwa i się nie narzuca, lecz on, mój mąż... Nie powinnam się zadrećzać, ale nie potrafię zapomnieć słów Ahmeda podczas naszej ostatniej kłótni i ostrzeżeń życzliwych mi ludzi. Co zrobić, żeby naprawić nasze stosunki, uczynić je szczerymi i otwartymi, zburzyć ten mur, który między nami wyrósł? Obecnie wszystko wygląda całkiem poprawnie, lecz łagodność mojego męża może być tym sygnałem, na który kazano mi uważać. Jest to bowiem, jak na niego, nietypowe zachowanie. Nagle przestał się złościć i wściekać, przestał być zazdrosny, wręcz sam popycha mnie w stronę towarzystwa, czasami zawozi mnie do pracy, kiedy indziej odbiera, zaczęliśmy znów razem wychodzić do restauracji i na zakupy, a nawet uprawiać seks. Może jestem przewrażliwiona, ale nie mogę uwierzyć, aby ktoś sam z siebie nagle do tego stopnia się zmienił. Czuję, że to wszystko jest jakieś nierealne i udawane.

– Mam czas, chodź, pojedziemy gdzieś – mówi Ahmed, całując mnie na powitanie pod szkołą.

– A dokąd? – dziwię się, bo zazwyczaj na złamanie karku gnamy do domu na obiad.

– Niespodzianka – oznajmia zagadkowo, a mnie serce zaczyna łomotać.

Droga nie zajmuje nam zbyt wiele czasu, zatrzymujemy się przy dużym placu niedaleko centrum i naszego domu.

– Wprawdzie Hassan załatwił ci już wszystko u swojego kuzyna, ale my też mamy rodzinę – oświadcza Ahmed, a ja nie wiem, o co mu chodzi. – Jesteśmy na miejscu, wysiadka – śmieje się, pomagając Marysi wypiąć się z fotelika. – Chodź do taty. – Podnosi córeczkę i mocno tuli ją do siebie.

Podbiega do nas młody człowiek i wylewnie wita się z Ahmedem, a następnie łamaną angielszczyzną ze mną.

– To Ibrahim, mój kuzyn, a to moja żona z Polski – przedstawia nas. – Ktoś tutaj chciał robić prawo jazdy, czy może się myłę? – zwraca się do mnie.

– A?! – nic więcej nie jestem w stanie wyartykułować.

– To ja się pytam.

– Ahmed! – Nie panując nad swoim zaskoczeniem i ogromną radością, rzucam się na niego i zawisam mu na szyi. – Dziękuję! Kiedy zaczynam? Nie mogę się już doczekać. – Podskakuję i klaszczę w ręce jak mała dziewczynka.

– Jeśli nie umrzesz z głodu, możesz już teraz. – Ahmed śmieje się zadowolony. – My jedziemy do domu na obiad, daleko nie mamy, a po godzinie cię odbierzemy.

– Super, już chcę jeździć!

– Tylko nie porozbijaj wszystkich samochodów w okolicy, bo się nie wypłacę – niegroźnie pokpiwa sobie ze mnie.

Macham im ręką na pożegnanie i siadam za kółkiem zdezelowanego hyundaia. Nawet nie próbuję szukać w tej cudownej sytuacji zastawionej na siebie pułapki. Nie dajmy się zwariować, do cholery! Po prostu znów jest dobrze. Widać z Ahmedem tak już jest – ciągła huśtawka nastrojów.

– Baśka, Basieńka! – Następnego dnia rano wpadam do szkoły i biegnę prosto do pokoju nauczycielskiego.

– Co, pali się? – wita mnie ze śmiechem przyjaciółka.
– Ty sobie wyobrażasz, że wczoraj zaczęłam kurs prawa jazdy? – wyrzucam z siebie.
– Nic mi Hassan nie mówił – dziwi się. – To Ahmed dał ci w końcu twój paszport?
– Zapisał mnie do szkoły swojego kuzyna – śmieję się uradowana.
– Pogratulować. Aż się nie mogę nadziwić, jaki spryciarz z niego.
– Czemu tak mówisz? Cały czas musisz szukać dziury w całym? – Zaczyna mnie to denerwować. – Jak coś zrobi źle, to wiadomo, jest paskudny, ale jeśli dobrze, to dlaczego też go krytykujesz?

– Nikt się go nie czepia! Wierz mi, chcę tylko i wyłącznie twojego dobra. Niech ci się wiedzie, a wszystko co złe idzie w zapomnienie. Ludzie czasami błędzą, lecz najważniejsze, żeby w końcu wyszli na prostą. Mam nadzieję, że wy właśnie wkroczyliście na swoją ścieżkę szczęścia. *Mabruk!*

– Teraz już trochę lepiej. I muszę przestać szukać tych głupich znaków, którymi tak mnie nastraszyliście, bo inaczej oszaleję, a w tutejszym wariackowie nie chciałabym wylądować. – Obie wybuchamy śmiechem, lecz widzę cię smutku w oczach mojej przyjaciółki. Pesymistka!

Czas płynie spokojnie, bez większych zawirowań, i czuję się, jakbym żyła tutaj od zawsze. Znowu jestem szczęśliwa i aż sama sobie się dziwię, jak szybko potrafię się pozbierać po niepowodzeniach. Kiedyś nawet Basia stwierdziła, że po mnie wszystko spływa jak po kaczce i następnym razem nie ma zamiaru tak się o mnie zamartwiać. Mam nadzieję, że nie będzie już miała do tego okazji.

– Jak ci się pracuje w tej szkole? – pyta zaciekawiona Malika.

– Nawet nie masz pojęcia, jak się udało – mówię z uśmiechem na ustach. – Praca żadna, siedzę sobie z paroma dziećmiakami, rysujemy, gramy, czasami robię im jakieś ćwiczenia gimnastyczne, za co zresztą zostałam oficjalnie pochwalona.

– Ale rzadko cię teraz widuję na fitnessie – mówi z przekąsem.

– Nie mam czasu, ale to chwilowe. Muszę się tylko lepiej zorganizować. Za to rano albo wieczorem ćwiczę w domu.

– Zuch dziewczyna – szczerze cieszy się Samira. – Nie zaniedbuj też rodziny, to znaczy nas. Powinniśmy częściej się widywać. Polskie koleżanki zapewne lepiej cię rozumieją i przypominają ojczyznę, ale my...

– Wy jesteście najważniejsze – mówię trochę nieszczerze. – Bez waszej pomocy na początku zginęłabym.

– Pamiętaj o tym. Rodzina to podstawa, choć czasami pozostawia wiele do życzenia. Ale co zrobić, nie wybiera się jej i trzeba zaakceptować taką, jaka jest. – Malika wypowiada same mądrości. – Tylko na rodzinie możesz polegać, prawda, Sami?

– Oczywiście, masz rację – odpowiada zagadnięta, lecz spuszcza wzrok i blednie.

– A ile zarabiasz? – Malika chyba przeprowadza śledztwo, a nie spotyka się ze mną towarzysko.

– Pięćset – zeznaję jak przed fiskusem.

– Jak na osobę po maturze, to całkiem nieźle.

– Dla mnie super. W Polsce jako świetliczanka w życiu nie dostałabym pięciuset dolców.

– Co?! Zielonych?! Myślałam, że dinarów. Ja w ministerstwie i to z dyplomem tyle nie wyciągam. Toż to kpina, nasze biedne państwo całkiem pójdzie z torbami – wścieka się Malika.

– Nie z waszej kieszeni mi płacą – spokojnie tłumaczę, próbując zażegnać burzę. – To polska szkoła i pensje płyną z polskiego garnuszka.

– Jak tak, to mogą ci dawać nawet dwa kawałki – uspokaja się.

– Samirka, nic nie mówisz, co z twoją obroną? – zmieniam temat na, wydawałoby się,

bezpieczniejszy.

– Kiepsko – odpowiada ze smutkiem. – Wiesz, trochę chorowałam i do tej pory nie mogę się pozbierać...

– Nie przesadzaj. – Malika nikomu nie da się roztkliwiać. – Pieścisz się ze sobą, i tyle. Gorsze rzeczy ludzie przechodzą i dobrze jest. Ty całe życie byłaś oczkiem w głowie tatunia i mamuni, to nie potrafisz twardo stąpać po ziemi.

– Cóż, do miesiąca powinnam być po wszystkim. Ale stypendium szlag trafił. – Samira lekceważy niemiłe słowa siostry, widać nie raz już je słyszała.

– Może uda się następnym razem – usiłuję ją pocieszyć.

– Widzisz! Tak trzeba myśleć, a nie od razu rozpaczać. Na pewno wyjedzie tuż po nowym roku.

– Świetnie! Do Kanady?

– Nie wiadomo. Jeśli będę dalej chorować, to przestanę się starać o wyjazd.

– Blondi, posłuchaj, gdzie i jak chce zorganizować ślub – podminowana Malika zmienia temat.

– Ojej, daj już spokój. – Samira powoli zaczyna mieć dosyć. – Miałyśmy sobie miło posiedzieć, poplotkować, rozerwać się, a ty tylko wszystkich rozliczasz i punktujesz.

– Dobrze, już kończę, ale muszę poinformować naszą przyszywaną siostrę o twoim superpomyśle. Powiem krótko: wesele ma być w domu dla garstki przetrzebionej rodziny i paru przyjaciół z uczelni.

– Tak też można – wyrażam swoją opinię. – Nie rozumiem wydawania kupy pieniędzy tylko po to, żeby popisać się przed ludźmi. Na pewno będzie kameralnie i sympatycznie.

Samira nic nie mówi, tylko wymownie kiwa głową w stronę Maliki, a ta sznuruje wargi i nerwowo zaczyna spoglądać na zegarek, na koniec zrywa się i wymaszerowuje z dumnie wypiętą pierśią. Wiadomo, Malice nie należy się sprzeciwiać.

– Jak ty z nią wytrzymujesz? – ciągnę Samirę za język.

– A jak ty z moim bratem? – pyta, kończąc w ten sposób nasze miłe rodzinne spotkanie.

Nie ma szkoły bez dyskoteki. Dobrze pamiętam, jak wyglądała organizacja szkolnych imprez w naszym liceum. Dyskotekę przygotowywała grupka zapaleńców, nauczyciele wypinali się na wszystko, a dyrektor był wściekły, że musi wyrazić zgodę. Tutaj wygląda to zupełnie inaczej. Nie wiem, komu bardziej zależy na zabawie, młodzieży czy kadrze. Wszystko jest ustalane, omawiane i przygotowywane wspólnie. Na czele komitetu organizacyjnego stoi oczywiście Basia, a ja jestem jej przyboczną. Nauczyciele i rodzice przygotowują jedzenie, i to nie byle co, tylko normalne dania, jak na domowe przyjęcie.

– Słuchaj, ale przecież my nie będziemy się młodzieży plątać pod nogami – zdziwiona mówię do Basi.

– Ty to jeszcze jesteś dziecko, większe niż nasze nastolatki – śmieje się ze mnie. – Ta szkoła to nie tylko placówka edukacyjna, to taki dom polski. Dlatego też i my, dorośli, uczestniczymy w dyskotekach. Przyjdą jeszcze ludzie z ambasady, dyrektorzy firm, lekarze. To w zasadzie kolejne polonijne spotkanie. Młodzież będzie na piętrze, a starzy na parterze, nikt sobie nie będzie przeszkadzał. Okej?

Biegnę do domu jak na skrzydłach, chcąc powiedzieć Ahmedowi o imprezie. Oczywiście nie pamiętam już, jak skończyła się ostatnia i nic mnie nie niepokoi. Wtedy były inne czasy, a teraz są inne.

– Słuchaj, w ten czwartek w szkole organizujemy dyskotekę. – Wpadam do naszej sypialni.

– Dla młodzieży? Będiesz miała dyżur jako belfer?

– Nie, dla wszystkich! – wykrzykuję radośnie. – To takie kolejne polonijne spotkanie. Młodzież i starzy, tak tutaj podobno jest przyjęte, i wszyscy dobrze się bawią.

– No i co w związku z tym? – Marszczy czoło.

– Pójdziemy razem, prawda? Chyba nie jesteś zajęty? – pytam już mniej pewnie.

– Z tego co pamiętam, wszystkie nasze wspólne imprezy kończyły się fiaskiem, a jednej omal nie przypłaciłem życiem – wymownie wskazuje na całkiem już wyblakłą szramę na szyi.

– Nie przesadzaj, to zupełnie co innego. – Denerwuje mnie jego brak entuzjazmu. – To, czy będziemy się dobrze bawić, w znacznej mierze zależy od ciebie – docinam mu na koniec.

– Ty na pewno będziesz przeszczeniwiła, bo wszystkie obleśne, spocone samce będą się ślinić na twój widok...

– Co?! – wykrzykuję. – Znowu zaczynasz?! A ja myślałam, że mamy to już za sobą.

– Pobożne życzenie! Mam się cieszyć, że moja żona pokazuje cycki każdemu, kto tylko nosi portki?

– Co ty pieprzysz?! – nie wytrzymuję. – To może chciałbyś, żebym chodziła w czarnej abai i chuście? Żadna z twoich sióstr tak się nie ubiera – podaję ostateczny argument.

– A czy one pchają się chłopom w ramiona, dają obcałowywać po rękach?

– Pleciesz jakieś straszliwe bzdury! Obrażasz mnie, ale nie bierzesz pod uwagę tego, że wyrażasz opinię o sobie samym. W końcu ty sobie wybrałaś taką żonę.

– Każdy może się pomylić – oświadcza spokojnie, a mnie zamurowuje.

– Nasze małżeństwo jest dla ciebie nieporozumieniem? To znaczy, że ostatnio znowu się zgrywałeś?

– Nie mam ochoty uchodzić tutaj za męża sadystę. Daję ci wolną rękę i zobaczymy, do czego cię to doprowadzi.

– Ty mi robisz jakieś testy? Próby?

– Już ci powiedziałem. Daję ci szansę...

– Czy ja cię kiedykolwiek zawiodłam? Co ci złego zrobiłam, że tak mnie traktujesz?

– Nie będę się powtarzać, bo to staje się nudne. – Wykrzywia się pogardliwie. – Powiedziałem ci, co myślę o twoim zachowaniu i możesz to zaakceptować lub nie. Wszystko mi jedno.

Po tych słowach Ahmed narzuca kurtkę i zbiera się do wyjścia.

– A ty dokąd? Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy. – Zastępuję mu drogę.

– Ja już skończyłem. Cześć. Baw się dobrze.

Dla mnie dyskoteka przebiega tragicznie. Jestem jedyną osobą upitą w sztok. Wieszam się na wszystkich facetach, wywracam się na parkiecie, wlewam w siebie hektolitry alkoholu i zamęczam wszystkich swoim bełkotem. Ten straszny wstyd ukróca Baśka, ładując mnie do samochodu Hassana, który zawozi mnie do ich domu. Po drodze puszcza przez okno dwa pawie, zalewam się łzami i smarkam w rękaw wyjściowej marynarki mojego przyjaciela. Zanim docieramy na miejsce, usypiam.

Ahmed znowu rzadko pokazuje się w domu. Jeśli nawet przychodzi, sypia teraz w gabinecie na parterze. Znów ze mną nie rozmawia. Dość krótko trwała odwilż w naszych wzajemnych stosunkach. Ponownie zaczynam się niepokoić o nasze małżeństwo i zastanawiam nad celowością mojego pobytu tutaj. Nadal nie mam paszportu i nawet go nie zobaczyłam przy zapisywaniu się na kurs prawa jazdy, bo wszystkie formalności załatwiał mój przebiegły mąż. Na koniec dostałam małą zalaminowaną tekturkę wypisaną po arabsku i wolno mi już prowadzić samochód. Jednak zastanawiam się nad jego kupnem, bo nie wiem, jak długo tutaj wytrzymam. Pensję zbieram „do skarpety” i chowam w najgłębszej szufladzie w garderobie. Jest to moje awaryjne zabezpieczenie, którego nigdy nie chciałabym użyć. Ciągłe mam nadzieję, że

dojdziemy do porozumienia.

– Dopóki nie zrezygnujesz z pracy i nie zamkniesz się w domu, on się nie uspokoi – wyjaśnia mi Samira. Szukam pomocy wśród jego bliskich, którzy w końcu znają go najlepiej. – Jakbyś jeszcze mu urodziła parę nowych bobasków, byłby wniebowzięty i dałby ci spokój – mówi z przekąsem.

– Samira, to niemożliwe. On cały czas twierdził, że jest przeciwny tradycyjnym zwyczajom i takiemu traktowaniu kobiet. Mówił, że dlatego właśnie ożenił się ze mną, bo chce mieć nowoczesną i kochającą się rodzinę.

– Kłamał i grał. On potrafi, ma to opanowane do perfekcji. Może i odpowiada mu bladolica żona, ale przeniesiona w nasze realia musi poddać się odwiecznym regułom. Przykro mi, Docia, ale taka jest prawda. Straszliwie wdepnęłaś.

– Nie mogę w to uwierzyć – oponuję. – Przecież...

– Ja też miałam nadzieję, że się zmienił – przyznaje smutno. – Tak wyglądało na początku, po waszym przyjeździe. Ale nic z tego, to nadal ten sam stary Ahmed, arabski samiec.

– I co teraz? – pytam bezradnie.

– Ja ci zawsze chętnie pomogę, ale nigdy nie zwracaj się ze swoimi wątpliwościami do Maliki. Ona jest taka jak mój braciszek. Tylko udaje nowoczesną i wyzwoloną, w głębi serca jest zagorzałą konserwatystką. Uważa, że to ona i tylko ona może być tym żeńskim wyjątkiem, który potwierdza regułę. Reszta powinna siedzieć w zamknięciu, zniewolona i upodlona przez męskich panów i władców.

– Przerażasz mnie – szepczę.

– Docia, uważaj na siebie. Musisz sobie przemyśleć i uświadomić, co dla ciebie jest ważniejsze: czy miłość Ahmeda – bo kocha cię na pewno, ja to widzę – i wasze małżeństwo, czy niezależność i samodzielność.

– Skąd ty, młoda dziewczyna, masz taką życiową mądrość?

– Od zawsze musiałam balansować na linie, intrygować, kłamać i kombinować. Tutaj kobiety mają przechłapanie. Również dziewczynki – kończy z westchnieniem i wymownie patrzy mi w oczy.

– Samira mówi, że jeśli nie zrezygnuję z pracy, to po moim małżeństwie – odbywam kolejną telefoniczną konferencję z Bašką. – Co mam robić? Poradź!

– Siostra zna go chyba najlepiej – mówi spokojnie. – Wydawało mi się, że każdego można zmienić, a przynajmniej trochę utemperować, ale on stanowi ciężki przypadek. Chyba nic z tego, musisz się podporządkować albo go opuścić.

– Ale ja go ciągle kocham, tylko że teraz to tak bardzo boli – zwierzam się.

– Szkoda mi cię, Dorota. Pamiętaj, że nawet jeśli zamkniesz się w domu, będziesz mu rodzić co rok dziecko, wcale nie jest powiedziane, że kiedyś nie kopnie cię w tyłek. Przykro mi to mówić, ale swoim zachowaniem pokazuje, że cię nie ceni, nie wierzy ci, nie szanuje i...

– Tylko nie mów, że mnie nie kocha – przerywam gwałtownie. – Jak jest wszystko dobrze, to jest cudownym, czułym i oddanym mężem. I wspinałym ojcem – dodaję.

– Jak jest dobrze. – Baška podnosi głos. – Lecz małżeństwo to nie bajka i idylla. Bywają ciężkie chwile, które trzeba przeżyć wspólnie. Jeśli on w takich momentach nie będzie cię wspierał, a wręcz przeciwnie, całą winę zrzuci na ciebie, to długo nie pociągniesz. Ale spróbuj, to twoje życie i nikt ci nie powie, co masz robić. Sama musisz dokonać wyboru, a przyszłość pokaże, czy był słuszny.

Zadumana schodzę na dół do gabinetu. Dobiegają stamtąd śmiechy Ahmeda i Marysi. Uchyłam drzwi i obserwuję ich. Siedzą przed komputerem i grają w jakąś dziecięcą grę. Marysia siedzi mu na kolanach i bębni palcami po klawiaturze. Świetnie się bawią i nie widzą świata

dookoła. Podchodzę na palcach i obejmuję ich oboje od tyłu. Ahmed wzdraga się, a Marysia aż podskakuje.

– Mama, przestraszyłaś mnie! – krzyczy wesoło, wygrażając mi palcem.

– Czy ktoś ma ochotę na racuchy? – zadaję retoryczne pytanie, bo wiem, że je uwielbiają.

– Pewnie! – odpowiadają chórem. – Tylko skończymy etap.

– To ja zabieram się za robotę i czekam na was na górze. – Patrzę Ahmedowi głęboko w oczy i widzę w nich żal i smutek.

Nie lubię tego wyrazu twarzy u niego. Od razu czuję się wszystkiemu winna i koniecznie chcę to naprawić. Na pewno nie dręczy mnie tak celowo. Taki ma charakter. Kiedy zobaczy dobrą wolę z mojej strony, może stopniowo złagodnieje. Rzeczywiście, to moje życie i sama muszę je kształtować. Chcę być z tym mężczyzną i nie wyobrażam sobie, że miałabym mu porwać córkę i uciekać z nią przez zieloną granicę. Jak jakiś przestępca! On na pewno by mi czegoś takiego nigdy nie zrobił, bo przecież jest dobrym, tylko trochę trudnym człowiekiem.

Siedząc na naszym balkonie, wcinamy góry racuchów z jabłkami i popijamy je colą. Głośno mlaszczemy, wylizujemy zacukrzone palce i dla żartów bijemy się o ostatnie sztuki. Później opowiadamy sobie różne historyjki – Marysia relacjonuje, jak miło spędza czas w szkolnej świetlicy, ja porównuję to z moimi dziecięcymi doświadczeniami w Polsce, a Ahmed wspomina, jak był małym chłopcem i rozrabiał z siostrami. W końcu jesteśmy naprawdę razem, szczęśliwi, uśmiechnięci i zadowoleni. Tego chcę, to jest dla mnie najważniejsze i już dokładnie wiem, co muszę zrobić.

W nocy Ahmed jest najczulszym i najwspanialszym kochankiem. Robimy to godzinami, aż do białego rana, nic nie mówiąc, tylko patrząc sobie w oczy. Próbuje z nich wyczytać naszą przyszłość, przed którą chyba oboje trochę drżymy. Lecz ja znów jestem pewna, że będzie dobrze, i podejmuję niełatwą decyzję.

– Słuchaj, to twoja sprawa, lecz ja uważam... – zagniewana Baśka zawiesza głos i zagryza wargi – że musisz zrobić tak, jak ci serce dyktuje.

Czuję, że nie jest to szczerą wypowiedź i doskonale wiem, że nie popiera mojego posunięcia. Jest to wbrew jej naturze, ona nigdy nie zrezygnowałaby, nigdy nie poddałaby się woli swojego męża, prędzej by mu rozwalila głowę. Ale miała na tyle szczęścia, że trafiła na ugodowego i potulnego Hassana, ja natomiast mam mój egzemplarz i nic nie mogę na to poradzić. Chcąc spokojnie i w miarę szczęśliwie żyć, muszę zrezygnować z pracy i częstych kontaktów z Polakami. Trzeba się z tym pogodzić, choć bardzo mi przykro z tego powodu.

– Pani Doroto, dobrze sobie to pani przemyślała? – Dyrektor nie może uwierzyć, że ktoś dobrowolnie rezygnuje z takiej świetnej pracy.

– Tak – potwierdzam. – Robię to dla dobra mojej rodziny.

– Rozumiem, choć nie popieram – mówi zdenerwowany, jak zwykle w takim momencie podnosząc brwi do połowy czoła. – Cóż, każdy jest kowalem swego losu – kończy rozmowę i odwraca się do mnie plecami.

– Bardzo pana przepraszam, wiem, że zawiodłam oczekiwania, ale inaczej nie mogę – kajam się przed wyjściem.

– Nie będzie miał problemu ze znalezieniem kogoś na twoje miejsce. – Basia nie szczędzi mi swoich uwag. – Przechlapałaś sobie. Już nikt w żadnej polskiej firmie nigdy cię nie zatrudni. Jesteś niesolidna i wszyscy już wiedzą, że nie można na tobie polegać. Dzisiaj tak, a jutro inaczej.

– Co zrobić. Raczej już nie będę próbować.

– Wystarczy gorszy humor twojego męża, jego skrzywienie nosa, a ty już tańczysz, jak ci zagra – kontynuuje niezrażona. – Wybacz, Dorota, ale ktoś musi ci to powiedzieć. Jako twoja

przyjaciółka chyba mam do tego prawo.

– Znam twoje zdanie, ale nie mam wyjścia.

– To może zabroni ci też spotykać się ze mną i w ogóle z kimkolwiek? Na to też pójdziesz?

– Ahmed w ogóle nie wie o mojej decyzji. On nie naciskał ani nie rozkazał, nigdy nawet nie wspomniał, żebym odeszła z pracy.

Basia wytrzeszcza oczy i krzywi się z dezaprobatą. Kiwa na boki głową i odchodzi do swoich zajęć. Będę jeszcze pracować do końca miesiąca, to znaczy przez dziesięć cudownych dni. Potem nie wiem, jak zapelnę czas. Nie mam również pojęcia, jak wytłumaczę Marysi, że już nie będzie jeździć do świetlicy, z czego była taka dumna, i że nie będzie też miała żadnego towarzystwa. Po rozpoczęciu roku szkolnego dzieci Miriam i te z sąsiedztwa poszły do szkoły. Dom matki jest cichy i pusty. Może Ahmed pozwoli jej przychodzić do świetlicy lub zapisze ją do jakiegoś przedszkola? Pozostawiam to już w jego gestii, ja mam dość podejmowania decyzji, a potem wycofywania się z nich. Daję nam ostatnią szansę i jeśli moja rezygnacja z normalnego życia nie pomoże i nadal będzie między nami źle, to poddam się. Widać nie jesteśmy sobie pisani.

Wieczorem oznajmiam Ahmedowi, jakie podjęłam kroki. Z niedowierzaniem i uwielbieniem patrzy na mnie swoimi wielkimi błyszczącymi oczami. Nagle zrywa się i wchodzi do garderoby.

– Mam coś dla ciebie – mówi, niosąc małe atłasowe pudełeczko. – Kupiłem już wieki temu, kiedy byłem poza domem i bardzo za tobą tęskniłem.

– To czemu...

– Nie było okazji, atmosfery, nic się nie układało – tłumaczy. – Tak się od siebie oddaliliśmy, że bałem się, iż to już koniec.

Kłęk przedemną i otwiera etui. Nie mogę uwierzyć własnym oczom. Nie widziałam jeszcze czegoś tak pięknego. Ahmed wyciąga pierścionek z wielkim brylantem i zakłada mi go na serdeczny palec.

– Bardzo cię kocham, Dorociu – wyznaje szeptem. – Mam nadzieję, że nigdy w to nie zwątpiłaś. Czasami postępuję głupio i bez namysłu, ale pamiętaj, ten żar tutaj – kładzie rękę na swoim sercu – nigdy nie wygaś i nie wygaśnie. Przenigdy.

Życie na wsi

Przeprowadzka

Jednak zrezygnowałaś – z tymi słowami Samira wkracza do naszej sypialni. – Głupia jesteś, ale już trudno. – Śmieje się, obejmując mnie i czule całując na przywitanie. – Może właśnie za to cię kocham, siostró.

– Ja też cię kocham. Wszystko będzie dobrze, teraz już się ułoży – usiłuję przekonać bardziej siebie niż ją.

– Pewnie! Chybaby musiał być totalnym idiotą, żeby to spieprzyć. Ale pamiętaj, że mężczyźni rzadko doceniają poświęcenie. Oni go w ogóle nie widzą, bo uważają, że tak ma być i że wszystko im się należy.

– Daj spokój. Nie bądź taką malkontentką. Rozpakuj ciastka, a ja zaparzę kawę.

Bardzo miło spędzam pierwszy wolny dzień. Marysia wprawdzie grymasi i pochlipuje, ale usiłuję wynaleźć dla niej jak najwięcej atrakcji. Muszę się jednak pilnować przed takim trybem życia, bo dobrze pamiętam, jak spałam się tutaj zaraz po przyjeździe. Koniecznie potrzebuję gimnastyki i ruchu, tylko gdzie i jak to zrobić, aby znów nie narazić się na nieprzyjemności?

– Witaj na starych śmieciach. – Elegancka Malika zmienia Samirę, która wyszła dosłownie dziesięć minut temu. – Dot – kura domowa, *zolza arabijja* – mówi z przekąsem.

– Czasami tak jest lepiej.

– Na pewno nie dla ciebie. A gdzie się podziała emancypacja? – kontynuuje.

– Tam gdzie nowocześni mężczyźni – odgryzam się.

– To może przynajmniej zaczniesz chodzić na fitness – zmienia temat. – W przeciwnym razie za dwa miesiące nie zmieścisz się w drzwiach. Zwłaszcza przy takiej diecie. – Z dezaprobatą wskazuje na półmisek z resztkami ciastek.

– Przestałam chodzić do klubu, bo nie jestem w stanie patrzeć na skurwiela, który zrujnował życie takiej wspaniałej, miłej i dobrej kobiecie jak Miriam – tłumaczę. – Dziwię się, że możesz jeszcze utrzymywać z nim przyjacielskie stosunki.

– Nigdy nie były przyjacielskie ani nawet koleżeńskie. Mimo że jest draniem, trzeba przyznać, że trener z niego wyśmienity. A poza tym, ja mam tam znajomych, nawiązuję kontakty... – przerywa, bo powiedziała już i tak zbyt wiele.

– Co u Miriam? W ogóle jej nie widuję – zmieniam temat.

– Robiłam, co mogłam, ale jeszcze bardziej zamknęła się w sobie i praktycznie nie opuszcza sypialni. Nie odbiera telefonów, nie chce z nikim rozmawiać. – Malika ze smutkiem na twarzy sięga jednak po coś słodkiego.

– Zmartwiłaś mnie. A co na to Mahmud?

– Daj spokój! – mówi z pełnymi ustami. – Przeniósł się do swojego brata, ale dzieci zostawił, bo tak mu jest wygodniej, w końcu od zawsze zajmuje się nimi nasza matka. Facet z nikim z naszej rodziny nie chce rozmawiać, nawet z Ahmedem. W końcu jak raz podniósł słuchawkę, to tylko po to, żeby mi oznajmić, że wszystkiemu jesteśmy winni my, bo do tego dopuściliśmy. Miriam była pod naszą opieką i on sądził, że jest bezpieczna. Potem oskarżał wszystkich po kolei, używając niewybrednego słownictwa, a następnie się rozłączył.

– Nieciekawie – przyznaję. – Może skoro mam teraz więcej czasu, to spróbuję jakoś do niej dotrzeć? Będę przychodzić, jak często się da, i może z czasem się otworzy, jak myślisz?

– Jej już nie można pomóc. Ugrzęzła w jakimś marazmie i cała oddała się rozpacz. Sama

musi chcieć się z tego wydzwignąć i wrócić do żywych. Ale też twoje wizyty nie powinny jej zaszkodzić, więc czemu nie – wyraża swoją aprobatę.

Dobrze że znalazłam już coś, co będę mogła robić, i nawet cieszę się na spotkanie z Miriam. Zawsze bardzo ją lubiłam, lecz późniejsze wypadki całkowicie nas od siebie oddaliły. Czas to naprawić.

Pierwszego dnia odwiedziła mnie jeszcze matka, a nawet Chadidza przyniosła kawałek wyśmienitego ciasta, który wspólnie pochłonęliśmy. Plotki szybko się rozchodzą, zwłaszcza wśród rodziny. Znowu czuję bliskość i aprobatę członków rodziny, która przez ostatnie dwa miesiące omijała mnie łukiem. Utwierdza mnie to w przekonaniu, że słusznie postąpiłam.

– Nie interesuje cię, co tam słyhać na naszej farmie? – pyta Ahmed wieczorem, ze smakiem pałaszując późną kolację.

– A coś się dzieje? Nic mi nie mówisz, więc myślałam, że sprawa nieaktualna.

– Chcesz dalej mieszkać tutaj? Po numerach z Miriam już całkiem można tu zwariować.

– Prawda, ale za chwilę ramadan, jest jesień i lada moment zaczną się ulewy – podaję argumenty, uważając, że na odludziu będzie jeszcze gorzej.

– Rano zawoziłbym cię do jakiegoś fitness klubu, Marysię do matki albo przedszkola, potem mogłabyś odwiedzać Malikę i Samirę czy chodzić po sklepach ze swoimi polskimi koleżankami. Zawsze też możesz zajrzeć tutaj.

– Miałabym czekać na ciebie aż do wieczora, kręcąc się po sklepach? Cały dzień w deszczu miałabym chodzić po mieście, jak jakiś bezdomny pies? Nie sądzisz, że to trochę bez sensu? Już lepiej siedzieć w szkole i dostawać za to niezłe pieniądze...

– To była twoja decyzja, nie konsultowałam jej ze mną – chłodno stwierdza, a ja czuję, że mamy nowy temat do awantur. – Nie chcę, żebyś mówiła, że cię zamykam w pustelni, możesz się wyrwać do miasta, między ludzi, jak ty to mówisz. Nie ma problemu...

– Tak, najlepiej na targ warzywny między sprzedawców kapusty! – wściekła, gwałtownie mu przerywam.

– Jak chcesz! Tak źle i tak niedobrze! – odpowiada obrażony, nie patrząc mi w oczy. Zalega cisza. Zaciskamy szczęki. Znowu wyrasta między nami niewidzialna bariera.

– Parę razy w tygodniu mógłbym się wyrwać koło południa, bo wykłady na uczelni kończę o pierwszej. – Ahmed jednak kontynuuje, co znaczy, że bardzo mu na tym zależy. – Wszystko staram się dopasować do ciebie, żebyś była szczęśliwa, a tobie jeszcze źle?

– To czemu wracasz do domu po nocy? – dziwię się.

– A ty myślisz, że taki generalny remont sam się przeprowadzi? Chciałem ci zrobić niespodziankę – mówi smutnym, zawiedzionym głosem. – Za wszelką cenę starałem się zdążyć przed ramadanem. Jak uciekłem z tego wariatkowa, to też tam siedziałem. Podkasałem rękawy i harowałem razem z robotnikami.

– Naprawdę? – Robi mi się przykro, że podejrzewałam go o niestworzone rzeczy. – To co tam zrobiłeś? – pytam, siadając mu na kolanach.

– Jesteś choć trochę ciekawa? – Patrzy na mnie smutno i coś chwyta mnie za gardło. Opieramy się o siebie czołami i milczymy. – No to narzucaj jakąś kurtkę i jedziemy. – Gwałtownie zrywa się na równe nogi i zaciska wargi, robiąc zabawny grymas.

Po ponad godzinie zajeżdżamy przed słabo oświetlony budynek farmy. Nad tarasem smętnie dynda żarówka w oprawce. O mój Boże, ja miałabym tutaj mieszkać?! Na takim odludziu!

– Zostań w aucie, ja zaświecę więcej lamp i otworzę dom. – Szczęśliwy Ahmed wyskakuje z auta, stawiając nogi prosto w głęboką po kostki kałużę. Słyszę tylko chłopot i jego przekleństwa.

Widzę, jak mocuje się z ciężką żaluzją na drzwiach i nie daje sobie rady. Jak ja niby miałabym to otwierać? Znika mi z pola widzenia i za chwilę pojawia się ze starym suchym Murzynem w wełnianej popielatej galabii. Razem wieszają się na uchwytach i dźwigają ciężar do góry.

– Chodź, kochanie. – Otwiera drzwi samochodu i gdy stoję na ziemi, porywa mnie na rękę.

– Uważaj, bo się wywrócimy – krzyczę, niezadowolona z tych jego czułości.

– Zamykaj oczy, a o mnie się nie martw. Znam tutaj każdy kamień – mówi, prawie łamiąc sobie nogi na śliskim lastryko tarasu.

Posłusznie zamykam oczy, lecz nie oczekuję cudów. Wprawdzie z zewnątrz dom wygląda jakby trochę jaśniej, lecz jestem negatywnie nastawiona i wiem, że nic mi się tutaj nie będzie podobało.

– Gotowe. – Stawia mnie na czymś miękkim, a ja ze strachem otwieram oczy.

Szok. Gdzie są te pająki, węże i skorpiony, które mieszkały tutaj ostatnimi czasy? Stoję na pięknym bordowo-granatowym wełnianym dywanie na środku dużego salonu. Moje kolory i mój styl. Rozglądam się dookoła i oczom nie mogę uwierzyć. Pod jedną ścianą znajduje się skórzany zestaw wypoczynkowy, a naprzeciwko wielki telewizor zawieszony na jakichś niewidocznych hakach. Pod nim, na specjalnej mahoniowej szafce, sprzęt audio-wideo. W odległości może dwóch metrów od niego zainstalowano kominek wyłożony ręcznie malowanymi kaflami w kwiatowo-zwierzęce arabskie wzory. Cudo! Skąd on coś takiego wziął? W każdym kącie pokoju coś – to zielona palma wysoka na półtora metra, to narożna komoda, to skórzany puf zdobiony w orientalne esy-floresy, a przy oknie to, o czym zawsze marzyłam – bujany fotel, z mięciutką poduszczką i ciepłą chustą rozłożoną na oparciu. Zamurówuje mnie.

– No i jak?! – pyta niepewnie. – To na razie salon, przejdźmy do kuchni, a potem pokoje.

– Ahmed... – nie mogę znaleźć słów, aby wyrazić moje zaskoczenie i podziw dla jego ciężkiej pracy.

Chyba o to mu chodziło. To się nazywa niespodzianka. Widzę zadowolenie, ale i niepewność malującą się na jego twarzy. Rozsuwa drzwi prowadzące z salonu do kuchni.

– *Voilà, madam!* – Zapala światło i jak magik robi krok do przodu, w ukłonie zapraszając mnie do środka. Wyciągniętą ręką kręci zabawne młynki niewidzialnym kapeluszem z pawim piórem.

– Ha! – tyle mogę z siebie wydusić.

Kuchnia wygląda jak z bajki. Jest w niej wszystko, co tylko można sobie wymarzyć, włącznie ze zmywarką i dwudrzwiową lodówką, którą kiedyś zachwycałam się podczas oglądania reklam. Jak on to dobrze zapamiętał!

– Ale co my dla naszej trójki będziemy trzymać w takiej wielkiej chłodziarce?

– Powietrze albo słońca w karafce – żartuje. – Nie podoba się pani?

– Chyba kpisz! Wszystko jest wspaniałe!

Chodzę w kółko, dotykam szafek i sprzętów, wodzę ręką po zimnym kamiennym blacie. Całość lśni nowością i jest najwyższej jakości. To musiało kosztować majątek! Po chwili przytykam nos do szyby drzwi prowadzących na patio, na którym latem spędziliśmy cudowne popołudnie. W ciemności próbuję wypatrzeć kamienny stół i ławy. Leje jak z cebra. Nagle słyszę pstryk i patio tonie w jasnym świetle. Okrągłe białe lampiony znów działają i oświetlają każdy najmniejszy szczegół.

– To nasze ulubione miejsce, pamiętasz? – Ahmed pyta cicho i delikatnie obejmuje mnie w pól.

– Wiele wody upłynęło od tego czasu – odpowiadam smutnym głosem.

Nie tak łatwo zapomnieć niesprawiedliwość i krzywdę. Chcę z nim być, postawiłam wszystko na jedną kartę, ale całe jego zachowanie i to, co się wydarzyło, niełatwo odchodzą w niepamięć. Na to potrzeba czasu.

– Cóż, to zobacz jeszcze pokoje i możemy wracać. Po lewej jest Marysi, po prawej nasz – mówi oziębłe.

– A co z łazienką?

– Wstęp wolny, zobaczyć można. Nic nie kosztuje – robi się opryskliwy. – Może jest w trochę lepszym stanie, niż kiedy ją ostatnio widziałas, ale już sam nie wiem.

Wychodzę z kuchni i skręcam do łazienki. Jest nie do poznania. Komfort jak z włoskiego folderu. Glazura imituje mozaikę i oczywiście jest w moich ulubionych odcieniach błękitu, granatu i gołębiego. Nad wielką trójkątną wanną zamontowano długą półkę przezornie wypełnioną markowymi kosmetykami. Wśród nich leżą artystycznie porzrucane muszle i skorupy morskich żyjątek, lampiony i świeczniki. Na parapecie okna stoi długi wąski wazon z przezroczystego szkła z ciętymi zielonymi papirusami. Chyba maczał w tym palce jakiś dekorator wnętrz.

Pokój Marysi to cukiereczek, bombonierka, pudełeczko w pięknym papierku przewiązanym wstążką. Nad małym tapczanikiem wisi baldachim z delikatnego różowego tiulu z licznymi postaciami z bajek Disneya. Wszystko jest miniaturowe i tak kolorowe, że aż bije po oczach. Na biurku stoi domek dla Barbie, o którym nasza córeczka marzyła od dłuższego czasu.

– Słuchaj, przeszedłeś samego siebie – kieruję słowa do Ahmeda smętnie siedzącego w salonie. – A nasz to ten drugi pokój? – zadaję retoryczne pytanie, bo przecież więcej pomieszczeń tutaj nie ma.

– Aha.

– No to chodź, zaprezentuj go. – Jeśli chcę być szczęśliwa, to nie mogę cały czas się na niego boczyć i wspominać stare złe czasy. Trzeba to wszystko przekreślić i zapomnieć. I to jak najszybciej. Nie znoszę napiętej atmosfery i nieudomówień, już lepiej nakrzyczeć na siebie, wszystko wygarnąć, niż milczeć. Tylko nie zawziętość i zaciśnięte zęby! Z dzieciństwa pamiętam ciche miesiące między moimi rodzicami, które zakończyły się wielką awanturą i szalonymi wrzaskami: nienawidzę, odchodzę, nienawidzę. Potem było już tylko spotkanie u adwokata i w sądzie.

– Chyba nie spełniłem twoich oczekiwań. Wciąż jesteś niezadowolona. Musiałbym chyba ze skóry wyskoczyć, żeby...

– Daj spokój! Doskonale wiesz, o co chodzi. Farma nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie wiem... naprawdę, wierz mi...

Czy on gra, czy rzeczywiście nie zdaje sobie sprawy ze swojego strasznego zachowania? Robi mi się żal jego, siebie i naszego związku. Jeśli on nie rozumie, że postępował źle, to jak mu to wytłumaczyć? Raczej nie ma szans. Odwracam się plecami do niego, otwieram drzwi i wchodzę do naszej sypialni. Jest to piękny wielki pokój urządony w pastelowych barwach. Ogromne małżeńskie łóżko nakryto puszystym pledem, a u wezglowia piętrzą się poduszki. Na jednej z nich, w centralnej części, leży małe czerwone pudełko w kształcie serca.

– Co to? – pytam, pokazując palcem jak dziecko.

– Zobacz – odpowiada, składając usta w podkówkę.

Biorę go za rękę i siadamy na brzegu łóżka.

– Haa... – tylko na tyle mnie stać i jest to w zasadzie wydech powietrza nagle spiętrzonego w płucach. – Chyba nawet Malika by się czegoś takiego nie powstydziła – nie hamuję swojego żywiołowego komentarza. Zawieszka na szyję musi być z tego samego kompletu co pierścionek, który ostatnio dostałam, lecz brylant ma jeszcze więcej karatów.

– To właśnie ona pomogła mi wybrać.
– Poważnie? I nic mi nie powiedziała? A mówiła, że nie wie, gdzie jesteś.
– Prosiłem ją o to... Potrzebowałem czasu. A jak wiesz, tajemnica to tajemnica, zwłaszcza w rodzinie.
– A jaką mamy okazję? Tak szczodre prezenty...
– Zawsze się znajdzie. Że jesteśmy już tutaj pół roku, że nie miałem na tyle pieniędzy w Polsce, aby ci kupić taki komplet na zaręczyny czy ślub...
– U nas nie ma tak pięknych – przerywam.
– Że bardzo cię kocham – namiętnie szepcze na koniec.
Spoglądam mu głęboko w oczy. Czuję na twarzy jego przyspieszony oddech.
– To jak mam sobie wytłumaczyć twoje dotychczasowe zachowanie. Jak mam to pojąć? Że tak traktuje się tutaj żony, które się bardzo kocha? Że im się nie ufa, nie wierzy i posądza o notoryczną zdradę?
– Musisz spróbować mnie zrozumieć. – Ściska mnie mocno za rękę.
– Co zrozumieć? Co zrozumieć?! Szaleńczą zazdrość bez najmniejszych powodów i karczemne awantury?
– Uwierz mi, czułem się jak palant. Jakbym nagle stał się kimś, kto dla ciebie nic nie znaczy. Ty byłaś taka zadowolona i szczęśliwa w swoim polskim towarzystwie, promieniałaś, a faceci pożerali cię wzrokiem.
– Zdajesz sobie sprawę, że nie ubędzie ci mojej osoby od tego, że ktoś się na mnie popatrzy. A ja ani nie prowokowałam, ani nie odpowiadałam tym samym, wręcz wkurzały mnie ich głupie umizgi.
– Oczywiście, że wiem, ale w takich sytuacjach całkowicie traciłem panowanie nad sobą i krew mnie zalewała na typowo arabski sposób.
– I to jest wytłumaczenie? A gdybyś wymyślił sobie coś gorszego, to co byś zrobił? Co na przykład powinien zrobić mąż Miriam, no powiedz mi? Zabić ją?
– To moja siostra. – Odwraca wzrok i robi się blade na twarzy. – To moja najukochańsza siostra. – Zaciska zęby i zamyka oczy. Czuję, jak cały drży ze wzburzenia. – Nie dopuszczam myśli, że nas kiedyś coś takiego mogłoby spotkać.
– Wypluj te słowa, no już. – Staję się przesądna, a Ahmed uśmiecha się jak chłopiec i pluje przez ramię. Delikatnie się obejmujemy.
– Przepraszam – słyszę ciche słowa szeptane mi do ucha. – Nigdy więcej, przyrzekam... Zbłądziłem, źle postępowałem, i to nie tylko wobec ciebie. Bogu dzięki, że mam taką dobrą i mądrą żonę, która wytrzymuje to wszystko i mam nadzieję, że mi przebaczy. *Allahu Akbar*...
Jak ja lubię zmiany. Zawsze się cieszę i wierzę, że są to zmiany na lepsze.
Ahmed przez kolegów i rodzinę dociera jakoś do męża Miriam i doprowadza do jego powrotu do domu. Jest to pierwszy krok ku załagodzeniu sprawy, choć biedny Mahmud nie wie najgorszego, albo raczej nie chce wiedzieć. Został poinformowany, że Miriam miała krwotok z powodu jakiejś cysty na jajniku, a załamanie wzięło się z przerażenia tym, że być może już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Plotki, które sieje ulica, są tylko pomówieniami i nie ma na nie żadnych dowodów. Oczywiście nasza rodzinka milczy jak grób i mamy tylko nadzieję, że prawda nigdy nie wyjdzie na jaw. Najważniejsze, żeby Miriam wróciła do żywych, a to nie jest już taka prosta sprawa. Napawa optymizmem fakt, że przynajmniej od czasu do czasu wychodzi już z sypialni i przebywa wśród ludzi.
Pełna entuzjazmu zaczynam pakowanie, w którym usilnie chce mi pomagać Marysia, co przedłuża ewakuację w nieskończoność. Matka, Chadidza, a nawet schorowana Samira przychodzą każdego dnia i pytają, w czym mogą pomóc. Potem przynoszą z dołu herbatę, kawę i

ciepłe ciastka, rozsiadają się wygodnie i impreza gotowa. Zamiast się pakować, siedzę z nimi i gadam o niczym. Nigdy nie wracamy do sprawy burzliwego romansu Miriam, molestowania Samiry przez jej brata, a mojego męża, czy krótkiego okresu mojej swobody i niezależności, tak jakby to w ogóle się nie wydarzyło. Dla rodziny najważniejsze jest, że Ahmed z Maliką załatwili wszystkie formalności związane z domem. Teraz cała nieruchomość i wszyscy jej mieszkańcy są pod opieką najstarszego i jedyne go męskiego potomka rodu. Ojciec nadal się tu nie pojawia, więc przynajmniej ten problem na razie został rozwiązany. I Bogu dzięki.

– Słuchaj, zawieźmy na farmę to, co już mamy spakowane, a jutro pozostałe rzeczy wrzucimy luzem do pudeł. Bez prania, prasowania, składania i pieszczenia. Hurtem. Inaczej nigdy nie opuścimy tego domu – mówi Ahmed, wchodząc do naszej sypialni i widząc góry ciuchów skotłowanych na łóżku.

– Tak to, niestety, wygląda.– Rozkładam bezradnie ręce.

– Mama, mama! – Do pokoju wpada Marysia.

– Na Allaha, co się stało? Gdzie pożar? – Ahmed porywa ją na ręce i kręci młynka w powietrzu.

– Babcia chce coś mamie dać. Mówi, że mama zapomniała zabrać.

Słyszemy kroki w korytarzu i po chwili teściowa bez pukania wchodzi do nas z niedużym pudełkiem na buty w wyciągniętej ręce.

– Co ty, Blondi? Prezentów już nie bierzesz? – Uśmiecha się, a ja nie wiem, o co jej chodzi.

– Buty?

– Nieee! Pierwszy prezent, który dostałaś w tym domu.

Zaglądam do środka, a tam w miękkiej wacie leżą filigranowa szklana ławeczka parkowa, drzewko z liśćmi z bursztynu i cały stosik kolorowych zwierzątek i bajkowych postaci z maleńką kryształową lampą Aladyna na samym wierzchu. Arcydziała z kredensu w salonie, na które zwróciłam uwagę w dniu naszego przyjazdu!

– Oj, mamó! – brakuje mi słów. – Wiem, że nie mogę odmówić, ale nie chcę cię ograbiać z takich skarbów.

– A ty myślisz, że dla kogo ja to będę chować? Czy może do grobu zabiorę?

– Daj spokój...

– Już ci się nie podobają? – dziwi się.

– Ależ skąd, są cudowne.

– To bierz! – Wpycha mi pudło w ręce, obraca się na pięcie i wychodzi.

– Czekaj! – wołam i rzucam się pędem w jej stronę. Kładę podarek na szafce i zarzucam jej ręce na szyję. Dobra z niej kobieta, ale czułości to ona nie lubi.

– Już wystarczy, wystarczy, bo mnie udusisz! – krzyczy i wymyka się z naszego pokoju. Widzę rumieniec na jej ładnej twarzy i błyszczącą łzę w oku. A może mi się wydawało.

– No to jedziemy! – krzyczę podekscytowana i porywam pierwszą z brzegu torbę.

Ramadan

Ramadan będzie ogłoszony dziś w nocy albo jutro. – Ahmed rzuca wielkie siaty z jedzeniem na tarasie i idzie do samochodu po resztę zakupów.

Chwilowo nie pada, więc Marysia w kaloszach i z kijkiem w dłoni biega po kałużach przed domem. Nie ma to jak zabawa w błocie.

– Ty mi tutaj nie dźwigaj żadnych ciężarów! – krzyczy na mnie Ahmed.

– A dlaczego?

– Jak sobie uszkodzisz kręgosłup, to kto na wiosnę będzie okopywał te hektary?

– Phi! – pryham i biorę reklamówkę z kiścią bananów. – Jak chcesz.

Klepię go w tyłek i uciekam z piskiem do domu. Cudnie jest być u siebie. Mogę całować własnego męża nawet na podwórku, a obecnie robimy to non stop, odrabiając wielomiesięczne zaległości.

– Wy macie jakąś obsesję z tym jedzeniem. – Stoję na środku kuchni, nie wiedząc, w co włożyć ręce.

– Słuchaj, jak myślę o ramadanie, to już jestem głodny.

– Ale nas jest tylko trójka. Siadam na podłodze, opieram łokcie na kolanach i zaczynam się śmiać.

– No to czas najwyższy kogoś zaprosić. W czasie ramadanu nie można samotnie jeść kolacji. To prawie grzech.

– Co ty tam dla mnie szykujesz? Aż się boję.

– Nie poznałaś jeszcze żadnego mojego kolegi. Chciałbym zaprosić paru najbliższych, oczywiście razem z żonami i dziećmi. Będzie wesoło.

– Ahaaa...

– No i mama z Chadidzą są takie samotne w tym wielkim pustym domu.

– Już się za nimi stęskniłaś? Dopiero chwilę jesteśmy sami.

– To nie o to chodzi. Wy stawiacie pusty talerz dla niespodziewanego gościa w Wigilię, a my zapraszamy samotnych i potrzebujących. Jeśli nie chcemy ich widzieć przy naszym stole, to dajemy im na wynos. Też jest okej.

– Dobrze, że żyjemy na odludziu, bo trzeba by codziennie nakrywać dla setki ludzi – kpię sobie trochę.

– Bałaś się, że będziesz tutaj samotna, nie będziesz miała do kogo ust otworzyć, a gdy ja ci organizuję gości, to znów ci nie pasuje? Oj Docia, Docia. – Obrażony strzela oczami na boki i już chce wyjść z kuchni.

– Czy ja powiedziałam, że nie chcę? – Chwytam go za poły marynarki i nie puszczam. – Jestem trochę przerażona, bo nie czuję się na siłach, aby przygotować coś, co będzie smakowało twoim rodakom. Przecież wiesz, że moje zdolności kulinarne są mierne. Oprócz kotletów i sernika z zakalcelem raczej nic mi nie wychodzi.

– A ty myślisz, że u nas w gości ludzie przychodzą z pustymi rękami? – odpowiada trochę udobruchany. – Oni przyniosą arabskie dania, a ty przygotujesz jakąś słowiańską specjalność.

– Jeśli tak, to co innego. Już się cieszę. – Oddycham z ulgą i zabieram się za rozpakowywanie siatek.

– Ja pogadam i ustalę, kto i kiedy przyjedzie. – Dumny pan domu idzie do salonu, a ja zostaję w mojej pięknej kuchni.

No i zaczęło się. Też usiłuję pościć, lecz koło południa żołądek zaczyna przyrastać mi do kręgosłupa. Jak oni to robią, jak wytrzymują? W tym roku i tak się udało, bo ramadan jest

jesienią – jak ciężko jest przetrzymać cały długi dzień latem, kiedy upał zwala z nóg, a nie można napić się nawet kropli wody.

– Hej, pospieszcie się, Dorota, miej litość! – Ahmed stoi w drzwiach, zwarty i gotowy, a my z Marysią jesteśmy w proszku.

– Daj nam pięć minut i nie stój tak nad nami. Napij się kawy.

– Chciałbym, ale może w przyszłym miesiącu.

– Sorry, jestem nieprzytomna.

– Marysia zje u mamy, a ty narzuć coś i jedziemy. Nie mogę się spóźnić! – wykrzykuje. – Do firmy tak, ale nie na uczelnię. Studenci nie czekają nawet kwadransa, tylko zaraz się zmyją, zwłaszcza w ramadanie. Każdy jest śpiący i głodny.

– I zły – dodaję, widząc, co się święci.

– Bez przesady. Może tylko troszkę podenerwowany.

Ahmed jest już w samochodzie i grzeje silnik. My z Marysią wskakujemy prawie w biegu i zaraz ruszamy z kopyta. Pędzimy na złamanie karku jakimiś skrótami, które wydają mi się dłuższe niż normalna, wygodna, asfaltowa droga.

Dzisiaj mamy pierwsze podejście do realizacji planu skomplikowanej organizacji życia rodzinnego; zostawienie Marysi u babci, podrzucenie mnie na fitness, uczelnia Ahmeda, a później pozbieranie wszystkich do kupy i powrót do wiejskiego domu. Na domiar złego tę tak trudną próbę przeprowadzamy w ramadanie. To się nie może udać.

Wbiegam na aerobik o czasie, ale Ahmed na pewno się spóźni, bo korki w mieście są niesamowite. Czemu wszyscy zaspali akurat dzisiaj?

Zajęcia gimnastyczne prowadzi Aisza, miła młoda dziewczyna, mistrzyni tenisa i absolwentka akademii sportowej, profesjonalistka. Ma przyjemny głos i cały czas się śmieje. Jest naprawdę świetna. Ci dwaj mężczyźni trenerzy, czy raczej podrywacze z klubu Maliki, Rahman i Hamid, nie umywają się do niej. Przy ćwiczeniach brzucha robi mi się niedobrze i muszę przerwać. Aisza zaraz do mnie podbiega i pyta, czy wszystko w porządku. To rozumiem, to mi się podoba. Po stretchingu i końcowych oklaskach uczestniczki zajęć okrążają mnie, chcąc się zapoznać. Wszystkie są tak serdeczne i życzliwe, że już nawet jestem skłonna odpuścić im zafascynowanie moimi włosami.

– Co się robi, żeby były takie proste? – pyta jedna.

– Jaką farbę stosujesz?

– Jakie odżywki? Są takie miękkie!

– Szkoda, że jest ramadan, bo poszłybyśmy na szawormy – mówią smutno. Rzeczywiście szkoda, bo nie mam co ze sobą zrobić przez najbliższe dwie godziny.

– To jesteśmy umówione za miesiąc. Czas szybko zleci – pocieszam je.

– Łatwo ci mówić! A ty pościsz?

– Staram się – przyznaję szczerze. – Najtrudniej jest wytrzymać bez wody.

– Racja. Jedzenie to mały pikuś. Przecież i tak stale jesteśmy na jakichś dietach.

– Idę jeszcze na siłownię, bo mam mnóstwo czasu – tłumaczę, kierując się na salę. – Mąż w pracy, przyjedzie dopiero za jakieś trzy godziny.

– *Miskina*

– żałują mnie i znów głaszczą po głowie. – Następnym razem pojedziesz do mnie, pooglądamy telewizję – mówi śliczna brunetka o prostych włosach, podobna do Cher.

– Nie, nie! Do mnie. Poczatujemy w Internecie – krzyczy druga.

Teraz wszystkie będą chciały się mną zaopiekować. Takiej życzliwości nigdzie indziej się nie doświadczy.

– Najlepiej jedź ze mną, to od razu zrobisz sobie zakupy – proponuje poważna

właścicielka marketu.

– Super! We wtorek umówię się z mężem na telefon i pojedę, gdzie chcecie! Zgoda? – mówię zadowolona i uszczęśliwiona niespodziewanym wysypem nowych koleżanek.

– To jesteśmy umówione. Co tydzień do jednej i masz pół roku zagwarantowanej opieki – podsumowuje jakaś dowcipnisa.

– *See you!* – krzyczą na odchodne, machając rękami.

– Cześć, do zobaczenia.

Ćwiczę do woli. Nikt mnie nie pogania, nigdzie nie muszę się spieszyć. Na koniec idę do sauny, po której czuję się jak nowo narodzona. Ahmed przychodzi o czasie, też zadowolony, bo studenci na niego zaczekali.

– Szczęśliwa? – zadaje retoryczne pytanie.

– Mmm. – Biorę go pod rękę i leniwie przytulam się do niego. – Oj! – Odskakuję na metr. – Sorry, zapomniałam, że w ramadanie nie ma przytulania.

– Nie przesadzaj, nic się nie stało – mówi ciepło. – Po wczorajszym całonocnym szalonym seksie jeszcze mnie wszystko boli. Nie jestem już taki młody i zanim teraz chociaż pomyślę o bzykaniu, najpierw muszę się zregenerować. – Śmieje się i mruga do mnie okiem.

– O mój Boże, a cóż ja ci takiego zrobiłam? – pytam, udając przerażoną.

– Poszlachtowałaś mi plecy jak kotka w rui. Ale to dobrze, na dłużej starczy, choć na pewno nie na cały miesiąc. – Podnosi zabawnie jedną brew do góry.

– Jedziemy po Marysię? – zmieniam temat, jednak trochę zawstydzona moimi wybrykami.

– Ma się rozumieć – odpowiada, biorąc ode mnie ciężką treningową torbę.

Podjeżdżamy pod dom matki. Wygląda na opustoszały. Wchodzimy do salonu, który jak zawsze spowija ją ciemność. Smutno tu.

– Zaprosiłeś już mamę i Chadidę na kolację? Są takie samotne.

– Jako pierwsze. Przyjadą w ten piątek.

– To dobrze.

Na piętrze słychać śmiech Marysi. Wbiegamy po schodach i wszyskich znajdujemy w kuchni.

– Jak zdrowie, jak się macie? – zarzucamy się serią obowiązkowych grzeczności.

– W porządku, świetnie, cudownie.

– Mamusiu, tatuniu, popatrzcie, co dla was ugotowałam! – Przeszczęśliwa Marysia ciągnie nas za sobą.

Wielki karton stojący pod oknem został zapakowany aromatycznym domowym jedzeniem.

– A co to? – pytam zdziwiona.

– W ramadanie trzeba jeść tradycyjnie, a ty chyba jeszcze nie za dobrze umiesz gotować te nasze tłuste i niezdrowe dania. Na co dzień można się żywić hamburgerami albo sałatą, lecz nie podczas świętego miesiąca – nie wyczuwam złości w głosie matki, jedynie lekką ironię.

Ma stuprocentową rację – nie jestem w stanie tego wszystkiego przyrządzić. Nie miałam ochoty uczyć się, kiedy mieszkaliśmy razem i teraz zaczynam trochę żałować.

– Dziękuję, mamu. – Zarzucam jej ręce na szyję i usiłuję pocałować w policzek, lecz ona ze śmiechem uwalnia się ode mnie.

– Nie ma za co! Daj spokój! Cóż innego mam do roboty, jak nie pomagać dzieciom? Na coś się wtedy mogę przydać.

Po raz kolejny stwierdzam, że nie jest taka zła.

– Jedźcie już, trzeba położyć się spać, żeby przetrzymać głód. A ty, Dot, pościsz? – pyta

mnie na koniec.

– Staram się – powtarzam, bo dzisiaj wszyscy mnie o to pytają. – Od rana jeszcze nic nie jadłam, ale z piciem jest problem. Bolą mnie nerki, musiałam wziąć parę łyków – usprawiedliwiam się.

– To nonsens! – wykrzykuje oburzona matka. – Nie jesteś muzułmanką, to po co to robisz? Po co się katujesz? Dla Ahmeda? Jedyne, co powinnaś, to nie obżerać się na jego oczach i w miejscach publicznych, tyle wystarczy. Zmienisz religię, mam nadzieję, i wtedy będzie to miało sens.

– Chcę się z wami solidaryzować – tłumaczę moje podejście.

– Bzdury! – nieprzejednana burczy pod nosem i wychodzi.

Bierzemy pudło i niesiemy je do samochodu. Doprawione ziołami potrawy pachną tak, że pochłonęłabym je wszystkie od razu. Marysia beczelnie ciamka jakiś aromatyczny, tłusty krokiecik.

– Jedźmy, bo zaraz zemdleję albo rozpakuję ten karton – szepcze Ahmed. – Pokażę ci mój skrót. Jeszcze nie jest ciemno, to mam nadzieję, że nie pobłądzę.

– A którą prowadzi ta twoja droga?

– Całkowicie omijamy centrum i zaraz koło naszego domu wpadamy na obwodnicę. Jest to droga na lokalne, rzadko używane lotnisko Metyga. Rozglądam się z zaciekawieniem. Rzeczywiście po krótkiej chwili wypadamy na wielką pustą przestrzeń, przeciętą tylko linią prostej jezdni.

– Za parę kilometrów zaczną się osiedla bloków – informuje mnie Ahmed.

– A dlaczego tak daleko, czemu nie zaczęli ich stawiać przy mieście?

– To są budynki komunalne dla biedoty. Dla tych, którzy, mimo że nie mają kwalifikacji ani znajomości, przyjeżdżają do stolicy za chlebem. Marzy im się wielka kariera i jeszcze większe pieniądze.

Pojawiają się pierwsze domy. Są to wielkie piętnastopiętrowe molochy ciągnące się wzdłuż jednej i drugiej strony ulicy.

– Jak stare są te gmaszyska? – pytam, widząc, że prawie się rozsypują.

– Niektóre świeżo oddane, najstarsze mają może z pięć lat.

– Żartujesz, wyglądają jak rudery, jakby się zaraz miały zawalić.

– To teraz widzisz, jaki element tutaj mieszka. Wandale! Dostają coś za darmo, więc tego nie szanują. Jakby musieli na mieszkanie zarobić, odkładać na nie latami i sobie czegoś odmówić, inaczej by to wyglądało. Hej, czy ja nie znam tego samochodu? – Ahmed dogania białego citroena z wgniecionym tylnym zderzakiem.

– Czekaj, ja też gdzieś go już widziałam.

– Hamid! – jednocześnie wykrzykujemy, rozpoznając mężczyznę za kierownicą.

– Pasuje do tej dzielnicy. – Ahmed wygina w pogardzie wargi. – Troszkę się z nim zabawimy.

Gwałtownie dodaje gazu i niebezpiecznie zbliża się do kufra citroena.

– Nie wygłupiaj się! Jeszcze spowodujesz wypadek! – próbuję go pohamować, lecz wiem, że nic to nie da.

– Bój się, gnoju! – Ahmed jest już w transie, adrenalina uderzyła mu do głowy.

Czuję delikatne zetknięcie się aut i widzę, jak kierowca przed nami z oburzeniem wymachuje ręką i pokazuje jakieś gesty nad głową. Ahmed trochę zwalnia i tamten zjeżdża na drugi pas, puszczając nas przodem. W tej grze nie o to jednak chodzi, lecz nasz przeciwnik jeszcze nie wie, że uczestniczy nie tyle w wyścigu, ile w zabawie w kotka i myszkę.

Zerkam na szybkościomierz i włosy stają mi dęba. Jedziemy sto czterdzieści, i to po

przyhamowaniu. Nie podoba mi się, jest zbyt niebezpiecznie. Ahmed, gryząc wargi, również zmienia pas i znów dokleja się do Hamida.

– Ahmed! Dość! – krzyczę przerażona. – Jedzie z nami twoja córka, pamiętasz o tym? Jak masz ochotę się zabić, zrób to sam! – Tłukę go po ramieniu, choć boję się, żeby nie stracił panowania nad kierownicą.

– Nie żartuj, wszystko jest pod kontrolą. – Śmieje się chrapliwie.

– Ale ty już nie panujesz nad sobą! – wrzeszczę mu prosto do ucha.

Powoli oddala się od samochodu przed nami i wyprzedza go, mijając łukiem. Robi to tak blisko, że wstrzymuję oddech, a żołądek podchodzi mi do gardła. Hamid odwraca się w naszą stronę. Najpierw ze złością chce coś krzyknąć, później, gdy nas poznaje, na jego twarzy wykwita serdeczny, promienny uśmiech, lecz już po sekundzie zamiera na jego wargach. Patrzy w oczy Ahmeda i na moją pochmurną twarz. Dotarło do niego, że my wiemy. Przez ułamek sekundy wydaje mi się, że widzę panikę w jego oczach. Bez słowa, jeszcze szybciej ruszamy przed siebie. Najpierw rodzinka. Aż się boję. Pierwsza wizyta w naszym domu i po raz pierwszy to ja będę gospodynią. Ahmed już od paru dni próbuje mnie uspokajać, lecz nic nie pomaga. Na samą myśl o wpadce trzęsę się jak osika. Wiem, że jedzenie musi być świeże i nic nie można przygotować dzień wcześniej. W piątek wstaję o szóstej rano razem z Ahmedem na ramadanowe śniadanie. Postanawia zabrać Marysię na cały dzień do swojej mamy – mała przyjedzie ze wszystkimi dopiero wieczorem. Dobry pomysł.

– To do zobaczyska – mówi, pochylając się nade mną i całując moje włosy. Chcąc mnie podtrzymać na duchu, odpuszcza sobie zakaz zbliżania. Allah chyba za bardzo się nie obrazi, bo cel jest zbożny.

– Trzymaj kciuki – wzdycham. – Jakbym wszystko popsuła, będę dzwonić. Kupisz coś gotowego i koniec. Będą hamburgery i pizza.

– Pewnie. – Śmieje się i ściska mnie za rękę. – Na chwilę tylko zajrzę do firmy, bo akurat dzisiaj mamy dostawę, ale nie bój się, postaram się urwać. Potem tylko meczet i pędem do domu. Przyjadę wcześniej, to ci pomogę.

– Świetnie. Czekam. Wiesz, gdzie mnie znaleźć – śmieję się z paniką w oczach.

Miały być tylko mama i Chadidza, lecz byłoby to zbyt proste. Pojawią się też oczywiście Malika z synem, Samira i jej chłopak-mąż, cała rodzinka Miriam i ciotka Mina z mężem. Należy jednak liczyć się z tym, że każdy z nich może przyprowadzić ze sobą kogoś ekstra. Tak już tutaj jest. Muszę więc przewidzieć jedzenie na co najmniej dwadzieścia osób. Zakasuję rękawy i spoglądam na wypisane na karteczce menu. Jakby nie przynieśli zupy, to będzie polski rosół z makaronem ryżowym, zwanym tutaj *szorba*. Zarabizowany rosół. Na drugie przygotuję kurczaka według przepisu mojej babuni – trochę przypomina tutejszego. Jest tam czosnek, zioła i przecier pomidorowy. Może im zasmakuje, a jak nie, to my z chęcią będziemy go jeść przez najbliższy tydzień. Do tego purée ziemniaczane, lecz na wszelki wypadek również ryż z szafranem. Kuskus na pewno przyniosą, więc głodni nie wyjdą. Do tego oczywiście muszą być sałatki. Nasza jarzynowa nazywa się tutaj *russian salad* i jest moim popisowym daniem. Na stole musi się pojawić coś zielonego – więc sałata lodowa z sosem winegret będzie w sam raz. Na deser sernik domowy à la wiedeński według receptury mojej mamy. Sprawdzony i co ważniejsze, prawie zawsze wychodzi, choć niekoniecznie mnie.

Zaczęło się od sernika. Otwieram piekarnik – pięknie wyrośnięty, upieczony na złoty kolor, palce lizać. Wzdycham z ulgą, wyłączam grzanie i zostawiam ciasto przy uchylonych drzwiczkach jeszcze na parę minut. Kiedy po pewnym czasie podchodzę do niego, sernika nie widać, opadł na samo dno formy. Aaaaa! Jak to możliwe?!

– Ahmed, ciasto mi nie wyszło – dzwonię natychmiast. – Błagam, kup mi kilogram

świeżego sera, to po twoim powrocie jeszcze zdążę upiec nowe – prawie płaczę.

– Kochanie, na pewno będzie smaczne, a nikt nie wie, jak ma wyglądać idealny polski sernik – mówi spokojnym głosem.

– Jak to, dam gościom zakalec?!

– Jak się będą krzywić, to im się powie, że tak ma być – śmieje się. – Masz całkowicie wolną rękę, bylebyś gości nie otruła.

– Ale zabawne! – Uśmiecham się jednak, wyobrażając sobie ich wykrzywione twarze.

– Dobra, kupię na wszelki wypadek ten ser, ale mówię ci, to nie ma sensu. Jakby co, dzwoń.

Rosół. Każde polskie dziecko, jak tylko odrośnie powyżej stołu, umie ugotować rosół. Wrzuca się kurczaka i jarzyny. Trochę doprawić, zmniejszyć ogień i gotować przez co najmniej dwie godziny. Ani robota, ani filozofia! Świetnie, i o to chodzi.

Pieczony kurczak to też przepis dla leniuchów. Tylko że ja mam aż pięć sztuk, pięć wielkich, wypasionych i otłuszczonych bydlaków. Ściągam skórę i usiłuję pociąć je wielkim sekatorem na mniejsze porcje. Nie da rady. Jestem mokra, pot ciurkiem cieknie mi po plecach i twarzy.

– Ahmed, nie mam siły poporcjować kurczaków – jęczę do słuchawki.

– Że jak? – pyta, wzdychając.

– Trzeba je podzielić na mniejsze części. Przecież zawsze to robiłeś u rzeźnika, lecz tym razem, na moją zgubę, przywiozłeś całe, wielkie mutanty, których jeśli się nie porżnie, to nie zmieszają się do żadnego naczynia.

– Idź do gafira, niech to zrobi na tarasie albo na tym kamiennym stole z tyłu domu.

– Racja. Dzięki, Ahmed.

– Nie ma sprawy. Dzwoń w razie czego.

Jak to dobrze mieć wsparcie, przynajmniej na odległość. Sernik wynoszę do salonu i nie chcę go więcej oglądać. Teraz czas na kurczaki. *Gafir*, stękając, wsadza wielką brytfannę do piekarnika i ma przyjść za dwie godziny, aby ją wyjąć. Czas na przerwę, do zrobienia zostały tylko sałatki. Jarzyny wezmę z rosółu, a sałatę na razie tylko umyję, bo przecież musi być polana sosem tuż przed podaniem. Umordowana walką z kurczakami gigantami idę do sypialni rozprostować plecy. Nie wiem kiedy zamykam oczy.

– Madam, madam! – słyszę skrzekliwy głos stróża. – Gdzie pani jest?

Zrywam się na równe nogi. Czuję swąd spalonego mięsa. Biegnę do kuchni. *Gafir* już pochyła się nad piecykiem.

Otwieramy przykrywą. Nie jest źle – jest tragicznie! Czuć swąd spalenizny i wiem z doświadczenia, że niczym się go nie usunie. Co zrobić? Mięso oddzielam od kości, robię nowy sos, a spalony wylewam do ubikacji.

Zapomniałam o rosole. Zostało go niewiele, sam koncentrat. Zaglądam do garnka i wybucham histerycznym śmiechem. Włączam magnetofon z moją ulubioną płytą i zaczynam nucić pod nosem. Już przestałam się przejmować, to przez te nerwy nic mi nie wychodzi. Dolewam wody do zupy, wrzucam parę kostek rosółowych, makaron i gotowe.

Jest piąta, wszystko przygotowane; popalone, rozrzedzone i do niczego, ale przecież nie mogę dać się zwariować. Siadam na tarasie i czekam na mojego męża, który, mam nadzieję, przyjedzie przynajmniej minutę przed gośćmi.

Po godzinie zaczynam nakrywać do stołu. Zmierzcha. Zaraz muezin ogłosi chwilowe ustanie postu i będzie można zasiąść do kolacji, lecz, tak jak się spodziewałam, nikogo jeszcze nie ma. Już słyszę odgłosy azanu z odległego meczetu. W tej samej chwili pisk opon przed domem sygnalizuje najazd gości.

Wszyscy wpadają do salonu i z obłędem w oczach zaczynają biegać. Czy oni nic nie potrafią zrobić normalnie? Nawet w święta? Malika ochrzania kogoś nie wiadomo za co, a Ahmed taszczy do kuchni wielkie pudła, prawdopodobnie z jedzeniem.

– Mamusiu, już wszyscy jesteśmy! – krzyczy umorusana na twarzy Marysia. – Ale fajnie, no nie?

– Jak po nią przyjechałem, nie było już odwrotu. – Ahmed teatralnie szepcze mi do ucha, przymyka oczy i rozkłada bezradnie ręce. Jest zmęczony i blady jak ściana.

W salonie na ławie umieściłam suszone daktyle i *leben*, coś w rodzaju kwaśnego mleka, bo żeby nie dostać skrętu kiszek, od tego muszą zacząć posiłek. Później modlitwa, jedzenie i znowu modlitwa. Dobrze, że nie celebруем tego tak codziennie. Panuje gwar i bałagan. Oczywiście doszło parę niespodziewanych osób, których widok jednakże bardzo mnie ucieszył. Przyjechał najmłodszy syn Chadidży, widać jeszcze potrzebuje matki, oraz Leila z mężem, których wesele z takim poświęceniem pomagałam przygotowywać. Kiedy całujemy się na przywitanie, czuję jej jeszcze mały, lecz już twardy, ciężowy brzuszeczek. Malika może teraz powiedzieć: a nie mówiłam?

Stół jadalny nie pomieści wszystkich, więc każdy rozsiada się tam, gdzie mu wygodnie. Nawet mój bujany fotel jest okupowany przez Marysię i córkę Miriam. Jest bardzo przyjemnie, wesoło i swojsko. W oczy rzuca się Miriam, bo jako jedyna nie śmieje się, nie krzyczy i nie ma niczego do powiedzenia. Siedzi cicho na kanapie, trzymając obie ręce wsunięte między kolana. Jej mąż ma pusty wzrok i zaciśnięte szczęki. Policzki zapadły mu się i wygląda na chorego. Omijają się wzrokiem i nawet jak mówią coś jedno do drugiego, to albo z odwróconą głową, albo patrząc w próżnię. Nie podoba mi się ta sytuacja, będę musiała pogadać o tym z Maliką.

Jedzenia są ogromne ilości – oni chyba zostaną u nas przez tydzień. Oczywiście przywieźli wszystko, co tradycja przewiduje, lecz ja, niczym niezrażona, wystawiam także moje polskie specjały. O dziwo, wszystko im smakuje, zajadają się nawet przypalonym mięsem. Co głódówka może zrobić z człowiekiem?!

– Dot, musisz mi dać przepis na tego polskiego kurczaka – mówi z pełnymi ustami Malika. – Szczególnie sos ma jakiś specyficzny smak, jakby wędzony... grillowany.

– Oczywiście. – Śmieję się w duchu. – To kwestia przypraw.

Po zielonej herbacie z miętą zaczynają się opowieści, anegdotki i arabskie kawały, których w ogóle nie rozumiem. Najbardziej ich śmieszy Tarhuni, facet z miejscowości Tarhuna, taki lokalny głupek. Około północy podaję mój sernik, który znika w okamgnieniu. Ja nawet go nie spróbowałam.

– Dobrze, że kupiłem jeszcze kilogram sera, to jutro upieczesz coś dla nas. – Ahmed po polsku krzyczy z drugiego końca pokoju.

– Wy, wy, nie szeleścić mi tutaj w nikomu nieznanym języku! – Samira karci nas palcem. – Nie spiskować!

Śmieję się. Mam teraz taką dużą, wspaniałą rodzinę. Od dziecka cierpiałam, że spędzamy święta tylko z mamą, we dwie. I zawsze było smutno, choć mama bardzo starała się mnie rozweselić. Jestem szczęśliwa jak nigdy dotąd i dumna z siebie – najważniejsze to podjąć dobrą, dojrzałą decyzję. Wszystkie obawy i zmartwienia uleciały, złe wspomnienia zniknęły, jakby ich nigdy nie było.

Goście opuszczają nas o trzeciej nad ranem. Marysia beztrąsko śpi w fotelu, zwinąwszy się na miękkiej poduszce jak kotek. Przenosimy ją do łóżeczka. Niczego nie sprzątamy – jutro też jest dzień. Do białego rana kochamy się cicho i spokojnie. W końcu w nocy zawiesza się post...

Ostatnie dni ramadanu są najgorsze. Wszyscy są już zmęczeni i rozdrażnieni, mają dość i chcą wrócić do normalności. Organizm domaga się swojego odwiecznego rytmu. Teraz

najłatwiej o kłótnie i spory – nerwy napięte są jak postronki, a w powietrzu aż skrzy. Dlatego też unikam jakichkolwiek kontaktów z otoczeniem, a szczególnie z rodziną. Jest wspaniała, lecz czasami bywa lepsza na odległość.

Świetnie się zorganizowaliśmy z wyjazdami na fitness czy do miasta i jakoś ta odległość przestała być dla nas problemem. Oboje mamy telefony komórkowe, my z Marysią – polską telewizję satelitarną, w domu jest laptop i Internet. Znów zaczynam uczyć się angielskiego i arabskiego. Może kiedyś, gdy nasz związek się umocni, będę mogła podjąć jakąś pracę. Ciągle mam taką nadzieję.

– Dot, jak się masz? – słyszę w telefonie poważny głos Maliki.

– W porządku. Co się stało? – zapominam o konwenansach i od razu przechodzę do sedna sprawy, bo czuję, że dzieje się coś niedobrego.

– Ty tak od razu? A gdzie pytanie o zdrowie i rodzinę? – Nie wiem, czy żartuje, czy mówi poważnie.

– Sorry, ale mówisz takim grobowym tonem, że aż się boję.

– Coś mi się ta Miriam nie podoba – oznajmia. – Oczywiście od dłuższego czasu, ale teraz znów jest gorzej. Potrzebuję wsparcia, bo ona nie może już na mnie patrzeć. Dzwonię do niej prawie codziennie. Niepokoję się, jak to siostra, niczego jej nie chcę wypominać ani jej pouczać, ale ona ostatnio przestała odbierać telefony.

– Czyżby znowu coś było między nią a Hamidem? – pytam. – Nie chce mi się wierzyć!

– To niemożliwe! Jest tak przestraszony, że aż w gatki robi – śmieje się Malika. – Przedstawiłam mu świetlaną przyszłość, jaka go czeka w rodzinnej wiosce na pustyni, jeśli jeszcze raz choćby słówko zamieni z moją siostrą.

– Dobrze mu tak! – Życzę mu jak najgorzej. – Co on na to?

– Zapytał, czy Ahmed też wie. I czy już cała rodzina wie, i wszyscy sąsiedzi.

– Myśli, że ludzie nie mają o czym rozmawiać, tylko o jego podbojach miłosnych – oburzam się.

Opowiadam Malice o naszym przypadkowym spotkaniu na drodze. Niesamowicie ją to bawi i niektóre momenty każe sobie powtarzać po parę razy.

– To co zrobimy z Miriam? – pytam.

– Może zadzwoń do niej, umówcie się na pogaduszki, kawa, ciasteczko.

– Malika, ramadan – przypominam.

– Szisz – przeklina po swojemu. – To spotkajcie się o suchym pysku. Tak wstępnie.

– No pewnie, nie ma sprawy. Jutro jadę do miasta na aerobik, a później mam jeszcze dwie wolne godziny. Z Ahmedem umówimy się u mamy.

– To ja wtedy też tam przyjdę, przekażesz mi swoje wrażenia. Oj, żeby z tego coś jeszcze gorszego nie wyszło – martwi się. – Wydaje mi się, że ona potrzebuje pomocy psychologa lub psychiatry, ale jak w kraju arabskim kobieta ma opowiadać lekarzowi o swojej zdradzie?! Zamiast w wariatkowie wylądować w więzieniu.

Słyszę dźwięk odkładanej słuchawki. No i po rozmowie. A gdzie zwyczajowe pożegnanie?

Ahmed cieszy się, że chcę zaangażować się w pomoc jego siostrze.

– Dziękuję, kochanie – szepcze, kiedy rano pakujemy się do samochodu.

– Ja też się o nią niepokoję – mówię całkiem szczerze.

– Bóg da, to wszystko się ułoży.

– Musimy trochę pomóc temu waszemu Allahowi.

Po fitnessie łapię taksówkę i jadę na spotkanie. Jeszcze raz dzwonię, żeby potwierdzić, że za chwilę będę. Jest mi przykro, bo Miriam nie wydaje się zbyt zadowolona z mojej wizyty.

Słyszę to w jej głosie.

Wita mnie w drzwiach i prowadzi do salonu. Na stole czekają już kawa i ciasteczka.

– Przecież jest ramadan, bez przesady, nie będę się obżerała na twoich oczach – śmieję się, usiłując wprowadzić miłą atmosferę.

– Mnie to nie rusza – mówi cicho, prawie szeptem. – Nie krępuj się.

– Co u ciebie, jak żyjesz?

– Dobrze – odpowiada odruchowo, nie patrząc mi w oczy.

– A jak tam z pracą? Mówiłaś o jakiejś propozycji z firmy naftowej.

– Zobaczymy.

– A dzieci zdrowe? – zaczynam zadawać schematyczne pytania, bo czuję, że rozmowa się nie klei.

– Tak, w porządku.

– Hej, Miriam! – podnoszę głos, nieco już zdenerwowana. – Dziewczyno, spójrz na mnie, obudź się!

– O co ci chodzi, Blondi? – W końcu coś do niej dotarło.

– Jeszcze nie tak dawno byłyśmy przyjaciółkami, rozmawiałyśmy szczerze. Co się stało? Przecież wiesz, że możesz mi się zwierzyć. – Chwytam ją za rękę, którą ona szybko wyrывa.

– Żebyś mogła zdać relację Malice? Czy Ahmedowi?

– Nie obrażaj mnie, do cholery! Nigdy nikomu nic i o niczym, rozumiesz, o niczym, czego byłam świadkiem, nie powiedziałam.

– To świetnie. Widać plotki roznoszą się przez powietrze.

– Sądzisz, że ja puściłam farbę?! – Zaczyna mnie poważnie wkurzać. – Wiesz co, wredna jesteś! Nie spodziewałam się!

– Nie tylko wredna, ale jeszcze kurwa, zapomniałaś? – nadal spokojnie i bez życia odpowiada.

– Ja już wcześniej, przez przypadek, tutaj u ciebie w domu, w tym salonie widziałam cię z Hamidem. I milczałam jak grób.

– O, bawimy się w szpiegowanie. – Zaciska wargi i patrzy na mnie oskarżycielsko.

– Zdarzyło się, że zabrałaś moje adidas, myślałam, że nikogo nie ma i usiłowałam je znaleźć. Wierz mi, że nie chciałam być świadkiem twojej zdrady.

Zapada kłopotliwe milczenie. Sięgam po ciastko, bo nie wiem, co mam zrobić z rękami. Nie wyjdę, nie uda się jej tak łatwo mnie pozbyć.

– Ty myślisz, że ja nie wiem, że zrobiłam straszną rzecz – jednak zaczyna mówić. – Skrzywdziłam dzieci, kochającego męża, przyniosłam wstyd rodzinie. – Chowa twarz w dłoniach. – Wszystkich okryłam hańbą. Myślisz, że nie mam tej świadomości!? A wiesz, co jest najgorsze? Jeśli jeszcze raz znalazłabym się w tym samym miejscu i o tej samej porze, zrobiłabym to samo. Powinnam sobie wyrzucać mój postępek, lecz ja nie żałuję. Niczego nie żałuję! Uważam, że było to najlepsze i najcudowniejsze, co mogło mnie w życiu spotkać. – Zaczyna cicho i żałośnie płakać. – Czy to nie upokarzające?

Siadam obok niej i obejmuję jej plecy ramieniem. Co powiedzieć? Jakby ten drań kiwnął tylko palcem, zaraz by za nim poleciała. Nadal nie zważałaby na hańbę, dzieci i kochającego męża. Nie rozumiem jej. To nie jest miłość, tylko jakieś opętanie. Ona musi się z tego wyzwolić!

– Powinnaś o nim zapomnieć – zaczynam cicho. – To nie jest dobry człowiek.

– Wiem – przyznaje, pociągając nosem.

– On nie zważał na to, że rani cię i krzywdzi. Gdyby naprawdę kochał, nigdy by tak z tobą nie postąpił.

– Wiem.

– Miriam, musisz wykreślić go ze swojej pamięci, ze swego serca.
– Wiem. – Zaczyna mocniej szlochać – Ale ja nie mogę! Nie umiem! – Głaszczę ją po pięknych, kręconych, kruczoczarnych włosach i nie wiem, co mam zrobić. Pozostaje już tylko terapia wstrząsowa.

– Przecież wiesz, że on zaliczył mnóstwo kobiet. To typowy podrywacz. Ledwo mu się któraś nawinęła, brał ją, aby po chwili zostawić i zabrać się za inną. Nigdy nie liczył się z czyimiś uczuciami. Zawsze myślał tylko o sobie, o swojej przyjemności.

– Skąd wiesz?

– Wszyscy o tym mówią.

– Malika ci coś nagadała, a ty oczywiście zaraz wszystkiemu dajesz wiarę.

– W każdej plotce jest ziarno prawdy.

– O tobie na fitnessie mówili, że lecisz na każdego Helmuta i że na pewno masz już jakiegoś popychacza. – Miriam siada i ociera oczy wierzchem dłoni. – To co, jest w tym deko prawdy czy nie?

Zamurowało mnie. Ze zdziwienia otwieram usta.

– Co?! – krzyczę przerażona. – Jak można?! To zwykłe pomówienie!

– Widzisz, a jednak gadali. Pamiętaj, że mój brat nawet bez powodu jest wręcz obłędnie zazdrosny, a co by było, gdyby go miał?! On nie byłby taki łagodny i miły jak Mahmud.

– Wiem, dlatego zrezygnowałam z pracy i zaszłam się na prowincji. Teraz będzie mógł się wściekać o moje kontakty z gafirem, stuletnim bezzębnym starcem. Nie potrafię tego pojąć, ale widać tak musi być. To brak zaufania, tylko że ja sobie na to nie zasłużyłam.

– Tutaj nie chodzi o zaufanie, lecz o charakter Ahmeda. W tym względzie wychodzi cała jego samcza arabska natura.

– A skąd ty o tym wiesz? – dziwię się.

– Przeprowadzał śledztwo w naszym fitnessie: co my tam robimy, kto nas trenuje, z kim rozmawiamy.

– Kogo pytał? – Jestem w szoku.

– Najpierw nas, mnie i Malikę, o ciebie, jak tam sobie dajesz radę i takie inne farmazony, a później chyba innych, bo parę osób nas ostrzegało, żeby uważać.

– To czemu mi o tym nie powiedziałyście? Takie przyjaciółki, rodzina?! A może czekałyście, aż mi się noga powinie?! – W tym momencie zupełnie tracę do nich serce, wściekła zrywam się na nogi i zaczynam nerwowo chodzić po salonie.

– Też coś! Po co ci było zatruwać życie? Przecież nic złego nie robiłaś. Takie bzdury i idiotyczne zachowanie naszego brata mogły tylko popsuć układy między wami. Nie chciałyśmy tego.

– Na pewno! – Już jej nie wierzę.

– Nie było zagrożenia, to i nie było przed czym ostrzegać – krótko kwituje Miriam. – Lecz twoje ostatnie występy w środowisku polonijnym to już zupełnie inna broszka. Ale nas tam nie było, myśmy na to nie musiały patrzeć, tak że nic nas to nie obchodzi. Nie będziemy się wpięprzać w wasze życie, włączyć z butami...

Drobna aluzja, ale teraz moje myśli zaprzęta, jaką siecią intryg oplątał mnie Ahmed – obserwatorzy i donosy. Może nawet wynajął detektywa, o ile tacy tutaj istnieją? Wszystko kotłuje mi się w głowie. W panice zaczynam żałować, że nie wyjechałam, a raczej nie uciekłam, kiedy był czas na to, kiedy jeszcze miałam trochę wolności i swobody. Teraz jest już za późno.

W milczeniu nalewamy sobie kawę. Zjadamy wszystkie ciasteczka, zapominając w nerwach, że mamy ramadan. Nie chcę już o niczym rozmawiać, jestem zmęczona i mam dość. Oni wszyscy powinni się iść leczyć.

– A w ogóle to wy z Ahmedem życie bez ślubu – nagle Miriam strzela z grubej rury.
– Co? Co ty, kobieto, opowiadasz?!

– Taka jest prawda. Dla naszego prawa jakiś papierek z Polski się nie liczy.
– To nie jest jakiś tam papierek tylko akt ślubu podpisany w państwowym urzędzie.
– U nas możesz sobie nim pupę podetrzeć. – Śmieje się złośliwie i z przekąsem.
Zatkało mnie. Nie mogę oddychać, a tym bardziej nic powiedzieć.
– Dopóki nie przejdziesz na naszą wiarę i nie weźmiecie tradycyjnego ślubu przed szejkiem, to nie jesteś prawowitą żoną Araba – mówi z niekłamaną satysfakcją. – Tak jest w każdym kraju muzułmańskim, moje dziecko.
– Nie wiem, czemu chcesz mi dokuczyć? Czemu chcesz mnie zranić? Ale udało ci się – odpowiadam trzęsącym się głosem.
Wstaję, biorę torbę treningową i kieruję się do wyjścia.
– Ja cię tylko ostrzegam. Informuję, żebyś wiedziała, na czym stoisz.
– Wielkie dzięki.
Trzaskając drzwiami, wychodzę bez pożegnania. Jestem zła. Teraz już wiem, jak oni mnie traktują. Wszyscy, bez wyjątku. Kim dla nich jestem? Zwykłą dziwką, ładacznicą, tak jak mówił ich ojciec – blond wywłoką z Polski. Mam w końcu jasność, w jakie gówno wdepnęłam i nie widzę wyjścia z tej sytuacji. Prawie biegiem zmierzam w kierunku domu matki. Nie mam im nic do powiedzenia. Niech się sami bujają ze swoją rodziną i swoimi chorymi problemami.
– No i co, i co? – Malika łapie mnie w samych drzwiach.
– Ahmed, Marysia, jedziemy – krzyczę od progu. – A co ma być?! – warczę na nią podniesionym głosem. – Nadaje się do leczenia, klinicznego i długoterminowego.
Malika cofa się o krok i patrzy na mnie złym wzrokiem. Mierzy mnie od stóp do głów.
– To bardzo ci dziękuję za pomoc. – Obraca się na pięcie i wchodzi do środka.
Jedziemy do domu bez słowa. Ahmed o nic mnie nie pyta, chyba szóstym zmysłem wyczuwa, że teraz lepiej się do mnie nie zbliżać.
Mijają dwa ciche dni. W nocy budzi nas telefon. Zrywam się przerażona, bo to nie może oznaczać nic dobrego.
– Halo – mówię jeszcze zaspanym głosem.
– Może chcielibyście wiedzieć, że Miriam jest u mnie w klinice – bezbarwnym tonem informuje mnie Malika.
– O mój Boże!
– Próbowала podciąć sobie żyły. Mój chirurg już ją opatrzył, wyjdzie z tego.
– Zaraz przyjeżdżamy. – Odkładam słuchawkę.
Ahmed już przy mnie stoi i patrzy z przerażeniem.
– Miriam – mówię jedno słowo i biegniemy do samochodu.
W ostatniej chwili przypominamy sobie o Marysi. Zawijamy ją w koc i układamy na tylnym siedzeniu. Droga jest fatalna – ciemna i śliska od deszczu, lecz pokonujemy ją w zawrotnym tempie.
– Podcięła sobie żyły – informuję, choć o nic nie pyta. – Jest u Maliki, ponoć sytuacja została opanowana.
– Na Allaha, co ta kobieta wyprawia?! Ileż hańby chce zrzucić na naszą biedną rodzinę?! Ile jeszcze będziemy musieli znieść?! Przepelnia się czara, oj przepelnia! W końcu honor rodziny jest najważniejszy...

Jak należy odczytać jego słowa? Przemawia przez niego lęk o ukochaną siostrę czy niezadowolony z ciągłych z nią kłopotów?

Pod kliniką jest pusto, ani żywej duszy, a drzwi wejściowe zamknięte na głucho. Ahmed

dzwoni do Maliki.

– Co jest grane, nie możemy się dostać – mówi podminowanym tonem. Po chwili z półmroku wylania się jakaś postać. Bez słowa otwiera bramę i wskazuje głową na górę.

W gabinecie Maliki pełne oświetlenie. Błada Miriam z zabandażowanymi nadgarstkami leży na skórzanej sofie. Ma na wpół przymknięte oczy i wygląda, jakby już nie żyła.

– Miriam, siostrzyczko. – Ahmed przyklęka przy niej, chwytając ją za rękę, ona zaś wydaje tylko cichy syk bólu.

– Gdybyś nam, Blondi, powiedziała, co zaszło dwa dni temu, może udałoby się tego uniknąć – oskarżycielsko mówi Malika.

– To niby ja jestem wszystkiemu winna? – Z niedowierzeniem kręcę głową.

– Nie przesadzaj, Malika – nieoczekiwanie Ahmed staje po mojej stronie. – Wszyscy wiemy, kto tutaj namieszał. Daj już spokój i nie próbuj szukać kozła ofiarnego.

– Była u niej, jako ostatnia z rodziny z nią rozmawiała! – nie odpuszcza. Widzę nienawiść w jej oczach i nie wiem, czy żywi ją do mnie, czy do całego świata?

– Wiedzieliśmy, w jakim była stanie. – Ahmed spuszcza oczy i wbija wzrok w ziemię. – Trzeba ją było oddać do szpitala psychiatrycznego i nie wstydzić się. Każdemu może się zdarzyć, nawet w najlepszej rodzinie.

– No chyba żartujesz?! – oburza się Malika.

– A co, do cholery, zaszkoziłoby ci to w karierze politycznej? Siostra wariatka popsuje ci reputację?

– Nie tyle wariatka, ile cudzołożnica – złapana na złych intencjach Malika zaczyna kąsać.

– Nie chcę tego słuchać! – wykrzykuje Ahmed, machając rękami. – Żadnych plotek! – Musi udawać, że o niczym nie wie, czy raczej nie chce wiedzieć?

– Czas cię uświadomić, że leczenie w klinice psychiatrycznej polega głównie na rozmowach, terapii grupowej i wspólnym praniu brudów – podkreśla z satysfakcją Malika.

– Dość! – Ahmed odwraca się do nas plecami i patrzy przez okno w mrok.

– Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że zaowocowałyby to zakładem karnym, a może w końcu procesem wytoczonym przez obyczajówkę albo jej męża. Tego chcesz dla niej i dla nas?! Nie wiesz, gdzie żyjesz? Przestań zgrywać takiego filantropa i dobrego braciszka. Nie było cię tutaj przez ponad dziesięć lat i jakoś dawałyśmy sobie radę, więc i tym razem wyjdziemy z tej nieciekawej sytuacji – z wyrzutem akcentuje każde słowo.

– Już masz oczywiście jakiś pomysł? – z przekąsem pyta Ahmed.

– Musi brać leki. Na uspokojenie, rozśmieszenie, na spanie... – Malika zawiesza głos. – Czas łagodzi rany, więc wszystko minie, jej załamanie również. Ale bez wsparcia medycznego się nie obejdzie.

– No to co za problem? Ty masz dostęp do niezłej apteczki, siostrzyczko. Czemu, do cholery, od razu jej czegoś nie zaaplikowałaś?

– Przepisać to nie problem, ale żeby ona zechciała zażywać, i to w odpowiednich ilościach, nie za dużo i nie za mało, to nie jest już takie proste. Do tej pory nie łykała nawet witamin.

– Trzeba to kontrolować, więc przez najbliższy miesiąc będzie mieszkać u matki. Ona już się nią dobrze zajmie i jestem przekonany, że nie spuści jej z oka.

Miriam otwiera oczy i patrzy zdziwiona i przerażona to na Ahmeda, to na Malikę.

– Że niby jak? – pyta słabym głosem.

– Nie niby, tylko tak ma być. – Ahmed zwraca się do niej twardo i zdecydowanie.

– Chyba żartujesz. Już nie jestem małą dziewczynką.

– Może już nie jesteś mała, ale za to ciągle głupia, bo jeszcze nie zrozumiałaś, w jakim

kraju żyjesz. To nie jest Amerykaaa! – Ahmed krzyczy na całą, Bogu dzięki, pustą, klinikę.

– Opuściłbyś siebie, przynajmniej w takim momencie. – Miriam z pogardą wygina wargi.

– Albo zamieszkaż u matki, albo oddajemy cię do wariatkowa, a potem to nie wiem, gdzie cię przeniosą, ale mnie to już nic nie będzie obchodziło. Żeby ratować resztki honoru rodziny, będę się musiał ciebie wyrzec, moja słodka rozpustna siostrzyczko.

– Nie ma mowy! – Bledziuteńka Miriam podnosi się na łokciu. – Jakbyś nie pamiętał, to ja mam męża i tylko on może wbrew mej woli umieścić mnie w zakładzie. Ha!

– Muszę cię oświecić, że gdyby nie ja, twój mąż już dawno by się z tobą rozwiódł. Patrzeć na ciebie nie może i wcale mu się nie dziwię!

Stoimy z Maliką na uboczu, przyglądając się tej wymianie ciosów. Nie mamy zamiaru się włączać.

– A jak teraz ten biedny rogacz zareaguje? Kochająca żonka pod jego bokiem podcina sobie żyły. Ha! To na pewno z miłości do niego, nieprawdaż? – po chwili oddechu Ahmed bezlitośnie kontynuuje.

– Wal się! – Miriam grzeje z grubej rury. – Niech się rozwodzi, będę miała święty spokój! Nie masz mnie czym straszyc!

– No to świetnie! – Ahmed jakby tylko czekał na te słowa. – Ja też się cieszę i jestem przekonany, że tym razem to nastąpi. W końcu spełnią się twoje marzenia. Pakuj więc manatki, bo jak ci wiadomo, po rozwodzie kobieta wraca do rodziny, w tym wypadku do matki. Chyba że wolisz do ojca i jego nowej żoneczki. A gdy biedny Mahmud oskarży cię o cudzołóstwo, to do zakładu karnego lub poprawczego na resocjalizację, i nikt cię stamtąd nie wyciągnie, bo ja już dłużej nie mam zamiaru się kompromitować. Ha! Masz prawo wyboru, patrz, jak cudnie!

Wszyscy wstrzymujemy oddech. Nie ma już żadnych argumentów, wszystko zostało powiedziane.

– Malika, odwieziesz naszą poszkodowaną do domu. – Ahmed wydaje krótkie polecenia, a my tylko słuchamy.

– Tak zrobię – odpowiada bez szemrania.

– Jutro rano Dot przyjedzie i pomoże ci się spakować – teraz zwraca się do Miriam. – Tylko nie życzę sobie, żebyś jej robiła jakieś nieprzyjemności. Zamiast obrażać życzliwych sobie ludzi, naucz się mówić dziękuję, bo na to, w jakim aktualnie jesteś położeniu, sama sobie zapracowałaś i nikt nie jest temu winny. Powinnaś się cieszyć, że masz taką tolerancyjną rodzinę. Inni by cię już dawno... – nie kończy, wygina tylko pogardliwie wargi, bierze mnie mocno pod ramię i wychodzimy

Koniecznie chłopak

Całe szczęście ramadan się skończył, a następny dopiero za rok. Od jakiegoś czasu dziwnie się czuję. Rano budzę się zlaną zimnym potem, to trzęsą mną dreszcze, to jest mi gorąco. W brzuchu przelewają się jakieś wody i bulgoczą bąbelki, więc chyba musiałam złapać amebę, powszechnego tutaj pasożyta. Nie chcąc denerwować Ahmeda, sama kupuję sobie pojemniczek i planuję po którymś fitnessie zanieść kał do analizy. Przychodnia jest tutaj na każdej niemal ulicy, tak że nie ma z tym kłopotu.

Ćwiczenia od jakiegoś czasu nie stanowiły już dla mnie problemu, więc dziwi mnie obecne osłabienie. Wydaje się, że nie ruszę ręką ani nogą. Często przed oczami mam mroczki, i to nie tylko podczas wysiłku, lecz również bez okazji. Zaczynam się mocno niepokoić.

Dzisiaj po aerobiku tak mnie mdli, że niestety wymiotuję w toalecie znajdującej się tuż przy szatni, a wszystkie dziewczyny, słysząc moje męczarnie, zaśmiewają się do rozpuku. Dziwna reakcja.

– *Mabruk, mabruk!* – Klepią mnie po plecach i patrzą przyjaźnie.

Nie rozumiem, czemu kiedy puszczam pawia, życzą mi szczęścia.

– Czemu *mabruk?* – pytam.

– No co ty, przecież jesteś mężatką i mówiłaś, że masz pięcioletnią córeczkę – dziwią się, cały czas mnie dotykając.

– Sześćioletnią – sprostowuję.

– Nie ma znaczenia, w ciąży już byłaś.

– Co macie na myśli?!

– Dziewczyno, nie bądź dzieckiem, po tobie od razu widać. Tak jest ze szczupłymi. Gruba to może nawet do siódmego miesiąca się nie przyznawać. – Śmieją się.

– No dobrze, muszę już iść. – Gwałtownie wstaję, lecz chwieję się i szybko siadam. Skąd te zawroty głowy?

– Może nie płacz się dzisiaj sama po mieście, bo jeszcze gdzieś zasłabniesz – ostrzegają mnie.

– Nie, nie, wszystko w porządku – uspokajam je. – To na pewno ameba.

– Chciałabyś. – Uśmiechają się pod nosem. – Lepiej kup test ciążowy i witaminy.

Macham lekceważąco ręką i odwracam się do nich plecami.

– Dziewczyno, przecież to dopiero drugie, co się martwisz? – próbują mnie pocieszyć.

– Ale ja mam inne plany. – Po co ja im to mówię?

– Cóż, każda kiedyś miała plany. Takie życie. – Spuszczają smutnie głowy i rozchodzą się każda w swoją stronę.

Na świeżym powietrzu czuję się znacznie lepiej, lecz serce z niepokoju łomocze mi w piersi. A jeśli to prawda? Jeśli jestem w ciąży? Będę całymi dniami sama siedziała na naszej wsi, znowu utyję jak świnia i całkiem ugrzęznę w domu. Na kolejne długie lata albo na zawsze. Nie jestem do końca przekonana, czy chcę wieść taki tryb życia i czy potrafię poświęcić całą siebie w imię miłości do Ahmeda. Jeśli urodzi się drugie dziecko, nie będę miała szans na wyrwanie się stąd, już teraz jest to prawie niemożliwe. Wychodzę prosto na aptekę. Co za zbieg okoliczności. Cóż, kupię test, chociażby po to, aby się przekonać, że wynik jest negatywny. Na pewno tak będzie, przecież ja się w ogóle nie czuję jak w ciąży. Próbuję sobie przypomnieć, jak było przy Marysi, ale już mi to uleciało z pamięci. Pamiętam tylko gehennę, jaką przeszedłam podczas porodu. Znowu mam zawroty głowy i robi mi się niedobrze. Bylebym nie zaczęła wymiotować na ulicy! Przysiadam na murku i biorę głęboki wdech. Tylko bez paniki. Muszę złapać taksówkę i

jadę do mamy, albo do Maliki. Żadne z tych rozwiązań mi nie pasuje, ale z dwojga złego chyba jednak wybiorę pierwszy wariant. Taksówkarz co chwila zerka we wsteczne lusterko. Albo chce mnie poderwać, albo tak koszmarnie wyglądam.

– Pani powinna odpocząć, madam – mówi na pożegnanie. – Proszę na siebie uważać.

Usiłuję po cichu przemknąć przez część reprezentacyjną domu, a potem po schodach na piętro. Żeby tylko nikt mnie nie usłyszał – tak bardzo potrzebuję teraz ciszy i samotności.

– Dot, to ty?

– Tak, mam. Idę do nas na górę trochę odpocząć.

– A co się stało, kochanie? – Już jest przy mnie. – Rzeczywiście marnie wyglądasz. – Patrzy z niepokojem i dotyka mojego czoła.

– To nic takiego. Nie wyspałam się i po intensywnych ćwiczeniach trochę mnie zemdlilo.

– No, no – nie chce uwierzyć. – A ja mam pyszny świeży rosółek, zaraz postawię cię na nogi.

– Dziękuję, mam, ale...

– Jak nie chcesz jeść w kuchni, to przyniosę ci go na górę. A ty najlepiej weź chłodny prysznic, to zawsze pomaga.

I już jej nie ma. Może ma rację, posłucham jej rady. A potem położę się do łóżka i będę spała aż do przyjazdu Ahmeda.

Bulion bardzo mi smakuje. Czuję, jak rozgrzewa całe moje ciało. Matka przycupnęła na krześle i uważnie mnie obserwuje. Odkładam talerz i opadam na łóżko. Jak dobrze, jak cudownie, zaraz będę spać. O Chryste! Gwałtownie siadam, bo czuję, jak zjedzona zupa podchodzi mi do gardła. Mama ze zdziwieniem unosi brwi do góry, a ja szybko biegnę do ubikacji i z rykiem oddaję całą zawartość trzewi. Nie mogę przestać i strasznie się męczę. W końcu, ze zmoczonym ręcznikiem na szyi, wlokę się z powrotem do sypialni.

– *Mabruk*, córko, *mabruk* – szepcze matka, układając mnie w łóżku. – Wszystko jest w porządku, to tylko takie paskudne początki.

– Ależ mam...

– Dobrze, dobrze, nic nikomu nie powiem. Ty też wierzysz w złe spojrzenie?

Nie dość, że życzy mi szczęścia w moim nieszczęściu, to jeszcze uważa, że jestem tak samo przesądna jak oni wszyscy.

Zamykam oczy i zaczynam się zastanawiać. Przecież to niemożliwe, od lat regularnie biorę środki antykoncepcyjne. Niczego tak skrupulatnie nie pilnuję. No może raz zapomniałam je zażyć, kiedy przed ramadanem pokłóciliśmy się z Ahmedem. Teraz sobie uświadamiam, że dwie ostatnie miesiączki też nie były takie obfite jak dawniej. Jutro z samego rana zrobię ten cholerny test, nie mam wyjścia. A jeśli... Łzy napływają mi do oczu i po chwili usypiam z rozpacz i wycieńczenia.

Stoję w łazience i patrzę na obsikany przed chwilą tekturowy pasek. Siadam na muszli. Wynik jest jednoznaczny, lecz ja nie mogę w to uwierzyć. Wyciągam następny test i powtarzam czynność. Wstrzymuję oddech i... to samo. No to pięknie! Jestem ugotowana! Do rozpacz dochodzi wściekłość. Najchętniej bym kogoś pogryzła.

– Marysia, co ty, do cholery, wyprawiasz z tymi płatkami – drę się, wchodząc do kuchni i widząc, jak moja córka, tak jak zresztą każdego ranka, paluszkami wyławia z mleka czekoladowe kulki.

– Jem śniadanko, mamuniu. – Patrzy na mnie niewinnie i nie przerywa zabawy.

– Ile razy ci mówiłam, że je się łyżką. Czy ty prymityw jakiś jesteś?

– Jestem. – Obawiam się, że nie rozumie tego słowa, bo nigdy go jeszcze nie słyszała.

– Zaczynaj mnie słuchać! – Pochyliłam się nad nią i wrzucam łyżkę do miseczki. – Mówię,

jedz jak człowiek! Zrozumiano?!

– Zrozumiano – słabym głosem odpowiada Marysia i widzę, jak w jej czarnych oczkach zbierają się łzy.

– No to już, wiosłować! – Obracam się na pięcie i wychodzę ostudzić się na dworze. Za sobą słyszę cichutki płacz dziecka.

Widzę naszego gafira, nieźle opłacanego, który rozleniwiony siedzi na plastikowym krzeselku i wygrzewa się na słońcu. Bezcelność! Ja mam zamiatać i sprzątać podwórze, a jaśnie pan stróż będzie się relaksował?!

– Ej, ty! Chodź tutaj.

Niechętnie, jak na zwolnionych obrotach, zwleka się z krzesła i rusza w moją stronę.

– Bierz miotłę, worek na śmieci i posprzątaj tu! – krzyczę na niego i wymachuję rękami.

Po jego minie widzę, że jest oburzony. Z pogardą wydyma wargi, prostuje się i taksuje mnie wzrokiem.

– Pan mi nic nie mówił.

– Ja ci mówię, to masz robić.

– Ale pan mi nic nie mówił – powtarza bezbarwnym głosem.

Jaki uparty tępy muł! Nawet taki służący nie słucha kobiety, bo ona w tym społeczeństwie nic nie znaczy. Ale ja mu udowodnię, że w moim wypadku jest inaczej. Jeszcze mu w piętę pójdzie!

– Ahmed – natychmiast dzwonię. – Ten głupi stróż nie chce zamieść tarasu ani nie posprzątać – mówię po polsku.

– Taak...

– Twierdzi, że pan mu nie kazał, a panią ma w dupie.

– Niemożliwe. On cię bardzo lubi.

– Nie musi mnie lubić! – krzyczę, jakbym chciała, aby usłyszał mnie bez połączenia telefonicznego. – On ma mnie szanować i słuchać!

W słuchawce zapada grobowa cisza.

– Daj mi go do telefonu.

Oddaję gafirovi słuchawkę i słyszę po drugiej stronie linii nie tyle krzyk, ile jazgot. Arabskie gardłowe dźwięki przechodzą w charkot. Nic nie jestem w stanie z tego zrozumieć, ale efekt jest natychmiastowy.

– Sorry, madam. – Chciałby zabić mnie wzrokiem, ale usłużnie pochyla głowę i szurając nogami, zabiera się do pracy.

Na tym pustkowiu nie znajdę więcej ofiar. Mogę jeszcze zadzwonić do mojej mamy, z którą pokłócić się nie jest trudno, ale robię to najrzadziej jak się da. Ona wszystko krytykuje i mówi tylko o moim powrocie do Polski. Gdyby bidula wiedziała, że nie ma takiej opcji, bo nie mam ani paszportów, ani pieniędzy, ani możliwości, to chybaby zwariowała. Jedno jest pewne, że samodzielnie muszę połknąć tę żabę, którą sobie zafundowałam. Czuję się rozdarta. Nie do końca jest tak, że nie chcę tego dziecka. Zawsze marzyłam, by mieć dziewczynkę i chłopczyka, ale czas jest nieodpowiedni. Najpierw pragnę do czegoś dojść, ugruntować swoją pozycję, poczuć się pewniej i uwierzyć w miłość Ahmeda. Nawet nie jestem jego oficjalną żoną! Jakby mi było mało dotychczasowych kłopotów! A mój mąż – nie mąż nawet nie wspomni o zalegalizowaniu związku. Czyżby traktował go tymczasowo?

Siadam na słońcu i wygrzewam się jak kot. Pozostaje mi tylko czekać i sprawdzić, jak zachowa się w tej sytuacji.

– *Szukran* – dziękuję za wynik, który dostałam dosłownie po pół godzinie.

– *Mabruk* – mówi laborantka. Tak więc już nie muszę otwierać koperty i odcyfrowywać

nagryzmołonej tam diagnozy.

Kobieta pluje przez ramię, aby nie zapeszyć, i uśmiecha się do mnie szeroko. Wzdycham smutno i raczej nie wyglądam na zadowoloną.

– Jeśli źle się czujesz, to nic się nie martw, po trzech miesiącach przejdzie – pociesza mnie. Nie dopuszcza nawet myśli, że mogę być niezadowolona z zaistniałej sytuacji. – Powinnaś się teraz przejść do lekarza – życzliwie doradza. – W naszej przychodni przyjmuje bardzo dobry ginekolog. I niedrogi.

– Mamy w rodzinie człowieka z branży, który na pewno mi kogoś poleci. Jeszcze raz dziękuję.

Powoli zmierzam do domu matki. Cóż, trzeba im będzie oficjalnie oznajmić „radosną” nowinę. Może jeszcze nie dzisiaj, gdyż chyba najpierw powinnam powiedzieć Ahmedowi. Podejmuję decyzję, że jakiś czas poczekam, bo nie wiadomo, jak sytuacja się rozwinie. Może nie donoszę? I co wtedy? Wstyd i usprawiedliwianie się przed wszystkimi.

Nudności przeszły w inną, może mniej nieprzyjemną, ale jeszcze bardziej uciążliwą niedyspozycję. Śpię całymi dniami i nie potrafię nad tym zapanować. Strasznie boję się o Marysię, żeby nie wpadło jej wtedy coś głupiego do głowy. Kiedy siedzę z nią w jej pokoju, usypiam na dywanie między zabawkami, a podczas oglądania telewizji chrapię w trakcie najciekawszych seriali. W kuchni słaniam się na nogach, raz usnęłam na stole z głową w obieranych jarzynach. Nic z tego nie rozumiem, jak chodziłam w ciąży z Marysią, byłam rześka jak skowronek... Już od miesiąca nie byłam na fitnessie, bo przecież się nie nadaję, a Ahmedowi tłumaczę to lenistwem. Od jakiegoś czasu wszystko przyjmuje ze stoickim spokojem i jest łagodny jak baranek. Niekiedy wychwytyuję jego lustrujący mnie wzrok, choć jeszcze nic mu nie powiedziałam. Ale co tu dużo mówić – widać, że będę mamą: brzuch mi lekko wydeło, pępek wydobył się z dołeczka, w którym zawsze się chował, a piersi urosły chyba o cały rozmiar. Noszę szerokie T-shirty i jeszcze przez chwilę chcę poczekać z cudowną nowiną, bo nadal się boję, że poronię – przecież tak źle i dziwnie się czuję. Nie chcę nikomu sprawić zawodu. Nie wiem też, jaka tym razem byłaby reakcja Ahmeda, choć nie oczekiwałabym żadnej typowej ani ogólnie przyjętej.

– Malika zabierze cię dzisiaj wieczorem na zakupowe szaleństwo – informuje mnie przez telefon. – Są niesamowite wyprzedaże, jak to zazwyczaj po Nowym Roku. Przyjedzie o piątej, w porządku?

– Tak, świetnie. Dawno jej nie widziałam.

– Nie chciała ci głowy zawracać – niezdarnie tłumaczy siostrę. – A poza tym wiesz, jaki wszyscy mają młyn przy zamknięciu roku rozliczeniowego.

Zastanawiam się, skąd niby miałabym to wiedzieć, ale nie dociekam.

– Mam jechać z Marysią?

– Tak, zostawicie ją u matki. Może tam nawet posiedzieć przez cały weekend.

– No, no, będziemy mieli wolną chatę – żartuję.

– Należy nam się. Co o tym myślisz?

– Mmmm...

Co on knuje? Denerwować się czy nie? Obecnie mam to w nosie. Kładę się w naszym małżeńskim łóżu, przyjmuję pozycję embriona i wtulam się w ciepłutki pled.

– Marysia, chodź do mamy – ostatnim tchnieniem wołam córeczkę i zasypiam.

– Gotowa?! – słyszę wołanie Maliki i serce zaczyna mi bić jak oszalałe. Zasnęłam. Gdzie Marysia?

– Już lecę! – krzyczę histerycznie, zrywając się na równe nogi.

Moje dziecko, gdzie jest moje dziecko? Nie zauważając w półmroku szwagierki, wpadam

jak oszalała do sąsiedniego pokoju i potykam się o moje maleństwo, śpiące na dywanie wśród rozsypanych klocków lego.

– Aaa! – krzyczę i padam jak długa.

– Na Allaha, co ty wyprawiasz?! – Malika już jest obok i usiłuje pozbierać mnie z podłogi. – Uwważaj na siebie. – Patrzy z niepokojem i, o dziwo, nie jest zła.

– Przepraszam, zasnęłam – szepczę, trzymając się oburącz za dół brzucha. Nie mogę się ruszyć. Ból jest przeszywający i ledwo oddycham.

– Zamiast na zakupy, lepiej pojedźmy do mnie do kliniki. Powoli. – Ostrożnie podtrzymuje mnie pod ramię.

Oczywiście matka musiała jej już wszystko powiedzieć. I na pewno nie tylko jej.

– Za chwilę będzie dobrze. – Próbuję się podnieść. – Po co mi lekarz? Przecież się nie połamałam ani nie skaleczyłam – sprawdzam, czy coś wie.

– Nie bądź głupia. – Malika burczy już jak zwykle. – W pewnych sytuacjach bez pomocy medycznej się nie obejdziesz. – Patrzy mi głęboko w oczy.

– To może umówimy się innym razem, rano? – próbuję się wymigać. – Miałyśmy jechać na *shopping*, już się nastawiłam.

– Okej. Wszystko można połączyć. – Jakaż ona stała się ugodowa. – Mamy dość czasu na jedno i drugie. Lepiej ci już?

– Tak, zdecydowanie. – Uśmiecham się niepewnie i kieruję do sypialni, aby się przebrać.

Ależ ja jestem głupia. Przecież w końcu będę musiała im powiedzieć. Już nie mam siły ani ochoty dłużej tego ukrywać – muszę stawić czoło ich reakcji i przestać się bać. Przecież teściowa zachowała się cudownie.

Wsiadamy do auta i w milczeniu jedziemy do kliniki. Malika prowadzi mnie prosto pod gabinet ginekologiczny, a sama jedzie odwiedzić Marysię do matki.

– Chyba sobie poradzisz? – pyta z przekąsem. Teraz czuję się głupio, że jej nie powiedziałam. To już w końcu trzeci miesiąc.

Po godzinie mam pełno komputerowych wydruków, analiz krwi i moczu. Wielka koperta zawiera rejestr z USG wraz ze zdjęciem dziecka. Lekarz bardzo się starał, widać, że zależy mu na opinii szefowej.

– No i co? – wścibsko pyta Malika po powrocie. – Dziewczynka czy chłopiec?

– A jakie to ma za znaczenie? – dziwię się. – Dla mnie najważniejsze, żeby było zdrowe.

– Jakaś ty naiwna. Każdy facet chce mieć syna.

– Dobrze, wiem, ale to jest prymitywne podejście. W Polsce...

– Ile razy mam ci przypominać, że nie jesteś już w Polsce – mówi nieprzyjemnie. – Tutaj małżeństwo bez syna nie jest nic warte.

– No tak – odpowiadam z sarkazmem, wydymając pogardliwie wargi.

– Nie masz co się burmuszyć, takie jest arabskie życie. Mąż jako powód rozwodu może podać, że żona nie była w stanie obdarzyć go męskim potomkiem.

– Co za perfidia i zacofanie!

– Wiem – kiwa ze smutkiem głową. – Ale tak jest i my tego nie zmienimy. Na to trzeba pokoleń, no i oczywiście chęci.

Kieruję się do wyjścia. Już nie mam ochoty na żadne zakupy.

– Ty nie chcesz mi powiedzieć czy co? – Malika, podążając za mną, pyta już podniesionym głosem. – Tak jak robiłaś tajemnicę z ciąży. To jest taki polski zwyczaj? Mąż i rodzina dowiadują się o wszystkim w dniu rozwiązania? – kpi sobie ze mnie.

– Po pierwsze, na USG płci jeszcze nie było widać. Zdarza się. Po drugie, przez cały ten czas źle się czułam i bałam się, że mogę stracić dziecko. Więc wołałam nikomu nic nie mówić,

żeby nie robić nadziei. A teraz odwieź mnie do domu, bo mam dość.

– Chcesz czy nie, musisz teraz jechać na zakupy. – Chwyta mnie za rękę i zabawnie zaciska wargi. – Inaczej Ahmed mnie zabije – mówi z udawaną rozpaczą.

– Niby czemu miałby to zrobić?

– Miałam ci sprawić przyjemność, rozweselić, rozerwać, a nie denerwować i wpędzać w depresję – śmieje się już pogodnie. – I nie przejmuj się tymi opowieściami o płci dziecka. Ahmed jest raczej światłym człowiekiem... powinien być, po tylu latach w Europie – zawiesza niepewnie głos.

Przyjeżdżamy pod nasz jasno oświetlony dom. Ahmed wybiega na taras.

– Dziewczyno, już się zaczynałem niepokoić – mówi z uśmiechem, widząc góry pakunków w samochodzie i nasze zadowolone miny.

– Nie żartuj. – Malika klepie go po plecach. – *Security service* działa.

– Jak tam, Dociu, zadowolona?

– Tak, ale jestem straszliwie zmęczona. – Rzeczywiście, najchętniej od razu poszłabym spać.

– *Szisz*, chciałam kupić dla ciebie witaminy. – Malika klepie się ze złością po udach. – Jutro podrzucę ci do biura – zwraca się do brata.

– Wchodźcie już, bo zimno.

– Ja lecę z powrotem. – Malika kieruje się do samochodu. – Zabierzcie tylko zakupy i już mnie nie ma. Daleka droga przede mną.

Wchodzimy do domu. Czuję jakieś wspaniałe zapachy.

– Czyżby ktoś upichcił coś pysznego? – dziwię się.

Ahmed obejmuje mnie i prowadzi do salonu. Stają jak wryta. W kominku płonie ogień, stół jest odświętnie nakryty i obficie zastawiony. Miłą atmosferę dopełniają kolorowe zapachowe świece.

– Mamy jakąś specjalną okazję? – pytam figlarnie, spoglądając na niego spod oka.

– Ty mi powiedz. Chyba już czas, jak myślisz? – mówi cicho, delikatnie mnie przytulając.

– Właśnie miałam taki zamiar. – Biorę go za rękę i siadamy na kanapie.

– Nie wiem wprawdzie, czemu dowiaduję się ostatni, ale nie będę wnikał. Na pewno masz swoje powody.

– Widziałeś, co się ze mną działo, nie chciałam cię rozczarować.

– Głuptas jesteś, myszeczko – mówi czule i delikatnie całuje mnie w szyję.

Do pokoju ktoś wchodzi, a ja aż podskakuję.

– Madam – słyszę miły głęboki kobiecy głos.

W drzwiach kuchni stoi młoda ładna Murzynka.

– Czyżbyś już wziął sobie drugą żonę? – ze śmiechem pytam Ahmeda.

– Nie jest w moim typie – żartuje. – Potrzebujesz kogoś do pomocy i towarzystwa. Oto twoja osobista gosposia, Joice – przedstawia mi dziewczynę. – Sądzę, że dokonałem dobrego wyboru. Ma świetne referencje, wcześniej pracowała w rezydencji ambasadora. Mówi nie tylko w swoim narodowym narzeczu, ale również po angielsku i arabsku. Możesz nauczyć ją gotować polskie potrawy. I co, zadowolona?

– Jeszcze jak! Strasznie ci dziękuję. Teraz naprawdę potrzebuję pomocy w domu i opieki dla Marysi, kiedy śpię, a robię to przez większą część dnia. – Uśmiecham się zawstydzona.

– Nie martw się, wszystko minie.

Siadamy do suto zastawionego stołu i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów wszystko mi smakuje. Z nieziemskim apetytem pochłaniam zastraszające ilości jedzenia. Ahmed patrzy na mnie z czułością i podziwem.

– Uchyliłabyś rąbka tajemnicy, czy będziemy mieć chłopca, czy dziewczynkę? – szepcze przy deserze. To tak często zadawane pytanie zaczyna przyprawiać mnie o dreszcze.

– A co byś chciał? – badam ostrożnie.

– Córeczkę już mamy, czas na synka, dziedzica. – Śmieje się z wypiekami na twarzy.

– Jeszcze nic nie widać, dziecko jest za małe – tłumaczę. – Za miesiąc znowu zrobię USG, może wtedy... – zawieszam głos.

– Pewnie, pewnie – potakuje.

– Najważniejsze... – zaczynam nieśmiało – żeby było zdrowe. – Patrzą na niego z wyczekiwaniem, lecz on tylko spuszcza wzrok i ze zmarszczonymi brwiami kiwa głową.

– Basia, co tam u ciebie? – dzwonię do starej przyjaciółki, choć wstyd mi, bo od paru miesięcy nie dawałam znaku życia.

– O! Jestem pod wrażeniem! Nasza blond księżniczka przypomniała sobie o starej brzydkiej ropusze. No, no...

– Daj spokój, przepraszam – jęczę do słuchawki. – Jest mi strasznie głupio i przykro...

– No nie wiem – już łagodniej mówi Baśka. – Jak ci się żyje, pustelnico?

– Jakbyś zgadła. Przenieśliśmy się na farmę...

– Idiotka jesteś pierwszej wody – nie daje mi skończyć i znowu się na mnie denerwuje. – Tam to już będziesz mogła tylko wyć do księżycy. Spryciarz ten twój mąż, ale chyba ci to już mówiłam, nie?

– Przynajmniej jesteśmy u siebie...

– To wasze „u siebie” – przerywa rozwścieczona – macie chyba około stu kilometrów od jakiegokolwiek cywilizacji, czy się mylę?

– Tak jakby – odpowiadam z westchnieniem.

– Ty sobie, Dorota, sama organizujesz kłopoty. – Krytycznie cmoka jak stara Arabka.

– Dlaczego tak myślisz? Jest naprawdę dużo lepiej, zdecydowanie.

– Bo postawił na swoim. – Baśka śmieje się sarkastycznie. – Jezu, jakie ty dziecko jesteś! Tobie się wydaje, że podjęłaś decyzję, a przecież zostałaś do niej zmuszona. Miałaś inny wybór? He?

– Nie wiem, Basiu, ale teraz znów powoli zaczynam być szczęśliwa. Ja chcę być szczęśliwa, i to z tym właśnie człowiekiem, z nikim innym.

– No to świetnie, bylebyś jednak nie zapomniała, jak on potrafi się zachowywać i jak ciebie traktuje, kiedy coś jest nie po jego myśli – mówi ostro.

– Ja do ciebie dzwonię, chcąc mile pogadać i poplotkować, a ty najpierw mnie opieprzasz, a potem straszysz – mówię z żalem. – Czy po to są przyjaciółki?

– Jak uważasz – obrusza się Baśka. – Zawsze byłam wobec ciebie szczerą i w każdej sytuacji mogłaś na mnie liczyć. Ja jedynie wyrażam swoje zdanie, a jeśli różni się od twojego i nie możesz tego znieść, to przykro mi... – Odwiesza słuchawkę.

Biorę głęboki wdech. Jeśli stracę jedyną pokrewną duszę, to zginę. Kto mi pomoże, gdy nie daj Bóg, znowu coś się popsuje, kto poda mi pomocną dłoń? Malika? Aż przechodzą mnie dreszcze. Zdaję sobie sprawę, że moim jedynym przewodnikiem po tym nieznanym mi świecie jest Basia. Szczerą do bólu, lecz zaprawioną w boju i znająca libijskie realia. W dodatku zwyczajnie strasznie ją lubię.

– To co, będziemy się kłócić? – dzwonię ponownie i słyszę fukanie mojej rozmówczyni, która jednak podniosła słuchawkę.

– To zależy...

– Ale nie tylko ode mnie – zauważam. – Daj spokój, mam dla ciebie supernowinę, gorącą ploteczkę.

- Aż się boję, ale już domyślam się, o co chodzi.
- Jestem w ciąży – wyznaję.
- *Mabruk* czy nie *mabruk*?
- Sama nie wiem, ale powoli zaczynam się cieszyć. To jak w tej piosence: chciałabym, lecz boję się.
- Chłopak czy dziewczuszka? – bez ogródek zadaje standardowe już pytanie.
- Ty mi powiedz, czemu wszyscy tak się tym interesują? Czy płęć jest ważniejsza niż zdrowie dziecka?
- Tutaj na pewno tak. Nawet najbardziej cherławy wypierdek płci męskiej jest lepszy od pięknej i mądrej dziewczynki.
- W końcu może ktoś mi uczciwie wyjaśni, o co w tym wszystkim biega. Ja rozumiem, że każdy chłop chce mieć syna, dziedzica, ale bez przesady...
- Kobieto, dalej nie wiesz, gdzie żyjesz, i dlatego tak mnie wkurzasz! – podnosi głos. – Jak nie dasz mu syna, jego rodzina nigdy cię nie zaakceptuje, na zawsze pozostaniesz szarmutą, zwykłą dziwką, która dała dupy Arabowi. Będą udawali, że jest inaczej, ale przy pierwszej nadarzającej się okazji wypomną ci, że nie jesteś w stanie dać swojemu mężowi syna, przedłużyć rodu. Cała rodzina będzie mu truła, nazywała go impotentem i zmuszała, żeby udowodnił, że jest inaczej. Zaczną mu swatać młode Libijki, a on, dla świętego spokoju, w końcu się zgodzi. Ciebie zaś albo odeśle, dając ci rozwód, albo weźmie sobie drugą żonkę, oczywiście bez twojej zgody.
- Malika powiedziała mi to samo...
- Widzisz, kochanieńka, to bardzo poważna sprawa.
- A ty? – chwytam się ostatniej deski ratunku. – Przecież masz dwie córki!
- To powiedz mi, dlaczego ja, stara baba po czterdziestce zdecydowałam się na urodzenie jeszcze jednego bobasa?
- Bo chciałaś albo...
- Nawet mój nowoczesny i zeuropeizowany Hassan był nieszczęśliwy, że nie ma syna, nie mówiąc już o zakrojonych na szeroką skalę działaniach jego wrednej mamusi i nie mniej paskudnych siostrzyczek – oburzona Basia przerywa mi w pół zdania. – Jestem przekonana, że gdybym nie dała mu chłopca, wcześniej czy później wziąłby sobie drugą żonę. Taka prawda! – wykrzykuje. – Nawet mój Hassan!
- I tak się akurat szczęśliwie złożyło, że przy trzeciej próbie się udało?
- Szczęściu trzeba dopomóc. Przez rok stosowaliśmy z moim dobrym, wyrozumiałym mężem specjalną dietę, łykaliśmy piguły i kochaliśmy się tylko w oznaczone dni.
- Boże! – wykrzykuję.
- Ale nie przejmuj się, jesteś jeszcze młoda, jak nie tym razem, to następnym – pociesza, słysząc przerażenie w moim głosie.
- Tak próbując, można się dochować niezłego przedszkola.
- Słuchaj, pocieszające jest, że Arab prędzej wypuści ze swoich łapsk córkę niż syna, więc jakby co...
- Toś mnie podtrzymała na duchu... – Wolałabym, żeby ta rozmowa się nie odbyła.

Odwiedziny

- Kochanie... – Ahmed leniwie przeciąga się na łóżku, wylegując się w świąteczny piątek.
- Z Miriam jest już dużo lepiej, więc może by tak do nas przyjechała na jakiś tydzień?
- Matka ma jej już dość? – pytam obcesowo.
- Nawet nie, ale można by jej na parę dni dać wolne. Ma do obsłużenia Miriam i jej dzieci. A na obiady czy kolacje przychodzi jeszcze Mahmud.
- Mama to ma zdrowie.
- Stara się naprawić błędy swojego dziecka i doprowadzić do pojednania. Robi wszystko, by uratować to małżeństwo. Uważa, że taka jest jej rola.
- Dobra kobieta – mówię całkiem szczerze i widzę dumę malującą się na twarzy Ahmeda.
- Oczywiście, niech Miriam przyjeżdża – decyduję, nie chcąc być gorsza.
- Zastanawiamy się, jak zorganizować tę wizytę.
- Przydałby się pokój gościnny – mówię. – Jakbyśmy chcieli w przyszłości zaprosić moją mamę, to nie ma jej nawet gdzie położyć. W salonie na dłuższą metę byłoby to trochę krępujące.
- Już o tym myślałem. Może zagospodarowalibyśmy nasz składzik?
- Masz na myśli spiżarkę? – dziwię się.
- Kuchnia jest tak duża, że nie używamy tego pomieszczenia. Wolę mieć zapasy pod ręką w szafkach, niż chodzić do ciemnego i pełnego pajaków pokoju. W zasadzie wrzuca się tam wszystkie zdezelowane bądź niepotrzebne sprzęty. Idziemy się temu przyjrzeć.
- Co za śmietnik! – Cofam się od progu. – Kiedy ostatni raz otwieraliśmy te drzwi?
- *Gafir* powynosi wszystkie rupiecie, a potem Joice posprząta i pomyje, nawet ściany. Wtedy się okaże, co możemy z tym fantem zrobić i czy w ogóle się do czegoś nada.
- Racja. A teraz jedźmy już do mamy na obiad, bo robię się głodna – poganiam go.
- Przecież niedawno skończyliśmy śniadanie! – Śmieje się ze mnie i delikatnie gładzi po wystającym brzuszku. – Wy moje głodomory.
- Wszyscy dookoła mówią, że mam jeść za dwóch, to trzymam się dobrych rad.
- Wcinaj, wcinaj, mój ty grubasku – mówi czule.
- Zleciliśmy robotę i możemy jechać. Niesamowita wygoda ze służącymi w domu. W końcu mam czas dla Marysi; czytamy książeczki przywiezione z Polski, uczymy się na pamięć wierszyków i ponownie zaczęliśmy przerabiać materiał z zerówki. Ahmed sam, z własnej inicjatywy skontaktował się z dyrektorem polskiej szkoły i ten przygotował wszystkie podręczniki i ćwiczenia. Bardzo ładny gest ze strony mojego męża, który daje mi promyczek nadziei na jakąś normalną przyszłość. Może jednak będziemy szczęśliwi, dzieci będą rosły jak na drożdżach, a ja pójdę do pracy...
- Jaka cudna wiosna – mówi teściowa, pozwalając się już nawet pocałować na powitanie.
- Nakrywamy w ogrodzie, by nacieszyć się słońcem i ciepłem.
- Jak Marysia się sprawowała? – pytam, bo znów została u babci na noc.
- Jak zawsze. Bez problemów – nie narzeka. – A twój dzidzius rośnie, na psa urok, że hej! – Dotyka delikatnie mojego brzucha. – Już niedługo – pociesza mnie.
- Jakie niedługo, mamó! – mówię z przerażeniem, bo najbardziej boję się porodu. – Jeszcze trzy miesiące, zdążę dołożyć następne dziesięć kilo.
- Śmiejemy się, choć wcale nie jest mi wesoło. Z powodu nudności i wymiotów jak dotąd niewiele przytyłam, z czego jestem bardzo zadowolona. Teraz jednak czuję się wspaniale i wydaje mi się, że mogłabym góry przenosić. Zaczynam też nadrabiać braki jedzeniowe, co powoduje powiększenie moich gabarytów. Apetyt mi dopisuje, nazwałabym to wręcz

obżarstwem. Muszę nad tym zapanować.

– Cześć, Dot – słyszę matowy głos Miriam wychodzącej z domu z naręczem talerzy.

– Jak się masz? – pytam machinalnie.

– A jak mam się mieć? – burczy. – Zapytaj Maliki i mamy, to powiedzą ci, czym mnie faszerują.

– Chciałabyś może przyjechać do nas na wieś? – próbuję zmienić temat. – Wiesz, jak jest pięknie, wszystko kwitnie. A ten odurzający zapach ziemi i młodych traw! – Aż zamykam oczy z upojenia. Nigdy bym się nie spodziewała, że mieszkanie poza miastem tak mi się będzie podobało.

– Cóż, jak Ahmed ustali, że jadę, to tak będzie. Teraz on jest tutaj panem życia i śmierci.

– Co ty mówisz?! – Chyba rzeczywiście jej odbiło.

– Taka jest prawda, a jeśli tego nie widzisz, to oślepląs. Może ci ta ciąża padła na wzrok?

– kontynuuje złośliwie. – Bardzo mu się podoba rola władcy, więc miej się na baczności.

– Znowu chcesz mnie straszyć! Miriam, mam tego dość! – podnoszę głos.

– Dziewczyno, co z wami? – Nagle jak spod ziemi wyrasta Ahmed. – Coś ty jej znowu nagadała!? – krzyczy na siostrę, widząc łzy w moich oczach.

– To nic takiego, jestem po prostu głodna – próbuję załagodzić sytuację. – Pójdę pomóc mamie w kuchni, to może uda się coś wcześniej przegryźć i wtedy zaraz humor mi się poprawi.

Wbiegam po schodach do domu. Kiedy się odwracam, widzę, jak Ahmed ze złością krzyczy coś do Miriam, wymachując rękami przed jej twarzą. Nie podoba mi się jego zachowanie, lecz w końcu staje w mojej obronie. To chyba dobrze?

– Ładnie tutaj macie, trzeba przyznać. – Miriam z ponurą miną wchodzi do salonu. Ahmed niesie za nią walizkę, a ona trzyma w ręce wielką torbę z kosmetykami.

– Popatrz, jaki przytulny pokój twój brat specjalnie dla ciebie urządził – chcę załagodzić ich wcześniejsze nieporozumienia i pokazuję dawny składzik, który Ahmed przekształcił w elegancki pokój gościnny.

– No, no, zawsze miał zmysł do dekoracji. Gdyby nie te głupie komputery, które zawróciły mu w głowie, pewnie jako dekorator wnętrz zarabiałby teraz krocie i mieszkalibyście w pałacu, a nie na małej farmie na końcu świata.

– Cóż, my nie narzekamy. – Czuję, że nie będzie łatwo przetrzymać ten tydzień.

– Rozpakuj się. – Ahmed prawie wrzuca jej bagaże do pokoju. – Czekamy z obiadem w salonie.

Zamykamy drzwi i patrzymy sobie głęboko w oczy. Po co nam to było?

– Czas szybko mija – mówię szeptem na pocieszenie. – Dzisiejszego dnia możemy już nie liczyć. – Śmiejemy się.

– Czemu nie przywiozłaś córeczki? – pytam zawiedziona, gdy Miriam zjawia się przy stole. – Jest prawie w wieku Marysi i mogłyby się razem bawić. Ahmed mówił, że przyjedzie.

– Chcę od niej trochę odpocząć – odpowiada oschle. – Mam ją na co dzień, nie stać nas na służącą – wytyka mi obecność Joice.

– Co ty opowiadasz?! Masz darmową służbę w osobie matki, która non stop zajmuje się twoimi dziećmi i nie tylko – odgryzam się błyskawicznie.

– A ty jej niby córki nie podrzucasz? – odpowiada kąśliwie.

– Rzadko, bo mam litość i nie chcę wykończyć tej biednej kobiety. Wystarczy, że inni wykorzystują ją bez umiaru.

– Może zmienimy temat, drogie panie? – Ahmed przerywa naszą wymianę zdań, bo zaczyna się robić bardzo nieprzyjemnie.

Jemy bez słowa i tylko słysząc szcęk sztućców o talerze. Lepiej się nie odzywać, niż

głupią gadaniną wywołać niepotrzebną awanturę.

– Joice, podawaj już deser – krzyczę na koniec w kierunku kuchni. – Zjemy go na ganku, bo w salonie zrobiło się duszno.

Zupełnie nie rozumiem. Po co przyjechała, jeśli jest z tego taka niezadowolona? A mnie się marzyło, że znów będziemy przyjaciółkami. Czuję się podle i jestem zawiedziona. Gdybym nie była taka wściekła, pewnie zaczęłabym płakać.

– Możesz mi powiedzieć, co tutaj jest grane? – pytam Ahmeda, gdy lądujemy już w łóżku.

– Opętało ją, dokumentnie – odpowiada na luzie.

– Po co ją tutaj ściągnąłeś? Przecież widać, że tego nie chciała.

– Sama mówiłaś, że matce należy się odpoczynek. Też ma już dość, ale oczywiście tego nie powie. Wyobraź sobie, że ona to cierpliwie znosi już od paru miesięcy.

– Tragedia. I nie idzie ku lepszemu?

– Przed chwilą sama miałaś próbkę. Tak jakby miała pretensje do wszystkich, tylko nie do samej siebie.

– Przecież miała dostawać leki, i to nie tylko uspokajające, ale przede wszystkim polepszające nastrój. Takie były ustalenia, o ile mnie pamięć nie myli. Ona zaś nie wygląda ani na ogłupiałą, ani na tryskającą szampańskim humorem – mówię z przekąsem.

– To też nie jest takie proste. Nawet w szpitalach pacjenci są w stanie oszukać lekarza czy pielęgniarkę, chowając lekarstwa w ustach albo w materacu.

– A jak będzie u nas? – Zaczynam się bać. – Przecież nie powiem jej, żeby zostawiła wszystkie pigułki u mnie, a ja jej będę wydzielać. Zabiłaby mnie za to!

– Ja już o to prosiłem, grzecznie i bez nerwów, ale doczekałem się jedynie niemiłej riposty. – Przytula się do mnie i delikatnie kładzie głowę na moim brzuchu. – Tylko do matki jeszcze czuje respekt. Maliki szczerze nienawidzi, a mnie traktuje jak największego wroga. Ty, jako moja żona, stałaś się współwiną.

– Słuchaj, bo to jest cholernie poważna sprawa – mówię, odsuwając go od siebie i siadając na łóżku. – Mieszkamy na odludziu, ani żywej duszy dookoła. Jeśli ona połknie te wszystkie swoje ogłupiaczo-rozśmieszaczki, to jesteśmy ugotowani. Ja sobie z nią nie poradzę, nie umiem udzielić pierwszej pomocy ani nie mam na to teraz siły. Zanim zadzwonię do ciebie i ty przyjedziesz, może być po wszystkim.

– Nie bądź taką pesymistką. – Pociera czoło ze zmartwienia. – To jej samobójstwo to takie strachy na lachy. Jeśli ktoś chce się zabić, robi to, a nie nacina sobie skórę na nadgarstkach i upuszcza dwie krople krwi. Malika twierdzi, że obeszło się nawet bez szycia.

– To nie do pomyślenia! Żeby tak straszyć rodzinę!

– Nie wolno ci się teraz denerwować, kotusiu. – Ahmed ciągnie mnie do spania.

– Masz rację, ale ja się nie denerwuję, ja się wściekam.

– Złość piękności szkodzi, a jak dzidzius to od ciebie przejmie, będziemy biedni.

Tulimy się do siebie i co chwilę któreś z nas wzdycha. Co za huśtawka, raz jest cudownie, kiedy indziej czuję się rozczarowana i przybita. Mój mąż jest jednak dobrym człowiekiem – tak troszczy się o całą rodzinę.

– Dziewczyny, bawcie się dobrze! – Ahmed krzyczy na odchodnym, budząc cały dom. – Nie pozabijajcie się do mojego powrotu, proszę!

Uśmiecham się, słysząc jego ironiczną uwagę. Słońce świeci i przedziera się nawet przez ciężkie zasłony sypialni. Słyszę chropawy śpiew Joice i śmiech Marysi dochodzące z kuchni. Czuję jak rozpiera mnie energia i nie pamiętam już o wczorajszych smutkach. Decyduję, że nie będę się dłużej wylegiwać, w końcu mam gościa. Zabiorę dziewczyny i pospacerujemy po

farmie. Ruch tam jest niesamowity. Zajeżdżają pick-upy pełne ludzi i sadzonek – nastał gorący sezon dla rolników. Z miastowej cherlawej panienki zamieniam się w panią na włościach i bardzo mi się to podoba.

– Jak się macie? – Wchodzę do kuchni, całuję rozbawioną córeczkę i rozglądam się za Miriam. – Nasz gość jeszcze nie wstał? – pytam Joice, która tylko wzrusza ramionami. – Marysiu, chodź, obudzimy ciocię.

– Miriam, wstawaj, szkoda dnia – mówię pogodnie przez zamknięte drzwi.

– Ja tutaj przyjechałam odpocząć, a budzą mnie o świcie – marudzi na przywitanie, otwierając drzwi. – Co za gościna!

– Jest piękna pogoda, proponuję spacer po farmie – kontynuuję niezrażona, bo nie pozostaje mi nic innego.

– Ja nie wiem, z czego tu się cieszyć. W tym położeniu geograficznym słońce świeci o każdej porze roku – odburkuje ponownie, lecz kieruje się za mną do kuchni.

– Śniadanie jemy w domu czy na tarasie? – Chcę jej naprawdę dogodzić. W końcu tydzień to nie cała wieczność. Dam radę.

– Wszystko mi jedno, jak chcesz.

Biorę głębszy oddech, przymykam oczy i usiłuję zachować spokój.

– No to prędko zjedźmy w kuchni i ruszamy. – Spodziewam się, że na otwartej przestrzeni będzie lepiej. Każdy problem najlepiej wychodzić.

Ubieramy buty do kostek, bo w dalszym ciągu trochę boję się węży i skorpionów, choć podobno o tej porze roku jeszcze śpią. Szwagierka, jak na złość, wychodzi w klapkach. Czy powinnam jej powiedzieć, że nie mamy w domu surowicy? Trudno, jest dorosła i wie, co robi. Marysia bierze swój ulubiony spacerowy kijek i ruszamy.

– Niezły macie ruch, praca wre – słyszę niechęć w jej głosie, ale nie dam się zwariować. Na pewno jestem przewrażliwiona.

– Najgorszy i najlepszy czas dla rolników. Do końca miesiąca trzeba przygotować ziemię i wszystko zasadzić.

– I pozwalasz, żeby robotnicy płatali ci się po podwórku?! To już lekka przesada. – Krytycznie patrzy na obdartych chudych pracowników, którzy rozłożyli się w cieniu oliwki naprzeciwko tarasu.

– Masz rację, trzeba będzie coś z tym zrobić. Ahmed już dawno chciał ogrodzić dom, wydzielając małe podwóreczko.

– To czemu jeszcze tego nie zrobił? Mieszkacie tutaj już ponad pół roku! – znów krytykuje. – Widocznie za bardzo pochłaniają go nie swoje sprawy.

Nie daję się sprowokować i przyspieszam kroku. Lekceważę jej słowa, udając głuchą, jednak nie wiem, jak wytrzymam do wieczora. Może po prostu po południu powiem, że jestem zmęczona i zamknę się u siebie w sypialni? Jest to jakieś rozwiązanie.

– Bierzesz leki? – Nie wiem, po co o to pytam, ale z drugiej strony jest teraz pod moją opieką i powinnam wiedzieć.

Zapada niezręczne milczenie, tylko Marysia biega tam i z powrotem, podśpiewując sobie pod nosem.

– Chcielibyście! Żeby mi całkiem mózg wyżarły i zrobiły ze mnie roślinę! – prawie krzyczy. – Nie pozwolę na to, choćby mój kochany braciszek z jeszcze bardziej umiłowaną siostrzyczką Maliką mieli się wściec.

– Nie będę ci truć, że oni to wszystko robią dla twojego dobra, bo chyba zdajesz sobie z tego sprawę. – Zatrzymuję się i patrzę jej prosto w oczy.

– Tak, tak, pewnie – odpowiada z ironicznym uśmiechem na ustach.

Dochodzę do wniosku, że Ahmed naprawdę ma rację: jej całkiem odbiło. Już bez słowa ruszamy przed siebie i żwawo maszerujemy, aż łapią mnie skurcze w łydkach i podbrzuszu. Choćbym miała tutaj urodzić, to nie zwolnię i z zaciśniętymi zębami dotrzymuję kroku.

– Mamusiu, wracajmy – jęczy Marysia. Bogu niech będą dzięki, bo już ledwo żyję. Moja kochana córeczka.

– Dobrze, dobrze – odpowiadam. – Zawracamy.

– Chce mi się pić i jeść i nudno mi – zaczyna marudzić.

– Za chwilę będziemy w domu – pocieszam ją. – Ty także troszkę się zmęczyłaś? – pytam Miriam, ocierając pot z twarzy.

– Chyba żartujesz – odpowiada, pogardliwie taksując mnie wzrokiem. – Ja się jeszcze przejdę, a wy wracajcie, w ogóle się mną nie przejmujcie.

– Ale... – Nie chcę jej puścić samej. – Tam dalej jest już całkiem odludnie. Może nawet niebezpiecznie. Dzikie psy i...

– Tak, i tygrysy. Daj spokój, ja jestem stąd, mnie pustkowiem nie przeraża. – Obraca się do nas plecami i kontynuuje marsz donikąd.

– Miriam, proszę cię, wracaj z nami – wołam, lecz ona tylko przyspiesza kroku. – Samotne kobiety nie spacerują po takim odludziu. Tym bardziej u was. Nie rób mi tego! – mówię już błagalnym tonem, truchtem ruszając za nią.

Marysia siada na kamieniu i bawi się wydłubywaniem dziury w glinie. Prawie biegnę, oczywiście na miarę swoich możliwości. Ledwo starcza mi tchu.

– Miriam, czy ty chcesz, żebym tu urodziła w szczerym polu?! – krzyczę, bo już dłużej nie jestem w stanie jej ścigać. Zatrzymuję się, pochylam do przodu, kładę ręce na kolana i próbuję uspokoić oddech.

– Wróć na obiad! – odpowiada, radośnie machając mi na pożegnanie ręką. – Ahmed może cię nie zabije, w końcu nosisz jego dziecko – słyszę jeszcze jej ostatnie słowa.

Jak ona się zmieniła... to nie ta sama Miriam, którą poznałam niespełna rok temu. Co ja teraz zrobię? Chwytam się za głowę. A jak ona sobie dokądś pójdzie i nie wróci, jak coś jej się stanie, jak ktoś jej zrobi krzywdę? Jasny gwint, nie wzięłam ze sobą komórki, a natychmiast muszę poinformować o wszystkim Ahmeda. Żeby nie było znowu na mnie! Mój Boże! Ruszam pędem w kierunku domu. Marysia truchta przy moim boku.

– Córcia, robimy wyścigi – próbuję użyć fortelu. – Kto będzie pierwszy: brzuchata mama czy zgrabna sarenka?

– Ja sarenka, ja, ja będę pierwsza!

– Zwycięzca dostaje wielki puchar lodów. – O tak, sama marzę o takim.

– A przegrany? – pyta trochę przestraszona.

– Trochę mniejszy puchar – śmieję się.

– No to zgoda. Mamuniu, daj rękę, to ci pomogę. Ty też musisz dostać nagrodę.

Całe złane potem i zakurzone wpadamy do domu. Czuję niepokój i pierwsze kroki kieruję do salonu po telefon. Nigdzie nie mogę go znaleźć, choć jestem święcie przekonana, że rano leżał jeszcze na ławie.

– Joice, nie widziałaś komórki? – pytam zdenerwowana.

– Madam, nie wiem czemu leżała na kamiennym stole na podwórku od strony kuchni. – Podaje mi aparat ze zdziwionym wyrazem twarzy. – Przecież ktoś mógłby ją ukraść i jak byśmy wyglądały bez telefonu?

– Ja jej tam nie kładłam. Może Marysia się bawiła, choć tyle razy ją napominałam.

Nie mam teraz czasu na przeprowadzanie śledztwa. Przyciskam zielony guzik, chcąc jak najszybciej połączyć się z Ahmedem. Zdziwiona patrzę na ostatni wybierany numer. Przecież ja

dzwonię tylko do męża, czasami do jego matki, a jeszcze rzadziej do Maliki. Na ekranie u samej góry wyświetla się nazwa odbiorcy: Fitness. Mam ten numer z zamierzchłych czasów, ale nie pamiętam, kiedy ostatni raz tam dzwoniłam. Bo i po co? Jakiś błąd. Wybieram numer Ahmeda.

– Kochanie, mamy problem – mówię zdenerwowanym, poważnym głosem. – Co się dzieje?

– Poszliśmy po śniadaniu na spacer po polach – zaczynam.

– To dobrze. Piękna pogoda, jeszcze nie jest tak gorąco.

– Nie będę kłamać, że była to przyjemna wycieczka, bo Miriam kontynuowała to, co wczoraj zaczęła.

– Aha.

– Ale nie dałam się sprowokować, z czego jestem bardzo dumna.

– No to w czym kłopot? Kotku, mam mnóstwo pracy, a chcę się wcześniej urwać, żeby do was dołączyć. Wierz mi, że żal mi ciebie. Ciężko być pod takim ostrzałem w pojedynkę.

– Miriam nie chciała z nami wracać i postanowiła spacerować dalej – przechodzę do meritum sprawy. – Sama.

Zapada cisza.

– Może niepotrzebnie się martwię, bo powiedziała, że wróci na obiad, ale chcę, żebyś wiedział. Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, nawet ją goniłam i prosiłam, żeby poszła z nami, ale to nic nie dało.

– Pozostaje nam tylko czekać. Przecież nie będę biegał po pustkowiu i szukał mojej dorosłej zwariowanej siostry – mówi z niezadowoleniem. – Przyjdzie, przyjdzie, bo gdzie niby miałyby pójść? Na piechotę do miasta? Trochę daleko.

Kończymy rozmowę i umawiamy się na telefon. Biorę prysznic, bo aż kleję się od potu, i zabieram się do przygotowania obiecanych pucharów lodowych.

– Marysiu, czemu ruszałaś komórkę mamy? Tyle razy cię prosiłam...

– Nie dotykałam nawet. – Patrzy na mnie zdziwiona, wyciskając bitą śmietaną częściowo na deser, a w większości na stół i swoją sukienkę.

– Uważaj, kochanie. – Wycieram ją mocno zniecierpliwiona. – Czemu bujasz? To kto ją brał i na dokładkę zostawił na dworze? He? – Pochyliam się nad nią i zaglądam jej w oczy.

– Rano ciocia Miriam rozmawiała przez telefon – odpowiada całkowicie bez lęku i poczucia winy. – O tutaj stała, tam w kącie. – Wskazuje palcem patio i kamienny stół.

Dziwne...

– Ahmed, czy Miriam ma swoją komórkę? – dzwonię ponownie z krótkim pytaniem.

– Nie, od czasu jej próby samobójczej stwierdziliśmy, że nie musi do nikogo dzwonić. Z rodziną ma kontakt fizyczny non stop.

– Zabraliście jej telefon? – nie mogę uwierzyć.

– Tymczasowo – odpowiada beztrąsko.

– To jest swego rodzaju ubezwłasnowolnienie – oburzam się. – Ona nie jest ani dzieckiem, ani niewolnicą.

– Nie przesadzaj! Zachowała się gorzej niż dziecko. A o co ci teraz właściwie chodzi?

– Myślałam, że można by do niej zadzwonić i dowiedzieć się, gdzie jest – sprytnie omijam prawdę.

Sprawdzam datę i czas połączenia z klubem fitness. Dzisiaj o dziesiątej rano. Tuż przed naszym wyjściem. Po co miałyby tam dzwonić o tej porze? Wtedy są zajęcia tylko dla libijskich kobiet i mężczyźni nie mają na nie wstępu. Może chciała porozmawiać z jakąś koleżanką? Nie można jej ciągle podejrzewać, trzeba zostawić przeszłość za sobą i dać kobiecie szansę. Muszę jednak to sprawdzić. Wychodzę na ganek i łączę się. – *Salam alejkum* – słyszę miły głos znanej

mi recepcjonistki.

– *Alejkum salam* – odpowiadam zwyczajowo po arabsku. – Chciałabym się dowiedzieć, czy są teraz jakieś zajęcia aerobiku? – zaczynam dochodzenie.

– Nie, niestety. Przez dwa dni klub będzie zamknięty, bardzo przepraszamy.

– A co się stało? – dociekam.

– Mieliśmy awarię wody na piętrze i małą powódź na dole. Wymieniamy wszystkie wykładziny. Horror! – Jest autentycznie zrozpaczona. – Wie pani, jaka to robota?! Dobrze, że chłopaki wzięli wolne i pomagają.

– Kto? – pytam zaniepokojona.

– Aaa, nasi trenerzy. Mają dość siły w mięśniach, to przenoszą maszyny w siłowni.

– Są tam Rahman i Hamid? – Coś zaczyna dusić mnie w gardle.

– Pani ich zna? Dobrze chłopaki.

– Tak, kiedyś poznałam. – Chcę skończyć tę rozmowę, bo dowiedziałam się aż nadto.

– Niestety, Hamid wyszedł jakiś czas temu, ale powiedział, że jeszcze wróci. Mam nadzieję.

– To nie ma go tam teraz? – pytam przerażona.

– Ktoś do niego zadzwonił i wybiegł jak oparzony.

– Ucieszony? – Aż drzę na całym ciele i brakuje mi tchu.

– Nie, raczej zezłoszczony. Chyba dzwoniła jego siostra. – Recepcjonistka śmieje się beztrąsko.

– Dzięki za wszystko – mówię martwym głosem. – Życzę powodzenia w sprzątanii.

– Zapraszamy, zapraszamy – słyszę jeszcze jej ostatnie słowa, bo nawet nie mam siły się rozłączyć.

Co teraz powinnam zrobić? Jeśli dzwoniła w innej sprawie bądź łączyła się z kim innym, niepotrzebnie wywołam burzę. Jeśli zaś zwiła mi sprzed nosa na schadzkę z kochankiem, będę winna zatajenia prawdy. Randka to jeszcze nic, ale jak uciekną gdzieś za granicę? Wtedy szukaj wiatru w polu. I znów wszystko będzie na mnie. Może oszczędzą mnie teraz, ze względu na ciążę, ale nigdy mi tego nie wybaczą. Beznadziejna sytuacja – tak źle i tak niedobrze. Skamieniała siedzę nie wiadomo jak długo z telefonem w ręce. Dzwonek informujący o nadchodzącym połączeniu wywołuje u mnie dreszcze.

– Wróciła? – pyta podenerwowany Ahmed.

– Nie – odpowiadam bezbarwnie. – Dajmy jej jeszcze trochę czasu.

– Od dziesiątej rano miała go wystarczająco dużo. Czy ty wiesz, która godzina, kochanie?

– Patrzę na zegarek. – Druga trzydzieści! – krzyczy z paniką w głosie.

– To co robić?! – pytam bezradnie. – Może pójdę z Joice i zaczniemy jej szukać. Póki jest jasno, będziemy chodzić po polach i nawoływać. – Zrywam się pełna inicjatywy.

– Ty lepiej się z domu nie ruszaj, na dziś jeden kłopot wystarczy – mówi nieprzyjemnym tonem. – Jeszcze też się zgubisz.

– To niemożliwe! Tutaj nie sposób się zgubić i dobrze o tym wiesz. A ja uciekać nie mam zamiaru.

– Kochanie, przepraszam, ale jestem trochę podenerwowany. Mam prawo – mówi cicho.

– Boję się o ciebie i nie chcę, żeby coś złego ci się przytrafiło.

– Dobrze, ale co my teraz zrobimy? – zawodzę jak małe, przestraszone dziecko.

– Wsiadam do auta i jadę skrótem. Ty czekaj na nią w domu, a nuż przyjdzie. Jak przyjadę, zaczniemy zorganizowane poszukiwania, a gdyby się przedłużyły, wezwiemy policję. Trudno.

– Trzeba zawiadomić mamę i Malikę.

– Jeszcze jest czas. Będziemy w kontakcie. Jestem najgorszej myśli. Nie rozumiałam, jaki był cel jej przyjazdu i dlaczego tak łatwo się zgodziła, ale teraz widzę wszystko czarno na białym. Łatwiej się wymknąć na otwartej przestrzeni niż z domu otoczonego dwumetrowym murem.

– Joice, chodź do mnie, proszę.

– Tak, madam. – Dziewczyna już stoi w drzwiach i smutno na mnie patrzy. – Jakiś problem?

– Przejdź się dookoła domu i zobacz, czy madam Miriam gdzieś nie odpoczywa.

– Już byłam. Nawet weszłam na zbiornik z wodą, ale oprócz robotników nikogo nie widać.

– Sprytna jesteś. Wszystko wiesz.

– Staram się pomóc. Może podać obiad?

– Nie przełknęłabym teraz ani kęsa. Marysia jadła?

– Oprócz lodów też nic, ale dam jej później. Proszę sobie teraz dzieckiem głowy nie zawracać.

– Masz rację, dziękuję.

Idę do sypialni i padam na łóżko. Zastanawiam się, jak inaczej mogłam postąpić. Przymykam oczy, a gdy je otwieram, dookoła panują już egipskie ciemności. Jezus Maria! Zrywam się na równe nogi i biegnę do kuchni.

– Joice, pan przyjechał?

– Nie było go jeszcze – odpowiada zmartwiona.

– Która godzina? – pytam automatycznie, spoglądając na zegar na ścianie. – Ósma?! – krzyczę wniebogłosy. – Ósma! I mąż nie dzwonił?! – wpadam w panikę.

– Pani spała z telefonem. Ja nie słyszałam żadnego połączenia.

Biegnę do sypialni i wygrzebuję aparat spod kołdry. Patrzą na ekran. Nic. Nikt nie dzwonił. Ręce mi się trzęsą. Słyszę, jak Joice staje za mną.

– Pomogę? – ni to pyta, ni stwierdza. W końcu udaje mi się nacisnąć odpowiedni guzik.

– Ahmed, żyjesz?! – krzyczę do słuchawki.

– Tak – słyszę jego martwy głos.

– Co się stało?! Czemu jeszcze cię nie ma?!

– Wszystko opowiem, jak przyjadę. Powinienem być koło północy – w tym momencie słyszę przeraźliwy kobiecy krzyk.

– Co to? Kto to? – Wstrzymuję oddech i robi mi się słabo. Przysiadam na brzegu łóżka.

– Stało się najgorsze. Nie mogę teraz rozmawiać. – Rozłącza się.

Co to za straszne, wręcz zwierzęce wycie? Co ono mogło oznaczać? Kto je wydawał i dlaczego? Nagle uzmysławiam sobie, że tembr głosu i jego brzmienie jest mi znane. To matka Ahmeda. Czy to znaczy, że stało się najgorsze? Ponowna zdrada, ucieczka czy śmierć Miriam? Teraz pozostaje mi tylko czekać. Czuję się winna, choć nic nie mogłam zrobić.

Życie plecie się w zadziwiający sposób, a los nas nie oszczędza. Ahmed pędził na farmę, nie schodząc poniżej stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czuł, tak jak i ja, że stało się coś złego. Wjechał na drogę między blokami i nadal nie zwalniał. Po paru kilometrach zauważył zgromadzony przy drodze tłumek. Zdjął nogę z gazu i wolno minął zebranych. Przed oczami mignęła mu leżąca na poboczu postać i coś go w niej zaintrygowało. Zatrzymał samochód, wysiadł i powoli zbliżył się do zgromadzonych. Ludzie gestykulowali, krzyczeli i chwyтали się za głowy. Ahmed rozepchnął tłum i nagle znalazł się tuż nad zmasakrowanym ciałem Miriam. W pierwszym odruchu padł na kolana i z rykiem zaczął wrywać sobie włosy z głowy. Tłum zamarł z przerażenia. Nikt nie wiedział, co się dzieje i kim jest ta nieszczęsna para. Miriam leżała na

boku, nogi miała nienaturalnie wygięte, jedną stopę zmiądzoną, a na drugiej zachował się jeszcze kolorowy kłapek. Potargana sukienka podwinęła się do góry, odsłaniając pokiereszowane uda. Ahmed obciągnął ją w dół. Zdjął marynarkę i przykrył zmasakrowaną twarz siostry. Jedna strona napuchła i była prawie czarna, druga stanowiła krwawą miazgę. Bez oka, bez brwi, z wystającymi gdzieniegdzie strzaskanymi kośćmi. Włosy sklejone potem, kurzem i krwią przykleiły się do czaszki. Pochylił się w bezgranicznej rozpacz i ze zwierzęcym wyciem delikatnie przytulił siostrę do siebie. Po jakimś czasie dało się słyszeć syreny policyjnych wozów. Za nimi jechała karetka pogotowia.

Nikt spośród zebranych nie widział wypadku. Każdy zeznał, że jak przyszedł na miejsce, było już po wszystkim. Po oględzinach policji i ocenie biegłego sądowego wydano opinię, że zginęła na miejscu, potrącona najprawdopodobniej przez samochód osobowy. Nie udało się go jednak odnaleźć. Co robiła w tej okolicy i jak się tam dostała, zostanie na zawsze tajemnicą. Jednak nie dla wszystkich członków rodziny. Ahmed i ja wiedzieliśmy, kto mieszka w tym rejonie, Malika również. Ja, niestety, znałam jeszcze jeden sekret – wiedziałam o rozmowie telefonicznej wykonanej przez Miriam w dniu śmierci, na domiar złego z mojego aparatu. Nie powiedziałam o tym nikomu, bo znam rządzące tutaj prawo: oko za oko, ząb za ząb. Przecież sama rozmowa o niczym nie świadczy, lecz dla zrozpaczonej rodziny mógł to być wystarczający dowód. Usunęłam ją z listy połączeń i skasowałam numer fitness klubu z mojego telefonu.

Rodzina nie rozmawiała ze mną ani w tym dniu, ani podczas stypy trwającej ponad miesiąc. Nie zostałam na nią dopuszczona, ponoć ze względu na ciążę. Wyraźnie czułam żal i niechęć, jakie do mnie żywili. Uważali mnie za winną wypadku. Kiedyś niechcący usłyszałam słowa matki Ahmeda: „Ja się opiekowałam Miriam przez ponad trzy miesiące i wszystko było w jak najlepszym porządku, a ona po jednym dniu zostawiła moją córkę na śmierć”. W tych ciężkich dniach rodzina męża całą rozpacz i nienawiść skierowała przeciwko mnie. Wiem, że już nigdy nie będzie tak jak dawniej.

Mahmud, mąż Miriam, zaraz po stypie wyjechał za granicę. Dziećmi nadal zajmuje się moja teściowa. W tym wypadku nic się nie zmieniło, a przepiękny wielki dom stoi zamknięty na cztery spusty.

Wizyta matki

Ósmy miesiąc ciąży dobiega końca, można więc powiedzieć, że jestem na finiszu. Noszony ciężar zaczyna mnie męczyć. Poruszam się powoli i niezdarnie. Dodatkowo upał daje mi się we znaki, bo tutejsze wczesne lato w pełni i rzadko kiedy temperatura spada poniżej trzydziestu stopni, nawet wieczorem.

Marysia natomiast cieszy się słońcem i ciepłem. Na zacienionym winoroślą patio rozłożyliśmy dla niej mały gumowy basen, w którym pluszcze się całymi dniami, oczywiście pod czujnym okiem Joice, która teraz jest już niezastąpiona.

– Załatwiłem wszystkie formalności. – Ahmed telefonuje z pracy. – Poparcie wizowe już powinno być w Warszawie, tak że twoja matka nawet jutro może jechać do ambasady.

– Świetnie, dziękuję ci – odpowiadam niezbyt radosnym głosem, bo nie wiem, czy mam się cieszyć, czy smucić na jej przyjazd.

– Dociu, wszystko będzie dobrze – wyczuwa moją niepewność.

– Trochę obawiam się jej postawy – zwierzam się. – Ona wszystko krytykuje. Pamiętasz, co wyprawiała w Polsce.

– Musisz nastawić się pozytywnie. Pomyśl sobie, że wszystko będzie cudownie.

– A jeśli nie?

– To odeślemy ją najbliższym samolotem do domu i z głowy. – Śmieje się. – Do Polski latają wprowadzić tylko raz w tygodniu, ale może jakoś uda nam się przetrzymać te siedem dni.

– Masz rację, trzeba sobie wszystko poukładać w głowie. Zaraz oddam się medytacji, zacznę mrużyć pod nosem mantrę i zanim ona przyjedzie, będę tryskać optymizmem.

– Grzeczna dziewczynka, i o to chodzi.

– O mój Boże, ale ty utyłaś – tymi słowy matka wita mnie na lotnisku.

Spoglądam wymownie na Ahmeda, a ten z uśmiechem na twarzy wręcza jej kwiaty.

– Nie tak dużo, mamo, jedynie czternaście kilo – już zaczynam się tłumaczyć.

– To chyba masz zepsutą wagę – stwierdza kąśliwie. – Jak ty wyglądasz, taka zaniedbana. Całkiem jak Arabka.

Teraz już widzę błysk złości w oczach Ahmeda, lekceważymy jednak jej słowa i kierujemy się ku wyjściu.

– Przynajmniej Marysia ma się dobrze. – Głaszcze naszą córeczkę po głowie. – Choć zrobiła się taka śniada, cały tatuś. – Wzdycha smutno.

– Mamy lato. Dziecko od rana do wieczora jest na słońcu, to się opaliło.

Matka uśmiecha się z przekąsem i kiwa z politowaniem głową. Po co ona tutaj przyjechała? Po co myśmy ją zaprosili?

– Mój Boże, jak tutaj jest gorąco. Nie da się żyć! – kontynuuje.

– Lotnisko jest klimatyzowane, upał jest dopiero na zewnątrz – informuje oschle Ahmed.

– Co? Wyście mnie tutaj ściągnęli po to, żebym chyba zdechła – oburza się.

– Może jednak jakoś przetrzymasz – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

Idziemy do samochodu. Ja prowadzę Marysię i niosę bagaż podręczny, Ahmed męczy się z wielką walizą na kółkach, a matka wachluje się bukietem kwiatów i udaje zmęczoną. Dobrze, że lotnisko w Trypolisie działa już pełną parą, bo nie chcę nawet myśleć, co by to było, gdyby matka leciała przez Dżerbę, a potem jeszcze cztery godziny spędziła w samochodzie.

Po niespełna trzydziestu minutach podjeżdżamy pod farmę, którą zdążyliśmy w tym czasie ogrodzić wysokim na dwa metry murem. Jest świeżo otynkowany na ciepły pistacjowy kolor. Na szczycie, co parę metrów, zamontowano okrągłe lampiony. Brama jest na pilota, a

furtka oczywiście z domofonem. Teraz nie dostanie się tutaj żaden nieproszony gość.

– Ale zasieki – komentuje matka. – To koszary czy więzienie?

Pozostawiamy pytanie bez odpowiedzi. Podjeżdżamy pod taras, na który biegiem wypada oczekująca nas Joice.

– Witam starszą panią – mówi, przymilnie się uśmiechając.

– To i czarną służbę macie, no, no – zwraca się do nas, lekceważąc dziewczynę. – Nie dotykaj moich rzeczy, bo jeszcze poniszczysz! – wykrzykuje do Joice, usiłującej przenieść jej ciężkie bagaże. – Taka małpa to na niczym się nie zna. Przed chwilą spadła z drzewa.

– Mamo, opanuj się. Co ty wygadujesz? Do reszty zwariowałaś? – nie wytrzymuję i zwracam jej uwagę.

Prycha tylko i wchodzi do domu.

– Od tej strony jej nie znałem – szepcze mi do ucha Ahmed. – Chyba też będę musiał zacząć mrużyć mantrę.

– Lepiej rób rezerwację na najbliższy lot – odpowiadam z przekąsem, znacząco ściskając jego dłoń.

– Przygotowaliśmy dla ciebie przytulny pokoik. – Wprowadzam ją do środka i pokazuję drogę.

– Tę klitę nazywasz pomieszczeniem mieszkalnym? Ty tutaj całkiem zdziczałaś i zatraciłaś poczucie dobrego smaku – wyraża swoją opinię.

Nie wiem – śmiać się czy płakać. Zaczynam nerwowo chichotać.

– Jak się rozpakujesz, zapraszamy do salonu na obiad – lekceważę jej docinki, uznając to za najlepszy sposób na przetrwanie.

– Nie wiem jeszcze, czy chcę się rozpakowywać. Mam tutaj mieszkać, w tej wiejskiej chacie na odludziu? Nie podoba mi się to. Mogłaś mnie uprzedzić.

– Mówiłam ci, że mieszkamy na farmie...

– Ale opisywałaś to jak ósmy cud świata i raj na ziemi.

Ahmed z zadowoleniem słucha tych słów i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów patrzy na mnie z czułością. Może dobrze zrobi nam ta wizyta? Zrozumiemy, jaką cudowną jesteśmy rodziną i ile dla siebie znaczymy. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Bo dla mnie tak właśnie jest, to moje miejsce na ziemi. – Wycofuję się i zamykam za sobą drzwi.

Niech trochę ochłonie w czterech ścianach. Obracam się i wpadam prosto w objęcia Ahmeda. Mój wielki brzuch nam przeszkadza, ale nie na tyle, aby nie móc namiętnie się pocałować.

– Kocham cię – czule szepcze mój cudowny mąż.

– Ja ciebie też, choć to mało powiedziane. – Patrzę mu głęboko w oczy. Przytulamy się, gdy nagle mały człowieczek w moim brzuchu wykonuje mistrzowski kop.

– Gol! – krzyczy zachwycony Ahmed, czując uderzenie. – Będziemy mieć piłkarza w rodzinie.

– Albo piłkarkę – mówię przez ściśnięte gardło, ledwie mogąc wziąć oddech. Dostałam prosto w przeponę.

– Siądź na chwilę. – Usiłuje mnie zaprowadzić do salonu i usadowić na sofie. – Wszystko w porządku? – pyta zaniepokojony.

– Chwileczkę, muszę złapać oddech. – Pochyłam się do przodu i rozluźniam mięśnie brzucha.

– Dociu!

– Już dobrze. – Prostuję się i powoli wracam do siebie. – My sobie dość często gramy w

piłkę nożną.

– To proszę zapraszać mnie na rozgrywki, a nie tak egoistycznie zachowywać wszystko dla siebie – znowu żartuje.

– Dobrze, będę cię budzić o świcie. Ranny ptaszek z naszego maluszka. Oby się to zmieniło, kiedy już przyjdzie na świat.

– Co się martwisz? Przecież zawsze mama ci pomoże – mówi rozbawiony.

– Ha, ha, ha.

Stół czeka nakryty, jedzenie gotowe, lecz matka nie zaszczycą nas swoją obecnością. Z głodu burczy nam w brzuchach, Marysia zjadła już zupę w kuchni.

– Idę ją zawołać – zwracam się do Ahmeda. – Mamo, obiad stygnie – krzyczę przez zamknięte drzwi.

– Nie chce mi się jeść – słyszę odpowiedź. – Odpocznę trochę.

– Nie wyglupiaj się i nie rób problemów od samego początku. – Nie wytrzymuję i wchodzę do środka.

Matka leży na łóżku i zakrywa twarz rękami. Ależ ona się postarzała.

– Mamusiu, proszę, zjedz coś, a potem do wieczora sobie poleżysz – mówię już delikatniej, siadam na łóżku i chcę ją objąć.

– Jeśli muszę, to wedle rozkazu. – Gwałtownie siada i omija moje wyciągnięte ramiona. Robi mi się niewyobrażalnie przykro.

Wszystko, co serwujemy na uroczysty posiłek, według matki jest niesmaczne, wręcz obrzydliwe, całkowicie do bani.

– Nie przejmuj się – podsumowuje. – Ty nigdy nie umiałaś gotować, ale jak ten biedny Ahmed to wytrzymuje? Współczuję ci, synku – zwraca się do niego.

Wbijam wzrok w obrus. Gdzie popełniłam błąd, co złego zrobiłam własnej matce, że jej wielka miłość do mnie przerodziła się w złość? Przecież rozstałyśmy się w Polsce w idealnej zgodzie i nawet płakałyśmy na lotnisku. Jestem przygotowana na jej krytykanctwo i wrodzoną uszczypliwość, ale ona zaczyna wytaczać ciężkie działa i ma zamiar stoczyć tutaj batalię. Nie mam już na to siły.

– To może deser mamie zasmakuje. – Ahmed z niepokojem zerka na mnie i próbuje rozładować sytuację.

– Wątpię, ale jak muszę...

Joice wnosi półmiski ze schłodzonymi owocami: pokrojonymi w kostkę arbuzem i melonem, czarnymi i zielonymi winogronami oraz dojrzałymi figami.

– W końcu coś, czego nie ugotowałaś. Jest szansa, że będzie jadalne.

Na środku stołu triumfalnie ląduje posrebrzana patera z moim popisowym sernikiem wiedeńskim.

– Z cukierni, ma się rozumieć?

– Domowy, ma się rozumieć – podchwytyję jej styl, mocno już zdenerwowana i urażona.

– Wszyscy na wielkie uroczystości proszą Docie o upieczenie tego ciasta – chwali mnie Ahmed. – Teraz nikt z naszej rodziny nie chce już tłustych tortów od cukiernika.

– No, no, zobaczymy. – Nadstawia talerz, na który Joice nakłada jej wielki kawał sernika.

– Tylko nie dotykaj mi tego tymi brudnymi paluchami! – krzyczy po polsku. – Jeszcze się czymś zarażę, oni wszyscy mają AIDS!

– Joice jest przebadana. Ma świetne referencje z poprzedniego miejsca pracy, to znaczy od ambasadora Niemiec. – Ahmed już nie wytrzymuje.

Widzę, jak dziewczynie robi się przykro. Mogła nic nie zrozumieć, ale jedno słowo o międzynarodowym znaczeniu na pewno wychwyciła. Wybiega do kuchni, a ja za nią. Jeszcze mi

brakuje, żeby odeszła.

– Madam – mówi, łkając zgięta w pół. – Przecież ja jestem zdrowa, ja nie jestem taka...

– Joice, nie przejmuj się, przepraszam cię w imieniu matki. – Otaczam ramieniem jej plecy i czuję, jak spociła się z nerwów.

– Dlaczego starsza pani mnie tak nie lubi? Bo jestem czarna? – pyta ze smutkiem.

– Moja droga. Nie wiem, co jej się stało, ale obecnie to ona nie toleruje nikogo, a najmniej mnie. Ciesz się, że nie rozumiesz po polsku, bo osiwiłaabyś, słuchając tego, co ona tutaj wygaduje.

Obie cicho się śmiejemy. Joice wyciera nos ścierką, dobrze, że nikt tego nie widzi, i jest już całkiem udobruchana. Zabiera się za porządki w kuchni.

– Posprzątam w salonie, jak starsza pani już sobie pójdzie, dobrze?

– Oczywiście, tak będzie najlepiej. Wszyscy musimy jej schodzić z drogi.

Wracam do „miłego” towarzystwa i widzę, jak mama ze smakiem przegryza melonem kolejny kawałek sernika. Sok cieknie jej po brodzie.

– Smakuje? – pytam.

– Melon może być, niczego sobie.

Ukradkiem dajemy sobie znaki z Ahmedem. Ja nadymam policzki, a on mruży oczy i delikatnie kręci głową na boki, prosząc, abym odpuściła i nie przejmowała się. Ma rację, szkoda nerwów.

– W piątek moja rodzina zaprasza na uroczysty obiad, wydawany specjalnie na cześć mamy – mówi Ahmed.

– Też gdzieś tutaj na wsi? – odzywa się miastowa.

– Nie, mieszkają w stolicy.

– To czemu wy jesteście na takim zesłaniu? – pyta złośliwie.

– Dorocie farma bardzo się spodobała. Zresztą to tylko tymczasowo.

– Nie wiem, co tutaj może się podobać? – dziwi się matka. – Ja bym na takim odludziu po dwóch dniach zwariowała.

Już ci to nie grozi, złośliwie stwierdzam w duchu.

– Chcesz sięść na ganku? Na pewno się ochłodziło – proponuję. – A może obejrzysz dom?

– Co tu jest do oglądania, tak jakbym stodołę obchodziła wkoło.

– Nie przesadzasz trochę? – Tracę resztki cierpliwości. – Lepsza ta twoja nora w betonowym bloku? Całe twoje mieszkanie ma tyle metrów ile nasz salon.

– Moje panie, zatem wypijmy herbatę na patio – przerywa Ahmed, a po wyrazie jego twarzy widzę, że zaczyna się denerwować.

Wstajemy, przechodzimy przez kuchnię i udajemy się do naszego ulubionego zakątka. Zapobiegliwa Joice usunęła basen Marysi i gruntownie wszystko wysprzątała. Z odnowionej małej fontanny na środku spływa woda, uspokajająco szemrząc i przyjemnie nawilżając i ochładzając powietrze. Zapach jaśminu odurza, a czerwone bugenwille nadają ciepła zimnemu kamiennemu wystrojowi. Stół jest nakryty kolorowym obrusem, a na ławach rozłożone są puchate poduszki. Matka nie odzywa się ani słowem, lecz widzę, że dokładnie lustruje każdy szczegół. Czekam na kolejny cios.

– To co ja tutaj niby będę robić całymi dniami? – pyta w końcu.

– Będiesz mi towarzyszyć i bawić mnie miłą rozmową – kąśliwie odpowiadam. – Na pewno stęskniłaś się za swoją wnuczką Marysią, więc z chęcią będziesz się z nią bawić – kontynuuję.

– Może wesprze nas mama w zakupach rzeczy dla dzidziusia? – proponuje Ahmed.

– A mają tu jakiś stragan na sąsiednim polu buraków? – wyrzuca z siebie dalsze złośliwości.

– Często jeździmy do miasta, to niecała godzina drogi stąd.

– Dorota ma samochód? – Wie, że tak nie jest.

– Nie było takiej potrzeby, a zresztą w jej stanie niewskazane jest prowadzenie auta.

– Ale kiedy nie jest akurat w ciąży, to też nie może się nigdzie ruszyć, bo nie ma czym – podsumowuje matka.

– Świetnie dawaliśmy sobie radę – oponuję. – Ahmed, jadąc do pracy, zabierał mnie i Marysię. Mała spędzała czas z babcią, ja szłam na fitness, a potem do koleżanek lub w odwiedziny do krewnych. Takie eskapady trzy razy w tygodniu w zupełności nam wystarczały.

– No tak – niezmordowanie kontynuuje matka. – Ale Marysia niedługo powinna chyba pójść do szkoły, w Polsce już chodziłaby do zerówki, a noworodek nie nadaje się na ciągłe jazdy.

– Mówiłem mamie, że mieszkamy tutaj tym-cza-so-wo. – Ahmed wolno kładzie nacisk na każdą sylabę.

– Ty nie mów do mnie takim tonem, młokosie. – Matka podnosi głos i uderza dłonią o blat.

– Herbata, proszę pani. – Nieoceniona Joice przerywa drażliwą sytuację, która mogłaby bardzo niemiło zakończyć ten pierwszy wspólny wieczór. Uff!

– Dziękuję ci. – Specjalnie dotykam jej ręki, a ona odwdzięcza się troskliwym spojrzeniem.

Wypijamy w milczeniu Liptona i rozchodzimy się do pokoi.

– Kochanie, jadę do pracy, ale będę wcześniej – budzi mnie delikatnie Ahmed. – Śpij, jak najdłużej możesz, dla zdrowia fizycznego i psychicznego. Niech ona się tam sama zalewa żółcią.

– Dobrze, wcale nie chce mi się wstawać. Jest mi bardzo przykro.

– Nie przejmuj się – pociesza mnie. – Może to taki pierwszy poprzyjazdowy szok.

Sama nie wiem, kiedy zapadam w głęboki zdrowy sen. Budzi mnie z niego wrzask i płacz Marysi. Zrywam się na równe nogi, pędzę do kuchni i widzę jakieś zamieszanie na patio przy ponownie rozłożonym basenie.

– Co się dzieje?! – krzyczę przerażona.

– Madam, ja sobie ze starszą panią nie poradzę – skarży się mokra Joice. – Ona nie mówi w żadnym języku, nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

– Ale czemu Marysia tak wrzeszczy? – Pokazuję ręką w stronę mojej rozebranej do rosółu córki, która stoi w basenie i chlapie wodą na wszystkie strony. Jest tak czerwona na twarzy, że wygląda, jakby miała udar. – Nigdy jeszcze nie urządziła takiej hysterii, co się stało? – zwracam się do matki, która splotła ręce na piersiach i krytycznie taksuje dziecko wzrokiem.

– Wariatka, na pewno po tatusiu. Taki arabski, wredny charakterek.

– Co zrobiła?

– Lepiej zapytaj, czego nie chciała zrobić? – syczy matka.

Wyciągam roztrzęsioną córeczkę z basenu, zawijam w kąpielowy ręcznik i mocno przytulam do siebie. Siadam na ławie i biorę ją na kolana. Czuję, jak trzepocze jej serce, a jej małym drobnym ciałkiem wstrząsa spazm.

– Może w końcu mi powiesz, co się stało?! – pytam matkę wściekła, bo ktoś skrzywdził moje dziecko.

– Tutaj tak przypieka słońce, że musi nosić czapkę albo kapelusz. Chce czy nie.

– A gdzie ty masz na tym zadaszonym ganku palące promienie, co? – pytam, wskazując wzrokiem gęstą winną latorośl nad nami. – Marysia nie lubi nakryć głowy, a każdy ma chyba prawo do własnego zdania. Jak się nie zna dziecka, to nie należy go do czegoś zmuszać. Można

mu tym bardziej zaszkodzić, niż pomóc.

– Patrzcie państwo, jaki pedagog się znalazł. Ja chyba mam większe doświadczenie od ciebie i lepiej wiem, jak postępować z krnąbrnymi bachorami.

– Bachorami?! – wykrzykuję oburzona. – Stęskniona babcia przyjechała, nie ma co!

– Świetnie ją wychowujesz! Ale co się dziwić?! Jak matka śpi do południa, a dzieckiem zajmuje się Murzynka z buszu, to tak to wygląda.

Po wypowiedzeniu tej kwestii odwraca się i znika za drzwiami swojego pokoju. Siedzę z otwartymi ustami i usiłuję złapać oddech.

– Spokojnie, madam. – Joice delikatnie poklepuje mnie po plecach. – Teraz pani musi myśleć o swoim zdrowiu i przyszłym dzidziusiu. Nie należy się denerwować.

– Nie lubię babci – szepcze po arabsku Marysia.

– Nie wolno ci tak mówić. Jakakolwiek by była, to zawsze jest twoja babcia, twoja rodzina.

– No to co? – Dziecko nie rozumie takiej argumentacji. – Babcia Sana'a jest lepsza. Duuużo lepsza. Ona mnie kocha.

Nie mam już nic do powiedzenia, nie znajduję argumentów. Arabska babcia jest bardziej czuła, wyrozumiała i serdeczna od mojej własnej matki. Tak mi smutno.

– Jadłaś już śniadanie? – pytam Marysię.

– Pewnie, wieki temu. – Śmieje się i z powrotem wskakuje do basenu. Dziecko szybko zapomina i nie chowa urazy. Szkoda, że ja już jestem dorosła.

– A drugie śniadanie? – drążę, bo szukam towarzystwa do posiłku. – A lunch? – Śmiejemy się obie. – Przyniosę sobie jedzonko i siądę przy tobie. Może na coś się skusisz?

Cały czas do powrotu Ahmeda spędzam z Marysią, pluskając się w wodzie lub wylegując na bujanym wygodnym leżaku. Joice co chwila donosi nam napoje, owoce i różne smakołyki. Czuję, że teraz jest mi już całkowicie oddana. Matka zaszyła się w pokoju gościnnym i z niego nie wychodzi. Dzięki temu mamy spokój i całkowity relaks. Nie wiem, kto wpadł na ten głupi pomysł, żeby ją zaprosić. Teraz to i tak nie ma żadnego znaczenia. Należy tylko mieć nadzieję, że szybko wyczerpią się jej złośliwości lub znudzi się na tyle, że sama zechce nas opuścić.

– *Darling, I'm home* – słyszę wołanie od drzwi. Marysia z piskiem radości pędzi w kierunku głosu. – Ale jesteś zimna i mokra – śmieje się Ahmed. – Uciekaj ode mnie, łobuziaro.

Razem wbiegają na podwórko całe zalane wodą. Najpierw ślizga się Marysia, a potem upada Ahmed.

– O Boże – wykrzykuję przerażona. – Czy wy, wariaci, chcecie się połamać?

Śmieją się mimo bólu i rozmasowują potłuczenia. Marysia biegnie do kuchni na ciepłą zupę, bo nagle poczuła się zmarznięta. Dochodzą nas stamtąd wesołe głosy, podśpiewywanie i tłuczenie garnkami i talerzami.

– No i jak tam? – pyta zaciekawiony Ahmed.

– Rano burza i od tego czasu nie wychodzi z pokoju.

– A o co tym razem poszło?

– Lepiej nie pytaj. Oszczędź sobie nerwów.

– Trochę zaczynam się obawiać wizyty u mojej matki – szczerze przyznaje.

– O to się nie martw – pocieszam go. – Po pierwsze dom ją stłamsi i przybije. Po drugie nic nie będzie rozumiała, więc nie będzie miała nic do powiedzenia. A co najważniejsze, my będziemy tłumaczyć jej słowa, więc przy odpowiedniej cenzurze spotkanie będzie można nazwać nawet przyjacielskim.

W samochodzie matka siada na moim miejscu, zaplata ręce na brzuchu i zezłoszczona patrzy tępym wzrokiem przed siebie. Obserwuję ją. Mysie przerzedzone włosy ma przystrzyżone

w modny małomiasteczkowy sposób – paż à la Kopernik z falkami wokół uszu. Sukienka o kroju z lat siedemdziesiątych, ze stylonu czy innego sztucznego materiału w kolorowe kwiatki, opina jej niezgrabne ciało. Ręce pokrywają brązowe wątrobowe plamy, skóra marszczy się i łuszczy. Jako jedyną biżuterię nosi rosyjski pierścionek z czerwonym oczkiem, który dostała od swojego ojca wieki temu. Będzie mocno odstawała od rodziny Ahmeda, i to nie tylko wyglądem. Pani nauczycielka z Polski, która u nas cieszy się szacunkiem, bo przepracowała za marne grosze ponad trzydzieści lat w szkolnictwie, poza granicami ojczyzny wygląda jak żebraczka i nie jest w stanie z nikim się porozumieć.

Podjeżdżamy pod wysokie ogrodzenie z wielką bramą, które w dniu przyjazdu zrobiło na mnie tak ogromne wrażenie. Wjeżdżamy do środka. Lampiony oświetlają podwórze, a przez okna wylewa się feeria światła z wnętrza budynku. Na schodach wiodących do domu stoi matka Ahmeda ubrana w piękną elegancką suknię o stonowanych barwach, sięgającą jej aż do kostek. Znosi się na przyjęcie w wielkim stylu. Panie witają się ze sobą uprzejmie, lecz dość oziębło. Moja matka wygląda jak służąca, która zaraz pójdzie do kuchni zmywać naczynia. Myślałam nawet, żeby kupić jej jakąś wyjściową suknię, ale bałam się zaproponować, gdyż obawiałam się wrogiej reakcji. Teraz sama przed sobą muszę przyznać, że jednak się jej wstydzę.

– Jak się masz, Dot? – Samira podbiega do mnie i bierze pod ramię. – Już ci musi być ciężko i jeszcze te piekielne upały. – Patrzy na mnie życzliwie.

– Może ty niedługo też będziesz chodzić z brzuszkiem. – Klepię ją po ręce i figlarnie się uśmiecham. Już dużo lepiej wygląda i wydaje się, jakby jej problem nigdy nie istniał. – Zdrowie ci wróciło i ślub już niedługo.

– *Allahu Akbar!* – dziękuje Bogu radośnie. – Cieszę się, że w końcu będziemy razem z Mahdim, ale nie mówiłam ci jeszcze najważniejszego.

– Co takiego? Ja zawsze dowiaduję się ostatnia.

– Dostaliśmy to wymarzone stypendium do Kanady! – wykrzykuje z piskiem i zaczyna podskakiwać jak mała dziewczynka.

– Poważnie!? *Mabruk!* – Obejmujemy się i czule całujemy. Jest dla mnie jak siostra, której zawsze mi tak brakowało.

– Tak że planowanie potomka musimy trochę odłożyć. A zresztą ja mam dopiero dwadzieścia trzy lata! Dziewczyno, mam mnóstwo czasu. Po co się spieszyć?

– Święta racja. Nie ma co tak wcześniej rodzić dzieci, bo przekreślasz tym samym całą swoją przyszłość, karierę. Może nie tak dosłownie, ale na pewno plany i marzenia trzeba wtedy odłożyć na później. I niestety, często się zdarza, że się o nich zapomina. Albo musi się z nich zrezygnować...

– Nie mów tak, bo robi mi się smutno. – Samira czuje w moim głosie rozczarowanie. – Mama z chęcią zajmie się również twoimi dziećmi, zresztą jest ich tutaj tyle, że niedługo będzie mogła otworzyć domowe przedszkole. Jak urodzisz Ahmedowi syna, to może trochę się uspokoi i zmieni swoje podejście do pracujących żon i matek. Na pewno wszystko się ułoży, zamieszkacie w końcu w mieście i będziesz szczęśliwa.

– Oj, Samirka, miła jesteś. – Kładę głowę na jej chudym ramieniu. – Brakuje mi kontaktów z ludźmi, koleżanek... przyjaciółki.

– To przyjeżdżam do ciebie w poniedziałek, na cały długi tydzień – obiecuje. – Wezmę ze sobą tylko laptopa i walizkę materiałów do tej mojej nieszczęsnej pracy magisterskiej. Teraz już jak najszybciej muszę ją napisać. Obgadamy wszystko z Ahmedem, dobrze?

– Cudnie, cudnie – cieszę się i z radości aż klaszczę w ręce.

Samira trochę zaciska zęby, wymawiając imię brata. Tutaj kobieta musi wiele znieść i nie dać nic po sobie poznać. Tego się już nauczyłam, aż za dobrze. Poza tym, co było – minęło.

– Co to za wesołe intrygi? – Malika zbliża się do nas krokiem królowej. Twarz ma poważną.

– Pojadę do Dot na tydzień, bo smutno jej bez koleżanki. Przecież pracę mogę pisać wszędzie, a zresztą została mi już tylko kosmetyka.

– Nawet na strychu czy w piwnicy? A może na ich polu kukurydzy, bo jedyny pokój gościnnie, jaki mają, zajmuje aktualnie jej matka – stwierdza trzeźwo.

– Zapomniałam – mówię smutno.

– Szisz, ja też. Nie martw się, jak tylko wyjedzie, masz mnie jak w banku – obiecuje Samira.

– Pewnie, jeśli wyjedzie. – Malika śmieje się ironicznie.

– Nawet tak nie mów! – szepczę z przerażeniem.

– Tak daje w kość? – Obie się za nią oglądają. – Wygląda mi na taką – stwierdza Samira.

– To po co ją zaprosiliście?

– Nie wiem, po prostu ludzka naiwność. – Rozkładałam bezradnie ręce i podchodzę do Ahmeda, aby odciążyć go w roli tłumacza.

Podano posiłek i zasiadamy do wielkiego stołu nakrytego najlepszą porcelaną. Nie musieli się tak starać, zwykła zastawa też zrobiłaby piorunujące wrażenie. Oczywiście zaproszono co najmniej dwadzieścia osób, krewnych i sąsiadów. Dzieciarni jest chyba drugie tyle. Brakuje mi Miriam, co chwilę rozglądam się dookoła, szukając jej wzrokiem.

Jeżeli chodzi o jedzenie, rodzina męża przeszła samą siebie. Wszystkie najlepsze arabskie dania serwują w wersji ekskluzywnej, to znaczy na platerach, fantazyjnie ułożone i pięknie ozdobione. Chyba musieli wynająć catering, albo przynajmniej kucharza z restauracji. Atmosfera jest sztywna, gdyż nie ma wspólnych tematów. Tłumaczenie każdego zdania też jest męczące i rozbija rozmowę. Matka siedzi jak trusia, a pozostałe towarzystwo szepcze między sobą. Pierwszy raz podczas przyjęcia jest tutaj tak cicho, nawet dzieci nie wrzeszczą. Czuję się niczym na stypie i mam ochotę jak najszybciej się stąd wyrwać.

– Kupiliście już wyprawkę, chyba najwyższy czas? – Malika krzyczy przez cały stół.

– Jeszcze nie, w tym tygodniu się wybieramy – odpowiadam.

– Może pojedziesz z nami – proponuje jej Ahmed. – W końcu jesteś specjalistką od dobrych sklepów.

Malika czuje się mile polectana i nawet uśmiecha się półgębkiem.

– Nie znam się na salonach mody niemowlęcej, ale coś wymyślimy.

– Świetnie, to jesteśmy umówieni. – Oddycham z ulgą, bo z nią na pewno wszystko załatwimy.

Przebrnęliśmy przez deser i pijemy herbatę na tarasie. Zewsząd słychać cykady i otacza nas mój ulubiony zapach jaśminu. Próbuję się zrelaksować. Mama siedzi naburmuszona, ze spoconą twarzą, na której wykwitły czerwone plamy. Wygląda, jakby miała zaraz zwymiotować. Niestety, nie uprzedziłam jej, że tutaj nie jada się po kopiastym talerzu każdego dania. Teraz jest już za późno.

– To dla pani. – Teściowa na pożegnanie podchodzi do mojej matki z wielkim pudłem.

– Co to? Jak na odchodne chcą mi dać jeszcze trochę tych tłustych ciastek, to powiedz im, że mam dość. Na całe życie.

– Mamo, opanuj się. – Miażdżę w uścisku jej ramię. – Ona daje ci prezent. Tutaj panuje taki zwyczaj, że gość dostaje upominek.

– Chyba mają poprzewracane w głowie albo raczej za dużo pieniędzy. – Mamrocze pod nosem jakies niby podziękowanie, chwytą za paczkę i nie oglądając się za siebie, schodzi po schodach.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się wielokrotnie. Albo na rzyganko, albo na oddychanie i mały spacer po poboczu autostrady. Droga zamiast czterdziestu minut trwa dwie godziny.

– Ładna mi rodzinka! – podsumowuje matka przed wejściem do swojego pokoju. – Chcieli mnie otruć, ale nie za mną te numery. Nie udało się! Ha!

– Mamo, po prostu... – zamyka mi drzwi przed nosem – za dużo zjadłaś! – krzyczę, żeby dobrze usłyszała.

Wieczorem centrum stolicy wygląda cudownie. Jest jasno jak w dzień, bowiem ulice oświetlają nie tylko neony, ale także liczne migające reklamy i światła sklepów. Markety i butiki pracują pełną parą, bo o tej porze jest największy ruch. Upał zelżał i każdy chce się wyrwać z domu, odetchnąć wielkomięską atmosferą.

– Co za tłumy, nie można się było wybrać kiedy indziej? – narzeka spocona matka.

– Już nie mamy zbyt wiele czasu – mówi Ahmed.

– To nie moja wina, że wszystko zostawiacie na ostatnią chwilę. Ja mam to teraz życiem przypłacić!? – fuka niezadowolona.

– Co jest grane? – pyta rozbawiona Malika, nie rozumiejąc konwersacji prowadzonej po polsku.

– Możesz się bez słów domyślić – mówię, wywracając oczy do góry. – Nie ma co się przejmować, realizujemy plan.

Wchodzimy do największego salonu w mieście oferującego wszystko dla milusińskich. Nie wiadomo, od czego zacząć. Na szczęście jest z nami Malika.

– Proponuję zacząć od zakupu największych sprzętów, a na koniec będziemy przebierać w drobiazgach, które zawsze można dokupić.

– Pewnie – oddychamy z ulgą, szczęśliwi, że nam pomaga.

– To co, wózek i łóżeczko? Chodźcie na piętro.

Naszym oczom ukazuje się wielka hala wypełniona po brzegi kolorowymi cackami. Trudno się będzie zdecydować.

– To w końcu może powiecie, wybieramy dla dziewczynki czy dla chłopaka? – Malika patrzy na nas. – Teraz to już chyba wyszło na USG?

– Raczej dla dziewczynki – mówię cicho.

– Chłopak następnym razem. – Ahmed ściąga wargi i smutno patrzy mi w oczy.

– Będziemy musieli nad tym popracować – śmieję się nienaturalnie.

– Dziewczynki są fajne, spójrzcie na Marysię – mówi Malika, wyrażając kobiecą solidarność.

Wybieramy wózek, który wygląda jak łunochod, wanienkę, kolorowe szafki i pudełka na drobiazgi, a w końcu stajemy w dziale z łóżeczkami. Kręcimy się w kółko, bo na nic nie możemy się zdecydować.

– No już, wybierzcie coś – pośpiesza nas Malika.

– Ale tego jest za dużo! – jęczę. – Wszystkie są takie piękne.

– Jak dla dziewczynki, to ja kupiłabym to – doradza nam w końcu i stajemy przed cudną kołyską z różowym koronkowym baldachimem.

– Mamusiu, patrz, jaka zabawa. – Marysia rozhuśtuje łóżeczko. – Ja będę w nim bujać dzidziusia, ja! – wykrzykuje na cały sklep.

Zaraz pojawia się uprzejmy sprzedawca, który prezentuje atuty oglądanego przez nas wyposażenia. Spoglądam na cenę i włosy stają mi dęba, lecz Ahmed zakrywa metkę ręką.

– Bez obaw – mówi. – Nic się nie martw.

Przytulam się, kładąc głowę na jego ramieniu. Nie jest taki zły, jednak jakoś przełknął

wiadomość, że i tym razem nie dam mu syna. Po prostu reaguje jak zwykły mężczyzna, bo przecież każdy chce mieć chłopca.

– No już dość tych czułości. – Malika odciąga nas od siebie. – Na to musicie jeszcze trochę poczekać.

– Malikaaa! – wykrzykujemy równocześnie.

Podajemy decyzję o kupnie różowej kołyski, a zadowolony ekspedient wypisuje nam numerki, widząc, że to jeszcze nie koniec zakupów.

– W tych firankach tylko kurz się będzie zbierał – za naszymi plecami słyszymy zrzędlawy głos matki. Są to jej pierwsze słowa od wejścia do sklepu.

– Co, co? – pyta rozbawiona Malika, orientując się po barwie głosu, że nie była to raczej aprobata.

Machamy lekceważąco i idziemy dalej. Zostają już tylko drobiazgi. Bierzymy koszyk na kółkach i każdy z nas wrzuca tam rzecz, która mu wpada w oko. Po chwili mamy już tego niemalą górkę. Przy okazji Marysia co chwilę podrzuca nam jakiś drobiazg dla siebie. Malika kupuje jej elegancki garniturek, podobny do tych, jakie noszą dzieci w elitarnych szkołach w Anglii, wyjściową sukienkę z tafty i dwie pary skórzanych butów. Ja oczywiście bronię się przed tak drogimi podarkami.

– Dot, to już ciotka bez okazji nie może dziecku kupić prezentu? – ostro pyta Malika. – Nie przesadzaj z tą skromnością, na biednego nie trafiło. Uszczęśliwić dziecko to tak, jakby zrobić dobry uczynek. Allah się z tego cieszy.

Jak tak, to dobrze. Ahmed nie chce być gorszy od swojej siostry i wybiera dla Marysi wielką kolorową piłkę do ćwiczeń i wózek dla lalek.

– Będziecie razem z mamą i naszym nowym dzidziusiem jeździć na spacerach – mówi do uradowanej córeczki, całując ją w rozpalony z emocji policzek.

– Super, super! – Skacze podekscytowana.

– Teraz na te wszystkie zakupy chyba musimy zamówić ciężarówkę – śmieje się Malika.

– Rzeczywiście, jak my się zabierzemy? – Chwytam się za głowę.

– Spokojnie, część wezmę do mojego auta – jak zawsze Malika znajduje rozwiązanie. – Jutro po pracy Ahmed pojedzie do mnie i spokojnie się zapakuje, a po południu wszystko już będziesz miała w domu.

Po wielu godzinach, umęczeni, lecz szczęśliwi i z dużo lżejszym portfelem opuszczamy centrum handlowe. Matka sunie za nami w milczeniu.

– To co, kto trochę zgłodniał? – pyta Ahmed. – Jedziemy na pizzę i szawormy?

– Tak, tak – rozlegają się okrzyki.

– Mamo, masz ochotę na coś smacznego? – Ahmed bezpośrednio zwraca się do teściowej, bo nie widać, żeby podzielała nasz entuzjazm.

– Na piechotę na wasze odludzie się nie dostanę, więc cóż mi pozostaje. Jadę tam, gdzie państwo każe.

– Nie przesadzasz trochę?! – Już nie wytrzymuję. – O co ci, do cholery, chodzi?! Nikt cię nie zmuszał do przyjazdu tutaj, więc czemu jesteś ciągle niezadowolona? – zmęczona, rozdrażniona i dotknięta do żywego krzyczę na całe gardło.

– Nie denerwuj się, nie warto – próbuje mnie uspokoić Ahmed.

– To ja czekam w restauracji. Zarezerwuję stolik. – Malika wycofuje się z niezręcznej sytuacji. – Marysia, chodź ze mną, kupimy sobie wcześniej lody.

– Nie dość, że dokuczasz mi non stop, to jeszcze obrażasz mojego męża. Przestań traktować nas jak gówno – kontynuuję.

– No tak, paniska się znalazły – odpowiada z sarkazmem.

Ahmed odchodzi do samochodu, a my stoimy na marmurowym dziedzińcu i nie przerywamy słownej potyczki. Nie mam zamiaru dłużej tego znosić ani jej oszczędzać.

– Zamiast się cieszyć, że dobrze trafiłam, że mam męża z dobrej i bogatej – z naciskiem wypowiadam te słowa – rodziny, chodzisz naburmuszona jak zezłoszczone dziecko. Cały czas się wściekasz, więc może w końcu powiesz mi, co według ciebie jest nie tak?

Gdyby wiedziała o moich wcześniejszych problemach, to chyba ją to tylko ucieszyło. Jednak dobrze, że zachowałam to przed nią w tajemnicy.

– Wyrwał cię ten Arab z domu rodzinnego – stwierdza z błyskiem nienawiści w oku.

– Co ty pleciesz?! Nikt mnie nie porwał, nie zrobił nic wbrew mojej woli! Ja po prostu wyszłam za mąż, szczęśliwie i z miłości. Wcześniej czy później musiało to nastąpić.

– Można się przenieść do innego miasta, ale żeby od razu taki kawał świata do dzikusów i brudasów – mówi z niesmakiem.

– To ty wyglądasz jak wieśniara, baba ze wsi i dziadówka – tracę nad sobą panowanie. – Porównując cię z rodziną Ahmeda, to o tobie można powiedzieć dzikus i brudas. Nawet nie jesteś w stanie porozumieć się w żadnym cywilizowanym języku!

– Znam może tylko jeden, ale za to dobrze: Kali chceć, Kali jeść.

– A kto niby tak się wypowiada? Jak ty możesz określić czyjeś umiejętności, nawet nie umiejac powiedzieć *How do you do?*!

Czuję siarczasty policzek wymierzony mi z wielką siłą. Chwieję się na nogach. Podbiegają do nas przechodnie. – Co się dzieje? *Fi muszkila?* Jakiś problem? Możemy jakoś pomóc? – pytają zaniepokojeni. Kręcę na boki głową i czuję, jak łzy zbierają mi się w oczach. Oddycham głęboko i usiłuję się opanować – nie dam jej tej satysfakcji i nie zacznę beczeć. Ahmed biegnie do nas i za chwilę otacza mnie opiekuńczym ramieniem.

– To już lekka przesada, zaraz jej oddam! – mówi po arabsku, żeby matka nie zrozumiała.

– Nikt nie będzie bił mojej żony! – przechodzi na polski i mocno ściska ją za nadgarstek. – Pani teraz taksówką pojedzie do domu mojej matki, żeby sobie przemyśleć swoje postępowanie – zwraca się do niej lodowatym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Jest tam gościnny apartament, który z pewnością będzie pani mogła zająć.

– Co, może podejrzniesz mi gardło, ty terrorysto?! – Ahmeda zamurowuje, jest całkowicie zaskoczony, podnosi brwi i otwiera usta. Spina się w sobie, jakby szykował się do skoku. Bez zastanowienia biorę pełny rozmach i strzelam prosto w spocony, otłuszczony policzek mojej matki.

Nagle przeraźliwy ból łapie mnie w dole brzucha, jakby chciał mnie od środka rozsadzić, przechodzi na dół pleców i opasuje mnie palącą wstęgą. Z jękiem zginam się wpół. Nie mogę oddychać.

– Do szpitala, Ahmed, na porodówkę, szybko – szepczę przez zaciśnięte gardło i padam na marmurową posadzkę.

Narodziny Darin

Oprócz straszliwego bólu pamiętam niewiele. W ambulansie ryk silnika i wizg sygnału przewiercają mi mózg, a migocząca lampa razi w oczy. Zamykam je i wsłuchuję się we własne ciało.

– Kochanie, wszystko będzie w porządku. Jesteś w dobrych rękach – słyszę szept Ahmeda, a tuż nad sobą widzę jego przerażoną i spiętą twarz.

Jego głos mnie uspokaja. Poddaję się lekarzom i pielęgniarkom, zwłaszcza że silny ból minął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Przewożą mnie na salę porodową, na której spodziewam się chmary ryczących kobiet, lecz ląduję za parawanem w zupełnej ciszy. Z głośników zawieszonych pod sufitem płynie relaksująca muzyka. Delikatnie zdejmują ze mnie zakurzoną i przepoconą sukienkę ciążową, przecierają chłodną wodą i zakładają typową szpitalną koszulę z krępującym rozcięciem z tyłu. Jest ona jednak przyjemnie świeża i pachnąca, i od razu lepiej się czuję.

– Żeby później nie bolało bardziej, teraz musi troszeczkę zaboлеć. – Miły młody lekarz z uśmiechem pochyła się nade mną, trzymając wielką strzykawkę zakończoną długą grubą igłą. – Proszę położyć się na boku, to tylko moment.

– Jezuniu – jęczę bliska płaczu.

– Nic się nie boimy. Proszę się nie ruszać – zwraca się do mnie stanowczym tonem.

Zaciskam oczy i ręce i delikatnie popiskuję. Najpierw czuję jakiś zimny spray, a potem jakby delikatne ukąszenie.

– Dzielna dziewczynka – mówi lekarz, poklepując mnie po ramieniu i pomagając wrócić do pozycji horyzontalnej. – Za pół godzinki siostra panią przygotowuje do porodu. Jakby coś pani dolegało lub czegoś by pani potrzebowała, proszę jej przekazać. Przyjdę niezwłocznie.

Świetna ta prywatna klinika, bez dwóch zdań! Ahmed zapłacił parę tysięcy dolarów, żebym sobie leżała i słuchała muzyczki pod opieką pielęgniarki?! A kto pomoże mi urodzić?!

– Masz jeszcze sporo czasu – słyszę miły głos pochylającej się nade mną kobiety. – Nie denerwuj się, dzidzius na razie tylko się szykuje, ale do wyjścia na ten świat jeszcze się nie spieszy. Możesz się nawet zdrzemnąć, ja będę nad wami czuwać.

Skoro tak... Najważniejsze, że rzeczywiście nic mnie nie boli, tylko w podbrzuszu czuję lekkie rozpięcie.

Z drzemki budzi mnie zamieszanie. Nie mam pojęcia, kiedy pojawił się mój położnik.

– Już czas przywitać nowego obywatela świata – mówi z uśmiechem. – Dostyc tego wylegiwania, musimy usiąść i wziąć się do roboty.

– Co?! Przecież zgmiotę główkę! – krzyczę przerażona.

– Proszę nic się nie bać i pamiętać, że ja tutaj jestem od pomocy, a nie robienia krzywdy pacjentom. – Naciska guzik w stelażu i łóżko, na którym spokojnie sobie leżałam, składa się w wygodny, półleżący fotel.

– Nóżki na boki proszę. – W tym momencie zauważam podpórki pod stopy, jak w każdym gabinecie ginekologicznym.

Podłączają mnie do dodatkowej aparatury, która zaczyna szumieć i pikać.

– To puls pani dziecka – informuje mnie. – A pani puls widzę na monitorze. Nie denerwujemy się, zaraz będzie po wszystkim. – Głaszcze mnie po głowie, ja jednak wpadam w panikę i nie mogę złapać tchu.

– Siostró, mały koniaczek dla pani – woła za siebie.

– Ja nie piję koniaku, a na pewno nie w ciąży – mówię, zszokowana jego słowami.

Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Nie dałbym pani, za żadne skarby świata. Tak nazywamy mieszankę uspakajającą, bo ma w sobie parę kropli alkoholu.

W miejscu, gdzie kiedyś miałam talię, owijają mnie zimnym gumowym pasem.

– Dzięki temu eleganckiemu paseczkowi będziemy wiedzieli, kiedy ma pani przeć. Dostanie pani sygnał. – Słyszę przytłumiony dźwięk. – O taki właśnie. – Lekarz życzliwie uśmiecha się do mnie.

– *Ready?!*

– Mhm – odpowiadam, nie będąc jednak tego wcale taka pewna.

Poszło jak z płatką, zanim się zorientowałam, w ramionach trzymałam już zawiniątko z moją malutką córeczką.

– Jest prześliczna – mówi asystentka doktora. – Jaka bielutka.

Patrzę na buźkę Darin, po polsku Darii, i nie mogę się nadziwić. Jeszcze chwilę temu pływała w moim brzuchu, a teraz jest już na świecie, spokojnie oddycha i cicho popiskuje. Ma wielki arabski nos po Ahmedzie i śliczne oczy o migdałowym kształcie z trzema długimi rzęsami na każdym. Brwi rozchodzą się ku skroniom i są jakby namalowane ołówkiem.

– Witaj, córuniu – szepczę, pochylając się nad nią.

Ahmed wchodzi do mojego pokoju, bo na pewno nie można tego nazwać szpitalną salą, dzwigając wielki bukiet róż. Zaraz za nim wbiega w podskokach Marysia.

– Gdzie moja siostrzyczka? – Wskazuje na łóżko i rozgląda się dookoła.

– Pani pielęgniarka wzięła ją do kąpieli. Nie martw się, zaraz będzie z powrotem.

Drzwi otwierają się i staje w nich matka. O dziwo wygląda elegancko; długa do pół łydki spódnica, wiskozowa bluzka o modnym kroju, a na szyi delikatna jedwabna apaszka. Wszystko jest dobrane kolorystycznie. Nie cieszę się z jej przyjścia, łudziłam się, że Ahmed wysłał ją pierwszym lepszym samolotem do Polski.

– Dorotko, córeczko moja – wydusza łzawym głosem.

Co jej się stało? Nie wierzę w nagłą zmianę frontu i patrzę na nią spode łba.

– Kochanie. – Przysiada na łóżku. – Tak mi przykro, że do tego wszystkiego doszło – smutno mówi, pochylając głowę. – Przepraszam cię, strasznie cię przepraszam. – Chwyta mnie za rękę i usiłuje przycisnąć ją do swoich piersi.

– Mamo, daj spokój. – Jestem zimna jak lód. – Zagwarantowałaś mi tyle przeżyć w tak krótkim czasie, że na długo mi wystarczy. Wierz mi, mam dość.

– Ja nie chciałam, nie chciałam cię ani skrzywdzić, ani zranić. – Zaczyna płakać. – To wszystko z miłości – szepcze, szlochając.

– Nie opowiadaj bzdur, dobrze? Jeśli się kogoś kocha, to chce się jego dobra, a ciebie szlag trafia, że ja jestem szczęśliwa.

– To nie tak, proszę, wysłuchaj mnie.

– W porządku! Co masz mi do powiedzenia? – Milknę z grymasem niechęci na ustach.

– To taka małpia miłość. Zawsze pragnęłam mieć ciebie na własność, z pełnym prawem do wyłączności. Nie chciałam się tobą z nikim dzielić i dlatego nie chciałam, żebyś kogoś pokochała. Wiem, że to egoistyczne, ale jesteś dla mnie wszystkim, co mam. A teraz nie mam już nikogo. Złościłam się, że tak łatwo ci było wyjechać i mnie zostawić, samotną i zrozpaczoną. Czy wiesz, jaką pustkę zostawiłaś po sobie? A ty nie dzwoniłaś, nie pisałaś, nie interesowałaś się, czy twoja stara matka jeszcze żyje. Bardziej przypadła ci do gustu nowa rodzina, polska małomiasteczkowa matka jest biedna, prymitywna, źle ubrana i nie zna żadnego języka. Jednym słowem dno – chlipie żałośnie i wyciera nos w palce. Ahmed podaje jej swoją chusteczkę. – Wszystkie moje uczucia ulokowałam w tobie i teraz czuję się zdradzona. – Zakrywa twarz

dłońmi i głośno zawodzi.

Marysia, choć nic z tego wszystkiego nie rozumie, wykrzywia usta w podkówkę i wygląda na to, że zaraz wybuchnie płaczem. Oteębiała patrzę przed siebie. W głowie mam pustkę, lecz całym sercem przyznaję matce rację.

– Mamo, oddaliśmy się od siebie – mówię cicho, zwijam się w kłębek, kładę jej głowę na kolanach i nawet nie wiem, kiedy z moich oczu zaczynają płynąć łzy.

Dla małego czulego serduszka Marysi tego jest już aż nadto, zaczyna głośno płakać, wtulając się w babcię i mamę.

– No nie, moje panie. – Ahmed nie wie, co ma z nami począć. Stoi jak mały chłopiec z rozłożonymi rękami, a my we trzy wyjemy zgodnym chórem.

– *Salam alejkum.*

W tym momencie do pokoju wchodzi cała nasza najbliższa arabska familia. Wszyscy stają jak wryci. Matka, Marysia i ja, jak na komendę, podnosimy głowy i hamujemy spazmatyczny szloch. Patrzymy na siebie i wybuchamy śmiechem, jednak nie możemy nad sobą zapanować i ponownie zalewamy się łzami, tym razem z szalonej wesołości.

– Ja zwariuję! – Ahmed chwyta się za głowę i dołącza do nas z dzikim chichotem. – To taki polski zwyczaj – tłumaczy swojej osłupiałej rodzinie. – Na pomyślność, *mabruk*.

– Aaaa, *mabruk, mabruk* – mówią już trochę uspokojeni, choć nadal patrzą na nas jak na szalone.

– To kiedy mamy zlot rodu Salimich? – pytam, wchodząc do kuchni w szerokiej nocnej koszuli z piersiami ciężkimi od mleka.

– Odpoczęłaś trochę, córuniu? – Matka całuje mnie na przywitanie.

– Tak. Obudził mnie aromat kawy. Kiedy będę mogła się już jej napić? – wzdycham żałośnie.

– Jeśli chcesz, żeby Darusia nie zmrużyła oka nawet na pięć minut, to możesz już teraz – ze śmiechem odpowiada matka, kołysząc naszego maluszka w wózku.

– Chyba jednak trochę jeszcze zaczekam. Jakoś to przeżyję.

– Mamusiu, popatrz, ja też mam dzidziusia. – Marysia ciągnie mnie za rękę i pokazuje swój nowy wózek z lalką w środku.

– Świetnie, cieszę się.

– Oczywiście przyjadą w piątek – mówi Ahmed znad kubka parującego, czarnego jak smoła nektaru, odpowiadając na moje wcześniejsze pytanie.

– Ale chyba nie ten?! – pytam z przerażeniem.

– A dlaczego? Mamy jeszcze dwa dni.

– Ahmed, przecież ja chcę ich ugościć z honorami. Musimy przygotować mnóstwo jedzenia.

– Tak, Docia ma rację. Po tym, co oni zaserwowali, nie możemy być gorsze. – Matka wspomina swoje pierwsze obżarstwo. – Chcę, żeby wyszli stąd z bólem brzucha.

– Ale nie otrujcie ich, dobrze? – Ahmed śmieje się, widząc, że co dwie baby w domu, to nie jedna. – Wiecie, ja tutaj jestem w takiej mniejszości, że w ogóle nie mam, co z wami dyskutować.

– Rzeczywiście, nawet psina, która się do nas przyplątała, jest suczką. – Rechoczę rozbawiona. – Ale jesteś biedny. – Głaszczę go po głowie.

– Dzisiaj wieczorem przywiozę zakupy. – Jednak męskie słowo jest decydujące. – Joice przez dzień posprząta i pomyje lodówki, żeby wszystko się zmieściło.

– Okej – mówię, wiedząc, że nie mam co dyskutować. – A wiesz przynajmniej, co kupić?

– Listę prześlij mi mailem, masz czas do czwartej. Znowu pojawię się w firmie później i

wyjdę wcześniej. Jak tak będę pracować, to do śmierci zostaniemy na tej farmie.

– Nie! – krzyczymy z mamą.

– Co, już ci się tutaj nie podoba? – zwraca się do mnie z przekąsem.

– Jest cudownie, to najwspanialsze i najszczęśliwsze miejsce pod słońcem – mówię. – Ale teraz sytuacja się zmieniła. Mamy maleństwo, z którym bezpieczniej być w mieście i mieć pod ręką lekarza czy aptekę.

– Racja, rozumiem. Ale tutaj za to jest świeże powietrze, cisza i spokój.

– Dobre na weekend, kiedy jesteś ty i samochód. Jednak na co dzień jesteśmy odcięte od świata. Nawet kiedy braknie mi masła czy cukru albo zapomnę kupić podpaski, muszę czekać do wieczora, aż mi przywieziesz.

– Przez ostatnie dziewięć miesięcy przynajmniej nie potrzebowałaś podpasek – kąśliwie stwierdza i powoli zbiera się do biura. – Zostałbym z wami, nie chce mi się jechać.

– Nie musisz, to przecież twoja firma. Ustaw tylko pracę i ciesz się życiem i małą córeczką – mówię ucieszona, mając nadzieję na wspólny dzień.

– Nie kuś, kobieto! – Całuje mnie na pożegnanie. – Pańskie oko konia tuczy. Bez szefa nawet najlepsi pracownicy chodzą jak dzieci we mgle i opieprzają się po kątach. *Bye!*

Zabieramy się z mamą do układania menu.

– Musimy przygotować coś polskiego – poważnie mówi matka. – Koniecznie.

– Ja zawsze serwuję polskie jadło, może tylko ciut zarabizowane, żeby im smakowało – chwalam się.

– No i co?

– Jedzą, aż im się uszy trzęsą.

Wybuchamy śmiechem.

W piątek do południa kończymy wszystkie przygotowania. Pomoc matki okazuje się nieodzowna. Jak łatwo i bezstresowo można urządzić przyjęcie na ponad dwadzieścia osób – wystarczą dobre chęci, miły nastrój i współpraca. Nawet Ahmed siedzi z nami w kuchni i deklaruje gotowość do obierania jarzyn. Joice patrzy na niego z rozbawieniem, pierwszy raz widząc go przy takim zajęciu.

– Co się śmiejecie – mówi z pełną koncentracją na twarzy. – Przecież nie jestem idiotą, żeby siedzieć samemu w salonie, kiedy tutaj jest tak wesoło.

Razem z Marysią, która mu pomaga, obierają dwa kilo ziemniaków, a potem pędem jada po następną skrzynkę. Cieszą się jak dzieci.

– Większą część stołu musimy zostawić na jedzenie, które przywiozą – informuję mamę, żeby znowu nie palnęła jakiejś gafy.

– Jak to, przecież my przygotowałyśmy wystarczającą ilość! – od razu się oburza.

– Taki tutaj panuje zwyczaj. Przynajmniej gospodyni się nie stresuje, kiedy jej coś nie wyjdzie. Wierz mi, na początku bardzo mi to pomogło.

– Chyba że tak, ale to lekka przesada. Przyniosą sobie własne jedzenie – prycha niezadowolona. – To po co myśmy się tak mordowały?

– Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Na pewno nic nie zostanie, a mogłoby, przynajmniej na jutrzejszy obiad.

Nietypowo wszyscy zjechali o czasie. Nawet nie zachowują się tak głośno jak zwykle, może ze względu na małe dziecko, a może nadal nieswojo czują się w towarzystwie mojej matki. Na pewno Malika zdała im relację z naszego ostatniego feralnego wyjścia, które doprowadziło do przedwczesnego porodu. Cieszę się, że nie widziała zakończenia, bo aż samej przed sobą jest mi wstyd. Postanowiłam nigdy do tego nie wracać, nawet w myślach.

Daria w ślicznym kolorowym leżaczku z zaciekawieniem obserwuje gości. Nie boi się,

choć nasz salon po brzegi wypełniony jest ludźmi. Oczywiście znowu przyjechało dwa razy więcej gości, niż zaprosiliśmy. Tak już tutaj jest i wcale mi to nie przeszkadza. Nawieźli ogromną ilość jedzenia, a my też przygotowaliśmy za dużo.

– Jaka śliczna, jaka piękna, a jaki ma nosek po Ahmedzie, cały tatuś, patrzcie tylko – słyszę ochy i achy wygłaszane nad naszą małą córeczką i rozpiera mnie duma.

Widzę, jak teściowa szepcze coś małej do jednego i drugiego ucha, a potem przypina do śpiochów złote amulety: rybkę na szczęście, magiczne oko strzegące przed złym spojrzeniem, róg obfitości wróżący dobrobyt, rękę Fatimy wskazującą słuszną drogę w życiu oraz miniaturową tabliczkę z fragmentami Koranu. Moja mama wybałusza oczy, widząc te rytuały.

– Teraz już na pewno będzie jej się wiodło w życiu – mówię, jednocześnie głośno dziękując matce Ahmeda za prezenty.

Zanim zasiadamy do stołu, każdy gość podchodzi do leżaczka i wsadza pod niego kopertę. Przypomina mi to przyjęcie z okazji chrzcin. Na razie jeszcze nie rozmawiałam z Ahmedem na ten temat, jednak dochodzę do wniosku, że możemy z tym trochę poczekać. Nawet w Polsce niejednokrotnie chrzci się roczne dzieci. Sądzę, że te szeptki teściowej to był taki muzułmański chrzest. Na razie wystarczy, bo w końcu Bóg jest jeden i dla nich, i dla nas, a może nawet ten sam. Kto to wie?

Minął miesiąc i w maleńką Darię diabeł wstąpił. Płacze, wrzeszczy, krzyczy i co gorsza prawie w ogóle nie śpi. Wszyscy jesteśmy podminowani.

– Czy wy nie słyszycie, że dziecko płacze?! – Matka z hukiem wpada do naszej sypialni.

Patrzymy na nią nieprzytomnie. Ja siedzę przy łóżeczku i głaszczę małe biedne ciało córeczki, a Ahmed zamarł z pamperssem w ręce.

– Czy matka nie widzi, która jest godzina? – mówi niezadowolony. – O tej porze wstęp do naszej sypialni jest surowo wzbroniony.

– Ale...

– Pod żadnym pozorem! – podkreśla.

– To ja mam siedzieć zamknięta u siebie i tylko słuchać, jak to dziecko się wykańcza? – matka się nie poddaje. – Ono musi być chore, to nienormalne, żeby zdrowy niemowlak tak krzyczał.

– Jest zdrowa, najedzona, przebrana i już by na pewno spała, gdyby matka nie wtargnęła tutaj i nie narobiła takiego rabanu.

– Gówno prawda – zaczyna być ordynarna. – Co ty się znasz na dzieciach?! Może trochę na robieniu, ale na pewno nie na wychowywaniu.

– To matka nie powinna przebywać z małymi dziećmi, bo takie słownictwo nie jest wskazane dla ich uszu – odgryza się Ahmed.

– Ty draniu, wnuczkę mi chcesz uśmiercić?! Trzeba jechać do lekarza, ratować ją! – wpada w panikę.

– Powtarzam, jest druga, o przepraszam, już wpół do trzeciej w nocy. O tej porze żaden lekarz nas nie przyjmie, więc można by było pojechać tylko na ostry dyżur. Męczyć dziecko po to, żeby nas stamtąd wyrzucili jako wariatów, a w najlepszym wypadku nieodpowiedzialnych rodziców?

– Ona ma kolkę, to się zdarza – mówię słabym głosem, bo muszę już przerwać tę nedorzeczną wymianę zdań. – O ile mnie pamięć nie myli, mówiłaś, że ja też na to cierpiałam. Podobno przechodzi jak ręką odjął, ale dopiero po trzech miesiącach. Musimy to przetrzymać i pozostać przy zdrowych zmysłach. – Opieram głowę o kołyskę i kontynuuję bujanie. Daria wciąż krzyczy.

– Ja sobie nie przypominam, żebyś ty się tak wydzierała, na pewno nie! Byłaś idealnym

dzieckiem, ale to już zamierzchłe czasy.

– Mamo, proszę, zostaw nas samych – mówię błagalnym głosem.

– Jeszcze popamiętacie moje słowa! – Wycofuje się powoli i niechętnie. – To jest chore dziecko! – krzyczy piskliwie, aż Daria podskakuje ze strachu.

– Wynocha mi stąd, i to już! – Skaczę na równe nogi, bo nikt nie będzie krakał nad moim maleństwem.

Rano budzę się przewieszona przez kołyskę. Boli mnie każda najmniejsza kosteczka, a kręgosłup pęka mi w okolicach krzyża. Ahmed cicho postępuje, śpiąc w poprzek naszego łóżka. Karmię malutką, która jak na nieprzespaną noc całkiem nieźle wygląda i kładę się, trzymając bobasa w ramionach, chcąc przynajmniej na chwilę rozprostować plecy.

– Daj mi ją, a sama pośpij trochę – słyszę nieprzytomny głos męża.

– Dzięki.

Nie wiem, jak długo drzemałam, ale na równe nogi zrywa mnie krzyk matki i trzask otwieranych drzwi.

– Dociu, ja z tą kobietą dłużej nie wytrzymam! – Ahmed charczy po arabsku. – Ona doprowadza mnie do szaleństwa!

– Oddaj mi to dziecko, jeszcze mu krzywdę zrobisz! – Matka podbiega do Ahmeda i chce wyrwać mu Darin.

– Co ty znowu wyprawiasz? – Usiłuję podnieść się z łóżka. – Ty nigdy nie masz dość?

– Chronię moją wnuczkę! Ten idiota złamie jej kręgosłup!

– Ten idiota, jak go nazywasz, jest ojcem mojej córki i chcesz czy nie, będzie się nią zajmował. Na pewno jest bardziej zrównoważony psychicznie od ciebie i jestem spokojniejsza, kiedy on jest z Darin, a nie ty.

– Chyba całkiem ci odbiło, albo...

– Uspokój się, mamo, nie krzycz i zajmij się swoimi sprawami.

– Wyrzucasz mnie, znowu?!

– Nie, proszę cię tylko, pozwól nam żyć.

– Daj mi dziecko, to wtedy wyjdę. – Rzuca się z wyciągniętymi rękami, taranując przy okazji Ahmeda barkiem.

On uchyła się i matka z impetem wpada na łóżko. W ostatniej chwili udaje mi się usunąć.

– Widzisz, jak traktuje mnie twój arabski mąż?! Już się zabrał do bicia – nagle zaczyna jęczeć płacziwym głosem. – Tak tu się obchodzi ze starymi kobietami, piękna przyszłość cię czeka.

– Nawet cię nie dotknął! Bogu dzięki, widziałam na własne oczy, bo jeszcze usiłowałybyś mi coś wmówić.

– Trzymaj jego stronę, proszę bardzo, bo w mojej obronie nikt nie stanie. Życie ci jeszcze odpłaci! – krzyczy na koniec, wyrażając pięścią.

– Ty nam znowu jakąś tragedię przepowiadasz? A może życzysz?

Daria znów zaczyna płakać. Najpierw popiskuje słabo, lecz po chwili przechodzi do crescendo i gwałtowny spazm wstrząsa jej maleńkim ciałkiem.

– Zadowolona?! – usiłuję przekrzyczeć wrzaski dziecka. – Patrz, do czego doprowadziłaś!

Padam na łóżko i sama zalewam się łzami. Matka ostentacyjnie opuszcza naszą sypialnię, na pożegnanie trzaskając drzwiami.

– Jedziemy z małą do lekarza. – Ahmed nie komentuje zajścia. – Zbieraj się. Muszą być na to jakieś środki, przeciwbólowe czy uspokajające. Jeśli nic nam nie doradzi, zbieramy konsylium u mojej mamy. Rodzina, kumy, wszystkie baby z okolicy. W końcu dość się tutaj dzieci rodzi, nie może to być odosobniony przypadek.

Malika poleca najlepszego pediatrę w mieście, w kraju lub nawet na całym Bliskim, Środkowym i Dalekim Wschodzie. Ma ponoć w sobie geniusz, talent i wycucie. Studiował w Europie, a staż miał w Ameryce, lecz jako że w rodzimym kraju może więcej zarobić, po wieloletnim pobycie za granicą powrócił na łono ojczyzny. Wiedzie mu się świetnie, a jego mali pacjenci mają się jeszcze lepiej.

– Witam, witam państwa. – Osobiście otwiera nam drzwi gabinetu. – Doktor Malika dzwoniła, jestem zaszczycony.

– Dziękujemy, że znalazł pan dla nas czas – bawimy się w konwenanse, ale nie mamy wyjścia.

Uśmiecham się, choć ledwie stoję na nogach. Pragnę, aby zaproponował mi krzesło.

– Może pani spocznie, widzę, że dzidzius daje się we znaki – proponuje lekarz.

– Tak strasznie płacze, nie wiemy, co robić – skarzę się słabym głosem.

– Z opisu Maliki wynikałoby, że to typowy przypadek, ale proszę się nie obawiać, dokładnie przebadamy naszą małą pacjentkę.

Jak na złość Daria śpi sobie smacznie i tylko od czasu do czasu cichutko pomrukuje. Można by pomyśleć – idealne dziecko.

Badanie trwa prawie godzinę. Żaden maluch, zwłaszcza noworodek, nie jest aż tak cierpliwy. Zza drzwi dobiega najpierw delikatne kwilenie, później szloch, spazmy, a na koniec ryk.

– Co oni jej robią? – Moje serce wrywa się z piersi.

– Wierz mi, na pewno nie krzywdę – uspokaja mnie Ahmed.

Widzę, że jest spięty. Na czole i pod nosem zebrały mu się kropelki potu. Wyłamuje sobie z chrzęstem palce u rąk, co zawsze okropnie mnie denerwuje, ale teraz nie zwracam na to najmniejszej uwagi. Chodzę jak dzikie zwierzę w klatce. Dręczę moje dziecko!

– Jak tam? – Malika macha do nas ręką na przywitanie. – Patrząc na was, można by spodziewać się najgorszego. Przecież to tylko dziecko. – Usiłuje mnie przytulić i klepie po plecach. – Docia, aleś ty mokra, uspokój się. – Patrzy na mnie z niepokojem.

– To już za długo trwa. Coś jest nie tak – wyrażam swoje obawy.

– Kolka zdarza się nawet w najlepszej rodzinie i trzeba ją wziąć na przetrzymanie. Za dwa, trzy miesiące wy będziecie górą. – Zamyśla się i kręci głową na boki. – Muaid też to przechodził, a ja do dzisiaj wspominam ten okres jako najgorszy koszmar. Byłam bliska obłądu, uważałam to za karę za grzechy. Ale wy, moi kochani, jesteście razem, we dwójkę...

– Nawet we trójkę. – Ahmed patrzy spod oka i porozumiewawczo do mnie mruga.

– Widzicie jak dobrze, dacie radę. – Malika wybucha śmiechem. – Idę się rozejrzeć.

Bez pukania, jakby wchodziła do siebie, otwiera drzwi do gabinetu pediatry.

– Ale ona jest beczelna – stwierdza Ahmed. – Czasami jej tego zazdroścę.

– To się nazywa przebojowość – poprawiam. – Też bym taka chciała być.

– Nie daj Bóg! Tego bym już na pewno nie zniósł. – Próbuje się uśmiechnąć.

– Zapraszam do siebie. – Doktor z wypiekami na twarzy staje przed nami. – Przepraszam, że to tyle trwało, ale staraliśmy się jak najlepiej i najdokładniej przebadać państwa maleństwo.

– Tak, oczywiście. – Czuję w tym rękę szwagierki.

Daria leży już spokojna w objęciach Maliki. Ciotka buja ją na boki i wygląda na bardzo zadowoloną. Mówi coś do niej zdrobniałym językiem i dotyka jej noska. Zupełnie inna kobieta. Każdy ma w sobie pokłady czułości, tylko czasami są one głęboko ukryte.

– Proszę siadać, pozostaje mi tylko oznajmić państwu moją diagnozę. Mamy tutaj do czynienia ze zwykłą kolką gazową, a nie poważną chorobą narządów jamy brzusznej.

– Bogu dzięki! – mówimy jednocześnie: ja po polsku, a Ahmed i Malika po arabsku.

Patrzmy na siebie, hamując śmiech.

– Oczywiście należy się cieszyć, lecz jak już zdążyli się państwo zorientować, ogólnie rzecz biorąc, nie ma z czego, bowiem objawy są czasami nie do wytrzymania. Najważniejsze to zastanowić się nad przyczyną wytwarzania się gazów i spróbować zneutralizować skutki.

– To ja już się z wami pożegnaj. – Malika została uspokojona i nie chce tracić więcej czasu na słuchanie bzdur, które zapewne dwadzieścia lat temu słyszała od innego lekarza. – Widzimy się u mamy na obiedzie, pogadamy o ludowych metodach.

– Pani doktor, nie jestem zwolennikiem...

– Medycyny naturalnej? – ostro osadza go w miejscu. – To zadziwia mnie pan, kolego – mówi protekcyjnym tonem. – Nikt nie mówi, że będziemy odprawiać gusła, ale cały świat zwraca się teraz w stronę wykorzystania dobrodziejstw natury. W przyszłym miesiącu jadę do Stanów na konferencję poświęconą temu zagadnieniu. Pan chyba nie?

– No nie – przyznaje skruszony.

– A to błąd. Nawet, jeśli pan nie popiera, to należałoby wiedzieć, czego. – Odwraca się i wychodzi.

Lekarz nie patrzy nam już w oczy. Czuje się upokorzony, i to na domiar złego przez kobietę, co dla Araba jest największą hańbą. W oczach Ahmeda ten mężczyzna zapewne jest już nikim. Jedynie ja dobrze się bawię, bo Malika jest niedoścignioną mistrzynią intryg i personalnych gier. I ma taki cięty język!

Wychodząc z gabinetu, wiemy tyle samo, ile przed przyjściem tutaj. Można to wyczytać w każdej encyklopedii zdrowia dziecka, poradniku dla młodych matek i Internecie. Jedyny pożytek z wizyty jest taki, że jesteśmy wewnętrznie uspokojeni i mamy czyste sumienia. Inaczej moja matka zadręczyłaby nas na śmierć.

– Tak na pożegnanie pragnę powiedzieć, że dobrze by było, za jakiś czas oczywiście, skontaktować się z dziecięcym kardiologiem. Może za wcześnie coś prognozować, ale słyszałem wyraźne szmery w serduszku małej. Nie podoba mi się też jej tętno. Możliwe, że zostało to spowodowane obecną przypadłością, a co za tym idzie krzykiem, niewyspaniem i ogólnym osłabieniem, ale uważam, jako stary praktyk i tradycjonalista, że należy dmuchać na zimne. Ze zdrowiem nie ma żartów.

– Dobrze, dobrze – lekceważąco mówi Ahmed, nie traktując już poważnie ani samego lekarza, ani jego słów.

Upadek dwóch wież

Czas leci bardzo szybko. Tak jak wszyscy przewidywali, kolka Darusi po trzech miesiącach przeszła i jak do tej pory był to najcięższy okres w moim życiu. Myślałam, że po kolejnej nieprzespanej nocy nie przeżyję następnego dnia, ale jakoś się udawało. Dzięki temu, a raczej przez to, błyskawicznie odzyskałam dawną wagę. To jedyny pożytek z gehenny, którą przeszłam.

Mama zadomowiła się na dobre. Czuje się już u nas jak u siebie, my zaś na odwrót. Często nie chce nam odpuścić i musi postawić na swoim, a jej charakterek szczególnie mnie daje się we znaki. Ahmed, wyjeżdżając rano i wracając późnym wieczorem, nie ma z nią zbyt częstego kontaktu. Wieczorami chowamy się w sypialni, bo jest to jedyne miejsce, w którym możemy być sami. Zdarza się, że w naszej oazie z Marysią i Darią bawimy się do późna w nocy, baraszkujemy wesoło na łóżku, lecz później mamy ciche dni z matką, która twierdzi, że się izolujemy.

– Jeśli wam zawadzam lub macie mnie dość, to wystarczy powiedzieć – zazwyczaj wypowiada taką formułkę. – Ja przecież w każdej chwili mogę wyjechać. Nie ma najmniejszego problemu.

– Nie, mam, skądże – odpowiadamy.

Wiem, że tylko przekomarza się z nami i boję się, że nigdy już nas nie opuści. Zaczyna mi to spędzać sen z powiek. Ahmed ciężko pracuje – wiem, że chce dotrzymać słowa i wyciągnąć nas z tej głuszy. Niby wrzesień, a nadal jest bardzo ciepło. Ciężko już to wytrzymać po miesiącach letnich upałów, lecz teraz zaczyna się najgorsze – okres piekielnych pustynnych wiatrów wiejących z głębi kontynentu i niosących tumany pyłu i piasku. *Gibli*.

– Istny piekarnik – skarży się matka. – Upał jest nie do wytrzymania. Wyjdź na zewnątrz i zobacz, co się dzieje.

– Mamo, to nie wychodź. Nikt nie spaceruje w dni takie jak dziś.

– Ale dzieci muszą się gdzieś ruszyć. Nie utrzymasz ich w domu.

– Instynktownie nie wyściubią nawet nosa na podwórze. Marysia już to przeżyła nie raz i wie, że wtedy najlepiej leżeć pod klimatyzatorem.

– Muszę wyjść, bo zwariuję w tych czterech ścianach. Ty rób, co chcesz, całkiem się zarabizowałaś.

– Znowu to samo. – Ile razy matka to jeszcze powtórzy? – To się nazywa rozsądek. Nie będę wchodziła na szczyty górskie, gdy jest zagrożenie lawinowe, nie będę wypływała w morze, gdy jest sztorm, dlatego też siedzę na tyłku, gdy jest *gibli*. Oprócz pyłu niesie on ze sobą burze magnetyczne, kłęby wyschniętych krzaków i powoduje szalone skoki ciśnienia. Nie bądź dzieckiem! Gdy przychodzi tajfun, ludzie schodzą do piwnic, a nie spacerują, bo im się nudzi.

– Dziewczynki też chcą wyjść – jak zawsze upiera się przy swoim. – Ty się wylegaj i tyj przed telewizorem.

– Absolutnie się nie zgadzam. – Staję jej na drodze.

Matka prycha i wychodzi na taras. Marysia z kijkiem w ręce, w samych majtkach i cieniutkim podkoszulku, chwieje się pod podmuchami wiatru. Wytrzeszczam oczy, widząc spacerowy wózek z Darią gotowy do drogi. Jaka ta moja matka jest uparta! Nie do pomyślenia, że naraża małe dzieci, swoje wnuczki, żeby tylko postawić na swoim.

– Ty, jak chcesz, możesz iść nawet do samego piekła, ale wara od moich dzieci – krzyczę, wybiegając na taras i zagrządzając jej drogę. – Marysia, do domu. – Dziewczynka robi w tył zwrot i pędem wpada do środka.

– Głupia kozo, czasami zastanawiam się, czemu mam taką tępą córkę – ledwo mówi, bo wiatr tamuje jej oddech. – Wyjdę na dziesięć minut, i tyle. – Chwyta za rączkę od wózka i usiłuje mnie ominąć.

– Jak chcesz, to idź na godzinę! Droga wolna, już ci mówiłam! Ale moje dzieci zostają w domu. Zwłaszcza malutka Daria. – Tupię nogą, bo matka doprowadza mnie do szału.

– Zabieram ją ze sobą. – Ciągnie wózek w swoją stronę, a ja w swoją.

Dziecko obserwuje nas swoimi malutkimi jak guziczki oczkami, spoglądając to na mnie, to na szaloną babkę z rozwianym włosom. Wykrzywia buzię w grymasie płaczu, choć nie słyhać dźwięku.

– Widzisz, do czego doprowadziłaś!?! – Matka wskazuje głową na Darię. – Była spokojna i zadowolona, a ty jak zawsze robisz wszystko, aby ją zdenerwować. Zresztą nie tylko ją, wszystkich doprowadzasz do szału.

Tego już za wiele. Nie będę wysłuchiwać jej impertynencji.

– Dość! – krzyczę i gwałtownie szarpie wózek do siebie.

Matka traci równowagę i uchwyt wyslizguje się z jej spoconych rąk. Ja upadam na plecy, z przerażeniem obserwując, co się dzieje. Widzę, jak nieprzypięta szelkami Daria wydobywa się spod cieniutkiego kocyka i niczym piłka przelatuje nade mną. Ląduje w krzakach pokrytych grubą warstwą szarego kurzu. Obie z matką zamieramy w bezruchu. Po chwili, która trwa wieczność, niemowlę zaczyna zanosić się od płaczu. Zrywamy się na równe nogi. Pierwsza chwytam moją biedną córeczkę i ze złością odpycham matkę łokciem.

– Zadowolona, teraz już ci się nie nudzi?! – histerycznie wykrzykuję łamiącym się głosem.

Wbiegam do domu, kładę dziecko na kanapie i badam jej ciało. Sapiąca matka, pochlipująca Marysia i cicha Joice stoją za moimi plecami. Daria jest spocona, zakurzona i roztrzęsiona. Płacz nie słabnie.

– Co ci się stało? – pytam, jakby odpowiedź była możliwa. – Powiedz mamusi. – Delikatnie przytykam czoło do jej brzuszka, bo boję się ją gdzieś mocniej nacisnąć. Jak mam zbadać, czy ma coś złamanego albo co gorsza uszkodzonego wewnątrz?

– Madam, ja przyniosę chłodnej wody. – Joice wykazuje się przytomnością umysłu. – Przemijemy ją, to lepiej będzie widać.

Zmywam z malutkiej bród i kurz. Teraz widać parę delikatnych zadrapań na buzi i rączkach. Ostre gałęzie ominęły jej oczka, lecz w kilku miejscach uszkodziły skórę na główce. Z raneek spod rzadziutkich włosów wąską nitką cieknie krew. Trzęsącymi się rękami rozchyłam kędziorki i przemywam rany. Płacz Darii przechodzi w zawodzenie, rączki i nóżki gwałtownie biją powietrze. Po kolei chwytam każdą w swoje dłonie i delikatnie przeciągam po nich od nasady aż po końce. Nie czuję żadnych zmian, ale czy ja się na tym znam? Nie jestem lekarzem. Jak teraz, w taką zawieruchę, dostać się do przychodni? Ahmedowi droga w jedną stronę może zająć nawet do dwóch godzin, bo na dworze pomimo dwunastej w południe jest szaro jak o zmierzchu, a widoczność prawie żadna. Pustynna burza. Jeśli opowiem mu o całym zdarzeniu, to na pewno tak się zdenerwuje, że nie będzie myślał o bezpieczeństwie i może dojść do najgorszego.

– Gdybyś była w mieście, to można by nawet na piechotę pójść do lekarza – grobowym głosem mówi matka. – Na tym pustkowiu wszystkim przyjdzie zdechnąć.

– Zamknij się! – Odwracam twarz w jej kierunku i ślę jej spojrzenie pełne nienawiści.

– Jak ty do mnie mówisz?! Co ty sobie wyobrażasz, że jestem twoją służącą!?

– Powtarzam ci, zamilknij, bo dłużej nie wytrzymam! – ostrzegam, doprowadzona do ostateczności. – Gdyby nie twoje głupie pomysły, nie doszłoby do takiej sytuacji.

– To ty się ze mną siłowałaś, bo oczywiście musiałaś postawić na swoim!
– Żyliśmy sobie tutaj spokojnie i szczęśliwie – mówię w końcu.
– A więc tak?
– Tak. – Nie mam ochoty dłużej ukrywać faktu, że jej odwiedziny należałoby zakończyć.
– Wyrzucasz własną matkę! Twoje dzieci odplacą ci pięknym za nadobne, poczekaj trochę.

– Nie strasz mnie, bo się nie boję. – Zawijam Darię w cieniutki koczek i mocno przytulam do siebie. – Mój stosunek do nich jest i będzie inny. Mam przykre doświadczenia i wierz mi, wyciągnę z nich wnioski.

Matka obraca się na pięcie i trzaska drzwiami. Dzwonię do Ahmeda i w miarę możliwości delikatnie informuję go o zajściu.

– Sądzę, że wszystko jest w porządku. Mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu.
– Rozumu to brak twojej matce – mówi zimnym głosem. – Przepraszam cię, ale...
– Ja się nie gniewam. Taka jest smutna prawda.
– Przyjadę wcześniej. Postaram się namówić jakiegoś lekarza do złożenia nam domowej wizyty. W tym wypadku liczę jak zawsze na Malikę.
– Nie widzę żadnego zagrożenia – uspokajam go. – Mała śpi na moim ramieniu i równiutko pofukuje. Jest już spokojna i zadowolona. Jeśli miałyby coś złamanego, to na pewno byśmy o tym wiedzieli. Jutro rano pojedziemy do ośrodka zdrowia – przekonuję go. – Może będzie lepsza pogoda.

– Jeśli tak uważasz. Ufam twojemu matczynemu instynktowi. Zresztą to dziewczucha... – Za późno gryzie się w język. – One są bardziej wytrzymałe... o to mi chodziło. – Zapada milczenie.

– Tak, masz rację, to tylko córka. Lecz musimy jak najszybciej przenieść się do miasta – tym razem ostro stawiam sprawę. – Z dwójką małych dzieci...

– Podejmę odpowiednie kroki – gwałtownie mi przerywa. – To...
– Czekaj! – krzyczę załamującym się głosem. – Została jeszcze jedna sprawa do załatwienia. – Z nerwów nie mogę załapać tchu. – Zabukuj jedno miejsce na lot do Polski w przyszłym tygodniu – mówię na koniec.

– Jesteś pewna?
– Tak, najwyższy czas odesłać matkę do domu.
Siedzimy z mamą i dziewczynkami, gapiąc się bezmyślnie w telewizor. Nie zamieniamy ze sobą ani słowa. Znów zbudowałyśmy między sobą gruby mur i z niecierpliwością czekam na jej wyjazd.

W oglądanej telenoweli akcja się zagęszcza i z coraz większym zainteresowaniem wpatruję się w ekran. Nagle coś jakby mrugnęło i pojawia się poważna twarz polskiego sprawozdawcy ze Stanów, Maksa Kolonki.

– Marysia, do cholery jasnej, dawaj mi z powrotem film! – krzyczę, nie panując nad słownictwem. – Przecież wiesz, że to mój ulubiony serial i tyle razy ci mówiłam, żebyś w trakcie oglądania nie zmieniała kanałów.

– Nic nie zrobiłam. – Dziecko rozkłada rączki, pokazując, że nic w nich nie trzyma.
– Co jest grane? – Zaczynam uważniej obserwować relacjonowane zdarzenia i włos mi się jeży na głowie. – O co w tym wszystkim chodzi?
– Przymknij się, to może czegoś się dowiemy – napomina mnie zniecierpliwiona matka.
– Boże – mówimy jednocześnie, widząc walące się budynki. – Kto to mógł zrobić?!
– Do zamachów przynajmniej się organizacja terrorystyczna al Kaida, sponsorowana przez saudyjskiego milionera Bin Ladena – informuje komentator.

– Ładnie, ładnie. Teraz w ramach odwetu spuszczą parę bomb na kraje arabskie i będzie z głowy – zaczyna krakać mama.

– Niemożliwe, nikt nie będzie ryzykował rozpętania wojny jądrowej. Boże, patrz na tych biednych zakrwawionych ludzi. – Zapominamy o naszych błahych niesnaskach, siadamy blisko siebie i trzymamy się za ręce.

– Mamusiu, co się dzieje? – Marysia z lękiem patrzy na mnie i odwraca główkę od ekranu. – Zmieńmy ten film, ja się boję... To nie jest dla dzieci. – Wtula się we mnie i zaczyna pochlipywać.

– Joice – wołam w kierunku kuchni. – Zabierz dziewczynki, pobawcie się razem, upieczcie coś, może jakieś ciasteczka...

– Tak, tak! – Rozweselona Marysia podskakuje. – Coś słodkiego, będzie coś słodkiego – podśpiewuje na całe gardło.

– Do kuchni... proszę – przeganiem ją sprzed telewizora.

– Dwa samoloty nadal krążą w powietrzu – słuchamy dalszego ciągu relacji. – Jeden, wbrew ustalonej trasie, kieruje się w stronę Pentagonu...

– Jezus Maria – szepcze mama i przytyka dłonie do ust. – Będzie wojna, jak nic będzie wojna...

Nie spostrzegamy, kiedy zapada zmrok – w pokoju świeci tylko tafla ekranu telewizora.

– Hej, czemu tak siedzicie po ciemku? – Jak spod ziemi wyrasta postać Ahmeda, a my skaczemy na równe nogi.

– Ale nas przestraszyłeś. – Zarzucam mu ręce na szyję. – Już wiesz, co się stało? Co za nieszczęście!

– Nie, a o co chodzi? – dziwi się.

– Jak możesz nie wiedzieć? Na każdym programie nadają, w każdym radiu o tym mówią!

– O czym? – niecierpliwi się. – Ja nie mam tyle czasu co ty, żeby całymi dniami gapić się w telewizor.

Pomijam jego złośliwą uwagę i relacjonuję mu fakty.

– Ha! Ha!!! – Ahmed przerywa mi w najbardziej wstrząsającej części opowieści, kiedy opisuję runięcie World Trade Center. – W końcu sukinsyny dostały za swoje! Bóg jest sprawiedliwy!

– Co ty mówisz?! – nie wierzę własnym uszom.

– Zgniła, pierdolona Ameryka! Ha! – Wyrzuca ręce do góry i wybiega z pokoju, a po chwili z domu.

Bez słowa, w totalnym szoku patrzymy z mamą na siebie. Siadamy i zamyślane kierujemy wzrok na ekran. Nie pojmuję nieoczekiwanego i zadziwiającego zachowania człowieka, z którym przeżyłam tyle lat. Przed chwilą kochający mąż, czuły i cierpliwy ojciec, i nagle taka zmiana. Ja go w ogóle nie znam. Musiał cały czas udawać, grać, bo takie poglądy nie rodzą się w jednej chwili. Jak tak można żyć, jak można być takim obłudnym człowiekiem? W głowie mam chaos.

– No to pięknie, kurwa, pięknie – mówię po chwili.

– Włącz telewizor! – Malika drze się do słuchawki. – Dwudziesty czwarty kanał, już!

– Przecież cały czas mam włączony, co ty sobie wyobrażasz? – odpowiadam, zdenerwowana jej obcesowością. – Dwudziesty czwarty to Al-Dżazira, co ja tam niby mam oglądać? – dziwię się, lecz z niepokojem, trzęsącymi się rękami sięgam po pilota.

– Coś jeszcze gorszego, niż pokazują w CNN czy BBC – syczy. – Zobacz, co ten twój głupkowaty mąż wyprawia! Gwiazda sezonu!

Siedzę wbita w fotel i nie mogę uwierzyć w to, co widzę.

– No jesteś tam?! Zrób coś! – wykrzykuje Malika z paniką w głosie. – Wiesz, jak to się skończy? Wszyscy pójdziemy siedzieć albo w piach. Ja osobiście wolę to drugie.

– Czemu wszyscy? – szepczę.

– Tutaj uznaje się odpowiedzialność zbiorową, jeszcze o tym nie wiesz? I oczywiście nie kojarzysz tego domu, czy raczej kamienicy przy Placu Zielonym, która została prawie zmieciona z powierzchni ziemi, a ruina stała przez pół roku i nikt nawet się do niej nie zbliżył? A było czego szukać! Wszystkie meble, biżuteria, ubrania...

– Pamiętam, że nie chciałaś mi powiedzieć, co się stało. Zbyłaś mnie, nie po raz pierwszy zresztą.

– To teraz cię uświadomię. Jeden generał ośmielił się kogoś skrytykować i nie popierać oficjalnej decyzji. Przyjechali w nocy, wywlekli wszystkich na ulicę, a buldożer dokonał reszty. Mądraliński polityk poszedł do pierdła i słuch po nim zaginął, a rodzinie nie pozwolono nic wziąć i wypieprzono ich na bruk. Żona i najstarsza córka trafiły ponoć do zakładu karnego, dzieci do sierocińca, a jego matka umarła przed domem.

– Co to ma wspólnego z nami? – głupio pytam, obserwując na ekranie wykrzywioną grymasem złości, obłąkaną twarz mojego męża, który pali amerykańską flagę i wykrzykuje wraz z tłumem bluźnierstwa pod adresem nieszczęśliwych ofiar zamachu.

– Nasz wódz jako jeden z pierwszych wysłał depezę kondolencyjną. Łączy się w bólu z narodem amerykańskim i odżegnuje od całego międzynarodowego terroryzmu. Zadeklarował również wsparcie w wyplenieniu fundamentalizmu, zresztą u nas, w Libii, ten problem nie istnieje. A wiesz czemu? Bo zostaje zduszony w zarodku.

– Tak, wy potraficie dość skutecznie rozwiązywać wszelkie bolączki. Powiedziałabym, że ostatecznie.

– To może ty byś rozwiązała swoją? Co za debil... – Malika aż jęczy do słuchawki.

– Nie odbiera komórki – mówię głuchym głosem, wyobrażając sobie nas: mnie, dziewczynki, mamę, błąkające się po polach farmy, w czasie gdy żołnierze czy policja dewastują nasz dom.

– Myślałam, że tylko ze mną nie chce rozmawiać – zrezygnowana Malika ciężko wzdycha.

– Tam panuje taka wrzawa, że choćby telefon miał przy uchu, to nie ma szans na usłyszenie czegokolwiek – trzeźwo zauważam.

– Tak, tak... To ja jutro, w najlepszym wypadku za parę dni, wylatuję z roboty.

– Może nie będzie tak źle – usiłuję ją pocieszyć, nie mogąc oderwać oczu od oszołoma na ekranie.

– Kobieto! – znów wrzeszczy szwagierka. – Ja ci podaję wariant optymistyczny! Nie wiem, co Malika zrobiła i komu, ale na drugi dzień nic się nie stało. Po tygodniu nadal cisza. Ahmed chodzi chmurny i patrzy na wszystkich spode łba. Znika na całe dni, często też w nocy. Czasami budzą mnie jakieś szepty, trzaskanie drzwiami czy odgłosy zapalnego silnika. Nie mam pojęcia, z kim się zadaje i bynajmniej nie mam ochoty ich poznać. Raz wyjrzałam z ciekawości przez okno i zauważyłam jakichś mężczyzn w ciemnych długich galabijach i chustach zamotanych na głowach. To mi wystarczy.

– Malika, co robić? – dzwonię do najważniejszego członka rodziny. – Ty coś wymyślisz – mówię pełna nadziei.

– Ja? Ja?! Ja stąпам jak po lodzie i nie wiem, kiedy wpadnę i wyląduję w całym tym gównie! – wykrzykuje.

– To pod twoim lodem jest gówno? – kpię.

– Ty w nim siedzisz po szyję! – uświadamia mnie. – Żeby baba nie potrafiła chłopca w

domu utrzymać... Powinnaś nad nim zapanować, ukrócić tę brykaninę!

– Chyba żartujesz! – nie wytrzymuję i też podnoszę głos. – Ja tutaj tylko sprzątam, moje zdanie w ogóle się nie liczy. Ja poddałam się woli pana i władcy, zrezygnowałam z wszystkiego, jestem nikim. To ty jesteś figura! Pani dyplomatka, z ministerstwa. To ty coś zrób, do kurwy nędzy!!! – drę się na koniec.

– Wyjeżdżam na placówkę, na niskie, ale dyskretne stanowisko, jedyne, jakie było wolne do wzięcia od ręki. To jeszcze mogę sobie załatwić. I to tak szybko, jak tylko się da, dopóki nikt mnie z nim nie skojarzył i nikt nie doniósł.

– Zostawiasz nas? – dobija mnie tą nowiną.

– Trzeba chronić własną dupę, sorry, Blondi, ale z pierdła czy martwa nikomu nie pomogę.

– Zostawiasz matkę, siostrę... Ja nie mówię o sobie, ale o twojej najbliższej rodzinie.

– Dojadą... Jak tylko ja tam wyląduję... A ty musisz sobie radzić sama, musisz wyciągnąć go z tego towarzystwa. Jednak dobrze, że mieszkacie na wsi, przynajmniej na co dzień nie rzuca się w oczy. W mieście to nawet mógłby być sławny... Ludzie zaczepialiby go na ulicy, mówiąc: „Aaaaa... To pan jest tym słynnym idiotą, co na oczach milionów widzów palił amerykańską flagę, bluźnił przeciwko tragicznie zmarłym i łączył się w Allahu z największym obecnie zbrodniarzem na świecie... Jak go pan nazwał? ...aaa – bratem Bin Ladenem”.

– Świetny powód do żartów. – Łzy cisną mi się do oczu.

– Nie jest mi do śmiechu, wierz mi... – Malika zawiesza głos. – Może uda się was też ściągnąć. Wprawdzie jadę w najbardziej gówniane miejsce na ziemi, ale jest tam wakat na stanowisku administracyjnego. Żadne pieniądze, zerowa pozycja, ale można po cichutku przeczekać burzę.

– Boże, Malika, to ja już się pakuję! – wykrzykuję szczęśliwa i oddycham z ulgą.

– Wszystko świetnie, gdyby tylko ten kretyń, mój brat, chciał pojechać. Jeden występ w telewizji może się zdarzyć każdemu, ale on poznał fantastycznych ludzi – słyszę sarkazm w jej głosie – i prowadzi się z nimi. Mam jeszcze układy i powiedziano mi, że jeśli nie przestanie, to podzieli ich nieciekawy i pewny los. Zrób coś, Dot, bo teraz dopiero będzie gorąco – mówi bardzo poważnie.

– Ja ich kiedyś podejrziałam przez okno – wyznaję. – To jakieś dziwne typy, cudacznie ubrani i bywają tu tylko w nocy.

– To on ich nawet do domu przyprowadza! – Malika wykrzykuje ze zgrozą. – Pakuj się i wyjeżdżaj z matką do Polski, ja też stąd spierdałam, i tyle. Niech sam idzie na dno.

– Przecież wiesz, że bez jego zgody nie wolno mi zabrać dzieci, doskonale o tym wiesz!

– Ja już nie mam czasu tym się zająć, jutro wylatuję, ale ty musisz z nim porozmawiać, przekonać go. Powiedz mu, że jak angażuje się w taką działalność, to ani żona, ani dzieci nie są mu dłużej potrzebne, a wręcz przeciwnie, przeszkadzają. Jeśli utonął w tym fundamentalistycznym gównie, powinien cię puścić. Dzwon do niego i wyjeżdżaj z matką, ona chyba ma rezerwację na jutro, nie?

– Tak – szepczę przerażona. – Ale jak ja zdążę? Nawet nie wiem, gdzie są paszporty...

– Ja ci robię rezerwację, ty dzwoni do Ahmeda i jedź nawet tak, jak stoisz. Czystki będą już niedługo – ostrzega i odkłada słuchawkę.

Mama nie odstępuje mnie na krok, cały czas obserwuje i chłonie każde słowo. Chyba szóstym zmysłem wyczuwa, o co chodzi.

– To ty mi o niczym nie powiedziałas? – mówi z żalem. – Dlaczego mi nie zaufałaś, ukrywałaś, w jakiej jesteś sytuacji? – Patrzy na mnie ze współczuciem.

– Nie było czym się chwalić – wyznaję. – Zresztą jak przenieśliśmy się na wieś, znów

zaczęłam być szczęśliwa. Ja go kocham, mamó...

– Czy myślisz, że ja twojego ojca nie kochałam, nawet teraz... – zawieszają głos. – Ale są takie sytuacje, że trzeba postąpić wbrew uczuciom, wbrew temu, co dyktuje ci serce. Ty teraz musisz ratować dzieci.

– Sądzisz, że mnie puści? – Drżę na całym ciele.

– Musisz spróbować, użyć fortelu.

– Nie ma mowy – słyszę po chwili zdecydowany głos Ahmeda w słuchawce. – Zapomnij o tym. Miejsce żony i dzieci jest przy mężu, a moi nowi przyjaciele twierdzą, że to nawet dobrze, że mam rodzinę.

– Proszę – błagalnie jęczę do słuchawki, lecz słyszę tylko sygnał.

Żegnam się z matką przed domem, bo Ahmed nie zezwala mi jechać na lotnisko. Obejmujemy się czule i nie chcemy się od siebie oderwać.

– Mamó – szepczę jej do ucha. – Ratuj mnie...

– Córkó, nie wiem jak, ale uciekaj stąd! – słyszę na pożegnanie jej cichy głos. – To dopiero początek...

Saharyjska zsyłka

Niebezpieczna wiara

Wsiadaj, jedziemy do Trypolisu – po tygodniu, podczas którego mało go widuję, Ahmed wydaje mi suche polecenie.

– Po co? – pytam, nie chcąc bezmyślnie wykonywać jego rozkazów.

– Zobaczysz – mówi enigmatycznie.

Podjeżdżamy pod wielki dom Miriam. Willa wygląda jak potężny grobowiec; ani jednego dźwięku, ruchu, uschnięte winne pnącze opada smętnie, nawet powietrze zamarło i wisi ciężkie nad naszymi głowami.

– Co my tu robimy? – pytam pełna złych przeczuć.

– Wchodzimy do środka. – Ahmed otwiera wielką bramę.

– Dlaczego? Przecież ten dom należy do Mahmuda, nie możemy pod jego nieobecność się tutaj włóczyć.

Nie chcę przestąpić progu tego przybytku smutku. Czuję dreszcz na plecach.

– Mahmud, wyjeżdżając, dobił ze mną targu. Doszliśmy wspólnie do wniosku, że szkoda pozbywać się takiej nieruchomości w centrum miasta, ale on już na pewno nigdy nie będzie chciał tutaj spędzić nawet jednej nocy.

– Jasne. – Powoli domyślam się, co w trawie piszczu.

– Mam spłacić tylko udział jego dzieci. On nie chce z tej willi ani centa. Dużą część już uregulowałem, a z resztą można poczekać, zwłaszcza że Mahmud twierdzi, iż mu się nie spieszy. Dzieci są jeszcze małe, na razie mieszkają u matki, a pieniądze będą im potrzebne najwcześniej za dziesięć lat.

– To jest bardzo dobry układ, rzeczywiście. Tylko ten dom i wspomnienia...

– Tym razem to ty musisz podjąć decyzję i postanowić, czy chcesz tutaj zamieszkać. Jeśli nie, mam wszelkie pełnomocnictwa: sprzedaję kamienicę, odzyskuję kasę, którą już wpłaciłem, resztę przesyłam Mahmudowi do Stanów i z głowy. Za to, co mamy tutaj ulokowane, będziemy mogli kupić coś prawie tak samo dużego, ale na obrzeżach miasta.

– Dlaczego ja mam rozstrzygać w tak trudnych i odpowiedzialnych sprawach? – pytam rozdarta. – Sam wiesz, że to piękne i wręcz idealne miejsce, ale czy my będziemy tutaj szczęśliwi? – wyrażam moje obawy.

Czy my jeszcze w ogóle możemy być szczęśliwi? Ja już mu nie wierzę. Ten człowiek to istny Doktor Jekyll i Mr. Hyde. Nie mam pojęcia, co się kryje w jego sercu. Jedno jest jednak pewne – w mieście ja i dziewczynki będziemy bezpieczniejsze, a w razie czego może znajdzie się ktoś, kto poda nam pomocną dłoń.

– Zawsze byłaś obrażona, że nie konsultuję z tobą moich poczynań, że ważne sprawy cię omijają – przerywa moje rozmyślenia. – To teraz proszę, masz pełne prawo do decyzji.

– A ty co myślisz? Chciałbyś tutaj mieszkać? Proszę o twoją opinię – próbuję wy badać jego zdanie.

– Ja też nie wiem, co robić – przyznaje, obejmując mnie mocno ramieniem. Oboje podnosimy głowy i patrzymy na fronton willi, z którego wielkimi płatami odchodzą tynk i farba.

– Kiedy pierwszy raz po długim czasie wszedłem do środka, natychmiast uciekłem. Nie ze strachu, lecz ze smutku, żalu i wściekłości, że moja siostra tak sobie zrujnowała życie i tak przedwcześnie je zakończyła. Sprzedałem meble, dywany, sprzęty, bibeloty, po prostu wszystko wyczyściłem. Zostały puste ściany. Teraz dom stracił swój poprzedni charakter i nie ma w nim

już nic przypominającego Miriam.

Faktycznie, bez wyposażenia wewnątrz willi stało się zupełnie bezosobowe. Chodzimy z kąta w kąt, co chwilę podnosząc ze zdziwieniem i niepewnością ramiona lub kiwając na boki głowami. Na koniec poważnie spoglądamy sobie w oczy. Bez słowa, lecz za obopólną niemą zgodą, decyzja zostaje podjęta. Nadszedł czas powrotu do cywilizacji.

Po bardzo krótkim czasie względnego spokoju znów zaczęły się wieczorne i nocne wizyty nowych, podejrzanych przyjaciół Ahmeda. Tym razem wchodzą do nas już bez pukania, używając kuchennych drzwi. Zdaję sobie sprawę, że sąsiedzi, a zwłaszcza wścibskie sąsiadki, wszystko widzą. Szkoda tylko, że mój mąż żyje w błogiej nieświadomości i wydaje mu się, że organizuje tajne spotkania.

– Ahmed, czy ty całkiem zwariowałeś? – pytam go, chwytając za rękę, bo jak zwykle chce mnie minąć bez słowa.

– O co ci znowu chodzi, znów się mnie czepiasz?! – warczy. – Z tobą już nie można wytrzymać!

– Jeśli masz ochotę narażać siebie, to droga wolna, ale dlaczego stawiasz w takiej niebezpiecznej sytuacji mnie i swoje własne dzieci?! – szepczę, bo słyszę czyjeś kroki od strony ogrodu. – Co mają znaczyć ciągle wizyty tych indywiduów?

– Ty mi nie będziesz mówić, z kim mam się przyjaźnić. Nie będziesz rozkazywać czy decydować, kogo mi wolno zaprosić do własnego domu. – Odwija się i jakby mimochodem uderza mnie w policzek. – Gównu ci do tego, kto do mnie przychodzi!

– Tak, masz rację. – Nie zwracam nawet uwagi na ból, bo silniejszy czuję w sercu. – Bujaj się, z kim chcesz, ale mnie nie pasuje to towarzystwo i daj mi stąd wyjechać, póki jest jeszcze czas.

– Już ci mówiłem, nic z tego. Twoje miejsce jest przy mnie i przy dzieciach – mówi ze złym uśmiechem. – Okej – nagle nachodzi go nowa myśl. – Chcesz, to wyjeżdż, a dziewczynki zostaną tutaj.

– A kto się będzie nimi zajmował, kiedy twoja matka lada dzień też wyjeżdża?

– To już nie twoja sprawa. Jeśli je zostawiasz, to jesteś suką, a nie matką i gównu cię obchodzi, co się potem z nimi stanie.

– Żeby jeden człowiek zmarnował życie tylu osobom – cedzę przez zęby, gotowa prosto w twarz powiedzieć mu to, co tyle lat tłamsiłam w sobie. – Jesteś zły i choćbyś się wysadził w imię jakiejś idiotycznej idei, którą ci pakują do twojej pustej lepetyny, to i tak Allah kopnie cię w dupę, bo jesteś gnojem i wrednym człowiekiem.

Teraz uderzenie jest tak mocne, że lecę przez cały pokój i zatrzymuję się na przeciwległej ścianie, uderzając w nią barkiem i głową. Czuję smak krwi w ustach i piekielny ból w ręce. Ahmed przyskakuje do mnie i z całej siły kopie mnie w brzuch, a później w plecy. Chwytam jego nogę, wbijając w nią paznokcie, a potem z całej siły gryzę go w łydkę. Gdyby nie moje beznadziejne położenie, sytuacja wydawałaby się śmieszna, jak w kiepskiej komedii. Ale ja walczę o życie, moje i moich córek. Ahmed odczepia się ode mnie i kuśtyka na środek pokoju.

– Ty zdiro! – wykrzykuje, szykując się do kolejnego ataku.

– Jesteś podłym, obłudnym skurwysynem – mówię, sapiąc z wysiłku i promieniującego bólu. – Całymi latami gwałciłeś swoją siostrę, tę, którą ponoć tak bardzo kochasz, doprowadzając ją do ciężkiej choroby, zrujnowałeś Malice karierę, a matkę pozbawiłeś domu. I ty śmiesz kogoś wyzywać, ty szumowino! Pasujesz do tych popaprzanych morderców, jesteś tak samo obłąkany jak oni, ale odpierdol się ode mnie i całej swojej rodziny.

Ahmed, widząc ogień i nienawiść, jaka mnie zalewa, z kpiarskim uśmiechem na twarzy macha lekceważąco ręką i oddala się do salonu, który został przekształcony w melinę dla jego

nawiedzonych kumpli.

– Samirka, jesteś u matki w domu? – szepczę do słuchawki, szukając pocieszenia u kogoś bliskiego.

– Tak, pakujemy się.

– Jak to, ty też? – dziwię się. – Myślałam, że jedziesz dopiero za jakiś czas z Mahdim do Kanady. Ślub możecie nawet tam wziąć.

– Nic z tego. Żadnego ślubu nie będzie.

W słuchawce zapada cisza. Wiem, że w takich sytuacjach nie wolno się dopytywać.

– Znów się pogorszyło – mówi smutno. – To jest nieuniknione.

– Co, Samirka, co?

– Przetoka, jak nic będą mi to musieli zrobić. Ja gniję, gówno wylewa się ze mnie, i to nie tylko na zewnątrz, ponoć zaczyna przeciekać do środka.

– Ale przecież zabieg nie może zniwelować waszych planów, tak się kochacie...

– Czy ty wiesz, dziewczyno, co to jest przetoka?! – krzyczy łamiącym się głosem. – Masz zielone pojęcie?!

– Nie – odpowiadam krótko. – Jakiś rodzaj operacji.

– *Wallahi* – wzdycha, wzywając Boga. – Ja już teraz śmierdzą gównem, a co będzie potem? Jaki młody mężczyzna chciałby się zadawać z kobietą, która cuchnie jak kloaka. Czy sądzisz, że od tego mu stanie, że będzie mógł mnie dotknąć i pocałować?

– Ale jak ci zrobią tę przetokę, to ci się przecież polepszy, prawda? – usiłuję ją pocieszyć.

– Tak, zdecydowanie – odpowiada z ironią w głosie. – Zamiast w dupie gówno będę sobie trzymała w woreczku w kieszonce. To jest o tysiąc razy lepsze... – Chichocze obłąkańczo. – Ale smród ten sam, jak nie większy. Tak więc ja jadę najpierw do Stanów, Mahmud już znalazł klinikę specjalizującą się w sztucznych odbytkach, a potem dołączę do dziewczyn i mamy w Ghanie. To ponoć najurokliwsze miejsce na ziemi – wybucha histerycznym śmiechem i rozłącza się.

Siedzę przy oknie i pukam się w czoło milczącą czarną słuchawką telefonu. Do kogo mogę zadzwonić, kto zechce mi pomóc, kto zechce ze mną rozmawiać? Jestem beznadziejnie samotna. Patrzę przez okno na opuszczony dom matki i zwieńczone liście wirujące w szarym od pyłu powietrzu. Czuć jesień. Mocno przytulam niczego nieświadomą Darię, słodko cmokającą mleko z mojej piersi i przymykającą oczy z rozkoszy. Całuję jej maleńką, pokrytą delikatnym puszkim główkę. Serce ściska mi się z bólu, a oczy wypełniają po brzegi łzami. Marysia cichutko wchodzi do pokoju i przytula się do moich pleców. Jaka ona stała się spokojna i smutna. Szóstym zmysłem wyczuwa, że sytuacja jest zła. Nie wie, ale i nie pyta dlaczego, jej towarzysze, dzieci Miriam, wyjechały tak nagle do ojca. Nie indaguje, czemu babcia i ciocie rozmyły się we mgle. Parę razy tylko zagadnęła, czy może pójść je odwiedzić, a kiedy usłyszała odpowiedź, jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Nie zadała typowego dla dziecka pytania: dlaczego? W tej sytuacji aż się o to prosi, lecz ona milczy i patrzy tylko spode łba to na mnie, to na otaczający ją smutny świat. Ojca prawie w ogóle nie widuje, czasami jedynie słyszy jego krzyki i wymierzone mi razy. Zaczęła chodzić do tutejszej arabskiej szkoły – najwyższy czas na edukację, ale chyba nie zaaklimatyzowała się, bo pewnego poranka stwierdziła, że więcej tam nie pójdzie i żeby jej nawet o to nie prosić. Tak też zrobiłam, bo teraz wolę ją mieć przy sobie.

– Basiu, tutaj Dot... – W końcu decyduję się na jedyny telefon, który jeszcze mogę wykonać.

– Mmm... – słyszę odpowiedź i rozpoznaję głos byłej przyjaciółki.

– Już nikt mi nie został, Basiuniu, w tobie jedyna nadzieja – mówię błagalnym tonem. – Przyjaciele powinni sobie wybaczać. Przepraszam, że tak długo nie dawałam znaku życia, ale

wiesz, utknęłam na wsi, wśród problemów rodzinki i pieluszek wypełnionych kupką – usiłuję nadać mojej wypowiedzi żartobliwy ton, choć wcale nie jest mi do śmiechu.

– Jak trwoga, to do Boga – słyszę po dłuższej chwili milczenia. – Wszystko oczywiście wiemy i tylko się dziwimy, co ty, u diabła, tutaj jeszcze robisz?! – wykrzykuje.

– Jak to wiecie?! Co wiecie?! Czyżby nasza historia była już na pierwszych stronach lokalnych gazet?

– Trypolis to wbrew pozorom mała wiocha, a kiedy pracuje się w branży, tak jak mój stary, to nie sposób nie usłyszeć plotek. Jeśli Malika, była pani ambasador, pupilka woda, wyjeżdża z dnia na dzień tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, i to na drugorzędne stanowisko, to coś jest nie tak. A kiedy jeszcze zabiera ze sobą całą najbliższą rodzinę, a resztę rozsyła po świecie, to już poważnie daje do myślenia.

– No tak, prosta układanka – przyznaję.

– Tylko, pozwolisz, że się powtórzę, nie mogę zrozumieć, czemu ty tutaj jeszcze siedzisz!? – znów podnosi głos. – Jesteś jakąś męczennicą?!

– Wiesz... – zaczynam cicho.

– Nie, nie wiem, nie rozumiem, nie ogarniam tego wszystkiego! Czemu nie wyjechałaś z matką, czemu nikt z tej pieprzonej, zakłamej rodzinki ci nie pomógł, czemu tutaj siedzisz i czekasz na...

– Bo się nie dało – przerywam potok jej słów. – Bo oczywiście najpierw nie chciał mnie wypuścić, a potem zdecydował, że ja mogę wypierdalać, ale dzieci zostają z nim. Ty sobie to wyobrażasz? Maleńka Darin, przecież ona ma dopiero pięć miesięcy... – Tracę dech i nic już nie mogę z siebie wydusić.

– Czy mam ci powiedzieć: „A nie mówiłam?! A nie ostrzegałam?!”.

– Tak – wyrzucam z siebie i wybucham niepohamowanym płaczem.

– My teraz już nie możemy ci pomóc, nie przyłożymy do tego palca – mówi twardo. – To jest zbyt wielkie gównno, w które nie damy się wciągnąć, nie utoniemy z tobą, przykro mi.

Zapada cisza. W zasadzie powinnam się rozłączyć, ale zamarłam, jakbym usłyszała wydany na siebie wyrok.

– Jednak mogę zadzwonić do Piotra, mam nadzieję, że jeszcze pamiętasz naszego miłego konsula? Masz farta, że nadal tutaj pracuje, bo to dobry chłop i z jajami.

– Tak? – jęczę cicho, wycierając nos trzęsącymi się palcami.

– Za pół godziny za rogiem waszej małej uliczki będzie stało auto, nie taksówka, tylko prywatny biały nissan. Nie pytaj kierowcy o nic, nie wymieniaj żadnego imienia czy nazwiska, nie mów nawet, gdzie ma cię zawieźć. On będzie wiedział. Teraz tylko ambasada może cię przygarnąć i tylko nasz MSZ może coś wymyślić, żeby cię stąd wyrwać. Aktualnie jesteś w takiej sytuacji, że muszą ci pomóc. To już nie problemy rodzinne...

– Ale ja nadal nie mam paszportów ani nawet aktu urodzenia Darin...

– Gównno! – Ewka krzyczy wściekła. – Ty nic ze sobą nie bierzesz, rozumiesz, głupia kozo!? Żadnych toreb, żadnych walizek! Wychodzisz, tak jak stoisz, ewentualnie jednego pampersa w kieszeń i *jalla*.

– Tak – odpowiadam jak automat, spinając się w sobie, gotowa do drogi.

– I nie dzwoń do mnie więcej. Jeśli ktoś zechce spojrzeć na billing, to i tak mam przesrane – tymi słowami bez pożegnania kończy rozmowę.

Zrywam się na równe nogi, kładę Darin na łóżku, Marysi wydaję krótkie polecenie zapakowania do szkolnego plecaczka najważniejszych rzeczy, a sama rzucam się do szafy w poszukiwaniu jak najmniejszej torby. Przecież muszę wziąć ze sobą przynajmniej dwie pary majtek. Po piętnastu minutach jestem gotowa. Stoję w drzwiach sypialni po raz ostatni ogarniając

ją wzrokiem, kiedy na dole słyszę trzaśnięcie drzwi wejściowych i podniesione męskie głosy. Skóra jeży mi się na plecach. Przerazona rozglądam się dookoła, szukając innej drogi ucieczki. Zamieram jednak bezradnie, trzymając Darię na ręku, a Marysię przesuając za siebie. Nie jestem w stanie wykonać kroku.

– Nie wiem, po co tutaj w ogóle wszedłem – słyszę nieznajomy męski głos. – Co sobie wyobrażasz? Że funkcjonariusza możesz przekupić? – podnosi głos i słyszę uderzenie. – Mówię ci, do auta i po robocie. I tak się nie wykręcisz, bratku. – Znów cios i stłumiony jęk Ahmeda.

Przykładam palec do ust i pokazuję Marysi, że ani mru-mru. Z przerażeniem poprawiam Darii smoczek i na palcach wycofuję się z powrotem do sypialni. Nie wiem, co mogło się stać, może ze strachu zbyt mocno ją ścisnęłam, a może moje walące serce ją obudziło, ale mała nagle otwiera oczy, wykrzywia buzię i wydaje z siebie najpierw cichy pisk, a po chwili wyje już jak syrena. Wbiegam do pokoju, zamykam drzwi na klucz i barykaduję je ciężką komodą. Skąd mam tyle siły, żeby ją przesunąć, nie wiem, ale wykonuję to w zawrotnym tempie. Rzucam się pędem w najdalszy kąt sypialni, ciągnąc za sobą przerażoną Marysię. Siadamy na podłodze i obejmujemy się kurczowo, lecz Daria nie przerywa swojego koncertu. Słyszę kroki na schodach i z przerażenia zaciskam szczęki. Ktoś szarpie klamkę, później wali w ciężkie drewniane drzwi, które mam nadzieję wytrzymają. Mocne kopnięcie rozwała zamek i już wiem, że nic nie jest w stanie mnie uratować. Wywalone z zawiasów drzwi przewracają ciężką szafę. Kto może mieć tyle siły, a może tyle furii, żeby tak zrobić? Nie chcę go zobaczyć i z przerażenia zamykam oczy. Dziewczynki już razem zawodzą.

– Aaa, to tutaj chowasz taki kwiatusek, skurwysynu. – Jakaś wielka męska kreatura obraca się w stronę Ahmeda stojącego niepewnie w wejściu i wymierza mu siarczysty policzek. – No, pokaż się tutaj. – W dwóch susach jest już przy mnie i ciągnie mnie za włosy, wyrrywając je kępami. – Jaką blondynę sobie przygruchał – śmieje się obrzydliwie, ukazując przy tym pożółkłe nierówne zęby.

Niosąc mnie za włosy i spódnicę, rzuca na wielkie małżeńskie łóże, a Marysię pacnięciem odtrąca w kierunku leżącej na podłodze Darii. Jeszcze raz taksuje mnie wzrokiem, ściąga popękane wargi, a potem powoli zwraca się w kierunku pokornego Ahmeda.

– No – mówi w końcu, jakby dawkując napięcie. – Może się jednak dogadamy, koleś.

Puszcza moje włosy, a ja skaczę w kierunku zapłakanych i roztrzęsionych córeczek. Mężczyźni wychodzą z pokoju, zostawiając nas we łzach, a mój mąż nie robi nawet jednego kroku w naszym kierunku. Słyszę szepty w korytarzu, a potem gardłowy obleśny śmiech opryszka. Jeszcze jeden głos, pełen rozbawienia, dołącza do pozostałych. Po chwili akcja nabiera tempa, słychać tupot ciężkich nóg na schodach, czuć smród tanich papierosów, jakieś rozmowy, a ja siedzę na podłodze jak zamurowana, jakbym była tylko obserwatorem toczących się zdarzeń. Ahmed wpada do sypialni, nie patrząc na mnie, wyrrywa mi krzyczące dzieci, bierze je jak koty pod pachę i nie oglądając się za siebie, wychodzi. Do pokoju z otwartą butelką whisky w dłoni wchodzi główny oprawca i już jestem pewna, na czym polega to dogadanie się. Mój kochany mąż bez namysłu i skrupułów sprzedał mnie za swoją pieprzoną fundamentalistyczną skórę.

W miarę możliwości usiłuję stawiać opór, lecz siła obleśnego oprycha jest nieporównywalna z moją. Zapasy nie trwają nawet minuty i już czuję jego paluchy w swoim wnętrzu.

– Oj, ciepłutka cipcia z ciebie – dyszy mi do ucha, a odór wydobywający się z jego ust zapiera mi dech w piersiach. – Oj, jak ja bym miał taką w domu, tobym się nigdzie po nocach nie włóczył i gównu by mnie obchodzili ci, co się bombkami obwieszają.

– Skurwysyn, jebany gnój – wyrzucam z siebie wyzwiska, ledwo mogąc złapać oddech pod ciężarem przygniatającego mnie wielkiego cielska.

– A to i racja – śmieje się gwałciciel, zrywając przy tym ze mnie majtki. – Święta racja, idiota z tego twojego chłopa.

Przy tych słowach wchodzi we mnie jednym silnym pchnięciem, a ja prawie tracę przytomność od bólu w kroczu, promieniującego gwałtowną falą na dół brzucha. Mężczyzna nie przestaje i bez spoczynku zalicza mnie wielokrotnie. Spływam spermą i krwią, a moje zapłakane oczy powoli zasnuwa mgła. Jakby z oddali, z innego wymiaru, dochodzi mnie mój własny jęk. W końcu oprawca wyciąga fiuta z głośnym plaśnięciem i zadowolony z siebie, jednym tchem opróżnia pół butelki wódki.

– Hej, nie bądź taki chytrus, daj innym použíwać – słyszę natarczywe męskie głosy dobiegające z korytarza. – Szefie...

– Niech mi no tu który teraz wejdzie, a zastrzelę jak psa – odgraża się dowódca grupy. – Jak skończę, to jeszcze się zabawicie – obiecuje, a mnie jest już wszystko jedno. Mam tylko nadzieję, że tego nie przeżyję.

– No i co, laluniu, kontynuujemy? – pyta obmierźle.

Ostatkiem sił i świadomości rzucam się z pazurami na jego paskudny, dziobaty pysk. Jeszcze widzę stróżkę krwi płynącą mu znad brwi, a potem zostaję obrócona na brzuch i przed oczami mam tylko kolorowy pled, który dostaliśmy z Ahmedem od jego matki na naszą siódmą rocznicę ślubu.

W bydłęcej zagrodzie

Budzi mnie tępy ból promieniujący na cały brzuch, począwszy od pachwin, a skończywszy na przeponie. Nie mam pojęcia, gdzie się znajduję ani co się dzieje. Coś szumi, coś kołysze mnie do snu. Jestem taka słaba, że nie mogę nawet podnieść powieki. Dotykam czegoś, w co jestem zawinięta. Chyba koc. Obolałymi rękami nasuwam go na głowę i znów zapadam w próżnię. Z odrętwienia budzi mnie gwałtowne bujanie i podskoki, sprawiające memu obolałemu ciału niewypowiedzianą mękę. Gdzieś z oddali dochodzą głosy, ktoś pyta, drugi odpowiada. Z ogromnym trudem otwieram jedno oko i odkrywam twarz. Ciemność. Ciemność i zaduch. W panice zaczynam macać dookoła siebie. To chyba jest bagażnik, raczej na pewno. Chciałabym zacząć kopać i krzyczeć: „Ludzie ratujcie mnie!”, lecz nie mam siły na nic. Brakuje mi powietrza, a ciało pokrywa zimny pot. Łzy napływają mi do oczu i przynoszą ukojenie. Niech już to się skończy, niech już będzie po wszystkim. Otacza mnie coraz głębsza czerń, czuję, jak zapadam się w sobie, oddalam od otaczającej mnie rzeczywistości, od własnego ciała i cierpienia.

– Rusz się! – Mocny uchwyt prawie łamie mi rękę i ktoś brutalnie wyciąga mnie z mojej nory. – Co za pierdolona kurwa, co za syf i dno. Że też człowiek musi na to patrzeć. – Stary sękaty Arab usiłuje postawić mnie na nogi, które jednak uginają się pode mną i lądują na ziemi. Macam rękami dookoła i czuję piasek przesypujący się między palcami. Rześkie, wręcz zimne powietrze owiewa moje ciało i trochę doprowadza do przytomności. Z trudem, obolała podnoszę głowę. Spod na w pół przymkniętych powiek w odległości około dwudziestu metrów widzę Ahmeda gwałtownie dyskutującego z nieznanym mężczyzną. Co on mi szykuje? Co tym razem? Czy znów oddaje moje ciało za swoją wolność? Z całych sił wyteżam wzrok i zauważam, że w rękach nowego oprawcy ląduje gruby plik banknotów. Potem jeszcze trochę.

– *Baba!* Dawaj tą tam do komórki! – Chyba się dogadali. – *Fisa, fisa*, wszyscy nie muszą widzieć, co się tutaj wyprawia.

Ojciec mężczyzny z siłą ponad wiek szarpie mnie i pogania kopniakami w stronę jakiegoś szałasusza znajdującego się w rogu wielkiego podwórza. Usiłuję spojrzeć za siebie, może to jakaś pomyłka. Przecież mój mąż, będąc nawet największym łajdakiem, nie może mnie tutaj zostawić na pewną zgubę.

– Hmeda – krzyczę słabym głosem. – Hmeda, co ty wyprawiasz? Zabierz mnie stąd, człowieku!

Nie słyszę odpowiedzi, zamiast tego dostaję od dziadka potężnego kuksańca w głowę. Padam na piach i przy okazji odwracam się w kierunku dobijających targu mężczyzn. Jednak nikogo już tam nie ma, a z drugiej strony wysokiego muru z piaskowca słyszę oddalający się ryk silnika.

Budzi mnie beczenie owiec czy kóz i ostry smród obory. Ze straszliwym wysiłkiem dźwigam się na łokciu i usiłuję zobaczyć to, co o świcie było jeszcze ukryte. Leżę na wydeptanym klepisku, tu i ówdzie zalega porozrzucane siano, cała ziemia jest przykryta drobnymi, wyschniętymi lub nie, bobkami. W kącie stoi emaliowana zardzewiała miednica. Pić. Dopiero teraz poczułam tak szalone pragnienie, że aż boli mnie przełyk. Pić, obojętnie co. Podczołguję się do miednicy i zaglądam do środka. Brązowawa maź ledwo przykrywa dno. Wszystko mi jedno, niech tam będzie zaraza, ameba, czerwonka czy dur, przynajmniej jedną kroplę muszę poczuć na języku. Woda ma obrzydliwy smak, czuję ją szczyną i rdzą, ale teraz smakuje jak najlepsze wino. Wypluwam zdechłą muchę, której omal nie połknęłam i osuwam się na ziemię. Nie mam już łez, nie mam już sił na rozpacz. *Sza Allah* – co Bóg da, to będzie, ja już nic nie mogę, już niczego nie wymyślę.

Z otępienia wyrywa mnie awantura kobiet ubranych w tradycyjny strój arabski. Ciemna tkanina w bordowe i granatowe pasy sugeruje, że są mężatkami. Mówią w takim dialekcie, a może po prostu po wiejsku, że prawie nic nie jestem w stanie zrozumieć.

– Kurwę sobie ściągnęli, psy jedne – udało mi się wyłapać z potoku szybko wyrzucanych słów.

– Oni myślą, że my takie głupie, jak oni mądrzy – wrzeszczy druga. – Będą sobie tutaj teraz używać pod naszym bokiem!

– Po moim trupie! Zabiję ścierwo, zanim oko zdąży otworzyć!

Uśmiecham się sama do siebie. Kobieto, nawet nie wiesz, jak bardzo bym tego chciała. Spełnisz tylko dobry uczynek. Leżę i czekam, skończmy już tę zabawę, byle szybko.

Między wiejskie baby wpada dziadek i łomocze je po plecach kijem, który służy mu za laskę. Ładnie się tutaj traktuje kobiety. Ciekawa jestem, jak w takim razie obejdą się ze mną. Dziadek jednak stanął w mojej obronie, nie wiem tylko dlaczego?

Może Ahmed zostawił mnie tutaj tymczasowo, może jak wszystko ucichnie, a ja się pozbięram, to wróci po mnie? Ty głupia kretynko! – wrzeszczę na siebie w duchu. Ten mężczyzna zrujnował ci życie, a ty jeszcze na niego liczysz? Ty oślico! Całe zło, to całe gównon on ci zafundował! A co z dziewczynkami?! Po raz pierwszy od gwałtu ta myśl świta w mojej głowie. Nagle wyrasta jak ukryty, czerwony, bolesny kwiat i promieniuje na wszystkie moje zmysły i całe ciało. O Boże, tak jakbym o nich zupełnie zapomniała, jakby w ogóle nie istniały. Jak szalona chwytam się rękami za głowę, zaczynam wyrywać sobie włosy i sama pracuję pięściami po twarzy. Pazurami orzę czoło i policzki i wyję przy tym jak zarzynane zwierzę. Nagle zalewa mnie potok lodowatej wody i tracę dech.

Nie wiem, jak długo tkwię w kałuży wody i własnych odchodów. Od czasu do czasu budzi mnie tylko przenikliwy chłód nocy, wtedy przewracam się z boku na bok, usiłując naciągnąć koc i śmierzące siano na dygocące z zimna i gorączki ciało. Po pewnym czasie zaczynam odczuwać świąd skóry. Bezmyślnie drapię się aż do chwili, kiedy palce zaczynają ślizgać się po czymś lepkiem. Nikt nie zagląda do komórki – chyba jednak zostałam tutaj przywieziona na śmierć. Tylko czemu skazano mnie na tak długie cierpienie, nie lepiej było zostawić ledwo żywą na odludziu, gdzie błyskawicznie rozszarpałyby mnie wygłodzone dzikie psy?

Ledwo mogę otworzyć zapuchnięte, zaropiałe oczy. Usta mam jak napompowane, a język stoi kołkiem. Dochodzi do mnie jednak jakiś cudowny zapach. Spod wpół przymkniętych powiek widzę parującą metalową psią miskę, która stoi na wysokości mojej twarzy. Nie chce mi się wierzyć, że to prawda, lecz delikatnie macam przed sobą. Kiedy jedzenie okazuje się prawdziwe, chwytam miskę obiema rękami i parząc się, pożeram wszystko jak zwierzę. Sos cieknie mi po brodzie. Czuję się, jakby ktoś ofiarował mi życie – zadowolona padam na klepisko i zapadam w błogi, ciepły sen. Gdy ponownie otwieram oczy, widzę w półmroku jakieś dziwnie pokurczone stworzenie.

– *Na, na.*

– Trąca mnie delikatnie jednym palcem. – *Moja, moja.* – Wskazuje na miednicę. – Masz woda, jeszcze ciepły – mówi dziwnie brzmiącym głosem. – *Na, na, jalla* – pogania mnie. – Woda z mąka, jak dla dzidzi. Ty gnić, Blondi, ty musisz umyć w ta woda.

Nie wiem, jaka jest płeć mojego wybawiciela, ale podejrzewam, że to jakiś młody chłopiec, choć włosy ma do ramion. Nie rozumiem też, czemu tak dziwnie mówi – może myśli, że nie znam arabskiego i wydaje mu się, że niegramatyczne jest łatwiej zrozumiałe. Przygarbiony podnosi się do wyjścia i rzuca jeszcze w moim kierunku długie szare płótno oraz kawał materiału, w który zamotują się tutejsze kobiety.

Powoli siadam i po przemyciu oczu śliską i pachnącą ziołami wodą patrzę na moje ciało. Sińce zdążyły zbrązowieć, lecz pomiędzy napuchniętymi krostami na nogach i ramionach widać ślady po zadrapaniach. Nie zastanawiam się nad moim wyglądem, bo nic mnie nie obchodzi. Może przez to, że się poruszam, dochodzi do mnie słodko–kwaśny odór gnijącej padliny. Chcąc nie chcąc, muszę się jednak umyć. Po przetarciu całego ciała, włącznie ze splukaniem śliskiej od łoju i zaschniętej krwi głowy, zadowolona siadam w miednicy i moczę moje najbardziej poranione organy. Krocza w dalszym ciągu nie czuję, lecz woda błyskawicznie barwi się na rdzawoczerwony kolor. Jest już zimna, ale może też dlatego przynosi mi cudowne ukojenie. Czuję, jakby maleńka iskierka życia znów zaczęła się we mnie tlić i nie wiem czemu, choć dusza już dawno umarła, tak uparcie dźwigam się z upadku. Po wytarciu i przebraniu wyglądam na podwórze i mrużę oczy, choć słońce już zachodzi, rzucając słabe, ukośne promienie. Świat wygląda tak, jakby go ktoś wypolerował. Powietrze jest przejrzyste, a barwy nasyczone. Zza domu dochodzą pobekiwanie zwierząt, śmiechy kobiet i piski dzieci. Owiewa mnie zapach piasku, tak typowy dla pustyni, oraz jeszcze przyjemniejsza woń przygotowywanej kolacji. Rozróżniam smażoną na oliwie cebulę, pomidory, paprykę i tłustą baraninę oraz aromat ciepłych placków chlebowych. Nie pamiętam, czy kiedyś coś takiego jadłam, ale teraz oddałabym królestwo za potrawę, której wcześniej w życiu bym nie tknęła.

Powoli, z duszą na ramieniu, zmierzam za wędchem. Może ulitują się i coś mi dadzą. Za domem na niewielkim tarasie, przy plastikowym stole zasłanym ceratą, w ostatnich promieniach słońca wygrzewa się i rozkoszuje dobrym jadłem co najmniej piętnaście osób. Kobiety pozawijane w długie płachty kolorowego materiału, stare babcie w białych prześcieradłach, mężczyźni w białych i szarych galabijach – wszyscy jak na komendę odwracają się w moją stronę. Rozmowy i śmiechy cichną. Małe dzieci podbiegają do swoich bliskich i wtulają się w ich nogi, jakby zobaczyły zjawę. Stoję i czekam na ich dalszą reakcję.

– *Imszi barra.* – Przysadzista baba w średnim wieku zrywa się od stołu i zmierza w moim kierunku, machając rękami.

– *Ja saida, ja saida* – staram się być jak najmilsza i zapyziałą wieśniaczkę tytułuję panią. Teraz za miskę jedzenia gotowa byłabym ją nazwać nawet królową.

– Mówię, dziewczucha, iść stąd – zezłoszczona, ale już trochę mniej groźna, zwraca się do mnie niegrammatycznie. Może to taki tutejszy dialekt?

– *Ana nibbi mandżarija* – prawie już błagam, przetykając potoki śliny, które mnie zalewają. Muszę wyglądać jak zgłodniały zбитy pies, bo cała rodzinka patrzy na mnie wprawdzie jeszcze z pogardą, ale i z litością.

– Rabi’a – woła dziadek, którego pierwszego poznałam.

– Dajże jej miskę strawy, na Allaha, toż to *zakat*. Ładna mi jałmużna – przecież na własne oczy widziałam pliki pieniędzy, które dał im Ahmed. Już chcę odejść, kiedy młoda, może czternastoletnia, całkiem niebrzydka dziewczyna podbiega do mnie z wypełnioną po brzegi michą potrawki z jagnięcia. Może tutaj, w tych ciężkich warunkach, przynajmniej niektórzy mają serce?

– *Na, na.* – Wkłada mi do ręki cienki płaski chleb i popycha w kierunku ściany domu, gdzie leży stara zdezelowana opona.

– Siedzieć tu, tu twoje miejsce – mówi na koniec, a z oczu jednak patrzy jej wilkiem.

– *Mafisz szughul, mafisz mandżarija.*

– Agresywna gospodyni wycofuje się na swoje miejsce przy stole i jeszcze od czasu do czasu spogląda na mnie niechętnie.

– Mogę pracować, ale do tego muszę mieć siły, przynajmniej trochę – mówię czystą trypolitańską arabszczyzną, zwracając się w kierunku całej rodziny i zaczynam jeść, pomagając

sobie palcami i chlebem.

Głupkowaty adorator

Moje życie w oazie Al Awainat u podnóża gór Akakus powoli wpada w rutynę. Chcę żyć, muszę pracować – prosta zasada. Ale praca tutaj to nie zabawa, to nie świetlica w polskiej szkole w Trypolisie czy sprzątanie ambasady.

Pobudka jest równo z kurami, to znaczy ze wschodem słońca. Potem rodzina udaje się do pokoju modłów i czci imię Allaha tak długo, aż przygotuję śniadanie. Dzieciaki kręcą się pod nogami, a ja usiłuję ich nie poparzyć ani nie rozdeptać. Boże, ile ci ludzie potrafią zjeść! I każdy co innego. Dorośli, przeważnie mężczyźni, maczają cienki chleb pita najpierw w oliwie, potem w mieszaninie ziół *za'tar*, a na koniec w słonawym twarożku *lebneh*. Zagryzają to słodką cebulą, oliwkami i pomidorami, które tutaj stanowią rarytas i trzeba po nie jechać na *suk* aż do Ghat, większej oazy. Popijają to wszystko hektolitrami zielonej herbaty, do której parzenia jeszcze nie zostałam dopuszczona. Kobiety i dziewczyny zajadają się słodką wtirą, drożdżowym plackiem smażonym na głębokim oleju, polanym miodem i posypanym wiórkami kokosowymi. Czasami smarują ją po prostu dżemem i mlaszczą, wylizując kapiący po rękach tłuszcz. Dla młodzików nauczyłam się robić takie same placki, tylko z żółtym serem bądź jajkiem w środku. Dzieciaki pałaszują kuskus albo kaszę *burghul* zalane kozim mlekiem. Taka nasza owsianka. Przygotować wszystko na czas dla kilkunastoosobowej rodziny nie jest proste. Dlatego też wstaję przed wszystkimi. Codziennie budzi mnie dziadek, który rano uwielbia sikać na łonie natury i upodobał sobie miejsce koło mojego szałas. Co drugi lub trzeci dzień sprzątam dom – na szczęście nie jest tak duży jak nasze wille w stolicy. To mały parterowy baraczek z piaskowca ze wspianiałym widokiem z dachu, na którym wieszka się pranie, a przy odrobinie szczęścia można sobie uciąć drzemkę. Panorama jest niesamowita. W dali widać wielki masyw górski, którego wierzchołki nie są spiczaste, lecz jakby ucięte nożem i można je porównać do potężnego, przysadzistego stołu. Ich barwa zawsze jest ciemna, nigdy się nie zielenią, a tutejsze dzieci straszy się mieszkającymi w nich dżinami.

Izby w domostwie są urządzone ascetycznie. Znajdują się w nich tylko niezbędne sprzęty, wykonane przez domorosłych lokalnych rzemieślników albo przez gospodarzy. Nigdzie nie ma luster. Najbardziej luksusowym pomieszczeniem jest sala modlitw. Jej środek zaścieniają wyświechtane, poplamione dywany, pod ścianami leżą materace w kolorowych poszewkach, a w kącie pod oknem stoją telewizor, drewniane warcaby i dwie szisze. Mnie tam nie wolno wchodzić, bo jestem nieczysta.

W dni, kiedy nie pracuję w domu, wypasam owce i kozy. Został mi przydzielony nauczyciel i opiekun, bo samej nigdzie nie wolno mi się ruszyć. Tak jakby było dokąd uciec. Nie mam żadnego dokumentu i na najbliższej szorcie, posterunku policji, których tutaj pełno, zostałabym zatrzymana i prawdopodobnie odesłana do więzienia lub zakładu karnego dla zdeprawowanych kobiet. Z dwojga złego lepsza już ta zacofana mała oaza i nieżyczliwy mi dom.

Moim opiekunem, czyli mahramem, jest osiemnastoletni Ramadan, niedorozwinięty chłopak, który jako pierwszy ośmielił się do mnie zbliżyć. Biedak tak się przejął swoją rolą, że nie odstępował mi na krok. Jak mnie tutaj przywieziono, Ramadan wydawał mi się ni to dziewczyną, ni chłopcem, lecz przez zimę bardzo się zmienił. Rozrósł się w sobie, jego twarz stała się bardziej kanciasta, pokryta rzadkim ciemnym zarostem i trądzikiem, a długie włosy obciął mu dziadek nożycami do strzyżenia owiec. I wtedy, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, chłopiec przemienił się w mężczyznę. Od tej chwili zmieniło się też jego zachowanie. Sympatyczny, trochę opóźniony i nieśmiały wyrostek stał się obleśnym, zboczonym młokosem. Czuję, że będą z tego kłopoty, lecz niestety nie mogę go unikać, bo wszyscy już przywykli, że

jesteśmy nierozłączni. Ramadan na terenie farmy zachowuje się jeszcze jako tako, łażąc tylko za mną, szurając nogami i wydając jakieś dziwne dźwięki. Ale kiedy idziemy wypasać owce i tylko trochę oddalimy się od domostwa, zaczyna być coraz głośniejszy i bardziej natarczywy. Cały czas szuka okazji, żeby mnie dotknąć, a potem obmacuje siebie. Chyba dopiero tej wiosny odkrył własną seksualność. Biedak prawie nie wyciąga ręki z szarawarów i onanizuje się, kiedy tylko się da.

To wypasanie owiec i kóz nie jest takie złe, jeśli porównać je z ciężką harówką w domu. Idzie się na najbliższą łąkę, na której już w maju nie ma ani jednej zielonej rośliny, siada się pod jakimś krzewem czy na wpół uschniętą oliwką i drzemie w upale, od czasu do czasu otwierając jedno oko i sprawdzając, czy zwierzaki nie są na tyle głupie, aby się zbytnio oddalić.

Polubiłam to chrzęszczenie łamanych suchych traw w pyskach bydlątek, które są całkiem sympatyczne. Szczególnie jedna mała czarna kózka jest jak mój piesek. Chodzi za mną, ociera się o moje nogi i zagląda mi w oczy. Siedzę rozleniwiona w miękkim piaszczystym dołku, a ona śpi najedzona z łąką na moim brzuchu. Od niechcenia gładzę jej aksamitne futerko, a ona fuka uszczęśliwiona. Marysia też tak lubiła się we mnie wtulać i podobnie wzdychała ze szczęścia, kiedy gładziłam jej włosy. Nie mam już łez, aby je wylewać nad moją beznadziejną sytuacją i z tęsknoty za utraconymi dziećmi. Serce w mojej piersi umarło, ono już chyba nawet nie bije.

Nagle czuję jakby podmuch wiatru między włosami i otwieram nieprzytomnie oczy. Tuż nad sobą widzę przyszczatą twarz Ramadana, jego zaślinione wargi, które wygina teraz w jeszcze dziwniejszym grymasie niż zwykle.

– Ej, co ci chodzi po głowie, czego chcesz?! – krzyczę, a przerażona kózka skacze na równe nogi i ucieka. Chłopak odsuwa się, lecz klęka obok. Jego szerokie spodnie są opuszczone aż do kolan i moim oczom ukazuje się podniesiony, gigantycznych rozmiarów fallus, kapiący obrzydliwą, ciemnożółtą spermą. Głupkowaty chłopak nadal go podrzuca, czasami drapiąc się po słabo owłosionych, równie wielkich jądrach.

– Ty, Blondi, patrz, co ja mam, eee... – Śmieje się uszczęśliwiony, pokazując przy tym przegniłe próchnicą zęby.

– Na Allaha, Ramadan, tak nie wolno, *haram*, wielki *haram*! – wrzeszczę.

Puszczam się pędem w kierunku domu, choć jeszcze słońce nie oznajmia końca pracy. Jeśli nawet będą z tego kłopoty, to i tak mniejsze niż z tym napalonym, szurniętym byczkiem. Może by tak komuś o tym powiedzieć, może zmienią mi mahrama albo w ogóle z niego zrezygnują? Przecież sama pustynia to więzienie, tyle że bez krat.

Czekam na świt jak na zbawienie. Kiedy słyszę ostatnią kroplę moczu spadającą na suchy piach koło mojego szałas, wychodzę z niego zgięta wpół.

– *Szabani*, dziadku, *fi muszkila* – szepczę w ciszy poranka.

– *Szinu*? – Przygarbiony mężczyzna podskakuje, tak jakby nie był świadom, że za każdym razem jestem świadkiem jego porannego rytuału.

– Mam wielki problem – wyznaję, nie patrząc mu w oczy, co ma być oznaką szacunku.

– Co znowu? – pyta zniecierpliwiony i chce odejść.

– Ramadan...

– Aaa, ten chłopaczyna. – Lekceważąco macha ręką.

– On już stał się mężczyzną.

– Eee tam, co ty powiadasz, kobieto. Toż to dziecko.

– Ale nie w stosunku do mnie. On się obnaża, dotyka swoich narządów i chce czegoś ode mnie. – Teraz patrzy już ostro i czuję przez skórę, że o wszystko oskarżają mnie.

– Jak śmiesz! – Jego laska łąduje na moich plecach, ale odczuwalność bólu znacznie u mnie zmalowała, więc bez mrugnięcia powieką zastępuję mu drogę.

– To prawda, najświętsza prawda. Na Allaha, przysięgam, dziadku. Zapytaj jego, on jest głupi, ale może dzięki temu uczciwy. – Następne uderzenie jest już łżejsze, jakby od niechcenia.

Przyspieszonym krokiem starzec kieruje się w stronę domu, a ja chowam się w moim szałasie. Potem przez długie godziny słycać razy i wrzaski karanego Ramadana.

Całe lato mam święty spokój, tak jakby rodzina zapomniała o moim istnieniu. Skończyły się wszelkie domowe prace, a jedyny obowiązek, jaki mi pozostał, to wypasanie kóz i owiec, ale teraz na odległe pastwiska chodzę sama. Bez kontroli, bez opiekuna – może obawiają się, że komuś innemu również mogłabym zawrócić w głowie? Zaczęłam też robić zakupy w miasteczku. Cieszę się, bo to mój jedyny kontakt ze światem, jedyna możliwość przebywania blisko autostrady, po której z zawrotną szybkością mkną ciężarówki, pick-upy i samochody osobowe. Jak do tej pory nikt nie zatrzymał się przy małym sklepie spożywczym, ale może kiedyś los się do mnie uśmiechnie.

Mój szałas wygląda teraz całkiem inaczej. Owce i kozy zagnano do specjalnej zagrody, także lokal został do pełnej mojej dyspozycji. Posprzątałam i zamiotłam klepisko, a wodą noszoną ze studni zlewałam je tak długo, aż smród zwierzęcych odchodów prawie zniknął. Na koniec spryskałam wszystko chlorem, który tutaj służy do dezynfekcji. Gdy rodzina zauważyła moje porządki, zaczęła po kryjomu, w tajemnicy jeden przed drugim, znosić mi przydatne rzeczy. I tak dostałam rozpruty stary materac, pogryziony przez mole koc, poduszkę z pozbijaną watą w środku, starą oponę jako taboret i kawałek deski służący za stół. To już są nie lada luksusy, lecz kiedy przerażona swoim czynem nastolatka podrzuciła mi kawałek firanki, poczułam się prawie jak w domu. Później z pola zaczęłam znosić cienkie, giętkie patyczki, aby uszczelnić moją siedzibę przed następną zimą. Teraz już wiem, czego po tej porze roku można się tutaj spodziewać i muszę się jakoś zabezpieczyć, bo nawet przy minusowej temperaturze nie zostaną przecież wpuszczona do rodzinnego gniazda.

Obserwuję zmiany, które zaszły w moim ciele. Bogu dzięki, nie widzę twarzy, ale ręce i nogi wysuszyły mi się na wiór. Kości pokrywa cienka, spalona słońcem skóra, na której wykwitają znamiona i ślady po oparzeniach słonecznych, zadrapaniach i razach. Jestem chudsza niż kiedykolwiek. Po wszystkich przejściach moje niegdyś piękne blond włosy zaczęły wypadać garściami. Gdzieś pod przeczesującymi je palcami czuję tylko skórę, więc po zejściu z Ramadaniem postanowiłam zrobić z nimi porządek. Już nikogo nie będą prowokowały! Pożyczyłam od dziadka nożyce, chyba jedyne w tym domu, i obciąłam się prawie do skóry. Teraz głowę przykrywam chustą, jak dobra mużulmanka, ale czynię to nie tyle z głębokiej wiary, ile aby chronić się przed słońcem i owadami. Jeśli ktoś zobaczyłby mnie przemierzającą miasteczko, zawiniętą od stóp po szyję w tradycyjny materiał, w chuście na głowie, plastikowych, wydeptanych klapkach na nogach, o twarzy spalonej na głęboki brąz, do głowy by mu nie przyszło, że to ja, Dot zwana Blondi, czystej krwi Europejka.

Najgorsze są ostatnie podrygi lata, kiedy atakuje ostatkiem sił, ale i najostrzej. Znam *gibli* z farmy czy Trypolis, ale zanim tam docierało, pokonywało ponad tysiąckilometrową odległość, więc znacznie już słabło. Na środku Sahary zaś, pod górami Akakus jest jego epicentrum. Tutaj powstaje i tu jego moc jest zastraszająco wielka, a potworny upał, który ze sobą niesie, wygrzebuje chyba z jakiegoś niewidzialnego pieca we wnętrzu ziemi.

Mimo wichury gospodyni z samego rana wysyła mnie na pastwiska. Ona chyba całkiem postradała zmysły! Co te biedne bydłatka mają niby tam jeść, kiedy wszystko już tak wyschło, że rozsypuje się w pył. Odbieram to oczywiście jako złośliwość pod moim adresem, ale pójdę i wrócę, dam radę. W ten sposób się mnie nie pozbędzie.

Przeważnie oddalam się od osady na parę kilometrów, chcąc poczuć choć odrobinę wolności, lecz dzisiaj już po pokonaniu parunastu metrów nic dookoła siebie nie widzę. Wiatr

chłoszcze mnie boleśnie, wbijając drobinki piasku pod powieki, do nosa i ust. Nie mogę oddychać, więc prawie całą twarz zasłaniam długą chustą, zostawiając tylko małą szparkę na oczy. Idę na pamięć, kierując się w stronę małego *wadi* ocienionego karłowatymi, lecz porośniętymi liśćmi oliwkami. Tam nawet latem biją spod porozrzucanych skałek anemiczne źródelka, więc jak na tę szerokość geograficzną, jest to teren całkiem nawodniony i zielony. Razem ze zwierzętami idziemy przed siebie, chcąc jak najszybciej znaleźć się w zacienionym głębokim wąwozie, którego ściany zniwelują przynajmniej częściowo uderzenia wichury. Z oczu i nosa cieknie mi gęsta maź w rdzawym kolorze, między zębami zgrzyta piach. Nagle, jak nożem uciał, siła podmuchów maleje, a po paru następnych krokach wręcz niknie. Można odetchnąć, choć nadal prawie nic nie widać i czuje się, jakby ktoś zawinął wszystko w beżowy całun. Owce pobekują szczęśliwe, a kozy błyskawicznie zabierają się za oskubywanie półżywych oliwek. Uśmiecham się do siebie z zadowoleniem, jaka to ja jestem sprytna. Siadam pod niskimi gęstymi krzewami, słyszę kapanie niewidocznej wody i na słuch odnajduję źródelko. Wyciągam z kieszeni czerstwy placek, moczę go i pakuję do ust, a następnie długo przeżuвам. Napęlniwszy trochę zapadnięty brzuch, moszczę się w ciepłym piachu, znów zasłaniam twarz chustą i zapadam w drzemkę. Tak szybciej płynie czas i tak się regeneruje siły.

Instynktownie otwieram oczy, bo czuję czyjaś bliską obecność, tuż przy mnie, tylko jeszcze nie widzę, z której strony. Zaczajam się, sprężam w sobie. Nagle od tyłu zostaję chwycona za gardło i przyciśnięta do podłoża. Napastnik całą głowę ma owiniętą w turban, widać mu tylko czarne, wąskie jak szparki, płonące oczy. Siada na mnie okrakiem i usiłuje chwycić ręce, którymi rozpaczliwie wymachuję, ale nie jestem w stanie sięgnąć jego twarzy. Że też ciągle mnie to spotyka, że też właśnie ja muszę to przeżywać. Marnie widzę swoje szanse i już prawie znam scenariusz. Kiedy mężczyzna pochyla się, chcąc wyplątać swojego fiuta z szerokich, śmierdzących łąchów, gwałtownie rzucam się i udaje mi się wyswobodzić rękę. Chwytam za wiszącą końcówkę turbanu i jednym ruchem go rozplątuje. Moim przerażonym oczom ukazuje się głupekowata twarz Ramadana, też jakby zszokowanego zaistniałą sytuacją. Jego wstyd trwa nie dłużej niż minutę, bo pałace chłopaka chucie są silniejsze od wszelkich skrupułów. Z szaloną pasją zabiera się do dzieła, a ja bezwolna i jakby martwa leżę pod jego ciężarem, nie mając już siły na walkę. Przez łzy wypływające z kącików oczu obserwuję wiry powietrza niosącego ze sobą tumany miałkiego piachu i kłęby wyschniętych, zbitych w kule cierniowych krzewów.

Kuzyn z AIDS

Jesień zasnęła całą Saharę, powietrze o poranku i wieczorem jest aż mokre od niewidzialnego deszczu, piach zbił się i wystygł, a temperatura w nocy już spada poniżej zera. Jedynie za dnia, w samo południe, bywa uroczo, nawet plus dwadzieścia pięć stopni, co przypomina mi nasze polskie wczesne lato. Ziemia paruje, wydając wspaniałe wonie, drzewa i krzewy błyszczą świeżą zielenią, a niezmierzone połacie piasku ozdabiają wyrosłe z niczego kępki traw i karłowatych krzewów. Gdzieniedzie w zagłębieniach między wydmami rośnie soczysta trawa. Nastął świetny czas na wypas bydła, zwierzęta tyją i najadają się po uszy, jakby chciały nadrobić zaległości, kiedy były na suchej karmie.

Prawie cały czas spędzam sama poza domem, wychodzę o świcie, a wracam przed zachodem słońca. Że też mnie tak puszcza? Lecz ja zamiast zastanawiać się nad ucieczką z tego odludnego miejsca, popadłam w totalny marazm. Chodzę jak automat, jem jak automat, sikam jak automat, śpię jak automat. Oczy mam otwarte, ale jakbym niczego nie widziała. Od rzeczywistości oddziela mnie jakaś niewidzialna zasłona. Sądzę, że gdyby ktoś obciął mi teraz głowę czy rękę, nawet bym nie zauważyła i nic nie poczuła. O niczym nie myślę.

Z dnia na dzień robi się coraz zimniej, noce naprawdę dają mi się we znaki – zamierzam na kość. Jesień trwa jeszcze, czy może przeszła już w zimę? Moja rocznica przyjazdu tutaj chyba dawno minęła. Ludzie pustyni nie mierzą czasu – do niczego im to nie jest potrzebne. Często nawet nie znają daty swoich urodzin ani urodzin dzieci. Żyjesz, to dobrze, a potem umierasz, bo tak Allah chce. Sprawdzanie kalendarza nic nikomu nie da i jest bez sensu. Najważniejsze, że muezin informuje ich, iż jest czas modlitwy, i tyle.

Wracam prawie truchtem, bo zasiedziałam się w przepięknym miejscu, koło skał, gdzie chyba bardzo dawno temu jakiś rzeźbiarz wykonał ryty. Cały dzień chłonełam kamienne obrazy: to ludzie pracujący na roli, a to pasterze ze swoimi stadami, obok dzieciaki rozrabiające jak zawsze, a parę kroków dalej polowanie. Myśliwi z długimi włóczniami biegną za żyrafą, słoniem, tygrysem, a w rzece dopadają krokodyla. Skąd ludzie, którzy tutaj żyli, mieliby wiedzieć, jak wygląda woda i zwierzęta z sawanny? Oznacza to tylko jedno – pustynia na Saharze nie jest od zawsze. Szkoda, że wcześniej nic sobie na ten temat nie przeczytałam. Ale może jeszcze kiedyś...

– Hej, Blondi, uważaj, jak leziesz – z innego świata wyrywa mnie czyjś opryskliwy głos.

Gwałtownie się zatrzymuję, ale i tak wpadam na taczki, tracę równowagę i ląduję na ziemi. Dopiero teraz rozglądam się dookoła. Co tu się dzieje? Roboty budowlano-remontowe idą pełną parą.

– Co budujecie? – pytam nastoletniej Nadźmy.

– Niii, nic nie budujemy – odpowiada z cudnym wiejskim akcentem.

– To co się tutaj wyprawia? – nie odpuszczam.

– A taki tam baracek stawimy na dachu – odpowiada.

– A po co? – z drżącym sercem kontynuuję, bo w swojej naiwności mam nadzieję, że dla mnie.

– Aaa tam, ktoś miastowy psyjedzie, to będzie miół.

– Mhm. – Odwracam się i mało zainteresowana gościem i rozgardiaszem zmiierzam do siebie.

Wchodząc, potykam się o rzucony na klepisko pled – cóż to, czyżby ktoś miał wyrzuty sumienia? Nawet wiem kto, bo codziennie go widzę i omijam wzrokiem jego psie, poddańcze spojrzenie. Nic mu to nie pomoże, bo teraz już bardzo go nie lubię, choć wcześniej było mi go

nawet żal. Gdy pojechał na *suk* do Ghatu, przywiózł dla mnie bawełniane bluzki, dla niepoznaki zapakowane w gazetę, potem był nadgryziony zębem czasu sweterek z dziurami i portki, które tak śmierdziały w kroczu, że natychmiast je wyrzuciłam. Może jemu wydaje się normalne, że stawia kobietę na równi z kozami, które sobie od jakiegoś czasu bezpardonowo bzykał. Jednak we mnie ciągle tkwi odrobina człowieczeństwa i poczucia sprawiedliwości, która tylko utrudnia mi tutaj życie, a raczej przetrwanie.

– Ty tam, chodź no prędko. – Dziadek nie odważa się wejść do środka i stoi u szczytu mojego szałas, bijąc w prowizoryczne drzwi laską.

– Co takiego?

– Ty teraz, od jutra, będziesz robić w domu, a Ramadan będzie wypasał, jak zawsze bywało – oznajmia krótko i odchodzi.

Rano wchodzę niepewnym krokiem do domu i zastanawiam się, co rodzinka dla mnie przygotowała.

– *Imszi, imsz!*

– Rabi'a wypycha mnie bez ceregieli na zewnątrz. Jest jeszcze grubsza, chyba nieźle jej się wiedzie. – Będziesz wchodzić schodami zewnętrznymi.

– Ale dokąd, przecież one wiodą tylko na dach? – dziwię się.

– I właśnie. Teraz tam będziesz pracować. Lekki *szughul*, nie urobisz się. – Jednak z politowaniem dotyka moich cienkich jak patyki rąk.

Wchodzimy na górę. Znowu zadziwia mnie cudowny widok rozpościerający się z dachu. Zamieram w bezruchu i biorę głęboki oddech.

– Trzeba posprzątać i przygotować wszystko – mówi, zmierzając do świeżo postawionej komórki.

Co to za dom i dla kogo? Przecież pomieszczenie trzy na trzy metry można nazwać tylko celą, zwłaszcza że nie ma okna, a pozostawiono tylko otwór na jedną cegłę.

– Pięknie tu, nie? – pyta z dumą. – I umywaleczka, i nawet chłodzenie! – Uśmiecha się zadowolona.

Dla niej to niewyobrażalne luksusy, bo w żadnym domu w okolicy nie ma klimatyzacji. To chyba będzie jakiś ważny gość – albo może lepiej za niego zapłacili niż za mnie? Czyżbym miała towarzysza w niedoli na zsyłce?

– Kiedy mam zacząć? – pytam, bez wnikania w dalsze szczegóły, bo zapewne niedługo i tak wszystkiego się dowiem.

– Już, już, jak najszybciej! – Macha rękami z przestraszoną miną. – On ma przyjechać lada dzień! – Biegnie do schodów, tak jakby to ona musiała się spieszyć.

Wchodzę do środka pomieszczenia. Wystarczy tylko zamknąć drzwi, zamurować okno i mamy istną celę śmierci.

– Przyjechali, przyjechali! – słyszę nawoływania.

Z dachu mam rewelacyjny widok, a dzięki niewysokiemu murkowi nikt mnie nie może zobaczyć. Wydłubany pustak stanowi małe okienko, z którego przede mną korzystało zapewne niejedno pokolenie kobiet. Mężczyźni, w tym dziadek, który jest tutaj niezaprzeczalną głową rodziny, zbliżają się do bramy. Przyskakują do niej młodszy i usiłują otworzyć metalowe skrzydło, które opadło już wieki temu i od tego czasu nie było używane. Nawet domownicy trzymają swoje zdezelowane pick-upy pod murem na zewnątrz. Po dłuższej walce z bramą wielki jak krowa czarny mercedes wtacza się na podwórze. Dziewczyny i kobiety ukryte za rogiem domu aż piszczą z uciechy, a poważna Rabi'a ucisza je, uderzając tłustą ręką gdzie popadnie, co wzbudza jeszcze większe rozbawienie.

Drzwi samochodu otwierają się powoli, a dziadek i jego syn z nieznaną mi delikatnością

usiłują pomóc wysiąść pasażerowi. W końcu obok auta staje szczupły mężczyzna, ubrany po europejsku, czy raczej w amerykańskim stylu. Ma na sobie nowiutkie dżinsy, kolorową koszulę i kurtkę, a na głowie czapkę z daszkiem. Z tej odległości nie widzę szczegółów, ale ukryta w cieniu twarz sugeruje, że jest to młody człowiek o śmiertelnie bladej cerze. Widać, że jest chory, i to ciężko. Z auta wychodzi zażywny, starszy, elegancki mężczyzna. Jego chód i szpakowata fryzura kogoś mi przypominają. Po chwili zapiera mi dech w piersiach – to ojciec Ahmeda! Nie do wiary, czyżby wysyłali w to miejsce na środku Sahary wszystkich niewygodnych członków swojej rodziny?! W jednej chwili całe ciało pokrywa mi zimny pot i zaczynają trząść mną dreszcze. Może powinnam tam teraz pobiec, może on nic nie wie o tym, co zrobił jego syn, może mnie stąd wyciągnie? Lecz kiedy przypominam sobie nasze ostatnie spotkanie i jego opinię na mój temat – nazwał mnie blond kurwą! – nogi jakby przyrastają mi do podłoża i zaczynam zdawać sobie sprawę z bezcelowości takiej próby. Sama coś muszę wymyślić, bo jeśli sama sobie nie pomogę, nikt tego nie zrobi.

– Blondi, Blondi. – Czuję mocną dłoń na moim karku i słyszę wściekły szept Rabi'i. – Ty nie zabawiaj się w podglądanie, tylko pomóż gościowi tutaj wejść.

– Niby jak? – odpowiadam, zdenerwowana zaistniałą sytuacją i moimi niezbyt optymistycznymi przemyśleniami. – Mam go wziąć na ręce i wnieść? Przecież ten biedak ledwo rusza nogami.

– Raz musi się tutaj wdrapać, a jak to robi, twoja w tym głowa.

Czyli wchodzi i zostaje do czasu, aż go wyniosą. Już mnie to nie dziwi, nie mierzi ani nie przeraża. Może jest to zdrowsze podejście do życia niż ciągła walka i zmagania, które najczęściej i tak nie dają rezultatów? Może lepiej poddać się losowi? Zbiegam na dół i widzę młodego mężczyznę drepczącego jak staruszek. Nie patrzy na mnie ani nie rozgląda się dookoła. Zupełnie nie obchodzi go zewnętrzny świat, idzie w stronę betonowych schodów niczym na szafot. Chyba wie, dlaczego tutaj przyjechał i na jak długo.

– Proszę, proszę tędy. – Podchodzę i z litością biorę go pod ramię, które wydaje się cienkie niczym wyschnięta gałązka. Zwalniam trochę uścisk, bo boję się, że jego kości trzasną mi pod palcami.

– Dziękuję pani, proszę się nie trudzić – po raz pierwszy od niepamiętnych czasów słyszę tak grzeczne słowa wypowiedziane pod moim adresem.

– To nic takiego, będę panu pomagać, do tego tutaj jestem – tłumaczę, prowadząc go jak dziecko stopień po stopniu na górę.

Co jakiś czas zatrzymujemy się, a on opiera się o ścianę i z zamkniętymi oczami łapie nierówny oddech. Zauważam, że twarz ma pokrytą grubą warstwą fluidu, lecz z bliska na cienkiej jak papier, szarej skórze widać bordowo-fioletowe plamy. Na ręce, którą mocno ściskam, też są dwie, a może trzy, a ja z obrzydzeniem usiłuję ich nie dotknąć. Na co on, do cholery, jest chory, może mnie tym zarazi? Docieramy na dach. Osłabiony mężczyzna siada u szczytu schodów, zdejmując czapkę i ociera pot z czoła. Włosy ma przerzedzone, a na głowie też widnieją plamy. Wzdycham i rozglądam się niepewnie dookoła.

– Pójdziemy dalej, dobrze? Odpoczniesz w pokoiku, który ci przygotowali, całkiem przyjemny. – Litość i smutek zdominowały moje uczucia.

Po raz pierwszy podnosi na mnie wzrok i jakby zamarł ze zdziwienia. Nie wiem dlaczego, bo ja go w życiu nie widziałam, a może tylko nie poznaję?

– Blondi, to ty?! – pyta dramatycznym szeptem.

– Tak mnie nazywają.

– Tak, tak, na imię miałaś... jak ta dziewczynka z bajki... – bezwiednie używa czasu przeszłego, tak jakby tamta osoba już nie istniała.

– Nadal na imię mam Dot, Dorota – prostuję, jakbym usiłowała udowodnić, że ciągle jeszcze żyję.

– Tak, tak, przepraszam. Ja jestem Ali, kuzyn twojego męża Ahmeda.

– Ten Ali, który usiłował się zabawić z naszą sześciolletnią córeczką?!

– Mhm – przyznaje speszony i spuszcza wzrok. – Żle postępowałem, byłem głupi, ale kara za moje idiotyczne czyny jest niewspółmiernie wysoka, nie sądzisz?

Nawet nie jestem na niego zła, bo to takie zamierzchłe czasy, a on tak bardzo się zmienił...

Siedzę na krzeselku tuż koło łóżka i delikatnie przemywam szkielet, w którym nie wiem jakim cudem tli się jeszcze życie.

– Ten cholerny AIDS. Nie jestem narkomanem i nigdy w życiu nie byłem na kurwach w Amsterdamie – skarży się słabym głosem. – A może trzeba było...

Ali to jedyny syn siostry ojca Ahmeda, jego najbliższy kuzyn, pupilek rodziny. Od dziecka na wszystko mu pozwalano. Wyciągano go z najgorszego gówna, w które notorycznie się pakował. Tak było od wczesnego dzieciństwa, przez podstawówkę i liceum. Nawet jak zgwałcił dziewczynkę z sąsiedztwa, dziesięcio- czy dwunastoletnią, rodzina jakoś załatwiła problem.

– Nie wiem, może wysłali ją do dalekich krewnych na odludzie, tak jak ciebie i mnie teraz? Wydali za mąż za jakiegoś śmierdzącego starucha ze wsi, żeby miał kolejne ręce do pracy? – zastanawia się. – Może wylądowała w zakładzie karnym, bo była nieczysta i żaden mężczyzna nie chciał dłużej sprawować nad nią pieczy? A może byli nowocześni i dali jej szansę, przekazując rodzinie za granicą? Ukończy tam studia i będzie bojowniczką o prawa kobiet w zacofanych krajach arabskich, takich jak nasz? – Uśmiecha się słabo.

– Czy ciebie w ogóle interesowały dziewczyny powyżej dziesiątego roku życia?! – przerywam mu złośliwie. Gryzę się w język, ale nie mogłam się pohamować.

– Masz rację – mówi jeszcze ciszej, przymykając oczy. – Już dawno powinienem gnić w jakimś więzieniu.

Zapada w płytki, niezdrowy sen. Teraz wszystko go męczy. Przez dwa miesiące choroba bardzo szybko się rozwinęła. Tak jak mówiła Rabi'a – wspiął się tutaj na górę, później może dwa razy wyszedł na świeże powietrze i od tego czasu nie opuszcza pomieszczenia. Zaduch i smród aż dławią w gardle. Jest to mieszanina środków dezynfekujących, leków, gnijącego ciała, zepsutego oddechu i odchodów. Nie sposób tutaj posprzątać, bo pokój jest tak mały, że nie można przesunąć sprzętów. Należałoby je wszystkie wynieść na zewnątrz.

– Pomogę ci – słyszę głos, a już po chwili stoi przy mnie Ramadan. – Przecież nie możesz sama dźwigać takich ciężarów.

Niby skąd on wie, że jest to dla mnie niewskazane. Przecież w obszernej tradycyjnej szacie nic nie widać. Patrzę na Ramadana spod oka i zauważam kolejne zmiany, które w nim zaszły. Nie wiem, jak to zrobił, ale usta zaciska mocno i ani kropla śliny nie łąduje na jego brodzie. Dzięki temu rozwinęły mu się szczęki i teraz nabrał już całkowicie męskiego wyglądu. Ubrany jest w miarę schludnie, w nowoczesne ciuchy – dzinsy, koszulę, trampki.

– No to ruszaj się – burczę na niego. – Póki słońce mocno przygrzewa.

– Przyprawdzą Hamuda, to pomoże z łóżkiem – mówić też zaczął normalniej. Czyżby coś sprawiło, że poukładało mu się w głowie?

– Nie mogłem się odnaleźć, ciągle coś robiłem nie tak, non stop postępowałem źle. Nie byłem też za to karcony. Mój ojciec tylko coraz mniej się do mnie odzywał, a matka robiła się coraz smutniejsza. Lecz ja tego nie zauważałem, totalnie mi to zwisało. – Poprawiam mu poduszki, bo dzisiaj mamy dobry dzień i zanoszę na dłuższą opowieść. – Po wielu miesiącach moich szaleństw wymyślili dla mnie kurację resocjalizacyjną. Nic gorszego nie mogło im przyjść

do głowy.

– A co to było takiego strasznego? Jestem pewna, że chcieli dla ciebie jak najlepiej.

– Oczywiście że tak, ale to dzięki, dosłownie dzięki nim mam teraz AIDS.

– Szukasz winnych, i tyle. Masz to, co sobie sam załatwiłeś.

– Zapewne... – zawiesza głos, a ja zdaję sobie sprawę, że dla niego jest to rodzaj spowiedzi. Muszę mu dać szansę.

– Co to była za terapia? – pytam łagodnie.

– Tak, chcieli jak najlepiej... Mój dziadek, odchodząc na emeryturę, został obdarowany ziemiami pod Misurata, na wschodzie, około trzystu pięćdziesięciu kilometrów od stolicy. Tam mnie wysłali.

– To dla ciebie musiało być rzeczywiście wygnanie.

– O tak, jeden hotel, jeden szpital, parę szkół i w centrum *suk*. W Libii w ogóle ciężko o rozrywkę, tym bardziej w takiej dziurze. A to, że masz luksusowy apartament, łazienkę, jacuzzi i telewizję satelitarną nie oznacza od razu, że będziesz szczęśliwa. Prawie cały czas spędzałem sam, bo lokalne towarzystwo mnie męczyło. Czemu tak to wszystko lekceważyłem?! Czemu byłem taki beznadziejnie głupi i zapatrzony w siebie!?! – wybucha, gwałtownie zalewając się łzami. – Boże, jak bardzo chciałbym cofnąć czas, jak ja bym to teraz umiał docenić!

Delikatnie tulę go do piersi, a on jak dziecko wypłakuje swój żal, rozpacza nad błędami, których już nie będzie mógł naprawić. Ja zaś rozmyślam, że póki serce bije w piersi, póki się żyje, to zawsze jest nadzieja, światełko, które rozjaśnia nawet najgłębszy mrok.

– Dzień dobry, Blondi. – Ramadan coraz częściej szuka mojego towarzystwa i coraz odważniej zbliża się do mnie. – Przyniosłem wam śniadanie. Bardzo dobre, powinno was wzmocnić.

– Dzięki, ale to nie twoja rola, w kuchni rządzą kobiety i one zawsze nas obsługiwały.

– Ale przecież mogę je wyręczyć – tłumaczy się, mimochodem dotykając mojej ręki, którą błyskawicznie odsuwam.

To, co znajduje się na tacy, w połowie tylko może pochodzić z kuchni. Jak długo tutaj jestem, jeszcze nie widziałam, żeby ktoś jadł kupne magdalenki i na śniadanie pogryzał mleczną zagraniczną czekoladę.

– Bank obrabowałeś, czy macie za dużo pieniędzy? – zamiast podziękować, mówię nieprzyjemnie. – A może rodzinka przyjedzie sprawdzić, czym życie swojego pensjonariusza?

– Nie, nie... – tłumaczy speszony.

– A my i tak powiemy, że codziennie dajecie nam kuskus albo rozgotowany makaron z obrzydliwym cebulowo-pomidorowym sosem. I suchą starą chobzę, taką jaką karmicie owce, znaną chyba na śmietniku.

– Przestań, Blondi – wycofuje się powoli.

– Powiesz mi, skąd taka zmiana menu? – dociskam go do muru.

– Dostałem pracę i pomyślałem, że zrobię wam przyjemność – wyrzuca z siebie płaczliwym głosem i ucieka.

– Ale ty go traktujesz – krytykuje mnie nieświadom niczego Ali. – Przecież to dobry chłopak, najporządniejszy i najsympatyczniejszy z całej tej rodzinki. Chyba się trochę w tobie podkochuje, ale to przecież nie grzech – śmieje się, zabawnie podnosząc jedną brew.

Dobry humor i zdwojone siły są jedynie zasługą kolejnej dawki morfiny, której rodzina choremu nie szczędziła. Antybiotyków i kroplówek też jest pod dostatkiem, lecz Ali twierdzi, że na to mamy jeszcze czas.

– Zjemy na dworze? Piękna pogoda i jeszcze nie tak gorąco – wpadam na świetny pomysł. – Wystawię stół i krzesła, co ty na to?

– Świetnie, póki się da, trzeba oglądać świat.

Ze smakiem pochłaniamy wszystko do ostatniej okruszyny, chociaż chory bardzo powoli przeżuwa każdy, najmniejszy nawet kęs i aby połknąć, musi przepijać wodą. Grzybica pokrywa mu usta, język i podniebienie, a ja nie chcę nawet myśleć, co dzieje się w jego wnętrzu.

– Przyjemnie grzeje. – Ali zamyka oczy i z zadowoleniem wystawia twarz na ciepłe promienie słoneczne. Zastanawiam się, czy mu to nie zaszkodzi, ale teraz już chyba wszystko jedno, niech ma trochę przyjemności. – To na czym skończyłem moją opowieść?

– Jesteśmy w Misuracie – przypominam.

– No tak, opowiadałem ci o mojej samotności. Po pewnym czasie został mi przydzielony Murzynek, chyba jakiś Sudańczyk lub Togijczyk. Miałem go do pełnej dyspozycji, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chodził ze mną i oprowadzał po gruntach, sprzątał, karmił, masował plecy. Mój prywatny niewolnik. Miał może dwanaście lat, nie pytałem. Po pewnym czasie podkusiło mnie i kazałem mu się dotykać. Miał takie cienkie dziecięce paluszki, ale chropawe od ciężkiej pracy.

Zamieram, słuchając jego erotycznych wyznań. Chciałabym mu przerwać, ale z drugiej strony ciekawość mi nie pozwala.

– Najpierw wszystko było niewinne. Po jakimś czasie nasze zabawy stały się bardziej wyuzdane, aż w końcu go zgwałciłem. Za pierwszym razem był przerażony, ale stopniowo przyzwyczajał się i ostatecznie sam mnie nagabywał, żebyśmy wciąż to robili. Pewnego razu nie pojawił się rano. Dziadek poinformował mnie, że matka chłopca zmarła na dziwną chorobę i bojąc się zarazy, kazał zrobić sekcję zwłok. Miała AIDS. Potem przebadano całą rodzinę – wszyscy byli nosicielami. Dziadek nie był głupi, słyszał przecież, co się u mnie wyprawiało, ale przymykał na to oko. Teraz sprawa przybrała inny obrót. Nie chcąc się kompromitować w małej misurackiej społeczności, odesłał mnie do rodziców z nakazem jak najszybszego wykonania testów. Wynik był pozytywny.

Milknie i patrzy na mnie wymownie. Dookoła słychać odgłosy wsi i sielskiego życia. Otaczający nas świat jest piękny, a wiosna w Libii to najcudowniejsza pora roku. W powietrzu unosi się słodki, upojny zapach kwitnących łąk, ptaki świergocą, a młode kózki i owce meczą radośnie. My zaś siedzimy smutni, kierując wzrok w przestrzeń. Nasze cierpienie nie pozwala nam cieszyć się urokami życia. Nagle czuję we wnętrzu intensywne przelewanie i jakby łaskotanie od środka. Jak to coś może istnieć, jak w tak wyniszczonym ciele może coś jeszcze wyrosnąć? Nie lubię tego intruza, ale instynkt każe mi położyć rękę na brzuchu i wsłuchiwać się w życie małej, niewinnej i bezbronnej istoty, która jeszcze nie wie, jacy okrutni mogą być ludzie. Dziecko chyba zagnieździło się we mnie na dobre, a ja już przestałam skakać z wysoka na równe nogi, chcąc je z siebie wyrzucić. Ja go do siebie nie zapraszałam, ale ono tutaj też się nie prosiło. Jesteśmy na siebie skazani i trzeba się z tym pogodzić.

Ale mu jeszcze bardziej się pogorszyło, a ja, nie będąc lekarzem, nie mam pojęcia, co robić.

– Trzeba wezwać lekarza, przecież tak nie można! – krzyczę do dziadka, usiłując go przekonać. – Położyliście go tam na górze w tej norze, tej celi, żeby umarł? Trzeba spróbować mu pomóc!

– Dziewczyno, dobre masz serce, nie powiem, i dobra z ciebie opiekunka, ale jak mu w Ameryce takie wielkie doktory nie pomogły, to kto ci tu na pustyni coś może poradzić? No powiedz ty mi? – Poklepuje mnie dla otuchy po plecach i ze zwieszoną głową odchodzi. – Przyśle Ramadana, to będzie ci lżej – rzuca jeszcze przez ramię.

Tego mi jeszcze brakowało! Ja unikam go jak ognia, próbuję ukryć coraz większy brzuch, a ten daje mi go jako stałą asystę. Niech to szlag!

– To w Stanach cię nawet leczyli? – pytam, niewprawnie wbijając igłę z kolejną dawką medykamentu, który już nie pomaga.

– Tak. A skąd wiesz, mówiłem? – pyta, ledwie łapiąc oddech.

– Dziadek mi powiedział.

Ali obejmuje mnie wpół, usiłując podnieść się na poduszkach. Jego spocona twarz gęsto obsiana jest ciemnymi mięsakami, popękane usta są prawie sine, a suchy język staje mu w gardle kołkiem. Poję go przez rurkę, ale to nic nie daje. Już nie jest w stanie płukać gardła, bo mógłby się śmiertelnie zadławić. Po pół roku tutaj choroba Alego przeszła w ostatnie stadium. Nagle czuję jego kruchą dłoń na swoim brzuchu.

– Dobrze się maskujesz, ale już niedługo nie dasz rady tego ukryć – mówi ze smutkiem. – Kto ci dał ten prezent? Mąż na czułe pożegnanie?

– Żartujesz chyba. – Odskakuję od niego jak oparzona i staję w pewnej odległości, poprawiając fałdy tkaniny na już całkiem pękatym brzuchu. – Ja tutaj jestem ponad półtora roku – informuję go.

– Czyli tutaj, ktoś z lokalnej rodzinki... Ha, już wiem. – Widzę błysk w jego wyblakłych oczach. – To dlatego go tak nie lubisz i dlatego on tak o ciebie zabiega i dba. To co ty teraz zrobisz? Co ty tutaj jeszcze robisz?! – pyta, podnosząc głos.

– A co ja niby mogę, może ty mi powiesz?

– Uciekaj stąd, spierdalaj przed siebie, gdzie cię oczy poniosą.

– Żartujesz, dokąd i jak? Wszędzie dookoła pustynia, ja nie mam żadnych papierów, a na dokładkę teraz to już trochę za późno na kilometrowe piesze wędrówki.

– Słuchaj, przed przyjazdem tutaj czytałem w jakiejś gazecie, że Libia otwiera się na turystów, ale jak na razie w większości jest to tylko turystyka pustynna. Ludzie z całego świata przyjeżdżają tutaj, żeby pogrzebać się w piasku i postawić parę babek. W tej dziurze jest podobno jakiś kemping, takie szałas, widziałem w Internecie, i mnóstwo cudzoziemców się w nim zatrzymuje na nocleg, bo w końcu po dniach mycia się w kubku wody chcą wziąć prysznic i wałnąć kupę do ubikacji.

– Mów dalej. – Czuję, że brak mi tchu.

– Musisz się tam jakoś niezauważenie podkraść, zbadać sprawę, złapać jakichś dobrych, życzliwych i odważnych ludzi i namówić ich, żeby ci pomogli stąd uciec. Kobieto, do dzieła! – wykrzykuje radośnie.

– Nie, teraz nie mogę ciebie zostawić, muszę być przy tobie...

– Oszalałaś! Musisz myśleć o sobie, bo mnie już tak jakby nie było, rozumiesz!? Nie możesz mieć wyrzutów sumienia, bo ja już jestem trup.

– Nie wiem...

– Nie myśl i nie zastanawiaj się, bo za chwilę będzie dla ciebie za późno. Może i nie lubisz tego dziecka w sobie, ale ono jest bardziej twoje niż jego, bo ty je nosisz, ty je karmisz i ty je wydasz na świat. Nie skazuj je na życie tutaj, bo to gorsze niż wyrok śmierci. Jeśli rodzinka dowie się, że to potomek ich przyglupawego chłopaka, zaraz cię za niego wydadzą i zrobią z was wzorowe pustynne stadło.

– Nie zaszkodzi się przejść i zobaczyć, jednak w lecie chyba tylko idiota może przyjechać na zwiedzanie pustyni – zastanawiam się głośno, z mocno wałącym sercem.

– Będzie ciężko kogoś teraz uświadczyć, ale może będziesz miała szczęście, spróbuj.

Następnego dnia rano z duszą na ramieniu wymykam się z domu. Mam teraz takie zajęcie, że rodzina czasem całymi dniami mnie nie widuje, więc nikt nie będzie mnie szukał i nabierał jakichś podejrzeń. Ciężko mi iść, bo mimo wczesnej pory upał daje się we znaki, a brzuch ciąży coraz bardziej. Kemping jest całkiem blisko, może kilometr od naszej farmy.

Dochodzę do niego zlaną potem, lecz z sercem przepełnionym nadzieją. Tak jak przewidywałam, obiekt wygląda na wymarły i jest zamknięty na głucho. Obchodzę go dookoła i znajduję na tyłach w ogrodzeniu z opuncji małe przejście. Przeciskam się przez nie, targając włosy i raniąc ramiona. Po chwili stoję już w środku na małym parkingu, na którym oczywiście nie ma ani jednego samochodu. Jak już tutaj jestem, rozejrzę się trochę. Te szalasiki z dachami z palmowych liści wyglądają całkiem ładnie i przytulnie. Uchylam niedomknięte drzwi i wchodzę. W środku są dwa metalowe łóżka przykryte kolorowymi pledami, obok jakaś prymitywna drewniana szafka, toaletka i lusterko. Łazienki brak, więc zapewne musi być wspólna na zewnątrz. Kiedy obracam się do wyjścia, otwór drzwiowy zostaje przez kogoś zasłonięty i w pomieszczeniu zapanowuje półmrok. Czuję charakterystyczny smród arabskiego męskiego potu i zdaję sobie sprawę, że to na pewno nie jest bogaty amerykański turysta. Strach łapie mnie za gardło.

– Czego tutaj szukasz, kobieto – mówi do mnie po arabsku, z klasycznym beduińskim akcentem. – To teren prywatny, tutaj nie wolno wchodzić! – podnosi głos.

– Ja... – zaczynam niepewnie.

– A może coś tutaj chciałaś ukraść, co? Złodziejka!

– Nie, nie, ja przepraszam... – szepczę przerażona. – Słyszałam, że tutaj można dostać pracę – nagle przychodzi mi do głowy idealne kłamstwo.

– I szukasz jej w domu, a nie w biurze? – śmieje się. – A jak weszłaś, kiedy wszystko było zamknięte?

– Tam było takie przejście, myślałam, że można...

– Już coś na pewno ukradłaś, zaraz sprawdzimy. – Mężczyzna, wielki chłop w brudnej flanelowej koszuli i wytartych dżinsach, powoli do mnie podchodzi. – Ooo! – wykrzykuje zadowolony. – Toś ty nie Arabka, tylko jakaś *adżnabija*poprzebierana! – Śmieje się, ukazując szczerbaty uśmiech. – Cudzoziemka, tutaj, ale mam dzisiaj szczęście! Pokaż no ty, co tam już zdążyłaś ukraść. – Dwoma susami przyskakuje do mnie i łapie mnie za piersi. Chcąc chronić brzuch, odwracam się do niego plecami i kulę w sobie. – Patrzcie jaka chętna, od razu się nadstawia. – Wielką łapą chwytam mnie za pośladek, usiłując wsadzić we mnie swoje paluchy. – Nie broń się teraz, bo sama tego chciałaś – szepcze mi do ucha, a jego cuchnący oddech zapiera mi dech w piersiach.

Opieram się brzuchem o drewnianą komodę i dochodzę do wniosku, że jak nie będę walczyć, to szybciej będę miała z głowy to, co i tak jest nieuniknione. Może też nie skrzywdzi mnie tak bardzo, może nie zaszkodzi to dziecku. W siódmym miesiącu jeszcze wolno uprawiać seks, ale nie na siłę. Poddaję się bezwolnie i mężczyzna zaczyna wyładowywać na mnie długo hamowane chucie. Myliłam się co do uległości – nie zmienia to w najmniejszym stopniu brutalności gwałciciela. Przypiera mnie tak mocno do komody, że prawie tracę przytomność. Kiedy zaczynam się osuwać na podłogę, rzuca mnie na skrzypiące łóżko i wskakuje na mnie całym swoim ciężarem. Czuję jak stare metalowe sprężyny wbijają się w mój twardy, napięty brzuch, gwałtowny ból rozrywa mi krzyż i zaczynam krzyczeć. Napastnik zatyka moje usta poduszką i jeszcze długo kontynuuje rozpoczęte dzieło. Kiedy słońce chyli się ku zachodowi, zadowolony zbiera się do odejścia.

– To rozumiem, dobry dzień – mówi ze śmiechem, rzucając kilkadziesiąt dinarów na koc tuż przed moim nosem. – Tam są łazienki, możesz nawet z nich skorzystać, bo przed wrześniem i tak pies z kulawą nogą się tutaj nie pojawi. Ale potem posprzątaj po sobie. – Siada na łóżku i obraca moją twarz w swoim kierunku. – Jak chcesz, możesz tutaj częściej przychodzić, ja jestem dwa razy w tygodniu, ale mogę być nawet codziennie. – Klepie mnie po policzku. – No mała, dobry układ? Chciałaś przecież coś zarobić, to nadarza ci się okazja. – Wstaje i znika w półmroku.

Zamykam oczy i czuję coraz mocniej promieniujący ból, obejmujący szerokim pasem plecy i dół brzucha. Jakaś mokra ciecz wypływa ze mnie szerokim strumieniem, co troszeczkę łagodzi cierpienie. Po chwili łapie mnie pierwszy skurcz i teraz już doskonale wiem, co to oznacza. Muszę jak najszybciej znaleźć łazienkę. Z toaletki biorę dekoracyjny nożyk do kopert i zgięta wpół wychodzę na zewnątrz. W tym momencie pokonanie dystansu nawet stu metrów stanowi dla mnie nie lada wyczyn. Częste skurcze rozrywają mój brzuch, padam na kolana i znów się podnoszę. W ostatniej chwili wchodzę pod prysznic, puszcza zimną wodę i kucam, wyciskając z siebie małego okrwawionego chłopczyka. Nie rusza się, nawet nie drgnie. Dotykam go delikatnie palcem, skrawkiem bluzki czyszcze mu buzię, ale niczego to nie zmienia. Życie nie chce już do niego wrócić. Rodzę łożysko, potem urywam kawał materiału z sukni i zawijam w niego szczątki mojego dziecka jak w całun. Jeszcze długo siedzę pod letnią wodą, zmywam z siebie bród i krew, i cały gnój tego świata. Piorę pokrwawioną suknię, podkoszulek i naderwane majtki. Błyskawicznie schną w nieustającym upale. Dziecku kopię mały grób pod opuncjami, przywalam kamieniem, żeby dzikie psy go nie wywęszyły, i kieruję się do domu. Teraz wiem już na pewno, że muszę czekać do września i ani chwili dłużej.

Choroba Alego weszła w ostatni etap. Obawiam się, że przez upały i ciągle włączony klimatyzator musiało go zawiać, a w jego stanie o zapalenie płuc nietrudno. Sięgam po notes z instruktażem, który mi zostawiono, żeby wiedziała, co mu aplikować na jaką chorobę. Cały czas leki na wzmocnienie i postępującą leukocytozę. Grzybicę i mięsaki Kaposiego ma od początku i dlatego prawie nie ma już na nie leków. Jako następny punkt mam opisaną pneumonię. Więc oni doskonale wiedzieli, jak to będzie przebiegać, a mimo to zostawili go tutaj na śmierć w męczarniach, bez fachowej opieki. Choćby nie wiem co złego zrobił, jak wiele w życiu narozrabiał, nie zasługuje na to.

– Dziadku, Ali się dusi. Mam napisane, że musi dostawać tlen – mówię oziębłym tonem do starca, który wyleguje się w błogim zadowoleniu na materacu w cieniu oliwek.

– My tylko czekaliśmy, kiedy z tym przyjdiesz – oznajmia. – Zaraz wezwę chłopaków, to wszystko wniosą na górę.

– Dużo miejsca to zajmie? Tam już teraz nie ma gdzie się ruszyć.

– To takie coś jak butla gazowa w kuchni, tylko trochę cieńsze i wyższe. Ponoć stawia się za łóżkiem, za głową chorego, ale można też obok – tłumaczy.

– Chyba do tego jeszcze coś jest potrzebne, taka maszyna do dozowania i rurki, i...

– Tutaj nie bawimy się w szpital dwudziestego pierwszego wieku. Ma być tlen i jest tlen.

Butla, rurka i maseczka – przerywa mi, nad podziw rześko stając na nogi. – Za pięć minut wszystko będzie na górze. Ramadan, Hamuda, do mnie, chłopaki!

Uprzątnęłam, co się dało, wycofałam jedno krzesło, nogi łóżka dosunęłam parę centymetrów do samej ściany – może jeszcze coś się tutaj zmieści.

– Dawaj, dawaj! – słyszę zbliżające się głosy.

Ali patrzy na mnie ze zdziwieniem, nie mogąc wydobyć z siebie nic oprócz charkotu.

– Spokojnie, zaraz będzie ci się lżej oddychało – pocieszam, ocierając mu pot z czoła.

Po paru minutach po podłączeniu prymitywnej aparatury jest już dużo lepiej. Pacjent dostaje teraz dawkę penicyliny i morfiny i zapada w niezdrowy sen, a ja siedzę przy nim bez ruchu i patrzę ze współczuciem. Z zamyślenia wyrывa mnie cmokanie, klasyczne arabskie przyzywanie. Obracam się w stronę niedomkniętych drzwi i widzę Ramadana z wielką oszronioną butlą fanty w ręce. Ślina napływa mi do ust, dawno czegoś takiego nie piłam.

– Co takiego? – mówię jednak opryskliwie.

– Może chcielibyście w taki upał napić się czegoś innego niż woda? – zadaje głupie pytanie.

– Dziadek dla nas kupił czy zwędziłeś z kuchni?
– Byłem w sklepie. Lody też bym kupił, ale bym nie doniósł. Może kiedyś pójdziesz ze mną, to zjemy na miejscu...

– Ty mnie na randkę zapraszasz czy jak?! Przecież tutaj nie wolno! *Mamnu'u!*

– Dziadek pozwolił, powiedział, że dobrze...

– Że jak mianowicie!? – nie mogę uwierzyć własnym uszom, wietrzę w tym podstęp. – Pytałeś szabaniego?!

– Tak się należy – mówi jak mały grzeczny chłopiec. – Jeszcze by Nadźma z nami poszła...

Wyrwam mu butelkę z ręki, wpadam do pomieszczenia i zatraskuję z rozmachem drzwi. Wszystko aż zadrżało, a Ali otwiera do połowy oczy.

– Co jest, co się dzieje? – pyta cicho, ale widzę, że jest z nim już dużo lepiej niż rano.

– Nic takiego – mówię nerwowo przez zaciśnięte zęby. – Dostaliśmy do picia coś słodkiego, lodowatego i gazowanego. Wielkie święto.

Patrzy na mnie uważnie, już trochę bardziej przytomnym wzrokiem.

– Zapewne przyniósł to twój ulubieniec Ramadan?

– Nie igraj ze mną, bo nic nie dostaniesz, ani kropelki. Wszystko sama wypiję – mówię, ciągnąc zachłannie z wielkiej butli, aż cieknie mi po brodzie.

Kiedy zaspokajam pierwsze pragnienie, przytykam plastikowy kubek do spieczonych gorączką warg Alego. Nie wiem, czy to mu nie zaszkodzi, ale...

– Rzeczywiście dobre, lecz ten gaz i chemia wypalają mi jeszcze większe rany w ustach. Niestety, nie dla mnie, wypij wszystko. – Delikatnie odsuwa moją rękę. – Następnym razem się dołączę – mówi, mrużąc jedno oko.

– To może coś zjesz? Miękki biszkopczyk zalej ci mlekiem, łatwy do przełknięcia.

– Nie, dzięki, nie jestem głodny. – Patrzy na mnie wzrokiem tak łagodnym, jak nie z tego świata.

– Polecę na dół i powiem, żeby ci ugotowali rosół z kurczaka, najlepszy na płuca, naprawdę, działa jak lekarstwo – zrywam się na równe nogi i wybiegam.

Po chwili spocona, lecz zadowolona z siebie, jestem z powrotem. Ali nie zmienił pozycji i zastanawiam się, czy jeszcze żyje. Mrugnął okiem, a ja oddycham z ulgą.

– Miałaś minę, jakbyś zobaczyła zjawę. – Śmieje się samymi wargami.

– Ali, nie strasz mnie, proszę cię. – Siadam obok i biorę jego lodowatą i wilgotną dłoń w swoje gorące ręce.

– Jednak Allah nade mną czuwa, a myślałem, że zawczasu mnie przeklął.

– Jak to?

– Wróciłem ze wspaniałego ośrodka w Ameryce, gdzie umierałbym pod czułą opieką obcych, ale oddanych sprawie ludzi. Idiota! Zateśniłem do domu, do rodziny. Kiedy mnie zobaczyli, wściekli się. „To my majątek, zboczeńcu jeden, na ciebie wyrzucamy, opłacamy wszystko, a ty nam robisz taki numer i przyjeżdżasz tutaj, do Libii?! W takim stanie?! Nie dość, że konta przez ciebie mamy wypłukane, to jeszcze musisz rodzinę kompromitować?! Nie do pomyślenia, co za wredna poczwara, co za egoista!”. Debatowali tydzień i uradzili, że na pustyni każdy zniknie, tutaj nikt o nic nie pyta, a ta rodzina już wielokrotnie zajmowała się wyrzutkami naszej wielkiej wspaniałej rodziny. Żeby tylko nie stracić dobrego imienia.

– No i gdzie to twoje szczęście, gdzie ten palec boży?

– Spotkałem tutaj dobrą kobietę, która została moją opiekunką, moją Beatrycze, moją przewodniczką. Teraz niestraszna mi śmierć, bo najgorsze przeszedłem z tobą...

– Daj spokój – przerywam mu zażenowana.

– Daj mi powiedzieć do końca, bo nie mam siły się z tobą przekomarzać. Dziękuję za wszystko, ale na ciebie już czas. Zaczyna się sezon turystyczny i to twoja jedyna szansa. – Delikatnie, dwoma palcami dotyka mojego zapadniętego brzucha. – Nie pytam dlaczego ani jak to się stało, ale teraz masz większe szanse. Ratuj się, zrób to nie tylko dla siebie, ale przede wszystkim dla swoich córeczek. Wyciągnij je z tego kraju, gdzie honor nakazuje rodzicom zostawiać dzieci w potrzebie, gdzie wyrzuca się i hańbi dobre żony i przymyka oko na niejedną zbrodnię. Daj im normalne życie w normalnym, praworządnym świecie.

Ucieczka

Stoję na dachu i rozkoszuję się chłodem nocy. Słońce zaszło dopiero przed chwilą, lecz mrok błyskawicznie zasnuł wszystko.

– Dobrze by było tego chłopaka ustawić, dać mu zwyczajne życie – słyszę głos dziadka, dobiegający wraz z egzotycznym zapachem z sziszy z oliwnego gaju.

– Ja wiem, ojczy? Przecież on jest głupol.

– Każdemu coś się należy. A od jakiegoś czasu jemu całkiem się polepszyło, nawet twarz zrobiła mu się taka normalniejsza.

– Co racja, to racja.

– I pracę sobie znalazł...

– Ale która go zechce i ile nas by to kosztowało? Nie lepiej trzymać go przy rodzinie, bez kłopotów i zbędnych wydatków? W końcu mamy jeszcze dodatkowe ręce do pracy.

– Ty, mój synu, myśleć nie potrafisz. – Dziadek cmoka ze zniecierpliwieniem. – A któż by się takiego dobrego pacholka pozbywał? Głupi jedynie! Mamy tu jedną kobietę, wolną, bo mąż się jej wyrzekł...

– Co?! Taką nieczystą, adźnabiję?!

– Kto to wie, gdzie prawda leży. Ja o jej mężu niejedno słyszałem, w telewizji ponoć był.

– To sławny jakiś?

– Nie tyle sławny, ile głupi, bo w niebezpieczną politykę się władował. Może to on jest ten zły, a kobieta tylko przez niego pokrzywdzona.

– Co ty, ojczy, opowiadasz!?! Toż to mężczyzna, wie, co robi!

– Bóg jedynie wie, co robi, i zna nasze serca...

– *Ma sha Allah* – mówią chóralnie.

– Ona mi wygląda na dobrą kobitę, patrz, jak się tym chorym zajmuje, a dla naszego Ramadana będzie idealna. Czy ty oczu nie masz, mój synu?

– Aaa co takiego? – odpowiada niepewnie.

– Toż ten twój chłopak świata poza nią nie widzi! Takie buty!

– *Wa Allahi...*

– Dla niego będzie dobrze, dla nas tanio i bez zmian, a *adźnabija* i tak nie ma dokąd pójść i co ze sobą zrobić.

Dobrze twój stary ojciec wymyślił, hę?

Słysząc śmiechy i mocniej czuć zapach tytoniu. Mężczyźni podjęli życiową decyzję za dwoje dorosłych ludzi i teraz napawają się swoim geniuszem.

– A gdzie będą mieszkać? – pyta jeszcze syn.

– Pomieszczenie na górze niedługo się zwolni, szybko dobuduje się jeszcze jedną izbę i mają warunki lepsze, niż mogliby zamarzyć.

Wszystko mam przygotowane i o świcie chwytam tylko tobolek, dotykam na pożegnanie ledwo letnią dłoń Alego i znikam w rzedającym mroku nocy. Muszę się spieszyć, bo słońce tutaj tak samo błyskawicznie wschodzi, jak zachodzi. Prawie biegnę przez modlące się o tej porze miasteczko – mam pół godziny, żeby skręcić w piaszczystą pustynną drogę, następne pół, aby minąć ostatnią oazę po lewej stronie, a potem zostaje mi już tylko wędrówka w stronę widniejących na horyzoncie ciemnych gór Akakus. Tam są wszystkie te ciekawe miejsca, do których podążają turyści z całego świata: ryty naskalne, malunki i cuda natury. Ali doradził mi, żebym dostała się na pustynny utwardzony szlak, po którym przemierzają się turystyczne jeepy i ciężarówki jadące do Czadu. Poznam go na pewno po rozjeżdżonym piasku. Jak zobaczę

ciężarówkę, muszę udawać beduinę wracającą do koczowiska na pustyni, a gdy pojawi się karawana terenowych aut, mam prędko zrzucić z siebie tradycyjne arabskie łąchy i zostać w podkoszulku i dżinsach, które w tajemnicy udało mi się kupić na małym suku w Al Awainat za ciężko „zarobione” na kempingu przeze mnie pieniądze. Dostałam tam też trampki, lecz potem dokupiłam jeszcze adidas na grubej gumowej podeszwie, bo przez cienkie spody chińskich butów wrzący piasek błyskawicznie poparzyłby mi stopy. W tłumoczku schowane są też dwie pary skarpet, majtki, podkoszulek na zmianę i kawałek bawełnianej szmatki jako ręcznik. Mam też wodę, ale tylko dwie półtoralitrowe butelki i muszę ją oszczędzać, bo na pustyni jest cenniejsza od złota. Upał jest jednak tak silny, że zużywam połowę zapasu pierwszego dnia. Nie widać już miasteczka ani oazy za mną – otacza mnie nieprzebrane morze piasku. Czuję się mała i bezbronna wobec tego ogromu. Zbiera mi się na płacz, lecz szybko doprowadzam się do porządku. Mam przed sobą cel, który za wszelką cenę muszę osiągnąć, ktoś we mnie wierzy i ktoś na mnie czeka. Nie poddam się, nie pierwszego dnia.

Zaprawiona w długich wędrówkach przy wypasie owiec w ogóle nie czuję pokonanych kilometrów. Zmierzch zapada bardzo szybko, lecz mimo szarówki decyduję się maszerować dalej. Spoglądam w niebo i doskonale się orientuję, w którym kierunku muszę zmierzać. Po pewnym czasie nie da się już iść. Jest ciemno, choć oko wykol i mogę wpaść w krater między wydmami lub w ruchome piaski. Kopię mały dołek na wzniesieniu, szczelniej zawijam się w materiał, chustą osłaniam głowę przed wiatrem niosącym niewidoczny pył, zwijam się w kłębek i odpoczywam, powoli pogryzając słodki sucharek. Na deser jem daktyla, przepłukuję usta jednym łykiem wody i usypiam zmęczona, lecz zadowolona z siebie.

Znajduję szlak samochodowy, ale nie ma na nim żywej duszy. Nie wiedząc, czy iść w lewo, w kierunku wielkich gór, których się boję, czy w prawo, w stronę nieprzebranych piasków, siedzę parę godzin na poboczu drogi. Co jakiś czas wstaję, rozprostowuję nogi i rozglądam się dookoła, wytężając z całych sił wzrok. Tak marnuję prawie całe przedpołudnie. Potem ruszam przed siebie, wybierając jednak miękki złoty piach, a nie zimne szczyty, w których czają się dziny. Kieruję się strachem, a nie rozsądkiem czy wiedzą.

Czwartego dnia dochodzę do wniosku, że gdybym zdawała sobie sprawę, na co się porywam, to dobrowolnie zostałabym w oazie i rodziła Ramadanowi co rok dziecko. Jak można się ludzić, że na tak olbrzymim terenie natknę się na wycieczkę zagranicznych turystów?! Jaka ze mnie idiotka! Jednak prę naprzód, byle się nie poddać. Przed oczami mam twarz małej, ślicznej Marysi i obraz Darii, która łączywie ssie mleko z mojej piersi. Teraz będzie już dużą dziewczynką, a ja mam zamiar ją zobaczyć, zabrać i już nigdy się z nią nie rozstawać.

W głowie mi szumi, bo woda i jedzenie skończyły się już dawno. Ali dał mi trochę witamin z minerałami, więc wsadzam je pod język i tym żyję. Oddałabym królestwo za kroplę płynu. Dawno już zrzuciłam śmierdzące arabskie ciuchy, tylko głowę owijam chustą, chroniąc się przez zabójczym słońcem. Podnoszę wzrok i daleko przed sobą widzę górę unoszącego się pyłu. Wiem, co to może oznaczać – jest to albo trąba powietrzna, albo pojazdy, którym kurz wzbija się spod kół. Rzucam się biegiem do przodu, czując, że to mój ostatni wyczyn i ostatnia szansa. Jeśli nie teraz, to nigdy. Jak na dzieło natury piach wiruje zbyt nierówno i nie układa się w klasyczną śrubę. Nagle zza beżowej zasłony wyjeżdżają wprost na mnie motory. Boże, mam nadzieję, że to nie fatamorgana! Resztką sił biegnę jeszcze parę kroków, machając chustą i krzycząc jak obłąkana. Jedna maszyna zatrzymuje się i kierowca pokazuje coś reszcie, wskazując w moim kierunku. Nagle świat jakby poruszał się w zwolnionym tempie, klatka po klatce, mój głos robi się grubszy, a nogi grzęzną w mialkim piasku jak w śmietanie. Zapadam w ciemność.

– Kobieto, co ty tutaj robisz? – słyszę pytanie zadane po angielsku i jak przez mgłę widzę pochylające się nade mną zatroskane twarze.

– Wody, proszę, pić... – szepczę i po chwili zanurzam usta w lodowatym słodkim napoju.
– To cię postawi na nogi. Słuchaj, my mamy kierowcę Tuarega i przewodnika Berbera, obaj Libijczycy. Jeśli nie możesz się ujawnić, to mów, wtedy przemycimy cię do obozu i schowamy w naszym transporterze – mówi miły młody blondyn, uważnie mnie obserwując.

– Nie mam dokumentów, więc lepiej, żeby mnie nie znaleźli – szepczę, a w oczach moich wybawców pojawia się nieufność. – Nikogo nie skrzywdziłam, nikogo nie zabiłam ani nic nie ukradłam – mówię szybko. – Zostałam tutaj przywieziona, zamknięta i wykorzystana jak niewolnica, moje dzieci porwał mąż Libijczyk, dwie małe dziewczynki... Nie widziałam ich od dwóch lat... dwa długie lata... – Zaczynam płakać i brakuje mi tchu.

– Dobrze, dobrze, resztę, jak będziesz chciała, opowiesz później – przerywa mi mężczyzna. – Tylko gdzie chcesz się dostać, kto może ci pomóc?

– Do Trypolisu, do ambasady. – Całkiem już oprzytomniała siadam, gotowa do dalszego działania. – Mam w stolicy sporo przyjaciół, parę lat w tym kraju przeżyłam.

– A jaka ambasada, bo mamy jednego Włocha, który jest konsulem – informuje ktoś z coraz większej grupy zbierającej się wokół mnie. – Giuseppe, chodź no tutaj. Masz robotę, widzisz, nie udało ci się wyrwać z biura. – Wszyscy wybuchają śmiechem.

– Nie, nie, dziękuję. Ja chyba muszę zwrócić się do mojej placówki. Jestem Polką...

– Poważnie? – odzywa się po polsku ów przystojny blondyn, który przywrócił mnie do życia, dając pić. – Łukasz jestem, a ty...?

– Ej, Dorota. – Czuję, jak ktoś mierzwi moje włosy i podnosi głowę. Przez małe okienko między szoferką a paką zwisa Łukasz z komórką w wyciągniętej ręce. – Mamy już zasięg, do Trypolisu niecałe sto kilometrów...

– Ale ja tutaj nic nie słyszę, to jak mam rozmawiać? – Rozkładam bezradnie ręce.

– Spokojnie – śmieje się życzliwie. – Zaraz zatrzymamy się na parkingu obok knajpy, bo wszyscy są już głodni. Ty skontaktuj się, z kim możesz, żeby cię odebrał w jakimś punkcie. Możemy też zawieźć cię na miejsce – mówi z troską, a mnie łzy zbierają się w oczach. – Ej, taka dzielna dziewczyna, pół Sahary przeszła i teraz się maże... Czekać, idę do ciebie.

Po chwili ciężarówka zjeżdża na pobocze i hamuje z piskiem opon. Łukasz przeciska się do mnie między motorami, przeskakuje przez paki i wielkie metalowe lodówki na żywność i w końcu wślizguje się do miękkiego, wyścielonego pledami i kocami gniazdka. Ktoś zatraskuje wielkie drzwi i zapada półmrok.

– Hej, tutaj nie jest tak źle, całkiem jak w moich schronach, w których się bawiłem, będąc chłopcem.

Podkurczam nogi, obejmuję je w kolanach i ukradkiem ocieram łzę.

– Jeśli nikt się nie odezwie, Giuseppe obiecał wziąć cię na jakiś czas do siebie. Ma tak wielką rezydencję, że można się w niej zgubić, więc tym bardziej nikt cię tam nie znajdzie – pociesza mnie, nieśmiało poklepując po ręce.

– Kiedy wylatujecie z Libii? – pytam zrozpaczona perspektywą pozostania znów samej i zdanej na łaskę losu.

– Większość dzisiaj w nocy, Italiano i jego dziewczyna oczywiście zostają, a ja zabukowałem się na za tydzień, bo chciałem jeszcze zobaczyć Leptis Magna i Sabratę, i liźnąć trochę Trypolisu.

– Znam te miejsca, warte zwiedzenia – przerywam. – Ale w stolicy niewiele jest do oglądania, no może Plac Zielony i stare miasto z tureckim sukkiem.

– Jak chcesz, to zostanę dłużej, żeby ci pomóc. Wizę mam jeszcze ważną – oferuje zupełnie naturalnie.

– Dzięki, ale nie chciałabym...

– Żaden kłopot, nie mam nic ważniejszego do roboty. – Auto hamuje, a Łukasz gramoli się z kryjówki. – Przyniosę żarcie, to zjemy razem... żeby ci nie było smutno. – Uśmiecha się i z zakłopotaniem drapie po głowie. Otwiera drzwi i wyskakuje na zewnątrz.

Zostaję z telefonem w garści i wybieram numer, który nigdy nie uleci mi z pamięci.

– Basiu, to ty? – pytam szeptem.

– Taaak.

– Jak się masz, jak zdrowie, a co u Hassana, jak dzieci, dalej tak rozrabiają? – na przywitaniu zarzucam ją serią tradycyjnych arabskich pytań. – Tak się cieszę, że nie zmieniłaś numeru telefonu, Basiuniu. – Prawie płaczę ze szczęścia.

– Docia, to ty? – jej głos przechodzi w pisk. – Ty żyjesz?! Jak to, gdzie jesteś? Dziewczyno, ja chyba śnię! Hassan, Dotka dzwoni, Hassan! – słyszę, jak drze się do męża, a mnie bębni w uszach pękają.

– Żyję, tylko teraz trochę przygłucha – śmieję się przez łyzy.

– W Trypolisie poszła fama, że miałaś wypadek samochodowy i trup na miejscu, a cała twoja libijska rodzinka rozmyła się we mgle. Wszyscy cię oplakiwaliśmy, a dla nas, libijskich Polonusek, zrobiłam małą stypę na twoją cześć. Wszystkie się uchlałyśmy. – Pociąga nosem.

– To może oznaczać tylko jedno: będę żyła długo – mówię szczęśliwa, że ktoś jednak o mnie pamiętał.

– Zapytaj ją w końcu, gdzie jest, zaraz tam jadę – słyszę zdenerwowany głos Hassana.

– Nie mam pojęcia, gdzie się znajduję, ale opiekują się mną dobrzy, cudowni ludzie, międzynarodowe towarzystwo. Jadą do Trypolisu, mówili, że mamy jeszcze jakieś sto kilometrów.

– Jak cię znajdziemy? – Hassan wyrywa Baśce słuchawkę.

– Wiesz co, to może oni mnie do was podrzucą, sami zaproponowali. Mieszkacie na starych śmieciach?

– Tak, dalej na Gurdzi i nigdzie nie mamy zamiaru się przeprowadzać – zadowolony Hassan powoli się uspokaja. – Chyba trafisz do nas?

– Z zamkniętymi oczami – śmieję się rozczulona i po raz pierwszy od opuszczenia Al Awainat oddycham z ulgą.

Uściskom i łzom nie ma końca.

– Baśka oczywiście chciała od razu zaprosić wszystkie wasze koleżanki, ale nad tym trzeba się dobrze zastanowić – rozsądnie zauważa Hassan. – Obawiam się, że wszystko musimy zachować w jak najgłębszej tajemnicy.

– Popieram – do rozmowy włącza się Giuseppe. – Już miałem takie sytuacje. Nie wolno ich nagłaśniać, nie w tym kraju, i należy działać jak najszybciej. Lepiej nie wychodzić z domu do momentu, aż wszystko będzie załatwione i będziesz już razem z córkami jechała na lotnisko, do portu lub na zieloną granicę.

– Ale ja nie mam pojęcia, gdzie są moje dzieci i czy jeszcze żyją! – trzęsącym się głosem informuję moich nowych przyjaciół. – Jak ja je odnajdę, siedząc tutaj i pijąc kawę?

– Musisz przeprowadzić delikatny wywiad. Ja mam takiego tutejszego detektywa od ciemnych spraw...

– Libijczyk!? – wszyscy zgodnie oponujemy, a najgłośniej Hassan.

– Spokojnie, matka Włoszka, ojciec libijsko-amerykański. Gość w porządku, nieoficjalnie działa w organizacji praw człowieka, więc wie, co robi. Też jest po przejściach – tłumaczy Giuseppe.

– Najgorsze, że mamy teraz takiego głupiego konsula, że z nim już nic się nie da – włącza się Baśka. – Facet nie do życia, egoista.

– Ja z nim porozmawiam, jak z kolegą po fachu – mówi Giuseppe. – Jeśli mimo wszystko nie będzie chciał nic zrobić, to sam ci pomogę. W końcu do Libii od wieków przybijają włoskie galery, a na ich pokładzie ciężko coś znaleźć, a i mało komu chce się szukać.

– Zadzwoń do Samiry, to dobra dziewczyna, jak nie z tej rodziny – mówię do Basi po ponad dwóch tygodniach poszukiwań, które nic nie dały.

– Myślisz, że będzie pod starym telefonem? Jak wyjeżdżasz za granicę, to zmieniasz operatora na lokalnego, bo jest taniej. Sama mówiłaś, że gdzieś się wybierała.

– Tak, ale spróbuję mimo wszystko. Ona by mi pomogła, jestem tego pewna. Zwłaszcza że nie lubi mojego męża.

– Może przynajmniej stosuj czas przeszły albo słóweczko „eks”, bo taka forma rani moje uszy. Ja na twoim miejscu w ogóle używałabym czegoś w rodzaju „to” lub „coś”. Po tym, czego się dowiedzieliśmy w konsulacie?! – ze zdenerwowania podnosi głos.

– Drań pozostał draniem i musiał jakoś ukryć moje zniknięcie. Dość sprytnie rozwiązał problem. Tylko ciekawa jestem, kto mu załatwił zaświadczenie ze szpitala? – zadaję retoryczne pytanie, bo przecież odpowiedź jest dość oczywista.

– Ta rodzina jest zła, do cna zepsuta. Akt zgonu, potwierdzenie w ambasadzie, zwłoki pochowane na muzułmańskim cmentarzu, bo denatka w swojej naiwności zmieniła wiarę. Biedna ta twoja matka, co ona musiała przeżywać! Ale na razie nie możesz się z nią skontaktować i nic jej powiedzieć.

– Myślisz, że informacja sprzed dwóch lat może stać się aktualna? – przerywam jej z ironicznym uśmiechem na ustach.

– Daj spokój, po prostu niektórych spraw nie należy przekazywać przez telefon. Twoją mamę może szlag trafić, przecież ma już swoje lata – tłumaczy niezamierzony nietakt. – Dość tego gadania, jak masz dzwonić do tej Samiry, zrób to teraz. Trzymaj komórkę i mam nadzieję, że to ona podniesie słuchawkę.

Siadamy na chwilę w milczeniu. Piję pyszną zieloną herbatę z miętą, specjalność Basi, i próbuję się zrelaksować, głęboko oddychając. Samira jest moją ostatnią deską ratunku, jeśli nie ona, to już koniec. W Trypolisie, czy wręcz w całej Libii, po rodzinie nie ma ani śladu. Wpadł mi wprawdzie do głowy pomysł, żeby skontaktować się z Leilą czy jej matką, ale Giuseppe i polski konsul Marcin zgodnie zasugerowali, że mogę to zrobić, mając zaklepaną drogę ucieczki. Nigdy nie wiadomo, czy krewniaczki Ahmeda nie poszłyby na policję, a wtedy to już będzie koniec. – *Ajwa* – po kolejnym sygnale słyszę tak dobrze znany mi głos. – *Ajwa*?

– Cześć, żadne *ajwa* tylko ja, twoja szwagierka – szepczę do słuchawki z mocno bijącym sercem.

Cisza. Tak głęboka i długa, że aż dzwoni w uszach. Czekam.

– Dot, kochana moja... – słyszę trzęsący się głos z drugiej strony linii. – Co oni ci tym razem zrobili? Bo przecież nie dzwonisz z zaświatów?

– Nic to, przeszło, minęło. Ja żyję.

– Gdzie jesteś, *habibti*? Mów prędko! – wykrzykuje. – Jak mogę ci pomóc?

– Nadal w Libii, w Trypolisie.

– *Wa Allahi!* Nie będę teraz rozpytywała cię o szczegóły. Dobrze, że ten drań jest daleko i niech tam pozostanie na wieki.

– Tak, wiem, nieźle się urządził. Ale on tę babę musiał mieć od dłuższego czasu na oku. – Informacje zebrane przez detektywa jednak się potwierdzają.

– Naiwnych wszędzie jest w bród. A ona przechodzona była – śmieje się.

– To wy razem w tej Kanadzie jesteście? – pytam, bo ciekawość nie daje mi spokoju.

– Ja... ja... Szkoda mówić. Oni pojechali za nas, za mnie i Mahdiego. Jedno nazwisko się

zgadza, to wystarczy, nie? Już się z tym pogodziłam. Zresztą wtedy nie nadawałam się na żadne stypendium, lecz do szpitala, a i chłopca, to znaczy opiekuna, nie miałam, więc nici z wyjazdu.

– Naprawili cię? – pytam z duszą na ramieniu, przypominając sobie czarny scenariusz, jaki Samira przedstawiła mi dwa lata wcześniej.

– Wiesz co, aż się nie chce wierzyć, ale zdarzają się cuda i lekarze geniusze.

– Tak się cieszę... – oddycham z ulgą. – Gdzie więc jesteś?

– Znasz cudne miasto o nazwie Akra? – śmieje się cicho.

– Pewnie, że nie. Ale dziwna nazwa wskazuje, że pojechałeś z Maliką.

– Jaka mądra dziewczynka. Jesteśmy tu wszystkie... Wszystkie! – krzyczy do telefonu.

– To znaczy? – Coś chwyta mnie za gardło i czuję, że nie jestem w stanie oddychać.

– Twoje córki też, zdrowe i bezpieczne.

– Boże mój, niech ci będą dzięki! – krzyk wrywa się ze mnie samoistnie. Baśka słuchająca rozmowę zaczyna podskakiwać, a następnie wykonuje taniec zwycięstwa.

– *Sukran, ja Samira, sukran džazilan.*

– Wrywa mi słuchawkę.

– Nie ma za co dziękować, przecież to naturalne – ze wzruszeniem odpowiada dziewczyna. – Ja już też wiem, z kim jesteś – śmieje się. – *Ahlan wa sahlan Barbara* – wita się z moją przyjaciółką.

– Teraz, Samirka, proszę mi powiedzieć, co zrobić, żeby dzieci wróciły do matki. – Basia przejmuję konwersację, a ja padam na sofę i zalewam się łzami.

– To nie będzie takie proste. Znasz moją siostrę Malikę?

– Ze słyszenia. – wzdycha. – Czy to będzie ta najtrudniejsza część planu.

– Mhm. Ale damy radę, musimy. Za miesiąc na Eid al-Adha, Święto Ofiarowania, przyjedziemy do domu do Trypolisu.

– Wszystkie?

– Niestety, tak. Ale Trypolis to duże miasto, tu się łatwo zgubić. A poza tym... Chadidza będzie się zabijała, żeby jak najwięcej czasu spędzić ze swoimi wrednymi synkami, a Malika... świat i ludzie! W Ghanie usycha, jak wyląduje na starych śmieciach, imprezom i spotkaniom z przyjaciółkami nie będzie końca.

– Dobra nowina. Więc za miesiąc, mówisz?

– Mamy tylko miesiąc, żeby wszystko dopiąć na ostatni guzik. Ja wyprowadzę dziewczynki z domu, wezmę do wesołego miasteczka czy gdziekolwiek, a reszta należy do was. To musi pójść sprawnie, bo nie mam ochoty przesiedzieć reszty życia w pierdlu.

– A tak to nie ryzykujesz? Przecież wrócisz bez nich.

– Rodzina mnie nie zakapuje. Po chwili wyjedziemy na swoje wygnanie, a że w grupie mniejszej o dwie niewielkie osobki? Kto to będzie sprawdzał? One mają swoje paszporty, do nikogo nie są dopisane...

– Dobrze, jak dobrze... – Basia chyba już układa plan, bo myśli intensywnie.

– Mama na pewno jest za tym, bo niejednokrotnie żałowała dziewczynek, mówiąc, że są sierotami, a przede wszystkim, że chowają się bez matki. Chadidza po swoich przejściach podpisze się pod moją decyzją obiema rękami.

– A Malika, co z Maliką?

– Ona nie będzie chciała następnego smrodu wokół naszej rodziny, a przede wszystkim swojej osoby. Z czystego egoizmu będzie siedziała cicho.

– Masz chyba rację.

– Znam ją w końcu najlepiej. Ale nic nie może się wydać, żadne media, ani teraz, ani później w Polsce. To jest mój warunek. Jeden jedyne, to chyba niewiele?

– Jasne, zresztą tak już mamy ustalone. Wszystko robimy w tajemnicy. Nikt nie wie, że Dorota wciąż żyje, a tym bardziej, że jest teraz tutaj, w Trypolisie.

– Tak trzymać. Najmniejszy przeciek i ja się wycofuję.

– Okej.

– Powtórzmy jeszcze raz – naciska Giuseppe, bo sam zaczął się denerwować, jakby to on porwał dzieci i uciekał z nimi bez dokumentów jako pasażer na gapę na wielkim kontenerowcu.

– Specjalnie robię Mikołajki pierwszego, a nie szóstego grudnia, więc postarajcie się tego nie spieprzyć – podkreśla swoje bohaterstwo polski konsul.

– Dobra, Marcin, nie zwracaj nam teraz dupy! – Włoch już nie wytrzymuje. – Nie wiem czemu, ale to w końcu ja będę ją wiozł z dziećmiakami w bagażniku i to ja będę je wszystkie transportował łodzią rybacką przez środek przemysłowego portu. Więc...

– Chłopaki, chłopaki, dajcie już spokój! – Baśka wpada jak burza i stawia przed nimi wielki talerz z dymiącym jeszcze sernikiem polanym czekoladą. – Zjedzcie coś słodkiego, to się trochę wyluzujecie – mówi, nawet jak na nią, zbyt podniesionym głosem. – Przecież najbardziej zdenerwowaną osobą jest tutaj Docia, a wy ją jeszcze bardziej stresujecie. Panowie, miejcie litość.

Jak na komendę wszyscy obracają głowy w moim kierunku i delikatnie się uśmiechają.

– No co? – pytam z zaciśniętym gardłem, wyciągając z ust nie wiem już którego papierosa. – Ja jestem zwarta i gotowa, nie takie rzeczy się przeżyło. – Uśmiecham się słabo i sięgam po wielki kawał sernika. – Jedzcie, bo takiego ciasta nigdzie nie dostaniecie.

Siedzę zamknięta w jakimś maleńkim pomieszczeniu w ambasadzie. Słyszę głosy dobiegające z Sali Jagiellońskiej, w której jak co roku odbywa się uroczystość. Dominuje mocny głos Baśki, przedszkolanki, nauczycielki i wodzirejki na wszystkich dziecięcych imprezach.

– Na kogo czekamy!?! – krzyczy. – Czy ktoś wie!?! Piotruś, ty wiesz? – słyhać jakieś zamieszanie, bo pewnie biedny malec ze strachu ucieka do mamy. – Kto powie?

– Mikołaja! – słyhać pojedyncze cieniutkie głosiki, a mnie zbiera się na płacz.

– Teraz już wszyscy razem, żeby nas usłyszał i wiedział, że tutaj są grzeczne dzieci i żeby koniecznie do nas przyjechał. – Na kogo czekamy?!

– Na Mikoooołajaaa! – krzyczą już wszyscy odważnie.

Słyszę wbijanie kodu do zamka drzwi i po chwili widzę nieznaną sobie przysadzistą postać. Za nią w tle majaczy Marcin.

– Nasz nowy pan ambasador chciał cię poznać i wyrazić swój podziw, współczucie i poparcie – konsul mówi z wąskiego korytarzyka.

– Pani Doroto, właśnie to wszystko chciałem pani powiedzieć. Na więcej brak mi słów. – Pochyla się i jak dżentelmen całuje mnie w spoconą z nerwów dłoń. Teraz zauważam, że jest to starszy mężczyzna po sześćdziesiątce, w eleganckim sportowym garniturze. – Moja żona też chciała przyjść, ale ona jest tak impulsywna i narobiłaby tyle wrzawy, że zaraz wszyscy by się zbiegli i pomieszali nam szyki.

– Dziękuję, ekscelencjo. – Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Moje dziecko, tak niewiele możemy zrobić, że aż mi wstyd. Tutaj zebraliśmy troszkę funduszy dla ciebie i dziewczynek. – Trzęsącą się ręką podaje mi wymiętą szarą kopertę. – Niestety, nie była to akcja jawna i zbiorowa, więc jest to symboliczna kwota na szczęście i nową drogę w Polsce.

– Panie ambasadorze, musimy już iść. – Tchórzliwy Marcin ciągnie starszego pana za rękaw. – Lada moment zaczynamy i musimy trzymać się planu, przepraszam.

– Tak, tak, oczywiście. Dorotko, jeszcze raz powodzenia. – Bierze mnie w objęcia i delikatnie całuje w oba policzki.

Teraz z ulgą siadam na fotelu i czekam na sygnał. Jeśli tacy ludzie mnie popierają, to wszystko musi się udać.

– Mikołaj będzie wywoływał imię każdego z was i wtedy podchodzicie – słyszę głos Basi. – Nie pchajcie się wszyscy naraz, Natałka, przyjdzie twoja kolej, Salem, Rami!!!

Spośród panującej wrzawy nie mogę wyłowić ani słowa, już nawet nie słyszę głosu mojej przyjaciółki. O ile to w ogóle możliwe, zaczynam się jeszcze bardziej denerwować.

– A teraz Darin, zapraszamy do Mikołaja! – krzyczy zachrypnięta Basia. – Darusia się boi i podejdzie z ciocią Samirą. – Jest sygnał, więc zrywam się na równe nogi. – Zapraszamy siostrę Darii, Marysię, proszę, gdzie jest Marysia?

Słyszę ruch na zapleczu, ktoś szybko otwiera drzwi i po ponad dwóch latach widzę moją małą córeczkę. Ona oczywiście mnie nie poznaje, ale po krótkiej chwili delikatnie dotyka moich włosów i czuję, że wcale się nie boi.

– *Ummi?* – pyta, oglądając się na Samirę. – Mami?

– Pokazywałam jej twoje zdjęcia – szepcze Samira, kiwając do dziecka potwierdzająco głową.

W tym momencie córeczka rzuca mi się w ramiona i ściska mnie za szyję, tak jakby chciała udusić.

– Dość tych czułości – zaczyna nas poganiać konsul. – Na to będziecie miały dość czasu, kiedy stąd wyjedziecie.

– A gdzie Marysia? – pytam, rozglądając się dookoła.

– Przepraszam, ale Malika niezapowiedzianie wzięła ją ze sobą na jakieś kretyńskie wesele. Nie byłam w stanie jej przekonać, że Mikołaj i prezenty są lepsze. Obie mnie wyśmiały, Marysia jest pod jej wielkim wpływem. – Samira pochyla głowę i zaciska usta. – Nie sprawdziłam się, ale kto to mógł przewidzieć.

– To nie pani wina, widać los tak chciał. – Marcin chce jak najszybciej zamknąć sprawę. – Dorota, zakładaj chustę, szeroki płaszcz i wychodzimy. Giuseppe czeka na terenie ambasady. Musimy to zrobić, póki wszyscy są w środku, bo potem trudno będzie wytłumaczyć dorosłym i dzieciom, czemu upychamy cię do bagażnika.

– Zaraz, zaraz, co ty pieprzysz?! – Z nerwów nie mogę oddychać i tracę wszystkie zahamowania. – Ja bez mojej drugiej córki nigdzie się stąd nie ruszę! Nie ma takiej opcji! – krzyczę, a konsul podskakuje jak oparzony.

– Sorry, ja nic nie rozumiem, co wy mówicie – włącza się Samira – ale na Boga, Dot, musisz jechać. Jedno dziecko jest lepsze niż nic. Ty nie masz żadnych dokumentów, żadnych praw do córek, jesteś na totalnie przegranej pozycji.

– Młoda dziewczyna, a mądrzejsza... – Marcin włącza się do rozmowy po arabsku, bo oczywiście świetnie zna język.

– Przepraszam, ale chcę jedną chwilę porozmawiać ze szwagierką na osobności. – Samira bez pardonowo wypycha go z pokoju i zamyka drzwi. – Dot. – Bierze mnie w ramiona i zaczynamy obie cichutko szlochać, a mała Darusia, nieświadoma przeżywanego przez nas dramatu, opycha się czekoladkami. – Siostrzyczko, przyjedziesz tutaj jeszcze, odzyskasz Mary, ja ci to obiecuję. Zmienisz nazwisko, uczesanie, kolor włosów, nikt cię nie rozpozna i wtedy bezpiecznie zabierzesz swoją córkę do domu.

– Ja nie mogę bez niej wyjechać, nie mogę. – Łzy zalewają mi policzki i dławią w gardle.

– Albo to zrobisz teraz z Darin, albo wcale – mówi smutno. – Wybór należy do ciebie.

Epilog

Ale się tutaj zmieniło, nie, Docia? – Mój mąż z podekscytowania aż podskakuje na siedzeniu koło kierowcy.

– Tak, tak, duża różnica. My też tutaj byliśmy wcześniej, pierwszy raz w latach osiemdziesiątych – potwierdza miły, czterdziestoletni mężczyzna.

– Wtedy to chyba, panie konsulu, na Gargareszu jeszcze kozy wypasali? – śmieje się Łukasz.

– Tak źle nie było, ale dość orientalnie, prawda, Tamara? – zwraca się do swojej żony, która zdenerwowana siedzi obok mnie z tyłu.

– Bez przesady, wtedy były inne czasy. Ale ty tutaj mieszkałaś później, prawda?

– Tak, koniec lat dziewięćdziesiątych i pierwsze lata drugiego tysiąclecia – przyznaję.

– Wtedy to już tutaj było nowocześnie – śmieje się. – Lepiej niż w niejednym polskim domu.

– Prawda, rodzina mojego libijskiego męża opływała w dostatek i luksusy.

– Tak, tak...

– Jedziemy na Gurdzi, teraz w tej dzielnicy mieszka pani była teściowa i tam widziano Marysię – przechodzimy do konkretów.

– Tak, zaprzyjaźniony detektyw, ten z włoskiej ambasady, ją odnalazł. Po śmierci Maliki matka wróciła z Ghany, lecz sama nie była w stanie utrzymać wielkiego domu w centrum i musiała go zamienić na mniejszy, w gorszej części miasta – tłumaczę, z zaciekawieniem rozglądając się dookoła.

– Tamto to była kamienica – z zachwytem mówi Tamara. – Podjechaliśmy i popatrzyliśmy sobie na nią z ulicy. Ale tam musiały być apartamenty.

– Nieźle – przyznaję bez zbytej euforii.

– Ta twoja szwagierka, która ci pomogła z młodszą córką, miała taki feralny wypadek? Niech to licho, młoda piękna kobieta i tyle lat leży jak roślina. Co za życie...

– Szkoda jej, naprawdę – przyznaje Łukasz, a ja gryzę wargi, wspominając nasze ostatnie spotkanie, tak jakby to było wczoraj.

– Jesteśmy już blisko. – Widzę, jak konsul zaczyna się denerwować. – Dorota, idziesz, jak najszybciej zabierasz córkę, do auta i jedziemy do ambasady. Ja wystawiam jej paszport tymczasowy i zawożę was do Tunezji. Bułka z masłem. Wieczorem pijemy szampana na Dźerbie. – Oddycha z ulgą, jakby już było po wszystkim.

Nie zdążyłam nawet zobaczyć starych kątów, spotkać się z Basią i jej rodziną, bo znów lepiej się nie afiszować. Jedyne, co musiałam, to odwiedzić Samirę w szpitalu.

Z sercem na ramieniu wysiadam z auta i kieruję się do parterowego domku przy ulicy. Strach ściska mi gardło. A jak mnie nie pozna? W tej samej chwili, jakby na zawołanie, z domu wybiega szczupła nastolatka w kolorowej chuście na głowie. Minęło ponad siedem lat, a ja i tak wiem, że to ona.

– Marysiu, Marysiu! – krzyczę głośno, lecz dziewczyna nawet się nie obejrzy. Czyżbym się myliła? – Miriam, *ja binti!*

– *Szinu?* – pyta niegrzecznie.

– Miriam, córeczko, nie poznajesz mnie? – pytam drżącym głosem.

Dziewczynę jakby zamurowało, patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i z niedowierzaniem kręci głową.

– To niemożliwe, ty nie żyjesz! – wykrzykuje ze złością po arabsku. – Tak mówił tata i

ciocia Malika, i taka jest prawda. *Halas!*

– Ale stoję przed tobą i raczej nie jestem duchem. – Robię krok do przodu i wyciągam rękę, chcąc ją objąć.

– Tak nie można, tak nie wolno! – Wycofuje się przerażona w kierunku domu. – Nie ma cię całymi latami, zostawiasz mnie, porzucasz, a teraz sobie przychodzisz stęskniona?!

– Najpierw nie mogłam się z tobą skontaktować, a potem nie byłam w stanie cię odnaleźć – tłumaczę z sercem zaciśniętym z bólu.

– Trata tata – mówi jak dziecko. – Nie wierzę w to. Póki człowiek żyje, wszystko może.

– Nie zawsze to jest takie proste. Jednak postaram się wszystko ci wytłumaczyć. Chodź teraz ze mną, wrócimy do domu, do Polski. Będziemy miały dość czasu na rozmowy i wtedy na spokojnie wszystko ci powiem.

– Co?! – krzyczy zszokowana, aż ludzie na ulicy przystają i zaczynają nas obserwować.

– *Miriam, fi muszkila?* – z otwartego okna słychać zaniepokojony głos. Podnoszę oczy i widzę siwą głowę matki Ahmeda. Długo patrzymy na siebie, lecz ona pierwsza opuszcza wzrok i kryje się za okiennicą.

– Mamo, wybacz, tak bardzo cię kochałam i tak bardzo potrzebowałam... Ciebie nie było, za długo ciebie nie było... – szepcze rozgoryczona Marysia. – Teraz jest już za późno. Tutaj jest moja rodzina, moi bliscy, mój dom i moja religia. Nie mogę tego wszystkiego zostawić, nie mogę ich opuścić. Kilka lat później...

– Łukasz, otwórz drzwi, ja mam mokre ręce – krzyczę z kuchni w stronę salonu.

– Ja, kobieto, też coś robię, masz bliżej.

– Oczywiście, jak zawsze – wzdycham, ale wcale mnie to nie złości. – Darusia, przypilnuj przez jedną minutkę Adasia, zaraz wracam.

– Dobra, dobra – nastolatka odpowiada z uśmiechem, obejmując brata ramieniem. – Ależ komuś się pali. Przecież nikogo się nie spodziewamy.

Wychodzę na podwórze i jak wata okleja mnie upał Rijadu. Boże, co za klimat, jak my tutaj żyjemy?

– *I am coming!* – wołam, słysząc następny dzwonek.

Ze złością na taką nachalność nieproszonego gościa gwałtownie otwieram metalową bramę i staję jak wryta. Na chodniku przed domem stoi młoda Arabka o zadziwiająco jasnej karnacji, w czarnej chuście na głowie i długiej do ziemi abaji.

– Kto to? – słyszę za sobą głosy Łukasza i Darin.

– Dzień dobry, mamo... W końcu cię odnalazłam...

Podziękowania

Największe podziękowania należą się mojemu mężowi Igorowi, za zainteresowanie mnie Orientem, wprowadzenie w jego kulturę i zwyczaje i umożliwienie wieloletniego pobytu w krajach arabskich, które od samego początku mnie zafascynowały i spowodowały, że połknęłam orientalnego bakcyła. Uwielbiam życie w tych stronach, odurzający zapach prażonej kawy i przypraw, nawoływania muezina na modlitwę oraz wiecznie świecące słońce. Dziękuję mu również za wyrozumiałość, kiedy podczas pisania *Arabskiej żony* więcej czasu spędzałam przy komputerze z moimi bohaterami niż z nim.

Specjalne podziękowania należą się mojej najlepszej przyjaciółce w Libii, Ewie El-Khatrush, która otworzyła przede mną swoje serce i dom, najlepszy i pełen ciepła polski dom w Trypolisie. To ona ciągnęła mnie po wąskich tradycyjnych uliczkach suku i Gurdzi, wprowadzała w tajniki targowania się i ośmielała do kontaktów z jakże życzliwymi Libijczykami. Ona nauczyła mnie gotować kuskus i piec buriki, przy których snuła opowieści rodem z *Baśni tysiąca i jednej nocy*. Stała się nieocenionym źródłem wielu informacji i historii, które wplotłam w moją powieść. Wielkie ukłony dla Alego, męża Ewy, który jest wspaniałym człowiekiem i żywym przykładem na to, że dialog muzułmańsko-chrześcijański jest możliwy. Jego nowoczesność i tolerancja jako męża i ojca jest zadziwiająca i życzyłabym takiej niejednemu chrześcijańskiemu mężczyźnie.

Dzięki moim libijskim przyjaciółkom Fatmie i Sanie, które zaufały mi, poznałam tę stronę życia w tradycyjnych rodzinach arabskich, która nie widzi światła dziennego. To one opowiadały mi mrożące krew w żyłach historie, które opisałam w *Arabskiej żonie*. Ich szczerość mnie szokowała i czasami nawet nie chciałam więcej słuchać i poznawać szczegółów tragicznych losów kobiet i podłych zachowań mężczyzn.

Szczególne podziękowania należą się mojemu agentowi Zbigniewowi Kańskiemu, który od początku we mnie uwierzył i uznał, że *Arabska żona* to strzał w dziesiątkę. To on dodawał mi otuchy i zagrzewał do pisania książki. Dzięki niemu będzie można już niedługo poznać dalsze losy wykreowanych przeze mnie bohaterów.

